

GALERIA

**ISABEL
ALLENDE**

**NIEZGŁĘBIONY
ZAMYŚŁ**



GALERIA

GALERIA

ISABEL ALLENDE
NIEZGŁĘBIONY ZAMYSL

Ta powieść chilijskiej pisarki, Isabel Allende, zainspirowana jest w dużej mierze kolejami losu jej drugiego męża.

Kronikarski zapis etapów dróg życiowych dwojga głównych bohaterów służy autorce do stworzenia sugestywnego obrazu świata meksykańskiej mniejszości w Kalifornii, obrazu epoki hipisowskiej z nieodłącznym wątkiem wojny w Wietnamie oraz wizerunku amerykańskiego społeczeństwa okresu rewolucji obyczajowej przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, chłonnego nowe prądy, idee i wynalazki. Książka przepojona jest wiarą w człowieka, w szlachetność ludzkiej natury i w zdolność do pokonywania wszelkich przeciwności losu.

ISBN 83-7319-016-3



9 788373 190160 >

Cena 25,90 zł

ISABEL
ALLENDE
NIEZGŁĘBIONY
ZAMYŚŁ

Przełożyły

BEATA FABJAŃSKA-POTAPCZUK

część I i II

AGNIESZKA RURARZ

część III i IV

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Tytuł oryginału: *El plan infinito*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*

Redakcja: *Rajmund Kalicki*

Redakcja techniczna: *Sławomir Grzmiel*

Korekta: *Janina Zgrzemska*

© Isabel Allende, 1991

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1999, 2001

© for the Polish translation by Beata Fabjańska-Potapczuk
and Agnieszka Rurarz

ISBN 83-7319-016-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2001

*Mojemu przyjacielowi,
Williamowi C. Gordonowi i wszystkim tym,
którzy powierzyli mi tajemnice swoich losów.
Również mojej matce, za jej bezgraniczne
oddanie i nieubłagany czerwony ołówek,
którym pomagała mi poprawiać tę opowieść.*

LA.

*Dziękuję życiu, że mi aż tyle dało,
że dało mi śmiech i że dało mi płacz...*

Violeta Parra, Chile

Jestem sam na szczycie wzgórza o świcie. W mleczonej mgłę dostrzegam u mych stóp ciała poległych kolegów, niektórzy spoczywają na stokach niczym czerwone, bezkształtne lalki, inni są jak blade posągi, zdumione wiecznością śmierci. Tajemnicze cienie skradają się ku mnie. Cisza. Czeka. Zbliżają się. Strzelam do ciemnych sylwetek w czarnych piżamach, do zjaw pozbawionych oblicza, czuję odrzut karabinu, od ciągłego napięcia płoną mi ręce, powietrze przeszywają raz po raz iskry wystrzałów, ale nie dochodzi mnie żaden dźwięk. Napastnicy stają się przezroczyści, kule przeszywają ciało, choć nie powstrzymują ich nieubłaganego natarcia. Osaczają mnie... cisza...

*Mój własny krzyk wyrywa mnie ze snu
i krzyczę, długo krzyczę...*

Gregory Reeves

Część pierwsza

Jechali zachodnimi drogami niespiesznie i bez ustalonego kierunku, zmieniając trasę zależnie od chwilowego kaprysu, ostrzegawczego poruszenia wśród ptactwa, pokusy jakiejś nieznaney nazwy. Reevesowie przerywali swoją błędną wędrówkę tam, gdzie ich zaskakiwało zmęczenie lub znajdowali kogoś chętnego do kupna ich mało oczywistego towaru. Sprzedawali nadzieję. W ten sposób przemierzili pustynię w jedną i w drugą stronę, przekroczyli góry i pewnego razu ujrzeli wstający dzień na jednej z plaż Pacyfiku. Czterdzieści parę lat później, podczas długiej spowiedzi, która była przeglądem jego życia i podsumowaniem wszystkich błędów i sukcesów, Gregory Reeves opisał mi swoje najdawniejsze wspomnienie: czteroletnie dziecko, on sam, siusiąjące na wzgórzu o zachodzie słońca, horyzont ufarbowany przez ostatnie promienie na czerwono i miodowo, za jego plecami wierzchołki wzgórz, a poniżej rozległa, nieobjęta wzrokiem równina. Ciepła ciecz wypływa niczym coś istotnego z jego ciała i ducha, każda kropla wsiąkając w ziemię znaczy teren jego podpisem. Opóźnia przyjemność, bawi się strumieniem, kreśląc topazowe koło w kurzu, wyczuwa nietknięty spokój popołudnia, uczuciem euforii napawa go ogrom świata, ponieważ on sam stanowi cząstkę tego czystego i pełnego cudów krajobrazu, niezmiernej przestrzeni do odkrycia.

Niedaleko czeka na niego rodzina. Wszystko jest w porządku, po raz pierwszy ma świadomość szczęścia: jest to chwila, której nigdy nie zapomni. Przez całe swoje życie Gregory Reeves poczuł kilka razy to olśnienie wobec niespodzianek świata, to poczucie przynależności do wspaniałego miejsca, w którym każda rzecz jest możliwa, od najbardziej wzniosłej do najpotworniejszej, jest jakiś sens, nic się nie dzieje przypadkowo, nic nie jest bezcelowe, jak w swoich kazaniach grzmiał jego ojciec, płonąc gorączką mistycznego uniesienia, z owiniętym wokół stóp węzem. I za każdym razem, ilekroć przesywała go iskra zrozumienia, przypominał sobie tamten zachód słońca na wzgórzu. Jego dzieciństwo było zbyt długim okresem zamętu i mroku, z wyjątkiem lat, kiedy podróżował z rodziną. Jego ojciec, Charles Reeves, prowadził to małe plemię surowo i według jasnych zasad, wszyscy razem, każdy obarczony swoimi obowiązkami, nagroda i kara, przyczyna i skutek, według dyscypliny opartej na niezmiennej skali wartości. Ojciec pilnował ich jak oka w głowie. Podróże określały los Reevesów, nie burząc ich stabilizacji, gdyż rutyna i zasady były ustalone. Był to jedyny okres, w którym Gregory czuł się bezpiecznie. Wściekłość nadeszła później, gdy zniknął ojciec, rzeczywistość zaczęła się pogarszać i nic nie można było na to poradzić.

Żołnierz dźwigający plecak rozpoczął marsz rankiem, a wczesnym popołudniem już żałował, że nie wsiadł do autobusu. Wyruszył, gwizdząc wesoło, ale z upływem godzin zaczęło boleć go w pasie, a podśpiewywanie przeplatał przekleństwami. Był to jego pierwszy urlop po roku służby na Pacyfiku i wracał do swojej wsi z blizną na brzuchu, nawrotami

malarii i tak samo biedny jak zawsze. Koszulę niósł na gałęzi, żeby zapewnić sobie choć trochę cienia, pocił się, a jego skóra błyszcząca jak pociemniałe lustro. Chciał wykorzystać każdą chwilę tych kilku tygodni wolności, grając po nocach w bilard z przyjaciółmi i tańcząc z dziewczynami, które odpowiedziały na jego listy, spać do oporu, budzić się od zapachu świeżo zaparzonej kawy i placzków swojej matki, jedyne- go apetycznego dania z jej kuchni, reszta trąciła zwykle paloną gumą, ale kogo w końcu mogły obchodzić zdolności kulinarne tej najpiękniejszej kobiety w promieniu stu mil, żywej legendy o długich, pięknie rzeźbionych kończynach i żółtych oczach leoparda. Od dawna już nikt nie zapuszczał się w to pustkowie, gdy nagle usłyszał za plecami warkot motoru i ujrzał w oddali niewyraźną sylwetkę ciężarów- ki, drżącej jak fatamorgana w odbłasku światła. Poczekał, aż się zbliży, żeby poprosić o podwiezienie, ale gdy podjechała, zmienił zdanie na widok tego niezwykłego zjawiska, rupiecia pomalowanego na zuchwał- e kolory, załadowanego do pełna górą gratów ukoronowanych klatką z kurczakami, psem uwiązany- m na sznurku, a na dachu megafonem i plakatem, na którym było napisane dużymi literami NIEZGŁĘBIONY ZAMYŚL. Odszedł na bok, żeby przepuścić samochód, zobaczył, że staje kilka metrów przed nim, a z okienka wychyla się kobieta o włosach koloru pomidora, która daje znać, że go zabiorą. Nie wiedział, czy się cieszyć, zbliżył się ostrożnie, kalkulując, że nie zmieści się w szoferce, gdzie podróżowało troje dorosłych i dwoje dzieci, a wspięcie się na tylną część wymagało sprawności akrobaty. Otworzyły się drzwi i kierowca wyskoczył na drogę.

- Charles Reeves - przedstawił się uprzejmie, choć z niewątpliwą powagą.

- Benedict... proszę pana... King Benedict - odparł żołnierz, wycierając twarz.

- Podróżujemy trochę niewygodnie, jak pan widzi, ale gdzie się zmieści pięcioro, tam wejdzie i sześcioro.

Reszta pasażerów też wysiadła, kobieta o rozczochranych, czerwonych włosach oddaliła się w kierunku krzaków, za nią podążała dziewczynka mniej więcej sześćioletnia, która żeby zaoszczędzić czasu, szła opuszczając majtki, podczas gdy młodszy chłopczyk, na wpół schowany za drugą podróżną, pokazywał język nieznanemu. Charles Reeves odwiązał od jednego z boków ciężarówkę drabinę, wspiął się zręcznie na ładunek i uwolnił psa, który jednym śmiałym skokiem znalazł się na ziemi i zaczął biegać po okolicy, obwąchując zarośla.

- Dzieci lubią jeździć z tyłu, ale to niebezpieczne, nie mogą jechać same. Olga i pan przypilnujcie ich. Wsadzimy Olivera do szoferki, żeby nie przeszkadzał, to jeszcze szczeniak, ale już ma narowy starego zwierzęcia - zdecydował Charles Reeves, wskazując mu, żeby wsiadał.

Żołnierz rzucił plecak na górę gratów i wspiął się, po czym wyciągnął ramiona po młodszego chłopca, którego Reeves podniósł nad głowę, chudego dzieciaka o odstających uszach i z uroczym uśmiechem, odsłaniającym całe uzębienie. Powróciła kobieta z dziewczynką i również wspięły się na tył, pozostała dwójka wsiadła do szoferki i chwilę później ciężarówka ruszyła.

- Ja nazywam się Olga, a to są Judy i Gregory - przedstawiła się kobieta o nieprawdopodobnych włosach, strosząc spódnicę i jednocześnie rozdając jabłka i herbatniki.

- Proszę nie siadać na tej skrzyni, tam jest wąż boa i nie należy mu zasłaniać dostępu powietrza - dodała.

Mały Gregory przestał pokazywać język, gdy tylko zdał sobie sprawę, że podróżny wraca z wojny; wyraz uwielbienia

zastąpił teraz szydercze grymasy i malec zaczął wypytywać o wojskowe samoloty, póki nie zmorzył go sen. Żołnierz próbował porozmawiać z rudą, ale ona odpowiadała monosylabami, więc nie nalegał. Zaczął nucić piosenki ze swojej wsi, spoglądając z ukosa na tajemniczą skrzynkę, aż reszta zasnęła na stercie tobołów, wtedy mógł się im przypatrzeć do woli. Dzieci były płowowłose i o tak jasnych oczach, że z profilu wyglądały jak ślepe, natomiast kobieta miała oliwkowy kolor skóry niektórych ludów śródziemnomorskich. Miała odpięte górne guziki bluzki, krople potu spływały po dekolcie wolną strużką, prosto we wgłębienie między piersiami. Podniosła ramię, żeby oprzeć głowę na jednej ze skrzynek, odsłaniając ciemne włosy pod pachą i wilgotną plamę na materiale. Odwrócił wzrok obawiając się, że zauważy i źle sobie wytłumaczy tę jego ciekawość, do tej pory wszyscy są mili, aż za mili, pomyślał, ale z białymi nigdy nie można być pewnym. Wydedukował, że są to dzieci tej drugiej pary, choć sądząc po wyglądzie Reevesów, mogły być również ich wnukami. Przyjrzał się ładunkowi i doszedł do wniosku, że ci ludzie nie przeprowadzają się, jak przypuszczał na początku, ale podróżują w swojej stałej kwaterze. Zauważył, że mają pojemnik z kilkoma galonami wody, drugi z paliwem i zadał sobie pytanie, jak zdobywają benzynę, racjonowaną z powodu wojny już od dłuższego czasu. Wszystko było rozłożone w drobiazgowym porządku, z haczyków i wieszaków zwisały sprzęty kuchenne i narzędzia, w przegródkach stały ciasno walizki, nic nie leżało luzem, każdy tobolek był oznaczony i stało też kilka skrzynek z książkami. Upał i trudy podróży prędko go wyczerpały, usnął więc oparty o klatkę z kurczakami. Obudził się wczesnym popołudniem, gdy poczuł, że się zatrzymują. Ciało chłopaka, spoczywające na jego nogach,

nie ważyło prawie nic, ale bezruch spowodował zdrętwienie mięśni i czuł suchość w gardle. Przez kilka chwil nie wiedział, gdzie się znajduje, włożył rękę do kieszeni spodni w poszukiwaniu manierki z whisky i wypił duży łyk, żeby rozjaśnić myśli. Kobieta i dzieci były pokryte pyłem, a pot wykreślił im linie na policzkach i szyjach. Charles Reeves zboczył z drogi i znajdowali się teraz w gęstwie drzew, jedynym cieniu na tym pustkowiu. Tu się zatrzymamy, żeby ostygł motor, ale jutro mógłbym zawieźć pana do domu, wytłumaczył żołnierzowi, który już był spokojniejszy; ta dziwna rodzina zaczynała mu się podobać. Reeves i Olga zdjęli kilka tobołów z ciężarówki i rozłożyli dwa zniszczone namioty, podczas gdy druga kobieta, która przedstawiła się jako Nora Reeves, przy pomocy swojej córki Judy przygotowywała jedzenie na kuchence naftowej, a chłopiec, z psem depczącym mu po piętach, szukał chrustu na ognisko.

- Będziemy polować na zające, tatusiu? - poprosił, pociągając ojca za spodnie.

- Dzisiaj nie ma na to czasu, Greg - odparł Charles Reeves, wyjmując kurczaka z klatki i ukrecając mu głowę zdecydowanym ruchem.

- Nie można zdobyć mięsa. Trzymamy kurczaki na specjalne okazje... - wyjaśniła Nora, jakby przepaszając.

- Czy dziś jest specjalny dzień, mamó? - zapytała Judy.

- Tak, córeczko, pan King Benedict jest naszym gościem.

O zmierzchu obozowisko było gotowe, ptak gotował się w garnku, a każdy zajął się swoimi sprawami w świetle lamp karbidowych i w ciepłe ognia: Nora i dzieci odrabiały lekcje, Charles Reeves przeglądał wymięty egzemplarz „National Geographic”, a Olga robiła naszyjniki z kolorowych koralików.

- To na szczęście - poinformowała gościa.

- I na niewidzialność - dopowiedziała dziewczynka.

- Że jak?

- Kiedy zacznie się pan stawać niewidzialny, zakłada jeden z tych naszyjników i wszyscy znowu mogą pana zobaczyć - wyjaśniła Judy.

- Niech pan na nią nie zwraca uwagi, to taka dziecinada - roześmiała się Nora Reeves.

- To prawda, mamo!

- Nie sprzeciwiaj się matce - uciął sucho Charles Reeves.

Kobiety rozstawiły stół, grubą deskę przykrytą obrusem, fajansowe talerze, szklanki i nieskazitelne serwetki. Te przygotowania wydały się żołnierzowi mało praktyczne jak na obozowisko, w jego własnym domu jadło się z mosiężnej zastawy, ale powstrzymał się od komentarzy. Wyjął z plecaka konserwę mięsną i nieśmiało podał ją gospodarzowi, nie chciał, by wyglądało, że płaci za kolację, ale też nie chciał korzystać z gościnności bez żadnego własnego wkładu. Charles Reeves postawił ją na środku stołu, obok fasoli, ryżu i garnka z kurczakiem. Wzięli się za ręce i ojciec pobłogosławił ziemię, która ich przyjmuje, oraz dar pożywienia. Nie widać było żadnego alkoholu, a gość nie miał odwagi wyjąć swej manierki z whisky, myśląc, że Reevesowie są abstynentami z powodów religijnych. Zwróciło jego uwagę, że podczas tej krótkiej modlitwy ojciec nie napomknął o Bogu. Zauważył, że jedzą z oglądą, trzymając sztucce końcami palców, choć w ich zachowaniu nie ma pretensjonalności. Po kolacji zanieśli naczynia do miski z wodą, by je umyć następnego dnia, przykryli kuchenkę i dali resztki jedzenia Oliverowi. Była już głucha noc, światła lamp słabo pełgały w gęstej ciemności, rodzina rozsiała się więc wokół ogniska, które oświetlało środek obozu. Nora Reeves wzięła książkę

i przeczytała na głos zawiłą historię o Egipcjanach, najwyraźniej znaną już dzieciom, gdyż Gregory jej przerwał.

- Nie chcę, żeby Aida umarła zamknięta w grobie, mamó.

- To tylko opera, synku.

- Nie chcę, żeby umarła!

- Tym razem nie umrze, Greg - rozstrzygnęła Olga.

- Skąd wiesz?

- Widziałam to w mojej kuli.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna.

Nora Reeves patrzyła w książkę z pewnym zakłopotaniem, jakby zmiana zakończenia była dla niej niepokonywalną przeszkodą.

- Co to za kula? - zapytał żołnierz.

- Kryształowa kula, w której Olga widzi wszystko, czego nikt inny nie może zobaczyć - wytłumaczyła Judy tonem osoby przemawiającej do opóźnionego umysłowo.

- Nie wszystko, tylko niektóre rzeczy - wyjaśniła Olga.

- Może pani zobaczyć moją przyszłość? - poprosił Benedict z taką trwogą w głosie, że nawet Charles Reeves podniósł wzrok znad czasopisma.

- Co pan chce wiedzieć?

- Dożyję końca wojny? Wrócę cały?

Olga udała się w stronę ciężarówki, po chwili wróciła ze szklaną kulą i spraną chustą z haftowanego aksamitu, które umieściła na stole. Mężczyzną wstrząsnął zabobonny dreszcz i zapytał sam siebie, czy przypadkiem nie trafił na jakąś przeklętą sektę, która porywa dzieci, żeby im wyrwać serce podczas satanistycznych mszy, zwłaszcza dzieci czarnych, jak zapewniały kumy w jego wiosce. Judy i Gregory zbliżyli się, zaciekawieni, ale Nora i Charles Reeves wrócili do swoich lektur. Olga kazała żołnierzowi usiąść naprzeciwko,

objęła kulę palcami o źle pomalowanych paznokciach, wpiła się w nią wzrokiem przez dobrą chwilę, po czym wzięła w ręce dłonie swojego klienta i przyjrzała się z wielką uwagą ich jasnemu wnętrzu, poprzecinanemu ciemnymi liniami.

- Pan będzie żył dwa razy - powiedziała w końcu.

- Jak to - dwa razy?

- Nie wiem. Mogę powiedzieć tylko, że będzie pan żył dwa razy albo przeżyje dwa życia.

- To znaczy, że nie zginę na wojnie.

- Jeśli pan zginie, to na pewno zmartwychwstanie - powiedziała Judy.

- Zginę czy nie?

- Wydaje mi się, że nie - powiedziała Olga.

- Dziękuję pani, bardzo dziękuję... - Twarz mu się rozpromieniła, jak gdyby wręczyła mu niepodważalny certyfikat pozostania na świecie.

- No dobrze, pora już spać, jutro wcześniej ruszamy - przerwał Charles Reeves.

Olga pomogła dzieciom założyć piżamy i niebawem poszła z nimi i Oliverem do mniejszego namiotu. Po niedługiej chwili Nora Reeves wpełzła tam na czworakach, żeby spojrzeć na swoje dzieciaki po raz ostatni przed snem. King Benedict, wyciągnięty przy ogniu, usłyszał ich głosy.

- Mamo, boję się tego człowieka - szepnęła Judy.

- Dlaczego, córeczko?

- Bo jest czarny jak smoła.

- To nie pierwszy, którego widzisz, Judy, przecież już wiesz, że są ludzie o różnych kolorach i dobrze, że tak jest. Nas, białych, jest mniej.

- Ja widzę więcej białych niż czarnych, mamo.

- To jest tylko kawałek świata, Judy. W Afryce jest więcej czarnych niż białych. W Chinach mają żółtą skórę. Gdybyśmy

mieszkali na południe od granicy, patrzono by na nas jak na rarogi, na ulicy ludzie by głupieli na widok twoich białych włosów.

- Wszystko jedno, boję się .tego człowieka.

- Kolor wcale nie jest ważny. Spójrz mu w oczy. Wygląda na dobrego człowieka.

- Ma takie same oczy jak Oliver - dodał Greg ziewając.

Pod koniec drugiej wojny światowej życie było ciężkie. Mężczyźni jeszcze wyruszali na front, gnani chęcią przygód, ale kobietom cała ta patriotyczna propaganda słabo pomagała znosić samotność, dla nich Europa była dalekim koszmarem, musiały za bardzo harować, żeby utrzymać dom, miały już dość samotnego wychowywania dzieci i reglamentacji. Nie było nadziei na poprawę, a po drogach wciąż wędrowali chłopcy szukający miejsca dla siebie. *Białe śmieci*, jak ich nazywano dla odróżnienia od innych, równie biednych, ale o wiele bardziej upokorzonych: czarnych, Indian i meksykańskich wyrobników. Jedyną własność Reevesów stanowiła ciężarówka i jej zawartość, byli jednak w o wiele lepszej sytuacji, wyglądali na mniej topornych i zdesperowanych, ręce mieli wolne od odcisków, a ich skóra, choć wystawiona na kaprysy pogody, nie wyglądała jak sucha podeszwa ani jak skóra robotników rolnych. Gdy przekraczali kolejne granice stanów, policjanci nie traktowali ich z góry, umieli rozróżnić subtelne poziomy biedy, a w tych podróży nie znajdowali cienia uniżoności. Nie zmuszali ich do wyładowywania ciężarówki i rozpakowywania bagażu, jak robili to z wieśniakami wygnanymi ze swej ziemi przez burze piaskowe, susze lub nowoczesne maszyny, ani też nie prowokowali ich wyziskami, szukając pretekstu do napaści, jak Latynosów,

Murzynów i tych niewielu Indian, jacy przeżyli masakry i alkoholizm - ograniczali się na ogół do pytania, dokąd jada. Charles Reeves, osobnik o ascetycznej twarzy, płonącym spojrzeniu i okazałej posturze odpowiadał, że jest artystą i wiezie własne obrazy na sprzedaż do pobliskiego miasta. Nie wspominał o swoim drugim towarze, żeby nie wprowadzać zamieszania i nie być zmuszonym do udzielania długich wyjaśnień. Urodził się w Australii i po opłynięciu pół świata na statkach przemytników pewnej nocy zszedł na ląd w San Francisco. Stąd już się nie ruszę, postanowił, ale jego włóczęgowska natura nie pozwoliła mu na dłuższe pozostanie w jednym miejscu i gdy tylko wyczerpały się nowości i niespodzianki, znowu rozpoczął wędrówkę po kraju. Jego ojciec, koniokrad, który odsiedział wyrok deportowany do Sydney, zaszczepił w nim namiętność do tych zwierząt i do otwartej przestrzeni, swobodę ma się we krwi, mówił. Charles, zakochany w dalekich krajobrazach i w heroicznej legendzie podboju Dzikiego Zachodu, malował rozległe ziemie, Indian i kowbojów. Z tego malowania i z wróżenia Olgi utrzymywała się cała rodzina.

Charles Reeves, Doktor Nauk Boskich, jak sam się przedstawiał, odkrył istotę życia w mistycznym objawieniu. Opowiadał, że znajdował się sam na pustyni, jak Jezus z Nazaretu, kiedy Mistrz zmaterializował się w postaci żmii i ugryzł go w łydkę, spójrzcie na bliźnę. Był w agonii przez dwa dni i gdy poczuł chłód śmierci, podchodzący z żołądka do serca, jego umysł nagle się rozwarł i przed jego rozgorączkowanymi oczami objawiła się doskonała mapa wszechświata ze wszystkimi jego prawami i sekretami. Kiedy się ocknął, był całkowicie wolny od jadu, a jego umysł wzniósł się na wyższy poziom, z którego nie ma zamiaru już schodzić. Podczas tego

promiennego delirium Mistrz rozkazał mu szerzyć Jedyną Prawdę Niezglębionego Zamysłu, a on to robi kornie i z oddaniem, mimo poważnych niedogodności tej misji, jak zawsze mówił swoim słuchaczom. Tyle razy powtarzał tę historię, że w końcu sam w nią uwierzył i nie pamiętał, że blizna została mu po upadku z roweru. Kazania i książki przynosiły bardzo mało pieniędzy, ledwie wystarczało na wynajęcie pomieszczeń na zebrania i druk jego mów w małych, tanich wydaniach. Kaznodzieja nie kalał swej duchowej pracy wulgarnymi zabiegami handlowymi, jak to było w przypadku tyłu szarlatanów, jacy w owych czasach przemierzali kraj, strasząc ludzi gniewem Bożym, aby ich obłupić ze skromnych oszczędności. Nie posługiwał się również haniebnym zwyczajem siania trwogi pośród słuchaczy i nakłaniania ich, doprowadzonych do hysterii, toczących pianę z ust i tarzających się, do przegonienia Złego, głównie z tego powodu, że zaprzeczał istnieniu Szatana, a podobne sceny budziły jego odrazę. Pobierał dolara za wejście na swoje wystąpienie i kolejne dwa za wyjście, bo przy drzwiach stały na straży Nora i Olga z naręczem jego książek i nikt nie śmiał przejść bez zakupu jednego egzemplarza. Trzy dolary nie stanowiły wygórowanej sumy, jeśli się weźmie pod uwagę, co zyskiwali słuchacze, którzy wychodzili pokrzepieni pewnością, że ich nieszczęścia są częścią niebiańskiego wzorca, tak jak ich dusze są cząsteczkami energii wszechświata; że nie są opuszczeni, ani też kosmos nie jest czarną przestrzenią, gdzie rządzi chaos, że istnieje Wielki Jednoczący Duch który nadaje sens istnieniu. Przygotowując swoje kazania, Charles Reeves posługiwał się strzępami informacji, jakie miał w zasięgu, własnym doświadczeniem i trafną intuicją, ponadto lekturami żony oraz poszukiwaniami w *Biblii* i w „Reader's Digest”.

Podczas Wielkiego Kryzysu zarabiał na życie, malując szyldy dla urzędów pocztowych, w ten sposób poznał prawie cały kraj, począwszy od wilgotnych i gorących ziem, gdzie jeszcze było słyhać echo płaczu niewolników, aż do lodowych gór i wysokich lasów, ale zawsze wracał na zachód. Obiecał żonie, że ich wędrówka zakończy się w San Francisco, gdzie dojadą pewnego świetlistego, letniego dnia w bliżej nieokreślonej przyszłości, po raz ostatni rozładują wóz i zostaną na zawsze. Choć praca przy szyldach dla poczty skończyła się dawno temu, udawało mu się jeszcze od czasu do czasu namalować ogłoszenie handlowe dla jakiegoś sklepu lub alegoryczny obraz dla jakiejś parafii. W takim przypadku podróżni zatrzymywali się na dłużej w jednym miejscu i dzieci miały okazję do zawarcia przyjaźni. Popisywały się przed innymi dziećmi, wikłając się w tyle kłamstw i wyolbrzymień, że w końcu same drżały przed straszliwą wizją niedźwiedzi i kojotów, które ich atakowały w nocy, Indian, którzy ich prześladowali, żeby zdobyć ich skalp; rozbójników, do których ojciec strzelał. Pod pędzlami i pędzelkami Charlesa Reevesa z zadziwiającą łatwością powstawały zarówno korpulentna blondyna trzymająca w ręku butelkę piwa, jak i groźny Mojżesz dzierżący *Dekalog*, ale takie duże zlecenia nie były częste, zwykle udawało mu się tylko sprzedawać co najwyżej skromne obrazki malowane wspólnie z Olgą. Wolał rysować naturę, która go pasjonowała, katedry czerwonych skał, suche równiny pustyni i spadziste wybrzeża, ale nikt nie kupował tego, co mógł zobaczyć na własne oczy i co przypominało o szorstkim, powszednim losie. Po co wieszać na ścianie to samo, co widać za oknem? Klient wybierał w „National Geographic” krajobraz najbardziej zbliżony do własnych wyobrażeń albo taki, którego kolory pasowałyby do leciwych mebli w salonie. Dodatkowe

cztery dolary upoważniały do Indianina lub kowboja, a wynikiem był czerwonoskóry w pióropuszu na lodowatych szczytach Tybetu albo para kowbojów w szerokoskrzydłych kapeluszach i butach na wysokich obcasach pojedynkujących się na perłowym piasku polinezyjskiej plaży. Oldze nie zabierało dużo czasu kopiowanie krajobrazu z czasopisma, Reeves w kilka chwil dorabiał sylwetkę ludzką z pamięci, a klienci płacili gotówką i zabierali jeszcze mokry obraz.

Gregory Reeves przysięgłby, że Olga była z nimi zawsze. Dużo później zapytał o jej rolę w rodzinie, ale nikt nie mógł mu odpowiedzieć, bo wówczas jego ojciec już nie żył i o tej sprawie nie rozmawiano. Nora i Olga poznały się na statku z uchodźcami, który wiózł je z Odessy przez Atlantyk aż do Ameryki Północnej, straciły się z oczu na wiele lat i przypadek zetknął je ze sobą, kiedy Nora była już mężatką, a Olga okrzepła w swoim znachorskim powołaniu. Między sobą rozmawiały po rosyjsku. Różniło je wszystko, jedna była tak introwertyczna i nieśmiała jak druga otwarta i niepohamowana. Nora, o długich kończynach i wolnych ruchach, miała twarz kota i upinała swoje długie, spłowiałe włosy w kok, nie malowała się, nie nosiła ozdób i zawsze wyglądała świeżo. Podczas tych podróży pełnych kurzu, gdy brakowało wody do mycia, a uprasowanie sukni było niemożliwością, Norze udawało się wyglądać tak schludnie jak biały, wykrochmalony obrus z własnego stołu. Skrytość jej charakteru pogłębiła się z wiekiem i na koniec oderwała się od ziemi, wznosząc się do wymiaru, w którym nikt jej nie mógł dosięgnąć. Olga, kilka lat młodsza, była dobrze zbudowaną, krągłą, niską brunetką, o wąskiej talii i krótkich, ale zgrabnych i wyzywa-

jących nogach. Na ramiona opadała jej szalona grzywa włosów farbowanych henną, jak cudaczna peruka w kilku odcieniach cynobru; obwieszona była tyłoma sznurami koralu, że wyglądała niczym udekorowany świecidełkami bożek, co jej pomagało we wróżbiarskim procederze; szklana kula i karty do tarota wyrastały bowiem jako naturalne przedłużenia jej rąk z pierścionkami na wszystkich palcach. Nie miała w sobie ani krzty ciekawości intelektualnej, czytała tylko kroniki kryminalne i czasami romantyczne powieści, nie wspierała swych zdolności jasnowidzenia żadnymi systematycznymi ćwiczeniami, ponieważ uważała je za wrodzony talent. Albo się ma ten dar, albo nie, bezcelowe są próby nauczania się tego z książek, mówiła. Nie miała pojęcia o magii, astrologii, kabale i innych sprawach właściwych dla jej profesji, znała zaledwie nazwy znaków zodiaku, ale kiedy posługiwała się czarodziejską kulą lub swoimi znaczonymi kartami, okazywała się swoistym fenomenem. Nie posługiwała się wiedzą tajemną, tylko sztuką fantazji, w większej części składającej się z intuicji i sprytu. Była głęboko przekonana o własnych nadprzyrodzonych zdolnościach, dałaby sobie głowę uciąć za prawdziwość swoich przepowiedni, a jeśli ją zawodziły, zawsze znajdowała racjonalne wytłumaczenie, zazwyczaj była to zła interpretacja jej słów. Za odgadnięcie płci dziecka w łonie matki pobierała dolara z góry. Kazała kobiecie położyć się na ziemi, z głową na północ, kładła jej na pępku monetę i trzymała nad jej brzuchem kawałek ołowiu zawieszzonego na żyłce. Jeśli to zaimprovizowane wahadło kręciło się zgodnie ze wskazówkami zegara, miał się urodzić chłopiec, a jeśli na odwrót, dziewczynka. Stosowała ten sam system przy ciężarnych krowach i kłaczach, trzymając wahadło nad zadem zwierzęcia. Ogłaszała wyrok, zapisywała na kartce i chowała ją jako niepodważalny

dowód. Pewnego razu powrócili do folwarku, w którym byli kilka miesięcy wcześniej. Tu zgłosiła się do niej kobieta w towarzystwie źle usposobionych ciekawskich, żeby odebrać swojego dolara.

- Pani mnie zapewniła, że będę miała syna i niech pani patrzy, co mi wyszło, kolejna dziewczyna. A ja już mam trzy!

- Nie może być, jest pani pewna, że przepowiedziałam chłopca?

- Oczywiście, jak mam nie wiedzieć, co pani mówiła, skoro za to zapłaciłam!

- Źle mnie pani zrozumiała - ucięła Olga.

Wspięła się na ciężarówkę, pogrzebała chwilę w swoim kufrze, wyciągnęła kawałek papieru, na którym było napisane tylko jedno słowo: dziewczynka, i pokazała go zgromadzonym. Tłumek głęboko westchnął z podziwu, nawet matka zmieszana podrapała się w głowę. Olga nie musiała zwracać dolara, a poza tym wzmocniła własną reputację wieszczki; przez całe popołudnie i część nocy obsługiwała kolejkę klientów pragnących poznać swoje przeznaczenie. Wśród amuletów i wywarów, jakie oferowała, najbardziej była poszukiwana „magnetyczna woda”, cudowny płyn sprzedawany w topornych butelkach z zielonego szkła. Tłumaczyła, że jest to zwykła woda, ale obdarzona mocami leczniczymi, gdyż została poddana fluidom psychicznym. Przeprowadzała tę operację w noc pełni księżyca, a jak sprawdzili Judy i Gregory, rzecz polegała po prostu na napełnieniu butelek, zakorkowaniu i nalepieniu etykietek, choć Olga zapewniała, że kiedy to robi, dodaje wodzie pozytywną siłę, i chyba tak było, bo butelki wody sprzedawały się jak świeże bułeczki, a korzystający z niej nigdy się nie skarżyli na rezultaty. Zależnie od zastosowania służyła do różnych rzeczy: pijąc prze-

czyszczało się nerki, po posmarowaniu łagodziła bóle reumatyczne, a wtarta we włosy polepszała zdolność do zebrania myśli, ale nie działała przy dramatach namiętności, np. przy zazdrości, cudzołóstwie, niechcianym staropanieństwie; w tym punkcie wróżka jasno stawiała sprawę i uprzedzała kupujących. Była równie skrupulatna w leczeniu, jak i w sprawach finansowych; utrzymywała, że nie istnieje dobre darmowe lekarstwo, ale nie kazała sobie płacić za pomoc przy porodzie, lubiła pomagać małym istotom w przyjsciu na świat, niczego bowiem nie można porównać do chwili, w której w krwawiącej szczelinie łona matki pojawia się główka rodzącego się dziecka. Proponowała swoje usługi akuszerskie w oddalonych majątkach i w najbiedniejszych miejscinach, szczególnie zaś w dzielnicach czarnych, gdzie rodzenie dzieci w szpitalu było jeszcze nowością. Podczas oczekiwania przy boku przyszłej matki szyla pieluchy i dziergała skarpetki dla dziecka; i tylko przy tych rzadkich okazjach na jej umalowanej twarzy wróżki gościł wyraz słodczy. Zmieniała ton głosu, żeby podnieść na duchu pacjentkę w tych najtrudniejszych chwilach oraz zaśpiewać pierwszą kołysankę dziecku, które sprowadzała na świat. Po kilku dniach, kiedy matka i dziecko poznały się wzajemnie, wracała do koczujących nieopodal Reevesów. Żegnając się, zapisywała w zeszycie imię dziecka, lista była długa, a wszystkich nazywała swoimi chrześniakami. Narodziny przynoszą szczęście, szorstko tłumaczyła fakt, że nie pobiera opłaty za tę usługę. Norę traktowała jak siostrę, a Judy i Gregory'ego jak zrzędząca ciotka, uważała ich zresztą za swoich siostrzeńców. Charlesa Reevesa traktowała jak współnika, z mieszaniną zuchwałości i poczucia humoru, nigdy się nie dotykali, wydawało się, że nawet na siebie nie patrzą, choć działali wspólnie, nie tylko malując obrazy, ale

we wszystkim. Obydwoje dysponowali pieniędzmi i dobyt-kiem rodziny, czytali mapy i decydowali o drodze, chodzili na polowania, ginąc całymi godzinami w lesie. Szanowali się i śmiali z tych samych rzeczy, ona była niezależna, awantur-nicza i o charakterze równie zdecydowanym jak kaznodzieja, odlana z tej samej stali. Z tego właśnie powodu nie robiły na niej wrażenia ani charyzma, ani talent artystyczny tego człowieka. Jedyne, co czasami ją ujarzmiło, to męska siła Charlesa Reevesa, cecha, którą później odziedziczył jego syn, Gregory.

Nora, żona Charlesa Reevesa, była jedną z tych istot, któ-rym przeznaczona jest cisza. Rodzice, rosyjscy Żydzi, za- pewnili jej najlepsze wykształcenie, na jakie mogli sobie pozwolić; została nauczycielką i choć rzuciła swój zawód po wyjściu za mąż, utrzymywała poziom, ucząc się historii, geografii i matematyki, aby przekazać wiedzę własnym dzie- ciom, bo przy tym cygańskim życiu, jakie wiedli, niemożli- wością było posyłanie ich do szkoły. Podczas podróży czytała ezoteryczne czasopisma i książki, ale bez porywania się na analizę tych lektur, ograniczała się do przekazania informa- cji Doktorowi Nauk Boskich, żeby je wykorzystał. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że jej mąż posiada moc psy- chiczną, by widzieć to, co ukryte, i odkryć prawdę tam, gdzie inni znajdują tylko cienie. Gdy się poznali, żadne z nich nie było zbyt młode i ich związek zawsze opierał się na szacunku i dojrzałości. Nora była niezdolna do praktycznego życia, jej umysł błędził w snach z innego świata, bardziej zajmowały ją możliwości ducha niż codzienna krzątanina. Uwielbiała muzykę i najwspanialszymi momentami jej nudnej egzy- stencji było kilka oper, na jakie poszła w młodości, zachowała

w pamięci każdy szczegół tych spektakli, mogła zamknąć oczy i słuchać mistrzowskich głosów, wzruszać się tragicznymi namiętnościami bohaterów i podziwiać kolor i fakturę dekoracji i strojów. Czytała partytury, wyobrażając sobie każdą scenę jako część własnego życia; pierwsze bajki, jakich wysłuchały jej dzieci, były o przeklętych miłościach i nieuniknionych śmierciach ze światowych oper. Umykała w ten wybujały i romantyczny świat, ilekroć przytłaczał ją banał rzeczywistości. Charles Reeves ze swej strony przemierzył wszystkie morza, zarabiając na życie na rozmaite sposoby, miał na koncie więcej przygód, niż mógł opowiedzieć, kilka nieudanych miłości za sobą i kilkoro dzieci posianych to tu, to tam, o których nie wiedział nic. Norę oczarował, gdy ujrzała, jak przemawia do grupy osłupiałych parafian. Podała się już swojemu przeznaczeniu starej panny, tak jak wiele innych kobiet z jej pokolenia, którym los nie postawił na drodze narzeczonego, a nie miały odwagi wyjść na poszukiwanie, ale to nagle zakochanie się w późnym wieku dało jej odwagę do przewyciężenia wrodzonej skromności. Kaznodzieja wynajmował salę w pobliżu szkoły, w której uczyła, i rozdawał właśnie materiały propagandowe do swojej pogadanki, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Jego szlachetna twarz i zdecydowane zachowanie zrobiły na niej wrażenie i z ciekawości poszła go posłuchać, zakładając, że to szarlatan jak tylu innych, którzy przejeżdżali tędy, nie pozostawiając nic więcej po sobie poza wyblakłymi ulotkami rozklejonymi na murach, ale zdziwiła się. Stojąc przed swoim audytorium, za podwieszoną na nici u sufitu pomarańczą, Reeves tłumaczył, jakie jest miejsce człowieka we wszechświecie i w Niezgłębionym Zamyśle. Nie groził karami ani nie głosił wiecznego odkupienia, ograniczał się do praktycznych rozwiązań

dla polepszenia współżycia, odpędzenia smutku i utrzymania zasobów planety. Wszystkie istoty mogą i powinny żyć w harmonii, zapewniał i żeby tego dowieść, otwierał skrzynkę z boa i owijał go sobie na ciele jak szlauch strażacki wśród podziwu słuchaczy, którzy nie widzieli nigdy tak długiego ani tak grubego węża. Tej nocy Charles Reeves ujął w słowa niejasne uczucia, jakie przygniatały Norę, a których nie potrafiła wyrazić. Odkryła nauki Bahaułłaha¹ i przyjęła bahaizm. Te orientalne idee łagodnej tolerancji, harmonii między ludźmi, poszukiwania prawdy i odrzucenia przesądów rozbijały się o jej sztywne, żydowskie wychowanie i prowincjonalną ciasnotę jej środowiska, ale po wysłuchaniu Reevesa wszystko wydało się jej łatwe, nie trzeba było łamać sobie głowy tymi fundamentalnymi sprzecznościami, gdyż ten człowiek zna odpowiedzi i może służyć jej za przewodnika. Olśniona jego krasomówstwem nie zwróciła uwagi na niedostatki treści. Poczula się tak wzruszona, że zdołała przezwyciężyć własną nieśmiałość i zbliżyła się do niego, gdy zobaczyła, że został sam, chcąc zapytać, czy zna bahaizm i w przypadku gdyby go nie znał, przedstawić dzieła Shogi Effendiego.²

¹ Bahaułłah, (Wspaniałość Boga, właśc. Mirza Hussein Ali, 1817-1892) irański reformator religijny, starający się zharmonizować doktrynę Koranu z postępową nauką i cywilizacją Zachodu. Potępił świętą wojnę, poligamię i niewolnictwo. Od jego imienia ruch religijny nazwano bahaizmem. *(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).*

² Shogi Effendi (zm. 1956), wnuk i od 1921 r. następca Bahaułłaha. Za sprawą jego ojca, Abbasa Effendiego, bahaizm dotarł do USA i kilku krajów europejskich. Shogi Effendi ustanowił w bahaizmie demokratyczną formę rządów i powołał w poszczególnych krajach Narodowe Rady Duchownych. Bahaizm ma swoje misje w kilkudziesięciu krajach świata. Najwięcej zwolenników ma w USA i w Iranie.

Doktor Nauk Boskich wiedział, jak podniecające wrażenie wywierają jego kazania na niektórych kobietach i nie wahał się przed wykorzystaniem swej przewagi, lecz nauczycielka

pociągala go w inny sposób, dostrzegł w niej coś przejrzystego, jakąś przezroczystość, która była nie tylko niewinnością, ale też rzeczywistością prawością, świetlistym znamieniem, zimnym i nieskażonym jak lód. Nie tylko zapragnął wziąć ją w ramiona, takiej doznał pokusy, gdy zobaczył jej dziwną trójkątną twarz i skórę pokrytą piegami, lecz również wniknąć w tę krystaliczną materię i rozpalic uśpiony żar jej ducha. Zaproponował, aby ruszyła z nim w podróż, a ona zgodziła się natychmiast, mając wrażenie, że odtąd ktoś będzie prowadził ją za rękę raz na zawsze. Ledwie wyobraziła sobie możliwość oddania mu duszy, a rozpoczął się proces izolacji, który tak bardzo odcisnął się na jej dalszym losie. Wyruszyła, nie żegnając się z nikim, z torbą książek jako jedynym bagażem. Parę miesięcy później, kiedy odkryła, że jest w ciąży, pobrali się. Jeśli pod jej flegmatycznym wyglądem rzeczywiście tlił się jakiś ogień, to wiedział o tym tylko mąż. Gregory długo był pełen tej samej ciekawości, jaka przywiódła kiedyś Charlesa Reevesa do sali wynajętej w biednym miasteczku na środkowym wschodzie, tysiące razy próbował zburzyć mur izolujący jego matkę i dotrzeć do jej uczuć, ale nigdy mu się to nie udało, więc uznał, że w jej wnętrzu nie ma nic, że jest pusta i niezdolna do pełnego kochania jakiegokolwiek istoty ludzkiej, że przejawia co najwyżej nieokreśloną sympatię do ludzkości w ogóle.

Nora przyzwyczaiła się do uzależnienia od męża, przekształcając się w bierne stworzenie, które spełnia swe funkcje odruchowo, a jej dusza wciąż uchylała się od spraw materialnych. Osobowość męża była tak silna, że wymazywała się ze świata, zmieniając się w cień, by zrobić mu miejsce. Uczestniczyła w codziennej egzystencji, ale niewiele wносиła energii do ich małej grupy, interweniowała tylko w sprawach nauki dzieci oraz higieny i zdrowia. Przyjechała do kraju na

statku imigrantów i przez pierwsze lata, dopóki rodzina nie przezwyciężyła złej passy, odżywała się mało i źle. Ten okres biedy zostawił jej na zawsze w pamięci żądło głodu, miała obsesję na punkcie odżywczych posiłków i witamin w tabletkach. Dzieciom opowiadała o pewnych aspektach bahaizmu tym samym tonem, jakiego używała przy nauce czytania lub rozpoznawania gwiazd, bez najmniejszej ochoty przekonania ich, ożywała się jedynie mówiąc o muzyce, tylko wtedy zmieniał się jej głos i rumieniec wypływał na policzki. Później zgodziła się wychowywać dzieci według zasad Kościoła katolickiego, jak było w zwyczaju w hiszpańskojęzycznej dzielnicy, gdzie im przyszło zamieszkać, zrozumiała bowiem, że Judy i Gregory powinni bardziej zbliżyć się do otoczenia. Zbyt wiele musieli znosić różnic kulturowych i rasowych, żeby jeszcze dodatkowo zadręczać ich nieznanymi wierzeniami, takimi jak bahaizm. Z drugiej strony uważała, że religie zasadniczo się nie różnią, interesowały ją tylko wartości moralne, Bóg zawsze znajdował się poza ludzkim zrozumieniem, wystarczy wiedzieć, że niebo i piekło są symbolami związku duszy z Bogiem: zbliżenie do Stwórcy prowadzi ku dobru i radości, z oddalenia wynika zło i cierpienie. Przy całej swej tolerancji religijnej, nie ustępowała ani na krok od zasad przyzwoitości i dobrego wychowania, swoim dzieciom szorowała usta mydłem, jeśli użyły brzydkiego słowa i nie dawała im jeść, jeżeli źle się posłużyły widelcem, ale pozostałymi karami zajmował się ojciec, ona ograniczała się tylko do skarg. Pewnego dnia przyłapała Gregory'ego na kradzieży ołówka w sklepie i powiedziała o tym mężowi, który zmusił dzieciaka do zwrotu i przeprosin, po czym przypalił mu dłoń zapałką, wszystko pod nieubłaganym wzrokiem Nory. Gregory przez tydzień chodził z żywą raną,

ale szybko zapomniał o przyczynie tej kary i o tym, kto ją spowodował, zachował jedynie w pamięci gniew na matkę. Wiele lat później, kiedy pogodził się z jej wizerunkiem, mógł w skrytości ducha podziękować jej za trzy podstawowe wartości, które mu przekazała: miłość do muzyki, tolerancję i poczucie humoru.

Z nieba leje się nieubłagany żar, krajobraz bez kropli wody, nie padało od zarania dziejów, a świat wydaje się przysypiany czerwonawym talkiem. Niemiłosierny blask rozmywa kontury, horyzont ginie w pyle. To jedno z tych miasteczek bez nazwy, podobne do tylu innych; jedna długa ulica, bar, jedyna stacja benzynowa, jeden posterunek policji, te same nędzne sklepy i drewniane domy, szkoła, na której dachu łopocze spłowieła od słońca flaga. Kurz, wszędzie kurz. Moi rodzice poszli do sklepu zrobić zakupy na cały tydzień, zostawiając mnie i Judy pod opieką Olgi. Nikt nie idzie ulicą, rolety są opuszczone, a ludzie czekają, aż się ochłodzi, żeby wrócić do życia. Moja siostra i Olga przysypiają na ławce, na ganku przed sklepem, osowiałe od gorąca, osaczone przez muchy, ale już się nie bronią i pozwalają, żeby muchy łąziły im po twarzy. W powietrzu snuje się zaskakujący aromat palonego cukru. Wielkie zielone i niebieskie jaszczurki siedzą nieruchomo na słońcu, ale kiedy próbuję je złapać, uciekają, chowając się pod domami. Jestem boso i czuję gorącą ziemię pod stopami. Bawię się z Oliverem, rzucam mu podniszczoną szmacianą piłkę, przynosi mi ją, znowu ją rzucam i w ten sposób oddalam się, na rogu skręcam i znajduję się na wąskiej ulicy, w części zacienionej wiejskimi okapami domów. Widzę dwóch mężczyzn, jeden jest krępy, o mocno zaróżowionej skórze, drugi ma żółte włosy; odziani są w

robocze kombinezony, pocą się, ubrania i włosy mają mokre. Gruby ściska Murzyneczkę, mającą nie więcej niż dziesięć, dwanaście lat, jedną ręką zasania jej usta, a drugą obezwładnia, ona trochę wierzga, po czym nieruchomieje, ma zaczerwienione oczy od prób zaczerpnięcia powietrza poprzez duszącą ją rękę. Ten drugi odwraca się do mnie tyłem i mocuje ze spodniami. Obydwaj są spięci, skupieni, mocno posapują. Jest cicho, słyszę tylko te nieznanne mi, ciężkie oddechy i bicie własnego serca. Oliver zniknął, domy też, zostają tylko oni, jakby zawieszeni w kurzu, ruszający się w zwolnionym tempie, i ja - sparaliżowany. Ten o płowych włosach pluje sobie dwa razy w dłoń, zbliża się, rozdziela nogi dziewczynki, dwa bezwładnie zwisające cienkie i ciemne patyczki, teraz nie mogę jej zobaczyć, zgniecionej między roslymi ciałami gwałcicieli. Chcę uciec, jestem przerażony, ale pragnę też widzieć, wiem, że dzieje się coś zasadniczego i zakazanego, jestem uczestnikiem gwałtownej tajemnicy. Nie mogę oddychać, próbuję zawołać ojca, otwieram usta i nie mogę wydać głosu, łykam płomień, krzyk wypełnia mnie i dusi. Powinienem coś zrobić, wszystko jest w moich rękach, słuszną decyzją ocali nas oboje, czarną dziewczynkę i mnie, umierającego, ale nic mi nie przychodzi do głowy i nie mogę też wykonać żadnego ruchu, skamieniałem. W tej samej chwili słyszę w oddali swoje imię, Greg, Greg, i na ulicy pojawia się Olga. Przez długą chwilę, minutę, która trwa wieczność, nic się nie dzieje, wszystko zamarło. Nagle powietrze wibruje od długiego krzyku, chrapliwego i straszniego wrzasku Olgi, zaraz potem szczekania Olivera i mysiego pisku mojej siostry, i w końcu mogę zaczerpnąć powietrza i zaczynam też krzyżeć, zrozpaczony. Zaskoczeni mężczyźni puszczają dziewczynkę, która opada na ziemię i zaczyna uciekać

jak przerażony królik. Obserwują nas, ten o żółtych włosach trzyma w dłoni coś sinego, coś, co nie wygląda jak część jego ciała, i próbuje włożyć to do spodni, w końcu odwracają się i oddalają, wcale nie są zmieszani, śmieją się i robią obsceniczne gesty, ty też chcesz trochę, głupia kurwo, krzyczą do Olgi, chodź, to ci wsadzimy. Na ulicy zostają majtki dziewczynki. Olga łapie Judy i mnie za ręce, woła psa i szybko odchodzimy, nie, biegniemy do ciężarówki. Miasteczko obudziło się i ludzie patrzą na nas.

Doktor Nauk Boskich był zdany na głoszenie swoich idei wśród niewykształconych chłopów i biednych robotników, którzy nie zawsze byli zdolni iść tropem jego zawyżonych myśli, a jednak nie brakowało mu słuchaczy. Niewielu przychodziło na jego kazania z powodu wiary, większość ze zwykłej ciekawości, w tamtych stronach mało było rozrywek, a przyjazd Niezłębionego Zamyśłu nie pozostawał niezauważony. Po założeniu obozowiska wychodził na poszukiwanie lokalu. Zwykle zdobywał go za darmo, jeśli mógł liczyć na jakichś znajomych, w przeciwnym razie musiał wynajmować salę lub przystosowywać magazyn albo spichlerz. Ponieważ nie miał pieniędzy, dawał w zastaw sznur pereł, z diamentowym zapięciem, Nory, jedyne co odziedziczyła po matce, zobowiązując się do zapłaty po zakończeniu wystąpień. Żona krochmaliła mu w tym czasie gors i kołnierzyk koszuli, prasowała jego wyświecony od częstego używania czarny garnitur, czyściła buty, szczotkowała cylinder i przygotowywała książki, podczas gdy Olga i dzieci chodziły od domu do domu, rozdając drukowane ulotki zapraszające na „*Kurs, Który Odmieni Państwa Życie, Charles Reeves, Doktor Nauk Boskich, Pomoże Osiągnąć Szczęście i Powodzenie*”.

Olga kąpała dzieci, ubierała je w niedzielne ubrania, a Nora zakładała niebieską suknię z koronkowym kołnierzem, surową i niemodną, ale jeszcze przyzwoitą. Wojna zmieniła wygląd kobiet, nosiły wąskie spódnice do kolan, marynarki z naramiennikami, buty na koturnach, wypracowane koki, kapelusze przystrojone piórami i woalkami. W swojej mni-siej sukience Nora podobna była do schludnej staruszki z początku wieku. Olga też nie szła za modą, ale w tym przypadku nikt nie mógł oskarżyć jej o świętoszkowatość, wyglądała raczej jak papuga. Poza wszystkim w tych miasteczkach nie znano tego typu wytworności, życie wypełniała praca od świtu do nocy, przyjemności ograniczały się do kilku łyków alkoholu, wciąż nielegalnego w niektórych stanach, kina, rodeo, tańców od czasu do czasu i śledzenia w wiadomościach radiowych informacji wojennych oraz notowań baseballu, tak więc każda nowość przyciągała ciekawskich. Charles Reeves musiał konkurować z *Revivalsami*, którzy głosili nowe przebudzenie chrześcijaństwa, powrót do podstawowych zasad dwunastu apostołów i dosłowności *Biblii*. Ewangelści przemierzali kraj z namiotami, orkiestrami, fajerwerkami, ogromnymi podświetlanymi krzyżami, chórami braci i sióstr odzianymi w anielskie szaty i głośnikami, wychwalającymi na cztery strony świata imię Nazareńczyka. Nawoływali grzeszników do skruchy, bo Jezus już jest w drodze z batogiem, żeby przepędzić faryzeuszy ze świątyni, i wzywali do zwalczania doktryn Szatana, jak na przykład teorii ewolucji, złowieszczonego wynalazku Darwina. To bluźnierstwo! Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a nie małp! Kup sobie bilet do Jezusa! Alleluja, alleluja!, wyły głośniki. W namiotach tłoczyli się wierni w poszukiwaniu odkupienia i zabawy, wszyscy śpiewali, wielu tańczyło, a od

czasu do czasu ktoś wił się w ekstatycznych konwulsjach, podczas gdy wiadra, do których zbierano datki wypełniały się po brzegi pieniędzmi tych wszystkich, którzy nabywali bilet do nieba. Charles Reeves nie oferował nic tak górnolotnego, ale jego charyzma, dar przekonywania i żarliwość jego kazań były ogromne. Nie można go było zlekceważyć. Czasami ktoś podchodził do sceny, błagając o uwolnienie od bólu lub nieznośnych wyrzutów sumienia, i wówczas Reeves, bez żadnego pozowania na świętego, z prostotą, ale także z wielką powagą, umieszczał dłonie nad głową penitenta i skupiał się, aby mu ulżyć. Wielu wierzyło, że widzi iskry wokół jego dłoni, a ci, co skorzystali z tej pomocy, zapewniali, że poczuli w mózgu elektryczny wstrząs. Większości wystarczyło posłuchać go raz, żeby połknąć przynętę, kupić książki i zostać adeptem.

- Ideą Stworzenia kieruje Niezglębiony Zamyśl. Nic się nie dzieje przypadkiem. My, istoty ludzkie, jesteśmy jego zasadniczą częścią, znajdujemy się na drabinie ewolucji pomiędzy Nauczycielami a resztą istnień, jesteśmy pośrednikami. Powinniśmy poznać nasze miejsce w kosmosie - zaczynał Charles Reeves, elektryzując słuchaczy swoim głębokim głosem, cały w czerni, uroczysty, stojąc za pomarańczą uwieszoną u sufitu i z boa leżącym u stóp niczym gruby zwój marynarskiego sznura. Zwierzę było całkowicie bezwolne i gdy nie było bezpośredniego zagrożenia, zawsze leżało nieruchomo. - Słuchajcie bardzo uważnie, żebyście zrozumieli założenia Niezglębnionego Zamyślu, jeśli nie rozumiecie, to nie szkodzi, wystarczy, żebyście wypełniali moje przykazania. Cały wszechświat należy do Najwyższej Inteligencji, która go stworzyła i jest tak ogromna i doskonała, że istota ludzka nigdy nie będzie mogła jej poznać. Podlegają jej Logi, wysłannicy światła, którzy zanoszą cząsteczki Najwyższej Inteligencji do wszystkich galaktyk. Logi porozumiewają

się z Nauczycielami - tymi, którzy przesyłają ludziom wiadomości i zasady działania Niezłębionego Zamysłu. Istota ludzka składa się z Ciała Fizycznego, Ciała Mentalnego i Duszy. Najważniejsza jest Dusza, która nie należy do atmosfery ziemskiej, tylko działa z daleka, nie znajduje się w nas, ale rządzi naszym życiem.

Przy tym punkcie, kiedy słuchacze, trochę oszołomieni jego retoryką, zaczęli wymieniać bojaźliwe lub drwiące spojrzenia, Reeves elektryzował na nowo audytorium, wskazując na pomarańczę, aby wytłumaczyć, że unosząca się w eterze Dusza wygląda jak mglista ektoplazma, którą mogą zobaczyć tylko nieliczni biegli w okultyzmie. Żeby to udowodnić, zapraszał kilka osób z publiczności, by przyjrzały się dokładnie pomarańczy i opisały jej wygląd. Niezmiennie opisywano żółtą kulę, to znaczy zwykłą pomarańczę, on natomiast widział Duszę. Natychmiast przedstawiał Logi, którzy jako ciała lotne, a w związku z tym niewidzialne, znajdują się na sali i tłumaczył, że to oni utrzymują w ruchu zawiłą maszynę wszechświata. W każdej chwili i miejscu Logi wybierają Nauczycieli, żeby móc porozumiewać się z ludźmi i rozpowszechniać zamiary Najwyższej Inteligencji. On, Charles Reeves, Doktor Nauk Boskich, jest jednym z nich. Jego misja polega na wskazaniu zwykłym śmiertelnikom wzorców postępowania, a gdy już wypełni tę misję, znajdzie się wśród uprzywilejowanych szeregów Logi. Mówił, że każda czynność i myśl ludzka jest ważna, jako że wpływa na doskonałą równowagę wszechświata, w związku z czym każdy człowiek jest odpowiedzialny za dosłowne wypełnianie przykazań Niezłębionego Zamysłu. Potem wymieniał założenia podstawowej wiedzy, dzięki którym unika się największych błędów, jakie mogą zrujnować projekt Najwyższej Inteligencji.

Ci, co nie zrozumieli wszystkiego po jednym wykładzie, mogli uczestniczyć w sześciu dodatkowych lekcjach, gdzie uczyli się reguł dobrego życia, łącznie z dietą, ćwiczeń fizycznych i psychicznych, sterowania snami i różnych sposobów ładowania energetycznych stymulatorów Ciała Fizycznego oraz Ciała Mentalnego, zapewniając sobie w ten sposób godny los i spokój Duszy po śmierci.

Charles Reeves wyprzedził swoją epokę. Dwadzieścia lat później różni myśliciele rozpowszechnią niektóre z jego idei wzdłuż i wszerz Kalifornii, ostatnich rubieży, do których będą się garnęli awanturnicy, desperaci, nonkonformiści, ścigani przez prawo, nieznani geniusze, zatwardziali grzesznicy i zupełni wariaci, i gdzie rozmnożą się wszelkie możliwe pomysły na uniknięcie udręk życia. Ale nie można winić Charlesa Reevesa za to, że był inicjatorem tych dziwacznych ruchów. Jest coś na tej ziemi, co zakłóca spokój ducha. A może też ci, którym udało się zaludnić te ziemie, z takim pośpiechem poszukiwali bogactwa czy łatwego zapomnienia, że pogubili swe dusze i dotąd nie mogą ich odnaleźć. Niezliczona liczba szarlatanów wzbogaciła się, oferując magiczne przepisy na wypełnienie tej bolesnej pustki, jaką zostawia nieobecny duch. Kiedy Reeves wygłaszał swoje kazania, wielu innych odkrywało sposób na bogacenie się, wyrzekając się małą konkretnych dobrodziejstw dla ciała i duszy, ale on nie należał do takich, surowość i prawość były jego zasadami; tak zdobywał szacunek swoich adeptów. Tylko Oldze przemknęło przez myśl wykorzystanie Logi oraz Nauczycieli do czegoś bardziej dochodowego, być może zakupienia lokalu i stworzenia własnego Kościoła, ale ani Charles, ani Nora nigdy nie przystali na jej zachłanny pomysł, dla nich bowiem

głoszenie własnej prawdy było tylko ciężkim i nieuniknionym obowiązkiem moralnym, w żadnym zaś wypadku obwoźnym handlem.

Nora Reeves mogła dokładnie określić dzień, w którym straciła wiarę w ludzką dobroć i ogarnęły ją ciche wątpliwości co do sensu istnienia. Była osobą zdolną zapamiętać nie nieznaczące daty, więc nie powinno dziwić, że wryły jej się w pamięć obie bomby, których apokaliptyczne skutki położyły kres wojnie z Japonią. Przez następne lata, gdy cały kraj świętował rocznicę, ona przywdziewała żałobę. Wyczerpało się jej zainteresowanie czymkolwiek, nawet najbliższymi. Co prawda instynkt macierzyński nigdy nie był jej główną cechą, ale od tamtej chwili jakby się bezpowrotnie zaczęła oddalać od swoich dwojga dzieci. Również po cichu i bezszelstnie odsuwała się od męża, czyniąc to na tyle dyskretnie, że nic jej nie mógł zarzucić. Trwała w tajemniczym odosobnieniu tak, by pozostać nietkniętą przez rzeczywistość aż do końca swoich dni. Czterdzieści parę lat później zmarła wierząc, że jest uralską księżniczką, która nigdy nie uczestniczyła w brudach życia. Tamtego dnia świętowano ostateczną klęskę skośnookiego i żółtoskórego wroga, podobnie jak kilka miesięcy wcześniej zwycięstwo nad Niemcami. Był to koniec długiego konfliktu: Japończycy zostali pobici najokrutniejszą bronią w historii, która w ciągu kilku minut uśmierciła sto trzydzieści tysięcy istot ludzkich, a drugie tyle skazała na powolną agonię. Wiadomość o tym, co się stało, spowodowała, że świat zamilkł z przerażenia, ale zwycięzcy zdusili wizje zwęglonych ciał i obróconych w popiół miast powiewającymi sztandarami, defiladami i muzyką orkiestr wojskowych, zapowiadającymi rychły powrót armii.

- Pamiętasz tego czarnego żołnierza, którego zabraliśmy po drodze? Ciekawe, czy jeszcze żyje? Czy on też wróci do domu? - zapytał Gregory matkę przed pójściem na pokaz sztucznych ogni.

Nora nie odpowiedziała. Byli w mieście przejazdem i podczas gdy jej rodzina tańczyła w tłumie, ona została w szoferce ciężarówki. Wiadomości z Europy, jakie napływały w ciągu ostatnich miesięcy, nadszarpnęły jej system nerwowy, a atomowy kataklizm przepenił ją poczuciem niepewności. W radiu nie mówiono o niczym innym, w gazetach i kinie pokazywano dantejskie sceny z obozów koncentracyjnych. Krok po kroku śledziła drobiazgowy opis popełnionych okrucieństw i nagromadzonego cierpienia, myśląc o tym, że w Europie pociągi nie zatrzymywały się, wioząc nieubłagane swój ładunek do pieców krematoryjnych, a równocześnie, w imię przeciwnej ideologii miliony ludzi spłonęły w Japonii. Nie powinnam była nigdy sprowadzać dzieci na ten świat, szeptała przerażona. Kiedy Charles Reeves przyszedł uszczęśliwiony nowiną o bombie, ona uznała radość z powodu takiej masakry za potworną, wydało jej się, że mąż, tak jak inni, stracił rozum.

- Nic już nie będzie takie jak przedtem, Charles. Ludzkość popełniła coś gorszego niż grzech pierworodny. To koniec świata - powiedziała z rozpaczą, nie zapominając o swym długoletnim dobrym wychowaniu.

- Nie opowiadaj głupstw. Powinniśmy cieszyć się z rozwoju nauki. Lepiej, że bomby znajdują się w naszych rękach, a nie wroga. Teraz już nikt się nie odważy z nami walczyć.

- Użyją ich znowu i zniszczą życie na ziemi!

- Wojna się skończyła i uniknęło się większego zła.

Więcej osób by zginęło, gdybyśmy nie zrzucili tych bomb.

- Ale zginęły setki tysięcy, Charles.

- Oni się nie liczą, wszyscy byli Japończykami - roześmiał się jej mąż.

Po raz pierwszy Nora zwątpiła w prawość jego duszy i zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście jest, jak twierdzi, Nauczycielem. Rodzina wróciła bardzo późną nocą. Ojciec miósł w ramionach śpiącego Gregory'ego, a Judy trzymała balonik pomalowany w pasy i gwiazdy.

- Wreszcie skończyła się ta wojna. Teraz będziemy mieli masło, mięso i benzynę - oznajmiła rozpromieniona Olga, potrząsając strzępkami papierowej flagi.

Choć minął prawie rok między depresją jego matki a śmiercią ojca, Gregory zapamiętał oba wydarzenia jako jedno i w jego pamięci obydwa fakty zostały powiązane na zawsze, oznaczały bowiem początek zamętu, który zakończył szczęśliwy okres jego dzieciństwa. Wkrótce po tym, gdy zachowanie Nory odzyskało dawną równowagę i nie powracała już do obozów koncentracyjnych i bomb, Charles Reeves zachorował. Od samego początku objawy były alarmujące, ale liczył na swoje siły i nie chciał pogodzić się ze zdradą własnego ciała. Czuł się młodo, nadal potrafił zmienić w kilka chwil koło ciężarówkę lub przez kilka godzin stać na drabinie, malując ścianę i nie czując drętwienia pleców. Kiedy usta wypełniły mu się krwią, pomyślał, że to prawdopodobnie rybia ość wbiła się w krtań, a gdy zdarzyło się to po raz drugi, nikomu nic nie mówiąc, kupił buteleczkę żelu aluminiowego i pił, ilekroć czuł płomień w żołądku. W niedługim czasie przestał jeść, stracił na wadze i trzymał się tylko dzięki chlebowi maczanemu w mleku, wodnistym zupom i papkom dla dzieci. Zamgłił mu się wzrok, nie widział

wyraźnie drogi i Olga musiała przejąć prowadzenie samochodu. Odgadywała, kiedy chory nie może już znieść trudów podróży, i wtedy zatrzymywali się, żeby rozbić obóz. Godziny płynęły powoli, dzieci zabawiały się, myszkujeć po okolicy, ponieważ matka schowała zeszyty i już ich nie uczyła. Norze nigdy nie przyszło do głowy, że Charles Reeves może być śmiertelny, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jego energia, która była jednocześnie jej energią, gaśnie. Przez wiele lat mąż nadzorował każdy aspekt życia jej i dzieci, szczególnie zasady Niezłębionego Zamyśłu, dzięki którym rządził według uznania, nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Przy jego boku właściwie nie byli wolni, ale również nie osaczały ich obawy ani niepokoje. Nie ma powodu do obaw, mówiła sobie, w rzeczywistości Charles nigdy nie miał zbyt dużo włosów, a te głębokie zmarszczki nie są świeże, już dawno temu wyżłobiło je słońce, schudł, to prawda, ale w kilka dni przytyje, gdy tylko zacznie jeść jak dawniej, to na pewno jakaś niestrawność, prawda, że dzisiaj wygląda o wiele lepiej?, pytała sama siebie. Olga przyglądała się bez komentarzy. Nie próbowała leczyć Reevesa swoimi miksturami i kataplazmami, ograniczała się do okładania mu twarzy wilgotnymi chustami, żeby zmniejszyć gorączkę. W miarę jak stan chorego się pogarszał, rodzinę ogarnął strach, po raz pierwszy poczuli się zagrożeni i dostrzegli rozmiar swojej nędzy i własną słabość. Nora skuliła się jak osaczone zwierzę; niezdolna szukać jakiegokolwiek rozwiązania, znalazła pocieszenie w bahaizmie i wszystkie problemy pozostawiła Oldze, łącznie z opieką nad mężem. Sama nie miała odwagi dotknąć tego nieznanego, cierpiącego starca, nie mogła w nim rozpoznać mężczyzny, który uwiódł ją swoją witalną siłą. Zniknęły podziw i oddanie, podstawy jej miłości, a ponieważ nie potrafiła zbudować nowych, szacunek zmienił

się w odrazę. Gdy tylko wymyśliła odpowiednią wymówkę, przeniosła się do namiotu dzieci, a Olga poszła sypiać przy Charlesie Reevesie, żeby czuwać nad nim w nocy, jak powiedziała. Gregory i Judy przywykli już do widoku prawie nagiej Olgi w łóżku ich ojca, Nora zbywała problem milczeniem, gotowa nieustannie udawać, że nic się nie zmieniło.

Na jakiś czas zawieszono głoszenie Niezglębnego Zamyślu, ponieważ Doktor Nauk Boskich nie mógł już dawać innym nadziei, skoro sam zaczynał tracić swoją i pytał siebie w duchu, czy dusza rzeczywiście jest wzniosła, czy też do rozdarcia jej na strzępy wystarcza ból brzucha. Nie mógł również malować. Podróżowano dalej bez określonego celu, w wielkim niedostatku, jak gdyby szukając czegoś, co zawsze znajdowało się gdzieś indziej. Olga w naturalny sposób zajęła miejsce ojca, a reszta rodziny nie zastanawiała się nawet, czy jest to lepsze rozwiązanie. Ona rozstrzygała o kierunku jazdy, prowadziła ciężarówkę, zarzucała sobie na plecy najcięższe toboły; reperowała psujący się silnik, polowała na zające i ptaki. Z taką samą mocą rozkazywała Norze i dawała klapsy dzieciom, kiedy protestowały. Unikała dużych miast ze względu na bezlitosną konkurencję oraz gorliwość policji, chyba że mogła zatrzymać się na terenach przemysłowych lub w pobliżu nabrzeża, gdzie zawsze znajdowała klientelę. Zostawiała Reevesów w namiotach, zabierała magiczne tobołki i wyruszała sprzedawać swoje dzieła. W czasie podróży nosiła szorstkie, robotnicze spodnie, koszulę i czapkę, ale do wykonywania zawodu wróżki wyjmowała ze swego kufra krzykliwą, kwiecistą spódnicę, wydekoltowaną bluzkę, chrześzczące korale i żółte buty. Malowała się niedokładnie, nie zwracając uwagi, jak nakłada puder, róż i szminkę: policzki klauna, czerwone usta, niebieskie powieki; efekt tego

makijażu, stroju i płomienia jej włosów napawał trwogą i niewielu ośmielało się jej odmówić, choćby ze strachu, że w odwecie zamieni ich w słupy soli. Potencjalni klienci po otwarciu drzwi stawali oko w oko z tym groteskowym zjawiskiem ze szklaną kulą w ręku i zamierali w osłupieniu, co ona skrętnie wykorzystywała i wchodziła do domu. Potrafiła być sympatyczna, jeśli tego chciała, i często wracała do obozu z kawałkiem ciasta lub mięsa, prezentami od klientów, usatysfakcjonowanych nie tylko przyszłością obiecaną w magicznych kartach, ale przede wszystkim iskrą dobrego humoru, która rozbłyskiwała w nieustannej nudzie ich życia. W tym okresie niepewności wróżka ostatecznie oszlifowała swój talent; zmuszona przez okoliczności, rozwinęła nieznaną dotychczas siłę i okrzepla, stając się tą niesamowitą kobietą, która miała wyrzucić taki wpływ na młodość Gregory'ego. Po wejściu do czyjegoś domu wystarczało jej powęszyć przez kilka sekund, żeby nasycić się nastrojem, wyczuć niewidzialne obecności, dostrzec ślady nieszczęścia, odgadnąć sny, usłyszeć szepty zmarłych i zrozumieć potrzeby żyjących. Szybko się nauczyła, że historie powtarzają się z niewielkimi tylko zmianami, ludzie są bardzo do siebie podobni i wszyscy jednakowo odczuwają miłość, nienawiść, zazdrość, cierpienie, radość i strach. Czarni, biali, żółci, wszyscy w środku są tacy sami, jak mówiła Nora Reeves, szklana kula nie rozróżnia kolorów skóry, tylko nieszczęścia. Wszyscy chcą słuchać o tym samym, o mającym nadejść szczęściu, nie żeby wierzyli, że to naprawdę możliwe, ale pocieszała ich sama możliwość wyobrażenia sobie, że to nastąpi. Olga odkryła również, że są tylko dwa rodzaje chorób: śmiertelne i takie, co przechodzą same w odpowiednim czasie. Sprzedając zdrowie tym, którzy mogli wyzdrowieć, czerpała pełną garścią ze swoich słoików z cukrowymi pigułkami

farbowanymi na różne kolory, z torby z ziołami i ze skrzynki z amuletami, przekonana, że jeśli tylko pacjent zaangażuje swój umysł w kurację, najprawdopodobniej wyzdrowieje. Ludzie bardziej ufali jej niż oziębłym chirurgom w szpitalach. Z poważnych zabiegów, jakie wykonywała, prawie wszystkie były nielegalne: aborcje, wyrywanie zębów, szycie ran; ponieważ miała dobre oko i rękę, nigdy nie popadła w tarapaty. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby wyczuć oznaki nadchodzącej śmierci i wtedy nie usiłowała leczyć, z jednej strony miała skrupuły, z drugiej nie chciała popsuć sobie własnej reputacji uzdrowicielki. Jej doświadczenie w kwestiach zdrowotnych niewiele pomogło Charlesowi Reevesowi; znajdował się zbyt blisko i jeżeli nawet dostrzegła złowieszcze symptomy, to nie chciała ich przyjąć do wiadomości.

Ze strachu lub z poczucia dumy kaznodzieja nie zgodził się na wizytę u lekarza, gotów zwalczyć dolegliwości własnym uporem, ale pewnego dnia zemdlął i od tamtej chwili te niewielkie resztki władzy, jakie mu jeszcze pozostały, przeszły całkowicie w ręce Olgi. Znajdowali się we wschodniej części Los Angeles, gdzie było duże skupisko Latynosów, i Olga postanowiła zaprowadzić go do szpitala. W owych czasach atmosfera miasta była już przesycona pewnym meksykańskim kolorytem, pomimo typowo amerykańskiej obsesji życia w doskonałym zdrowiu, urodzie i szczęściu. Setki tysięcy imigrantów wpisywało się w ten klimat swoją pogardą dla bólu i śmierci, swoją biedą, fatalizmem i nieufnością, swymi gwałtownymi namiętnościami jak również muzyką, ostrą kuchnią i odważnymi kolorami. Meksykanie byli zepchnięci do getta, wszędzie jednak czuło się ich

wpływ; nie należeli do tego państwa i na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie chcą, żeby ich dzieci się zintegrowały, choć w głębi duszy bardzo tego pragnęli. Słabo uczyli się angielskiego i przekształcali go w *Spánghlish*¹ o tak silnych hiszpańskich korzeniach, że z czasem został uznany za język meksykańskiej mniejszości.

¹Mieszanka hiszpańskiego i angielskiego.

Przywiązani do katolickiej tradycji i kultu dusz, do zaśniedziałego patriotyzmu i do *machismo*, nie asymilowali się i przez jedno lub dwa pokolenia wykonywali jedynie najprostsze prace. Amerykanie uważali ich za ludzi przewrotnych, nieprzewidywalnych, niebezpiecznych; wielu zadawało pytanie, jak to jest, do diabła, że nie można odstawić ich do granicy, do czego służy, do cholery, ta przeklęta policja; ale zatrudniali ich jako tanią siłę roboczą, choć zawsze pod nadzorem. Imigranci grali swoją rolę ludzi z marginesu z pewną dozą godności: poddać się, tak, ale złamać nigdy, bracie. Olga kilka razy była w tej dzielnicy i czuła się tam jak w swoim żywiole, paplała po hiszpańsku bez zahamowań i prawie się nie zauważało, że połowa jej słownictwa składa się z wymyślonych słów. Pomyślała, że tam mogłaby zarabiać na życie swoją sztuką.

Podjechali ciężarówką aż pod drzwi szpitala i podczas gdy Nora i Olga pomagały choremu wsiąść, przerażone dzieci zetknęły się z ciekawskimi spojrzeniami ludzi, którzy się wychylili, by popatrzeć na ten dziwaczny wóz z karoserią wymalowaną w ezoteryczne symbole we wszystkich kolorach tęczy.

- Co to jest? - ktoś zapytał.

- Niezłębiony Zamysł, nie widać? - odparła Judy, wskazując na napis umieszczony na górnej części szyby. Nikt nie zapytał o nic więcej.

Charlesa Reevesa zatrzymano w szpitalu, gdzie kilka dni później usunięto mu połowę żołądka i pozszywano pozostałe szpary. Tymczasem Nora i Olga z dziećmi, psem, węzłem boa i bagażem zatrzymały się na czas jakiś na podwórzu Pedra Moralesa, wspaniałomyślnego Meksykanina, który kilka lat wcześniej ukończył pełny kurs doktryny Charlesa Reevesa i zawiesił na ścianie swego domu dyplom promujący go jako duszę wyższą. Mężczyzna był kanciasty jak cegła, o wyraźnych metyskich rysach i dumnej twarzy, która stawała się dobroduszną, gdy był w dobrym humorze. Jego uśmiech rozjaśniały wtedy złote zęby, które kazał sobie założyć dla elegancji po wyrwaniu kilku zdrowych. Nie pozwolę, żeby rodzina mego mistrza znalazła się w opałach - kobiety nie mogą zostawać bez opieki, w okolicy jest wielu rzeźmieszków, powiedział - ale w jego domu nie było miejsca dla tylu gości, bo miał pod własnym dachem sześcioro dzieci, niezrównoważoną teściową i kilku krewniaków. Pomógł rozstawić namioty i zainstalować kuchenkę naftową Reevesów na swoim podwórzu; umiał udzielić pomocy, nie urażając ich poczucia godności. Do Nory zwracał się z wielkim szacunkiem *proszę pani*, ale Olgę, którą uważał za bliższą sobie, nazywał tylko *panienką*. Jego żona, Inmaculada Morales, nie poddała się wpływowi zagranicznych obyczajów i w odróżnieniu od wielu rodaczek na tej obcej ziemi, które chodziły umalowane, chwiejąc się na szpilkach, z lokami przypalonymi trwałą ondulacją i wodą utlenioną, pozostała wierna swojej indiańskiej tradycji. Była mała, szczupła i silna, o sympatycznej twarzy bez zmarszczek, zaplatała włosy w warkocz, który jej opadał na plecy poniżej bioder, na co dzień nosiła proste fartuchy i espadryle, i tylko w święta stroiła się do kościoła w czarną suknię i złote kolczyki.

Inmaculada była filarem domu i duszą rodziny Moralesów. Kiedy podwórze zapełniło się gośćmi, nawet się nie zaniepokoiła, po prostu zwiększyła porcje jedzenia, dodając więcej wody do fasoli, jak mówiła. Każdego wieczoru zapraszała Reevesów na kolację, chodźcie, kumo, przyjdźcie z dziećmi spróbować tych *burritos*¹, żeby się nie zmarnowało *chile*², bo jest go dużo, dzięki Bogu, zapraszała nieśmiało. Goście, trochę zawstydzeni, siadali do gościnnego stołu Moralesów.

Potrawa meksykańska. Farsz mięsny zawinięty w pszenny placek.

Ostra papryka. W języku polskim przyjęła się forma chili.

Kilka miesięcy zajęło Judy i Gregory'emu zrozumienie reguł osiadłego życia. Otaczało ich rojne plemię paplających byle jaką angielszczyzną śniadych maluchów, które szybko ich nauczyły własnego języka, rozpoczynając od najbardziej dźwięcznego i pożytecznego słowa, *chingada*, pierdolony. Lepiej było nie chwalić się nim przed Inmaculada. Dzięki Moralesom nauczyli się poruszać w labiryncie ulic, targować, odróżniać jednym spojrzeniem nieprzyjaznych chłopaków, chować się i uciekać. Tylko z nimi chodzili bawić się na cmentarz i obserwować z daleka prostytutki, a z bliska ofiary groźnych wypadków. Juan José, mający tyle samo lat co Gregory, niezawodnie potrafił wywęszyć nieszczęście, zawsze wiedział, gdzie wydarzy się kraksa samochodowa, wypadek na przejściu dla pieszych, walka na noże i śmierć. To on podjął się ustalić w kilka minut dokładne miejsce, gdzie pewien mąż, którego żona opuściła dla wędrownego sprzedawcy, popełnił samobójstwo, rzucając się pod pociąg, nie mógł bowiem znieść, że nazywają go rogakzem. Ktoś widział go, jak spokojnie pali i stoi na torach, i krzyknął do niego, żeby się odsunął, bo jedzie pociąg, ale on się nie ruszył. Plotka o zdradzie dotarła do uszu Juana José, zanim jeszcze

zdarzył się wypadek. Dzieci Moralesów i Reevesów pierwsze zjawily się na miejscu tragedii i przewycięzwszy początkowe przerażenie zaczęły pomagać zbierać szczątki, dopóki policja ich nie przegoniła. Juan José zatrzymał sobie na pamiątkę palec, ale gdy zaczął wszędzie widzieć zmarłego, zrozumiał, że powinien pozbyć się swojego trofeum. Niestety, było już za późno na zwrot palca zmarłemu, ponieważ szczątki samobójcy pochowano wiele dni wcześniej.

Chłopak, nękany przez pokutującą duszę, nie wiedział, jak się pozbyć palca, wyrzucenie go do śmieci lub podanie wężowi boa Reevesów nie wydawało mu się godnym sposobem naprawienia zła. Gregory po cichu skonsultował się z Olgą i to ona podsunęła doskonale rozwiązanie: należy dyskretnie zostawić palec na kościelnym ołtarzu, miejscu poświęconym, więc żadna dusza przy zdrowych zmysłach nie będzie czuła się urażona. Tam rzecz odnalazł Ojciec Larraiguibel, którego wszyscy nazywali po prostu Ojcem, ze względu na trudną wymowę jego nazwiska, baskijski ksiądz o udreżonej duszy, ale wielkim zmysłem praktycznym, który niewiele myśląc, wrzucił palec do ustępu. Dość miał problemów ze swoimi licznymi parafianami, żeby dodatkowo tracić czas na ustalanie pochodzenia pojedynczego palca.

Rodzeństwo Reevesów po raz pierwszy w życiu poszło do szkoły. Byli jedynymi niebieskookimi blondynami wśród rzeszy latynoskich imigrantów, gdzie żeby w ogóle przeżyć, należało mówić po hiszpańsku i umieć szybko biegać. Uczniom nie pozwalano używać ojczystego języka, dążono bowiem do szybkiej integracji przez naukę angielskiego. Gdy któremuś wymykało się hiszpańskie słowo w zasięgu słuchu

nauczycielki, otrzymywał kilka klapsów w tyłek. Skoro Chrystusowi wystarczył angielski do napisania *Biblii*, na świecie nie jest potrzebny inny język, tak tłumaczono tę drastyczną metodę. Dzieci z przekory mówiły po hiszpańsku przy każdej możliwej okazji, a kto tego nie robił, nazywany był włazidupą, najgorszym epitetem w szkolnym repertuarze. Judy i Gregory szybko wyczuli nienawiść rasową i obawiali się, że zostaną zmiążdżeni przy pierwszym niedopatrzeniu. Pierwszego dnia w szkole Gregory był tak przestraszony, że nie mógł wydać z siebie głosu nawet po to, by powiedzieć, jak się nazywa.

- Mamy dwoje nowych uczniów - uśmiechnęła się nauczycielka, zachwycona dwojgiem białych w klasie tyłu śniadych dzieci. - Chcę, żebyście ich dobrze traktowali, pomagali im w nauce i w poznaniu zasad tej instytucji. Jak się nazywacie, kochani?

Gregory milczał, trzymając się kurczowo sukienki siostry. W końcu Judy wyciągnęła go z kłopotu.

- Ja jestem Judy Reeves, a ten głupek to mój brat - oznajmiła. Cała klasa, razem z nauczycielką, zarechotała. Gregory poczuł w spodniach coś ciepłego i lepkiego.

- Wystarczy, usiądźcie - rozkazano im.

Dwie minuty później Judy zaczęła zatykać sobie nos i spoglądać mało uprzejmie na brata. Gregory wbił wzrok w podłogę i próbował sobie wyobrazić, że go tu nie ma, że jedzie ciężarówką, na wolnym powietrzu, że jego ojciec nigdy się nie rozchorował, a ta przeklęta szkoła nie istnieje, że to tylko koszmar. Reszta dzieci szybko wyczuła smród i zaczęło się zamieszanie.

- Zobaczmy... kto to zrobił? - zapytała nauczycielka z fałszywym uśmiechem, który wydawał się przyklejony do twarzy. - Nie ma się czego wstydić, to wypadek, każdemu się może zdarzyć... Któż to?

- Ja się nie zesrałam i mój brat też nie, przysięgam! - krzyknęła wyzywająco Judy. Jej deklaracja została przyjęta chóralnymi kpinami i gromkim śmiechem.

Nauczycielka podeszła do Gregory'ego i szepnęła mu na ucho, żeby wyszedł z klasy, ale on, z głową schowaną w ramionach, zaciśniętymi powiekami i czerwony ze wstydu, chwycił się obydwoma rękami za ławkę. Kobieta próbowała odciągnąć go za ramię, najpierw łagodnie a później szarpiąc, ale chłopak przywarł do miejsca z całą siłą własnej rozpacz.

- Odpierdol się! - wrzasnęła Judy do nauczycielki w swoim świeżym hiszpańskim. - Ta szkoła to gówno! - dodała po angielsku.

Kobieta zamarła, zdziwiona, a klasa zamilkła.

- Pierdolę, pierdolę, pierdolę! Idziemy, Greg. - I rodzeństwo, trzymając się za ręce, opuściło salę, ona z uniesioną brodą, on z opuszczoną na piersi głową.

Judy zaprowadziła Grega na stację benzynową, ukryła go między beczkami oleju i po kryjomu wzięła szlauch i wypłukała mu spodnie. Wrócili do domu bez słowa.

- Jak wam poszło? - zapytała Nora Reeves, zaskoczona ich wczesnym powrotem.

- Nauczycielka powiedziała, że nie musimy wracać. Jesteśmy o wiele bardziej inteligentni niż reszta uczniów. Te dzieciaki nawet nie mówią jak ludzie, mamó. Nie znają angielskiego!

- Co to za historia? - przerwała Olga. - I dlaczego Gregory ma mokre ubranie?

Następnego dnia musieli wrócić do szkoły, ciągnęci za ręce przez Olę, która zaprowadziła ich do sali, zmusiła do przeproszenia nauczycielki za wyzwiska, a przy okazji uprzedziła inne dzieci, żeby się nie ważyły dokucać Reevesom. Zanim wyszła z sali, zatrzymała się przed zwartą

gromadą śniadych maluchów, wyciągając ręce w geście oznaczającym przekleństwo: zaciśnięte obie pięści, a palce wskazujący i mały nastawione jak rogi. Jej dziwny wygląd, rosyjski akcent i ten gest miały moc poskromienia dzikich bestii, przynajmniej na jakiś czas.

Tydzień później Gregory skończył siedem lat. Nie świętowali, prawdę mówiąc, nikt o tym nie pamiętał, gdyż cała uwaga rodziny była skupiona na ojcu. Olga, jedyna, która chodziła codziennie do szpitala, przyniosła wiadomość, że niebezpieczeństwo minęło, stan Charlesa Reevesa poprawił się na tyle, że przeniesiono go do sali ogólnej, gdzie można go odwiedzać. Nora wraz z Inmaculada Morales wyszorowały dzieci, założyły im najlepsze ubrania, przyglądały brylantyną włosy chłopców, a dziewczynkom związały włosy kokardami. Szli do szpitala jak w procesji, niosąc skromne bukietki ogrodowych rumianków i przygotowany przez Inmaculadę półmisek *tacos*¹ z kurczaka oraz fasoli pieczonej z serem.

¹ Potrawa meksykańska. Farsz zawinięty w placek z mąki kukurydzianej.

Sala była wielkości hangaru, z jednakowymi łózkami stojącymi po obu stronach nieskończenie długiego korytarza, przez który przemknęli na palcach, żeby dotrzeć do chorego. Nie rozpoznaliby go, gdyby nie imię i nazwisko Charles Reeves na tabliczce znajdującej się w nogach łóżka, która pomogła im go zidentyfikować. Zmienił się w obcego człowieka, postarzał o tysiąc lat, skórę miał woskową, oczy zapadnięte w głąb czaszki i pachniał migdałami. Dzieci, przyciśnięte do siebie łokciami, stały z kwiatami w rękach, nie wiedząc, gdzie je położyć. Inmaculada Morales zarumieniła się i przykryła półmisek z *tacos* swoją chustą, a Nora Reeves

zaczęła się trząść. Gregory poczuł, że w jego życiu zaszło coś nieodwracalnego.

- Czuje się o wiele lepiej, niedługo będzie mógł jeść - powiedziała Olga, poprawiając igłę od kroplówki tkwiącą w żyłę chorego.

Gregory wycofał się na korytarz, skacząc zbiegł ze schodów i zaczął biec w kierunku ulicy. Przy wejściu do szpitala usiadł, zwinął się w kłębek, schował głowę między kolana i trzymając się za nogi, powtarzał jak litanie: pierdołę, pierdołę, pierdołę.

Imigranci meksykańscy zatrzymywali się po przyjeździe w domach przyjaciół lub krewnych, gdzie często gnieździło się już kilka rodzin. Nie wolno było pogwałcić prawa gościnności, nikomu nie odmawiano dachu nad głową i jedzenia przez kilka pierwszych dni, ale później każdy musiał radzić sobie sam. Przybywali w poszukiwaniu pracy ze wszystkich miejscowości na południe od granicy. Mieli tylko to, co na sobie, węzełek na plecach i najlepszą wolę, by dać sobie radę na tej Ziemi Obiecanej, o której opowiadano im, że pieniądze rosną na drzewach i każdy, kto sprytny, może stać się przedsiębiorcą z własnym cadillakiem i blondynką uwieszoną u ramienia. Nie uprzedzono ich jednak, że na każdego szczęśliwca pięćdziesięciu innych gubiło się po drodze, a kolejnych pięćdziesięciu wracało pokonanych; że to nie oni się wzbogacą, ich przeznaczeniem jest bowiem przetrzeć szlaki swoim narodzonym na tej nieprzyjaznej ziemi dzieciom i wnukom. Nie przypuszczali nawet, jaki wielki niedostatek przyjdzie im cierpieć na tym zesłaniu, jak ich będą wykorzystywać chlebodawcy i przesładować władze, jak kosztowne będzie sprowadzenie rodziny, przywiezienie dzieci

i dziadków, jak bolesne pożeganie z przyjaciółmi i pozostawienie za sobą swoich zmarłych. Nie uprzedzono ich również, że szybko zapomną o własnych tradycjach, że prędko zaczną ulatywać im z pamięci dawne wspomnienia, ani też że staną się najbardziej poniżanymi wśród poniżanych. Inmaculada i Pedro Moralesowie sami siebie nazywali „przemoczonymi druciarzami”, co stanowiło połączenie słów „druć” i „przemoczony grzbiet”. Tą ostatnią nazwą określano imigrantów. Pękając ze śmiechu opowiadali, jak wielokrotnie przekraczali granicę, przepływając Rio Grande albo przecinając ogrodzenie z drutu kolczastego. Na okres wakacyjny potrafili wracać na własną ziemię, pokonując granicę w obie strony, nawet z niemowlętami i babcią, którą zabrali z jej rodzinnej wsi, kiedy owdowiała i zaczęła mówić nieco od rzeczy. Po kilku latach udało im się zalegalizować swoje papiery, a ich dzieci stały się obywatelami amerykańskimi. Przy ich stole nie brakowało miejsca dla nowo przybyłych, a dzieci rosły, słuchając opowieści o nieszczęśnikach przekraczających granicę, upchanych jak toboły pod podłogą ciężarówką, wyskakujących z pociągów w biegu lub pełzających przez stare kanały ściekowe, zawsze w strachu przed policją, straszliwą *Migra*¹ i przed odesłaniem w kajdankach z powrotem do kraju po uznaniu ich za kryminalistów. Wielu ginęło, jedni zastrzeleni przez strażników, inni z głodu i pragnienia, niektórzy dusili się w tajnych schowkach samochodów „kojotów”, którzy zbijali fortunę na przewożeniu desperatów z Meksyku do najbliższego miasteczka po drugiej stronie granicy.

¹Skrót od *Immigration*.

W czasach gdy Pedro Morales odbył swoją pierwszą podróż, wśród Latynosów istniało jeszcze pragnienie odzyskania ziemi, która przez parę wieków do nich należała. Dla nich

nielegalne przekroczenie granicy z Kalifornią nie było przestępstwem, tylko aktem sprawiedliwości. Pedro Morales miał wówczas dwadzieścia lat, dopiero co odbył służbę wojskową i nie miał ochoty żyć tak, jak jego ojciec i dziadek, biedni chłopcy z hacjendy w Zacatecas, wolał podjąć trud podróży na północ. Tak dotarł do Tijuany, gdzie miał nadzieję znaleźć pracę jako parobek w polu, bo amerykańscy farmerzy potrzebowali taniej siły roboczej. Nie miał jednak pieniędzy, nie mógł czekać na dopełnienie formalności ani przekupić urzędników i policjantów i nie podobało mu się miasteczko, gdzie, według niego, mężczyznom brakowało honoru, a kobietom czci. Był zmęczony krążeniem tam i z powrotem w poszukiwaniu pracy, a nie chciał nikogo prosić o pomoc ani przyjmować jałmużny. W końcu postanowił przejść przez ogrodzenie dla bydła, które przedzielało granicę, przecinając je obcęgami, i iść cały czas prosto w kierunku słońca, według wskazówek bardziej doświadczonego kolegi. W ten sposób dotarł na południe Kalifornii. Pierwsze miesiące były dla niego złe, nigdzie nie było łatwo o zarobek, choć mówiono mu inaczej. Chodził od farmy do farmy, zbierając owoce, fasolę lub bawełnę, śpiąc po drodze na dworcach, na cementarzyskach starych samochodów, żywiąc się chlebem i piwem, dzieląc niedostatek z tysiącami mężczyzn w tej samej sytuacji. Pryncypałowie płacili mniej, niż obiecywali, i przy pierwszej skardze pędzili na policję, zawsze węszącą za nielegalnymi imigrantami. Pedro nigdzie nie mógł zatrzymać się na dłużej, *Migra* deptała mu po piętach, aż w końcu pozbył się sombrera i kłapek, założył dzinsy i czapkę i nauczył się kilku zdań po angielsku. Gdy tylko urządził się jako tako na nowej ziemi, wrócił do swego miasteczka po narzeczoną z dzieciństwa. Inmaculada czekała na niego z wykrochmaloną suknią ślubną.

- Jankesi to wariaci, dodają brzoskwinie do mięsa i marmoladę do sadzonych jajek, wysyłają psy do fryzjera, nie wierzą w Matkę Boską, mężczyźni zmywają naczynia w domu, a kobiety myją samochody na ulicy, w stanikach i w krótkich majtkach, wszyscyutko im widać, ale jeśli nie będziemy się z nimi zadawać, to da się żyć - poinformował Pedro swoją narzeczoną.

Wzięli ślub i wydali wesele zgodnie z obyczajem, pierwszą małżeńską noc spędzili w łóżku rodziców dziewczyny, wypożyczonym na tę okazję, a następnego dnia wsiedli do autobusu udającego się na północ. Pedro miał trochę pieniędzy i uważał się już za specjalistę w przekraczaniu granicy, warunki były lepsze niż za pierwszym razem, ale i tak bał się, nie chciał narażać swojej żony na niebezpieczeństwo. Opowiadano straszliwe historie o kradzieżach i morderstwach, korupcji meksykańskiej policji i brutalności amerykańskiej; mogło to odstraszyć najtwardszego. Inmaculada podążała krok w krok za mężem, szczęśliwa, z tobołkiem rzeczy na głowie, medalikiem Matki Boskiej z Gwadelupy chroniącym od nieszczęścia, modlitwą na wargach i szeroko otwartymi oczami, żeby dojrzeć świat, który przedstawiał się jej jak wspaniały kufer pełen niespodzianek. Nigdy nie opuszczała swojej osady i nie przypuszczała, że drogi mogą być nieskończone; nic jej nie zniechęcało, ani upokorzenia, ani zmęczenie, ani pułapki tęsknoty. Kiedy w końcu znalazła się wraz z mężem w nędznym pokoiku pensjonatu po drugiej stronie granicy, wydało się jej, że przekroczyła bramy niebios. Rok później urodził się pierwszy syn, Pedro zdobył pracę w fabryce opon w Los Angeles i zapisał się na wieczorowy kurs mechaniki. Aby pomóc mężowi, Inmaculada poszła do pracy w szwalni, później zatrudniła się jako służąca,

dopóki ciąży i dzieci nie zmusiły jej do pozostania w domu. Moralesowie byli ludźmi porządnymi i bez nałogów, żyli oszczędnie i nauczyli się korzystać z dobrodziejstw tego kraju, w którym mieli wciąż uchodzić za cudzoziemców, inaczej niż ich dzieci, które już tu były u siebie. Zawsze byli gotowi otwierać swoje drzwi dla innych, ich dom stał się przechowalnią. Dziś tobie, jutro mnie, raz komuś coś dasz, a na drugi raz ty dostaniesz, to jest naturalne prawo życia, mówiła Inmaculada. Stwierdzili, że szczodrość może się rozrastać, nie zabrakło im szczęścia ani pracy, dzieci są zdrowe, przyjaciele wdzięczni; z czasem przewyciężyli początkowy niedostatek. Pięć lat po przybyciu do miasta Pedro założył własny warsztat samochodowy. W czasie gdy Reevesowie zamieszkali na ich podwórzu, stanowili najbardziej szanowaną rodzinę w dzielnicy, Inmaculada matkowała wszystkim, a Pedra radzono się, jako najbardziej sprawiedliwego człowieka w całej tej społeczności. W środowisku, w którym nikomu nie przyszłoby do głowy zwracać się o pomoc do policji czy sądu przy rozwiązywaniu konfliktów, Pedro Morales był rozjemcą w nieporozumieniach i sędzią w sprzeczkach.

Olga miała rację, przynajmniej w części. Miesiąc po operacji Charles Reeves opuścił szpital na własnych nogach, ale jego plan powrotu do wędrownego trybu życia okazał się niedorzeczny, gdyż nie ulegało wątpliwości, że rekonwalescencja potrwa jeszcze bardzo długo. Lekarz zalecał spokój, dietę i ciągłe kontrole, przez czas nieokreślony, może nawet przez kilka lat, mowy nie ma o koczowniczym życiu. Oszczędności dawno się skończyły i rodzina winna była Moralesom sporą sumę. Pedro nie chciał słyszeć o tej sprawie, miał bowiem niemożliwy do spłacenia dług duchowy wobec

swego Mistrza. Charles Reeves nie był zdolny przyjąć jałmużnę, nawet od dobrego przyjaciela i ucznia, ale nie mógł też dalej mieszkać z całą rodziną na podwórzu cudzego domu. Sprzedali więc ciężarówkę, po uprzednim zdjęciu ogłosnika i plakatów, pomimo błagań dzieci, które bezpowrotnie traciły możliwość uwolnienia się od szkolnych opresji. Za pieniądze ze sprzedaży oraz dzięki kilku pożyczkom Reevesowie mogli kupić walącą się chałupę na obrzeżach meksykańskiej dzielnicy.

Do pomocy przy odbudowie chaty Moralesowie zaangażowali wszystkich swoich krewnych. Dla Gregory'ego Reevesa był to niezapomniany weekend, latynoskie jedzenie i muzyka na zawsze zostały mu w pamięci jako symbol przyjaźni. W sobotę o świcie pojawił się sznur najróżniejszych pojazdów, od ciężarówki kierowanej przez ogromnego chłopca o zaraźliwym uśmiechu, brata Inmaculady, aż po kolumnę rowerów, na których przyjechali kuzyni, siostrzeńcy i przyjaciele, wszyscy zaopatrzeni w narzędzia i materiały budowlane. Kobiety rozstawiły wielkie stoły na wolnym powietrzu i zakasawszy rękawy, zabrały się do przyrządzania posiłku dla tego tłumu. Fruwały odcięte głowy kurczaków, rosły sterty pokrojonej wieprzowiny i wołowiny, gotowały się kukurydza, fasola i ziemniaki, piekły placki; noże tańczyły, siekając, krojąc i obierając, w słońcu lśniły półmiski z owocami, a w cieniu stały naczynia z pomidorami, cebulą, ostrym sosem i *guacamole*¹. Z garnków rozchodził się zapach obfitego jedzenia, z karafek i butelek lała się tequila i piwo, a gitary rozbrzmiewały piosenkami ze szczodrej ziemi po drugiej stronie granicy.

¹ Meksykański ostry sos. Podstawowymi składnikami są gorzka czekolada, cebula, czosnek i chile.

Psy i chłopcy myszkowali pod stołami, a dziewczynki,

poważniejsze, pomagały podawać do stołu; naczynia zmywał opóźniony w rozwoju kuzyn o płaskiej, azjatyckiej twarzy; siedząca pod drzewem obłąkana babcia głosem drozda przyłączyła się do śpiewu dziewczyn; Olga roznosiła wśród mężczyzn *tacos* i pilnowała dzieci. Przez cały weekend, aż do późnej nocy pracowali według wskazówek Charlesa Reevesa i Pedra Moralesa, piłując, przybijając gwoździe i lutując. Była to zabawa wśród potu i śpiewu, a w poniedziałek o świcie dom miał już proste ściany, okna osadzone na zawiasach, blachę cynkową na dachu i podłogę ze świeżych desek. Meksykanie złożyli stoły po obżarstwie, zebrali swoje narzędzia, gitary i dzieci, wsiedli do pojazdów i zniknęli tam, skąd przyszedli, dyskretnie, żeby nikt nie zdążył im podziękować.

Kiedy Reevesowie weszli do swojego nowego domu, Gregory nie dowierzał, że ściany mogą być trwałe, i zastanawiał się, czy dom się nie rozleci. Kilka skromnych pokoi wydało się dzieciom pałacem, nigdy bowiem dotąd nie miały solidnego dachu nad głową, a jedynie sklepienie namiotu albo niebo. Nora ustawiła kuchenkę naftową, starą maszynę do pisania umieściła w swoim pokoju, a w salonie na honorowym miejscu patefon na korbkę, żeby słuchać muzyki klasycznej i arii operowych. Rozpoczęła natychmiast nowy etap życia.

Olga bez większych dyskusji zdecydowała się od nich odłączyć. Początkowo pozostała na podwórzu Moralesów pod pretekstem, że dom Reevesów jest zbyt daleko, aby mogli przybywać do niej klienci, niedługo potem jednak wynajęła pokój nad garażem, po drugiej stronie dzielnicy, gdzie zawiesiła szyld reklamujący własne usługi jasnowidzki, akuszerki i znachorki. Szybko rozeszły się wieści o jej zdolnościach. Jej reputacja potwierdziła się, gdy na zawsze zlikwidowała brodę i wąsy właścicielki sklepu. W dzielnicy, w

której nawet mężczyźni nie mieli przesadnego zarostu na twarzy, ta kobieta była celem najokrutniejszych kpín, dopóki Olga nie wzięła sprawy w swoje ręce, uwalniając ją od kłopotu dzięki wynalezionej przez siebie miksturze, tej samej, którą przepisywała na wyleczenie świerzbu. Kiedy w końcu pacjentka mogła pokazać gładkie policzki w biały dzień, zle języki rozpowiedziały, że dzięki owłosieniu przynajmniej wyglądała interesująco, natomiast bez nich ma gębę pirata. Rozeszła się też wieść, że znachorka nie tylko potrafi leczyć swoimi urokami i maściami, ale umie również szkodzić swymi czarami, więc ludzie traktowali ją odtąd ze szczególnym szacunkiem. Judy i Gregory odwiedzali ją często, a ona przychodziła do Reevesów na obiad w niektóre niedziele, jednak z czasem wizyty były coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie ustały. Powoli przestano w rodzinie wspominać jej imię, bo wzmagało to napięcie. Judy, którą pochłonęło tyle nowości, nie tęskniła, ale Gregory nie stracił z nią kontaktu.

Charles Reeves ponownie zaczął zarabiać na życie malowaniem. Potrafił namalować na podstawie fotografii portrety, dość wierne w przypadku mężczyzn, a bardzo wyretuszowane w przypadku kobiet, którym zacierał ślady lat, łagodził afrykańskie lub indiańskie rysy twarzy, rozjaśniał skórę, włosy i ubierał w wizytowe stroje. Gdy tylko poczuł się na siłach, wrócił również do swoich kazań i pisania wydawanych własnym sumptem książek. Mimo kłopotów finansowych i potknięć Niezglębiony Zamysł z uporem realizował swój program. Jego słuchaczami byli głównie robotnicy i ich rodziny, wielu z nich ledwie rozumiało po angielsku, ale kaznodzieja nauczył się kilku kluczowych zwrotów po hiszpańsku, a gdy brakowało mu słów, rysował na tablicy. Na początku przychodzili tylko przyjaciele i krewni Moralesów,

bardziej zainteresowani możliwością obejrzenia z bliska węża boa niż filozoficznymi aspektami wykładu, ale prędko rozeszła się wieść, że Doktor Nauk Boskich jest bardzo elokwentny i potrafi szybko rysować „fantastyczne karykatury, wyobraź sobie, trzeba widzieć, jak on to robi, tylko tak i tak, nawet nie patrząc”. Moralesowie nie musieli więc nikogo specjalnie namawiać do przyjścia, żeby sala była pełna. Dowiedziawszy się o niejasnej sytuacji prawnej sąsiadów, Reeves spędził kilka tygodni w bibliotece, studiując paragrafy, dzięki czemu mógł poza wsparciem duchowym udzielić słuchaczom konkretnych porad, w jaki sposób przepłynąć przez nieznaną wodę systemu. Imigranci dowiedzieli się dzięki niemu, że choć przebywają w USA nielegalnie, mają pewne prawa obywatelskie, mogą leczyć się w szpitalu, chować zmarłych na miejskim cmentarzu - mimo że zawsze woleli pochować ich w rodzinnej ziemi - jak również mogą korzystać z wielu innych przywilejów, których do tej pory nie znali. W tej dzielnicy Niezgłębiony Zamyśl konkurował z blichtrzem katolickiej celebry, rozgłosem Armii Zbawienia, nowatorską poligamią mormonów i ceremoniami znajdujących się w sąsiedztwie siedmiu Kościołów protestanckich, między innymi baptystów, którzy zanurzali się ubrani w rzece, adwentystów, rozdających cytrynowe ciasto w każdą niedzielę, i zielonoświątkowców, którzy chodzili z rękami wzniesionymi do góry, żeby przyjąć Ducha Świętego. Ponieważ w naukach Charlesa Reevesa było miejsce dla każdej religii i nikt nie musiał wyrzekać się własnej wiary, i Ojciec Larraguibel z kościoła Matki Boskiej z Lourdes, i pastory innych wyznań nie mogli protestować, choć na początku wszyscy zgodnie, każdy ze swojej ambony, oskarżali kaznodzieję o to, że jest szarlatanem bez żadnych zasad.

Od pierwszego spotkania, kiedy to z ciężarówki Reevesów wyładowano bagaż na podwórze Moralesów, Gregory i Carmen, najmłodsze dziecko w rodzinie, zostali przyjaciółmi na całe życie. Wystarczyło im jedno spojrzenie dla zawarcia porozumienia, które miało trwać przez lata. Dziewczynka była o rok młodsza, ale w kwestiach praktycznych okazywała się o wiele bardziej obrotna, to ona nauczyła go zasad i sztuki przeżycia w tej dzielnicy. Gregory był wysoki, szczupły, o bardzo jasnych blond włosach, a ona mała, krępa, o skórze koloru palonego cukru. Chłopak miał mało przydatne umiejętności; potrafił imponować, opowiadając libretta operowe, opisując krajobrazy z „National Geographic” lub recytując wiersze Byrona; umiał upolować kaczkę, wypatroszyć rybę i obliczyć w jednej chwili, ile przejedzie ciężarówka w czterdzieści pięć minut, jeśli będzie jechać z szybkością trzydziestu mil na godzinę. Wszystko to było jednak nieprzydatne w jego nowej sytuacji życiowej. Umiał włożyć do worka węża boa, ale nie potrafił pójść na róg do sklepu po chleb, nigdy nie mieszkał wśród innych dzieci ani nie był w sali lekcyjnej, nie miał pojęcia o dziecięcej nikczemności ani o straszliwych uprzedzeniach rasowych, bo Nora uczyła go, że ludzie są dobrzy - źli to wybryk natury - i że wszyscy są równi. Wierzył w to, dopóki nie poszedł do szkoły. Kolor jego skóry i zupełny brak złośliwości drażnił pozostałe dzieci, które zaczepiały go, kiedy mogły, zwykle w toalecie, i pozostawiały ogłuszonego od ciosów. Nie zawsze był niewinny, często sam prowokował starcia. Razem z Juanem José i Carmen wymyślali okrutne dowcipy, na przykład wyciągnięcie strzykawką miętownej masy z czekoladek, zastąpienie jej najbardziej pikantnym sosem z kuchni Inmaculady i poczęstowanie tym specjałem niczym fajką pokoju gangu Martineza; żebyśmy zostali przyjaciółmi, okej? Potem musieli ukrywać się przez

tydzień.

Codziennie, gdy tylko rozbrzmiewał dzwonek na koniec lekcji, Gregory mknął jak strzała do domu, ścigany przez sforę chłopaków gotowych go zabić. Był taki szybki, że zwykle przystawał jeszcze w połowie drogi, żeby nawymyślać swoim wrogom. Nie bał się, dopóki rodzina mieszkała na podwórzu Moralesów, bo do domu miał blisko, Juan José go odprowadzał, a na krótkim dystansie nikt nie mógł się z nim równać, kiedy jednak przenieśli się do nowego domu, odległość zwiększyła się dziesięciokrotnie i możliwość dotarcia do celu na czas zmniejszyła się dramatycznie. Zmieniał trasę, chodził na skróty i znał wiele kryjówek, w których zwykle przeczekiwał skulony, aż prześladowcom znudzą się poszukiwania. Któregoś dnia przekradł się do parafii, bo na lekcji religii Ojciec powiedział, że od czasów średniowiecza istnieje zwyczaj kościelnego azylu, ale gang Martineza wbiegł za nim do świątyni i po skandalicznej gonitwie i przeskakiwaniu ławek, dopadł go przed ołtarzem i skopał. Przyglądały się temu niewzruszenie figury świętych spod aureol ze złoczonego mosiądzu. Na odgłos krzyków pojawił się energiczny ksiądz, który ciągnąc prześladowców za włosy, uwolnił Gregory'ego.

- Bóg mnie nie ocalił! - krzyczał chłopak, bardziej wściekły niż obolały, wskazując skrwawionego Chrystusa wiszącego nad ołtarzem.

- Jak to nie? A ja nie przybiegłem, żeby ci pomóc, niewdzięczniku? - ryknął proboszcz.

- Za późno! Niech ksiądz zobaczy, jak mnie urządzili! - wył Gregory, pokazując sińce.

- Bóg nie ma czasu na pierdoły. Wstawaj i wytrzym nos - rozkazał mu Ojciec.

- Ksiądz powiedział, że tu będzie bezpiecznie...

- Jasne, pod warunkiem, że i wróg wie, że to miejsce święte, ale te łobuzy nawet nie podejrzewają, jakie popełnili świętokradztwo.

- Księdza gówniany kościół do niczego się nie nadaje!

- Uważaj, co mówisz, bo ci wytlukę zęby, nieszczęśniku! - Ojciec zamierzył się na niego dłonią.

- Świętokradztwo! Świętokradztwo! - zdołał mu przypomnieć Reeves i to ostudziło wrzenie baskijskiej krwi w żyłach księdza, który głęboko odetchnął, żeby się uspokoić i spróbował przemówić w sposób bardziej właściwy dla swojego świątobliwego wyglądu.

- Posłuchaj, synu, musisz nauczyć się bronić. Pomóż sam sobie, a Bóg ci pomoże, jak mówi przysłowie.

Poczawszy od owego dnia ten dobry człowiek, który za młodu sam był krewkim wiejskim zawadiaką, zamykał się z Gregorym na podwórzu zakrystii i uczył go boksu, nie przejmując się zbytnio regułami fair play. Pierwsza lekcja składała się z trzech bezwzględnych zasad: jedyna istotna rzecz to wygrać, ten, kto uderzy pierwszy, bije podwójnie, wal go prosto w jaja, synu, i niech nam Bóg wybaczy. Tak to chłopiec nabrał przekonania, że świątynia ma jednak mniejszą wartość niż pełne oparcie w Inmaculadzie Morales, a im bardziej rosła jego wiara w siłę własnych pięści, tym mocniej chwiała się jego ufność w bożą pomoc. Od tamtej pory, ilekroć miał kłopoty, gnał do domu przyjaciół, przeskakiwał przez płot i wbiegał do kuchni, gdzie czekał, aż Judy przyjdzie po niego. Z siostrą mógł się pokazywać bez żadnych obaw, była najładniejszą dziewczyną w klasie, wszyscy chłopcy kochali się w niej i żaden nie skrzywdziłby Gregory'ego w jej obecności. Carmen i Juan José Moralesowie próbowali pośredniczyć między swoim nowym przyjacielem a resztą smarkaterii, ale nie zawsze im się to udawało, gdyż

Gregory był dla nich obcy, nie tylko ze względu na wygląd, ale i przez to, że był dumny, zawzięty i skryty. Miał głowę pełną indiańskich opowieści, dzikich zwierząt, postaci operowych oraz teorii o duszach w kształcie pomarańczy, Logach i Nauczycielach, o których ani Ojciec, ani wykładowcy w szkole nie chcieli słyszeć. Poza tym tracił panowanie nad sobą przy najmniejszej zaczepce, rzucał się na oślep z zaciśniętymi pięściami i zamkniętymi oczami, walczył po omacku i prawie zawsze przegrywał; był najbardziej bitym chłopcem w szkole. Wyśmiewano się z niego, wyśmiewano się z jego psa - krótkonogiego, brzydkiego kundla - śmiano się nawet z wyglądu jego matki, która ubierała się staroświecko i rozdawała ulotki o bahaizmie i Niezglębionym Zamyśle. Ale najbardziej kpiono z jego sentymentalizmu. Pozostali chłopcy przyswoili lekcje *machismo* swojego środowiska: mężczyzna musi być bezlitosny, odważny, władczy, samotny, szybki w wyciąganiu broni i powinien przewyższać kobietę pod każdym względem. Już w kołysce chłopcy uczyli się dwóch podstawowych reguł: że mężczyzna nigdy nikomu nie ufa i że w żadnym wypadku nie płacze, ale Gregory, słuchając opowieści nauczycielki o zabijaniu kijami fok przez kłusowników w Kanadzie, albo Ojca o trędowatych w Kalkucie, ze łzami w oczach decydował się natychmiast na wyjazd: na północ, żeby bronić biednych zwierząt, albo jako misjonarz na Daleki Wschód. Ogłuszany ciosami, nie ronił ani jednej łzy, był zbyt dumny, wołał, żeby go zmiażdżono, niż prosić o litość, dlatego też uważano go za skończonego pedała. A mimo to był wesołym chłopcem, potrafiącym zagrać na każdym instrumencie, bezbłędnie pamiętającym wszystkie dowcipy, ulubieńcem dziewczyn na przerwach.

W zamian za lekcje boksu Ojciec zażądał od niego pomocy przy niedzielnych mszach. Kiedy Gregory opowiedział o

tym u Moralesów, musiał ścierpieć falę kpin Juana José i jego rodzeństwa, aż Inmaculada przerwała, oznajmiając, że za karę jej syn też zostanie ministrantem i że to zaszczyt, w imię Boże. Przyjaciele niechętnie spędzali godziny w kościele, roznosząc kadzidło, potrząsając dzwoneczkami i recytując łacińskie zwroty pod czujnym spojrzeniem księdza, który nawet w najbardziej podniosłych momentach przyglądał im się swoim sławnym trzecim okiem, jakie podobno miał z tyłu głowy, żeby widzieć cudze grzechy. Podobało mu się, że jeden z jego pomocników jest śniady, a drugi jasny, uważał, że taka integracja rasowa jest niewątpliwie w smak samemu Stwórcy. Przed mszą chłopcy szykowali ołtarz, potem porządkowali zakrystię, a wychodząc dostawali w prezencie chleb anyżkowy, choć prawdziwą nagrodą było popijanie ukradkiem mszalnego wina, starego, słodkiego i mocnego jak sherry. Gregory wpadł na pomysł, że podkradnie kilka centów z tacy i kupi coca-colę. Otworzyli ją, żeby uciekł gaz i napełnili ampulkę na wino. Podczas mszy umierali ze śmiechu i nawet mordercze spojrzenia księdza nie powstrzymały szeptów, śmiechów, potknięć i dzwonienia w nieodpowiednich chwilach. Kiedy proboszcz podniósł kielich, żeby poświęcić coca-colę, chłopcy aż przysiedli na stopniach ołtarza, nie mogąc ustać ze śmiechu. Chwilę później kapłan, pogrążony w liturgicznych słowach, z szacunkiem wypił płyn i po pierwszym łyku zrozumiał, że to diabeł namieszał w kielichu, chyba że po raz pierwszy modlitwa spowodowała namacalną zmianę w molekułach wina. Jego zmysł praktyczny natychmiast odrzucił ten drugi pomysł. Przywykły do zmienności losu przeszedł nad tym do porządku dziennego i niewzruszony odprawiał dalej mszę, nie okazując żadnym gestem, co się stało. Skończył ceremonię bez pośpiechu,

wyszedł z godnością, wyprzedzając potykających się ministrantów i dopiero w zakrystii zdjął jeden ze swoich ciężkich sandałów o grubej podeszwie i sprawił im niezmiernie lanie.

Był to pierwszy rok z wielu trudnych lat w życiu Gregory'ego Reevesa, czas niepewności, strachu i wielu zmian, a zarazem czas przyjaźni, niespodzianek, psot i odkryć.

Ledwie moja rodzina przywykła do nowych zwyczajów i ojciec poczuł się lepiej, zaczął się remont domu. Dzięki pomocy Moralesów i ich przyjaciół nie wyglądał już jak ruina, ale brak było jeszcze podstawowych wygód. Ojciec zainstalował prymitywne oświetlenie, zbudował wychodek i razem oczyściliśmy podwórkę z kamieni i chwastów, żeby matka mogła założyć ogródek z kwiatami i warzywami, tak jak zawsze chciała. Na brzegu rowu, którym kończył się nasz teren, ojciec postawił mały składzik na narzędzia. Trzymał tam też swój bagaż, nie tracił bowiem nadziei, że któregoś dnia znowu zacznie podróżować. Następnie kazał mi wykopać dół, mówiąc, że zgodnie z twierdzeniem pewnego greckiego filozofa mężczyzna przed śmiercią musi spłodzić syna, napisać książkę, zbudować dom i posadzić drzewo; on zaś spełnił już trzy pierwsze przykazania. Niechętnie wykopałem dół tam, gdzie mi kazał, nie chciałem przyczynić się do jego śmierci, ale nie miałem odwagi odmówić czy też zostawić pracy w połowie. *Pewnego razu, kiedy podróżowałem w astralnym wymiarze, zostałem zaprowadzony do bardzo dużej sali, ogromnej jak hala fabryczna, tłumaczył Charles Reeves swoim słuchaczom. Zobaczyłem tam mnóstwo ciekawych maszyn, niektóre były niedorzeczne, a inne niedokończone, pomyłono zasady mechaniki i nigdy by dobrze nie działały.*

Zapytałem Logi, do kogo należą. To twoje niedokończone dzieła, usłyszałem. Przypomniałem sobie, że w młodości chciałem być wynalazcą. Te groteskowe maszyny były wytworami tamtych czasów i zostały tu zmagazynowane, żebym orzekł, co z nimi robić. Myśl przybiera kształt; im bardziej jest określona, tym bardziej forma jest dorzeczna. Nie wolno porzucać niedokończonych myśli ani projektów, powinny zostać zniszczone, w ten sposób nie marnotrawi się energii, którą można by lepiej wykorzystać. Należy myśleć w sposób konstruktywny, ale uważny. Często słuchałem tej opowieści, denerwowała mnie obsesja kompletowania wszystkiego i dokładnego umiejscawiania każdej myśli i rzeczy, gdyż sądząc po tym, co widziałem wokół, świat był jednym wielkim nieładem.

Ojciec wyszedł wcześniej i wrócił ciężarówką z Pedrem Moralesem, przywożąc sporą wierzbę. We dwóch ledwie ją dźwignęli i zasadzili. Przez kilka dni obserwowałem drzewo i ojca, spodziewając się, że lada chwila wierzba uschnie albo ojciec padnie rażony piorunem, ale nic takiego się nie zdarzyło, więc doszedłem do wniosku, że starożytni filozofowie bujają. Często nachodził mnie strach przed sieroctwem. W moich snach Charles Reeves występował jako chrześzczący szkielec w czarnych szatach, z grubym wężem owiniętym wokół nóg. Na jawie przypominałem sobie, jak wyglądał w szpitalu: po prostu strzęp człowieka. Przerazała mnie myśl o śmierci. Od chwili, gdy zamieszkaliśmy w mieście, prześladowało mnie poczucie niebezpieczeństwa, dotychczasowe zasady runęły, nawet słowa straciły swoje zwykłe znaczenie i musiałem się uczyć nowych znaków, innych gestów, dziwnego języka, pełnego podwójnego „r” i dźwięcznych „h”. Bez-kresne drogi i rozległe krajobrazy zostały zastąpione przez zatłoczone, hałaśliwe uliczki; brudne, śmierdzące, ale też

fascynujące, gdzie na każdym kroku zdarzała się jakaś przygoda. Nie można się było oprzeć pokusom ulicy, na nich toczyło się życie, były areną bójek, miłości oraz interesów. Upajałem się latynoską muzyką i obyczajem opowiadania różnych historii. Ludzie mówili o swoim życiu tak, jakby opowiadali legendy. Wydaje mi się, że nauczyłem się hiszpańskiego tylko po to, żeby nie uronić ani słowa z tych opowieści. Moim ulubionym miejscem była kuchnia Inmaculady Morales, w której pachniało jedzeniem i gdzie rozmawiano o rodzinnych problemach. Nie męczył mnie ten wieczny cyrk, ale czułem też skrycie potrzebę wsłuchania się w ciszę natury, w której mnie wychowano, szukałem drzew, godzinami wałęsałem się i wspinałem na małe wzgórza, gdzie po kilku minutach odczuwałem przyjemność przebywania we własnej skórze. Poza tymi chwilami spokoju moje ciało przysparzało mi kłopotów, musiałem je chronić przed nieustannym zagrożeniem, jasne włosy, kolor skóry, oczu i ptasi wygląd ciążyły mi jak balast. Inmaculada Morales mówi, że byłem wesołym dzieckiem, żywym, pełnym sił, bardzo ciekawym życia, ale ja siebie takim nie pamiętam, w getcie doświadczyłem uczucia, że jestem inny, nie zbliżyłem się do reszty; chociaż chciałem być jak inni, zniknąć w tłumie, stać się niewidzialnym i w ten sposób swobodnie chodzić po ulicach lub bawić się na szkolnym podwórzu, wolny od prześladowań przez śniadych kolegów, którzy wyładowywali na mnie własne lęki, bo sami zbierali cięgi od białych, gdy tylko wychylili nos z latynoskiej dzielnicy.

Po wyjściu ojca ze szpitala pozornie wróciliśmy do normalnego życia, ale równowaga rodziny została zachwiana. Ciężka nieobecność Olgi, jej kuferek pełnego skarbów, czarnoksięskich przyrzędów, wyzywających sukienek, bezczelnego śmiechu, opowieści, niezmordowanych starań; bez

niej dom był jak kulawy stół. Rodzice przemilczeli sprawę, a ja nie odważyłem się prosić o wyjaśnienia. Mama chwilami stawiała się bardziej milcząca i nieobecna niż zwykle, ojciec zaś, który zawsze panował nad sobą, zrobił się kłótniwy, nieprzewidywalny, gwałtowny. To przez operację chemia jego fizycznego ciała jest zachwiana, dlatego ma ciemniejszą aurę, ale niedługo wyzdrowieje, usprawiedliwiała go mama w żargonie Niezglębionego Zamyśłu, ale bez przekonania w głosie. Nigdy się przy niej dobrze nie czułem, ta uprzejma i wyblakła istota bardzo się różniła od matek innych dzieci. Decyzje, pozwolenia i kary pochodziły zawsze od ojca, pociecha i śmiech od Olgi, sekrety powierzałem Judy. Z matką łączyły mnie tylko książki i szkolne zeszyty, muzyka i zamiłowanie do obserwowania konstelacji gwiazdnych. Nigdy mnie nie dotykała, przyzwyczailem się do jej powściągliwości i fizycznego dystansu.

Pewnego dnia straciłem Judy, doświadczając panicznego uczucia całkowitej samotności, które udało mi się przezwyciężyć dopiero kilka dziesięcioleci później, kiedy niespodziewana miłość zdjęła ze mnie ten rodzaj przekleństwa. Judy była otwartą i sympatyczną dziewczynką, która mnie chroniła, kierowała mną, prowadziła ze sobą. Nocami wślizgiwałem się do jej łóżka, a ona opowiadała mi bajki albo wymyślała sny, dodając dokładne instrukcje, jak je śnić. Kształty mojej śpiącej siostry, jej ciepło i rytm oddechu towarzyszyły mi od najmłodszych lat; skulony przy jej boku, zapominałem o strachu, przy niej nie mogło mnie spotkać nic złego. Pewnej kwietniowej nocy, gdy Judy miała prawie dziewięć lat, a ja siedem, odczekałem, aż zapadnie cisza i poszedłem wśliznąć się jak zwykle do jej śpiwora, ale napotkałem gwałtowny opór. Przykryta po brodę i z zaciśniętymi na śpiworze rękami, wykrzyczała, że mnie nie lubi, nigdy

więcej nie pozwoli, żebym z nią spał, koniec z bajkami, wymyślaniem snów i całą resztą, i że jestem za duży na takie głupoty.

- Co z tobą, Judy? - błagałem ją przerażony nie tyle jej słowami, co wściekłością w głosie.

- Idź do cholery i nie dotykaj mnie nigdy więcej w życiu! - wybuchnęła płaczem z głową odwróconą do ściany.

Usiadłem obok na podłodze, nie wiedząc, co powiedzieć, zmartwiony bardziej jej płaczem niż odepchnięciem. Dobrą chwilę później wstałem i otworzyłem drzwi Oliverowi, od tego dnia spałem przytulony do psa. Przez następne miesiące miałem wrażenie, że w domu istnieje jakaś tajemnica, z której ja jestem wyłączony, sekret pomiędzy moim ojcem a siostrą, albo być może między nimi a matką, lub między nimi wszystkimi a Olgą. Wyczułem, że lepiej nie dochodzić prawdy i nie próbowałem się dopytywać. Atmosfera była taka ciężka, że starałem się przebywać poza domem najdłużej, jak to możliwe, odwiedzałem Olgę albo Moralesów, walałem się po pobliskich polach, oddalałem o kilka mil i wracałem o zmierzchu, chowałem się w składziku, między narzędziami a tobołami i godzinami płakałem, nie wiedząc, dlaczego. Nikt mnie o nic nie pytał.

Zniknął gdzieś dotychczasowy obraz mego ojca i zastąpił go nieznamy, niesprawiedliwy i skory do gniewu człowiek, który pieścił Judy, mnie zaś bił za byle co i odpychał od siebie, idź bawić się na dwór, chłopcy muszą zmęźnieć na ulicy, warczał. Nie istniało żadne podobieństwo między dawnym kaznodzieją, charyzmatycznym i schludnym, a tym obrzydliwym starcem, który spędzał dzień w fotelu, słuchając radia, do połowy rozebrany i nieogolony. Już nie malował i nie zajmował się Niezglębionym Zamysłem, sytuacja w domu pogorszyła się i oto znowu pojawiła się Inmaculada

Morales ze swoimi ostrymi potrawami, szerokim uśmiechem i bystrością w odgadywaniu potrzeb innych ludzi. Olga zaczęła dawać mi pieniądze, żebym je dyskretnie wkładał do torebki mamy. Te niezwykle dochody wpływały przez wiele lat. Matka nigdy tego nie skomentowała, jakby nie zauważyła tajemniczego mnożenia się banknotów.

Olga miała zdolność odciskania swego ekstrawaganckiego piętna na otoczeniu. Była przelotnym i żądnym przygód ptakiem, ale tam, gdzie się zatrzymywała nawet na chwilę, starała się stworzyć złudzenie stałego gniazda. Miała niewiele rzeczy, lecz umiała układać je w taki sposób, że w małym pomieszczeniu mieściły się wszystkie w jej kufrze, w dużym zaś rozrastały się, zagracając przestrzeń. W jakimkolwiek miejscu, w namiocie, chałupie czy więzieniu, w którym później wylądowała, była jak królowa w swoim pałacu. Kiedy odeszła od Reevesów, udało jej się wynająć pokój za umiarkowaną cenę, brudnąw dziuplę pokrytą melancholijną patyną, jak cała dzielnica, ona jednak potrafiła nadać jej swoisty koloryt, przekształcając ją z czasem w punkt odniesienia dla tych, którzy pytali o adres: trzy przecznice prosto, skrócić w prawo, w lewo za pomalowanym domem i już. Udekorowała schody wejściowe i obydwie okna w typowy dla siebie sposób: pęczki muszli i szkiełek nawoływały przechodniów swoim dźwiękiem, różnokolorowe światelka nieprzerwanie przypominały Boże Narodzenie, a jej imię wypisane pochylonymi literami królowało nad tą dziwną pagoda. Właściciele nieruchomości zmęczyły w końcu ciągle prośby o zachowanie minimum dyskrecji i przestali zwracać uwagę na rupieciarnię w budynku. W promieniu kilku mil mało kto nie

wiedział, gdzie mieszka Olga. Wewnątrz mieszkanie miało równie niezwykle, nieco dziwaczny wygląd. Pokój podzielony został na dwie części zasłoną. Jedna część służyła do przyjmowania klientów, w drugiej stało łóżko i wisiały ubrania na gwoździach wbitych w ściany. Wykorzystując swój artystyczny talent i pudełko olejnych farb z czasów wspólnego malowania z Charlesem Reevesem, Olga pokryła ściany znakami zodiaku i słowami pisanymi cyrylicą, które wzbudzały niekłamaną podziw gości. Kupiła meble z drugiej ręki i w przyprawie fantazji zmieniła je w orientalne kanapy, na półkach stały szeregiem figurki świętych i czarodziejów, naczynia z miksturami, świece i amulety; z sufitu zwisały się pęczki suchych ziół i trudno było się poruszać między karłowatymi stolikami, na których tłoczyły się naczynka z kadzidełkami wątpliwej jakości, kupionymi w pakistańskich sklepach. Ten słodkawy zapach wiecznie klócił się z wonią ziół i leczniczych wywarów, esencji na miłość i świec na odczynianie uroków. Szale z frędzlami osłaniały lampy, na podłodze leżała wyleniąta skóra zebry, a przy oknie królował brzuchaty Budda ze złoczonego gipsu. W takiej to jaskini Olga dokonywała cudów, żeby móc mieszkać, gotować i wykonywać swój zawód, a jej wyobraźnia nakazywała przystosować każdą najmniejszą przestrzeń do własnych potrzeb i kaprysów. Gdy tylko zakończyła dekorowanie domu, rozpowszechniła wiadomość, że istnieją kobiety zdolne do odwracania nieszczęść i spoglądania w mrok duszy, i że ona jest jedną z nich. Niedługo musiała czekać: ludzie słyszeli już o uleczeniu brodatej kobiety i napływali tłumnie, żeby skorzystać z usług wróżki.

Gregory często odwiedzał Olę. Po lekcjach wybiegał, ścigany przez bandę Martineza, nieco starszego od nich

chłopaka, który powtarzał drugą klasę, nie umiał czytać i angielski nie wchodził mu do głowy, ale wyglądał i zachowywał się jak zabijaka. Oliver, warcząc, czekał na niego przy kiosku z gazetami z odważnym zamiarem powstrzymania nieprzyjaciół, żeby pan miał przewagę, po czym jak strzała biegł za nim aż do celu. Żeby zmylić Martinezę, chłopak miał zwyczaj wpadania do Olgi. Jego wizyty u wróżki były świętem. Pewnego razu po kryjomu wśliznął się pod łóżko, dzięki czemu był świadkiem jednej z jej nadzwyczajnych konsultacji. Właściciel baru „U Trzech Kumpli”, próżny kobieciarz z wąsikami amanta, noszący elastyczny pas dla ukrycia brzucha, przyszedł zakłopotany w poszukiwaniu rady na wstydliwą dolegliwość. Przyjęła go odziana w tunikę astrologa, w pokoju oświetlonym czerwonymi żarówkami i pachnącym kadzidłem. Mężczyzna usiadł przy okrągłym stole, przy którym Olga przyjmowała klientów, i błagając o jak największą dyskrecję, jękając się, wyznał, że odczuwa nieustanne pieczenie genitaliów.

- Proszę mi go pokazać - rozkazała Olga i przez dłuższy czas oglądała wstydlive części ciała pacjenta przy użyciu kieszonkowej latarki i szkła powiększającego, podczas gdy Gregory gryzł palce, żeby nie pęknąć ze śmiechu pod łóżkiem.

- Stosowałem lekarstwa, które mi przepisali w szpitalu, ale nic nie pomogły. Od czterech dni umieram, proszę pani.

- Są choroby ciała i choroby duszy - orzekła znachorka, wracając na swoje miejsce za stołem. - To jest choroba duszy, dlatego nie można jej uleczyć zwykłymi lekarstwami. Czym grzeszysz, tym płacisz.

- Że co?

- Żle pan używał swojego interesu. Za błędy płaci się czasami chorobą, a czasem swędzeniem sumienia - wytłumaczyła

Olga, która była na bieżąco we wszystkich plotkach w dzielnicy, знаła złą reputację swego klienta, a w zeszłym tygodniu sprzedawała jego niepokieszonej żonie proszek na wierność. - Mogę panu pomóc, ale uprzedzam, że każda wizyta będzie kosztować pięć dolarów i nie będzie przyjemna. Na oko mogę obliczyć, że będzie pan potrzebował przynajmniej pięciu sesji.

- Jeśli to mi pomoże...

- Musi mi pan na początek zapłacić piętnaście dolarów. W ten sposób na pewno nie przestanie pan przychodzić, jak zacznę odczyniać urok, trzeba rzecz doprowadzić do końca, bo jeśli nie, to interes panu uschnie i będzie jak rodzynek, rozumiemy się?

- Oczywiście, że tak, proszę pani, pani tu rządzi - przytaknął przerażony amant.

- Proszę zdjąć wszystko z dołu, może pan zostać w koszuli - rozkazała, po czym znikła za parawanem, żeby przygotować akcesoria potrzebne do kuracji.

Kazała mu stanąć na środku pokoju, ustawiła naokoło zapalone świece, posypała mu głowę białym proszkiem, cały czas recytując litanie w nieznanym języku, posmarowała chore miejsce czymś, czego Gregory nie zdążył dostrzec, ale niewątpliwie bardzo skutecznym, bo po chwili nieszczęśnik zaczął skakać jak małpa i krzyżeć, ile sił w płucach.

- Nie wychodzić mi z okręgu - powiedziała Olga z całym spokojem, czekając, aż przestanie go piec.

- Aj, co za kurewskie paskudztwo, mamuniu! To jest gorsze niż sos z *chile*... - jęknął pacjent, gdy tylko odzyskał oddech.

- Jeśli nie boli, nie leczy - orzekła, znając dobrodziejstwa kary na poczucie winy, wyrzuty sumienia i choroby nerwowe. - Teraz posmaruję czymś chłodnym - i dużym pędzlem

posmarowała go błękitem metylowym. Zawiązała mu kokardę i kazała przyjść za tydzień, nie zdejmować kokardy pod żadnym pozorem i codziennie się smarować.

- Ale jak będę... no, pani mnie rozumie, z tą wstążką...

- Będzie pan musiał zachowywać się jak święty. To się panu przydarzyło za skakanie z kwiatka na kwiatek, dlatego nie zadowolili się pan własną żoną? Ta nieszczęsna kobieta ma zapewnione miejsce w niebie, pan nie jest jej wart - pożegnała go tą ostatnią uwagą o potrzebie wierności.

Gregory założył się o dolara z Juanem José i Carmen Moralesami, że właściciel baru ma niebieskiego fiuta, w dodatku ozdobionego urodzinową wstążką. Dzieciaki spędziły cały dzień na dachu „U Trzech Kumpli”, szpiegując przez szparę nad ubikacją, żeby na własne oczy zobaczyć to zjawisko. Niebawem historia rozeszła się po całej dzielnicy i od tej pory mężczyzna musiał znosić przezwisko „Podwiązany fiut”, które przyłgnęło do niego aż do śmierci.

Olga nie zawsze wpuszczała Gregory'ego, nigdy na przykład, gdy była zajęta klientem. Gregory siadał wówczas na schodach i przyglądał się coraz to nowym ozdobom na fasadzie budynku, zachwycony talentem wróżki. Czasami wychylała się przez drzwi, owinięta tylko w szlafrok, z włosami wzburzonymi jak gąszcz czerwonych alg i dawała mu herbatniki albo jakąś monetę, dziś nie mogę zobaczyć się z tobą, Greg, mam robotę, wróc jutro, mówiła mu, przelotnie całując w policzek. Chłopiec odchodził sfrustrowany, ale rozumiał, że i wróżka ma przecież swoje obowiązki. Klienci byli różni: spragnieni poprawy losu desperaci, ciężarne kobiety gotowe na wszystko, żeby tylko przechytryć naturę; chorzy, których zawiodła tradycyjna medycyna, rozgoryczeni i żądni

zemsty kochankowie; samotnicy udręczeni ciszą i zwykli ludzie, którzy chcieli tylko masażu, jakiegoś fetyszu, odczytania losu z linii dłoni lub herbaty z orientalnego kwiecica na ból głowy. Dla każdego z nich Olga miała stosowną dawkę magii i iluzji, nie zastanawiając się nad legalnością swoich metod, gdyż w tej dzielnicy nikt nie znał ani też nie przejmował się jankeskimi prawami. Olga nie miała własnych dzieci, więc w głębi serca zaadoptowała małych Reevesów. Nie obrażała się na Judy za oznaki lekceważenia, bo zdawała sobie sprawę, że gdy tylko dziewczynka będzie w potrzebie, znów znajdzie się przy jej boku; w skrytości ducha była wdzięczna Gregory'emu za wierność i nagradzała go czułościami i prezentami. Od niego dowiadywała się o losach Reevesów. Wiele razy chłopiec zadawał jej pytanie, dlaczego ich nie odwiedza, ale zawsze otrzymywał wymijające odpowiedzi. Pewnego razu, kiedy wróżka nie mogła go przyjąć, miał wrażenie, że słyszy zza drzwi głos swego ojca i serce mało nie wyskoczyło mu z piersi: wydawało mu się, że znalazł się na brzegu bezdennej przepaści albo lada chwila otworzy skrzynię z diabelskimi potwornościami. Uciekł pędem w obawie, że dowie się tego, czego się obawiał, ale ciekawość zwyciężyła i zawrócił, ukrywając się na ulicy w oczekiwaniu na wyjście klienta Olgi. Zapadła noc, drzwi się nie otwierały i w końcu musiał iść do domu. Znalazł tam Charlesa Reevesa, czytającego gazetę w swoim wiklinowym fotelu.

Jak długo w rzeczywistości żył mój ojciec? Kiedy zaczął umierać? W ostatnich miesiącach już nie był sobą, jego ciało zmieniło się nie do poznania, a i duch też go opuścił. Jakieś złowrogie tchnienie ożywiało tego starca, który nadal nazywał

się Charles Reeves, ale nie był już moim ojcem. Może dlatego nie mam złych wspomnień, choć Judy jest pełna nienawiści. Rozmawialiśmy o tym i nie zgadzają się nam ani fakty, ani osoby, jakby każde z nas było uczestnikiem innej historii. Przez cały czas mieszkaliśmy razem w tym samym domu, ale jej pamięć nie zapisała tego samego, co moja. Moja siostra nie rozumie, dlaczego nadal trzymam się kurczowo wizji mądrego ojca i szczęśliwego okresu przebywania na wolnym powietrzu pod wyniosłą kopułą gwiazdzonego nieba czy też polowania na kaczki w sitowiu o świcie. Zaklina się, że nigdy czegoś takiego nie było, że w naszej rodzinie zawsze panowała agresja, że Charles Reeves był nędznym szarlatanem, sprzedawcą kłamstw, degeneratem, który umarł z rozwiązłości i nie zostawił nam po sobie nic dobrego. Oskarża mnie, że wyparłem się przeszłości, mówi, że wolę nic nie wiedzieć o jego nałogach, chyba to prawda, bo nie wiedziałem, że był złośliwym alkoholikiem, jak ona utrzymuje. Nie pamiętasz, jak cię lał skórzanym pasem za byle głupstwo?, powtarza mi Judy. Tak, ale nie chowam urazy, w tamtych czasach bito wszystkich chłopców, taka była metoda wychowawcza. Judy lepiej traktowano, wydaje się, że nie było zwyczaju bicia dziewczynek. Poza tym byłem bardzo niespokojny i uparty; matka nigdy nie mogła mnie złamać, dlatego wiele razy chciała się mnie pozbyć. Krótko przed śmiercią, podczas jednego z tych rzadkich spotkań, kiedy mogliśmy porozmawiać bez wzajemnego ranienia się, zapewniła mnie, że nie działo się tak z braku czułości, zawsze mnie bardzo kochała, powiedziała, ale nie potrafiła poradzić sobie z dwojgiem dzieci i naturalnie wolała mieć przy sobie moją siostrę, która była łagodniejsza, natomiast mnie nie umiała utrzymać w ryzach. Czasami śni mi się podwórze sierocińca. Bez wątplenia Judy

była o wiele lepsza ode mnie, łagodna i wdzięczna, zawsze posłuszna, a przy tym zalotna w naturalny sposób, jak wszystkie ładne dziewczynki. Taka była do trzynastego, czternastego roku życia, potem się zmieniła.

Najpierw był zapach migdałów. Wrócił podstępnie, z początku niewyczuwalny, taki słaby, że nie potrafiłem określić, czy poczułem go naprawdę, czy też było to tylko wspomnienie z wizyty w szpitalu, kiedy operowano ojca. Później był hałas. Ten hałas stanowił największą zmianę. Dawniej, w czasach podróży ciężarówką, cisza była częścią życia, każdy dźwięk miał swój dokładny wymiar. Podczas jazdy słychać było tylko odgłos silnika i czasem głos czytającej matki; na noclegach trzeszczało drewno w ognisku, stuką łyżka w garnku, słuchaliśmy lekcji, krótkich rozmów, śmiechu siostry bawiącej się z Olgą, Oliver szczekał. W nocy cisza była tak przejmująca, że pohukiwanie sowy lub wycie kojota wydawało się skandalicznie głośne. Według ojca, każda rzecz ma swoje miejsce, a każdy dźwięk swoją chwilę. Oburzał się, gdy ktoś przerywał rozmowę, na jego kazaniach trzeba było wstrzymać oddech, bo nawet nieprzewidziane kasznięcie było karane lodowatym spojrzeniem. Pod koniec życia w głowie Charlesa Reevesa wszystko się pogmatwało. W swoich astralnych podróżach chyba odnalazł nie tylko tamten hangar, pełen niedokończonych urządzeń i szalonych wynalazków, ale też sale wypełnione zapachami, smakami, gestami i słowami bez sensu; inne zawałone wariackimi zamiarami; a w jednym z nich odgłosy niepowodzeń dźwięczały niczym potworny żelazny dzwon. Nie chodzi mi o zwykłe odgłosy dzielnicy: ruch uliczny, krzyki ludzi, stukot robotników budujących stację benzynową, ale o zamęt, jaki się pojawił w ostatnich miesiącach. Radio, które dawniej było włączane tylko dla wysłuchania wiadomości z wojny i muzyki

klasycznej, teraz ogłuszało w dzień i w nocy niepotrzebnymi wiadomościami, meczami piłki nożnej i pospolitymi piosenkami. Przekrzykując ten gwar, ojciec domagał się drobniaków, wydawał sprzeczne rozkazy, wołał nas co chwila, czytał na głos własne kazania lub biblijne wersety, kaszlał, nie przerwanie pluł i wycierał nos z niepotrzebnym hałasem; wbijał gwoździe w ściany i bawił się swoimi narzędziami, jakby naprawiał jakieś usterki, ale w rzeczywistości te gorączkowe zajęcia nie miały konkretnego celu. Nawet gdy spał, był hałaśliwy. Ten mężczyzna, kiedyś tak schludny w zachowaniu i przyzwyczajeniach, teraz nagle zasypiał przy stole z pełnymi ustami, wstrząsany głębokim chrapaniem, sapiąc i mamrocząc, zagubiony w labiryncie, któż wie jakich rozwiązywał bezdroży. Dostyc, Charles, matka budziła go przerażona, gdy widziała, jak maca przez sen swoje genitalia; to gorączka, dzieci, dodawała, żeby nas uspokoić. Ojciec bez wątpienia majaczył, gorączka dopadała go znienna w różnych porach dnia, w nocy nie miał chwili ulgi, budził się rano mokry od potu. Matka codziennie prała prześcieradła, nie tylko ze względu na pot agonii, również z uwagi na ślady krwi i ropy sączącej się z wrzodów. Na jego nogach pojawiały się ciekące ropnie, które okładał kompresami z gorącej wody i arniki. Od czasu, gdy zaczęła się choroba, matka nie spała w swoim łóżku, spędzała noce w fotelu okryta szalem.

Pod koniec, gdy ojciec już nie mógł się podnieść, Judy wzbraniała się przed wejściem do jego pokoju, nie chciała go widzieć i żadna prośba czy groźba nie zdołały jej przekonać, żeby podeszła do chorego. Wówczas ja mogłem się przybliżyć, krok po kroku, najpierw obserwując go z progu, później przysiadając na brzegu łóżka. Był wycieńczony, szkielet miał obciągnięty zielonkawą skórą, oczy zapadnięte w głąb czaszki

i tylko astmatyczny oddech wskazywał, że jeszcze żyje. Dotykałem jego ręki, otwierał oczy i nie poznawał mnie. Chwilami gorączka opadała i wyglądał jak zmartwychwstały po długim konaniu, wypijał trochę herbaty, prosił, żeby włączyć radio, podnosił się i stawiał kilka niepewnych kroków. Pewnego ranka wyszedł na wpół nagi na podwórze przyjrzeć się wierzbie i pokazał mi świeże gałązki, rośnie i będzie mnie oplakiwać, powiedział.

Tego dnia, wracając ze szkoły z Judy, z daleka zobaczyliśmy stojącą na naszej ulicy karetkę pogotowia. Ja ruszyłem biegiem, siostra usiadła na chodniku, przytulając tornister z książkami. Na podwórzu zebrała się już grupka ciekawskich, Inmaculada Morales stała na ganku, pomagając dwóm pielęgniarkom wynieść nosze przez zbyt wąskie drzwi. Wbiegłem do domu i przywarłem do spódnicy matki, ale odtrąciła mnie, jakby miała mdłości. Nagle poczułem mocny zapach migdałów, a w drzwiach od pokoju pojawił się wyprostowany obrzydliwy starzec, ubrany tylko w podkoszulek, na bosaka, z rozczochraną resztką włosów na głowic, płonącymi od gorączki oczami i spływającą z kącików ust nitką śliny. Lewą ręką opierał się o ścianę, prawą się masturbował.

- Dosyć, Charles, zostaw to! - rozkazała mu matka. - Dosyć, proszę, dosyć - błagała ukrywając twarz w dłoniach.

Inmaculada Morales objęła moją matkę, podczas gdy pielęgniarze wyprowadzili ojca na ganek i ułożyli na noszach, przywiązując dwoma pasami. Ojciec przeklinał na głos i wykrzykiwał wulgarne słowa, których nigdy w jego ustach nie słyszałem. Odprowadziłem go do karetki, ale matka nie pozwoliła mi pojechać z nimi, samochód odjechał na sygnale, wzbijając chmurę pyłu. Inmaculada Morales

zamknęła drzwi od domu, wzięła mnie za rękę, gwizdnęła na Olivera i wyruszyliśmy. Po drodze natknęliśmy się na Judy, która siedziała nieporuszona w tym samym miejscu, dziwnie się uśmiechając.

- Chodźmy, dzieci, kupię wam waty cukrowej - powiedziała Inmaculada Morales, powstrzymując łzy.

Ostatni raz wtedy widziałem ojca żywego, kilka godzin później zmarł w szpitalu od niezliczonych krwotoków wewnętrznych. Tej nocy spaliśmy z Judy u naszych meksykańskich przyjaciół. Pedra Moralesa nie było, pomagał mojej matce załatwić formalności pogrzebowe. Zanim zasiedliśmy do stołu, Inmaculada wzięła nas z siostrą na stronę i wytłumaczyła, najlepiej jak umiała, że nie powinniśmy już się martwić, Ciało Fizyczne naszego ojca przestało cierpieć, a jego Ciało Mentalne uleciało w astralny wymiar, gdzie na pewno spotkało się z Logi i Nauczycielami, do których należało.

- To znaczy, poszedł do aniołów, do nieba - dodała łagodnie, poruszając się o wiele pewniej wśród pojęć swojej katolickiej wiary niż Niezgłębionego Zamysłu.

Judy i ja zostaliśmy z dziećmi Moralesów, które spały w łózkach dwójkami lub trójkami, wszystkie w tym samym pokoju. Inmaculada pozwoliła wejść do sypialni Oliverowi, bo był źle wychowany i gdyby został na dworze, zakłóciłby spokój swoim piskiem. Zaczynałem już przysypiać, wyczerpany sprzecznymi odczuciami, kiedy usłyszałem w ciemności głos Carmen szepczący, żebym się posunął, i poczułem jej małe i ciepłe ciało przysuwające się do mojego boku. Otwórz buzię i zamknij oczy, powiedziała, i poczułem, że kładzie mi palec na ustach, umazany czymś lepkiem i słodkim, i zacząłem go ssać jak cukierek. Było to mleko skondensowane. Uniosłem się i wsadziłem palec do puszki, żeby jej też dać possać, i tak ssaliśmy i lizaliśmy wzajemnie swe palce, dopóki

mleko się nie skończyło. Potem spokojnie zasnąłem, zasłodzony, z lepiącymi się buzią i palcami, przytulony do niej, z Oliverem w nogach, wśród oddechów i ciepła innych dzieci i chrapania obłąkanej babci, która w drugim pokoju była przywiązana długim sznurem do talii Inmaculady Morales.

Śmierć ojca rozbiła rodzinę, w krótkim czasie pogubili się wszyscy i każdy musiał odtąd sam płynąć własnym nurtem. Dla Nory wdowieństwo było zdradą, poczuła się opuszczona w barbarzyńskim środowisku, z dwojgiem dzieci i bez środków do życia, ale jednocześnie doznała niewyobrażalnej ulgi, gdyż ostatnimi czasy towarzysz jej życia nie był tym samym mężczyzną, którego pokochała, i współżycie z nim stało się udręką. Niemniej jednak tuż po pogrzebie zaczęła zapominać o jego końcowym upadku i pieścić wcześniejsze wspomnienia, wyobrażała sobie, że łączy ich niewidzialna nić, jak ta, na której wisiała pomarańcza z Niezgłębionego Zamyśłu; ta wizja przywróciła jej poczucie bezpieczeństwa, które miała, gdy mąż władał losem rodziny samym autorytetem Miśtrza. Nora poddała się gnuśności swego temperamentu, wpadała w coraz większy letarg wywołany okropnościami wojny, cierpiała na niedowład woli, który szybko się powiększał i rozwinął się w całej okazałości po owdowieniu. Nigdy nie mówiła o zmarłym w czasie przeszłym, wspominała o jego odejściu jakby od niechcienia, jakby wyjechał w długą astralną podróż. Później, gdy zaczęła porozumiewać się z nim w snach, mówiła o tym tonem kogoś, kto powtarza rozmowę telefoniczną. Jej dzieci, zawstyżone, nie chciały słyszeć o tych majaczeniach, obawiając się, że doprowadzą ją do szaleństwa. Została sama. Była obca w tym środowisku,

znała zaledwie kilka słów po hiszpańsku i bardzo się różniła wyglądem od pozostałych kobiet. Przyjaźń z Olgą skończyła się, więc z dziećmi była bardzo słaba, nie zaprzyjaźniła się z Inmaculada Morales ani żadną inną osobą z dzielnicy, była uprzejma, ale ludzie jej unikali, bo dziwnie wyglądała, nikt nie chciał słuchać jej bredni o operach lub Niezglębionym Zamyśle. Poczucie uzależnienia tak bardzo zakorzeniło się w jej umyśle, że straciwszy Charlesa Reevesa, była całkowicie zagubiona. Kilka razy próbowała zarobić pisaniem na maszynie i szyciem, ale nic z tego nie wyszło, nie mogła również tłumaczyć z rosyjskiego albo hebrajskiego, tak jak zamierzała, bo nikt w dzielnicy nie potrzebował takich usług, a perspektywa udania się do centrum miasta w poszukiwaniu pracy przerażała ją. Nie przejmowała się za bardzo utrzymywaniem dzieci, ponieważ nie do końca uważała je za swoje, wyznając teorię, że potomstwo należy do gatunku jako takiego, a nie do kogoś konkretnego. Siedziała na ganku domu i przyglądała się wierzbie, nie poruszając się całymi godzinami, z nieobecny i pogodny wyrazem na swej pięknej, słowiańskiej twarzy, która powoli zaczynała tracić barwę. W ciągu następnych lat zniknęły jej piegi, zatarły się rysy jej twarzy i cała jakby się rozplynęła. Kiedy się jeszcze bardziej zestarzała, stała się tak ulotna, że z trudem można ją było sobie przypomnieć, a ponieważ nikomu nie przyszło do głowy zrobić zdjęcie, po jej śmierci Gregory zaczął się obawiać, że być może jego matka nigdy nie istniała. Pedro Morales usiłował przekonać Norę, żeby się czymś zajęła, wyciął kilka ogłoszeń o różnej pracy i towarzyszył jej przy pierwszych rozmowach, póki nie przekonał się o jej niezdolności do przeciwstawienia się prawdziwym problemom. Trzy miesiące później, gdy sytuacja była już nie do zniesienia, zaprowadził ją do biura opieki społecznej, żeby załatwić

jej wsparcie dla ubogich, wdzięczny, że jego nauczyciel Charles Reeves nie żyje i nie może być świadkiem takiego upokorzenia. Czek z opieki społecznej, ledwie wystarczający na pokrycie minimalnych potrzeb, był jedynym stałym dochodem rodziny przez wiele lat, reszta pochodziła z pracy dzieci, banknotów, które Olga kazała wkładać do torebki Nory, i dyskretnej pomocy Moralesów. Pojawił się kupiec na węża boa i zwierzę wylądowało, wystawione na ciekawskie spojrzenia, w teatrzyku o marnej reputacji wraz z półnagimi chórzystkami, obscenicznym brzuchomówcą i innymi mało ambitnymi numerami artystycznymi, które bawiły niezbyt wymagających widzów. Tam przeżył kilka lat, karmiony myszami, żywymi wiewiórkami i resztkami jedzenia, które wrzucano mu do klatki tylko po to, żeby zobaczyć szczęki znudzonej bestii; urosł i przytył, osiągając wygląd budzący postrach, choć jego łagodny charakter nie zmienił się.

Dzieci Reevesów dawały sobie radę same, każde na swój sposób. Judy zatrudniła się w piekarni, gdzie pracowała cztery godziny dziennie po szkole, a wieczorami pilnowała dzieci albo sprzątała biura. Była bardzo dobrą uczennicą, nauczyła się podrabiać każdy charakter pisma i za rozsądną sumę odrabiała lekcje za innych uczniów. Nigdy nie została złapana na tym nielegalnym zajęciu, nadal zachowywała się jak wzorowa dziewczynka, zawsze łagodna i uśmiechnięta, nie ujawniając demonów gnieźdzących się w jej duszy, aż pierwsze objawy dojrzewania odmieniły jej charakter. Kiedy urosły jej dwie jędrne czereśnie na piersiach, zaznaczyła się talia i wyostrzyły dziecinne rysy twarzy, wszystko się zmieniło. W tej dzielnicy śniadych i raczej niskich ludzi jej złoty kolor włosów i proporcje walkirii tak rzucały się w oczy, że w żaden sposób nie mogła przejść niezauważona. Zawsze była

ładna, ale gdy przekroczyła próg dorosłości i zaczęli się do niej zalecać mężczyźni w każdym wieku i o różnym statusie, ta słodka dziewczynka zmieniła się we wściekle zwierzę. Odczuwała pożądliwe spojrzenia jako gwałt, często przychodziła do domu przeklinając, trzaskała drzwiami, czasami płakała z poczucia bezsilności, gdyż na ulicy gwizdano za nią lub wykonywano w jej kierunku wulgarne gesty. Nauczyła się kłąć jak pirat, odpowiadając na komplementy, a gdy ktoś usiłował jej dotknąć, broniła się długą szpilą od kapelusza, którą zawsze nosiła w zasięgu ręki jak sztylet, i nie wahała się przed wbiciem jej wielbicielowi w najbardziej czułe miejsce. W szkole napadała na chłopców za ich złośliwe spojrzenia, a na dziewczynki - za uprzedzenia rasowe i zazdrość, jaką nieuchronnie prowokowała. Gregory widział swoją siostrę kilka razy w czasie tych dziwnych dziewczęcych bijatyk - tarzanie się, drapanie, ciągnięcie za włosy, wyzwiska - tak różnych od bójek mężczyzn, zwykle krótkich, cichych i miażdżących. Kobiety pragną upokorzyć nieprzyjaciółkę, mężczyźni sprawiają wrażenie, że są gotowi zabić albo umrzeć. Judy nie potrzebowała pomocy przy obronie i z czasem stała się prawdziwym zapaśnikiem. Podczas gdy inne dziewczyny w jej wieku ćwiczyły pierwsze makijaże, próbowały pocałunków z języczkiem i liczyły brakujące dni do założenia wysokich obcasów, ona obcięła sobie włosy jak więzień, ubierała się w męskie stroje i pożerała łapczywie resztki słodczy i nadzienia w piekarni. Na jej twarzy pojawiły się pryszcze i gdy poszła do szkoły średniej okazało się, że tak przybyła na wadze, iż nic nie zostało z tej delikatnej, porcelanowej lalki, jaką była w dzieciństwie, wyglądała jak krowa morska, jak się sama obelżywie określała.

Gregory gdy miał siedem lat, rzucił się w wir życia ulicy. Z matką nie łączyło go żadne uczucie, zaledwie pewne wspólne

przyzwyczajenia i poczucie honoru, wzięte z budujących bajek o grzecznych dzieciach, które otrzymują nagrodę, i niegrzecznych, które kończą w piecu czarownicy. Było mu jej żal, miał pewność, że bez niego i Judy Nora umarłaby z wycieńczenia, siedząc w swym wiklinowym fotelu i wpatrując się w pustkę. Żadne z dzieci nie uważało zubożenia matki za wadę, lecz za chorobę duszy, być może jej Ciało Mentalne udało się na poszukiwanie ojca i zablądziło w labiryncie jakiejś kosmicznej płaszczyzny lub też błąkało się w jednej z tych przestrzeni, pełnych dziwacznych maszyn i zatraconych dusz. Skończyła się zażyłość z Judy i gdy Gregory w końcu zaprzestał szukać sposobu na dotarcie do niej, zastąpił swoją siostrę Carmen Morales, z którą dzielił szorstkie czułości, bójki i koleżeńską lojalność. Był niespokojny i psotny, w szkole zachowywał się fatalnie i połowę czasu zajmowało mu odsiadkiwanie rozmaitych kar, od stania w kącie w czapce z oślimi uszami aż po klapsy w tyłek od dyrektorki. W domu czuł się jak gość hotelowy, przychodził najpóźniej, jak się dało, wołał chadzać do Moralesów lub odwiedzać Olgę. Resztę czasu spędzał w dżungli, jaką stanowiła dzielnica, której w końcu wydarł najgłębsze tajemnice. Nazywali go Gringo¹ i mimo uprzedzeń rasowych wielu go lubiło za wesołość i czynność.

¹ Po hiszpańsku *Jankes*.

Miał kilku przyjaciół: kucharza w barze, gdzie przyrządzali *tacos*, który zawsze podsuwał mu coś smacznego, właścicielkę sklepiku, w którym bezpłatnie czytał komiksy, biletera w kinie, który czasami wprowadzał go tylnym wejściem i pozwalał obejrzeć film. Nawet „Podwiązany fiut”, któremu nigdy nie przyszło do głowy, że to jemu zawdzięcza swój przydomek, czasem częstował go wodą sodową w barze „U

Trzech Kumpi”. Próbując nauczyć się hiszpańskiego, zapomniał sporo z angielskiego i w końcu nie mówił dobrze żadnym językiem. Przez jakiś czas jąkał się i dyrektorka szkoły poprosiła nawet do siebie Norę Reeves, żeby jej doradzić umieszczenie syna w szkole dla opóźnionych umysłowo, prowadzonej w dzielnicy przez zakonnice, ale wtrąciła się nauczycielka, Miss June, która zobowiązała się pomagać chłopcu w lekcjach. Nauka mało go interesowała, jego światem była ulica, tam uczył się o wiele więcej. Dzielnica była enklawą w obrębie miasta, byle jak skleconym i biednym gettem, spontanicznie powstałym na obrzeżach strefy przemysłowej, gdzie przy zatrudnianiu nielegalnych imigrantów nikt nie zadawał zbyt wielu pytań. Powietrze było zatrute wonią wydzielaną przez fabrykę opon, w tygodniu dochodziły jeszcze spaliny i kuchenny dym, więc wyraźny, gęsty smog unosił się nad domami. W piątki i soboty niebezpiecznie było wychodzić o zmierzchu, bo na ulicach roiło się od pijaków i narkomanów, w każdej chwili gotowych do walki na śmierć i życie. Nocami słychać było kłótnie, krzyki kobiet, płacz dzieci, odgłosy bójek mężczyzn, czasami strzały i dźwięk policyjnych syren. W ciągu dnia na ulicach wrzała gorączkowa działalność, ale na rogach przesiadywali bezrobotni mężczyźni, zabijając nudę piciem, zaczepianiem kobiet, graniem w kości, jak przystało na pięćsetletnie poczucie fatalizmu. W sklepach sprzedawano te same tanie towary, co w każdym meksykańskim miasteczku, w restauracjach podawano typowe potrawy, a w barach *tequilę* i piwo, w sali tanecznej grano latynoamerykańską muzykę, a przy świątecznych okazjach nie brak było *mariachis*¹ w wielkich kapeluszach i paradnych strojach, śpiewających o rozpaczach i godności.

Meksykańska grupa muzyczna w charakterystycznych strojach.

Gregory, który znał wszystkich i bywał na każdej zabawie, występował z muzykami jako ich maskotka, śpiewał z nimi, wykrzykując po mistrzowsku nieuchronne „ajajaj” w refrenach piosenek, czym wywoływał entuzjazm gawiedzi, która nigdy nie widziała Jankesa o podobnych zdolnościach. Znał prawie wszystkich po imieniu, a dzięki swemu anielskiemu wyglądowi zaskarbił sobie zaufanie wielu osób. Lepiej się czuł w labiryncie uliczek, zapuszczonych kątach i opustoszałych domostwach niż we własnym domu. Bawił się tam z małymi Moralesami i sześciorgiem innych dzieci, starannie unikając spotkania z grupami starszych chłopaków. Tak samo jak dla młodych Murzynów, Azjatów czy białych w innych punktach miasta, dla Latynosów dzielnica stała się ważniejsza niż rodzina, była ich nienaruszalnym terytorium. Każdy z gangów miał własny język znaków, własne kolory, własne graffiti na murach. Złożone z na pozór takich samych, niechlujnych chłopaków, niezdolnych wyrazić jakiegokolwiek myśli, bardzo się między sobą różniły: każdy ze swoim rytuałem i symbolicznym zbiorem gestów. Dla Gregory'ego nauczenie się tych kodów było sprawą pierwszoplanową, aż w końcu potrafił odróżnić członków różnych grup po rodzaju czapek lub kurtek, po gestach, którymi przekazywali sobie wiadomości czy prowokowali do walki; wystarczał mu kolor samotnej litery na ścianie, żeby rozpoznać, kto ją namalował i co oznacza. Graffiti wytyczało granice, a kto się zapuścił, z niewiedzy lub świadomie, na cudze terytorium, drogo za to płacił. Z tego też powodu Gregory musiał sporo krążyć przy każdej wyprawie z domu. Jedynym gangiem dzieciaków w podstawówce była grupa Martineza, która nabierała wprawy przed późniejszym przystąpieniem do Rzeźników, najgroźniejszego gangu w dzielnicy. Jego

członkowie odznaczeni się fioletowym kolorem i literą C, ich napojem była *tequila* z sokiem winogronowym ze względu na kolor, a ich przywitaniem - prawa dłoń zaciśnięta jak szpon na ustach i nosie. W wiecznej wojnie z innymi bandami i policją jedynym ich celem było dać poczucie tożsamości chłopakom, z których większość porzuciła szkołę, nie miała pracy i mieszkała na ulicy lub we wspólnych pokojach. Członkowie gangów byli notowani i wiele razy przebywali w areszcie za kradzieże, przemyt marihuany, pijaństwo, napały i włamania do samochodów. Kilku chodziło uzbrojonych we własnoręcznie przerobione pistolety, wykonane z kawałka rury, drewnianego uchwytu i detonatora, ale zazwyczaj posługiwali się nożami, łańcuchami, scyzorykami i pałami; po każdej ulicznej bójce pogotowie zabierało dwóch czy trzech w ciężkim stanie. Gangi stanowiły największe zagrożenie dla Gregory'ego. Nie mógł wstąpić do żadnego, bo była to kwestia przynależności rasowej. Walka z gangiem graniczyła z szaleństwem. Nie chodziło o zdobycie sławy, lecz o przeżycie; nie mógł też stchórzyć, bo zniszczyliby go natychmiast. Wystarczyło kilka bójek, żeby zrozumiał, że samotni bohaterowie zwyciężają jedynie w filmach, że musi się nauczyć sprytnie negocjować i unikać zaczepek, nie zwracać na siebie uwagi, poznać metody wroga, żeby potem wykorzystać jego słabości; bo - jak mówił praktyczny Ojciec Larraguibel - Bóg pomaga dobrym, gdy są lepsi niż ci źli.

Mieszkanie Moralesów stało się dla Gregory'ego prawdziwym domem, do którego przychodził o każdej porze jak syn. Był po prostu jednym dzieckiem więcej w grupie, a sama Inmaculada w chwilach roztargnienia zadawała sobie

pytanie, jak im się mógł urodzić jasnowłosy syn. W tej gromadzie nikt nie uskarżał się na samotność ani nudę, dzielono się wszystkim, od trosk bytowych po jedyną łazienkę; o rzeczy doczesne wyklócano się na cały głos, ale sprawy ważne utrzymywano w rodzinnej tajemnicy zgodnie z tysiącletnim kodeksem honorowym. Nie poddawano w wątpliwość ojcowskiego autorytetu, to ja noszę spodnie, ryczał Pedro Morales za każdym razem, gdy ktoś podstawił mu nogę, ale w rzeczywistości to Inmaculada była głową rodziny. Nikt się nie zwracał bezpośrednio do ojca, woleli przejść przez matczyną biurokrację. Przy ludziach Inmaculada nie sprzeciwiała się mężowi, ale załatwiała sprawy tak, żeby wyjść na swoje. Za pierwszym razem, gdy najstarszy syn przyszedł ubrany jak alfons, Pedro Morales złał go pasem i wyrzucił z domu. Chłopak miał dość pracy za połowę wynagrodzenia i dwa razy cięższej w porównaniu z jakimkolwiek Amerykaninem. Większą część dnia spędzał z kumplami w kręgielni i w barach o złej reputacji. Pieniądzy miał tylko tyle, ile wygrał w zakładach i dostał po kryjomu od matki. Żeby uniknąć dyskusji z żoną, Pedro Morales udawał, że nie widzi, co się dzieje, ale gdy syn pojawił się w zasięgu jego wzroku wystrojony jak frant, z wytatuowaną na policzku łzą, to chwycił za pas i sprawił mu ciężkie lanie. Tej samej nocy, gdy wszyscy już spali, słychać było szept Inmaculady, starającej się zmiękczyć upór męża. Następnego dnia Pedro ruszył na poszukiwanie syna i znalazł go gdzieś na rogu, stał i zaczepiał przechodzące kobiety. Chwycił chłopca za kark, zabrał do garażu, zdarł z niego przyodziewek alfonsa, kazał włożyć spodnie ubabrane smarem i zmusił do pracy od świtu do nocy, aż zmienił go w najlepszego mechanika w okolicy. W końcu chłopak zaczął pracować we własnym warsztacie. Kiedy Pedro Morales obchodził pięćdziesiąte urodziny, jego syn,

już żonaty, z trojgiem dzieci i własnym domem na przedmieściu, kazał sobie usunąć wytatuowaną łzę z policzka jako prezent dla ojca. Została mu tylko blizna na wspomnienie okresu buntu. Inmaculada spędzała życie, harując jak niewolnica dla mężczyzn ze swojej rodziny; jako dziecko pracowała na rzecz ojca i braci, później zaś męża i synów. Wstawała o świcie, żeby przygotować obfite śniadanie dla Pedra, który bardzo wcześnie otwierał warsztat, nigdy nie podała na stół suchych tortilli, byłoby to poniżej jej godności. Przez cały dzień miała tysiące niewdzięcznych zajęć, włączając w to przygotowywanie trzech pełnych i zróżnicowanych posiłków. Była przekonana, że mężczyźni muszą dużo i dobrze jeść. Nigdy jej nie przyszło do głowy poprosić o pomoc przy szorowaniu podłóg, trzepaniu materacy czy praniu w balii odzieży roboczej któregoś ze swych czterech dorodnych synów, sztywnej od oleju. Od dwóch córek wymagała, żeby służyły mężczyznom, uważając to za ich obowiązek. Bóg zechciał, żebyśmy urodziły się jako kobiety, co za pech, jesteśmy przeznaczone do pracy i bólu, mówiła praktycznym tonem i bez cienia samoużalania się.

Już wtedy Carmen Morales była osłodą szorstkiego życia Gregory'ego Reevesa i światełkiem w chwilach oszołomienia. Miała nią pozostać na zawsze. Zręczna i niezmordowana przypominała niespokojną łasicę, odznaczała się dużym zmysłem praktycznym, jaki pomagał jej omijać srogie rodzinne obyczaje bez narażania się ojcu, który miał bardzo określoną opinię o pozycji kobiet: mają siedzieć w domu i słuchać, a nie gadać, i nie wahał się przyłożyć każdemu, kto by się przeciwstawił, także obydwu córkom. Carmen była jego ulubienicą, ale nie planował dla niej innego losu niż ten, jaki był przeznaczony grzecznym dziewczynom w jego

wiosce w Zacatecas. Pracował natomiast bez wytchnienia, żeby móc wykształcić swoich czterech synów, w których pokładał nieproporcjonalne nadzieje, pragnął dla nich o wiele lepszego losu niż ten, jaki był przeznaczony jego biednym przodkom i jemu samemu. Dzięki własnemu uporowi, świeceniu dobrym przykładem, kazaniom i karom, utrzymał rodzinę razem i udało mu się uchronić chłopców od alkoholu i złego towarzystwa, zmusić do ukończenia szkoły średniej i nauczania się różnych zawodów. Z wyjątkiem Juana José, który zginął w Wietnamie, wszyscy osiągnęli sukces. Pod koniec swoich dni Pedro Morales, otoczony przez wnuki nie mówiące słowa po hiszpańsku, gratulował sobie potomstwa, dumny, że jest pniem tego szczepu, choć żartował, że żaden z nich nie stał się gwiazdą ani milionerem. Carmen była najbliżej sukcesu i uznania, ale publicznie nigdy by tego nie przyznał, stanowiłoby to bowiem pogwałcenie jego zasad *machismo*. Posłał obie dziewczynki do szkoły, bo taki był obowiązek. Zależało mu, żeby się uczyły, ale nie oczekiwał, że potraktują naukę serio. Chciał tylko, żeby nauczyły się prac domowych, pomagały matce i pilnowały dziewictwa do dnia ślubu - jedyne go celu życia przyzwoitej panienki.

- Ja nie mam zamiaru wyjść za mąż, chcę pracować w cyrku przy tresurze zwierząt i na wysokim trapezie, żeby huścić się głową w dół i pokazywać wszystkim majtki - szepotała w tajemnicy Carmen Gregory'emu.

- Moje córki będą dobrymi matkami i żonami albo pójdą do klasztoru - wykrzykiwał Pedro Morales za każdym razem, gdy ktoś przychodził z plotką o pannie, która zachodziła w ciążę przed ukończeniem szkoły średniej.

- Niech znajdą dobrych mężów, błogosławiony Święty Antoni! - modliła się Inmaculada Morales, wieszając figurkę

świętego do góry nogami, żeby go zmusić do wysłuchania jej skromnych próśb. Zdawała sobie sprawę, że żadna z córek nie ma zakonnego powołania, ale nie chciała nawet dopuścić do siebie myśli o tragedii, jaką byłoby dla wszystkich, gdyby zachowywały się jak te puszczałskie, które zabawiały się bez ślubu i zostawiały sterty prezerwatyw na cmentarzu.

Lecz to wszystko działo się dużo później. Gdy Carmen i Gregory zawarli swój pakt braterstwa w szkole podstawowej, nie mówiono jeszcze o tych sprawach i nikt się nie zastanawiał, czy można pozwalać im na zabawę bez nadzoru. Wszyscy tak przywykli do ich widoku razem, że później, gdy oboje byli w pełni okresu dojrzewania, Moralesowie bardziej ufali Gregory'emu niż własnym synom, że będzie odprowadzał Carmen. Gdy dziewczyna prosiła o pozwolenie na pójście na zabawę, pierwsze pytanie brzmiało, czy Gregory też idzie, jeśli tak, rodzice byli spokojni. Od pierwszego dnia przygarnęli go bez oporów i w ciągu kolejnych lat pozostali głusi na nieuniknione plotki sąsiadek. Wbrew wszelkiemu doświadczeniu i logice, byli przekonani o czystości uczuć młodych. Trzydzieści lat później, kiedy Gregory zostawił miasto na zawsze, miał tęsknić tylko za jednym: za domem Moralesów.

Skrzynka Gregory'ego z przyborami do czyszczenia butów zawierała pastę czarną, brązową, żółtą i bordową, ale brakowało mu jeszcze bezbarwnej, do skóry szarej, niebieskiej - równie modnej - i tej do maskowania zarysowań. Miał zamiar zebrać pieniądze na skompletowanie swoich narzędzi pracy, ale brakowało mu silnej woli, ilekroć na ekranach pojawiał się nowy film. Kino było jego skrytym nałogiem, w

ciemności stawał się jednym z wielu hałaśliwych malców. Przychodził na wszystkie seanse do dzielnicowego kina, gdzie puszczano filmy meksykańskie, a w soboty wybierał się z Juanem José i Carmen do centrum miasta, żeby obejrzeć amerykańskie. Widowisko kończyło się zwykle, gdy bohater stał przywiązany za ręce i nogi do beczki pełnej prochu, a czarny charakter podpalał lont; w kulminacyjnej chwili gasł ekran i jakiś głos zapraszał do obejrzenia dalszego ciągu w następną sobotę. Czasami Gregory czuł się tak nieszczęśliwy, że chciał umrzeć, ale odkładał samobójstwo do następnego tygodnia, nie mogąc opuścić tego świata, zanim, u diabła, nie dowie się, w jaki sposób bohater ucieka z pułapki. Ratował się zawsze, zdumiewające, że potrafił przeczłgać się wśród płomieni i wyjść bez szwanku, w kapeluszu na głowie i nieskalanym ubraniu. W trakcie filmu Gregory przenosił się w inny wymiar, na kilka godzin stawał się Zorrem lub Samotnym Kowbojem, spełniały się wszystkie jego marzenia, dobry bohater leczył się z uderzeń i ran w cudowny sposób, uwalniał się z więzów i pułapek, własnymi siłami pokonywał nieprzyjaciół i zdobywał dziewczynę, całując się z nią na pierwszym planie, podczas gdy za ich plecami świeciło słońce lub księżyc i słychać było tęskną muzykę wiatru i smyczków. Nie trzeba się było niczym przejmować, filmy były inne niż życie w dzielnicy, w kinie zdarzały się tylko przyjemne niespodzianki, dobry zawsze zwyciężał złego, a ten ostatni płacił za zbrodnie śmiercią albo więzieniem. Czasami przyznawał się do winy i po nieuniknionych upokorzeniach wyznawał grzechy i odjeżdżał w takt muzyki, zwykle był to odgłos trąbek i bębnow. Gregory czuł wtedy, że życie jest piękne, a Ameryka *ziemią i domem dla wolnych i odważnych ludzi*, gdzie ktoś taki jak on mógłby zostać prezydentem; wszystko zależy od utrzymania serca w czystości,

miłości do własnej matki i do Boga, zachowania wierności jednej narzeczonej, przestrzegania prawa, obrony słabszych i pogardzie dla pieniędzy, gdyż bohaterowie nigdy nie oczekują nagrody. Jego wątpliwości znikają w tym wspaniałym czarno-białym wszechświecie. Wychodził z kina pogodzony z życiem i pełen dobrych intencji, co trwało kilka minut, ulica przywracała mu poczucie rzeczywistości. Olga postanowiła wyjaśnić mu, że filmy kręci się w Hollywood, niedaleko jego własnego domu, i że wszystko to stanowi monumentalne kłamstwo. Prawdziwe są jedynie tańce i śpiewy w komediach muzycznych, resztę wyczarowuje się kamerą. To odkrycie nie zdołało jednak zakłócić fantazji chłopca. Pracował daleko od domu, w dzielnicy biur, barów i małych sklepików. Obszarem jego działania było pięć przecznic, które przemierzał w obu kierunkach, oferując swoje skromne usługi ze wzrokiem wbitym w ziemię, obserwując buty ludzi, tak zużyte i zdeformowane jak u jego latynoskich sąsiadów. Tam również nikt nie używał nowego obuwia, poza niektórymi członkami gangów i przemytnikami, którzy nosili lakierowane mokasyny, kowbojki ze srebrnymi wstawkami lub bardzo trudne do czyszczenia dwukolorowe obuwie. Zgadywał, z kim ma do czynienia po sposobie chodzenia i rodzaju butów: Latynosi nosili czerwone na obcasie, Murzyni i Mulaci woleli żółte o ostrych czubkach, Chińczycy mieli małe stopy, biali podniesione czubki i starte obcasy. Czyszczenie nie sprawiało trudności, najtrudniej było znaleźć klienta gotowego wydać dziesięć centów i poświęcić pięć minut wyglądowi swojego obuwia. W czystych butach wszędzie wejdiesz!, wykrzykiwał do utraty tchu, ale niewielu zwracało na niego uwagę. Gdy miał trochę szczęścia, zarabiał pięćdziesiąt centów dziennie, cenę skręta z marihuaną.

Po kilku wypalonych trawkach doszedł do wniosku, że nie warto przez tyle godzin czyścić butów, żeby wydawać pieniądze na świństwo, po którym wywraca mu się żołądek, a w głowie huczy jak w bębnie; przy kumplach, żeby nie wyjść na głupka, udawał, że doznaje niebiańskiej rozkoszy, jak zapewniali inni. Meksykanie, którzy widzieli marihuanę porastającą obrzeża pól w ich kraju, uważali ją za chwast, ale dla Jankesów palenie jej było oznaką męstwa. Chłopcy z dzielnicy naśladowali białych, no i żeby zrobić wrażenie na blondynkach. Nie mogąc palić trawki, Gregory chodził z papierosem przyklejonym do ust, jak to podpatrzył u czarnych charakterów w filmach. Nabrał takiej praktyki, że potrafił rozmawiać, żując gumę i nie wyjmując papierosa z ust. Kiedy musiał udawać *macho* przed przyjaciółmi, wyciągał fajkę domowej roboty i nabijał ją mieszanką własnego pomysłu: resztkami tytoniu z papierosów zebranych na ulicach, odrobiną trocin i zmieloną aspiryną, która według obiegowej opinii przyprawiała o odłot, nie mniejszy niż każdy ze znanych narkotyków. W soboty pracował przez cały dzień i zwykle zarabiał trochę ponad dolara. Oddawał matce prawie całą sumę, zostawiając sobie dziesięć centów na kino, a czasami jeszcze pięć, żeby je wrzucić do skarbonki dla misjonarzy w Chinach. Temu, kto uzbierał pięć dolarów, proboszcz wręczał zaświadczenie o adopcji chińskiej dziewczynki, ale najlepiej było zebrać dziesięć, co dawało prawo do chłopczyka. Niech Bóg cię błogosławi, mówił ksiądz, gdy Gregory przychodził ze swoimi pięcioma centami. Pewnego razu Bóg nie tylko go pobłogosławił, ale też wynagrodził portfelem z piętnastoma dolarami, który leżał na cmentarzu tak, jakby on właśnie miał go odnaleźć. Było to ulubione miejsce wieczornych schadzek, pary chowały się między grobami, żeby móc się zabawiać do woli, podpatrywane przez dzieci z

dzielnicy, które za nic by sobie nie darowały podobnego spektaklu. Ale tu strasznie, tu chyba błąkają się dusze, wzdragały się kobiety, biorąc zduszone śmiechy dzieciaków podglądających miłosne igraszki za szepty duchów, ale i tak pozwalały zdrzeć sobie sukienki i przewrócić między płyty nagrobkowe i krzyże. Nasz cmentarz jest najlepszy w mieście, o wiele ładniejszy niż ten milionerów i aktorek z Hollywood, na którym są tylko trawa i drzewa, wygląda jak pole golfowe, a nie miejsce wiecznego spoczynku, kto to widział, żeby zmarli nie mieli nawet pomnika do towarzystwa, mówiła Inmaculada Morales, choć naprawdę jedynie bogaci mogli zafundować sobie mauzoleum i kamienne anioły, imigrantów stać było zaledwie na nagrobek z najprostszą inskrypcją. W listopadzie, w Święto Zmarłych, imigranci odwiedzali swoich nieżyjących krewnych, których nie mogli pochować w rodzinnej ziemi, przynosząc ze sobą gitary, papierowe kwiaty i słodycze. Od wczesnych godzin rannych słychać było piosenki, brzmienie gitar i toasty, a o zmierzchu wszyscy byli wstawieni, nawet dusze czyścicowe, dla których zraszano ziemię *tequila*. Dzieci Reevesów chodziły na cmentarz z Olgą, która kupowała im czaszki i szkielety z cukru, żeby je zjadły na grobie ojca. Nora zostawała w domu, mówiąc, że nie lubi tych pogańskich świąt, które są tylko dobrym pretekstem do hulanki i pijaństwa, ale Gregory podejrzewał, że prawdziwa przyczyna tkwiła w chęci uniknięcia spotkania z Olgą. Może też nie chciała przyznać, że jej mąż spoczywa na cmentarzu, dla niej Charles Reeves znajdował się w innym wymiarze, zajęty Niezglębionym Zamysłem. Portfel z piętnastoma dolarami leżał pod krzakami. Gregory szukał pajaków ziemnych, bardziej interesowały go wtedy cudowne pułapki na owady utkane przez pająki i ich kokony z setkami miniaturowych małych, niż niezgrabne tarzanie się i niezrozumiałe

jęki kochających się par. Zbierał też walające się tu i tam baloniki z białej gumy, które po nadmuchaniu przybierały kształt długich parówek. Gdy się pochylił nad dziurą w ziemi, dojrzał portfel, załomotało mu serce i skronie, po raz pierwszy znalazł coś wartościowego i nie wiedział, czy to dar niebios, czy diabelska pokusa. Rozejrzał się, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma, szybko schował portfel i pobiegł ukryć się za mauzoleum, żeby obejrzeć swój skarb. Otworzył go drżącymi rękami i wyjął trzy wspaniałe banknoty pięciodolarowe, więcej pieniędzy niż widział w całym swoim życiu. Pomyślał, że Ojciec Larraguibel, powiedziałby, że to Pan umieścił tam portfel, chcąc sprawdzić, czy Greg zatrzyma sobie łup czy też odda do skarbonki misjonarzy, żeby za jednym zamachem zaadoptować dwoje dzieci. W całej szkole nikt nie był taki bogaty, żeby zapłacić za dwoje Chińczyków różnej płci, przyniosłoby mu to sławę, niemniej jednak uznał, że rower będzie o wiele bardziej praktyczny niż dwa stworzenia na końcu świata, których i tak nigdy by osobiście nie poznał. Od kilku miesięcy miał upatrzony rower: jeden z sąsiadów Olgi zaoferował mu go za dwadzieścia dolarów, sumę bardzo wygórowaną, ale miał nadzieję, że na widok banknotów zmięknie. Był to stary model w pożałowania godnym stanie, ale mógł jeszcze jeździć. Należał do Indianina wiodącego nędzny żywot przemytnika. Gregory bał się typu, gdyż ten pod byle pretekstem zapraszał go do garażu, gdzie usiłował włożyć mu rękę w spodnie. Poprosił więc Olgę, żeby z nim poszła.

- Nie pokazuj forsy, nie odzywaj się i zostaw to mnie - rozkazała. Targowała się z taką wprawą, że za dwanaście dolarów i amulet przeciwko urokowi dostali rower. - Te trzy pozostałe dolary dasz swojej matce, słyszysz? - rzekła przy pożegnaniu.

Uszczęśliwiony, ruszył pedałując środkiem ulicy i nie zauważył ciężarówki z napojami, która nadjechała z przeciwnika. Zderzyli się czołowo. Cudem nie został zmiażdżony, ale z roweru pozostały kawałki skręconego metalu i szprychy. Kierowca klnąc wyskoczył z ciężarówki, złapał go za koszulę, postawił na nogi, potrząsnął jak szczeniakiem i wręczył dolara na otarcie łez.

- Ciesz się, przeklęty gówniarzu, że cię nie wsadzę do więzienia za jazdę po ulicy z otwartą gębą! - wrzasnął kierowca bardziej przestraszony niż jego ofiara.

- Nigdy nie widziałam większego głupka od ciebie, powinieneś zażądać od niego przynajmniej dwóch dolarów - natarła na niego Judy.

- To jest kara za to, że jesteś nieposłuszny, tysiąc razy ci mówiłam, żebyś nie laził na cmentarz, źle zdobyte pieniądze nie służą dobrym celom - orzekła Nora Reeves, dezynfekując mu alkoholem otarcia na kolanach i łokciach.

- Święty Jezu, dobrze, że uszedłeś z życiem - przytuliła go Inmaculada Morales.

Zdobycie pieniędzy stało się obsesją Gregory'ego. Był gotów robić wszystko, nawet wyłuskiwać ziarna z kolb kukurydzy na tortille. Była to żmudna praca, po której schodziła skóra z dłoni, a zapach przyprawiał o mdłości. Potem zdecydował się kraść, ale nigdy nie przyszło mu do głowy kraść pieniądze. Traktował to jak przygodę, sport, a nie sposób na życie. Nocami wlaził przez dziurę w płocie do szkoły, wspinał się na dach kiosku ze słodyczami, podwładał cynkową płytę i wślizgiwał się do środka, żeby ukraść lody, brał dwa lub trzy i zanosił część Carmen. Te nocne wyprawy powodowały u niego mieszaninę uniesienia i poczucia winy, sztywne zasady uczciwości, wpojone mu przez matkę, przyprawiały o ból głowy, czuł się łajdakiem nie dlatego, że im się sprzeniewierzał,

ale dlatego że właścicielka kiosku była dobroduszną kobietą, zawsze gotową podarować mu coś słodkiego. Pewnej nocy kobieta wróciła do sklepu, szukając czegoś, zapaliła światło, zanim zdążył uciec, i zaskoczyła go z dowodem przestępstwa w ręku. Stał sparaliżowany, podczas gdy ona krzyczała, jak możesz mi to robić, mnie, która byłam dla ciebie taka dobra! Gregory zaczął płakać, prosząc o wybaczenie i przysięgając zapłacić za wszystko, co jej ukradł. Jak to?! To nie pierwszy raz? Musiał wtedy wyznać, że jest jej winien przynajmniej sześć dolarów za skradzione lody. Od tego dnia zbliżał się do niej tylko po to, żeby stopniowo oddawać pieniądze. Mimo że kobieta mu wybaczyła, nie umiał zachowywać się przy niej swobodnie. Gorzej poszczęściło mu się w sklepie z artykułami z wojskowego demobilu, gdzie kradł nieprzydatne do niczego łupy wojenne. W składziku z narzędziami układał swoje skarby w worku: manierki, guziki, czapki, a nawet parę ogromnych buciorów, które po kryjomu wyniósł w tornistrze, nie podejrzewając, że właściciel sklepu ma go na oku. Pewnego dnia ukradł latarkę, włożył ją sobie pod koszulę i zmierzał do drzwi, kiedy nadjechał policyjny patrol. Ucieczka była niemożliwa, zaarrestowano go i umieszczono w celi, z której mógł widzieć straszliwe lanie, jakie policjanci sprawili śniademu chłopakowi. Przerażony czekał na swoją kolej, ale jego potraktowano dobrze, ograniczając się do spisania danych i udzielenia mu reprymendy. Kazano mu też oddać wszystko, co trzymał w domu. Policja poszła po Norę Reeves, choć błagał niemal histerycznie, żeby tego nie robili, bo złamią jej serce. Przyszła po niego w swojej niebieskiej sukience z koronkowym kołnierzykiem jak postać, która zeszała ze starego portretu, podpisała protokół, wysłuchała w milczeniu zarzutów i bez słowa wyszła, prowadząc

syna. Ciesz się, że jesteś biały, Greg, gdybyś był koloru moich synów, strasznie by cię sprali, powiedziała mu Inmaculada Morales, gdy się dowiedziała. Norze było tak wstyd, że zamilkła na kilka tygodni, a gdy się odezwała, kazała mu się umyć i założyć jedyny garnitur, ten z pogrzebu ojca, który był już na niego za ciasny, bo pójdą załatwić ważną sprawę. Zaprowadziła go do sierocińca prowadzonego przez siostry zakonne, gdzie poprosiła matkę przełożoną, żeby go przyjęła, bo sama nie jest zdolna wychować własnego syna o niedobrym charakterze. Stojąc za matką z oczami wbitymi w czubki butów, mamrotał: nie będę płakał, nie będę płakał, a łzy płynęły mu strumieniami. Gregory przysiągł sobie, że jeśli go tam zostawi, wejdzie na kościelną wieżę i rzuci się z niej. Nie było to konieczne, gdyż zakonnice go nie przyjęły, jest za dużo sierot, a on ma rodzinę, mieszka w domu i otrzymuje zasiłek z opieki społecznej, nie kwalifikuje się więc do sierocińca. Cztery dni później matka spakowała rzeczy do torby i zawiozła go autobusem poza miasto, do domu farmerów gotowych go zaadoptować. Pożegnała syna smutnym pocałunkiem w czoło, zapewniając, że będzie pisać, i odeszła, nie oglądając się za siebie. Tego wieczoru Gregory zasiadł do kolacji ze swoją nową rodziną, nie odzywając się i nie podnosząc wzroku, myśląc o tym, że nikt nie nakarmi Olivera, że nigdy więcej nie ujrzy Carmen Morales i że zostawił swój scyzoryk w składziku.

- Nasz jedyny syn umarł jedenaście lat temu - powiedział farmer - My jesteśmy dziećmi Bożymi, ludźmi pracy. Tu nie będziesz miał czasu na zabawy, szkoła, kościół i pomoc w polu, to wszystko. Ale jedzenie jest dobre i jeśli będziesz grzeczny, włos ci z głowy nie spadnie.

- Jutro ci zrobię budyń śmietankowy - powiedziała kobieta. - Pewnie jesteś zmęczony i chcesz się położyć. Pokażę

ci twój pokój, należał do naszego syna, nic nie zmieniliśmy, odkąd odszedł.

Po raz pierwszy Gregory miał własny pokój i łóżko, do tej pory spał w śpiworze. Pokoik był mały, z oknem wychodzącym na uprawne pola, umeblowany tylko niezbędnymi sprzętami. Na ścianach wisiały zdjęcia dawnych graczy w baseball i starych samolotów wojennych, zupełnie innych od pokazywanych we współczesnych filmach dokumentalnych w kinie. Obejrzał wszystko, nie ośmielając się niczego dotknąć; myślał o ojcu, wężu boa, naszyjnikach Olgi na niewidzialność, kuchni Inmaculady, o Carmen Morales i mdłym smaku mleka skondensowanego, czując, że w piersi rośnie mu wielka zimna kula. Począł, aż cały dom zaśnie, siedząc na łóżku z torbą swoich skromnych rzeczy na kolanach, po czym wyszedł po cichu, zamykając dokładnie drzwi. Psy zaczęły ujadać, ale nie zwracał na nie uwagi. Skierował się do miasta tą samą drogą, którą przyjechał autobusem i którą zdążył zapamiętać. Szedł przez całą noc i o świcie zjawiał się wyczerpany u drzwi domu. Oliver przywitał go z hałaśliwą radością, Nora Reeves pojawiła się na progu, wzięła rzeczy syna i wyciągnęła drugą rękę, żeby go pogłaskać, ale gest zawisł w powietrzu.

- Postaraj się szybko dojrzeć - to było jedyne, co powiedziała.

Tego popołudnia Gregory'emu przyszło do głowy zmierzyć się z pędzącym pociągiem.

Biegnę na wzgórze, za mną Oliver, szukam drzew, dyszę, gałęzie drapią mnie po nogach, przewracam się i kaleczę w kolano, gównu, krzyczę, gównu, i pozwalam, żeby pies zlizał mi krew, prawie nie widzę, gdzie stawiam nogi, ale dalej

biegnę do mojej zielonej kryjówki, gdzie zawsze się chowam. Nie muszę szukać znaków na pniach, żeby znaleźć drogę, byłem tam tyle razy, że mogę dojść po omacku, znam każdy eukaliptus, każdy krzak dzikich jeżyn, każdą skałę. Unoszę gałąź i odkrywam wejście, wąski tunel pod kolczastym krzakiem, chyba była to kiedyś lisia nora, dokładnie na szerokość mojego ciała; jeśli się wczółgam na łokciach, ostrożnie się wślizgnę, dobrze obliczając zakręt, z twarzą schowaną w ramiona, to uda mi się wejść i nie pokłuć, na zewnątrz Oliver czeka aż go zawołam, zna obyczaj. W tygodniu padało i ziemia rozmiękła, jest zimno, ale ja od wielu godzin czuję gorączkę w całym ciele, od poranka w schowku na miotły, czuję ogień, który nigdy nie ugaśnie, jestem pewien. Coś mnie chwytą z tyłu i wyrzywa mi się okrzyk, ale to tylko kolce gałęzi zaczepiają o koszulę. Tak mnie dopadł Martinez, od tyłu, jeszcze czuję czubek noża na szyi, ale wydaje się, że już nie krwawię, jeśli się poruszysz, to cię zabiję, ty skurwysynu, ty jankeski chuju, i nie mogłem się obronić, mogłem tylko płakać i przeklinać, gdy on mi to robił. Jak pobiegiesz poskarżyć się Miss June, to potnę twarz twojej siostrze, i już wiesz, co zrobię tobie, powiedział mi później, poprawiając spodnie. Odszedł śmiejąc się. Jeśli reszta się dowie, mam przesrane, będą mnie nazywać pedałem do końca życia. Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć! A jeśli Martinez rozpowie? Muszę go zabić! Mam ręce, ubranie i twarz ubabrane błotem, matka się wścieknie, lepiej, żebym wymyślił jakąś wymówkę: wpadłem pod samochód albo znowu dopadli mnie ci z gangu, ale nagle przypominam sobie, że nie będzie trzeba wymyślać żadnego kłamstwa, bo przecież umrę, a kiedy odnajdą moje ciało, matka nie będzie się przejmowała brudem, mam nadzieję, będzie rozpaczać, myśleć nie o moich

złych uczynkach, ale o dobrych, o tym, że zmywam naczynia i oddaję prawie całe pieniądze zarobione na czyszczeniu butów, i w końcu zda sobie sprawę z tego, że jestem dobrym synem, i zacznie żałować, że nie miała dla mnie więcej czułości, że chciała oddać mnie zakonnicom i farmerom i że nie zrobiła mi ani razu jajecznicy na śniadanie, a przecież to wcale nie jest trudne, pani Inmaculada to potrafi z zamkniętymi oczami, pożałuje, ale za późno, bo ja będę już martwy. W szkole zrobią apel, oddadzą mi cześć jak Zaratemu, który utopił się w morzu, powiedzą, że byłem najlepszym kolegą i miałem przed sobą wielką przyszłość, ustawią uczniów w szeregu i zmuszą do przejścia przed moją trumną i całowania mnie w czoło, najmłodszy się rozpłaczą, a dziewczyny na pewno pomdleją, kobiety nie znoszą widoku krwi, wszystkie będą ryczeć oprócz Carmen, która obejmie moje zwłoki bez wstrętu. Oby Miss June nie przyszło do głowy odczytać na pogrzebie listu, który do niej napisałem, o rany, po co to zrobiłem, nie będę mógł nigdy więcej spojrzeć jej w oczy, jest niezła, wygląda jak wróżka albo aktorka filmowa, gdyby ona wiedziała, o czym myślę na lekcjach, stoi na przodzie, tłumacząc dodawanie przy tablicy, a ja w ławce patrzę na nią jak krety, z głową w chmurach, kto przy niej może myśleć o liczbach! Wyobrażam sobie na przykład, że mówi mi: pomogę ci w lekcjach, Greg, bo masz fatalne stopnie, więc zostaję po lekcjach, wszyscy wychodzą i zostajemy sami w budynku, ona kładzie się na plecach, a ja nie mówię, że zwariowała, ani nic w tym stylu, tylko siusiam między jej nogi. Nigdy, przenigdy nie wyznam księdzu tych świństw, jakie sobie wyobrażam, jestem plugawym degeneratem. Napisać taki list pożegnalny do Miss June! Trzeba być dobrze pieprzonym. No, ale przynajmniej nie będę musiał wstydzić się,

kiedy ją zobaczę, będę całkiem martwy, kiedy ona to przeczyta. A Carmen, biedna Carmen... jednego tylko mi żal: że kiedy umrę, więcej jej nie zobaczę. Gdyby wiedziała, co mi zrobił Martinez, byłaby przy mnie i umarlibyśmy razem, ale tego nie mogę nikomu opowiedzieć, a już szczególnie jej.

To, co mi zrobił Martinez, to najgorsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu, straszniejsza niż to, że podczas Pierwszej Komunii zmusił mnie do zjedzenia kawałka chleba przed przyjęciem hostii, żeby w trakcie przyjmowania trafił mnie piorun i żebym poszedł do piekła; ale nic mi się nie stało, nic nie poczułem, bo grzech nie był mój, tylko jego, i to on, nie ja, będzie się smażył w szatańskim kotle za przywiedzenie mnie do grzechu, bo to jest gorsze niż sam grzech, jak nam tłumaczył Ojciec Larraguibel, opowiadając o Adamie i Ewie. Musiałem wtedy pięćset razy napisać: nie będę bluźnił, bo powiedziałem księdzu, że to Bóg zgrzeszył, bo to On umieścił jabłko w rajskim ogrodzie, wiedząc, że Adam i tak je zje, a co to było, jeśli nie przywiedzenie do grzechu? Czuję się gorzej niż wtedy, gdy Martinez rozebrał mnie w szkole i schował mi ubranie, gdyby nie przyszła sprzątaczką i mi nie pomogła, to spędziłbym noc w łazience i następnego dnia cała szkoła oglądałaby mnie na golasa. Gorzej niż wtedy, gdy wykrzyczał na podwórku, że widział, jak bawiłem się w doktora z Ernestina Pereda. Nienawidzę go, w najgłębszych zakamarkach swojej duszy nienawidzę go, oby umarł, ale nie od choroby, tylko lepiej niech ktoś go zabije, ale najpierw niech mu utnie fiuta, żeby łajdak Martinez zapłacił mi za wszystko, nienawidzę go, nienawidzę.

Już jestem w swojej kryjówce, gwizdzę na Olivera i słyszę, jak się czołga tunelem, obejmuję go, a on spokojnie

siada, ziejąc, z wywieszonym językiem, patrzy na mnie miodowymi oczami i rozumie mnie, on jeden zna wszystkie moje tajemnice. Oliver jest dość brzydkim psem, Judy go nie znosi, jest mieszańcem, ogon ma długi i gruby jak kij baseballowy. Poza tym jest chytry, gryzie ubrania, tarza się w odchodach innych psów i potem włazi do łóżka, lubi walczyć i czasami przychodzi cały pogryziony, ale jest ciepły i gdy nie wytarza się w różnych świństwach, ładnie pachnie. Wtulam nos w jego szyję, z wierzchu ma krótki i twardy włos, blisko skóry odnajduję delikatne futro, jak wata, i tam lubię go wachać, nie ma nic lepszego niż psi zapach. Słońce zachodzi, budzą się cienie, robi się zimno, to jeden z tych rzadkich zimowych wieczorów, i choć cały płonę, czuję, że lodowacieją mi uszy i ręce, dojmujące uczucie. Postanawiam, że nie podetnę sobie gardła scyzorykiem, tak jak planowałem, umrę z zimna, zamarznię powoli w nocy i rano będę sztywny, śmierć powolna, ale spokojniejsza niż pod kołami pociągu. To był mój pierwszy pomysł, ale zawsze, kiedy przebiegam przed pociągiem, to tchórzę, skaczę w ostatniej chwili i ledwo zdążam. Nie wiem, ile razy tego próbowałem, i nie mogę się zdecydować na taką śmierć, musi bardzo boleć, a poza tym niedobrze mi na widok rozrzuconych flaków, nie chcę, żeby zbierali mnie łopata ani żeby jakiś dowcipniś zatrzymał sobie moje palce na pamiątkę. Odpycham Olivera, żeby mnie nie grzał, bo inaczej nigdy nie zamarznię, trochę kopię w ziemi, żeby się lepiej ułożyć i kładę się na plecach. Leżę nieruchomo i czuję jeszcze ten ból - przeklęty Martinez, obrzydliwy pedał - mam głowę pełną myśli, wizji, słów, ale po długiej chwili kończą mi się lzy i zaczynam oddychać normalnie, czuję wtedy, że miękka i świeża ziemia przygarania mnie jak pani Inmaculada, zagłębiam się, odpływam i

myślę o planecie, okrągłej, unoszącej się lekko w czarnej otchłani kosmosu, wirującej wciąż, a także o gwiazdach Drogi Mlecznej i o tym, jaki będzie koniec świata, kiedy wszystko wybuchnie i cząsteczki wylecą w kosmos jak fajerwerki na 4 Lipca; czuję, że jestem częścią ziemi, jestem zrobiony z tego samego surowca, kiedy umrę, rozpadnę się, zamienię się w okruchy i stanę się ziemią, a z mego ciała wyrosną drzewa. Nagle myślę, że nie jestem sam we wszechświecie, nawet nie jestem czymś szczególnym, zaledwie grudką błota, być może nie mam własnej duszy, bo istnieje tylko jedna wspólna dusza dla wszystkich żyjących istot, nawet dla Olivera; niebo, czyściec i piekło nie istnieją, to wymyślił ksiądz, któremu ze starości zmaćił się umysł, a Logi i Naczytiele mojego taty też nie istnieją, jedyna osoba mniej więcej bliska prawdy to moja mama ze swoim bahaizmem, chociaż ona zaplątała się w jakieś gówniane sprawy, może dobre w Persji, a nie do wykorzystania tutaj. Myśl o tym, że jestem cząsteczką, ziarnkiem kosmicznego piasku, podoba mi się. Miss June mówi, że błędzące ogony komet składają się z gwieźdnego piasku, miliardów kamyczków odbijających światło. Ogarnia mnie głęboki spokój, zapominam o Martinezie, strachu, bólu i schowku na miotły, czuję się spokojny, wznoszę się i lecę, z oczami zwróconymi w gwieźdną pustkę, lecę, lecę z Oliverem.

Carmen Morales od najmłodszych lat wykazywała te same zdolności manualne, którymi miała się odznaczać przez całe życie. Każdy przedmiot w jej rękach tracił swą pierwotną formę i zmieniał się w coś innego. Potrafiła robić naszyjniki z makaronu, żołnierzy z kartoników wyjętych z rolek papieru toaletowego i zabawki ze szpilek i pudełek po zapalkach.

Pewnego dnia, bawiąc się trzema jabłkami, odkryła, że potrafi bez trudności podrzucać je w powietrze, niebawem żonglowała pięcioma jajkami, a wkrótce i bardziej egzotycznymi przedmiotami.

- Czyszczenie butów jest męczące i mało się zarabia, Greg. Naucz się, jakiejś sztuczki i pracujmy razem. Potrzebuję współnika - zaproponowała przyjacielowi.

Olbrzymia liczba rozbitych jaj wykazała pełną niezdarność Gregory'ego. Nie potrafił nauczyć się żadnej interesującej sztuczki poza poruszaniem uszami i zjadaniem żywych much. Miał za to dobry słuch i grał na organkach. Oliver okazał się pojętniejszy, nauczyli go chodzić na dwóch łapach z kapeluszem w pysku i wyjmować papierki z pudełka. Początkowo je zjadał, ale później nauczył się delikatnie oddawać klientowi. Carmen i Gregory przygotowali się dokładnie do spektaklu i zniknęli z zasięgu wzroku przyjaciół i sąsiadów, wiedząc, że jeśli wiadomość dojdzie do uszu Pedra lub Inmaculady Moralesów, nikt ich nie wybroni od tęgiego lania, jakie już raz oberwali, gdy wpadło im do głowy żebrać w dzielnicy. Dziewczynka przygotowała spódnicę z różnokolorowych chust, czapkę zwieńczoną pióropuszem z kurzych piór i pożyczyła żółte buty od Olgi. Gregory wykradł cylinder i muszkę, których używał jego ojciec, a Nora przechowywała jak relikwie. Poprosili Olgę o pomoc przy pisaniu kartek na szczęście, zapewniając ją, że to. na zabawę na koniec roku szkolnego; ona spojrzała na nich przenikliwie, ale nie zażądała wyjaśnień i podyktowała listę przepowiedni w stylu tych, które są w chińskich ciasteczkach szczęścia. Schowali do torby jajka, świece i pięć kuchennych noży, nie mogli wyjść z domu, z czymś takim w ręku, nie wzbudzając podejrzeń. Wykąpali Olivera pod strumieniem wody z gumowego węża i zawiązali na szyi wstążkę, chcąc choć trochę złagodzić

jego wygląd drapieżnej bestii. Zatrzymali się na rogu ulicy, w miarę daleko od domu, założyli cyrkowe ubrania i rozpoczęli spektakl. Dość szybko zebrał się tłumek wokół pary dzieci i psa. Carmen ze swoim drobnym ciałem, ekscentrycznym ubraniem i niebywałą zręcznością w żonglowaniu zapalonymi świecami i ostrymi nożami okazała się wielką atrakcją. Gregory fałszował na organkach. Podczas przerwy w żonglowaniu przestał grać i zaproponował gapiom spróbować szczęścia. Za niewygórowaną sumę pies wyciągał złożoną i trochę zaślinioną, ale czytelną karteczkę i przekazywał ją klientowi. W kilka godzin dzieciaki zebrały tyle pieniędzy, ile wynosiła dniówka robotnika w którejkolwiek okolicznej fabryce. Z zapadnięciem zmierzchu zdjęli przebrania, podzielili i spakowali sprzęt, po czym wrócili do domu, przysięgając sobie, że nawet na torturach nie wyznają prawdy. Carmen zakopała swój łup w pudełku na podwórku, a Gregory stopniowo, żeby uniknąć niewygodnych pytań, oddawał swój matce, zachowując sobie część na kino.

- Wyobraź sobie, ile możemy dostać na placu Pershinga, jeśli zarobiliśmy tyle tutaj. Będziemy milionerami. Tam przychodzi wiele ludzi, żeby posłuchać różnych wariatów, a wielu bogaczy wchodzi i wychodzi z hotelu - powiedziała Carmen.

Taka bezczelność nie przeszła Gregory'emu przez głowę. Istniała dla niego niewidzialna granica, której osoby jego stanu nie przekraczały; po drugiej stronie świat był inny, mężczyźni spieszyli się, zaabsorbowani pracą i najbliższymi planami, kobiety spacerowały w rękawiczkach, sklepy były luksusowe, a samochody błyszczące. Był tam z matką kilka razy, towarzysząc jej przy załatwianiu dokumentów, ale nigdy by się nie odważył pójść sam. Carmen w jednej chwili

objaśniła mu możliwości rynku: od trzech lat czyścisz buty za dziesięć centów od gościa w dzielnicy najbiedniejszej z biednych, a nie pomyślałeś nawet, że kilka przecznic dalej mógłbyś pobierać potrójną stawkę i zdobyć więcej klienteli. Gregory, przerażony, odrzucił natychmiast ten pomysł.

- Oszalałaś.

- Dlaczego jesteś taki drętwy, Gregory? Założę się, że nie znasz tego hotelu.

- Hotelu? Wszłaś do hotelu?

- Jasne. Wygląda jak pałac, ma rysunki na suficie i drzwiach, zasłony z pomponami, a o lampach nawet nie wspomnę, wyglądają jak łodzie pełne światła. Stopy grzęzną ci w dywanach, zupełnie jak na plaży, wszyscy są elegancko ubrani, piją herbatę i jedzą ciastka.

- Piłaś herbatę w hotelu?

- No, niezupełnie, ale widziałam przygotowane tace. Trzeba po prostu wejść na nikogo na patrząc, tak jakby mama czekała na nas przy stoliku, rozumiesz?

- A jeśli cię złapią?

- Przede wszystkim do niczego się nie przyznawać. Jeśli ktoś się do ciebie odezwie, udajesz bogatego dzieciaka, zadzierasz nos i mówisz coś brzydkiego. Pewnego dnia cię zabiorę. W każdym razie, to jest najlepsze miejsce do pracy.

- Nie możemy jechać tramwajem z Oliverem - bez przekonania sprzeciwił się Gregory.

- Pójdziemy na piechotę - odparła.

Od tego dnia chodzili na plac Pershinga, ilekroć Carmen udało się zmylić matczyną czujność. Przyciągali więcej publiczności niż kaznodzieje na podestach, głoszący z niepotrzebnym przejściem prawdę, która nikogo nie obchodziła. Ponieważ bez numeru z żonglerką przedstawienie sporo traciło na swej niezwykłości, gdy przyjaciółka nie mogła iść,

Gregory wracał do pracy czyścibuta, choć przeniósł się teraz do dzielnicy handlowej. Dzieci potrzebowały się nawzajem, a teraz, oprócz codziennych zajęć, dodatkowo wiązała je wspólna tajemnica.

W wieku szesnastu lat Gregory chodził do szkoły średniej z Juanem José Moralesem, Carmen była o klasę niżej, a Martinez rzucił szkołę i wstąpił do gangu Rzeźników. Już nie prześladował Reevesa, a ten czuł się bezpieczny, póki mógł go unikać. W tym czasie złagodniał nieco jego buntowniczy charakter, utrzymujący go w ciągłym ruchu, ale nękały inne, ciche troski. W szkole średniej większość dzieci była biała, nie czuł się już wytykany palcami ani nie musiał wybiegać ze szkoły zaraz po dzwonku, żeby zmylić swoich prześladowców. Biedota nie zawsze posyłała dzieci do szkoły, a wśród Latynosów edukacja należała do rzadkości, dzieci zaraz po ukończeniu podstawówki musiały zarabiać na życie. Gregory'emu ojciec wpoił żądzę wiedzy, której sam nie mógł nigdy zaspokoić, bo już w wieku trzynastu lat przemierzał australijskie pola, pilnując owiec. Matka również uważała, że Gregory powinien nauczyć się jakiegoś zawodu, żeby nie musiał zginać grzbietu jak najbiedniejszy, pomyśl, synu: jedną trzecią życia spędzasz śpiąc, jedną trzecią przenosząc się z miejsca na miejsce i wykonując rutynowe czynności, a najciekawszą jedną trzecią spędzisz pracując, dlatego najlepiej, żeby to było coś, co ci się będzie podobało, mówiła. Gdy po raz pierwszy i jedyny wspomniał, że chce rzucić szkołę i poszukać pracy, Olga sprawdziła jego los w kartach i wysłała jej karta Prawa.

- Nawet o tym nie myśl. Będziesz przestępcą albo policjantem, a w obydwu przypadkach lepiej mieć szkołę skończoną - orzekła.

- Nie chcę być ani jednym, ani drugim.
- Ta karta wyraźnie mówi, że zwiążesz się z prawem.
- Nie mówi, czy będę bogaty?
- Raz bogaty, raz biedny.
- Ale zostanę kimś ważnym, prawda?
- W życiu nie dochodzi się do czegoś określonego, Gregory. Po prostu się żyje.

Carmen i Gregory nauczyli się tańczyć przy latynoamerykańskich rytmach i stali się takimi ekspertami w zawiłych krokach, że podczas ich występów, gdy tańczyli *jitter buga* i *rock and rolla*, ludzie stawali wokół i klaskali. Ona fruwała do góry nogami i gdy już niemal rozbijała sobie głowę o podłogę, on, w trudny do wyjaśnienia sposób, przekręcał jej ramię, przeciągał ją między nogami i jednym szarpnięciem całą i zdrową stawiał na nogi. Nie tracili ani rytmu, ani zębów. Gregory przez kilka miesięcy zaoszczędził sumę wystarczającą na kupno kurtki z czarnej skóry. Próbował zapuścić sobie lok na czubku głowy, skoro jednak żadna ilość brylantyny nie potrafiła zmienić wyglądu smętnego kosmyka na jego czole, postanowił obciąć włosy na krótko i zaczął się wycierać do tyłu. Było to wygodniejsze, choć nie upodabniało do buntownika, który by przyprowadził dziewczyny o dreszcz lęku i przyjemności. Carmen również nie była podobna do bohaterek filmów dla nastolatków, cnotliwych, głupawych blondynek, do jakich wzdychali chłopcy, a śniade i krępe meksykańskie dziewczyny usiłowały naśladować, rozjaśniając sobie włosy wodą utlenioną. Była jak iskra. W weekendy Gregory i Carmen stroili się w najlepsze ubrania: on zawsze w swoją czarną skórzaną kurtkę, nawet jeśli było piekielnie gorąco, ona w obcisłe spodnie, które chowała do torby i zakładała w publicznej toalecie, bo gdyby ojciec je zobaczył, wyrwałby jej nogi, i szli potańczyć do lokali, gdzie już ich

znano i nie musieli płacić za wstęp, bo stanowili największą atrakcję wieczoru. Tańczyli bez wytchnienia, nie kupując sobie nic do picia, bo nie było ich na to stać. Carmen wyrosła na nieustraszoną dziewczynę z grzywą czarnych włosów, o sympatycznej twarzy z gęstymi brwiami i szerokimi ustami; łatwo wybuchała śmiechem, miała zaokrąglone kształty, a biust zbyt duży jak na swój wzrost i wiek. Nienawidziła go, uważając za deformację, ale Gregory popatrywał, jak rośnie, obliczając, że z każdym dniem staje się obfitszy. Tańcząc obracał ją w taki sposób, żeby móc widzieć, jak te piersi godne kurtyzany lekceważą prawa grawitacji i przyzwoitości. Gdy zorientował się, że nie on jeden je podziwia, ogarnął go głuchy gniew. Pociąg, jaki czuł do Carmen, nie był konkretny, a sama myśl o tym przeraziłaby go, uznałby to pewnie za grzech kazirodztwa. Uważał ją za swoją siostrę tak samo jak Judy, choć czasami jego dobre intencje ustępowały pod naporem hormonów, które utrzymywały go w stanie nieustannego napięcia. Ojciec Larraguibel nakładł mu do głowy sporo apokaliptycznych wizji co do skutków pożądlivego myślenia o kobietach oraz dotykania swego ciała. Lubieżnikom groził piorunem z jasnego nieba, zapewniał, że wyrastają włosy na dłoniach, pojawiają się ropiejące wrzody, penis gnije i na koniec winowajca umiera w srogich męczarniach, co prowadzi prosto do piekła, jeśli nie wyzna grzechów. Gregory wątpił w boski piorun i we włosy na dłoniach, ale był pewien, że pozostałe dolegliwości są prawdą, widział ten proces u własnego ojca, pamiętał, jak na jego skórze pojawiły się wrzody i jak umarł od dotykania genitaliów. Nie przyszło mu też do głowy szukać pocieszenia u dziewczyn ze szkoły czy dzielnicy, były poza jego zasięgiem, ani też o skorzystaniu z usług prostytutek, które wydawały mu się tak

samo potworne jak Martinez. Rozpaczliwie pragnął miłości, płonął niezrozumiałą brutalną gorączką, przerażony waleńiem serca, lepkiem płynem w swoim śpiworze, niespokojnymi snami i niespodziankami, jakie wyczyniało jego własne ciało. Wydłużyły mu się kończyny, pojawiła się muskulatura, wyrosły włosy na ciele i wrzała krew. Wystarczył drobny bodziec, by wybuchła w nim szybka rozkosz, po czym czuł się osłabiony i nieswój. Podniecało go wszystko: otarcie się o kobietę na ulicy, widok kobiecej nogi, scena z filmu, zdanie w książce, nawet wibracja siedzenia w tramwaju. Poza chodzeniem do szkoły musiał pracować, ale zmęczenie nie likwidowało chęci pograżenia się w bagnie, zagubienia w grzechu, poddania się jeszcze raz tej rozkoszy i śmierci, zawsze zbyt krótkich. Sport i taniec pomagały pozbyć się nagromadzonej energii, ale żeby zagłuszyć instynkt, konieczne było coś bardziej drastycznego. W dzieciństwie kochał się jak szalony w Miss June, teraz, w młodości, przeżywał porywy namiętności do nieosiągalnych dziewczyn, zwykle starszych, do których nie miał odwagi podejść i adorował je tylko z daleka. W rok później osiągnął nagle swój ostateczny wzrost i wagę, ale w wieku szesnastu lat był jeszcze szczupłym nastolatkiem, o zbyt dużych uszach i kolanach, nieco wyniosłym, choć widać było, że jest ulepiony z dobrej gliny.

- Jeśli nie zostaniesz przestępcą lub policjantem, to będziesz aktorem filmowym i kobiety będą cię uwielbiać - obiecywała mu Olga na pocieszenie, widząc, jak męczy się w swojej skórze.

To ona uwolniła go w końcu od nieznośnej męki czystości. Od czasu gdy Martinez dopadł go w schowku na miotły w szkole podstawowej, wątpił w swoją męskość. Nie obmacywał więcej Ernestiny Peredy ani innych dziewczynek pod

pretekstem zabawy w doktora, a jego wiadomości o tej tajemniczej stronie życia były niewielkie i sprzeczne. Strzępy informacji zdobyte po kryjomu w bibliotece jeszcze bardziej zbiły go z tropu, gdyż nie miały nic wspólnego z ulicznymi doświadczeniami, szeptami rodzeństwa Morales i innych przyjaciół, kazaniem Ojca, filmowymi rewelacjami i wyskokami jego fantazji. Zasklepił się w samotności, uparcie odmawiając sobie porywów serca i uczucia niewygodny ciała, próbując naśladować czystych rycerzy Okrągłego Stołu lub bohaterów Dzikiego Zachodu ale jego natura co chwila go zdradzała. Ten głuchy ból i nieokreślone zmieszanie męczyły go przez całe wieki i gdyby nie Olga, pewnie by oszalał. Olga była przy jego narodzinach, uczestniczyła we wszystkich ważnych chwilach jego dzieciństwa, znała go jak własnego syna, nie uszło jej uwagi nic, co go dotyczyło; czego nie domyślała się zdrowym rozsądkiem, odgadywała talentem wróżki, który w większej części brał się ze znajomości ludzkiej duszy, zmysłu obserwacji i swobody w wygłaszaniu rad i przepowiedni. Nie trzeba było uciekać się do daru jasnowidzenia, żeby zauważyć że Gregory popadł w stan osamotnienia. Olga miała wtedy około czterdziestki, okrągłości z jej młodych lat zamieniły się w tłuszcz, a cygański tryb życia spowodował pojawienie się zmarszczek, choć zachowała swój wdzięk i styl, gąszcz czerwonych loków, szelest spódnicy i niepoohamowany śmiech. Mieszkała nadal w tym samym miejscu, ale zajmowała więcej niż jeden pokój, odkupiła bowiem budynek, żeby go zamienić w swoją własną świątynię, gdzie w jednym pokoju trzymała lekarstwa, wodę magnetyczną i wszystkie zioła, w drugim odbywały się terapeutyczne masaże i skrobanki, a trzeci, największy, służył do seansów spirytystycznych, magii i odgadywania przyszłości.

Gregory'ego przyjmowała zawsze w pokojach nad garażem. Tamtego dnia przyszedł wyczerpany, a ją ogarnęło ponownie to szorstkie współczucie, które przez ostatnie dni czuła na jego widok.

- W kim jesteś teraz zakochany? - roześmiała się.

- Chcę się wynieść z tego gównianego miejsca - jęknął Gregory, chowając głowę w ramiona, pokonany przez wroga, który zagnieździł się w jego podbrzuszu.

- Dokąd chcesz iść?

- Gdziekolwiek, w cholere, wszystko jedno. Tu się nic nie dzieje, nie można oddychać, duszę się.

- To nie dzielnica, to ty. Dusisz się we własnej skórze.

Wróżka wyjęła z szafy butelkę whisky, nalała szczerze do dwóch szklanek, poczekała, aż wypije i nalała mu jeszcze raz. Chłopak nie był przyzwyczajony do mocnego alkoholu, panował upał, okna były zamknięte, a powietrze gęste od woni kadzidełek, ziół i paczuli. Zapach Olgi wywołał u niego dreszcz. Ogarnięta współczuciem kobieta podeszła do niego od tyłu i objęła, jej smutne piersi przyłgnęły do jego pleców, palce ozdobione tanią biżuterią po omacku rozpięły mu koszulę, podczas gdy on skamieniał, sparaliżowany przez zdziwienie i strach; zaczęła całować go w szyję, lizać wewnątrz ucha, szeptać po rosyjsku; jej doświadczone ręce dotykały go tam, gdzie nikt nigdy przedtem, aż poddał się ze szlochaniem jej zabiegom, pograżając się w bezdennym oceanie, trzęsąc się ze strachu i przewidywanego szczęścia; nie wiedząc, co robi ani dlaczego, odwrócił się do niej, zdesperowany, darł w pośpiechu jej ubranie, rzucił się na nią jak zwierzę, przewrócił się z nią na podłogę, pospiesznie zdejmując spodnie, otwierając sobie drogę pośród halek, wdzierając się w nią w odruchu rozpacz. Zaraz potem opadł z okrzykiem, jednocześnie wydzielał z siebie strumień, jakby wewnątrz pękła

mu tętница. Olga pozwoliła mu chwilę odpocząć na swojej piersi, drapiąc go po plecach, jak często robiła, gdy był mały, a gdy tylko wyczuła, że nachodzą go wyrzuty sumienia, wstała i zasłoniła okna. Zaraz potem zaczęła powoli zdejmować porwaną bluzkę i pogniecioną spódnicę.

- Teraz ci pokażę, co lubią kobiety - powiedziała mu z nowym uśmiechem. - Pierwsza rzecz to nie spieszyć się, synu...

- Muszę coś wiedzieć, Olgo, przysięgnij, że powiesz mi prawdę.

- Co chcesz wiedzieć?

- Mój ojciec i ty... to znaczy, wy...

- To nie dotyczy ciebie, nie ma z tobą nic wspólnego.

- Muszę to wiedzieć... byliście kochankami, prawda?

- Nie, Gregory. Tylko raz ci to powiem: nie, nie byliśmy kochankami. Nie wracaj do tego tematu, bo jeśli to zrobisz, nigdy więcej się nie zobaczymy, zrozumiałeś?

Gregory tak bardzo chciał jej uwierzyć, że więcej o nic nie pytał. Od tego popołudnia świat nabrał kolorów, odwiedzał Olgę codziennie i jak dobry uczeń uczył się wszystkiego, co mu pokazywała; spenetrował wszystkie jej kryjówki, odważył się szeptać jej wszystkie możliwe obsceniczne wyrażenia i odkrył olśniony, że nie jest całkiem sam we wszechświecie i że nie pragnie już umrzeć. Ulżyło mu na duszy, rozwinął się fizycznie i w ciągu kilku tygodni przestał wyglądać jak nastolatek, a jego twarz przybrała wyraz zadowolonego mężczyzny. Gdy Olga zdała sobie sprawę, że z wdzięczności zaczyna się w niej podkochiwać, naskoczyła na niego wściekle i zmusiła, by obejrzał ją nagą. Pokazała mu każdą zmarszczkę, wałek tłuszczu, siwe włosy, ślady zmęczenia walką z przeciwnościami losu i zagroziła, że go zostawi, jeśli nie wybije

sobie z głowy tych rojeń. Ściśle wytyczyła granice ich związku i powiedziała, żeby bił się w piersi, bo ma szalone szczęście, nie znalazłby innej kobiety, która by mu zaoferowała darmowy i pewny seks, prasowała koszule, wkładała pieniądze do kieszeni, niczego w zamian nie wymagając; że jeszcze jest młokosem, a gdy dorośnie, ona będzie już stara; żeby skupił się na nauce, to może uda mu się uciec z tej dziury, w której się wychował, i stać się kimś; że żyje na ziemi pełnej możliwości, a jeśli ich nie wykorzysta, będzie kompletnym idiotą.

Jego stopnie poprawiły się, zawarł nowe znajomości, rozpoczął współpracę z gazetką szkolną i prędko zaczął pisywać żarliwe artykuły oraz przewodniczyć uczniowskim zgromadzeniom rozpatrującym różne sprawy, czasami biurokratyczne, jak na przykład plan zajęć sportowych, czasami zasadnicze, jak dyskryminacja Murzynów i Latynosów. Odziedzyczyłeś to po ojcu, wdychała Nora, nieco zmartwiona, nie chciała bowiem, żeby został kaznodzieją. Zaspokojo-ny przez Olgę, polubił lekturę i korzystał z każdej wolnej chwili, by pójść do biblioteki. Zaprzyjaźnił się tam ze starym windziarzem Cyrusem. Mężczyzna jedną ręką obsługiwał windę, a w drugiej trzymał książkę, tak zaczytany, że winda jeździła, jak chciała, niczym oszalała maszyna. Podnosił wzrok tylko na widok Gregory'ego, wtedy na kilka sekund rozświetlała się jego anemiczna twarz proroka i lekki uśmiech łagodził krzywy grymas jego ust, natychmiast jednak odzyskiwał panowanie nad sobą i witał go chrząknięciem, żeby było jasne, że łączy ich tylko pewne intelektualne pokrewieństwo. Gregory pojawiał się zwykle wczesnym popołudniem, zaraz po szkole, i zostawał tylko pół godziny,

musiał bowiem iść do pracy. Staruszek czekał na niego od rana i gdy zbliżała się pora przybycia chłopca, niecierpliwie spoglądał na zegarek, gotów wprowadzić pohamować niepotrzebne emocje, ale gdyby Gregory się nie pojawił, czułby się chyba tak, jakby słońce tego dnia nie wzeszło. Zostali wielkimi przyjaciółmi. Reeves lubił spędzać soboty w jego towarzystwie, odwiedzał go w zapuszczonym pokoiku pensjonatu, gdzie mieszkał, czasami szli na spacer lub do kina, a o zmierzchu żegnał się, żeby pójść z Carmen na tańce. Jakiś czas później Cyrus umówił się z nim w parku pod pretekstem wspólnego podwieczorku i filozoficznej dyskusji. Czekał na niego z koszem, z którego wystawała szujka butelki i chleb, wziął go za ramię, zaprowadził w odosobnione miejsce, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchać, i po cichu wyznał, że gotów jest podzielić się z nim tajemnicą życia i śmierci. Kazał przysiąc, że nigdy go nie zdradzi, po czym wyznał, że sympatyzuje z partią komunistyczną. Dla chłopaka nie było jasne, co oznacza takie zaufanie, choć był to czas polowania na czarownice pod hasłem walki przeciwko wolnomyślicielskim ideom. Wyobraził sobie, że jest to coś równie zaraźliwego i wstydliwego jak choroby weneryczne. Zasięgnął nieco informacji, które jeszcze bardziej zaciemniły mu obraz. Jego matka opowiedziała mu co nieco o Rosji i o masakrze carskiej rodziny w Pałacu Zimowym, ale wszystko to było takie odległe, że niemożliwe do powiązania z obecnym miejscem i czasem. Kiedy wspomniiał o tym u Moralesów, Inmaculada przeżegnała się wystraszona, a Pedro zabronił mu przeklinać w swoim domu i przestrzegł przed pakowaniem się w sprawy, które nie powinny go obchodzić. Polityka to nałóg, ludzie uczciwi i pracowici nie potrzebują tego, zawyrokował Ojciec Larraguibel, którego skłonność do przedstawiania rzeczy gorszymi, niż naprawdę są, powiększała się z wiekiem.

Oskarżał komunistów, że są wcielonymi antychrystami i naturalnymi wrogami Stanów Zjednoczonych, zapewniał, że rozmowa z którymkolwiek z nich stanowi automatycznie zdradę kultury chrześcijańskiej i ojczyzny, ponieważ wszystko, co się powie, jest natychmiast przekazywane do Moskwy w diabelskich zamiarach. Uważaj, możesz mieć kłopoty z władzami i skończyć na elektrycznym krześle, w takim przypadku sam sobie na to zasłużysz własną głupotą, czerwoni to ateści, bolszewicy i niegodziwcy, nie mają nic do roboty w tym kraju, niech jadą do Rosji, jeśli to im się podoba, zakończył waląc pięścią w stół i przewracając filiżankę kawy z brandy. Gregory zrozumiał, że Cyrus powierzając mu swój sekret, dał największy dowód przyjaźni, i w zamian postanowił nie zawieść go w swej rozpoczętej właśnie intelektualnej wędrówce. Cyrus wykształcił w nim zamiłowanie do kilku autorów, a ilekroć Gregory zadawał jakieś pytanie, radził mu, by sam poszukał informacji; w ten sposób nauczył się korzystać z encyklopedii, słowników i innych pomocy w bibliotece. Jeśli wszystko zawiedzie, szukaj w starych rocznikach gazet, doradził mu. Otworzył się przed nim rozległy horyzont, po raz pierwszy dojrzał możliwość ucieczki z dzielnicy, nie był skazany na przebywanie tam do końca swoich dni, świat jest przecież ogromny, obudziła się w nim ciekawość i pragnienie przeżycia przygód, które dawniej wystarczało obejrzeć w kinie. Po zajęciach w szkole i pracy siedział godzinami ze swoim nauczycielem, jeżdżąc w górę i w dół windą, póki nie zakręciło mu się w głowie i musiał wyjść, potykając się, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wieczorami jadł kolację u Moralesów i pomagał Carmen w lekcjach, bo uczyła się słabo, potem szedł do Olgi i wracał do domu, gdy Judy i jego matka już spały. Czasami, w

weekendy, szukał towarzystwa Nory, żeby podyskutować o swoich lekturach, ale ich stosunki stawały się coraz chłodniejsze; nie powrócili nigdy do rozmów prowadzonych w czasach podróży wędrowną ciężarówką, kiedy ona opowiadała mu libretta operowe i objaśniała tajemnice nieba w gwiazdziste noce. Ze swoją siostrą miał mało wspólnego i musiałby być bardzo roztargniony, żeby nie odczuwać jej wrogości. W tych latach dom znowu podupał, drewno skrzypiało, a dach przeciekał, lecz cena ziemi wzrosła ze względu na bliskość miasta. Pedro Morales proponował sprzedać teren i przeprowadzić się do mniejszego mieszkania, które będzie mniej kosztowne i łatwiejsze w utrzymaniu, ale Nora bała się, że po przeprowadzce jej mąż zabłądzi.

- Zmarli potrzebują stałego miejsca, nie mogą przeprowadzać się z jednego do drugiego. Również domy potrzebują śmierci i narodzin. Pewnego dnia urodzą się tu moje wnuki - mówiła.

Poza Olgą, z którą dzielił wspaniałą zażyłość bezwstydnym kochanków, najbliższą osobą była dla Gregory'ego Carmen Morales. Kiedy Olga zaspokoila już jego żądze, mógł podziwiać wypukłości swojej przyjaciółki, nie czując niewygodnego dreszczu. Pragnął dla niej lepszego losu niż ten, jaki czekał kobiety w dzielnicy, ciągle w biedzie, maltretowane przez mężów, wymęczone porodami; wydawało mu się, że z niewielką pomocą uda się jej skończyć szkołę i nauczyć jakiegoś zawodu. Próbował zaszczerpić w niej zamiłowanie do książek, ale ona nudziła się w bibliotece, nienawidziła nauki i nie okazywała żadnego zainteresowania wiadomościami prasowymi.

- Jak czytam więcej niż jedną stronę, to boli mnie głowa. Lepiej ty przeczytaj i opowiedz mi... - usprawiedliwiała się, gdy ją przypierał książką do ściany.

- To dlatego, że ma duże piersi. Im większy biust, tym mniejszy mózg, to prawo natury, dlatego nieszczęsne kobiety są takie, jakie są - wytłumaczył Cyrus Gregory'emu.

- Ten stary to kretyn! - zawrzało w Carmen, gdy się o tym dowiedziała, i począwszy od tego dnia zakładała wypchane staniki wyłącznie dla zrobienia wrażenia, osiągając tak spektakularny sukces, że wszyscy w sąsiedztwie zaczęli komentować, jak dobrze się rozwija najmłodsza z Moralesów.

Zwracała uwagę nie tylko swoim biustem; przestała już nosić mysie ogonki i zaczęła przeistaczać się w wystrzałową dziewczynę, wokół której krążyli pretendenci, nie odważając się jednak na przekroczenie delikatnej granicy honoru, ponieważ po drugiej stronie stał Pedro Morales i jego czterej synowie, silni, gotowi na wszystko i zazdrośni. Na pozór nie różniła się od innych dziewczyn w tym wieku, lubiła zabawy, zapisywała romantyczne myśli i przepisywała wiersze do swojego pamiętnika, kochała się w aktorach filmowych, a kiedy jej się udawało umknąć przed czujnym okiem rodziny i Gregory'ego, pełniącego rolę jej kawalera, kokietowała każdego chłopaka w zasięgu wzroku. Jednak w odróżnieniu od innych młodych dziewcząt posiadała bardzo bujną wyobraźnię, która później miała ją uratować od banalnej egzystencji.

Pewnego czwartku, wychodząc ze szkoły, Carmen i Gregory natknęli się na ulicy na Martineza i trzech chłopaków z jego gangu. Strumień młodzieży wytaczający się z budynku na chwilę zastygł w bezruchu, a następnie rozplynął się na boki, żeby ich ominąć i uniknąć posądzeń o prowokację. Martinez widział Carmen w poprzednią sobotę na tańcach i czekał na nią, pewny siebie jak ktoś, kto czuje, że jest silniejszy. Ona zatrzymała się gwałtownie, podobnie jak reszta uczniów, którzy wyczuli zagrożenie, ale bali się cokolwiek robić. Martinez był beczelny i bardzo wyrośnięty jak na swój

wiek. Zapisał sobie w pasie kinowego amanta, miał kilka widocznych tatuaży, chodził ubrany jak alfons, w spodniach z zakładkami w pasie, butach z metalowymi czubkami, w skórzanej kurtce i fioletowej koszuli, a na głowie sterczały dwa czuby wysmarowane brylantyną.

- Hej, lalunia, daj buzi... - podszedł bliżej i ujął Carmen za podbródek.

Odrzącała go jednym ruchem ręki, a jego oczy zwięzły się w dwie kreseczki. Gregory złapał przyjaciółkę pod ramię i próbował wyprowadzić ją z tej grupki tchórzy, ale gang blokował przejście i nie było do kogo się odwołać, wokół nich zrobiło się pusto, reszta dzieciaków cofnęła się na bezpieczną odległość, tworząc szeroki krąg, w którego środku zostali tylko oni dwoje i agresorzy.

- Ciebie znam, skurwysynku - roześmiał się Martinez i lekko popychając Gregory'ego oznajmił swoim kompanom: - To jest ten głupi jankeski pedał, o którym wam opowiadałem.

Nie puszczać ramienia Carmen, Gregory jeszcze raz próbował się wymknąć, ale Martinez groźnie się zbliżył. Gregory zrozumiał, że oto nadeszła chwila, której zawsze się obawiał, nie miał jak uniknąć tej groźby, która od zawsze nad nim wisiała. Odetchnął głęboko, próbując opanować swój strach, zmuszając się do myślenia, kalkulując, że zostanie sam, gdyż żaden z kolegów nie wystąpi w jego obronie, że tamtych jest czterech i na pewno mają noże lub kastety. Gorącą, podchodzącą do gardła falą wróciła do niego nienawiść i napłynęły wspomnienia, oszalałając go na chwilę tak, że zamglily mu się wzrok i świadomość, pogrążając go w ciemnym bagnie. Poczucie rzeczywistości przywrócił mu głos Carmen.

- Nie dotykaj mnie, kutasie - zasłoniła się ramionami przed Martinezem, a reszta chłopaków zarechotała.

Gregory odepchnął Carmen na bok i stanął twarzą w twarz ze swoim przeciwnikiem, dysząc z nienawiści, z zacisniętymi pięściami, oczami palającymi gniewem.

- Czego chcesz, kurewski jankesie? Masz ochotę, żebym cię znowu wydupczył, czy wolisz się ze mną napierdalać? - powiedział Martinez powoli i miękko, jakby mówił mu o miłości.

- Pieprz swoją matkę! Czterech twoich zbirów przeciwko jednemu nieuzbrojonemu, to łatwe - odparł Gregory.

- Ha! No dobra, Rzeźnicy. To będzie między nami dwoma - rozkazał swoim Martinez.

- Nie chcę gówniarskiej bitki. Chcę pojedynku na śmierć i życie - wycedził Gregory przez zacisnięte zęby.

- Co to za gówniany pomysł?

- To, co słyszałeś, ciulu - Gregory podniósł głos, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. - Za trzy dni, za fabryką opon, o siódmej wieczorem.

Martinez rozejrzał się dookoła, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, a jego kolesie kpiąco wzruszyli ramionami. Krąg gapiów zacieśniał się, gdyż nikt nie chciał uronić ani słowa.

- Nóż, linka, łańcuch czy pistolet? - zapytał Martinez z niedowierzaniem.

- Pociąg - odpowiedział Gregory.

- A co ma do tego gówniany pociąg?

- Zobaczymy, kto ma jaja - Gregory wziął Carmen za rękę i odeszli, odwracając się plecami z udawaną pogardą toreadora dla jeszcze niepokonanego byka. Szli szybko, żeby nikt nie usłyszał bicia ich serc.

Od kilku lat przeskakiwałem przez tory tuż przed pociągiem, początkowo chcąc w ten sposób popełnić samobójstwo, a potem już tylko po to, żeby poczuć smak życia. Pociąg

przejeżdżał cztery razy dziennie, wyjąc jak rozjuszony smok, pożerając wiatr i ciszę. Czekałem na niego zawsze w tym samym miejscu, na płaskim ugorze, gdzie czasami wyrzucono złom i śmieci, a gdy było czysto, dzieci grały w piłkę. Najpierw słyszałem daleki gwizd i pomruk silników, potem widziałem, jak się zbliża: wspaniały, hałaśliwy, żelazny wąż. Największym wyzwaniem było dokładne obliczenie chwili, żeby wbiec tuż przed lokomotywę, poczekać do ostatniej sekundy, mieć ją prawie na sobie, po czym szybko odbiec i jednym skokiem znaleźć się po drugiej stronie torów. Życie zależało od najmniejszego błędu, najłżejszego wahania, potknięcia na szynach, szybkości nóg i zimnej krwi. Potrafiłem rozróżniać pociągi po odgłosie silników, wiedziałem, że pierwszy, poranny, jest najwolniejszy, a ten o siódmej piętnaście najszybszy. Czułem się dość pewnie, ale nie ćwiczyłem od dawna, tak więc przez następne dni trenowałem z każdym pociągiem, a Carmen i Juan José mierzyli czas. Pierwszego dnia, gdy zobaczyli, jak to robię, wypadł im zegarek z rąk, a Carmen zaczęła wrzeszczeć, na szczęście nie słyszałem jej, dopóki pociąg nie przejechał, bo inaczej na pewno bym się zawahał i teraz nie opowiadałbym ci tego wszystkiego. Odkryliśmy najlepsze miejsce na zawody, tam gdzie szyny widać bardzo wyraźnie, odsunęliśmy kamienie, zaznaczyliśmy odległość kreską na ziemi. Za każdym razem skracaliśmy ją coraz bardziej, aż w końcu uznaliśmy, że nie można niżej, czułem pociąg nieomal na plecach. Popołudniami było trudniej: ściemniało się, a światła pociągu oślepiały. Podejrzewam, że Martinez też ćwiczył, w jakimś innym miejscu, gdzie nikt go nie mógł widzieć, a jego bezgraniczna duma pozostawała nienaruszona, wobec swoich kumpli nie mógł okazać ani krzty strachu przed pojedykiem;

musiał udawać całkowitą pogardę dla niebezpieczeństwa, jak prawdziwy *macho*. Liczyłem, że właśnie dlatego będę miał nad nim przewagę. Przez lata spędzone w dżungli dzielniczy nauczyłem się pokornie przyjmować strach - ten płomień w żołądku, który czasem palił mnie przez kilka dni.

Na długo przed niedzielnym terminem pojedynku wiedziano o wszystkim w szkole i o wpół do siódmej na wyznaczonym miejscu stał już szereg samochodów, motocykli i rowerów, a około pięćdziesięciu uczniów siedziało na ziemi w pobliżu zakreślonych linii, czekając na przedstawienie. Fabryka opon była zamknięta, ale w powietrzu unosił się jeszcze mdły zapach gorącej gumy. Panował nastrój festynu, ktoś przywiózł jedzenie, trochę whisky i ginu w butelkach po napojach, kilku miało aparaty fotograficzne. Carmen odeszła na bok z dala od tłumu i stała modląc się. Błagała mnie, żebym wszystko odwołał, lepiej wyjść na tchórza, niż stracić życie w jednej chwili, w końcu Martinez nic mi nie zrobił, ten pojedynek to szaleństwo, grzech, Bóg nas wszystkich ukarze, prosiła. Wy tłumaczyłem jej, że to nie ma nic wspólnego z incydentem na ulicy, to nie ona jest przyczyną, to tylko pretekst, chodzi o bardzo stare długi, o męskie sprawy nie do opowiadania. Powiesiła mi na szyi maleńki prostokąt z haftowanej szmatki.

- To medalik Matki Boskiej z Gwadelupy, moja matka go miała na sobie, jak przyjechała z Zacatecas. Czyni cuda...

Punktualnie o siódmej przyjechały cztery rozklekotane samochody, pomalowane na fioletowy kolor Rzeźników, w których siedziała banda Martinezza. Przecisnęli się między nami z charakterystycznym dla siebie pozdrowieniem, to

jest zasłaniając twarz ręką; z najczystszej chęci prowokacji trzymali się za jądra. Pomyślałem, że jeśli pójdzie źle, to będzie nieziemską awantura, a moi koledzy, chociaż liczniejsi, w żadnym przypadku nie byli godnymi przeciwnikami dla nich, uzbrojonych, zaprawionych w walkach. Musiałem im się dokładnie przyjrzeć, żeby rozpoznać Martineza. Wszyscy wyglądali tak samo: jednakowe fryzury usztywnione brylantyną, kurtki, świecidełka i prowokacyjnie kołyszający chód. Martinez nie przebrał się, nawet nie zmienił swych butów na wysokim obcasie, ja natomiast ubrałem się wygodnie - w tamtych czasach mogłem sobie pozwolić tylko na używane ubrania, kupowane na targu przed kościołem - i miałem na nogach tenisówki. Ocenilem swe możliwości: byłem szybszy i lżejszy, gdybyśmy po prostu się ścigali, nie wygrałby ze mną, chodziło jednak o pojedynek na śmierć i życie, i w ostatniej chwili bardziej liczyła się odwaga niż zręczność. W podstawówce on był dobrym sportowcem, a ja słabym, ale starałem się o tym nie myśleć.

- Punktualnie piętnaście po siódmej przejeżdża ekspres. Biegniemy jednocześnie, o trzy kroki od siebie, żebyś mnie nie mógł popchnąć, skurwysynu, ja bliżej pociągu, dam ci ten prezent, jeśli chcesz - krzyknąłem, żeby wszyscy mnie słyszeli.

- Nie potrzebuję przewagi, ty kretyński jankeski pedale.

- No to wybieraj: biegiesz bliżej pociągu albo dalej.

- Staję dalej.

Zaznaczyłem kijem dwie linie na ziemi, a trzech z bandy i kilku moich kolegów z Juanem José Moralem na czele, przeszło przez tory, żeby patrzeć na pojedynek z drugiej strony.

- Tak blisko? Boisz się, pedałku? - zakpił lekceważąco Martinez.

Przewidziałem jego reakcję, starłem linie nogą i wykreśliłem nowe bardziej z tyłu. Juan José i jeden z bandy zmierzylili odległość i w tym momencie usłyszeliśmy gwizd pociągu. Wszyscy widzowie podeszli, banda z lewej, zbita w grupkę, moi przyjaciele z prawej. Carmen posłała mi ostatnie, dzielne spojrzenie, ale widziałem, że jest załamana. Stanęliśmy na liniach, niezauważalnie dotknąłem medalika, po czym zamknąłem umysł na wszystko, co mnie otacza, skupiając się na sobie samym, myśląc o nadjeżdżającej masie żelaza; liczyłem sekundy w napięciu, uważnie wsłuchując się w odgłos, tylko ja przeciw pociągowi, tak jak robiłem to tyle razy. Trzy, dwa, jeden, teraz! Nie myślałem już, co robię, poczułem dziki ucisk wnętrzości, nogi same skoczyły do przodu, przebiegł przeze mnie wspaniały dreszcz, mięśnie zadrgały z wysiłku, a strach ostatni raz ściał krew w żyłach. Hałas pociągu i mój własny krzyk całkowicie mnie pochłonęły, stałem się jednym straszliwym rykiem. Dojrzałem ogromne, zbliżające się do mnie światła, poczułem, że skóra mi płonie od żaru silników i powietrza przeciętego tą ogromną strzałą, iskry spod metalowych kół na torach uderzyły mnie w twarz. Ten moment trwał tysiąclecie, odcinek czasu zamrożony na zawsze, zawisłem w bezdennej przepaści, płynąc przed lokomotywą jak ptak skamieniały w locie, każda cząstka ciała wyciągnięta w ostatnim skoku w przód, w umyśle zastygła pewność śmierci.

Nie wiem, co się potem stało. Pamiętam tylko, że ocknąłem się, turlając po drugiej stronie torów, wstrząsany mdłościami, wykończony, wdychając w płuca zapach rozgrzanego metalu, ogłuszony wściekłym łomotem ogromnej bestii, która przejeżdżała i przejeżdżała, nieskończenie długa.

Kiedy w końcu oddaliła się, zapadła nienaturalna cisza, a mnie ogarnęła całkowita pustka i ciemność. Wiek później Carmen i Juan José ujęli mnie za ręce i postawili na nogi.

- Wstań, Gregory, chodźmy stąd, zanim przyjedzie policja...

Wtedy nagle wróciła mi świadomość i zobaczyłem w zapadającym popołudniowym zmierzchu, jak dzieciaki pędzą biegiem w kierunku drogi i nie zostaje żywa dusza oprócz Carmen, Juana José, mnie, obryzganego krwią, i kawałków Martineza rozrzuconych na wszystkie strony.

Część druga

Gregory Reeves stał się bohaterem wśród kolegów. Mówiono tak wiele o ściganiu się z pociągiem i dodawano tyle szczegółów, że cała historia rozrosła się do niebotycznych rozmiarów. W charakterze Gregory'ego zaszła zasadnicza zmiana: nagle urósł i stracił tę anielską niewinność, która spowodowała tyle bójk i nieporozumień; nabrał też pewności siebie i po raz pierwszy od wielu lat poczuł się dobrze we własnej skórze; już nie chciał być śniady, jak reszta dzieciaków w dzielnicy, zaczął doceniać przewagę białej rasy. Do szkoły średniej uczęszczało około czterech tysięcy uczniów z różnych dzielnic miasta, prawie wszyscy pochodzili z białej klasy średniej. Dziewczyny nosiły włosy zebrane w koński ogon, nie używały brzydkich wyrazów ani nie malowały sobie paznokci, chodziły do kościoła i niektóre już zachowywały się jak dostojne matrony, podobnie jak ich matki. Nie przegapiały okazji do całowania się z kolejnym chłopakiem w ostatnim rzędzie w kinie czy też na tylnym siedzeniu samochodu, ale nie rozmawiały o tym. Marzyły o pierścionku zaręczynowym na serdecznym palcu, gdy tymczasem chłopcy, póki jeszcze mogli, póki piorun miłości ich nie osadził w domowych pieleszach, korzystali ze swej wolności. Korzystali z ostatniej okazji na beztroską zabawę i brutalny sport, osołomienie alkoholem i szybkością. Nie wyszli jeszcze z

okresu chłopięcych psot, czasem niegroźnych, jak kradzież popiersia Lincolna z biura dyrektora, a innym razem poważniejszych, jak złapanie Murzyna, Meksykanina czy homoseksualisty i ubabranie go odchodami. Kpili z romantyzmu, ale uciekali się do niego, żeby zdobyć dziewczynę. Między sobą nieustannie rozmawiali o seksie, ale niewielu miało okazję spróbować, jak to jest. Gregory Reeves nigdy nie opowiedział przyjaciółom o Oldze, był zanadto wstydlivy. W szkole czuł się jak ryba w wodzie, już nie izolowano go ze względu na kolor skóry, nikt nie znał jego domu ani rodziny, nie wiadano, że jego matka otrzymuje czeki z opieki społecznej. Był jednym z uboższych, ale zawsze miał parę groszy w kieszeni, gdyż pracował. Było go stać na zaproszenie dziewczyny do kina, nie brakło mu na kilka piw lub na zakład, a w ostatnim roku starczyło nawet na samochód, dość zniszczony, ale z dobrym silnikiem. Niedostatek widać było po wytartych spodniach, znoszonych koszulach i braku wolnego czasu. Wyglądał na starszego niż w rzeczywistości, był szczupły, zwinny i tak silny, jak kiedyś jego ojciec, uważał się za przystojnego i okazywał to zachowaniem. Przez następne lata umiał wykorzystać historię o Martinezie i znajomość dwu kultur, w jakich się wychował. Intelktualne dziwactwa rodziny i przyjaźń z windziarzem z biblioteki rozwinęły w nim ciekawość. Kiedy mężczyźni czytali w gazecie jedynie wiadomości sportowe, a kobiety słuchały plotek o artystach filmowych z Hollywood, on poznał według listy alfabetycznej najslawniejszych myślicieli, od Arystotelesa do Zaratustry. Miał zniekształconą wizję świata, szerszą jednak niż pozostali uczniowie, a nawet paru profesorów. Każda nowa myśl olśniewała go, zdawało mu się, że odkrywa coś jedyngo i czuł potrzebę podzielenia się z resztą ludzkości, ale szybko

zauważył, że jego wiadomości nie robią żadnego wrażenia na kolegach. Zaczął się więc przed nimi pilnować, ale przed dziewczynami nie umiał powstrzymać pokusy zabyśnięcia wiedzą. Nieskończone dyskusje, jakie wiedli z Cyrusem, nauczyły go żarliwie występować w obronie własnych idei. Jego nauczyciel niszczył swą elokwencją każdą próbę zagadania go, więcej podstaw, a mniej retoryki, synu, mówił mu; Gregory przekonał się jednak, że oratorskie sztuczki bardzo dobrze działają na inne osoby. Umiał przodować w grupie, reszta nauczyła się ustępować mu, a ponieważ skromność nie należała do jego cech, wyobraził sobie natychmiast, że zrobi karierę polityczną.

- To niezły pomysł. Za kilka lat socjalizm zatriumfuje na świecie i będziesz mógł zostać pierwszym komunistycznym senatorem w tym kraju - namawiał go Cyrus podczas tajemnych szeptów w piwnicy biblioteki, gdzie przez kilka lat, bez większych rezultatów, próbował zaszcześcić w umyśle swego ucznia żarliwą pasję do idei Marksa i Lenina. Reevesowi idee te wydawały się niepodważalne z punktu widzenia sprawiedliwości i logiki, ale wyczuwał, że nie mają najmniejszej możliwości zwycięstwa, przynajmniej na tej części planety, na której się znajdował. Z drugiej strony, pomysł zdobycia majątku pociągał go bardziej niż idea dzielenia się równo niedostatkiem, ale nigdy nie odważyłby się wyznać tak małodusznych myśli.

- Nie jestem pewien, czy chcę być komunistą - bronił się ostrożnie.

- To czym będziesz, synu?

- Na przykład demokratą...

- Nie ma żadnej różnicy między demokratami a republikanami, ile razy mam ci to tłumaczyć? Jeśli chcesz wejść do senatu, musisz zacząć natychmiast. Śpiące krewetki nosi prąd. Musisz zostać przewodniczącym studentów.

- Zwariowałeś, Cyrus, jestem najbiedniejszy w klasie i mówię po angielsku jak Meksykanin. Kto by na mnie głosował? Nie jestem ani Jankesem, ani Latynosem, nikogo nie reprezentuję.

- Właśnie dlatego możesz reprezentować wszystkich. - I pożyczył mu *Księcia* oraz inne dzieła Niccola Machiavellego, licząc, że ta lektura uświadomi mu naturę ludzką. Po trzech tygodniach pobieżnej lektury Gregory przyszedł dość zmieszany.

- To mi się na nic nie przyda, Cyrus. Jaki jest związek pomiędzy Włochami z XV stulecia i zabijakami z mojej szkoły?

- Tylko tyle mi możesz powiedzieć o Machiavellim? Nic nie rozumiałeś, nie chcesz wiedzieć. Nie nadajesz się na sekretarza nawet w przedszkolu, a tym bardziej na przewodniczącego w szkole średniej.

Chłopak ponownie wsadził nos w książki, tym razem dokładniej, i stopniowo blask myśli florenckiego polityka rozjaśnił pięć wieków historii, pół świata, pokonał bariery kulturowe i zamglenie młodzieńczego umysłu, żeby odkryć mu sztukę władzy. Porobił notatki w zeszytach, skromnie zatytułowanym „Ja, przewodniczący”, który okazał się proroczy, bo dzięki strategii Machiavellego, radom nauczyciela i manipulacjom własnego pomysłu, został wybrany przytłaczającą większością głosów. To był pierwszy rok bez problemów rasowych w szkole, gdyż nauczyciele i uczniowie zgodnie pracowali, przekonani przez Reevesa, że jadą na tym samym wózku i nikomu nie wyjdzie na dobre wiosłowanie w przeciwnym kierunku. Zorganizował też pierwszy bal w skarpetkach, ku zgorszeniu władz szkoły, które uznały to za ostateczny krok ku rzymskiej orgii, nie zaszło jednak nic grzesznego, była to niewinna zabawa, na której uczestnicy zdjęli

jedynie buty. Nowy przewodniczący był gotów pozostawić niezatarte wspomnienia po sobie w annałach szkoły i rozpocząć drogę do Białego Domu, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Poza pełnieniem obowiązków wynikających z nowej funkcji, pomagał w kuchni restauracji serwującej *tacos* aż do późnych godzin nocnych, w weekendy reperował opony w garażu Pedra Moralesa, a w lecie wyruszał na wieś nająć się do zbierania owoców. Był tak zajęty, że uchronił się od alkoholu, narkotyków, gier hazardowych i zawodów w szybkiej jeździe, w których kilku jego przyjaciół zostawiło dużą część swojej niewinności, jeśli nie zdrowia, a nawet życia.

Dziewczyny stały się jego obsesją, co wyrażało się czasem w radosnym oszołomieniu, dzięki któremu zapominał nawet własnego imienia, ale najczęściej była to tylko męka gorącej krwi w żyłach oraz obsceniczne myśli. Olga wyprowadziła go ze swego łóżka pod pretekstem, że już czas, by poszukał innego pocieszenia, zrobiła to delikatnie, gdyż miała dla niego dużo czułości. Czuję się już za stara na takie zabawy, powiedziała, ale tak naprawdę zakochała się w kierowcy ciężarówky, dziesięć lat młodszym od niej, który miał zwyczaj odwiedzać ją między jedną podróżą a drugą. Ta matrona o nieujarzmionym usposobieniu cerowała w końcu skarpetki i zносиła humory kochanka o naburmuszonej minie, aż podczas jednej ze swych podróży mężczyzna zboczył z drogi, podążając za inną miłością i już nie wrócił. Z drugiej strony, spotkania Olgi i Gregory'ego straciły czar nowości i urok sekretu, przeistoczyły się w milczącą gimnastykę między babcią a jej wnuczkiem. Gregory zastąpił Olę Ernestiną Pereda, koleżanką z podstawówki, która teraz pracowała w restauracji. Będąc z nią, wyobrażał sobie, że ją kocha, ale iluzja pryskała po paru minutach, pozostawiając go z poczuciem winy.

Prawdopodobnie był jedynym kochankiem Ernestiny z podobnymi skrupułami, lecz żeby się ich pozbyć, musiałby zdradzić swoją romantyczną naturę i wyrzec zasad rycerskości wpojonych mu przez matkę; nie chciał wykorzystywać Ernestiny jak tylu innych, ale nie był też zdolny oszukiwać ją, że kocha. Jeszcze nie pojawiły się na horyzoncie wszystkie te zmiany w obyczajowości, jakie miały zmienić seks w zdrową gimnastykę bez ryzyka zajścia w ciążę ani poczucia winy. Ernestina Pereda była jedną z tych istot przeznaczonych do zgłębiania przepaści zmysłów, choć urodziła się o piętnaście lat za wcześnie, w czasach, gdy kobiety musiały wybierać pomiędzy przyzwoitością a rozkoszą, a ona nie miała dość odwagi, by wyrzekać się jednego lub drugiego. Odkąd pamiętała, zadziwiała ją możliwości ludzkiego ciała: w wieku siedmiu lat zamieniła łazienkę szkolną w swoje pierwsze laboratorium, a swoich kolegów w króliki doświadczalne, z którymi eksperymentowała, które badała i dochodziła do zadziwiających wniosków. Gregory nie stronił od podobnych zamiłowań naukowych i obydwójce zagłębiali się w ciemnościach łazienki, żeby z największą chęcią się obmacywać. Ta zabawa trwałaby w nieskończoność, gdyby brutalność Martineza i jego bandy nie położyła jej gwałtownie kresu. Na jednej z przerw wleźli na skrzynię, żeby ich podpatrzeć, nakryli na zabawie w doktora i niemilosiernie wykpiili przed całą szkołą. Gregory ze wstydu chorował przez cały tydzień i nie próbował więcej tych zabaw, dopóki Olga nie wyzwoliła go z udręki. Ernestina Pereda miała natomiast niezliczoną ilość doświadczeń, nie było w dzielnicy chłopaka, który by się nie przyznawał do bliższej z nią znajomości, jedni mając ku temu podstawy, inni przez zwykłą fanfaronadę. Gregory starał się nie myśleć o całej tej lubieżności, jego spotkaniom brakowało sentymentalnej otoczki, choć zawsze

okazywał minimum dobrego wychowania, nawet jeśli nie rozmawiał o uczuciach. Miłość przedstawiała mu się jako ulotna namiętność do pewnych dziewczyn z okolicy, z którymi nie mógł ćwiczyć piruetów z repertuaru Olgi ani frenetycznych obmacywanek jak z Ernestina Pereda. Nie miał trudności w zdobywaniu dziewczyn, ale zawsze czuł się niedostatecznie kochany, uczucie, jakim go obdarzały, było ledwie słabym odbiciem namiętności, w jakiej się sam pograżał. Lubił dziewczyny szczupłe i wysokie, choć ulegał bez większego oporu jakiegokolwiek pokusie, nawet gdy partnerka była raczej pulchna, jak w przypadku Latynosek z jego dzielnicy. Tylko Carmen nie wchodziła w grę jako inspiracja jego erotycznych pragnień. Uważał ją za swego kumpla, a jej fizyczne atrybuty nie miały żadnego wpływu na ich braterstwo. Różnili się jednak temperamentem i powoli powstała też między nimi przepaść intelektualna. Zwierzał się jej, chodził z nią na tańce i do kina, ale nie widział sensu, by opowiadać jej swoje lektury czy dyskutować o niepokojach społecznych i metafizycznych zasianych w jego sercu przez Cyrusa. Kiedy próbował skierować ją na tę drogę, przyjaciółka nie starała się nawet udawać, że ją to interesuje, mroziła go lodowatym spojrzeniem i mówiła, żeby przestał opowiadać głupoty. Inne dziewczyny wcale nie traktowały go lepiej; na początku wabiła jego sława dzikusa i dobrego tancerza, ale prędko męczył je swym pośpiechem w działaniu i porzucały go, opowiadając, że jest zadzierającym nosa pedantem, niepotrafiącym utrzymać rąk przy sobie, uważaj, nie zgadzaj się na jazdę sam na sam jego samochodem, najpierw cię zanudza gadką o kandydowaniu, a potem próbuje zdjąć ci stanik. A mimo to Reevesowi nie brakowało miłosnych przygód. Juan José Morales był zdania, że nie warto

nawet próbować zrozumieć kobiety; są przedmiotami pożądania i zguby, jak zapewniały latynoskie piosenki oraz Ojciec Larraguibel, ilekroć wpadał w katolicki zapał. Dla *machos* w dzielnicy istniały tylko dwa rodzaje kobiet, jedne takie jak Ernestina Pereda, a drugie - nie do zdobycia - przeznaczone do macierzyństwa i domu; w żadnej jednak nie wolno było się zakochać, to zmieniało mężczyznę w niewolnika, jeśli nie rogasza. Gregory nie przejmował się tym gadaniem i przez następne trzydzieści lat bez wytchnienia szukał chimery miłości doskonałej, potykając się nieskończoną ilość razy, padając i podnosząc się, aż w końcu zrezygnował z poszukiwań i nauczył się żyć w samotności. Dopiero wtedy, dzięki jednej z ironicznych niespodzianek, jakie przynosi życie, znalazł miłość, kiedy już się tego wcale nie spodziewał. Ale to już inna historia.

Aspiracje Gregory'ego, żeby zostać senatorem, urwały się gwałtownie w dzień po ukończeniu szkoły średniej, kiedy Judy zapytała go, co zamierza ze sobą zrobić, bo nadszedł czas odejścia z matczynego domu.

- Od dawna już powinieneś mieszkać gdzie indziej, tu jest niewygodnie i już się nie mieścimy.

- Dobrze, poszukam sobie jakiegoś miejsca - odparł zmieszany Gregory, czując żal, że rodzina wyrzuca go w tak szorstki sposób, ale zarazem ulgę, że może odejść z domu, w którym nigdy się nie czuł kochany.

- Musimy wyleczyć mamie zęby, nie można tego dłużej odkładać.

- Są jakieś oszczędności?

- Nie wystarczy. Brakuje trzystu dolarów. Poza tym obiecaliśmy jej telewizor na gwiazdkę.

Judy była bardzo nieszczęśliwa w okresie dojrzewania i wyrosła na kobietę spustoszoną przez głuchy żal. Miała jeszcze zaskakująco piękną twarz, a jej włosy, obcięte byle jak nożycami, zachowały jasnozłoty kolor z czasów wczesnego dzieciństwa. Zgubne walki tłuszczu zniekształciły jej ciało, ale ponieważ była bardzo młoda, jeszcze całkiem jej nie deformowały; pomimo otyłości można było odgadnąć jej pierwotne kształty, a przy tych rzadkich okazjach, kiedy mijała jej nienawiść do samej siebie i uśmiechała się, odzyskiwała swój urok. Przeżyła kilka miłości z białymi mężczyznami spotykanymi w pracy czy w innych dzielnicach, a jej latynoscycy sąsiedzi już dawno przestali na nią polować, przekonani, że jest nie do zdobycia. Judy płoszyła co wytrwalszych wielbicieli wyniosłością lub długim milczeniem.

- Ta biedna dziewczyna nigdy nie wyjdzie za mąż, widać, że nienawidzi mężczyzn - orzekła Olga.

- Dopóki nie schudnie, jest przegrana - przytaknął Gregory.

- Waga nie ma nic do rzeczy, Gregory. Nie zostanie starą panną dlatego, że jest gruba, tylko dlatego, że chce, z czystej złości.

Ten jeden raz Olę zawiodła intuicja. Mimo swojego wyglądu, Judy miała trzykrotnie wyjść za mąż, a spośród niezliczonych konkurentów, wielu straciło spokój duszy w pogoni za miłością, której ona nie mogła czy też nie chciała odwzajemnić. Urodziła kilkoro dzieci z różnych ojców, a dwoje zaadoptowała, kochając równie czule. To naturalne ciepło, którego doświadczył Gregory w pierwszym okresie życia, a potem próbował odzyskać przez lata skomplikowanych stosunków z siostrą, zniknęło w duszy Judy na długo, aż wreszcie ujawniło się ponownie w macierzyństwie. Własne i cudze dzieci pomogły jej przezwyciężyć paraliż uczuciowy

młodości i dźwigać z godnością tragiczny sekret z odległej przeszłości. W owym czasie rzuciła szkołę i pracowała w fabryce tekstylnej. Sytuacja materialna rodziny była zła, zarobki Judy i Gregory'ego nie wystarczały. Po roku sprzątania po domach w wolnych chwilach, z odciskami na rękach i coraz bardziej przekonana, że w ten sposób do niczego nie dojdzie, postanowiła zatrudnić się na całym etacie jako robotnica. Wraz z innymi kiepsko opłacanymi i źle traktowanymi kobietami szła w ciemnym pomieszczeniu bez wentylacji, po którym łaziły karaluchy. Robotnice były wykorzystywane przez nie mających skrupułów szefów i bezkarnie łamano wszelkie przepisy. Wracała do domu z paczkami tkanin i spędzała większą część nocy przy maszynie do szycia swojej matki. Za nadgodziny płacono tę samą stawkę, ale potrzebowała pieniędzy; przy najmniejszej skardze pokazano by jej drzwi: wielu nieszczęśników czekało w kolejce na jej miejsce.

Gregory też był przyzwyczajony do pracy: dokładał się do budżetu domowego, odkąd skończył siedem lat. Dzięki swym oszczędnościom dokonał kilku zmian: wymienił starą lodówkę na nowocześniejszą, kuchenkę naftową na gazową, gramofon zaś na elektryczny adapter, żeby matka mogła słuchać ulubionej muzyki. Nie przerażała go myśl o mieszkaniu w samotności. Jego przyjaciel Cyrus i Olga starali się go przekonać, żeby zamiast iść do pracy, poszukał sposobu na sfinansowanie studiów. Takiej możliwości nie miała jednak młodzież z jego środowiska, nad ich głowami wisiał niewidzialny dach, który sprawiał, że patrzyli tylko w ziemię. Po ukończeniu szkoły Gregory poczuł się znowu ograniczony ciasnym horyzontem dzielnicy. Przez jedenaście lat robił, co w jego mocy, żeby sąsiedzi uznali go za jednego z nich i pomimo białej skóry prawie mu się udało. Choć nigdy tego nie

mówił, prawdopodobnie jedną z przyczyn podjęcia pracy w charakterze robotnika, była chęć wtopienia się w środowisko, w jakim się wychowywał, a pomysł podniesienia własnego statusu dzięki studiom wydał mu się zdradą. Przez szczęśliwe lata szkoły średniej wydawało mu się chwilami, że uciekł od swego losu, choć w głębi duszy godził się na marginesową rolę i kiedy przyszło mu zmierzyć się z przyszłością, rzeczywistość znowu przygniotła go własnym ciężarem. Wynajął pokój i przeniósł się ze swoim skromnym dobytkiem w kartonach, książkami pożyczonymi od Cyrusa i Oliverem jako jedynym towarzystwem. Pies był już bardzo stary i na wpół ślepy, stracił kilka zębów i sporo sierści, ledwo dźwigał ciężar swego kundlowatego ciała, ale nadal był dyskretnym i wiernym przyjacielem. Kilka tygodni pracy w charakterze robotnika niewykwalifikowanego wystarczyły Reevesowi, by pojąć, że amerykański sen nie jest dla wszystkich. Kiedy wracał wieczorem do wynajętego pokoiku, kiedy wyczerpany rzucał się na łóżko i patrząc w sufit, zastanawiał się nad beznadziejnością swego położenia, czuł się w pułapce. Spędził lato pracując w firmie przewozowej, gdzie nosił na plecach ciężkie pakunki. Rozwinęły mu się mięśnie w miejscach, gdzie nawet nie przypuszczał, że mogą być i nabrał kanciastych kształtów gladiatora. Pewnego dnia wypadek przy pracy zmusił go do zmiany życia. We dwóch wnosili na pasach lodówkę, w potwornym upale, schody były wąskie i na każdym stopniu cały ciężar opierał się na jednym ramieniu. Gregory poczuł nagle w prawej nodze coś jakby ostre wyładowanie elektryczne; tylko dzięki sile woli nie puścił ładunku, który zgniótłby jego kolegę. Wyrwał mu się głuchy jęk, a zaraz po nim seria przekleństw. Kiedy w końcu mógł postawić lodówkę i obejrzeć nogę, ujrzał sine drzewo o

grubym pniu i gęstych gałęziach: pękły mu żyły i w kilka minut noga uległa zupełnemu zniekształceniu. Trafił do szpitala, gdzie po badaniach zalecono mu całkowity odpoczynek i ostrzeżono, że uszkodzone żyły będą wyglądać jak żyłaki, które można usunąć jedynie chirurgicznie. Jego pracodawca zapłacił mu za tydzień i Reeves spędził okres rekonwalescencji w swoim pokoju, spływając potem mimo wentylatora, mając na pocieszenie oddanie Olivera, lecznicze masaże Olgi i kreolskie potrawy przygotowywane przez Inmaculadę Morales. Jego rozrywką były książki Cyrusa, muzyka klasyczna i wizyty paru przyjaciół. Carmen często pojawiała się w jego pokoju, opowiadając ze szczegółami nowe filmy; była zdolną narratorką i gdy jej słuchał, wydawało mu się, że siedzi przed ekranem. Juan José Morales, który również skończył osiemnaście lat, przyszedł się pożegnać przed zaciągnięciem się do wojska i zostawił mu na pamiątkę własny album z fotografiami nagich kobiet, którego Reeves wolał nie oglądać, żeby nie cierpieć jeszcze bardziej. Dość miał bezruchu, nicnierobienia i nudy. Cyrus odwiedzał go codziennie i grobowym tonem opowiadał najświeższe wiadomości, ludzkość znajduje się na skraju katastrofy, zimna wojna to niebezpieczeństwo dla całej planety, jest za dużo gotowych do odpalenia bomb atomowych i za dużo butnych generałów gotowych to zrobić, w każdej chwili ktoś może nacisnąć złowrogi guzik, świat pogrzeży się w ogniu ostatecznym i wszystko raz na zawsze rozpadnie się w cholerę.

- Gdzieś się zapodziała etyka, żyjemy w świecie marnych wartości, rozkoszy bez radości i bezsensownych działań.

- Coś ty, Cyrus! Nie przestrzegałeś mnie wiele razy przed burżuazyjnym pesymizmem? - odpowiadał kpiąco jego uczeń.

Nagle i bezszelestnie pojawiała się jego matka. Przynosiła mu herbatniki i kość dla Olivera, siadała na brzegu krzesła przy drzwiach i prowadziła oficjalną rozmowę na te same tematy co zwykle: historia, wspomnienia o ojcu, muzyka. Wydawała się coraz bardziej eteryczna i przezroczysta. W soboty słuchali razem radiowego programu operowego i Nora, wzruszona do łez, mówiła, że są to głosy nadnaturalnych istot, ludzie nie mogą osiągnąć takiej doskonałości. Wierna swoim zasadom dobrego wychowania, z daleka przyglądała się stercie książek przy łóżku i uprzejmie pytała, co czyta.

- Filozofię, mamó.

- Nie lubię filozofów, Greg, występują przeciw Bogu. Próbują rozumowo wyjaśnić akt Stworzenia, który jest aktem miłości i magii. Żeby zrozumieć życie, bardziej przydaje się wiara niż filozofia.

- Podobająby ci się te książki, mamó.

- Tak, przypuszczam, że tak. Trzeba dużo czytać, Greg. Poznaniem i wiedzą będzie można zwyciężyć zło na ziemi.

- Te książki mówią innymi słowami to, czego mnie nauczylaś: że jest tylko jedna ludzkość, że nikt nie powinien posiadać ziemi, bo należy ona do wszystkich i że pewnego dnia sprawiedliwość i równość będą dla wszystkich.

- I to nie są książki religijne?

- Wręcz przeciwnie, to nie są książki o bogach, ale o ludziach. Mówią o ekonomii, polityce, historii...

- Oby tylko nie były komunistyczne, synu.

Na pożegnanie zostawiała mu ulotkę o bahaizmie lub jakimś nowym mistrzu duchowym, których tyłu pojawiała się w okolicy, i odchodziła, żegnając go delikatnym gestem dłoni, nawet go nie dotykając. Jej kroki w pokoju były takie lekkie, że Gregory miał wątpliwości, czy rzeczywiście tu była;

czy ta pani o włosach koloru mgły, ubrana w staroświecką sukienkę nie jest tylko wytworem jego wyobraźni. Odczuwał w stosunku do niej bolesną czułość, wydawała mu się anielską istotą, nietkniętą przez zło, delikatną i subtelną jak z bajki. Chwilami dławiała go wściekłość na nią, chciał ją potrząsnąć, wydobyć z nieustannego lunatyizmu, krzyknąć, żeby otworzyła w końcu oczy i spojrzała mu w twarz, popatrz, matko, jestem tutaj, nie widzisz mnie? Najczęściej jednak pragnął tylko podejść do niej, dotknąć, śmiać się z nią razem i opowiedzieć swoje tajemnice.

Pewnego popołudnia Pedro Morales zamknął wcześniej warsztat, żeby przyjść do Gregory'ego z wizytą. Od śmierci Charlesa'Reevesa, nic nikomu nie mówiąc, podjął się czuwania nad rodziną swego nauczyciela.

- To był wypadek przy pracy. Powinni wypłacić ci odszkodowanie - tłumaczył.

- Powiedzieli mi, że do niczego nie mam prawa, don Pedro.

- Twój szef jest ubezpieczony, nie?

- Szef powiedział, że nie on jest szefem i że nie jesteśmy jego pracownikami, bo pracujemy na umowie. Płacą nam gotówką, wyrzucają w każdej chwili i nie jesteśmy ubezpieczeni. Pan wie, jak to jest.

- To nielegalne. Adwokat mógłby ci pomóc, synu.

Ale Reeves nie miał pieniędzy na adwokatów i zniechęciła go myśl pogrążenia się na długie lata w uciążliwym załatwianiu spraw. Gdy tylko mógł stanąć na własnych nogach, znalazł pracę nie wymagającą tyle wysiłku, choć równie nieprzyjemną, w fabryce mebli, gdzie unoszący się w powietrzu pył z trocin i opary kleju, lakieru i rozpuszczalnika wprowadzały robotników w ciągły stan otępienia. Przez kilka miesięcy robił nogi do krzesel, wszystkie dokładnie takie same.

Wypadek z nogą wzmógł w nim czujność i tak często dyskutował z nadzorcą, domagając się respektowania praw pracownika zapisanych w umowie, choć nie przestrzeganych w praktyce, że w końcu uznano go za notorycznego podżegacza i zwolniono. Odtąd raz po raz zmieniał pracę, bo wszędzie pozbywano się go po kilku tygodniach.

- Dlaczego tak się rzucasz, Greg? Nie jesteś już w szkole średniej i nie jesteś żadnym przewodniczącym. Jeśli ci płacą, ile się należy, to nie domagaj się więcej, siedź cicho - radziła mu Olga, nie licząc, że jej posłucha.

- Dobrze robisz, synu, trzeba mieć solidarność klasową. W jedności siła - wykrzykiwał Cyrus, wskazując drżącym palcem na niewidzialną czerwoną flagę. - Praca uszlachetnia człowieka, każda jest tak samo godna i powinna być tak samo opłacana, choć nie wszyscy ludzie mają te same zdolności. Ale ty się do tego nie nadajesz, Greg, to niepotrzebny wysiłek, do niczego cię nie doprowadzi, to jak wrzucanie piasku do morza.

- Dlaczego nie poświęcisz się raczej sztuce? Twój ojciec był artystą, nie? - radziła Carmen.

- I umarł w nędzy, zostawiając nas na łasce opieki społecznej. Nie, dziękuję, mam dość biedy. Bieda to gówno.

- Nikt nie staje się bogaty, pracując w fabryce jako niewykwalifikowany robotnik. Poza tym ty nie umiesz słuchać poleceń i szybko się nudzisz. Nadajesz się tylko do tego, żeby samemu sobie być szefem - nalegała przyjaciółka, która kierowała się takimi właśnie zasadami.

Carmen była już za dorosła, by nadal występować na ulicy w różnokolorowych szmatkach, ale nie chciała zarabiać na życie stałą pracą, przerażała ją sama myśl spędzania całego dnia w biurze lub w szopie przy maszynie do szycia,

zarabiała trochę pieniędzy rękodziełem artystycznym, sprzedawanym w sklepach z upominkami i na ulicznych targach. Tak jak Judy i wiele innych dziewczyn z dzielnicy nie skończyła szkoły średniej, nie była wykształcona, choć wykazywała sporą pomysłowość i po cichu mogła liczyć na pomoc ojca w ucieczce przed męką rutynowej pracy. Pedro Morales miał miękkie serce dla tej kapryśnej dziewczyny i pozwalał jej na rzeczy, których nie znosił u reszty swoich dzieci.

W fabryce konserw praca była prosta, choć byle nieuwaga mogła kosztować utratę kilku palców. Maszyna, nad którą czuwał Gregory, metkowała nieskończoną defiladę puszek przejeżdżających na taśmie transportowej. Hałas był ogłupiający, dźwięczały przekładnie i metalowe blachy, ryczały metkownice i koła zębate, skrzypiał źle naoliwiony metal, łomotały młotki, chrzęściły nożyce, klekotały wałki. Gregory z woskowymi kulkami w uszach ledwie wytrzymał ten łoskot, czuł się jak w środku dzwonnicy; wykończony hałasem, po wyjściu z fabryki był tak ogłuszony, że nie słyszał ruchu ulicznego i przez dobrą chwilę miał wrażenie, że jest pogrążony w ciszy dna morskiego. Produkcja była rzeczą najważniejszą i każdy robotnik musiał harować do granic wytrzymałości, a czasami nawet więcej, jeśli chciał zachować pracę. W poniedziałki mężczyźni przychodzili wymęczeni kaczem i ledwie przytomni po weekendowych zabawach. Gdy po południu gwizdek oznajmiał koniec roboty, nagle zapadała cisza i Gregory na kilka minut tracił poczucie równowagi i czuł się jak zawieszony w próżni. Robotnicy myli się pod kranami na podwórzu, zmieniali ubranie i gromadnie szli do pobliskich barów. Na początku próbował do nich dołączyć,

wdychał opary taniej *tequili* i ciemnego piwa, śmiał się z wulgarnych dowcipów i śpiewał mało wymyślne piosenki, bardziej znudzony niż wesoły. Mógł sobie roić choć przez chwilę, że ma przyjaciół, ale gdy tylko wychodził na powietrze i ulatniały się barowe opary, pełen żalu zdawał sobie sprawę, że oszukuje sam siebie. Nie miał z nimi nic wspólnego, Meksykanie nie ufali mu jak każdemu Jankesowi. Szybko zrezygnował z tej złudnej przyjaźni i prosto z fabryki szedł do siebie, zamykał się, czytał i słuchał muzyki. Chcąc zdobyć zaufanie robotników, stawał na czele wszystkich protestów, pierwszy gardłował, kiedy ktoś uległ wypadkowi czy popełniono niesprawiedliwość, ale w praktyce rozpowszechnianie idei Cyrusa o sprawiedliwości społecznej było trudne, bo sam Reeves nie mógł liczyć na poparcie zainteresowanych.

- Chcą utrzymać pracę, Cyrus. Boją się. Każdy zajmuje się swoimi sprawami, nikogo nie obchodzą inni.

- Można przewyciężyć strach, Gregory. Musisz ich nauczyć, że trzeba poświęcić osobisty interes dla wspólnej sprawy.

- A jednak na co dzień każdy broni tylko swego tyłka. Żyjemy w bardzo egoistycznym społeczeństwie.

- Musisz z nimi rozmawiać, Greg. Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które kieruje się etyką i może przewyciężyć instynkt. Inaczej bylibyśmy jeszcze w epoce kamiennej. To jest rozstrzygający moment w historii. Jeśli uda nam się uniknąć atomowego kataklizmu, to mamy wszelkie szanse, żeby się narodził Nowy Człowiek - niestrudzenie wyjaśniał windziarz, używając wyczytanych gdzieś zwrotów.

- Obyś miał rację, ale obawiam się, że ten Nowy Człowiek narodzi się gdzie indziej, Cyrus, nie tutaj. W tej dzielnicy nikt nie myśli o przeskakiwaniu biologii, tylko o przeżyciu.

Tak też było, nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi. Latynosi, w większości przebywający nielegalnie, trafili na północ po niezliczonych trudnościach i nie mieli najmniejszego zamiaru ściągać na siebie nowych nieszczęść politycznymi dyskusjami, które na pewno sprowadziłyby straszliwych agentów *Migry*. Nadzorca fabryki, ogromne chłopisko o ryżej brodzie, obserwował Reevesa przez kilka miesięcy. Nie zwolnił go z pracy tylko dlatego, że był jednym z cierpliwych wielbicieli Judy, marzył, że pewnego dnia uda mu się rozebrać ją do naga i poznać to obfite ciało. Przez pewien czas miał nawet nadzieję, że zmiękczy jej serce dzięki pokumaniu się z bratem. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby wypić z Gregorym kilka głębszych, licząc, że w rewanzu otrzyma zaproszenie do Reevesów. Nie chcę go tu widzieć, mruknęła Judy, gdy brat coś napomknął, nie przypuszczając nawet, że rudzielec wygra jednak dzięki swemu uporowi i kiedyś zostanie jej pierwszym mężem. Pewnego dnia mężczyzna przyłapał Gregory'ego na rozdawaniu kartek napisanych w złej hiszpańszczyźnie i chciał się dowiedzieć, o co, u diabła, chodzi.

- To są przepisy prawa pracy - wytłumaczył Gregory wyzywająco.

- Co to za kurewstwo?

- Warunki pracy w tej szopie są niezdrowe i zalega się nam z zapłatą za wiele godzin nadliczbowych.

- Chodź do biura, Reeves.

Gdy zostali sami, kazał mu usiąść i zaproponował kieliszek z butelki dżinu, którą trzymał w apteczce pierwszej pomocy. Przez długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu, zastanawiając się nad sposobem wytłumaczenia swoich racji. Był małomówny i nigdy by się aż tak nie wysiłał, gdyby nie Judy.

- Tu możesz daleko zajść, chłopie. Tak jak ja to widzę, mógłbyś w niecałe pięć lat zostać nadzorcą. Masz wykształcenie i umiesz dowodzić.

- A poza tym jestem biały, prawda? - uściłił Reeves.

- Też. Nawet w tym masz szczęście.

- Z tego, co widzę, żaden z moich towarzyszy nigdy nie odejdzie od taśmy produkcyjnej...

- Ci zawszeni Indianie to źli ludzie, Reeves. Biją się, kradną, nie można im ufać. Poza tym są głupi, nic nie rozumieją, nie uczą się angielskiego, są leniwi.

- Nie wiesz, co mówisz. Umieją o wiele więcej i są bardziej honorowi niż ty czy ja. Mieszkasz w tej dzielnicy całe życie i nie znasz ani słowa po hiszpańsku, a którykolwiek z nich w kilka tygodni uczy się angielskiego. Nie są też leniwi, pracują więcej niż jakikolwiek biały za połowę wynagrodzenia.

- Co cię obchodzą ci ludzie? Nie masz z nimi nic wspólnego, jesteś inny. Wierz mi, zostaniesz nadzorcą i kto wie, czy pewnego dnia nie będziesz właścicielem własnej fabryki, zarabiasz niezły grosz, powinieneś myśleć o swojej przyszłości. Pomogę ci, ale nie chcę tu żadnych drak, to dla ciebie niekorzystne. Poza tym ci Indianie na nic się nie skarżą, są zadowoleni.

- Zapytaj ich, czy są zadowoleni...

- Jak im się nie podoba, niech wracają do siebie, nikt ich nie prosił, żeby tu przyjeżdżali.

Reeves wiele razy słyszał to zdanie i wyszedł z biura wściekły. Na podwórzu, gdzie myli się robotnicy, zobaczył kosz na śmieci wypełniony po brzegi jego ulotkami, przewrócił go kopniakiem i odszedł przeklinając. Żeby odpędzić zły nastrój, poszedł do kina obejrzeć dwa horrory, potem w barze zjadł hamburgera na stojąco i o północy wrócił na piechotę do domu.

Złość zamieniła się w tym czasie w dotkliwe uczucie bezsilności. Gdy wrócił, znalazł w drzwiach informację: Cyrus jest w szpitalu.

Stary windziarz umierał przez dwa dni, mając do towarzysztwa tylko Gregory'ego Reevesa. Nie miał rodziny i nie chciał zawiadamiać nikogo z przyjaciół, gdyż śmierć uważał za sprawę prywatną. Nienawidził sentymentalizmu i uprzedził Gregory'ego, że jak ma płakać, to lepiej, żeby sobie poszedł, bo ani myśli spędzać ostatnich chwil na tym świecie, pocieszając bekse. Zawołał go, wyjaśnił, co jeszcze pozostało, nie chciał odchodzić z wyrzutami sumienia, że nie wypełnił swojego zadania. Jego serce szybko ustawało, długie godziny trwał męczący proces żegnania się z życiem i oddzielenia od ciała. Chwilami miał na tyle siły, żeby rozmawiać i starczyło mu jasności umysłu, by jeszcze raz przestrzec ucznia przed zagrożeniami płynącymi z indywidualizmu i podyktować listę niezbędnych książek; kazał mu je czytać we wskazanej kolejności. Potem wręczył klucz od skrytki na dworcu kolejowym i - przerywając wiele razy, żeby odetchnąć - wydał ostatnie polecenia.

- Znajdziesz tam osiemset dolarów w banknotach. Nikt nie wie, że je mam, szpital nie będzie się mógł ich domagać za mój pobyt. Opieka społeczna albo biblioteka zajmą się pogrzebem, jestem pewien, że nie wyrzucą mnie na śmieci. Te pieniądze są dla ciebie, żebyś poszedł na studia. Można zaczynać od samego dołu, ale lepiej działać z góry, a bez dyplomu będzie cię bardzo dużo kosztować wyrwanie się z tej dziury. Im wyżej się wdrapiesz, tym więcej będziesz mógł zrobić, żeby zmienić ten przeklęty kapitalizm, rozumiesz mnie?

- Cyrus...

- Nie przerywaj mi, opuszczają mnie siły. Po co wypełniałem ci mózg lekturami przez tyle lat? Żebyś go używał! Kiedy ktoś zarabia na życie, tyrając bez chęci, to czuje się jak niewolnik, kiedy robi coś, co kocha, czuje się jak książe. Bierz pieniądze i wyjedź daleko z tego miasta, słuchasz mnie? Miałaś dobre stopnie w szkole, przyjmą cię bez kłopotu na jakimkolwiek uniwersytet. Przysięgnij mi, że to zrobisz.

- Ale...

- Przysięgnij!

- Przysięgam ci, że spróbuję...

- To nie wystarczy. Przysięgnij, że to zrobisz.

- Dobrze, zrobię - Gregory musiał wyjść na korytarz, żeby przyjaciel nie zobaczył, że płacze. Gwałtownie powrócił dawny strach. Po tym, jak ujrzał szczątki Martineza na torach kolejowych, uwierzył, że przewyciężył obsesję śmierci i rzeczywiście nie myślał o niej przez całe lata, ale gdy poczuł w pokoju Cyrusa ten delikatny zapach gorzkich migdałów, strach wrócił z tą samą mocą, co w dzieciństwie. Zastanawiał się, dlaczego ten zapach przyprawia go o mdłości, ale nie mógł znaleźć odpowiedzi. Tej samej nocy Cyrus zmarł po cichu i z godnością, tak jak żył, w towarzystwie człowieka, którego uważał za swojego syna. Przed samym zgonem zabrano konającego ze wspólnej sali i przeniesiono do izolatki. Zawiadomiony przez Carmen Morales Ojciec Larraguibel przybył z ostatnim namaszczeniem, chory był już nieprzytomny i Gregory uznał za niestosowne przeszkadzać, aby Cyrusa, niepoprawnego agnostyka, pokropiono wodą święconą wspomaganą łąciną.

- To mu nie zaszkodzi, a kto wie, czy nie pomoże - mruknął ksiądz.

- Przykro mi, Ojcze, Cyrusowi by się to nie podobało, ksiądz wybacz.

- To nie ty decydujesz, chłopcze - odparł ksiądz stanowczo i odepchnął go bez dyskusji, wyjął z walizeczki stulę, oznakę swego autorytetu, i święte oleje do namaszczenia i przystąpił do udzielania sakramentów, korzystając z tego, że chory nie może się sprzeciwić.

Śmierć nadeszła spokojnie i dopiero po kilku minutach Gregory zdał sobie sprawę z tego, co zaszło. Pozostał długą chwilę przy ciele przyjaciela, rozmawiając z nim po raz ostatni, dziękując mu za wszystko, prosząc, żeby go nie opuszczał i żeby opiekował się nim z nieba niedowiarków, patrz, jaki jestem głupi, Cyrus, prosić o to właśnie ciebie, ale jeśli nie wierzysz w Boga, to przynajmniej powinieneś wierzyć w Anioła Stróża. Następnego dnia wyjął ze skrytki skromny skarb i dołożył trochę własnych oszczędności, żeby zapłacić za uroczysty pogrzeb z muzyką organową i obfitością gardenii, na który zaprosił personel biblioteki i innych, którzy nie znali Cyrusa, a oni przyszli tylko dlatego, że ich o to prosi, i matka, i Judy, i klan Moralesów, łącznie ze zwiariowaną babcią, która dobiegała stu lat i potrafiła jeszcze cieszyć się z czyjegoś pogrzebu, szczęśliwa, że to nie ona znajduje się w trumnie.

W dniu pogrzebu świeciło piękne słońce, było gorąco i Gregory pocił się w ciemnym garniturze. Idąc za trumną na cmentarz, po cichu żegnał się ze swoim starym nauczycielem, z pierwszym etapem swojego życia, z tym miastem i przyjaciółmi. Tydzień później wsiadł do pociągu do Berkeley. Miał ze sobą dziewięćdziesiąt dolarów i bardzo mało dobrych wspomnień.

Wyskoczyłem z pociągu z pośpiechem kogoś, kto otwiera czysty zeszyt, moje życie zaczynało się na nowo. Tyle się nasłuchałem o tym rozwiązłym, wywrotowym i wizjonerskim

mieście, w którym lunatycy żyją obok laureatów Nagrody Nobla, że wydało mi się, iż czuję powietrze naładowane energią, powiew zaraźliwego wiatru, strzepującego ze mnie dwadzieścia lat rutyny, męki i duchoty. Już nie mogłem dłużej, Cyrus miał rację, moja dusza gnęła. Zobaczyłem nie żółtych światła w księżycowej mgle, nieco zniszczony dworzec, cienie milczących podróżnych, dźwigających tobołki i walizki, usłyszałem szczekanie psa. Czulo się nienamacalną zimną wilgoć i dziwny zapach, mieszankę żelaza z lokomotywy i oparów kawy. Był to taki sam smętny dworzec jak wiele innych, ale to nie zburzyło mojego entuzjazmu, zarzuciłem na plecy płócienny worek i ruszyłem, podskakując jak dzieciak i krzycząc na cały głos, że to jest pierwsza noc ze wszystkich następnych dni mojego fantastycznego życia. Nikt się nie obejrzał, jakby ten poryw nagłego szaleństwa był czymś normalnym, i rzeczywiście tak było, o czym się przekonałem następnego dnia, gdy tylko wyszedłem ze schroniska dla młodzieży na ulicę, żeby sprostać wyzwaniu: zapisać się na uniwersytet, znaleźć pracę i mieszkanie. To była inna planeta. Upiłem się kosmopolityczną i libertyńską atmosferą Berkeley, ja, który wychowałem się w swoistym getcie. Na ścianie było napisane na zielono grubym pędzlem: *Toleruje się wszystko prócz nietolerancji*. Lata, które tam spędziłem, były intensywne i wspaniałe, jeszcze teraz, gdy odwiedzam to miasto, co robię często, czuję się, jakbym do niego należał. Gdy przyjechałem, na początku lat sześćdziesiątych, nie był to nawet cień nieopisanego cyrku, jakim stało się Berkeley w czasach, gdy wyjechałem na drugą stronę oceanu, ale już było kolebką radykalnych ruchów, zuchwałych buntów i źródłem wszelkiej ekstrawagancji. Byłem świadkiem przemiany larwy gąsienicy w motyla o wielkich, różnobarwnych

skrzydłach, który wzburzył całe pokolenie. Z czterech stron świata przyjeżdżała młodzież, podążając za nowymi ideami, jeszcze bez nazwy, ale wyczuwalnymi w powietrzu jak wibracje cichnącego bębna. Była to mekka dla pielgrzymów bez Boga, inny kraniec kontynentu, dokąd się jechało, uciekając od starych rozczarowań lub w poszukiwaniu jakiejś utopii; sama esencja Kalifornii, dusza tego ogromnego, słonecznego terytorium bez pamięci, Wieża Babel białych, Azjatów, czarnych, odrobiny Latynosów, dzieci, starców, młodzieży, przede wszystkim młodzieży: *Me ufaj nikomu, kto ma ponad trzydziestkę*. Było w modzie nic nie mieć, a przynajmniej udawać biednego, i miało to trwać przez kolejne dziesięciolecia, gdy cały kraj upajał się sukcesem i zachłannością. Mieszkańcy Berkeley wydawali mi się nieco obdarci, często żebrak na rogu miał mniej żaloszny wygląd od szczodrego przechodnia dającego mu jałmużnę. Patrzyłem na to wszystko z ciekawością prowincjusza. W mojej dzielnicy Los Angeles nie było ani jednego hipisa, meksykańscy *machos* zniszczyliby go, i choć widziałem paru na plaży, w śródmieściu i w telewizji, nic nie było porównywalne z tym spektaklem. Ulice wokół uniwersytetu opanowali spadkobiercy bitników, z grzywami włosów, brodami i bokobrodami, kwiatami, koralami, indyjskimi tunikami, malowanymi dżinsami i mnisimi sandałami. Odór marihuany mieszał się z zapachem ulicy, kadzidła, kawy i przypraw orientalnej kuchni. Na uniwersytecie noszono jeszcze krótkie włosy i zwykłe ubrania, ale już zaczynały być widoczne zmiany, które kilka lat później skończyły z tą rozważną monotonią. W parkach studenci zdejmowali buty i koszule, żeby się opalać, jakby uprzedzając nadejście bliskiej już epoki, w której kobiety i mężczyźni obnażą się całkowicie, czcząc rewolucję wspólnej miłości. Młodzi na zawsze, mówiło graffiti na

ścianie, a bezlitosne kuranty dzwonnicy Campanile co godzinę przypominały o nieubłaganym upływie czasu.

Widziałem z bliska kilka oblicz rasizmu, jestem jednym z niewielu białych, którzy odczuli to na własnej skórze. Gdy najstarsza córka Moralesów ubolewała nad swoimi indiańskimi kośćmi policzkowymi i cynamonową skórą, ojciec wziął ją za ramię, zaciągnął przed lustro, kazał dobrze się sobie przyjrzeć i podziękować Najświętszej Matce Boskiej z Gwadelupy, że nie jest brudną czarnuchą. Pomyślałem wtedy, że Pedro Moralesowi na niewiele przydał się dyplom Niezłębionego Zamyśłu wiszący na ścianie i mający zaświadczyć o wyższości jego duszy, gdyż w istocie zachował te same przesady, co inni Latynosi, nienawidzący Murzynów i Azjatów. W tamtych czasach Latynosi nie pchali się na uniwersytet, wszyscy studenci byli biali, z wyjątkiem kilku potomków chińskich imigrantów. Nie było również Murzynów na zajęciach, zaledwie kilku w drużynach sportowych. Niewiele też się widywało w biurach, sklepach i restauracjach, za to pełno ich było w szpitalach i więzieniach. To prawda, że istniała segregacja rasowa, ale czarnych nie miano już za obcokrajowców, jak upokarzano moich latynoskich przyjaciół; oni przynajmniej poruszali się po własnej ziemi i wielu zaczynało to robić dużymi, hałaśliwymi krokami.

Odwiedziłem kilka biur, próbując odnaleźć się w labiryncie kampusu, obliczając, ile pieniędzy będę potrzebował na życie, i zastanawiając się, jak zdobyć pracę. Odsyłali mnie od jednego okienka do drugiego, krążyłem, załatwiając sprawy, jak za własnym ogonem, biurokracja mnie przygniatała, nikt nic nie wiedział, każdy nowy uważany był za przeszkodę, której próbowano uniknąć. Nie dowiedziałem się, czy wszystkich nas traktowano jak śmieci, żeby nas uodpornić,

czy tylko ja byłem taki zagubiony; doszedłem do wniosku, że jestem dyskryminowany za mój meksykański akcent. Od czasu do czasu jakiś student pełen dobrej woli przekazywał mi nieco informacji, kierując mnie we właściwą stronę, bez tej pomocy spędziłbym miesiąc, kręcąc się jak bąk. W akademiku nie było wolnych miejsc, a mnie nie interesowały bractwa, jaskinie konserwatyzmu i klasowości, gdzie taki typ jak ja nie miał czego szukać. Pewien chłopak, na którego wpadłem kilka razy podczas żmudnego załatwiania spraw, powiedział mi, że znalazł pokój do wynajęcia i gotów jest dzielić go ze mną. Nazywał się Timothy Duane i jak się później dowiedziałem, uważany był przez dziewczyny za najprzystojniejszego chłopaka na uniwersytecie. Kiedy wiele lat później poznała go Carmen, orzekła, że przypomina grecki posąg. Nie ma nic z Greka, jest Irlandczykiem o jasnych oczach i czarnych włosach, jak wielu innych. Opowiedział mi, że jego dziadek uciekł z Dublina na początku wieku, ścigany przez angielski wymiar sprawiedliwości, przybył do Nowego Jorku bez grosza i w kilka lat zdobył fortunę, robiąc ciemne interesy. Na starość stał się mecenasem sztuki i nikt nie pamiętał o nieco mętnych początkach jego kariery. Po śmierci zostawił potomkom kupę forsy i dobre imię. Timothy wychowywał się w katolickich internatach dla bogatych dzieci, gdzie uprawiał sporty i gdzie wykształcono w nim przytłaczające poczucie winy, które, jestem przekonany, miał już od kołyski. W głębi duszy chciał być aktorem, ale jego ojciec uważał, że są tylko dwa zawody godne szacunku: lekarza lub adwokata, cała reszta to głupoty dla szachrai, zwłaszcza wszystko, co wiąże się z teatrem, było w jego oczach sprawką homoseksualistów i zboczeńców. Ojciec unikał połowy podatków dzięki fundacji na rzecz sztuki założonej przez dziadka Duane, ale nie rozwinęło to w nim

sympatii dla artystów. Cieszył się pozycją i dobrym zdrowiem prawie przez stulecie, pozbawiając ludzkość widoku swego syna na scenie albo ekranie. Tim został lekarzem nienawidzącym swojego zawodu; twierdził, że poświęcił się patologii tylko dlatego, że od zmarłych nie musiał wysłuchiwać skarg ani ich pocieszać. Rezygnacja z artystycznych marzeń i zamiana sceny na zimne sale sekcyjne uczyniła z niego samotnika dręczonego przez uparte demony. Wiele kobiet polowało na niego, ale wszystkie miłości kończyły się niepowodzeniem, pozostawiając w nim posmak nieufności i krzywdy. Dopiero w późnym okresie życia, gdy stracił już swój uśmiech, nadzieję i znaczną część wdzięku, znalazł kogoś, kto go ocalił przed nim samym. Ale uprzedzam wypadki, to stało się dużo później. W czasach, gdy go poznałem, zwodził ojca obietnicami, że będzie studiował prawo lub medycynę, a po kryjomu zajmował się teatrem, swoją prawdziwą pasją. Przyjechał do miasta w tym tygodniu i dopiero je poznawał, lecz w odróżnieniu ode mnie miał doświadczenie w edukacyjnym świecie białych, poparcie bogatego ojca i wychowanie, które otwierało przed nim drzwi. Dzięki pewności siebie wydawał się właścicielem uniwersytetu. Tutaj człowiek mało wkuwa, ale dużo się uczy, mniej oczy otwarte i milcz, doradził mi. Ja jeszcze chodziłem jak nawiedzony. Jego pokój znajdował się na poddaszu w starym domu, miał sklepienie niczym w katedrze i dwa świetliki, przez które widać było dzwonnice Campanile. Tim pokazał mi, że można zobaczyć też inne rzeczy: stając na krześle, widzieliśmy łazienkę w akademiku, do której co rano chodziły dziewczyny pod prysznic w samej bieliźnie. Kiedy szybko odkryły, że je podglądamy, kilka zaczęło chodzić nago. W pokoju było bardzo mało mebli, zaledwie dwa łóżka, duży stół i regał na książki.

Zamontowaliśmy kawałek rury między dwiema belkami, żeby powiesić ubrania, a resztę ustawiliśmy w kartonach na podłodze. Pozostałą część domu zajmowały dwie urocze kobiety, Joan i Susan, z którymi z czasem bardzo się zaprzyjaźniłem. Miały dużą kuchnię, w której przygotowywały jedzenie według przepisów, jakie zamierzały opublikować, od zapachu ich potraw ciekła mi ślinka i dzięki nim nauczyłem się gotować. W niedługim czasie miały stać się sławne, nie tyle dzięki talentom kulinarnym czy książce, której nigdy nie ogłosiły, ale dlatego, że zapoczątkowały modę na palenie staników na znak publicznego protestu. Ten spontaniczny gest - protest przeciw temu, że nie wpuszczono ich do baru wyłącznie dla mężczyzn, uchwycony przypadkiem przez aparat fotograficzny japońskiego turysty i pokazany w telewizyjnych wiadomościach - był naśladowany przez inne kobiety i niebawem stał się znakiem rozpoznawczym feministek na całym świecie. Dom okazał się idealny, znajdował się dwa kroki od uniwersytetu i był bardzo wygodny. Poza tym podobał mi się jego wielkopański wygląd; w porównaniu z innymi moimi mieszkaniami wydawał się pałacem. Wiele lat później zamieszkała w nim jedna z najsławniejszych komun hipisowskich w mieście: dwadzieścia parę osób żyło pod jednym dachem w miłej swobodzie seksualnej, a ogród zmienił się w zachwaszczoną plantację marihuany; ale ja już przeprowadziłem się wtedy gdzie indziej.

Tim zmusił mnie, żebym pozbył się swoich koszul, powiedział, że ubrany według mody z południowej Kalifornii wyglądam jak tropikalny ptak, w Berkeley nikt się tak nie nosi, nie mogę wyjść na manifestację w takim stroju. Tłumaczył, że jeśli nie będziemy protestować, staniemy się nikim i nie uda nam się znaleźć żadnej dziewczyny. Zauważyłem już napisy i plakaty zapowiadające akcje protestacyjne: głód,

dyktatury i rewolucje w niemożliwych do odnalezienia na mapie miejscach kuli ziemskiej, prawa mniejszości, prawa kobiet, zagrożone lasy i gatunki, pokój i braterstwo. Nie można było przejść jednej przecznicy bez podpisania się pod jakimś manifestem, wypić kawy bez darowania dwudziestu pięciu centów na jakiś cel równie altruistyczny, co odległy. Czasu na naukę poświęcało się niewiele w porównaniu z godzinami spędzonymi na żądaniach zadośćuczynienia cudzym krzywdom, oskarżaniu wojskowych, rządu, polityki zagranicznej, nadużyć rasowych, zbrodni ekologicznych i wiecznej niesprawiedliwości. To obsesyjne zajmowanie się problemami świata, nawet najbardziej niedorzecznymi, było rewelacją. Cyrus przez całe lata zasiewał mi w umyśle wątpliwości, ale do tej pory uznawałem wszystko za problem teoretyczny i ćwiczenia intelektualne bez praktycznego zastosowania w codziennym życiu. O tych sprawach mogłem dyskutować tylko z nim; cała reszta śmiertelników była nieprzemakalna na podobne tematy. Teraz dzieliłem się niepokojem z przyjaciółmi, czuliśmy się częścią skomplikowanej sieci, gdzie każde działanie miało oddźwięk o nie dających się przewidzieć skutkach dla przyszłych losów ludzkości. Według moich kumpli od kawy, zaczęła się rewolucja, której nikt nie może zatrzymać, nasze teorie i zwyczaje prędko będą naśladowane na całym świecie, ponosimy historyczną odpowiedzialność, żeby stać u boku tych dobrych, a ci dobrzy, to oczywiście ekstremiści. Nie powinien pozostać kamień na kamieniu, trzeba zaorać ziemię dla nowego społeczeństwa. Po raz pierwszy usłyszałem słowo *polityka* wyszeptane w windzie biblioteki i wiedziałem, że być nazwanym *liberałem* czy *radykałem* to zniewaga tylko trochę mniej obelżywa niż *komunista*. Znajdowałem się w jedynym

mieście Stanów Zjednoczonych, gdzie wszystko było na opak, gorsze od nazwania kogoś *konserwatystą* mogło być tylko określenie *neutralny* czy *obojętny*. Tydzień później mieszkałem już na poddaszu z moim przyjacielem Duane'em, regularnie chodziłem na wykłady i znalazłem dwa zajęcia zarobkowe, żeby utrzymać się na powierzchni. Nauka nie sprawiała mi trudności, ten uniwersytet nie był jeszcze tym straszliwym sitem, jakim stał się później, przypominał raczej szkołę średnią, tyle że o wiele bardziej nieuporządkowaną. Przez dwa lata mieliśmy obowiązek uczęszczania na kursy wojskowe. Bawiłem się tak dobrze na ćwiczeniach i obozach letnich, i tak mi się podobał mundur, że zdałem na czwórkę i dostałem stopień oficerski. Gdy się zapisywałem, kazano mi podpisać pod przysięgą oświadczenie, że nie jestem komunistą. Kiedy umieszczałem swój podpis na dole dokumentu, tak wyraźnie poczułem ironiczne spojrzenie Cyrusa na karku, że aż się odwróciłem, żeby się z nim przywitać.

Nadzorcy z fabryki konserw co noc śniła się Judy Reeves, a na jawie bezustannie prześladowały go rojenia o tej kobiecie. Nie należał do mężczyzn mających obsesję na punkcie tuszy, nawet nie zauważył, że jest otyła. W jego oczach była doskonała, nic jej nie brakowało ani niczego nie miała za dużo, a gdyby mu ktoś powiedział, że waży praktycznie dwa razy więcej niż powinna, szczerze by się zdziwił. Nie zwracał uwagi na rozmiar jej wad, tylko na jakość jej zalet, kochał jej krągłe piersi i rozłożyste siedzenie, podobały mu się duże pośladki, w ten sposób można było więcej ująć w dłonie. Olśniewała go jej niemowlęca skóra, ręce wprawdzie zniszczone szyciem i zajęciami domowymi, ale o szlachetnym kształcie, promienny uśmiech, który miał możliwość parę razy

ujrzeć, i delikatne włosy, jasne jak srebrne nici. Determinacja, z jaką dziewczyna go odtrącała, tylko zwiększała jego upór. Szukał okazji do zawarcia bliższej znajomości, pomimo arogancji, z jaką zawsze go traktowała. Świeżo umyty, w czystej koszuli i spryskany wodą kolońską, żeby stłumić kwaśną woń fabryki, każdego popołudnia stawał na przystanku autobusowym, czekając, aż jego ukochana wróci z pracy, podawał jej rękę, pomagając wysiąść, i nie obrażał się, gdy ona wolała potknąć się, niż wesprzeć na nim. Szedł obok, prowadząc z nią rozmowę, jakby byli bliskimi przyjaciółmi, nie przejmując się wrogim milczeniem Judy, opowiadał o codziennych drobiazgach, o ludziach, których Judy nie знаła, i komentował wyniki meczy baseballowych. Odprowadzał ją pod drzwi domu, zapraszał na kolację - pewien jej milczącej odmowy - i żegnał się, obiecując spotkanie następnego dnia w tym samym miejscu. To cierpliwe oblężenie trwało bez zmian przez dwa miesiące.

- Kim jest ten mężczyzna, co przychodzi codziennie? - zapytała w końcu Nora Reeves.

- Nikim, mamo.

- Jak się nazywa?

- Nie pytałam i nie obchodzi mnie to.

Następnego dnia Nora czekała, wyglądając przez okno, i zanim Judy zdążyła zamknąć drzwi przed nosem potężnego rudzielca, wyszła mu na spotkanie i zaprosiła na piwo, nie zważając na mordercze spojrzenie córki. Siedząc w mikroskopijskim saloniku na krześle zbyt kruchym jak na jego ogromne cielsko, wielbiciel zachowywał milczenie, ściskając dłonie, aż chrzęściły stawy, podczas gdy Nora otwarcie obserwowowała go ze swojego wiklinowego fotela. Judy znikła w sypialni i zza cienkich ścian słychać było jej wściekle posapywanie.

- Proszę pozwolić sobie podziękować za pańskie życzliwe zainteresowanie moją córką - powiedziała Nora Reeves.

- Aha - odparł wielbiciel, niezdolny do bardziej wypracowanej odpowiedzi, jako że nie był przyzwyczajony do tak wyszukanego języka.

- Pan wydaje się dobrym człowiekiem.

- Aha...

- Jest pan nim?

- Co?

- Czy jest pan dobrym człowiekiem.

- Nie wiem, proszę pani.

- Jak się pan nazywa?

- Jim Morgan.

- Ja nazywam się Nora, a moim mężem jest Charles Reeves, Nauczyciel i Doktor Nauk Boskich, na pewno pan o nim słyszał, jest bardzo znany...

Judy, która podsłuchiwała rozmowę z drugiego pokoju, nie wytrzymała, wpadła jak wicher do salonu, stanęła przed swoim nieśmiałym wielbicielem, biorąc się pod boki.

- Czego chcesz ode mnie, do diabła! Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju!

- Nie mogę... wydaje mi się, że się zakochałem, naprawdę, przykro mi... - wybelkotał nieszczęśliwy amant z twarzą w kolorze swoich włosów.

- No dobrze, jeśli uwolnię się od tego koszmaru, idąc z tobą do łóżka, to chodźmy!

Nora Reeves wydała okrzyk przest్రachu i wstała tak gwałtownie, że przewrócił się fotel. Judy nigdy nie używała takiego słownictwa w jej obecności. Morgan również wstał, pożegnał się z Norą skinieniem ręki, założył czapkę i wyszedł.

- Widzę, że się pomyliłem co do ciebie. Ja pragnę małżeństwa - rzekł sucho, stojąc na progu.

Następnego dnia, kiedy Judy wysiadła z autobusu, nie czekał na nią nikt gotów pomóc jej, podając rękę. Westchnęła z ulgą i zaczęła iść, kołysząc się powoli jak fregata, oglądając codzienne życie ulicy, ludzi zajętych swoimi sprawami, koty grzebiące w śmietnikach, śniade dzieci, bawiące się w kowbojów i bandytów. Droga się wydłużyła i kiedy doszła do domu, radość znikła i ogarnęło ją rozgoryczenie. Tej nocy nie mogła usnąć, zrozpaczona wierciła się wśród prześciera-
deł jak wieloryb złapany w pułapkę podczas odpływu. Wstała o świcie, zjadła dwa banany, trzy jajka sadzone na boczku, osiem grzanek z masłem i marmoladą, wypila filiżankę czekolady. Matka zastała ją siedzącą na ganku z wąsami po czekoladzie i białku jajka, z dwoma strumyczkami łez ciekącymi po policzkach.

- Wczoraj znowu przyszedł twój ojciec. Kazał ci powiedzieć, żebyś zakopała u stóp wierzby wątróbki drobiowe.

- Nie mów mi o nim, mamó.

- To przez mrówki. Mówi, że w ten sposób pójda sobie z domu.

Tego dnia Judy nie poszła do pracy, za to odwiedziła Olgę. Wróżka obejrzała ją od stóp do głów, oceniając wałki tłuszczu, spuchnięte nogi, urywany oddech, okropną sukienkę uszytą naprędce z byle jakiego materiału i straszliwą samotność, czającą się we wspaniale niebieskich oczach dziewczyny, i nie potrzebowała szklanej kuli, żeby wymyślić poradę.

- Co byś najbardziej chciała mieć, Judy?

- Dzieci - odpowiedziała bez wahania.

- No to potrzebujesz mężczyzny. I skoro już tego chcesz, to najlepiej, żeby to był mąż.

Judy udała się do ciastkarni na róg i pochłonęła trzy francuskie ciastka oraz dwie szklanki cydru; stamtąd

powędrowała do zakładu fryzjerskiego, którego progu nigdy wcześniej nie przestąpiła. Przez kolejne trzy godziny sympatyczna i zręczna Meksykanka zrobiła jej trwałą ondulację, malowała paznokcie u rąk i nóg na ostry czerwony kolor oraz depilowała woskiem włosy na nogach, podczas gdy ona pełna cierpliwej determinacji zjadała kilogram czekoladek. Potem wsiadła do autobusu jadącego do centrum, żeby kupić sobie sukienkę w jedynym sklepie dla puszystych, jaki wówczas istniał w stanie Kalifornia. Zdobyła błękitną spódnicę i kwiecistą bluzę, które maskowały trochę jej objętość i podkreślały dziecinną świeżość skóry i oczu. Tak przyodzia-
na o piątej stanęła w drzwiach fabryki, w której pracował jej wielbiciel, krzyżując ramiona i z zawziętym wyrazem twarzy. Zadzźwięczał gwizdek, zobaczyła wychodzący tłum latynoskich robotników, dwadzieścia minut później pojawił się nieogolony nadzorca, spocony i ubrany w wybrudzony olejem podkoszulek. Gdy ją ujrzał, stanął jak wryty z otwartymi ustami.

- Jak powiedziałeś, że się nazywasz? - zapytała Judy mało uprzejmym tonem głosu, żeby ukryć zawstydzenie.

- Jim. Jim Morgan. Ślicznie wyglądasz.

- Jeszcze chcesz się ze mną ożenić?

- Jasne, że tak!

Ojciec Larraguibel odprawił ceremonię w parafii Matki Boskiej z Lourdes, mimo że Judy wyznawała bahaizm tak jak jej matka, a Jim należał do Kościoła Świętych Apostołów; ich przyjaciele byli katolikami, a w tej dzielnicy za jedyne ważne uchodziło małżeństwo zawarte zgodnie z watykańskim obrzędkiem. Gregory przyjechał specjalnie, żeby poprowadzić siostrę do ołtarza. Pedro Morales sfinansował wesele, podczas gdy Inmaculada, jej córki oraz przyjaciółki przez dwa dni gotowały meksykańskie potrawy i piekły

weselne ciastka. Narzeczony zajął się alkoholem i muzyką. Zorganizowali zabawę na środku ulicy z najlepszą grupą *mariachis* i ponad setką gości, którzy tańczyli w takt latynoskich rytmów przez całą noc. Nora Reeves uszyła dla córki wspaniałą suknię ślubną z tyłoma welonami z organdy, że z daleka wyglądała jak żaglowiec piratów, a z bliska jak kołyska królewskiego następcy tronu. Jim Morgan miał trochę oszczędności i jego żona mogła zamieszkać w małym, lecz wygodnym domku. Kupił jej też nowy komplet do sypialni z łóżkiem o specjalnych rozmiarach, żeby wytrzymało ciężar ich obojga i uściski godne nosorożców, których sobie nie szczędzili w pierwszym tygodniu. W następny piątek mąż nie wrócił na noc do domu. Żona czekała do niedzieli, kiedy to pojawił się tak pijany, że nie pamiętał, gdzie ani z kim był. Judy złapała butelkę mleka i rozbiła mu na głowie. Kogoś słabszego podobny cios zabiłby na miejscu, ale Jimowi Morganowi tylko zranił głowę i zamiast go ogłuszyć, straszliwie podniecił. Wytarł spływającą na oczy krew rękawem, rzucił się na Judy i pomimo jej wściekłego kopania i wierzgania tej nocy poczęli pierwszego syna, dorodnego chłopaka, który po urodzeniu ważył pięć kilo. Judy Reeves, olśniona uczuciem niewyobrażalnego szczęścia, przystawiła niemowlę do piersi, gotowa obdarzyć to stworzenie miłością, której sama nigdy nie zaznała. Odkryła swoje macierzyńskie powołanie.

Carmen Morales odebrała wyjazd Gregory'ego jako osobistą obrazę. W głębi serca zawsze zdawała sobie sprawę, że nie należy on do tej dzielnicy i wcześniej czy później pójdzie własną drogą, przypuszczała jednak, że gdy nadejdzie ta chwila, wyruszą razem, być może w poszukiwaniu przygody

z wędrownym cyrkiem, jak tyle razy planowali. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niego. Odkąd sięgała pamięcią, widywała go prawie codziennie, dzieląc z przyjacielem wszystkie drobne i wielkie sprawy. Gregory wyjaśnił jej tajemnice dzieciństwa: Święty Mikołaj nie istnieje, a dzieci nie rosną w kapuście ani nie przynosi ich z Paryża bocian; był pierwszą osobą, której powiedziała w wieku jedenastu lat, że odkryła czerwoną plamę na majtkach. Był bliżej niej niż matka i rodzeństwo, dorastali razem, opowiadali sobie nawet rzeczy zakazane przez poczucie wstydu, w którym ją wychowano. Podobnie jak Gregory, co chwila się zakochiwała, płonąć gwałtownym, acz krótkotrwałym uczuciem, ale w odróżnieniu od niego, była związana patriarchalną tradycją swojej rodziny i środowiska. Jej namiętna natura rozbijała się o dwulicowy kodeks moralny, który czynił z kobiet ofiary, a mężczyznom udzielał zgody na polowanie. Musiała dbać o reputację, ponieważ najmniejszy cień mógłby spowodować tragedię. Ojciec i bracia zazdrośnie jej strzegli, gotowi bronić honoru rodziny, podczas gdy sami próbowali robić z innymi kobietami to, na co nigdy by nie pozwolili dziewczynom własnej krwi. Carmen miała niepokromioną duszę, choć zaplątana była jeszcze w pajęczynę lęku, co powiedzą inni. Przede wszystkim bała się ojca, potem wybuchowego księdza Larraguibela, dopiero potem Boga, a na końcu złych języków, zdolnych zniszczyć jej przyszłość. Jak tyle innych dziewczyn z jej pokolenia, została wychowana według zasady, że małżeństwo i macierzyństwo są najdoskonalszym losem - *pobrali się, mieli dużo dzieci i byli bardzo szczęśliwi* - ale wokół siebie nie widziała żadnego przykładu tego domowego szczęścia, nawet jej rodzice byli razem, bo nie potrafili sobie wyobrazić innej sytuacji, choć wcale nie zachowywali się jak romantyczne pary filmowe. Nigdy nie widziała,

żeby się pieśczośliwie dotykali, szeptano nawet, że Pedro Morales ma dziecko z inną kobietą. Nie, to nie było to, czego pragnęła dla siebie. Nadal marzyła, jak w dzieciństwie, o innym życiu pełnym przygód, ale nie miała odwagi zerwać z własnym środowiskiem i odejść. Wiedziała, że za jej plecami plotkowano, co sobie wyobraża najmłodsza z Moralesów? nie ma stałej pracy, chodzi sama po nocy, za bardzo maluje sobie oczy, czy to nie bransoletka, to, co nosi na kostce? za dużo przebywa z Gregorym Reevesem, w końcu nie są krewnymi, Moralesowie powinni bardziej się zająć córką, jest już w wieku do małżeństwa, oj, nie będzie jej łatwo zdobyć męża z tym zachowaniem wyzwolonej Jankeski. A jednak Carmen nigdy nie zabrakło kandydatów do małżeństwa. Pierwszą propozycję otrzymała, skończywszy ledwie piętnaście lat, a w wieku dziewiętnastu już miała pięciu pretendentsów pragnących ją poślubić, zakochiwała się w każdym z ulotną namiętnością i nudziła po kilku tygodniach, jak tylko zaczęła się nieunikniona rutyna. Gdy Gregory wyjechał, pojawił się pierwszy narzeczony, Amerykanin Tom Clayton; wszyscy pozostali byli Latynosami z dzielnicy. Clayton - ironiczny i płodny dziennikarz, olśnił ją znajomością świata i wspaniałymi teoriami o wolnej miłości i równouprawnieniu płci, tematami, których ona nigdy by się nie ośmieliła poruszyć w domu, ale o których wiele rozmawiała z Gregorym.

- Czyste wodolejstwo, chce tylko przespać się z tobą i uciec - ocenił przyjaciel.

- Jesteś kompletnie zacofany, bardziej niż mój ojciec!

- Mówił ci o małżeństwie?

- Małżeństwo zabija miłość.

- Ależ jej nie zabija, Carmen, na Boga!

- Nie interesuje mnie przestępowanie progu kościoła w białej sukni, Greg. Ja jestem inna.

- Przyznaj się w końcu, już z nim spałaś...

- Nie, jeszcze nie - i po chwili pełnej westchnień - co się czuje? Opowiedz mi, co się czuje...

- Tylko jakby cię prąd kopnął, nic więcej. Prawda jest taka, że seks jest przeceniany, człowiek sobie wiele wyobraża i na koniec zawsze się frustruje.

- Kłamczuch. Gdyby tak było, to nie biegałbyś z wywieszonym językiem za każdą kobietą.

- Właśnie tu jest pułapka, Carmen. Zawsze się wydaje, że z następną będzie lepiej.

Gregory wyjechał we wrześniu, a w styczniu następnego roku Tom Clayton ruszył do Waszyngtonu, chcąc przyłączyć się do ekipy prasowej najbardziej charyzmatycznego prezydenta tego wieku, którego pełna napuszonych idei polityka fascynowała go. Pragnął otrzeć się o władzę i uczestniczyć w biegu historii, czuł przy tym, że na zachodnim wybrzeżu nie ma przyszłości dla ambitnego dziennikarza, to za daleko od serca imperium, jak powiedział Carmen. Zostawił ją we łzach, bo po raz pierwszy była poważnie zakochana; w porównaniu z uczuciami, jakie nią teraz targały, wszystkie poprzednie nic nie znaczyły. Przez telefon i w krótkich listach, rojących się od błędów gramatycznych, opowiedziała Gregory'emu dzień po dniu szczegóły swej romantycznej udręki, mając mu za złe nie tylko to, że zostawił ją samą w takim momencie, ale też, że skłamał w sprawie kopnięcia prądem, bo gdyby wiedziała, jak to naprawdę jest, nie zwlekałaby tak długo, żeby zacząć.

- Szkoda, że jesteś tak daleko, Greg. Nie mam się przed kim wygadać.

- Tutaj ludzie są bardziej nowocześni, wszyscy śpią ze wszystkimi i potem o tym opowiadają.

- Jeśli rodzice się dowiedzą, to mnie zabiją.

Moralesowie dowiedzieli się trzy miesiące później, gdy przyszła policja, by ich przesłuchać. Tom Clayton nie odpowiadał na listy Carmen ani nie dawał znaku życia, aż w końcu, kilka tygodni później, udało jej się złapać go telefonicznie o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie, by mu oznajmić łamiącym się głosem, że jest w ciąży. Mężczyzna był uprzejmy, ale stanowczy: to nie jego problem, ma zamiar poświęcić się dziennikarstwu politycznemu i musi myśleć o karierze, nie może w tej chwili wrócić, a z drugiej strony nigdy nie wymienił słowa „małżeństwo”, jest zwolennikiem spontanicznych związków i wydawało mu się, że ona podziela jego poglądy, przecież tyle razy o tym rozmawiali? W każdym razie nie ma zamiaru jej szkodzić, nie ucieka od odpowiedzialności i następnego dnia wyśle czek pocztą, żeby rozwiązać w zwyczajowy sposób tę małą niedogodność. Carmen opuściła centralę telefoniczną i poszła krokiem lunatyczki do kawiarni, gdzie zupełnie rozbita opadła na krzesło. Pozostała tam, ze wzrokiem wbitym w filiżankę, aż oznajmiono jej, że pora zamknąć lokal. Trochę później, wyciągnięta na łóżku i czując głuchy ból w skroniach, uznała, że najważniejsze to zachować tajemnicę, bo inaczej całkiem zrujnuje sobie życie. Przez następne dni kilka razy już prawie wykręciła numer telefonu Gregory'ego, ale również jemu nie chciała powierzać swojego problemu. To była jej godzina prawdy i chciała sama się z nią uporać, co innego stawiać światu czoło błahym, feministycznym samochwalstwem, a co innego zostać samotną matką w tym środowisku. Doszła do wniosku, że rodzina

przestanie się do niej odzywać, wyrzuci ją z domu, z klanu i nawet z dzielnicy, rodzice i rodzeństwo umrą ze wstydu, będzie musiała zajmować się dzieckiem bez niczyjej pomocy, utrzymywać je i wychowywać, chwytając się czegokolwiek, żeby przeżyć, kobiety ją odrzucają, a mężczyźni będą traktować ją prostytutką. Pomyślała, że dziecko również będzie dźwigać ciężar klątwy. Nie miała siły na tak długą walkę ani na podjęcie decyzji. Miotła się w tej niepewności nieskończenie długo, starając się, żeby nikt nie zauważył mdłości, które nią wstrząsały każdego ranka, i śpiączki, która dopadała popołudniami, unikając rodziny i rzadko dzwoniąc do Gregory'ego, aż któregoś dnia nie mogła dopiąć spódnicy i w końcu pojęła, że musi działać szybko. Zadzwoiła jeszcze raz do Toma Claytona, ale powiedziano jej, że jest w podróży i nie wiadomo, kiedy wróci. Poszła więc do kościoła Matki Boskiej z Lourdes, modląc się, żeby baskijski proboszcz się nie pojawił, uklękła przed ołtarzem, jak robiła to wiele razy, i po raz pierwszy zwróciła się do Matki Boskiej, żeby z nią porozmawiać jak kobieta z kobietą. Od lat narastały w jej duszy wątpliwości religijne, niedzielna msza stała się jedynie rytuałem, a jednak w tej chwili strachu uczuła potrzebę znalezienia pociechy w wierze. Figura Madonny w jedwabnej sukni i aureoli z pereł nie pomogła jej, gipsowa twarz patrzyła w pustkę oczami z pomalowanego szkła. Carmen wytłumaczyła jej powody, dla których musi popełnić grzech, poprosiła o przyzwolenie oraz błogosławieństwo i prosto z kościoła poszła do Olgi.

- Nie powinnaś była tyle czekać - powiedziała wróżka po obmacaniu jej swymi doświadczonymi dłońmi. - W pierwszych tygodniach nie ma problemu, ale teraz...

- Teraz też. Musisz to zrobić.
- To bardzo ryzykowne.
- Nie szkodzi. Proszę, pomóż mi... - zaczęła rozpaczliwie szlochać w ramionach Olgi.

Olga była świadkiem dorastania Carmen, Moralesowie stanowili nieomal jej własną rodzinę, a mieszkała w tej dzielnicy wystarczająco długo, by wiedzieć, jaki los czeka dziewczynę, gdy urosnie jej brzuch. Umówiła się z nią następnego dnia późnym wieczorem, przygotowała swoje narzędzia, lecznicze zioła i wypolerowała Buddę, gdyż przy tej okazji obie będą potrzebowały wiele szczęścia. Carmen oznajmiła w domu, że wyjeżdża z koleżanką na kilka dni na plażę i przeniosła się do Olgi. Nic nie pozostało z jej wesołej swobody, strach przed czekającym ją bólem przesłaniał inne obawy, nie potrafiła myśleć o ryzyku ani o możliwych skutkach, pragnęła jedynie głębokiego snu i przebudzenia wolnego od tego koszmaru. Lecz pomimo wywarów Olgi i polowy butelki whisky, którą wypila duszkiem, nie straciła poczucia rzeczywistości i żaden litościwy sen nie pomógł jej w owych chwilach, musiała wytrzymać przywiązana za ręce i nogi do kuchennego stołu, ze szmatką w ustach, żeby nie było słyhać na ulicy jej jęków, aż w końcu nie mogła już dłużej tego znieść i dała znak, że wołałaby cokolwiek od tej męki, na co znachorka odpowiedziała, że już za późno na żal, trzeba dokończyć tę brutalną czynność. Kiedy było po wszystkim, Carmen leżała skulona jak dziecko, z workiem lodu na brzuchu, szlochając, aż opadło ją zmęczenie, zadziały środki uspokajające i alkohol, i zdołała zasnąć. Trzydzieści godzin później, gdy jeszcze się nie ocknęła i wyglądała na zagubioną wśród rojeń z innego świata, a nitka krwi, cienka, ale nieustanna, plamiła prześcieradła, Olga zrozumiała, że

po raz pierwszy zawiodła jej szczęśliwa gwiazda. Próbowwała obniżyć gorączkę i zatrzymać krwotok wszelkimi sposobami ze swego pomyslowego repertuaru, lecz stan dziewczyny z każdą chwilą się pogarszał i widać było, że ucieka z niej życie. Olga znalazła się w pułapce, Carmen mogła umrzeć pod jej dachem i w takim przypadku byłaby zgubiona, a z drugiej strony nie mogła wyrzucić dziewczyny na ulicę ani zawiadomić rodziny. Gdy podtrzymywała jej głowę, żeby ją zmusić do wypicia wody, wydawało się, że Carmen szepcze imię Gregory'ego, i natychmiast pojęła, że to jedyna osoba, do której może się zwrócić o pomoc. Spał, gdy do niego zadzwoniła. Przyjeżdż natychmiast, powiedziała, i z tonu jej głosu Gregory odgadł, że to pilna sprawa. O nic nie pytając, wszedł do pierwszego porannego samolotu i parę godzin później trzymał przyjaciółkę w ramionach i wiozł taksówką do najbliższego szpitala, przeklinając, dlaczego przez te okropne tygodnie mi nie zaufałaś, dlaczego mnie wyłączyłaś, powinienem być z tobą pójść, mówiłem ci, Carmen, Tom Clayton to bezduszny skurwysyn, ale nie wszyscy są tacy, nie wszyscy ciągną do łóżka, a potem odchodzą, jak mówi twój ojciec, przysięgam ci, że istnieją lepsi niż Clayton, dlaczego mi nie pozwoliłaś pomóc sobie wcześniej, być może dziecko by żyło, nie powinnaś była robić tego sama, po co jesteśmy przyjaciółmi, po co jesteśmy rodzeństwem, jeśli nie po to, żeby sobie pomagać, co za pieprzone życie, Carmen, nie umieraj, proszę, nie umieraj.

Podczas gdy chirurdzy operowali Carmen, Gregory'ego przesłuchiwała policja, która powiadomiona przez szpital o stanie, w jakim przyjechała pacjentka, próbowała teraz wydobyć od niego informacje.

- Pójdźmy na układ - zaproponował wyczerpany oficer po trzech godzinach przesłuchania, które nie dało żadnego wyniku. - Powiesz mi, kto zrobił jej skrobankę, a pozwolę ci natychmiast odejść, nawet nie będziesz notowany. Żadnych pytań więcej, nic, będziesz całkowicie wolny.

- Nie wiem, kto to zrobił, mówiłem już ze sto razy. Nawet tu nie mieszkam, przyleciałem porannym samolotem, proszę zobaczyć mój bilet. Moja przyjaciółka zadzwoniła do mnie i przywiozłem ją do szpitala, tyle wiem.

- Jesteś ojcem dziecka?

- Nie. Nie widziałem się z Carmen Morales od ponad ośmiu miesięcy.

- Gdzie się z nią spotkałeś?

- Czekala na mnie na lotnisku.

- To niemożliwe, ona nie mogła chodzić! Powiedz, skąd ją odebrałeś i pozwolę ci iść. W przeciwnym razie zostaniesz aresztowany za współudział i ukrywanie faktów.

- Będzie musiał pan to udowodnić.

I znowu powtarzał się ten sam cykl pytań, odpowiedzi, gróźb i uników. W końcu policjanci puścili go i poszli do domu Moralesów przesłuchać rodzinę. W ten sposób Pedro i Inmaculada dowiedzieli się, co zaszło, i chociaż podejrzewali Olgę, nie powiedzieli o tym, po części dlatego, że domyślali się dobrych chęci wróżki, by pomóc ich córce, a po części dlatego, że w meksykańskiej dzielnicy wydanie kogoś było niewyobrażalną zbrodnią.

- Bóg ją skarał tak, że ja jej karać nie muszę - powiedział Pedro Morales chrapliwym głosem, gdy się dowiedział o ciężkim stanie, w jakim się znajduje córka.

Gregory Reeves został u boku przyjaciółki, dopóki nie minęło niebezpieczeństwo. Spał siedząc na krześle przez trzy noce, budząc się co chwila, żeby sprawdzić oddech chorej.

Czwartego dnia o świcie Carmen obudziła się bez gorączki.

- Głodna jestem - oznajmiła.

- Dzięki Bogu! - uśmiechnął się i wyjął z torby puszkę skondensowanego mleka. Wypili lepką słodycz powolnymi łykami, trzymając się za ręce, jak tyle razy, gdy byli dziećmi.

Tymczasem Olga spakowała walizkę i wyjechała do Puerto Rico, najdalej jak mogła, oznajmiając w dzielnicy, że wyjeżdża zagrać w kasynach Las Vegas, gdyż objawił się jej duch Indianina, który podał układ kart. Pedro Morales założył na ramię czarną wstążkę, w dzielnicy powiedział, że zmarła mu krewna, a w domu dał do zrozumienia, że jego córka nigdy nie istniała i zabronił wymieniać jej imię. Inmaculada przyrzekła Matce Boskiej odmawiać codziennie różaniec przez resztę swoich dni, żeby tylko wybaczyła Carmen popełniony grzech, wyjęła pieniądze, ukryte pod podłogą, i po kryjomu, nic nie mówiąc mężowi, poszła ją odwiedzić. Zastąpiła córkę siedzącą na krześle, patrzącą przez okno na ceglany mur budynku naprzeciwko, ubraną w zieloną, szorstką tunikę szpitalną. Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Inmaculada przelknęła łzy i wymówki i wzięła ją w ramiona. Carmen ukryła twarz na piersi matki i przez długą chwilę pozwoliła się kołysać, wdychając zapach czystego ubrania i kuchni, który towarzyszył jej przez całe dzieciństwo.

- Tu masz wszystkie moje oszczędności, córeczko. Lepiej, żebyś wyjechała na pewien czas, aż od tęsknoty zmięknie serce ojca. Napisz do mnie, ale nie do domu, tylko na adres Nory Reeves. To najbardziej dyskretna osoba, jaką znam. Bardzo na siebie uważaj i niech Bóg ci dopomoże...

- Bóg zapomniał o moim istnieniu, mamó.
- Nie mów tak nawet w żartach - ucieła Inmaculada. - Cokolwiek by się stało, Bóg cię kocha i ja też, córko. Obydwoje zawsze będziemy przy tobie, zrozumiałaś?
- Tak, mamó.

Gregory Reeves po raz pierwszy zobaczył Samanthę Ernst grającą na korcie tenisowym, podczas gdy on przycinał krzaki w parku obok. Jednym z jego zajęć zarobkowych była praca w stołówce dla kobiet w pawilonie naprzeciwko domu, gdzie mieszkał. Dwie kucharki przygotowywały potrawy, a Gregory dowodził grupą pięciu studentów podających do stołu i zmywających naczynia. Bardzo mu zazdrośczonego tego zajęcia, gdyż dawało nieskrępowany dostęp do pawilonu i studentek. W wolnym czasie pracował jako ogrodnik. Gdy zaczynał, nic nie wiedział o roślinach, umiał tylko kosić trawniki i pieląć chwasty, ale miał dobrego nauczyciela, Rumuna nazwiskiem Balcescu, o barbarzyńskim wyglądzie i miękkim sercu, który golił sobie głowę i polerował łysinę filcową szmatą, mówił przyprawiającą o zawrót głowy mieszanką kilku języków i kochał rośliny jak siebie samego. W swoim kraju był strażnikiem granicznym, ale przy pierwszej okazji uciekł, wykorzystując znajomość terenu i po długiej włóczędze dostał się przez Kanadę, na piechotę, do Stanów Zjednoczonych, bez pieniędzy, dokumentów i znając tylko dwa słowa po angielsku: pieniądze i wolność. Przekonany, że o to głównie chodzi w Ameryce, nie podjął zbyt wielkiego wysiłku, żeby poszerzyć ten zasób słów i radził sobie za pomocą mimiki. To przy nim Gregory nauczył się użyźniać, szczepić i przesadzać, a także jak walczyć z gąsienicami, muszkami, ślimakami, mrówkami i innymi

szkodnikami. Te godziny na wolnym powietrzu były bardziej rozrywką niż pracą, przede wszystkim dlatego, że przez cały czas ćwiczył umysł, by rozszyfrować instrukcje szefa. Któregoś dnia przycinał żywoplot i jego uwagę zwróciła jedna z dziewczyn grających w tenisa. Przyglądał się jej przez dobrą chwilę, nie tyle z powodu wyglądu, na który, gdyby się nie poruszała, nie zwróciłby uwagi, ile sportowej precyzji. Miała napięte mięśnie, szybkie nogi, pociągłą twarz o szlachetnych rysach, krótkie włosy i ciemną opaleniznę ludzi, którzy zawsze przebywają na słońcu. Gregory poczuł, że nęci go ta zwinność zdrowego zwierzęcia, poczekał, aż się skończy mecz, i stanął przy wyjściu, żeby jej się przyjrzeć. Nie wiedział, co powiedzieć, a kiedy przechodziła obok z rakieta na ramieniu, ze skórą lśniąca od potu, nie przyszło mu na myśl żadne stosowne zdanie, tak że się w końcu nie odezwał. Poszedł w pewnej odległości za nią i zobaczył, że wsiada do luksusowego, sportowego samochodu. Tego wieczoru opowiedział o wszystkim Timothy'emu Duane'owi tonem wy studiowanej obojętności.

- Chyba nie będziesz takim kretynem, żeby się zakochać, Greg.

- Jasne, że nie. Podoba mi się, nic więcej.

- Nie mieszka w akademiku?

- Nigdy jej tam nie widziałem.

- To niefart. Przynajmniej raz by ci się przydał do czegoś klucz...

- Nie wygląda na studentkę, ma czerwony sportowy kabriolet. To chyba żona jakiegoś magnata...

- No to jest kurwą.

- Gdzieś ty widział, żeby kurwy grały w tenisa, Tim? Pracują w nocy i śpią w dzień. Nie wiem, jak rozmawiać z taką dziewczyną jak ta... jest zupełnie inna od tych z mojego środowiska.

- Nie rozmawiaj z nią. Graj z nią w tenisa.
- Nigdy nie miałem w ręku rakiety.
- Nie mogę w to uwierzyć! Co robiłeś przez całe swoje życie?
- Pracowałem.
- To co do diabła umiesz robić, Greg?
- Tańczyć.
- No to zaproś ją na tańce.
- Nie mam odwagi.
- Chcesz, żebym ja z nią porozmawiał?
- Nawet się nie zbliżaj! - krzyknął Gregory nieprzygotowany do konkurowania z przyjacielem na oczach kogokolwiek, a tym bardziej tej kobiety.

Następnego dnia przez dłuższy czas śledził ją, udając, że zajmuje się krzakami, a gdy go mijala, uczynił gest, żeby ją zatrzymać, ale kolejny raz zwyciężyła nieśmiałość. Scena się powtarzała, aż w końcu Balcescu zorientował się, że rośliny zostały przycięte do korzeni i postanowił działać, nim reszta parku spotka ten sam los. Wszedł na kort, przerwał mecz potokiem słów w języku z Transylwanii, a kiedy przerażona dziewczyna zlekceważyła jego nagłe gesty wskazujące wielbiciela - który, ogłupiała, śledził scenę z drugiej strony ogrodzenia - złapał ją za ramię i pociągnął za sobą, bełkocząc coś o pieniądzech i wolności, czym wprowadził zawodniczkę w jeszcze większe zmieszanie. W ten sposób Gregory Reeves znalazł się twarzą w twarz z Samanthą Ernst, która, żeby uciec od Balcescu, przywarła do niego. Zajście skończyło się wypiciem kawy z pełnym błogosławieństwem malowniczego nauczyciela ogrodnictwa. Usiedli przy jednym z chybliwych stołów najbardziej uczęszczanej kawiarni w mieście, przybytku w stanie nieustającego upadku, pełnego ludzi, gdzie kilka pokoleń studentów napisało tysiące poematów i

dyskutowało wszelkie możliwe teorie, a inne pary, takie jak oni, rozpoczynały ostrożny proces poznawania się. Gregory próbował olśnić ją repertuarem tematów literackich, ale wydawało mu się, że nie słucha, więc prędko porzucił tę taktykę i zaczął szukać wspólnego tematu. Dziewczyna nie wykazała entuzjazmu również przy rewolucji kubańskiej ani prawach obywatelskich, jakby nie miała własnego zdania na żaden temat, ale Gregory pomylił jej bierne zachowanie z głębią duszy i nie wypuścił zdobyczy.

Poza kortem tenisowym Samantha Ernst nie była zbyt interesująca, może tylko odrobinę bardziej niż dziewczyny ze szkoły średniej czy latynoskiej dzielnicy. Chciała zająć się archeologią, podobał jej się pomysł przemierzania egzotycznych miejsc w poszukiwaniu tysiącletnich cywilizacji, na wolnym powietrzu i w szortach, ale gdy się dowiedziała, jakie są wymagania zawodowe, zrezygnowała z tego zamiaru. Nie miała cierpliwości do drobiazgowej klasyfikacji zniszczonych kości i kawałków nieprzydatnych naczyń. Rozpoczął się wtedy okres niezdecydowania, które miało dotyczyć różnych aspektów jej życia. Wychowała się w pięknym domu z dwoma basenami, należącym do producenta filmowego w Hollywood, jej ojciec żenił się cztery razy i mieszkał otoczony przez nimfетки dopiero co wyklute z kokonów, którym obiecywał błyskotliwą karierę w zamian za drobne osobiste przysługi. Matka, arystokratka z Wirginii, dumna jak królowa i z dobrymi manierami guwernantki, stoicko nosiła flirty męża, pocieszając się arsenałem narkotyków i kilkoma kartami kredytowymi, aż pewnego dnia spojrzała w lustro i nie poznała własnego odbicia, zatartego przez niszczycielską samotność. Znalaziono ją pływającą w różowej pianie w wannie, gdzie otwarła sobie żyły. Samancie, która miała wtedy szesnaście lat, udało się żyć w ojcowskim domu,

nie zwracając na siebie uwagi w tłumie przyrodniego rodzeństwa, byłych żon, kolejnych narzeczonych, służących, znajomych i rasowych psów. Dalej pływała i grała w tenisa z tą samą wytrzymałością, co zawsze, bez niepotrzebnej nostalgii i nie osądzając matki. Nie tęskniła za nią, nigdy nie była z nią blisko i być może zupełnie by o niej zapomniała, gdyby nie ciągle koszmary senne o różowej pianie. Przyjechała do Berkeley, zwabiona jak tyłu innych anarchistyczną reputacją tego miasta; miała dość mieszczańskich dobrych manier narzucanych jej przez matkę i zabaw z efebami i nimfektami ojca. Jej samochód rzucał się w oczy wśród porysowanych gratów studenterii, a jej dom był tułaczym schronieniem, ukrytym wśród drzew i ogromnych paproci ze wspaniałym widokiem na zatokę, czynsz płacił ojciec. Gregory'ego Reevesa olśniło wyrefinowanie dziewczyny, nie znał nikogo, kto umiałby posługiwać się sześcioma nakryciami przy jedzeniu i rozpoznawać od pierwszego wejrzenia autentyczność kaszmirowej kamizelki lub perskiego dywanu. Wyjątkiem był Timothy Duane, ale on wyśmiewał się ze wszystkiego, zwłaszcza z kaszmirowych kamizelek i perskich dywanów. Za pierwszym razem, gdy zaprosił ją na tańce, pojawiła się promienna, w wydekoltowanej żółtej sukience i w naszyjniku z pereł. Czując się głupio w garniturze pożyczonym od Duane'a, zrozumiał, że powinien był zabrać ją do o wiele droższego lokalu, niż to umyślił. Samantha źle tańczyła, słuchała uważnie muzyki i liczyła kroki, dwa, jeden, dwa, jeden, sztywna jak szczotka w objęciach partnera, piła sok owocowy, mało mówiła i zachowywała dystans i chłód, co Gregory'emu wydawało się nieskończenie tajemnicze. Zaprzął cały swój upór w służbę tej miłości i przekonywał siebie, że wspólne zainteresowania czy namiętność nie są nieodzownym wymogiem, żeby stworzyć rodzinę. I takie

dokładnie miał zamiary, choć nie ośmielił się jeszcze przyznać do tego w duchu, a tym bardziej wyrazić słowami. Przez całe życie chciał należeć do prawdziwego domu, jak u Moralesów, i tak pieścił swoje domowe marzenie, że postanowił spełnić je z pierwszą kobietą, jaka się trafiła, nie sprawdzając nawet, czy jej zamiary są takie same.

Reeves obronił dyplom z literatury z wyróżnieniem, jego przyjaciel Cyrus powinien świętować to na tamtym świecie, i wstąpił do szkoły prawa w San Francisco. Wpadł na pomysł zostania adwokatem na złość Timothy'emu Duane'owi, który uważał, że najbliższy adwokatowi jest korsarz, ale potem i jego skusiła ta myśl. Po podjęciu decyzji natychmiast zadzwonił do Olgi, żeby powiedzieć, że się pomyliła w prognozach co do jego osoby, nie zostanie bandytą ani policjantem, jeśli będzie miał wybór. Wróżka, która jakiś czas temu wróciła z Puerto Rico z nowymi doświadczeniami kabalarskimi i leczniczymi, odpowiedziała, że trafiła pół na pół, jak zwykle, bo w pracy będzie miał do czynienia z prawem, a poza tym adwokaci to nic innego jak licencjonowani złodzieje. Jedną z przyczyn, dla których Reeves postanowił uczyć się dalej, była możliwość odraczania wojska, jak długo się da. Wojna w Wietnamie, która przedtem wydawała się nieistotnym i dalekim konfliktem, przybrała alarmujące rozmiary i nikogo już nie bawiły mundury oficerów rezerwy ani też ćwiczenie technik wojennych w weekendy. Odroczenie na trzy, cztery lata, tyle, ile trwają studia, mogło ocalić go od pójścia na front.

- Nie umiem sobie wytłumaczyć drapieżnego oporu tych wschodnich karzełek. Jak mogli się jeszcze nie dowiedzieć, że jesteśmy największą w historii potęgą wojskową? Oczywiście,

wygrujemy. Według oficjalnych statystyk ponoszą tyle strat, że nie ma tam już żywych, ci, co strzelają z drugiej strony, to duchy - kpił Timothy Duane.

To, co Duane mówił z sarkazmem, wielu innych przyjmowało za prawdę; żywili przekonanie, że wystarczy jeden ostatni wysiłek i owe widmowe istoty zostaną na zawsze pokonane lub starte z powierzchni ziemi. Tak zapewniali generałowie w telewizji, podczas gdy kamery pokazywały za ich plecami rzędy worków z ciałami amerykańskich żołnierzy, leżących na pasach lotnisk. Hymny, flagi i parady w ojczystych miastach. Łomot, kurz i zamieszanie na południowym wschodzie Azji. Ciche rejestrowanie nazwisk poległych, żadnej listy okaleczonych na ciele czy duszy. W ulicznych protestach młodzi pacyfiści palili flagi i karty powołania. Zdraycy, czerwone pedały, jeśli się wam nie podoba Ameryka, to wyjedźcie, nie chcemy was tu, odkrzykiwali ich przeciwnicy. Policja dławiła manifestacje pałkami a czasem strzałami. Pokój i miłość, bracie, podśpiewywali tymczasem hipisi, próbując wręczać kwiaty tym, którzy celowali do nich z karabinów. Tańcząc w korowodzie, trzymali się za ręce, ze wzrokiem zagubionym w marihuanowym raj, zawsze uśmiechnięci, z tym niesamowitym wyrazem szczęścia, czego nikt im nie mógł wybaczyć. Gregory wahał się. Pociągała go wojenna przygoda, ale czuł instynktowną nieufność wobec takiego entuzjazmu. Obląkani, wszyscy obląkani, wzdychał Timothy Duane, chroniony przed służbą wojskową tuzinem wątpliwych zaświadczeń lekarskich, informujących o ciężkich chorobach przebytych w dzieciństwie.

Po długim okresie przyjaźni, początkowa namiętność Gregory'ego do Samantha'y zmieniła się w miłość; jej nieufność rozwiała się i rozpoczął się okres typowych zachowań i

ceremonii wiecznych narzeczonych. Chodzili do kina i do teatru, na wycieczki i koncerty, siadali obok siebie pod drzewami, żeby się uczyć, czasami spotykali się w San Francisco po zajęciach i spacerowali jak turyści po chińskiej dzielnicy, trzymając się za ręce. Plany Reevesa były tak mieszczańskie, że nie miał odwagi omówić ich z Samanthą. Zamierzał zbudować dom z różanym ogrodem i podczas gdy on zarabiałby na chleb jako adwokat, ona piekłaby ciasta i wychowywała dzieci, wszystko poprawnie i przyzwoicie. Wspomnienie domu w ciężarówce i ciągłych podróżach, kiedy ojciec był zdrowy, przetrwało w jego pamięci jako jedyny szczęśliwy okres życia. Wyobrażał sobie, że jeśliby udało mu się odtworzyć to małe plemię, poczułby się znowu bezpieczny i spokojny; marzył, by siedzieć przy długim stole z dziećmi i przyjaciółmi, jak tyle razy widział u Moralesów. Często o nich myślał, gdyż pomimo ubóstwa i ograniczenia środowiska, w którym musieli żyć, stanowili najlepszy przykład, jaki znał. W owych czasach hipisowskich komun i barów szybkiej obsługi, jego patriarchalne, skryte marzenie wydawało się podejrzanym i lepiej było nie mówić o tym na głos.

Rzeczywistość zmieniała się w zastraszającym tempie: z każdym dniem było coraz mniej miejsca na rodzinne spotkania, świat kręcił się coraz szybciej, sprawy przewracały do góry nogami, życie zmieniało w najczystsza szamotaninę. Nawet kino, jedyne bezpieczne miejsce za dawnych czasów, nie dawało najmniejszego pocieszenia. Kowboje, Indianie, niepokalani kochankowie i waleczni żołnierze w swoich nie-naganych mundurach pojawiali się tylko w telewizji w starych filmach, przerywanych co dziesięć minut reklamami dezodorantów i piwa, natomiast w sanktuariach sal kinowych, gdzie kiedyś chronił się w poszukiwaniu ulotnego spokoju, istniało teraz bardzo duże prawdopodobieństwo

oberwania po głowie. John Wayne, twardy, odważny i samotny bohater, którego usiłował bezskutecznie naśladować, wycofał się wobec pochodu awangardowych filmów. Uwięziony w fotelu widza, Gregory Reeves znosił widok japońskich wojowników popelniających harakiri na dużym ekranie, szwedzkich lesbijek w akcji i inwazje złowrogich kosmitów na planetę. Nawet melodramaty nie przynosiły mu odprężenia, bo nie kończyły się już pocałunkami i dźwiękami skrzypiec, ale depresją lub samobójstwem.

W okresie wakacyjnym rozdzielali się na całe tygodnie, Samantha jechała w odwiedziny do ojca, a Reeves dzielił swój czas między obowiązkowe obozy wojskowe a pracę polityczną, propagując wraz z innymi studentami postulaty praw obywatelskich. Nie można było znaleźć dwóch bardziej różniących się od siebie rzeczywistości: z jednej strony brutalne ćwiczenia wojskowe, gdzie biali i czarni pod rozkazami sierżanta byli pozornie równi, z drugiej - ryzykowne misje w południowych stanach, gdzie pracował w środowiskach czarnych, niemal w tajemnicy, żeby uniknąć watah białych zabijaków, gotowych walczyć z każdą ideą rasowego równouprawnienia. W tamtych czasach Czarne Pantery wzbudzały postrach i fascynację swoimi beretami, złowieszczą retoryką i wojowniczymi pochodami. Czarni wyzywający swą czernią, czarni ubrani na czarno, w ciemnych okularach i o prowokacyjnym wyglądzie zajmowali całą szerokość chodnika, idąc ręką w rękę ze swoimi kobietami, hardymi Murzynkami, które paradowały z uniesionymi, wypiętymi do przodu pierściami; już nie ustępowali z drogi białym, nie patrzyli w ziemię ani nie ściszczały głosu. Niegdyś nieśmiali i upokorzeni, teraz stawiali czoło. Pod koniec lata narzeczeni spotykali się bez pośpiechu, ale ze szczerą radością, jak dwoje przyjaciół.

Rzadko dyskutowali, nie poruszali spornych tematów, nie nudzili się jednak, a cisza była dla nich bardzo wygodna. Gregory nie pytał Samantha o zdanie, ani nie opowiadał jej o własnych zajęciach, bo zdawało mu się, że go nie słucha i męczy ją wysiłek konieczny do przekazania swoich myśli. Pasjonował ją jedynie sport i pewne nowinki ze Wschodu, jak wędrownie tańce derwiszów oraz techniki medytacji transcendentalnej. Jeśli o to chodzi, było w czym wybierać, miasto oferowało nieskończoną liczbę maratonowych kursów tym, co chcieli wygodnie, w weekend, przyswoić mozolną wiedzę wielkich hinduskich mistyków. Reeves wychował się wśród Logi i Nauczycieli, widział swoją matkę oddalającą się od rzeczywistości i uciekającą na duchowe bezdroża, poza tym znał czarodziejstwa Olgi, nic więc dziwnego, że kpił z tych dyscyplin. Samantha ubolewała nad jego brakiem wrażliwości, ale się nie obrażała ani nie próbowała go zmienić, to zadanie byłoby dla niej zbyt wyczerpujące. Miała bardzo ograniczoną energię, może była po prostu leniwa jak jej koty, ale w owym miejscu i czasie jej abuliczny temperament łatwo mógł uchodzić za tak modny buddyjski spokój. Brakowało jej zapалу nawet w miłości, choć Gregory uparcie nazywał oziębłość nieśmiałością i zaprzęgał swoją wytrwałą wyobraźnię do służby w tym zniechęcającym narzeczeństwie, wynajdując zalety tam, gdzie ich nie było. Nauczył się nawet posługiwać rakieta tenisową, żeby towarzyszyć narzeczonej w jej jedynej pasji, aczkolwiek nienawidził tej gry, bo nigdy nie udawało mu się wygrać, a ponieważ była to konfrontacja tylko między dwojgiem, nie dawało się rozłożyć klęski na innych członków tej samej drużyny. Natomiast Samantha nigdy nie próbowała nauczyć się żadnej z tych rzeczy, jakie jego pasjonowały. Jedyny raz, kiedy byli w operze,

zasnęła podczas drugiego aktu, a ilekroć wychodzili potaćzyć, wracali w złych humorach, bo nie umiała odprężyć się ani wirować w takt muzyki. Byli również niedopasowani w miłości - obejmowali się w odmiennym rytmie i zostawało im uczucie pustki, choć żadne z nich nie dostrzegło w tym rozmijaniu się przestrogi na przyszłość i zrzucali winę na strach przed ciążą. Była przeciwna jakimkolwiek środkom antykoncepcyjnym, gdyż jedne są nieestetyczne lub niewygodne, co zaś do drugich, to nie ma zamiaru wpływać na delikatną równowagę własnych hormonów. Dbała o ciało w sposób graniczący z obsesją, gimnastykowała się godzinami, wypijała dwa litry wody dziennie i opalała się nago. Podczas gdy Gregory uczył się gotowania od swoich przyjaciółek Joan i Susan i czytał *Kamasutrę* oraz wszelkie podręczniki sztuki miłości, jakie mu wpadły w ręce, ona pogryzała surowe jarzyny i broniła wstrzemięźliwości jako środka higieny dla organizmu i duchowej dyscypliny.

Reeves tracił początkowe zafascynowanie uniwersytetem równie szybko jak swój meksykański akcent. Po otrzymaniu dyplomu doszedł do wniosku, jak wielu innych, że zdobył więcej wiedzy na ulicy niż na wykładach. Uniwersyteckie wykształcenie miało przygotować studentów do produktywnego i spokojnego życia, który to zamiar klócił się ze świążym buntem młodych ludzi. Profesorowie nie zdawali sobie sprawy z owego trzęsienia ziemi; pogrążeni w swoich małych rywalizacjach i biurokracji nie przeczuwali powagi tego, co się dzieje. Podczas studiów Gregory nie miał nauczycieli, którzy by zasługiwali na późniejsze wspomnienia, żadnego na miarę Cyrusa, który by go zmuszał do rewidowania poglądów i intelektualnych poszukiwań, choć wielu z nich uchodziło za sławy w naukach ścisłych czy humanistyce.

Godziny upływały mu na niepotrzebnych badaniach, zapamiętywaniu danych i pisaniu rozpraw, których nikt nie czytał. Jego romantyczna wizja studenckiego życia została przygnieciona przez bezsensowną rutynę. Nie chciał opuszczać tego ekstrawaganckiego miasta, choć ze względów praktycznych lepiej byłoby mieszkać w San Francisco. *Rzeczpospolita Ludowa Berkeley* weszła mu w krew, lubił krążyć po tych ulicach, gdzie roilo się od *swami* w bawełnianych tunikach, kobiet o wyglądzie renesansowych dam, mędrców bez miejsca na ziemi, rewolucjonistów bez rewolucji, ulicznych grajków, wróżbitów, wariatów, sprzedawców drobiazgów, rzemieślników, policjantów i kryminalistów. Wśród młodzieży, która chciała jak najdalej uciec od swoich mieszczańskich rodzin, przeważał styl hinduski. Na ulicach i placach handlowano wszystkim, co się dało: narkotykami, koszulkami, płytami, używanymi książkami, tandetnymi ozdóbkami. W ruchu ulicznym roilo się od autobusów pokrytych graffiti, rowerów, wiekowych cytrynowych i różowych cadillaków oraz zrujnowanych samochodów należących do pewnego przedsiębiorstwa taksówkowego, w sam raz na kieszeń zwykłych ludzi, a wręcz bezpłatnego dla pasażerów wyjątkowych, jak włóczędzy lub manifestanci.

¹ Hind. *swami* - tytuł nadawany przywódcy duchowemu w hinduizmie.

Żeby zarobić na życie, Gregory po zajęciach zajmował się dziećmi, odbierał je ze szkoły i opiekował się nimi przez kilka godzin dziennie, aż do powrotu rodziców. Na początku pilnował tylko pięciorga, ale szybko ich liczba zwiększyła się i mógł porzucić pracę kelnera w dziewczęcej stołówce i u Balcescu, zakupić mikrobus i zatrudnić kilkoro pomocników. Zarabiał więcej pieniędzy niż którykolwiek z jego

kolegów. Na pozór praca wydawała się sympatyczna, ale w praktyce okazywała się męcząca, dzieci były bowiem jak z piasku, wszystkie z daleka takie same, wymykały się, kiedy usiłował je ograniczać, i kleiły się do niego, gdy chciał je z siebie strząsnąć, ale mimo to bardzo je polubił i w weekendy mu ich brakowało. Jeden z maluchów miał szczególny talent do gubienia się; tak się starał, by nie być zauważonym, że przez to właśnie stał się jedynym, o którym Reeves nie zapomniał przez następne lata. Pewnego popołudnia gdzieś się zapodział. Gregory zawsze przed wyjściem liczył maluchy, ale tego dnia byli już spóźnieni i nie zrobił tak. Jego zwykła trasa zaprowadziła go pod dom malca i tam, przerażony, zdał sobie sprawę, że nie ma go w mikrobusie. Zawrócił i pojechał tą samą drogą z powrotem do parku, do którego dotarł, gdy już robiło się ciemno. Biegał wśród drzew, wołając małego co sił w płucach, podczas gdy w samochodzie pozostałe dzieciaki popłakiwały ze zmęczenia; w końcu pobiegł do telefonu, żeby zadzwonić po pomoc. Kwadrans później w parku znalazł się patrol policji z latarkami i psami, kilku ochotników, karetka pogotowia na wszelki wypadek, dwóch dziennikarzy, fotograf i z pół setki sąsiadów i ciekawskich, przyglądających się zajściu zza policyjnego kordonu.

- Powinien pan zawiadomić rodziców - orzekł policjant.

- Boże! Jak ja im to powiem?

- Chodźmy, pójdę z panem. Takie rzeczy się zdarzają, ja już wszystko widziałem. Potem pojawiają się zwłoki, niektóre zgwałcone... torturowane... Zboczeńców nie brakuje. Ja bym ich wszystkich wysyłał na krzesło elektryczne...

Pod Reevesem ugięły się kolana, poczuł mdłości. Gdy doszli do domu, drzwi się otworzyły i na progu pojawił się

zgubiony dzieciak z buzią umazaną masłem orzechowym. Powiedział, że się znudził i wolał pójść do domu oglądać telewizję. Jego matka jeszcze nie wróciła z pracy i nawet nie podejrzewała, że syna uznano za zaginionego. Od tamtego dnia Gregory przywiązywał skorego do wędrówek poopiecznego sznurkiem do swego pasa, jak to robiła Inmaculada Morales z własną obłąkaną matką, co zapobiegło nowym kłopotom i zniweczyło jakiegokolwiek przejawy niezależności u pozostałych dzieci. Wspaniały pomysł, a czy to ważne, że potem będzie trzeba płacić psychiatrze, żeby je wyleczył z kompleksu matkinej spódnicy, skomentowała Carmen, gdy jej to opowiedział przez telefon.

Joan i Susan przeprowadziły się do starej rezydencji, dość zniszczonej, ale o mocnych fundamentach, gdzie założyły wegetariańską i makrobiotyczną restaurację, która z czasem stała się najlepsza w mieście. Do ich starego domu wprowadziła się grupa hipisów, która zaczęła się prędko rozrastać. Początkowo były to dwie pary z dziećmi, ale bardzo szybko plemię się zwiększyło, drzwi były otwarte dla wszystkich ciekawych oazy narkotyków, skromnych wyrobów rękodzielniczych, jogi, orientalnej muzyki, wolnej miłości i wspólnego garnka. Timothy Duane nie zniósł tego rozgardiaszu, bałaganu i brudu, i wynajął apartament w San Francisco, gdzie studiował medycynę. Proponował Reevesowi, by dzielili mieszkanie, ale Gregory nie zdecydował się na opuszczenie strychu, choć też studiował w mieście i miał szczerze dość hipisów. Denerwowało go odkrywanie nieznanomych we własnej części mieszkania, nienawidził monotonnego stukotu bębenków, pojękiwań fletów i fujarek, wściekał się, gdy znikwały jego osobiste rzeczy. Pokój i miłość, bracie, uśmiechały się do niego łagodnie tak zwane dzieci kwiaty, gdy schodził rozwścieczony, domagając się zwrotu

swoich koszul. Prawie zawsze wracał do swojego prywatnego kąta z podkulonym ogonem, bez łupu i czując się jak zgniły kapitalista. Berkeley stało się ośrodkiem buntu i narkotyków, codziennie pojawiali się nowi nomadowie w poszukiwaniu rajów, przybywali hałaśliwymi motorami, obdrapanymi samochodami i autobusami przerobionymi na prowizoryczne mieszkania, przemieszkowali w publicznych parkach, niczym się nie przejmując, kopulowali na ulicach, żyli powietrzem, muzyką i trawką. Zapach marihuany zabijał inne wonie. Trwały dwie rewolucje: jedna hipisów, którzy próbowali zmienić prawa wszechświata przez modlitwy w sanskrycie, kwiaty i pocałunki, a druga obrazoburców, którzy zamierzali zmienić prawo państwowe, protestując, krzycząc i rzucając kamieniami. Ta druga bardziej pasowała do charakteru Gregory'ego, ale nie miał czasu w niej uczestniczyć, a entuzjazm do rewolt ulicznych wygasł w nim, gdy zrozumiał, że stały się sposobem na życie, a przynajmniej na spędzanie wolnego czasu. Minęły mu wyrzuty sumienia, że się uczy, zamiast prowokować policję, uważał, że jego cicha wakacyjna praca wśród Murzynów z Południa jest bardziej pożyteczna. Jeśli któregoś dnia nie organizowano manifestacji na rzecz praw obywatelskich, to gardłowano przeciw wojnie w Wietnamie, do rzadkości należały dni pozbawione publicznych wystąpień. Policja stosowała bojową taktykę i sprzęt niezbędny dla utrzymania choćby pozorów porządku. Osoby przerażone rozwiązłością, buntem i pogardą dla prywatnej własności zorganizowały kontrofensywę w obronie tradycyjnych wartości Ojców Ojczyzny. Rozbrzmiał chór głosów na rzecz świętej *American Way of Life*. Burzą fundamenty zachodniej chrześcijańskiej cywilizacji! Ten kraj zmieni się w komunistyczną i psychodeliczną Sodomę, tego chcą ci nieszczęśnicy! Czarni i hipisi poślą cały ten system

do diabła! Timothy Duane parodiował swego ojca i innych statecznych dżentelmenów z klubu. Nie oni jedni wsadzali wszystkich buntowników do jednego worka, taki uproszczony obraz przekazywała również prasa, choć wystarczyło jedno przelotne spojrzenie, żeby dostrzec ogromne różnice. Prawa obywatelskie umacniały się równie szybko, jak ruch hipisowski się rozpadał. Rewolucja przeciwko rasizmowi rozprzestrzeniała się, nieunikniona, natomiast rewolta dzieci kwiatów okazała się uludą. Hipisi, pogrążeni w cudownej podróży dzięki grzybkom halucynogennym i trawce, wśród seksu i rocka, zupełnie nie zdawali sobie sprawy z własnej słabości ani siły przeciwnika, przekonani, że ludzkość weszła na wyższy etap i nic nie będzie już takie jak dawniej. Nie wolno nie doceniać głupoty ludzkiej, kilku wariatów całuje się i tatuuje gołębie na piersiach, ale zapewniam cię, że nie zostanie po nich żaden ślad, historia ich pożre, zapewniał Duane. Podczas długich nocnych rozmów zawsze wykazywał sceptycyzm, przekonany, że miernota zburzy w końcu wielkie ideały i dlatego nie warto entuzjazmować się Erą Wodnika ani niczym podobnym. Utrzymywał, że spędzanie lata na wpisywaniu Murzynów do spisów wyborców to strata czasu, ponieważ nie zadadzą sobie nawet trudu, żeby głosować, a jeśli już - to na republikanów; a jednak zawsze, gdy chodziło o zebranie funduszy na kampanię o prawa obywatelskie, wypraszał czek z trzyzerową kwotą od swojej matki. Bronił feminizmu jako wspaniałego wynalazku, gdyż zwalniał go z płacenia części rachunku na randce, a po drodze mógł jeszcze za darmo zaprosić damę do łóżka, ale w rzeczywistości nie wykorzystywał tej przewagi. Jego cyniczne zachowanie szokowało Gregory'ego i zarazem bawiło.

Wolność i pieniądze, pieniądze i wolność, enigmatycznie przepowiadał Balcescu, który wówczas już opanował szerszy

zasób angielskich słów, zapuścił chiński warkocz na ogolonej czaszce, ubierał się jak feudalny rosyjski chłop i wykladał w parku własną filozofię wśród grupy naśladowców. Duane przypisywał sukces mistrza ogrodnictwa temu, że nikt nie rozumiał; o czym on u diabła mówi, oraz jego niebywałym zdolnościom do uprawiania marihuany w baliach oraz czarodziejskich grzybków w donicach ukrytych w szafach. Rumun miał w garażu małą fabryczkę kwasu d-lizergowego, która okazała się kwitnącym interesem i w niedługim czasie miała go zmienić w bogatego człowieka. Choć Gregory nie pracował z nim już od lat, utrzymywali dobre stosunki, oparte na zamięłowaniu do róż i do smacznego jedzenia. Balcescu miał wrodzone zdolności do wymyślania potraw z dodatkiem czosnku, którym nadawał nazwy nie do wymówienia i które zachwalał jako typowe dla swego kraju. Nauczył go również uprawiać róże w beczkach na kołach, żeby można je było zabierać ze sobą w razie przeprowadzki czy emigracji.

¹ Podstawowy składnik służący do produkcji LSD

- Nie mam zamiaru emigrować! - śmiał się Gregory.

- Nigdy nie wiadomo. Brak wolności, brak pieniędzy, co się robi? Emigruje - wzdychał Rumun z nostalgicznym patosem.

Samantha Ernst w wolnych chwilach, po gimnastyce i innych sportach, studiowała literaturę. Dotychczas nie pracowała, widocznie nie było jej to pisane. Jej ojciec zbankrutował właśnie z powodu filmu o milionowym budżecie, na temat imperium bizantyjskiego, który okazał się monumentalną klapą i w krótkim czasie zniszczył jego własne królestwo. Podobnie jak jej macochy i całe przyrodnie rodzeństwo, do tej pory korzystające ze szczodrości producenta, Samantha musiała odtąd dawać sobie radę sama, lecz nie

popadła w trudności finansowe, ponieważ Gregory Reeves był na miejscu. Planowali wziąć ślub, gdy on skończy studia i zdobędzie stałą pracę, ale ruina filmowego magnata przyspieszyła sprawę i musieli pobrać się kilka lat wcześniej. Ceremonia ślubna była skromna, małżeństwo sprawiało wrażenie zawartego niemal w tajemnicy. Timothy Duane i instruktorka tenisa byli jedynymi świadkami, rodzinę i znajomych małżonkowie zawiadomili telefonicznie po fakcie. Nora i Judy Reeves, które widywały Gregory'ego raz w roku w Dzień Dziękczynienia, czuły się od niego oddalone, nie zdziwiły się więc brakiem zaproszenia na ślub, ale Moralesowie byli głęboko urażeni i przez jakiś czas nie odzywali się do swego „jankeskiego syna”, jak go nazywali, i dopiero narodziny Margaret zmiękczyły ich serca, tak że w końcu mu wybaczyli. Gregory przeniósł się z rzeczami do domu Samantha, zabrał nawet beczki z różami, gotów spełnić swój sen o szczęśliwej rodzinie. Życie małżeńskie nie okazało się tak idylliczne, jak sobie to wyobrażał, bo w rzeczywistości małżeństwo nie rozwiązało żadnego z problemów narzeczeństwa, a tylko dodało nowych. Nie załamał się jednak i doszedł do wniosku, że sytuacja się poprawi, gdy zostanie adwokatem, będzie miał stałą pracę i mniej stresów. Opieka nad dziećmi dawała mu wystarczające dochody, żeby zapewnić żonie wygodne życie, choć sam wcale z tego nie korzystał. Jego dzień wyglądał teraz jak bieg z przeszkodami. Wstawał o świcie, żeby przygotować się do zajęć, dojazd na wykłady zajmował mu godzinę, a powrót następną, popołudniami pracował. Prowadził dzieci do muzeów, parków i na przedstawienia, jednym okiem pilnował, drugim czytał. Raz w tygodniu chodził do pralni samoobsługowej i na targ, często zarabiał parę dolarów, pomagając wieczorem Joan i Susan w restauracji. Pod koniec dnia pojawiał się w domu

wyczerpany, przygotowywał sobie kawałek mięsa z rusztu, jadł sam i uczył się. Samanthę napawał wstrętem widok surowego mięsa i zapach pieczeni, wołała nie przebywać w domu w porze kolacji. Ich rozkład dnia też się rozmiął, ona spała do południa i dopiero wtedy zaczynała swoje zajęcia, a wieczorem zawsze miała jakieś lekcje: gry na bębnach afrykańskich, jogi, tańców kambodżańskich. Podczas gdy mąż biegiem przenosił się z jednych zajęć na drugie, ona zawsze wyglądała na speszoną, jakby samo istnienie było tytaniczną próbą dla jej ulotnej natury. Po ślubie nie zwiększyło się jej zainteresowanie miłosną grą i w łóżku nadal przejawiała taką samą obojętność jak poprzednio, co tylko pogorszyło sytuację, bo częściej przebywali razem i trudno było wymówić się brakiem ochoty. Gregory próbował stosować rady z podręczników, mimo że czuł się dość śmiesznie w erotycznych akrobacjach, których Samantha w ogóle nie doceniała. Wobec nikłych rezultatów swoich wysiłków doszedł do wniosku, że kobiety nie czują zbyt wielkiego zainteresowania tymi sprawami, poza Ernestiną Pereda, która stanowiła szczęśliwy wyjątek. Zignorował niezliczone publikacje, dowodzące wręcz przeciwnej teorii i podczas gdy świat zachodni odkrywał burzliwe żeńskie libido, on był gotów zastąpić namiętność cierpliwością, chociaż nie zrezygnował całkowicie z pomysłu wprowadzenia Samantha krok po kroku do grzesznych ogrodów lubieżności, jak Timothy Duane, ze swoim umęczonym katolickim sumieniem, nazywał najczystszą i najzwyczajszą gorliwość seksualną.

Odkrycie, że jest w ciąży, zupełnie załamało Samanthę. Poczula, że jej opalone ciało bez grama tłuszczu zmienia się w obrzydliwy pojemnik, w którym rozwija się łapczywa

kijanka, nie do przyjęcia jako coś własnego. W pierwszych tygodniach padała ze zmęczenia, wykonując najbardziej gwałtowne ćwiczenia ze swojego repertuaru z podświadomą nadzieją uwolnienia się od tego obowiązku, ale potem poddała się zmęczeniu i spędzała czas, leżąc na łóżku i patrząc w sufit, zrozpaczona i wściekła na Gregory'ego, który wydawał się zachwycony myślą o potomku, a na jej skargi odpowiadał sentymentalnymi pocieszeniami, najmniej stosownymi w danym momencie, o czym nie omieszkała mu powiedzieć. To twoja wina, wyłącznie twoja wina, wyrzucała mu, ja nie chcę dzieci, przynajmniej na razie, to ty cały czas mówisz o stworzeniu rodziny, co za pomysły przychodzą ci do głowy, i tyle gadasz o tych głupotach, że stało się, niech cię diabli. Nie mogła zrozumieć, skąd ta nagła odmiana losu, myślała nawet, że jest bezpłodna, bo przez wiele lat bez żadnych zabezpieczeń nigdy nie było niespodzianek. Skoro tego nie chcę, to nigdy mi się nie przydarzy, twierdziła z uporem rozpieszczonego dziecka, które nie znosi przymusu. Dostała ataków mdłości, bardziej z powodu odrazy do siebie samej i odrzucania płodu niż ze względu na swój fizyczny stan. Gregory kupił książkę o naturalnym jedzeniu i poprosił Joan i Susan o pomoc w przygotowywaniu żonie zdrowych potraw, ale wysiłek był zbędny, Samantha zaledwie tolerowała kawałek selera czy jabłka. Trzy miesiące później, kiedy zauważyła zmiany w talii i w piersiach, poddała się losowi ze swoistą, nagłą wściekłością. Jej niechęć do jedzenia zmieniła się w żarłoczność i wbrew wszelkim vegetariańskim zasadom rozmyślnie pochłaniała tłuste wieprzowe kotlety i serdelki, które Gregory przygotowywał wieczorami, a ona przez cały dzień pogryzała potem na zimno. Pewnego wieczoru, gdy jedli kolację w hiszpańskiej restauracji z grupą przyjaciół,

odkryła specjalność dnia, flaki po madrycku, kłębek trzewi o konsystencji ścierki namoczonej w sosie pomidorowym. Tak często wpadała odtąd o różnych porach, prosząc zawsze o to samo danie, że zachwycony kucharz zaczął dawać jej w prezencie plastikowe pojemniki pełne po brzegi tego niezdrowego jedzenia. Przytyła, jej skóra pokryła się wypryskami, aż w końcu pogrążyła się w głębokiej depresji, czuła się chora i winna, zatruta gnijącym jedzeniem i trupami zwierząt, których jednak nie mogła przestać pochłaniać, jakby za karę. Za dużo sypiała, przez resztę dnia oglądała telewizję, leżąc na łóżku wśród kotów. Reeves, uczulony na kocie futro, przeniósł się do innego pokoju, nie tracąc dobrego humoru ani cierpliwości, przejdzie jej, to zachcianki ciężarnej, uśmiechał się. Samantha nienawidziła zajęć domowych, ale przedtem przynajmniej utrzymywała dom w przyzwoitym stanie; podczas ciąży jej względne poczucie porządku zmieniło się w chaos. Gregory starał się coś z tym zrobić, ale ile by sprzątał, odór zamkniętych kotów i flaków po madrycku przenikał cały dom.

Tego roku zapanowała moda na naturalne wodne porody, oryginalne połączenie ćwiczeń oddechowych, balsamów, wschodniej medytacji i zwykłej wody. Trzeba było odpowiednio wcześniej poćwiczyć, żeby urodzić w wannie, w asyście ojca dziecka i w towarzystwie przyjaciół oraz osób postronnych. Chodziło o to, by noworodek nie odczuł wstrząsu, przechodząc nagle z płynnego, ciepłego i cichego środowiska matczynego brzucha w horror porodówki, z nielitościwymi lampami i pobrzękiwaniem narzędzi chirurgicznych. Pomysł nie był zły, ale w praktyce okazał się trochę skomplikowany. Samantha odmawiała rozmów na temat porodu, wierna swojej teorii, że jeśli czegoś sobie nie życzy, to się nigdy nie wydarzy, ale około siódmego miesiąca nie

miała już innego wyjścia, jak stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością; za dwa miesiące dziecko powinno się narodzić, a ona ma odegrać nieuniknioną rolę w tym wydarzeniu. Wydanie dziecka na świat w wannie pełnej letniej wody, w półmroku, z kilkoma świątobliwymi matronami wydało się jej mniej straszne niż dokonanie tego na szpitalnym stole, na łasce mężczyzny w fartuchu i z zasłoniętą twarzą, żeby nikt go nie rozpoznał, jednak nie zgadzała się na zrobienie z tego spotkania towarzyskiego, pomimo obietnicy naturalistycznych akuserek, że nie będzie musiała niczym się zajmować, cena za poród obejmuje napoje, marihuanę, muzykę i zdjęcia. Skoro pobraliśmy się prywatnie, nie zamierzam rodzić publicznie, nie chcę też, żeby robiono mi zdjęcia z rozchylonymi nogami, postanowiła Samantha, kończąc rozmowę. Wstała wreszcie z łóżka i zaczęła wraz z mężem uczęszczać do szkoły rodzenia, gdzie widok innych kobiet w tym samym stanie przekonał ją, że macierzyństwo niekoniecznie jest nieszczęściem. Zaskoczona zauważyła, że inne kobiety obnoszą dumnie swoje brzuchy, a nawet wyglądają na zadowolone. To odkrycie miało efekt terapeutyczny, ponieważ w części odzyskała szacunek dla własnego ciała i zdecydowała zadbać o siebie, nie zrezygnowała wprawdzie z flaków po madrycku, ale dodała do tej diety również warzywa i owoce, chodziła na długie spacerunki i nacierała skórę oliwką z migdałów oraz płukanką z szalwii i mięty, kupiła ubranka dla dziecka i w kilka tygodni wróciła jej dawna osobowość. Wśród wielkich przygotowań do porodu zainstalowano w salonie ogromną drewnianą balię, którą początkowo chcieli wynająć, ale przekonano ich, że korzystniej rzecz kupić. Po porodzie możecie używać jej do innych celów, usłyszeli, zaczynają wchodzić w modę wspólne kąpiele nóg

przyjaciół, moczących się w ciepłej wodzie. Balia okazała się i tak niepotrzebna, gdyż pięć tygodni przed przewidzianą datą Samantha urodziła córkę, którą nazwali Margaret, tak jak jej babcia ze strony matki, co to umarła w różowej pianie. Gregory przyszedł do domu po południu i zastał żonę w kałuży wód płodowych tak zagubioną, że nie przyszło jej do głowy wołać o pomoc i nawet nie pamiętała o foczym oddechu, którego się nauczyła na kursie wodnego porodu. Wsadzili ją do mikrobusu, którym posługiwał się w pracy, i pędem pojechał do szpitala; żeby uratować dziecko, konieczne było cesarskie cięcie. Margaret nie przyszła na świat w drewnianej balii, kołysana uspokajającymi kamyczkami i wśród oparów kadzidła, jak było przewidziane, wkroczyła w życie w inkubatorze, jak nieruchoma ryba, samotna w swoim akwarium. Dwa dni później, gdy matka próbowała stawiać pierwsze kroki po szpitalnym korytarzu, ojciec przypomniał sobie, że powinien zatelefonować i opowiedzieć nowiny duchowym akuszerkom, rodzinie i przyjaciołom. Żałował, że przy jego boku nie ma Carmen, jedynej osoby, z którą chciałby dzielić ciężar tych chwil.

Dla Margaret Ernst wiatr udreki zaczął wiać w dniu narodzin - gdy jej arystokratyczna matka przekazała ją w ręce pielęgniarki i na zawsze przestała się interesować dzieckiem - i zmienił się szybko w huragan, który wypchnął matkę poza obręb rzeczywistości tuż po wydaniu córki na świat. Dużo później Samantha z całkowitą szczerością wyznała psychoanalitykowi, że to maleńkie stworzenie oddychające z trudem w szklanej skrzynce napawało ją wyłącznie odrazą. W duchu była szczęśliwa, że nie ma mleka, by ją karmić, i może

w głębi serca pragnęła, żeby dziecko zniknęło, żeby nie zmuszać się do tulenia niemowlęcia w ramionach. To, czego się nauczyła na kursach, nie przydało się na nic, nie mogła po prostu zrozumieć, że Margaret jest tylko jedną z wielu dziewczynek urodzonych tego dnia i o tej godzinie na kuli ziemskiej, i nigdy nie umiała jej zaakceptować. Nie chciała też przyjąć do wiadomości, że jest połączona z tym robaczkiem nieuniknionymi obowiązkami. Spojrzała kiedyś na siebie w lustrze i zobaczyła długi szew w poprzek brzucha, przedtem gładkiego i opalonego, obecnie o luźnej, pełnej zmarszczek skórze. Zapłakała rozpaczliwie nad utraconą urodą. Mąż starał się do niej zbliżyć i pocieszyć, ale za każdym razem odtrącała go z szaleńczą gwałtownością. Przyzwyczała się, to wszystko jest zbyt świeże, jest wyprowadzona z równowagi, myślał Gregory, ale po upływie trzech tygodni, kiedy wypisano dziewczynkę ze szpitala, a matka nie przedstawiała oglądać się w lustrze i użalać nad sobą, musiał poprosić o pomoc swoją siostrę. Być może jego matka byłaby najbardziej właściwą osobą w tej sytuacji, ale Samantha nie znosiła teściowej, nigdy nie umiała docenić żadnej z jej zalet, uważała ją za zdziwaczalą staruchę, która nawet żółwia wyprowadzi z równowagi. Pomyślał również o Oldze, którą tak cieszyły porody i noworodki, ale wyczuł, że jeśli żona nie toleruje Nory, tym bardziej nie ścierpi Olgi.

- Potrzebuję cię, Judy, Samantha jest przygnębiona i chora, a ja nic nie wiem o dzieciach, proszę cię, przyjedź - błagał Gregory przez telefon.

- Zwolnię się z pracy w piątek i spędzę z wami weekend, nie mogę nic więcej zrobić - odparła.

Zmęczona pijackimi zabawami Jima Morgana, rudego wielkoluda, z którym miała dwoje dzieci, Judy rozwiodła się i zamieszkała ponownie z matką w tym samym domu co

przed ślubem. Nora opiekowała się dwojgiem wnucząt, z których jedno jeszcze nie chodziło, a Judy utrzymywała rodzinę. Jim Morgan kochał żonę i kochałby do końca swoich dni, nie zważając, że zmieniła się w harpię goniącą go z wrzaskiem po domu, czekającą w bramie fabryki, żeby go zwymyślać wobec robotników, i szukającą po barach, żeby zrobić mu awanturę. Kiedy ostatecznie wyrzuciła go z domu i wniosła sprawę o rozwód, mężczyzna poczuł, że życie się kończy, i wpadł w pijacki trans, z którego ocknął się za kratkami. Nie potrafił wytłumaczyć, jak doszło do nieszczęścia, nawet nie pamiętał człowieka, którego zabił. Niektórzy świadkowie zeznali, że był to wypadek, że Morgan nigdy nie chciał go zamordować, uderzył tak jakoś, dość lekko nawet, a nieszczęśnik odszedł na tamten świat; zabrakło jednak dla oskarżonego okoliczności łagodzących. Ofiara była całkowicie trzeźwa, jakiś cherlak wagi piórkowej, który w czasie draki znalazł się na rogu z dzwoneczkiem w ręku, prosząc o datek na Armię Zbawienia. Siedząc w więzieniu, Jim Morgan nie mógł pomagać w utrzymaniu dzieci, a Judy nawet się z tego cieszyła, przekonana, że im mniej kontaktów z ojcem kryminalistą, tym lepiej dla nich. Nie dawała sobie jednak rady z utrzymaniem domu i wróciła do matki.

Gregory pojechał po siostrę na lotnisko i wystraszył się, zobaczywszy, ile przytyła. Nie potrafił ukryć nieprzyjemnego zaskoczenia, a ona to zauważyła.

- Nic nie mów, już wiem, o czym myślisz.

- Zaczynaj się odchudzać, Judy!

- Łatwo powiedzieć, tyle razy się już odchudzałam. W sumie straciłam około dwóch tysięcy funtów.

Z trudem wgramoliła się do mikrobusu Gregory'ego i pojechali do szpitala po Margaret. Wręczono im mały tobolek owinięty szalem, tak lekki, że go rozwinęli, żeby upewnić się

co do zawartości. Wśród zwojów materiału odkryli smacznie śpiące maleństwo. Judy zbliżyła twarz do bratanicy i zaczęła ją całować i obwąchiwać jak suka swoje szczeniaki, całkowicie zmieniona w odruchu tej czułości, której Gregory nie widział u niej od dziesięcioleci, ale której nie zapomniał. Przez całą drogę pieściła Margaret i przemawiała do niej, a brat obserwował ją kątem oka, ze zdziwieniem zauważając, jak Judy się zmienia: zwały tłuszczu znikają, odkrywając olśniewającą piękność ukrytą wewnątrz. Po wejściu do domu zastali śpiące w kołysce koty i Samanthę stojącą na głowie w swoim pokoju, szukającą lekarstwa na stres emocjonalny w akrobacjach godnych fakira. Gregory zaczął strzeptywać kocią sierść, żeby ułożyć dziecko, natomiast Judy, zmęczona podróżą i godzinami spędzonymi na stojąco, jednym pchnięciem wyrwała bratową z nirwany i przywróciła ją do naturalnej pozycji stojącej oraz do prostackich, codziennych czynności.

- Chodź, to ci wytłumaczę, jak przygotować butelkę i jak się zmienia pieluszki - rozkazała.

- Będziesz musiała wytłumaczyć to Gregowi, ja się nie nadaję do takich rzeczy - wybełkotała Samantha, cofając się.

- Lepiej, żeby on się nie zbliżał za bardzo do dziewczynki, niech nie wyskoczy z tym samym gównem co mój ojciec - warknęła Judy, bardzo rozzłoszczona.

- O czym ty mówisz? - zapytał Gregory z noworodkiem w objęciach.

- Doskonale wiesz, o czym mówię. Nie jestem opóźniona umysłowo, myślisz, że nie widzę, że zawsze otaczasz się dziećmi?

- To moja praca!

- Jasne, to twoja praca. Ze wszystkich możliwych zajęć musiałeś wybrać właśnie to. Pewnie masz powody. Założę się,

że dziewczynkami też się opiekujesz, nie? Wszyscy mężczyźni to zbrodniecy.

Gregory ułożył Margaret na łóżku, złapał siostrę za ramię i pociągnął do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

- Teraz wytłumaczysz mi, do cholery, o czym mówisz!

- Masz zadziwiającą zdolność do robienia z siebie idioty, Gregory. Nie mogę uwierzyć, żebyś nie wiedział...

- Nie!

I wtedy Judy wylała z siebie jad, który nosiła w ukryciu od tamtej nocy, ponad dwadzieścia lat temu, kiedy nie pozwoliła mu spać przy sobie, dławiący sekret, troskliwie chroniony. Podejrzewała, że tak naprawdę to żadna tajemnica i wszyscy o tym wiedzą, to nieustanny powód jej nocnych koszmarów i żalu, niewyznawalny wstyd, i teraz ośmiela się o tym mówić tylko po to, by ochronić swoją bratanicę, biedną, niewinną istotę, jak powiedziała, żeby uniknąć powtórzenia tego samego grzechu kazirodztwa w rodzinie, bo te rzeczy ma się we krwi, to genetyczne przekleństwo, jedyny spadek po Charlesie Reevesie, ta rozpusta, przez którą w złą godzinę sprowadził nas na ten świat, to nikczemny brud jego lubieżności, a jeśli chcesz więcej szczegółów, to mogę ci opowiedzieć, bo o niczym nie zapomniałam, mam wszystko wypalone ogniem w pamięci, jeśli chcesz, to ci opowiem, jak prowadził mnie do piwnicy pod byle pretekstem i zmuszał, żebym mu rozpięła i wkładał mi go do rąk, i mówił, że to moja lalka, mój cukierek, żebym mu robiła tak i tak, coraz mocniej, aż...

- Dosyć! - krzyknął Gregory, zatykając uszy dłońmi.

W każdy poniedziałek rano Gregory Reeves dzwonił do Carmen Morales. Zwyczaj ten zachował do dnia dzisiejszego. Po skrobance, która omal nie kosztowała ją życia, jego

przyjaciółka pożegnała się z matką i zniknęła bez śladu. W domu Moralesów jej imię zostało wymazane, ale nikt o niej nie zapomniał, zwłaszcza ojciec, któremu śniła się po nocach, choć duma nigdy nie pozwoliła mu przyznać, że umiera z tęsknoty za nieobecną córką. Dziewczyna nie kontaktowała się więcej z rodziną, natomiast dwa miesiące później Gregory otrzymał pocztówkę z Meksyku z numerem telefonu i narysowanym maleńkim kwiatkiem, nieomylnym podpisem Carmen. Był jedyną osobą, która otrzymywała od niej jakieś nowiny i od niego Inmaculada Morales dowiadywała się o losach córki. Podczas krótkich, poniedziałkowych rozmów Carmen i Gregory dzielili się wiadomościami o swoim życiu i planach. Głosy były zniekształcone przez zakłócenia na linii i tęsknotę, właściwą dla rozmów międzynarodowych. Obojgu zaczynały się zacierać w pamięci rysy twarzy rozmówcy, byli jak dwoje ślepców wyciągających ręce w ciemności. Carmen zamieszkała w obrzydliwym pokoiku na obrzeżach stolicy Meksyku i podjęła pracę w warsztacie złotniczym. Nie starczało jej czasu na nic innego, tyle godzin bowiem zajmował przejazd autobusem z jednego krańca tego rozpaczliwie ogromnego miasta na drugi. Nie miała przyjaciół ani romansów. Rozczarowanie, jakiego doznała przez Toma Claytona, zrujnowało jej naiwny zwyczaj zakochiwania się od pierwszego wejrzenia, a z drugiej strony, w tym środowisku było bardzo trudno znaleźć partnera, który by zrozumiał i uznał jej niezależny charakter. *Machismo* ojca i braci było żadne w porównaniu z tym, jakiego teraz doświadczała, i przez ostrożność pogodziła się z samotnością, przyjmując ją jako mniejsze zło. Niedana interwencja Olgi i późniejsza operacja pozbawiły Carmen możliwości posiadania dziecka, pozwalało jej to na większą swobodę, ale również martwiło.

Mieszkała tam, gdzie przebiega umowna granica miasta, a zaczyna nieuznawana dzielnica biedoty. W budynku był wąski korytarz z dwoma rzędami pokoi po bokach, kilkoma kranami, zlewem na środku i wspólnymi ubikacjami w głębi, tak brudnymi, że starała się ich unikać. Przemoc w tym miejscu była o wiele większa niż w getcie, w którym się wychowała, ludzie bez przerwy musieli walczyć o swój kawałek miejsca. Panowała tam rozpacz i poczucie beznadziejności, był to bowiem kawałek Meksyku z koszmaru sennego, omijany przez turystów, straszliwy labirynt wokół pięknego, założonego przez Azteków miasta, ogromny konglomerat nędznych domków, ulic bez światła i chodników tonących w śmieciach, rozciągający się coraz bardziej na peryferie. Krążyła wśród upokorzonych Indian i metyskich nędzarzy, nagich dzieci i wygłodzonych psów, kobiet uginających się pod ciężarem dzieci i pracy, pogodzonych z losem bezrobotnych, trzymających ręce na trzonkach noży, gotowych do obrony wiecznie zagrożonej godności i męskości. Nie mogła już liczyć na ochronę ze strony rodziny i bardzo szybko pojęła, że w takim miejscu młoda i samotna kobieta jest jak królik otoczony przez zdziczałe psy. Nie wychodziła wieczorami, spała przy zaryglowanych drzwiach i oknach i z kuchennym nożem pod poduszką. Kiedy wychodziła uprać swoje rzeczy, spotykała kobiety, które spoglądały na nią nieufnie, ponieważ różniła się od nich. Nazywały ją Jankeską, choć tysiąc razy tłumaczyła, że jej rodzina pochodzi z Zacatecas. Z mężczyznami nie rozmawiała. Czasami kupowała cukierki i siadała na ulicy, czekając, aż podejda dzieci. To były jej rzadkie chwile radości. W warsztacie złotniczym pracowali nieufni i zamknięci w sobie Indianie o czarodziejskich dłoniach, którzy rzadko z nią rozmawiali, za to nauczyli tajników ich

sztuki. Nie czuła upływu czasu, zajęta pracochłonnym procesem modelowania wosku, topienia metali, rzeźbienia, polerowania, osadzania kamieni i wykańczania każdego maleńkiego dzieła. Wieczorami w swoim pokoju projektowała kolczyki, pierścionki i bransoletki; na początku robiła je z mosiądzu i szkiełek, dla wprawy, a później, kiedy zaoszczędziła nieco pieniędzy, ze srebra i kamieni półszlachetnych. W wolnych chwilach sprzedawała je, chodząc od domu do domu i pilnując, by pracodawcy nie dowiedzieli się o tej skromnej konkurencji.

Narodziny córki pogrążyły Samanthę Ernst w cichej, ale okrutnej depresji. Nie zdarzały się już wprawdzie skandaliczne napady furii i pozornie nie zaszły zmiany w jej zachowaniu, ale nie była taka, jak przedtem. Nadal wstawiała w południe, oglądała telewizję i wylegiwała się na słońcu niczym jaszczurka; nie przeciwstawiała się rzeczywistości, choć nie uczestniczyła w niej. Jadła mało, wciąż była senna i ożywiała się tylko pa korcie, gdy tymczasem Margaret wegetowała w wózku stojącym w cieniu, tak zaniedbana, że mając osiem miesięcy jeszcze nie siadała i ledwie się uśmiechała. Matka dotykała jej tylko, gdy trzeba było zmienić pieluchy i dać jeść. Wieczorem Gregory kąpał ją i czasami przez chwilę kołysał w ramionach, starając się to robić zawsze w obecności Samanthy. Bardzo kochał córkę i gdy brał ją na ręce, czuł bolesną czułość, przemożne pragnienie chronienia jej, ale nie był zdolny pieścić tak, jak tego pragnął. Wyznanie siostry wzniosło chiński mur między nim i córeczką. Również nie czuł się już swobodnie z dziećmi, którymi się opiekował, i łapał się, że szuka jakiegoś szczegółu, który by ujawniał utajone skłonności odziedziczone po ojcu. Porównując Margaret

do innych dzieci w jej wieku, dochodził do wniosku, że jest opóźniona w rozwoju, bez wątpienia działa się coś złego, ale nie chciał mówić o tym z żoną, żeby się nie wystraszyła i jeszcze bardziej nie oddaliła od dziecka. Sprawdzał, czy dziewczynka dobrze słyszy, może jest głucha i dlatego wydaje się tak spokojna, ale gdy klaskał przy kołysce, wzdrygała się. Myślał, że Samantha tego nie zauważa, ale pewnego dnia zapytała go, po czym się poznaje opóźnione dziecko i wtedy po raz pierwszy mogli porozmawiać o swoich obawach. Po dokładnym zbadaniu Margaret w szpitalu orzeciono, że jest zdrowa, po prostu potrzebuje bodźców, jest jak zwierzątko zamknięte w skrzynce, skazane na własne zmysły. Rodzice zapisali się na kurs wychowawczy, na którym nauczyli się pieścić dziecko, przemawiać do niego, stopniowo pokazywać otaczający je świat i uczyć podstawowych umiejętności, z którymi rodzi się byle małpa, a które oni musieli poznawać z podręcznika. Wyniki pojawiły się po kilku tygodniach, kiedy dziewczynka zaczęła raczkować, a rok później wypowiedziała swoje dwa pierwsze słowa. Nie były to tata ani mama, lecz kot i tenis.

Gregory uczył się do egzaminów końcowych, spędzał godziny, dni i miesiące nad książkami, dziękując niebiosom za dobrą pamięć, jedyną rzecz sprawnie funkcjonującą, gdy wszystko wokół nieodwołalnie pogrążało się w chaosie. Tak jak przewidział, wojnie w Wietnamie daleko było do końca i przybrała rozmiary katastrofy. Po zdaniu ostatnich egzaminów adwokackich wraz z ulgą pojawiła się nieunikniona, koszmarna perspektywa wyjazdu na front, a ponieważ podpisał umowę z armią, nie mógł dłużej odkładać służby. Rodzina była właściwie główną przyczyną zgrzyoty, małżeństwo z Samantha rozpadało się i rozłąka niewątpliwie by je zakończyła, poza tym bał się opuścić Margaret, która rosła

pełna dziwactw. Córka żyła w sposób tak skryty i tajemniczy, że czasami Samantha zapominała o niej i gdy Gregory wracał do domu, odkrywał, że dziewczynka nic nie jadła od śniadania. Nie bawiła się z innymi dziećmi, godzinami oglądała telenowełe, nigdy nie miała apetytu i obsesyjnie się myła, brudna, brudna, mówiła co chwila, przysuwając taboret do umywalki i długo namydlając ręce. Siusiała do łóżka i rozpaczliwie płakała, budząc się wśród mokrych prześciera- deł. Była bardzo ładna i mimo krzywd wyrządzonych wła- snemu ciału, miała zawsze pozostać pełna szlachetnego wdzięku swojej babki z Wirginii i z twarzą o egzotycznych, słowiańskich rysach Nory Reeves, takiej jak na tym zdjęciu zrobionym na statku z uchodźcami, który ją przywiózł z Odessy. Podczas gdy Margaret żyła w cieniu mebli, chowając się po kątach, rodzice, zajęci własnymi sprawami i zwodzeni wyglądem grzecznej dziewczynki, nie potrafili dostrzec, że w jej duszy z wolna zagnieżdżają się demony.

Nadeszły czasy wielkich zmian i ciągłych niespodzianek. Nowa rzecz, jaką była wolna miłość, rozpowszechniła się szybko po tylu wiekach istnienia w ukryciu. To, co się zaczę- ło jako jeszcze jedna fantazja hipisów, stało się wkrótce ulu- bioną zabawą mieszczaństwa. Zdumiony Gregory zobaczył, jak te same osoby, które nie tak dawno broniły najbardziej purytańskich idei, teraz bez żadnych zahamowań urządzają domowe orgietki. W jego kawalerskich czasach było prawie niemożliwe znaleźć dziewczynę skorą do amatorów bez obiet- nicy małżeństwa; rozkosz bez strachu i poczucia winy nie istniały przed wynalezieniem pigułek antykoncepcyjnych. Miał wrażenie, że spędził pierwsze dziesięć lat młodości, szukając kobiet, i poświęcał tym znojnym łowom całą

wyobraźnie i zapał, z reguły na próżno. Wszystko się nagle zmieniło i w ciągu kilku lat cnota przestała być zaletą, stając się wadą, której należało się pozbyć, nim dowiedzą się sąsiedzi. Zachodziły tak dramatyczne i gwałtowne zmiany, że Gregory, uwikłany w swoje kłopoty, nie zdążył się przystosować i rewolucja ogarnęła go z opóźnieniem. Pomimo nieudanego związku z Samanthą nie przyszło mu do głowy skorzystać z propozycji niektórych śmiałych koleżanek ze studiów czy matek dzieci, których pilnował.

Pewnej wiosennej soboty Reevesowie zostali zaproszeni na kolację do przyjaciół. Siadanie do stołu nie było już w zwyczaju, jedzenie stało w kuchni i każdy brał papierowy talerzyk i obsługiwał się sam, starając się potem jak najwygodniej usiąść, żonglując pełną szklanką, talerzykiem poplamionym sosem, chlebem, serwetką, a czasami nawet papierosem. Pito zbyt wiele alkoholu i palono marihuanę. Gregory miał ciężki dzień, był zmęczony i zadawał sobie w duchu pytanie, czy nie lepiej czułby się w domu, zamiast dzielić kurczaka na własnych kolanach, i to tak, żeby nie spadł na spodnie. Po deserach rozpoczęła się wspólna zabawa, goście zdjęli ubrania i weszli do wielkiej balii pełnej ciepłej wody, zainstalowanej w ogrodzie na wolnym powietrzu. Moda na wodne porody minęła bez trwałszych skutków, ale wielu rodzinom została na pamiątkę ogromna balia. Reevesowie trzymali jeszcze swoją w salonie, służyła jako kojec dla Margaret, jak również na rzeczy zbierane z podłogi, o których potem zapomniano. Inni, odważniejsi, przekształcili balie w atrakcję, natchnieni japońskim zwyczajem wspólnych kąpeli. W końcu krajowy przemysł wypuścił na rynek wielkie baseny, przeznaczone właśnie do tego celu. Gregory nie miał ochoty wychodzić na patio i

marznąć zaraz po jedzeniu, ale wydało mu się w złym guście pozostać w ubraniu, gdy wszyscy inni są nadzy, jeszcze by pomyśleli, że ma się czego wstydzić. Zdejmował ubranie, popatrując na Samanthę kątem oka, zdziwiony jej naturalnością w obnażaniu się. Nie był wstydlivy, czuł się dumny ze swojego ciała i często chodził nago po domu, ale to publiczne przedstawienie trochę go zdenerwowało. Pozostali uczestnicy wydawali się zadowoleni niczym tubylcy z Amazonii. Kobiety starały się przebywać w wodzie, ale mężczyźni wykorzystywali każdą chwilę, żeby się pokazać, najbardziej zuchwali obnosili własną nagość w pełnej krasie podczas nalewania drinków, przypalania papierosów lub puszczenia płyt, niektórzy wręcz kucali na brzegu balii, kilka centymetrów od twarzy czyjejs żony. Gregory zrozumiał, że jego przyjaciele nie pierwszy raz znajdują się w podobnej sytuacji, i poczuł się zdradzony, jakby wszyscy dzielili się tajemnicą, z której on rozmyślnie został wyłączony. Powziął podejrzenie, że Samantha już wcześniej brała udział w podobnych zabawach i nie uznała za stosowne opowiedzieć mu o tym. Starał się nie patrzeć na kobiety, ale jego wzrok wędrował w kierunku doskonałych piersi matki pani domu, prawie sześćdziesięcioletniej matrony, na którą nie zwracał uwagi, dopóki nie ujrzał w wodzie atrybutów niespodziewanych u osoby w jej wieku. W ciągu całego swego niespokojnego życia Reeves miał zwiedzić tyle damskich geografii, że nie potrafił wszystkich spamiętać, ale nigdy nie zapomniał, jak wyglądają piersi tej dostojnej damy. Samantha z zamkniętymi oczami i głową odrzuconą do tyłu, zrelaksowana i zadowolona bardziej, niż jej mąż kiedykolwiek widział, nucila pod nosem, ze szklanką białego wina w jednej ręce, a

drugą schowaną pod wodą. Według Gregory'ego, trzymała ją zbyt blisko ud Timothy'ego Duane'a. W drodze powrotnej do domu chciał porozmawiać z nią o tym, ale usnęła w samochodzie. Następnego dnia, w kuchni oświetlonej promieniami słońca, przy filiżance parującej kawy, przyjęcie nudyistów wydawało się dalekim snem i żadne z nich o nim nie wspomniało. Od tamtej nocy Samantha wykorzystywała każdą okazję do praktykowania nowych grupowych doznań, za to w prywatności małżeńskiego łóżka była nadal równie oziębła co zwykle. Dlaczego się ograniczać? Nie wolno się wyrzekać, trzeba dodawać doświadczeń do życia, każde spotkanie wzbogaca, dzięki czemu można więcej dać partnerowi, miłości starcza dla wszystkich, rozkosz jest niewyczerpaną studnią, z której można czerpać do syta, zapewniali głosiciele swobodnych małżeństw. Gregory podejrzewał jakiś podstęp w tym rozumowaniu, ale nie miał odwagi wypowiedzieć głośno własnych wątpliwości, żeby nie wyjść na troglodytę. Czuł się w tym środowisku jak obcokrajowiec, nie miał bowiem przekonania do częstej zmiany partnerów. Obserwując entuzjazm wszystkich swoich przyjaciół dla tych pomysłów, uznał, że widocznie ciąży na nim przeszłość podmiejskiej dzielnicy i dlatego nie umie tak łatwo się przyzwyczaić. Nie chciał przyznać, jak bardzo go denerwuje widok innych mężczyzn macających Samanthę pod pretekstem odtruwającego masażu, aktywacji punktów holistycznych czy stymulacji rozwoju duchowego poprzez komunię ciał. Jej zachowanie wprowadzało go w błąd, myślał, że ukrywa swoją inną osobowość i prowadzi drugie życie, nigdy nie pokazując prawdziwej twarzy, a za ledwie serię masek. Obdarzanie pieścotami innej kobiety w obecności żony wydawało mu się perwersją, ale nie chciał pozostać w tyle. Co dzień

wzięci seksuolodzy odkrywali jakieś nowe strefy erogenne, a skoro najwyraźniej należało wszystkie zbadać, żeby nie wyjść na ignoranta, na nocnym stoliku Reevesa rósł stos podręczników czekających na przestudiowanie. Pewnego razu odważył się sprzeciwić metodzie odnalezienia własnego Ja i przebudzenia Świadomości poprzez grupową masturbację, na co Samantha oświadczyła, że zachowuje się jak barbarzyńca o ograniczonej i prymitywnej duszy.

- Nie wiem, co ma wspólnego jakość mojej duszy z czymś tak naturalnym, jak fakt, że nie lubię widoku palców innych mężczyzn między twoimi nogami!

- Typowe dla słabo rozwiniętych i obcych kultur - orzekła, popijając niewzruszenie sok z selera.

- Co? - zapytał zbity z tropu.

- Jesteś taki sam, jak ci Latynosi, wśród których się wychowałeś. Nie powinieneś był opuszczać tej dzielnicy.

Gregory pomyślał o Pedrze i Inmaculadzie, starając się wyobrazić ich sobie w wannie pełnej ciepłej wody, na golasa, z sąsiadami czochrającymi sobie wzajemnie Świadomość i własne Ja. Sama myśl o tym złagodziła gniew i serdecznie się roześmiał. W poniedziałek opowiedział o wszystkim przez telefon Carmen i z odległości tysięcy kilometrów usłyszał niepohamowany śmiech przyjaciółki; żadna z tych nowości nie dotarła do getta w Los Angeles, a tym bardziej do Meksyku, gdzie mieszkała.

- Wariaci, sami wariaci - zawyrokowała. - Za żadne skarby nie pokazałabym się nago cudzym mężom. Nie wiedziałabym, gdzie podziąć oczy, Greg. Z drugiej strony, skoro niektórzy mężczyźni poklepują mnie, gdy jestem ubrana, wyobraź sobie, co by było, gdybym się rozebrała do naga.

- Ale z ciebie dzikuska, dziewczyno! Tu nikt by na ciebie nie spojrział.

- No to po co to robią?

W żadnym miejscu nie czułem się dobrze, dzielnica, w której się wychowałem, należała do przeszłości, i nie udało mi się zapuścić korzeni gdzie indziej. Moja rodzina była nieliczna, żona i córka tak się ode mnie oddaliły, jak kiedyś matka i Judy. Brakowało mi przyjaciół, Carmen przebywała w innym świecie, nie mogłem za bardzo liczyć na Timothy'ego, ponieważ Samantha go nudziła, i wydaje mi się, że nas unikał; nawet Balcescu, tak pokraczny, że wydawał się odporny na wszelkie zmiany, przeobraził się całkowicie i stał się kimś w rodzaju guru. Otaczali go akolici czczący powietrze, którym on oddychał, a od ciągłego przeglądania się w lustrze ich oczu w końcu zaczął poważnie w to wszystko wierzyć. Wraz z utratą poczucia humoru znikło również jego zainteresowanie egzotycznymi potrawami i uprawą róż, tak że niewiele zostało nam wspólnych tematów. Joan i Susan zachowały wdzięk i delikatny zapach ziół, jaki wydzielala ich skóra, ale trudno było się z nimi spotkać, pochłaniała je walka feministek i kulinarna chemia ich wegetariańskich przepisów, były ekspertkami od przyprawiania tofu tak, żeby miało smak pasztetu z cynaderek. Studiując prawo, nie zawarłem nowych przyjaźni, ponieważ studenci brutalnie ze sobą konkurowali. Każde z nas było pochłonięte własnymi planami i ambicjami, uczyliśmy się bez wytchnienia. Nie miałem ochoty na zebrania, a niepokoje intelektualne i polityczne odsunąłem na drugi plan. Trudno byłoby wytłumaczyć Cyrusowi, że w tym mieście jedyny problem z lewicą polegał na tym, że nikt nie chciał być pravicowcem. Wieczorami

wracałem do domu potwornie zmęczony, wyobrażając sobie po drodze możliwość zmiany kierunku i zagubienia się na horyzoncie, jak to robił ojciec, gdy jeździliśmy po kraju bez ustalonej drogi ani celu. Chaos, panujący w domu, denerwował mnie i nie dlatego, żebym był fanatykiem porządku. Byłem chyba wyczerpany nauką i pracą, na pewno nie zachowywałem się jak dobry mąż i dlatego Samantha tak mało wysiłku wkładała w nasz dom. Chwilami wyglądaliśmy bardziej na przeciwników niż współników. W takich okolicznościach człowiek jest zaślepiiony i nie widzi wyjścia z zaułka, w którym się znajduje, wydaje mu się, że nie ma ucieczki z tej maszynki do mielenia. Kiedy obronisz dyplom, będzie inaczej, pocieszała mnie Carmen na odległość, lecz ja wiedziałem, że to nie jedyna przyczyna złego samopoczucia. Oglądałem regularnie serial telewizyjny o sprytnym adwokacie, który narażał swą reputację, a czasem i życie, żeby wybronić niewinnego od więzienia lub ukarać winnego. Nie przegapiłem ani jednego odcinka w nadziei, że bohater przywróci mi zainteresowanie prawem i uwolni od potężnego zniechęcenia, jakie mnie ogarniało na myśl o tej profesji. Jeszcze nie pracowałem, a już byłem rozczarowany. Przyszłość jawiła się zupełnie inaczej niż przygoda, jaką sobie wyobrażałem w młodości; ostatni wysiłek konieczny do zakończenia studiów tak mnie znudził, że zacząłem mówić o porzuceniu uniwersytetu i zajęciu się czymś innym. Nuda to wściekłość pozbawiona entuzjazmu, zapewniał Timothy Duane. Według niego, byłem wściekły na cały świat i siebie samego, i nie bez racji, moje życie nie zawsze było usłane płatkami róż. Radził usunąć wszelkie komplikacje, poczynając od małżeństwa z Samantha, które według niego jest oczywistym błędem. Nie chciałem się do tego przyznać, ale nadeszła taka chwila, że

przynajmniej pod tym względem musiałem się z nim zgodzić. Stało się to na jednym z przyjęć, na których bywaliśmy wtedy, w jednym z domów jak wiele innych ze zużytymi meblami, indiańskimi narzutami przykrywającymi poplamioną kanapę, plakatów z Ho Szi Minem i Che Guevara obok haftowanych indyjskich mantr. Były tam te same pary przyjaciół co zwykle, mężczyźni bez skarpetek, a kobiety bez biustonoszy; jedzenie było zimne, a kawałki sera coraz bardziej suche, zbyt wiele alkoholu, papierosów i marihuany tak złej jakości, że dym płoszył komary. Niekończące się rozmowy również dotyczyły tego samego; ostatnich seminariów na temat krzyku pierwotnego, gdzie każdy wył do ochrypnięcia, żeby wyzwolić się z agresji, lub o powrocie do łona, gdzie nadzy uczestnicy zwiłali się w pozycję embrionalną i ssali palce. Nigdy nie mogłem zrozumieć tych terapii ani też ich nie próbowałem, drażniła mnie rozmowa o tym, miałem dość słuchania o licznych transcendentálnych zmianach życiowych każdego z naszych znajomych. Usiadłem na tarasie, żeby się napić w samotności. Przyznaję, że piłem coraz więcej. Zrezygnowałem z mocnych alkoholi, bo cierpiałem na różne alergie i dusiłem się od zapalenia śluzówek i straszliwego bólu w piersiach. Szybko odkryłem, że wino powoduje te same objawy, choć mogłem wypić więcej, nim poczułem się naprawdę chory. Kilka godzin wcześniej odbyliśmy z Samanthą bardzo burzliwą dyskusję i zaczynałem podejrzewać, że nasze małżeństwo zmierza wprost ku przepaści. Wjeżdżałem właśnie samochodem do garażu, gdy zobaczyłem sąsiada prowadzącego za rękę Margaret, córka miała wtedy niewiele ponad dwa lata. Wydaje mi się, że to pańskie dziecko, znalazłem ją błąkającą się kilka mil stąd, żeby tak daleko zajść, musiała tam iść od rana, powiedział mężczyzna, nie kryjąc pretensji i oburzenia. Przerażony przytuliłem

córkę. Łomotało mi w skroniach i prawie nie mogłem wydu-
sić słowa, gdy szedłem do żony, żeby zapytać, gdzie była,
kiedy Margaret wychodziła z domu i jakim cudem nie za-
uważyła jej nieobecności przez tyle godzin. Odpowiedziała,
wspierając się pod boki, tak samo wściekła jak ja, że sąsiad
jest bezczelny i że jej nienawidzi za to, że koty pożarły jego
kanarka, i że nie musi się z niczego tłumaczyć, w końcu ona
mnie nie pyta, gdzie przebywam całymi dniami, Margaret
jest bardzo samodzielna jak na swój wiek, a ona nie ma za-
miaru pilnować jej jak więźnia ani przywiązywać sznurkiem,
jak ja to robię z dziećmi, którymi się opiekuję. Tyle mówiła,
że nie wytrzymałem i wyszedłem z pokoju, trzaskając
drzwiami. Wziąłem długi, zimny prysznic, odpędzając wizje
różnych nieszczęść, jakie mogły się przydarzyć Margaret na
tych dwóch milach, ale to nie wystarczyło, bo na przyjęciu
jeszcze byłem zły na Samanthę. Wyszedłem na taras ze
szklanką wina w rękę i opadłem na krzesło w złym humorze,
trochę pijany. Miałem dość monotonnej muzyki z Katman-
du, dobiegającej z salonu. Obliczyłem, ile straciłem czasu na
tym nudnym spotkaniu, za tydzień powinienem przystąpić
do końcowych egzaminów i każda minuta nauki jest cenna.
Podszedł Timothy Duane i zobaczywszy mnie, przysunął
krzesło i usiadł obok. Mieliśmy mało okazji do przebywania
sam na sam. Zauważyłem, że w ciągu ostatnich lat stracił na
wadze, a rysy jego twarzy wyostrzyły się, już nie miał tego
niewinnego wyglądu, który pomimo wyglupów czynił go
takim miłym, kiedy się poznaliśmy. Wyjął z kieszeni szklaną
rurkę, nasypał sobie kokainy na wierzch dłoni i głośno wcią-
gnął do nosa, chciał mnie poczęstować, ale ja nie mogę tego
używać, zabija mnie, jeden jedyny raz, gdy spróbowałem,
poczułem jakby wbijano mi lodowaty sztylet między oczy,

trzy dni bolała mnie głowa i nie pamiętam obiecywanego raj. Tim powiedział, żebyśmy wrócili do środka, bo organizują zabawę, ale nie byłem zainteresowany ponownym oglądaniem wszystkich na golasa.

- Tym razem to coś innego. Będziemy wymieniać się żonami - nalegał.

- Ty nie jesteś żonaty, z tego co wiem.

- Przyprowadziłem przyjaciółkę.

- Twoja przyjaciółka wygląda na kurwę.

- Jest nią - roześmiał się, ciągnąc mnie do salonu.

Mężczyźni zebrali się naokoło stołu w jadalni, zapytałem o kobiety i poinformowano mnie, że czekają w samochodach. Wyglądali na zdenerwowanych, poklepywali się po plecach, opowiadali dwuznaczne kawały i głośno się zaśmiewali. Wyłumaczyli zasady: nie wolno się wycofać, żałować ani próbować się zamienić. Zgaszono światło, wszyscy położyli kluczyki na tacy, ktoś nimi wstrząsnął i każdy uczestnik losował jedną parę. Mimo alkoholowej mgiełki i dezorientacji, która nie pozwoliła mi podbiec do tacy, jak to zrobili inni, po zapaleniu światła wyraźnie ujrzałem swoje kluczyki w ręku pewnego grubawego i pedantycznego dentystry, słynnego z tego, że wrywał zęby, stosując jako znieczulenie wyłącznie chińskie igły wbijane w stopy. Wziąłem ostatnie kluczyki, pragnąc w głębi duszy złapać dentystę za ubranie i dać mu w zęby jednym z tych celnych ciosów, jakich nauczyłem się od Ojca Larraguibela na dziedzińcu kościoła Matki Boskiej z Lourdes, powstrzymał mnie jednak strach przed kompromitacją. Mężczyźni udali się w kierunku samochodów, śmiejąc się i żartując, a ja poszedłem do kuchni, żeby pozbyć się oszołomienia, wkładając głowę pod strumień zimnej wody. Nalałem sobie resztkę kawy z termosu i usiadłem na stołku, by powspominać czasy, gdy życie

było łatwiejsze i wszyscy rozumieli reguły gry. Po chwili odnalazła mnie tam kobieta, która w losowaniu przypadła właśnie mnie, piegowata i sympatyczna blondynka, matka trojga dzieci i nauczycielka matematyki w szkole podstawowej; ostatnia osoba, z jaką przyszłoby mi do głowy cudzołożyć. Czekam na ciebie od dłuższej chwili, powiedziała z niesmiałym uśmiechem. Próbowałem wy tłumaczyć, że źle się czuję, ale ona zrozumiała to jako odepchnięcie, że mi się nie podoba; stojąc na progu, skuliła się w sobie jak mała dziewczynka przyłapana na jakimś przewinieniu. Uśmiechnąłem się do niej najsympatyczniej, jak mogłem. Zbliżyła się, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do samochodu, łącząc delikatną wstydlivość ze stanowczością, czym mnie rozbroiła. Zawiozła do siebie. Zastaliśmy dzieci śpiące przed telewizorem i zanieśliśmy je do łóżek. Założyła im piżamy, ucałowała, poprawiła koce i została z nimi, aż zasnęły. Potem poszliśmy do sypialni, gdzie na komodzie królowało zdjęcie męża na uroczystości zakończenia studiów, ubranego w togę. Powiedziała, że założy coś wygodniejszego i zniknęła w łazience, podczas gdy ja rozkładałem łóżko, czując się jak idiota, bo nie mogłem przestać myśleć o Samancie i dentyście. Zadałem sobie pytanie, dlaczego, do diabła, nie potrafię uczestniczyć w tych zabawach tak swobodnie jak wszyscy, dlaczego tak mnie wkurzają. Blondynka wróciła bez makijażu, szcزتkując włosy, ubrana w pikowany szlafroczek koloru lodów truskawkowych, doskonały dla wstającej rano i szykującej śniadanie matki, natomiast mniej stosowny dla zaistniałych okoliczności. W jej gestach nie było żadnej kokieterii, zupełnie jakbyśmy byli starym małżeństwem, wykonującym ostatnie czynności przed udaniem się do łóżka po całym dniu pracy. Usiadła mi na kolanach i zaczęła rozpinać koszulę. Miała ujmujący uśmiech, zadarty nos i pachniała świeżą

wonią mydła i pasty do zębów, ale nie podniecała mnie w żaden sposób. Powiedziałem, żeby mi wybaczyła, gdyż za dużo wypilem i męczy mnie alergia.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, po co przyszedłem. Nie lubię takich zabaw, wcale ich nie lubię i wydaje mi się, że Samantha też nie - wyznałem na koniec.

- Co ty mówisz? - zaczęła się śmiać, zachwycona. - Twoja żona sypia z kilkoma z twoich przyjaciół i mówią, że z niektórymi z twoich przyjaciółek, dlaczego ty też się trochę nie rozerwiesz?

To nie był dla mnie dobry okres. Moje życie stanowiło sumę potknięć, ale teraz, kiedy mam pięćdziesiąt lat, spoglądam wstecz i sumuję trudy i nieszczęścia, wydaje mi się, że ten czas był najgorszy, coś istotnego pękło w mojej duszy i już nie byłem taki, jak przedtem. Przypuszczam, że wcześniej czy później traci się niewinność. Może tak jest lepiej, bo nie można chodzić po świecie jak naiwniak, w prostocie ducha i bezbronny. Wychowałem się, tocząc walki na ulicy. Powinienem był stwardnieć wcześniej, ale tak się nie stało. Teraz, gdy już kilka razy zaznałem bólu i mogę czytać swoje życie jak pełną błędów mapę, gdy nie odczuwam żadnej litości dla siebie samego i jestem zdolny do oceny własnego istnienia bez żadnych sentymentalizmów, bo odnalazłem pewien rodzaj spokoju, żal mi tylko utraty niewinności. Tęsknię za idealizmem mej młodości, okresu, w którym istniała dla mnie jeszcze cienka linia podziału pomiędzy dobrem i złem, i wierzyłem, że można działać zawsze zgodnie z nienaruszalnymi zasadami. Nie była to praktyczna ani realistyczna postawa, wiem, ale w tym nieprzejednaniu kryła się czysta pasja, która jeszcze mnie wzrusza, gdy ją znajduję u innych. Nie mogę powiedzieć, w którym momencie zacząłem się zmieniać i stałem się tym twardym człowiekiem, jakim

jestem dzisiaj. Najprościej byłoby przypisać to wojnie, ale prawda jest taka, że moje zniszczenie zaczęło się wcześniej. Można by też powiedzieć, że zawód adwokata wymaga spo-
rej dawki cynizmu, nie znam żadnego, który byłby od tego wolny, lecz to też jest niepełna odpowiedź. Carmen mówi, żebym się nie przejmował, że choćbym był najbardziej cyniczny, to i tak nie wystarczy na tym świecie, a poza tym te wątpliwości to czyste oszukaństwo z mojej strony; mimo stwarzanych pozorów nadal jestem tym samym szorstkim i walczącym zwierzęciem o łagodnym sercu, które ona zaadoptowała dawno temu jako brata; ale ja siebie znam dobrze i wiem, jaki jestem w środku.

Koledzy, kobiety, przyjaciele i klienci zdradzili mnie, lecz żadna zdrada nie zaboląła mnie tak bardzo jak zdrada Samantha, bo tego się nie spodziewałem. Od tamtej chwili zawsze jestem nieufny i już się nie dziwię, gdy ktoś mnie zawodzi. Tamtej nocy nie wróciłem do domu. Zdjąłem szlafroczek koloru lodów truskawkowych nauczycielce matematyki i poturlaliśmy się na jej małżeńskie łóżce. Raczej nie wspomina mnie dobrze, na pewno spodziewała się doświadczonego kochanka z wyobraźnią, a spotkała kogoś gotowego zakończyć sprawę jak najszybciej. Potem ubrałem się i poszedłem pieszo do domu Joan i Susan, gdzie dotarłem o trzeciej nad ranem, wyczerpany i zupełnie pijany. Wisiałem na dzwonku kilka minut, aż pojawiły się, bose i w koszulach nocnych. Wpuściły mnie, nie zadając pytań, jakby były przyzwyczajone do przyjmowania gości o tej porze. Gdy jedna przygotowywała mi filiżankę rumianku, druga rozkładała posłanie na kanapie w salonie. Czegoś musiały dodać do rumianku, bo obudziłem się dwanaście godzin później, ze słońcem na twarzy i psem przyjaciółek w nogach. Wydaje mi się, że podczas tego snu skończyła się moja młodość.

Gdy wstałem, miałem już w myślach i w sercu postanowienia, które miały kierować przez kolejne lata, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Teraz, gdy mogę spojrzeć w przeszłość z pewnego oddalenia, zdaję sobie sprawę, że poczawszy od owej chwili zacząłem się stawać tą osobą, którą potem byłem przez długi czas i której zawsze nienawidziłem; mężczyzną aroganckim, frywolnym i chciwym, od którego uwolnienie się wiele mnie kosztowało.

Zostałem u moich przyjaciółek przez pięć dni, nie porozumiewając się z Samantha. Na zmianę dotrzymywały mi towarzystwa i cierpliwie wysłuchiwały tysiąckrotnie powtarzaną opowieść o moich nostalgicznych, zawodach i skargach. W piątek poszedłem na końcowe egzaminy zupełnie nie zdenerwowany, nie miałem nadziei, tytuł adwokata mnie nie obchodził, w rzeczywistości odczuwałem głęboką obojętność wobec przyszłości. Kilka miesięcy później, gdy byłem już na drugim końcu świata, powiadomiono mnie, że otrzymałem dyplom przy pierwszym podejściu, co rzadko się zdarza w tej pokrętnej profesji. Prosto z egzaminu udałem się do wojskowego biura naboru. Powinienem być mieć szesnaście tygodni ćwiczeń, ale wojna weszła w fazę szczytową i skrócono kurs do dwunastu tygodni. Pod pewnymi względami te trzy miesiące były gorsze niż sama wojna, ale wyszedłem stamtąd, mając dziewięćdziesiąt kilo mięśni, odporność wielbłąda i całkowicie nieczuły, gotów rozszarpać własny cień, jeśli taki byłby rozkaz. Dwa dni przed wyjazdem na front komputer wybrał mnie do Instytutu Języków Obcych w Monterrey. Przypuszczam, że moje wychowanie w meksykańskiej dzielnicy, przyzwyczajenie do rosyjskiego mojej matki oraz włoskiego z oper wyćwiczyły mi słuch. Spędziłem prawie dwa miesiące w rajach o skalistym wybrzeżu, gdzie foki

wygrzewały się na skałkach, pełnym wiktoriańskich domów i zachodów słońca jak z kartki pocztowej, ucząc się wietnamskiego przez cały dzień. Nauczyciele zmieniali się co godzinę, a mnie zagrożono, że jeśli szybko się nie nauczę, zostanę oddany pod sąd za zdradę ojczyzny. Pod koniec kursu paplałem w tym języku lepiej niż większość moich kolegów. Wyjechałem do Wietnamu, pieszcząc w duchu marzenie o śmierci, byle tylko nie musieć stawić czoła udrękom pracy i koszmarom istnienia. Ale umrzeć jest o wiele trudniej niż żyć dalej.

Część trzecia

Ludzie. Wojna to ludzie. Kiedy o niej myślę, pierwsze moje skojarzenie to ludzie: my, moi przyjaciele, moi bracia, wszyscy związani tym rozpaczliwym poczuciem braterstwa. Moi kumple. I oni: drobni mężczyźni i kobiety o nieprzeniknionych twarzach, których powinienem nienawidzić, ale nie mogę, ponieważ przez ostatnie tygodnie nauczyłem się ich poznawać. Tutaj wszystko jest czarne albo białe, nie ma półtonów ani dwuznaczności, skończyła się manipulacja, hipokryzja, oszustwo. Życie lub śmierć, zabijasz albo giniesz. My - to ci dobrzy, a oni - to źli, i kiedy tylko coś naruszy tę niezachwianą pewność, koniec z nami; w jakimś stopniu ten oblęd otrzeźwia, to jedna z prawidłowości tej wojny. Wszyscy wpadamy do tej samej dziury: czarni wiejący przed nędzą, biedni chłopci, którzy wciąż jeszcze wierzą w amerykański sen, jacyś Latynosi rozpaleni odwieczną wściekłością, kandydaci na bohaterów, psychopaci i tacy jak ja, uciekający przed klęską lub winą - w walce wszyscy jesteśmy równi, nie ma znaczenia przeszłość, a kula to najbardziej demokratyczne doświadczenie. Codziennie musimy dowodzić, że jesteśmy mężczyznami, wojownikami; musimy bronić pozycji, znosić ból i niewygody, nigdy się nie skarżyć, zabijać, zaciśkać zęby i nie myśleć, nie sprawdzaj, słuchaj rozkazów, po to nas ujeździli jak konie, wytrenowali kopniakami, wyzwickami

i upokorzeniami. Nie jesteśmy jednostkami w tym upiornym teatrze gwałtu: jesteśmy narzędziami w służbie pieprzonej ojczyzny. Każdy zrobi wszystko, żeby tylko przeżyć, dobrze się czuję, gdy to ja zabijam, bo przynajmniej wiem, że jeszcze tym razem sam wyszedłem cało. Godzę się na chwilowe braki pamięci i niczego nie próbuję wyjaśniać, po prostu łapię za broń i strzelam. Nie myśleć, żeby się nie pomylić i nie zawahać, bo to śmierć, to nieomylnie prawo wojny. Wróg nie ma twarzy, nie jest istotą ludzką, to zwierzę, potwór, demon, gdybym mógł w to w głębi serca uwierzyć, byłoby to znacznie prostsze, ale Cyrus nauczył mnie wątpić we wszystko, nauczył nazywać rzeczy po imieniu: zabijać, mordować. Przyjechałem tu, żeby przewyciężyć obojętność i pograżyć się w czymś porywającym, przyjechałem pełen cynizmu, gotów zbierać śmiało doświadczenia i żeby nadać jakiś sens własnemu życiu. Przyjechałem przez Hemingwaya, w poszukiwaniu prawości, mitu prawdziwego mężczyzny, definicji męskości, dumny z własnych mięśni i odporności zdobytej na treningach, gotów udowodnić swoją siłę, bo zaczynało mi już przeszkadzać, że wciąż kieruję się sentymentami. Taki swoisty rytuał późnej inicjacji. Nikt, kto ma już dwadzieścia osiem lat, nie pcha się sam w tę otchłań. Pierwsze cztery miesiące były jak złowieszczą gra, taki nieprzerwany zakład z samym sobą, przyglądałem się sobie z pewnego dystansu i krytycznie oceniałem, prześladowała mnie przeszłość i szukałem skrajnego ryzyka, bólu, zmęczenia, otępienia, a gdy docierałem do granic możliwości, nie mogłem tego wytrzymać. Narkotyk pomaga. Pewnego dnia przebudziłem się nagle czując, że żyję, mocno żyję, mocniej niż kiedykolwiek przedtem, zakochany w tym żarze, jakim jest istnienie. Zrozumiałem, że jestem potwornie śmiertelny, skorupka jajka, drobina, która w jednej chwili staje się pyłem

i nie pozostaje po niej nawet wspomnienie. Kiedy przybywają kolejne kontyngenty, idę przyjrzeć się tym nowym, badam ich uważnie, rozwinąłem w sobie szósty zmysł, żeby móc odczytywać znaki, wiem, którzy zginą, a którzy może nie. Ci śmiałkowie, ci najodważniejsi zginą pierwsi, bo uważają się za niepokonanych, zgubi ich własna pycha. Ci najbardziej przerażeni też zginą, bo paraliżuje ich strach i tracą zmysły, strzelają na oślep i mogą trafić w kumpla, lepiej nie znajdować się blisko nich, przynoszą pecha, nie chcę brać takich do swojego plutonu. Najlepsi są ci opanowani, nie ryzykują niepotrzebnie, nie próbują wygrywać ani zwracać na siebie uwagi, mają w sobie ogromną chęć życia. Lubię Latynosów, z wyglądu są milczący i posepni, w środku za to jak dynamit: wybuchowi, śmiercionośni, ale śmierć ich nie przeraża. Nie tylko są odważni, ale równi z nich goście.

Garściami łykam amfetaminę, wszystkie tabletki razem, cios dla żołądka, gorzki smak w ustach, mówię tak szybko, że nie wiem, co mówię, ale po chwili nie potrafię już nic powiedzieć, żuję gumę, żeby nie przygryźć sobie języka, potem łąduję w siebie alkohol i środki nasenne, żeby choć na trochę zasnąć. Śnią mi się rzeki krwi, fale płonącej benzyny, otwarte rany, kobiece wargi i organy, sterty trupów, odcięte głowy, oblane napalmem i żywcem palące się dzieci, odpychające fotografie, jakie zbierają żołnierze, wszystko w czerwieni, wyłącznie czerwieni. Nauczyłem się spać zrywami, po pięć, dziesięć minut, zasypiam, kiedy tylko się da, gdziekolwiek się położę, owinięty plastikową peleryną, z wyczulonymi zmysłami. Rozwinął mi się słuch, słyszę nawet pełznącego owada, wyostrzył mi się węch, partyzantów wyczuwam z odległości wielu metrów, ich pożywienie to rybny sos, a kiedy pocą się ze strachu, ten zapach unosi się w powietrzu.

Czym czuć nas? Chyba płynem po goleniu, bo pijemy go jak whisky, ma 40 procent alkoholu. Jeśli uda mi się przespać parę godzin bez koszmarów, czuję się jak nowo narodzony, ale nie zawsze jest to możliwe. Kiedy nie mam akurat warty albo jakiejś specjalnej misji, spędzam noc w obozie, nucąc sobie pod ociekającym deszczem dachem namiotu, który przesiąkł cały odorem moczu, butów, wilgoci, rozkładających się resztek żywności i potu; słucham pracowitej krzątaniny szczurów i rutynowej - mężczyzn, komary starają się wcisnąć wszędzie, nawet do ust. Czasem budzę się z płaczem, jak głupiec, ale śmiały się ze mnie Juan José, ileż razy ciągnął mnie w najdalszy kąt podwórka, żeby nikt nie zauważył, że płaczę, zamknij się ty jankeski pedale, mężczyźni nie płaczą, potrząsał mną wkurzony, a kiedy groźby nie skutkowały i tylko komplikowały sprawę, błagał mnie, żebym się uspokoił, proszę cię, dam ci, co chcesz, brachu, żeby nas tylko nie przyłapali, bo nas skopią i nawyzywają od panienek. Żeby zacząć normalnie funkcjonować, łykam aspirynę z kawą, oczywiście zimną, zapalam pierwszą trawkę w tym dniu i przed wyruszeniem szpikuję się amfą. Tęsknię za gorącym jedzeniem, za prysznicem, za chłodnym piwem, mam już dość tych porcji, jakie zrzucają nam z powietrza w niebieskich i żółtych pojemnikach, fasola z wieprzowiną i sałatka owocowa. Tutaj staję się z powrotem jak dziecko, przedziwne uczucie, bez żadnej odpowiedzialności wobec samego siebie, bez wątpliwości, tylko posłuszeństwo, choć naprawdę wiele mnie ono kosztuje, nadaję się bardziej do rozkazywania niż do ślepego wykonywania rozkazów, nigdy nie będę dobrym wojskowym. Łatwo przemknąć się niezauważonym, zniknąć jak cień. O ile ktoś nie popelni jakiegoś piramidalnego głupstwa, dni mijają jeden za drugim z jednym

tylko celem: przeżyć, ta potworna, niewyciężona machina zajmuje się wszystkim, ci na górze podejmują decyzje i zakładamy, że to potrafią, nie ma się czym przejmować, mogą zniknąć w szeregu, jestem taki sam jak wszyscy, jestem numerem bez twarzy, bez przeszłości i bez przyszłości. To jak popaść w szaleństwo: pływasz u brzegów wiecznego świata i pokrzywionych przestrzeni, nikt nie może wystawić ci za nic rachunku, wystarczy wykonać swoją robotę, a z resztą czasu można zrobić, co się komu podoba. Nic bardziej niebezpiecznego niż poczucie wyższości, zostajesz sam jak palec, uprzedzał mnie Juan José tamtego dnia na plaży przez smużkę dymu ze skręta z marihuany przesączonej opium. Jasne, jedyne, co cię ratuje, to uparte braterstwo żołnierzy. Czuję wściekły żal, czuję, że mam ochotę płakać z nagromadzonego bólu własnego i cudzego, mam ochotę chwycić za karabin i wyjść zabijać, ogarnia mnie niepowstrzymana chęć, by wyć, aż roztrzaska się cały wszechświat, niekończący się ryk rozdziera mi gardło. Zwariowałeś, brachu, na wojnie nie ma litości. Spotkaliśmy się z Juanem José na plaży podczas parodniowej przepustki, cud, że my dwaj spośród pół miliona żołnierzy znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tej samej porze. Uścisnęliśmy się, nie mogąc uwierzyć w aż taki przypadek, co za niesamowite szczęście zobaczyć się tutaj, brachu, i poklepywaliśmy się, i śmialiśmy, szczęśliwi, zapominając na chwilę o tym, gdzie jesteśmy i po co. Próbowaliśmy cofnąć się w przeszłość, okazało się to niemożliwe, nie widzieliśmy się bowiem od dziesięciu lat, od dnia, kiedy on poszedł do wojska i pysznił się przed nami swoim mundurem, a ja pracowałem fizycznie za dolara pięćdziesiąt na godzinę. Każdy poszedł w swoją stronę, on wybrał los żołnierza, ja - ciężką, fizyczną harówkę, przy której zginałem

grzbiet, póki Cyrus nie wymógł na mnie obietnicy, że pójdę w górę.

Nie zamierzam grzęznąć dłużej w pieprzonym garażu starego, bracie, mówił Juan José tam na plaży, mój stary to despota, armia to najlepsze, co mogę wybrać, zostanę w tym paskudztwie, aż skończę trzydzieści osiem, czterdzieści lat, a potem wysoka emerytura i cały świat należy do mnie, brachu, co mogę robić innego przy moim kolorze skóry i z indiańską gębą, przy tym kobiety uwielbiają mundury. Śmialiśmy się na tej plaży jak szaleni. Pamiętasz, jak kradliśmy pierwsze papierosy „Podwiązane mu fiutowi” i mszalne wino Ojcu Larraguibelowi, a pamiętasz te walki na końskie gówna albo kiedy ogoliliśmy Olivera, posmarowaliśmy go chromem rtęci i zaprowadziliśmy do szkoły rozprowadzając, że ma dżumę dymieniczą? A w ogóle co to za gówno ta dżuma dymienicza, brachu, z tą samą szorstką, udawaną czułością, z tą samą rubasnością okraszoną przekleństwami i najlepszymi chęciami, z jaką odnosiliśmy się do siebie od najmłodszych lat.

Opowiedział mi, że zakochał się w Wietnamce, i gdy wyjął jej fotografię, którą nosił w plastikowej przegródce portfela, spoważniał i głos mu się zmienił. Zdjęcie było niedobre, z tych jednorazówek, które zawsze są prześwietlone. Twarz kobiety przypominała blady księżyc obramowany cieniem włosów. Zwróciły moją uwagę jej oczy, reszta wydała mi się jak u wszystkich innych Azjatek, których tyle ostatnimi czasami widziałem.

- Nazywa się Thui - powiedział.

- To imię jak dla chochlika.

- Oznacza wodę.

Słyszałem pogłoski o moim przyjacielu, żołnierze gadają, krążą szeptane plotki. Potwierdził mi to, co opowiadano o

nim w tajemnicy. Trudna misja, dowódca plutonu kompletny nowicjusz, zorientowali się, że są okrążeni, zaczęła się wymiana ognia, pięciu padło i dowódca nakazał odwrót bez wycofywania rannych. Patrz, brachu, co za skurwiel, jak mieliśmy ich tam zostawić, wyobraź sobie, że to ty tam leżysz, przecież nie zostawiłbym cię w łapach wroga, to właśnie próbowałem mu wyjaśnić, ale ten pieprzony skurwysyn wpadł w histerię, wyciągnął pistolet i zaczął nam wygrażać, krzyczał i machał łapami bez ładu i składu. Nie czekałem, aż się uspokoi, nie było czasu, wystrzeliłem z bliska. Padł, zanim cokolwiek zrozumiał. Wycofaliśmy się, wynosząc naszych na plecach, tak jak powinno być, brachu. Uratowaliśmy wszystkich z wyjątkiem jednego, który miał flaki na wierzchu. Biedny chłopak, podtrzymywał jelita rękami i patrzył na mnie z rozpaczą, nie zostawiaj mnie tu żywego, Dobra Gwiazdo, nie zostawiaj mnie, błagał... Musiałem strzelić mu w skroń, Bóg niech mi wybaczy, pieprzone kurwstwo to wszystko, brachu. Zwłoki powinno się umieszczać w workach z tabliczką i nazwiskiem, ale tych formalności nie zawsze się dopełnia, brakuje czasu albo worków, bierze się ciała za ręce albo nogi i ładuje do helikopterów albo wiąże jak paczki, zawinięte w peleryny, oblepione muchami; w ciągu kilku godzin ciała puchną, ulegają deformacji, zaczyna je toczyć robactwo, gotują się w rosole rozkładu. Helikoptery to ptaki siejące wiatr, lądują w wirze, wzbijając kurz, śmieci i całe to plugawe błoto w promieniu trzydziestu metrów. Kiedy ciała leżą zbyt wiele godzin w deszczu lub upale, ten wir unosi też ich strzępy i kiedy stoisz za blisko, możesz oberwać w twarz czymś takim. W górach odmówiłem wnoszenia zwłok. Pomogłem rannym, ale potem stwardniałem na kamień i nikt nie odważył się wydawać mi rozkazów, wyglądało, że znalazłem się gdzieś poza życiem i śmiercią,

wytracony z równowagi. Załamanie nerwowe, szok, kryzys psychiczny, nie pamiętam, jak to nazwali. Helikoptery spłukuje się bieżącą wodą, ale odór nie znika. Pozostaje też echo krzyków, zmarli nigdy nie odchodzą całkowicie. Nie płaczę, to tylko to przekłete uczulenie albo dym, skąd mam wiedzieć, ciągle chodzę z zaczerwienionymi oczami, każdy z nas wdycha przecież jakieś gówno. Za każdym razem dziękuję, że to nie mnie przypadło w udziale podróżować w plastikowym worku albo, co gorsza, że nie jestem wśród tych, co mają ciała jak gnijący owoc, sine kikuty tam, gdzie kiedyś były ręce lub nogi, ale jeszcze żyją i żyć będą długie lata, prześladowani potwornymi wspomnieniami. Dzięki Ci, Boże, dzięki, że jeszcze żyję, krzyczałem tam w górach po angielsku, a potem dodawałem po hiszpańsku aniele boży, stróżu mój, rano, we dnie, wieczór, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy, ale nikt mnie nie słuchał, ja sam siebie ledwie słyszałem w huk strzelaniny i wśród jęków rannych, pieprzona Matko Boża, wydostań mnie stąd żywego, błagałem ściskając na szyi medalik z wizerunkiem Matki Boskiej z Gwadelupy, czarny kawałek materiału, ciężki od zaschniętej krwi Juana José. Dał mi go kapelan wiele tygodni po tym, jak zabili mego brata. Został przy nim, by zamknąć mu oczy, powiedział, że był już wówczas szary jak widmo, zdjął z szyi medalik i poprosił, aby mi go oddał, żeby mnie chronił od złego, to może wyjdę stąd cały. Jakie były jego ostatnie słowa? - to było jedyne, czego się chciałem dowiedzieć. Przytrzymaj mnie, ojcze, bo się przewracam, przytrzymaj mnie, bo tam nisko jest bardzo ciemno, ostatnie twoje słowa, brachu, a mnie tam nie było, żeby cię wysłuchać, żeby cię podtrzymać z całych sił, żeby cię wyszarpać śmierci, gówno, przekłete gówno. Co ci przyszło z medalika, brachu? Każdy

tu traci wiarę, za to staje się przesądny i we wszystkim zaczyna dopatrywać się dobrych albo złych znaków: wtorki są pechowe, już od siedmiu dni dokładnie nic się nie dzieje, spokój panuje zawsze przed burzą, samoloty spadają zwykle trzy, a dziś już spadły dwa... Dożyjesz późnej starości, Greg, zdążysz popełnić wiele błędów, wyrazić skruchę za niektóre i cierpieć jak skazaniec, nie będzie to łatwe życie, ale gwarantuję ci, że będzie długie, tak jest zapisane w liniach twojej dłoni i w kartach tarota, przysięgała mi Olga, ale może sama to wszystko wymyśliła, nie przecież nie wie, gorszy z niej szarlatan niż z mego ojca, gorszy niż ci wszyscy astrologzy i sprzedawcy amuletów w tym przekętym kraju. To samo mówiła Juanowi José Moralesowi i uwierzył jej, a trzeba wiedzieć, jakim tchórzem byłeś, brachu. Tak był pewny swego szczęśliwego losu, że w ogóle na siebie nie uważał, a jego ufność była taka zaraźliwa, że dwóch ludzi z plutonu robiło wszystko, by na krok się od niego nie oddalić, w przekonaniu, że przy nim przeżyją. Żaden z nich nie uda już się do Olgi z reklamacją.

Dżungla pełna jest dźwięków, stąpania i pisku zwierząt, ich ryku i pomruków, las natomiast jest cichy matową ciszą. Przypuszczam, że z lotu ptaka wszystko wydaje się oczyszczone w ogniu, czyste, ale na dole trwa piekło. Z czasem każdy się przyzwyczaja: najbardziej perwersyjne, najbardziej obsceniczne w tej wojnie jest to, że każdemu wydaje się ona czymś normalnym. Z początku byłem zaślepiony, potem wpadłem w euforię, wciąż jednak w stanie uśpionej świadomości. Teraz, tu, w wiosce odzyskuję zdolność myślenia. W czasie bitwy nie należy myśleć, zmieniamy się w narzędzia siejące zniszczenie i śmierć. Nikt tu nie chce wykształconych, krytycznie nastawionych, świadomych jednostek, bardziej

przydają się samcy z podwyższonym poziomem testosteronu, czarni analfabeci, latynoskie zabijaki, powyciągani z więzień kryminaliści, a indywidua takie jak ja to tylko zbędny balast. Po każdej misji drżą mi ręce, nie umiem nad tym zapanować, mam lekki szczękościsk i nerwowe tiki twarzy, taki zdemencjały uśmiech, wielu reaguje tak samo, podobno to przechodzi. Przez te miesiące przywykłem już do tego, że bywam przemoczony do szpiku kości, że mam stopy zdarte do krwi od ciężkich butów, że palce kurczowo zaciskają się na broni, że wciąż mam poczucie, że otaczają mnie cienie, że czekam na strzał, który może paść w każdej chwili z każdej strony, że odliczam kroki, które dzielą mnie od najbliższego krzaka, minuty potrzebne, by dobiec do rzeki, godziny brakujące do końca warty, dni do końca służby i do powrotu do domu. Odliczam sekundy życia w nadziei, że przy odrobinie szczęścia następna seria z karabinu zabije mojego kumpla, a nie mnie. Wciąż zadaję sobie pytanie, po jaką cholere tu jestem, skoro w głębi duszy nie potrafiłem poddać się tej przedziwnej fascynacji przemocą, temu zamroczeniu wojną. Któregoś ranka w górach, kiedy zaczęło się przejaśniać, odkryliśmy, że zostało nas żywych tylko dziewięciu, zabitych i rannych nie sposób policzyć. Walka trwała całą noc. Z pierwszym brzaskiem nadleciały bombowce i zbombardowały stoki, zmuszając partyzantów do odwrotu. Potem wylądowały helikoptery. Hałas ich silników był dla mnie jak muzyka, jak bicie serca matki przed moim narodzeniem, tik-tak, tik-tak, życiem. Módlmy się, mówi kapelan metodysta, wszyscy intonują *Alleluja*, tylko ja nucę *Zuzannę*. Wyznaj grzechy, synu, zwraca się do mnie katolicki kapelan, a ja tego skurwysyna posyłam do diabła, szybko jednak ogarnia mnie skrucha, żeby, jak mawiał Ojciec Larraguibel, piorun nie poraził cię w stanie grzechu śmiertelnego. Nie obawiaj

się, Bóg jest przy tobie. Na niedzielnym nabożeństwie czytano *Księgę Hioba*. Przygnieciony nieszczęściami, którymi Bóg go doświadcza, mówi Hiob:

„bo spotkało mnie, czegoś się lękał,
bałem się, a jednak to przyszło.
Nie znam spokoju ni ciszy,
nim spocznę, już wrzawa przychodzi”

¹ *Księga Hioba*, 3, 25 Biblia Tysiąclecia

Nie myśl o niczym złym, brachu, bo ci się to przytrafi, nie należy przyciągać myślami złej śmierci, radził mi, śmiejąc się ciągle, Juan José Morales. Dobra Gwiazda, nazywali go Dobra Gwiazda Morales.

No i oczywiście dym. Mam zaćmiony umysł. Dym tytoniu, trawki, haszu i całej reszty świństw, jakie palę, mgła w zimne górskie poranki i parujące upałem doliny w samo południe, spaliny silników i kurz, śmierdzące opary napalumu, fosforu, niezliczonych ton materiałów wybuchowych i pożar bez początku i końca, który zamienia ten kraj w pustynię poznaczoną czarnymi bliznami. Cała paleta dymów w różnych odcieniach. Z lotu ptaka wygląda to pewnie jak obłoki i czasem to rzeczywiście są obłoki, w istocie jednak tu, na dole, to element zastraszenia. Nie wolno się nam zatrzymać nawet na chwilę, nikt nie może przystanąć, póki jesteśmy w marszu, łudzimy się, że w ten sposób wymykamy się śmierci, biegamy jak szczury, które połknęły trutkę. Przeciwnik jest natomiast opanowany, niczym się nie martwi, czeka spokojnie; przez całe pokolenia wyćwiczyli się w bólu, nie sposób coś wyczytać z ich nieprzeniknionych twarzy. Te skurwysyny nic nie czują, są jak żaby w laboratorium,

powiedział mi jeden z oficerów *marines*, specjalista w wyciąganiu zeznań. My poruszamy się, owładnięci szaleńczą żądzą życia, i nagle stykamy się twarzą w twarz ze śmiercią, oni natomiast pełzają po cichu w swoich tunelach, upodabniają się do listowia, znikają w jednej sekundzie i umieją widzieć w nocy. Nigdy nie możemy czuć się bezpieczni, zastanów się, mówił Juan José Morales, spójrz, ilu ludzi przysłano w to bagno, a jakie są stany na dzisiaj. Procenty nie mają znaczenia, brachu, nie przejmuj się, wyjdziemy cało. Pewnie miał rację, większość z nas przeżyje i kiedyś o tym wszystkim opowie, ale tutaj nie daje mi spokoju myśl o poległych i potworne przeżycia tych, co wyszli cało. Tak, wielu wychodzi na pozór bez szwanku, ale nikt nie będzie już taki jak przedtem, naznaczeni jesteśmy na zawsze, ale kogo to obchodzi, tak czy inaczej jesteśmy śmieciem, ta wojna to wojna czarnych i białych nędzarzy, chłopaków ze wsi, z zapadłych dziur, z dzielnic nędzy, na pierwszej linii nie ma dzieci z dobrych domów, tatuś załatwił odroczenie, żeby tylko zostali w domu, albo dobry wujaszek w randze pułkownika wysłał ich w bezpieczny teren. Moja matka uważa, że największym złem jest rasizm, Cyrus - że nierówność klasowa, sądzę, że oboje mają rację, bo nawet na wojnie nie jesteśmy równi. *Wstęp uzbrojony psom i Meksykanom*, takie napisy widniały jeszcze niedawno na niektórych restauracjach; *Tylko dla białych* - pisano na publicznych toaletach. Tu natomiast kolorowych wita się z otwartymi ramionami, ale pod pozorem koleżeńskiej zażyłości dają o sobie znać rasowe uprzedzenia: biali z białymi, czarni z czarnymi, Latynosi z Latynosami, Azjaci z Azjatami, każdy z swoim języku, z własną muzyką, własnymi rytuałami i przesądami. W obozach granice są nienaruszalne. Nie odważyłbym się bez zaproszenia przestąpić terytorium czarnych,

zupełnie jak w getcie, w którym się wychowałem. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Każdy ma swoją historię, ale już nie chcę ich słuchać, nie chcę zawierać nowych przyjaźni, nabierać do kogoś sympatii, a potem patrzeć, jak ginie, jak Juan José albo ten biedny chłopak z Kansas, tam w górach. Chcę tylko wykonać rozkaz, zrobić swoje i wyjść cało. Modlę się o ciężką ranę, żeby zabrali mnie do domu, nie o tak ciężką jednak, żebym został kaleką. Żebym przynajmniej nie dostał w jaja, mówiłem przy każdym locie pilotowi helikoptera, wesołemu Mulatowi z Alabamy, który wrócił z wojny obwieszony medalami, ale na wózku inwalidzkim. Mnie się to nie uda, mówiłem, tyle medali, aż w końcu dostałem jeden za to, że wpadłem w szal. Jestem bohaterem wojennym, mam tę cholerną srebrną gwiazdę, chociaż nie miałem zamiaru robić nic ponad rozkazy, zawsze mówiłem, że lepiej żyć jak tchórz, niż umrzeć jak głupiec, ale z powodu jakiegoś szyderczego zrządzenia losu zostałem pieprzonym bohaterem. Pierwsza lekcja w naszej dzielnicy: nie bohaterstwo jest zasługą, tylko umiejętność przeżycia. Jakim cudem tego nie wiedziałeś, Juanie José, przecież sam mnie tego uczyłeś, kiedy jeszcze obaj byliśmy smarkaczami? Co mam teraz powiedzieć twoim rodzicom i braciom, jak u diabła mam spojrzeć w twarz twojej matce i Carmen, jak mam im wyznać prawdę, zmuszasz mnie, żebym kłamał, bracie, i zawsze będę przy nich zmyślał, bo nie mam odwagi powiedzieć, że byłeś do połowy zmiądzony, i że te ordery za odwagę, które na pewno przekazano matce, żeby je powiesiła na ścianie w salonie, to tylko gwiazdy z malowanego mosiądzu, które w godzinie śmierci, wśród krzyków, nie mają żadnego znaczenia.

Znam przemoc, to nieopanowana bestia, nie ma co wchodzić z nią w układy, lepiej starać się ją oszukać.

Zazdroszczę pilotom, tam w górze znikasz wytworniej, spadasz jak kamień albo rozlatujesz się przy eksplozji na miliony cząstek, nie dane ci się pomodlić, jak Martinezowi, kiedy przejechał go pociąg. Tępy skurwiel, teraz już mi przeszła nienawiść. Tu na dole, w piechocie, mogą cię załatwić na tysiąc sposobów, możesz spaść na zastrzone pale w zasadzce, stracić głowę od ciosu maczetą, może rozerwać cię granat albo mina, przeciąć seria z karabinu albo zamieniasz się w płonąca pochodnię, nie mówiąc już o przemysłnych torturach w niewoli. Wykopać dziurę w ziemi i ukryć się tam, aż to wszystko minie, schronić się w jakiejś norze, jak w dzieciństwie z Oliverem. Dlaczego nie przypadła mi w udziale biurowa robota? Tyłu typków spędza wojnę gdzieś pod wentylatorem, gdybym był sprytniejszy, nie znalazłbym się tutaj, poszedłbym do wojska na przykład po szkole średniej, zamiast zginać grzbiet jak najpodlejszy najemnik, ale wtedy jeszcze nikomu się o wojnie nie śniło. Teraz siedzę tu jak kretyń, nikt w moim wieku nie wpada już w to gówno, czuję się jak dziadek tych pieprzonych dzieciaków w mundurkach o barwach ochronnych. Nie mam ochoty skończyć pod krzyżem na cmentarzu wojskowym, z ciałem zżerany przez robaki, jeden z tysiąca podobnych, wolę zestarzeć się i umrzeć w ramionach Carmen. Cholera, od tak dawna nie myślałem o Carmen. Czemu powiedziałem Carmen, a nie Samantha? Skąd mi to błysnęło w głowie? W ostatnim liście zapowiadała kolejnego narzeczonego, zdaje się Chińczyka czy Japończyka, nie wymienia nazwiska, kto to będzie tym razem? Ma wyjątkowy talent do wybierania sobie takiego, co najmniej do niej pasuje, musi to być jakiś oberwany i rozczochrany kwiatóżerca, w Europie też ich jest zatrzęsienie. Na ostatniej fotografii, jaką mi przysłała, stoi przed katedrą w Barcelonie i wygląda jak tancerka flamenco albo ktoś w

tym rodzaju, nie czepiam się, ale przypomniałem sobie Pedra Moralesa i napisałem do niej, że jest za stara na dzieciadę, niech zdejmie te ciuchy i założy stanik, ale w końcu co mnie to obchodzi, to jej sprawa, nawet jak w coś się wpięprzy przez głupotę. Carmen... chciałbym usłyszeć twój głos, Carmen.

Chyba się zupełnie rozkleiłem, nie wiem już, co jest złe, co dobre, a co przyzwoite. Tak przywykłem do niegodziwości, że nie wyobrażam sobie świata bez niej. Usiłuję przypomnieć sobie, co robią przyjaciele w wolnym czasie, jak się je wspólne śniadanie, jak się rozmawia z dziewczyną na pierwszej randce, ale to wszystko się zatarło i myślę, że już nigdy nie wróci. Przeszłość to mgliste przebłyski w odmętach, konkurs tańca z Carmen, matka słuchająca opery w wiklinowym fotelu, pojedynek z Martinezem, dzięki któremu stałem się beznadziejnym bohaterem w szkole, kurwa, trzeba widzieć te głupoty, jakie się popełnia w tym wieku. Żadna dziewczyna mi się nie oparła, a kiedy jeszcze kupiłem buicka, same się prosiły. Byłem biedny jak mysz kościelna, ale zdobyłem tego gruchota, za kierownicą czułem się jak szejk, a na tylnym siedzeniu popełniłem, nie wiem ile grzesznych szaleństw. Nie poprzestawaliśmy na obmacywaniu się, oczywiście, ruszało się do ataku, a dziewczyna broniła się bez większego zapalu, powinna była hamować własne żądze, choćby umierała z ochoty, takie wzajemne podniecanie się, które bardziej przypominało kocie igraszki i po których oboje padaliśmy z wyczerpania, pamiętać, żeby nie zrobić jej dziecka, jeśli się z dziewczyną prześpisz, musisz się z nią ożenić, jesteś przecież dżentelmenem, prawda? Tylko Ernestina Pereda robiła to z każdym, błogosławiona Ernestina Pereda, niech Bóg ma cię w swej opiece, święta Ernestino, ty to uwielbiałaś do szaleństwa, tylko potem

plakałaś i trzeba było ci przysięgać, że zachowamy wszystko w tajemnicy, przysięgać na cały głos, bo przecież była to tajemnica poliszynela, wszyscy wykorzystywaliśmy twoją namiętność i hojność, gdyby nie ty, nagromadzone obsesje zatrułyby mi krew. Tutejsze kobiety bardziej przypominają nieletnie dziewczynki, drobne szkieleciki pozbawione ciała, bez piersi ani owłosienia, zawsze smutne, budzą raczej współczucie niż pokusę, żeby się z nimi przespać, w nadmiarze mają tylko włosy, długie, gładkie czupryny, czarne, połyskujące granatem. Zrobiłem to z jedną w izbie pełnej ludzi, rodzina jadła w kącie, dziecko płakało w skrzynce po amunicji, my w łóżku, oddzieleni od pozostałych wytartą zasłonką, recytowała mi całą serię świństw po angielsku, wyuczyła się chyba na pamięć, na pewno jest do tego specjalny podręcznik, Najwyższe Dowództwo myśli o każdym szczególe. Skoro są instrukcje używania latryn, dlaczego nie miałyby ktoś napisać praktycznego kursu dla prostytutek, było nie było, chodzi o dobrych chłopaków, o najlepszych synów ojczyzny, prawda? Zamknij się, sieroto, błagałem, ale albo nie zrozumiała, albo nie chciała milczeć, rodzina dalej gadała po drugiej stronie zasłony, a dziecko wciąż płakało. I nagle stanęło mi przed oczami to, czego byłem świadkiem jako pięciolatek w zakurzonej miasteczku na południu. Dwóch facetów gwałciło Murzyneczkę, te dwa olbrzymy przygniatały nieszczęsną małą tak drobną i tak słabą jak ta, która jest teraz ze mną tutaj. Poczulem się, jakbym był jednym z nich, obleśną białą małpą, i odeszła mnie cała ochota, zmiękleć zupełnie. Nie wiem, dlaczego właśnie w tej sekundzie przypomniałem sobie tamto wydarzenie sprzed ponad dwudziestu lat z innej półkuli. Leo Galupi, czarujący łajdak, zaprowadził mnie kiedyś do babci, jednej z tutejszych osobliwości, kobiety w wieku nieokreślonym, całej w zmarszczkach, która

świadczyła usługi pod stołami w barze. Mówią, że to mistrzyni, kiedy poznasz jej szympanie szczęki, twój apetyt wzrośnie. Bierze dziesięć dolarów i nic nie musisz robić, sama zajmuje się wszystkim, a jak skończycie, jeszcze cię myje i zapina rozpiorek; podobnie z następnym klientem, stara się zadowolić każdego. Naprawdę ciężko haruje pod stołem, gdy reszta pije, gra w karty i opowiada sobie świńskie dowcipy. Ja nie mogłem, powstrzymywała mnie odraza albo żal. Babcia miała zupełnie białe włosy, ale nie była to jakaś czcigodna staruszka, bicepsy miała jak Charles Atlas, a zęby ostre jak piła. Za każdym razem boimy się, że w końcu zrobi to, na co wszyscy podświadomie czekamy: ostrym kłapięciem szczęki odgryzie komuś fiuta, choć ryzyko stanowi tu część gry. Każdy biorący udział w tej zabawie ryzykuje, że kiedy przyjdzie jego kolej, babcia namyśli się wreszcie i ciach!

Tu, w tej wiosce, poczułem się na powrót człowiekiem. Po kolei zapraszano mnie do domu, codziennie do kogo innego, gotowano dla mnie i całe rodziny sadowiły się wokół, przyglądały się, jak jem, wszyscy uśmiechnięci, dumni, że mnie żywią, choćby dla nich samych nie starczało. Nauczyłem się przyjmować to, co ofiarowują, i dziękować bez zbędnej przesady, żeby ich nie urazić. Nie ma nic trudniejszego niż przyjmować z prostotą, już o tym zapomniałem. Od dni spędzonych u Moralesów nie zdarzyło mi się nigdy, żebym dostał coś tak po prostu, bez oczekiwań na rewanż. Przeżyłem u nich lekcję czułości i pokory. Nie sposób przejść przez życie bez długów wdzięczności. Czasem zdarzało się, że któryś z chłopaków brał mnie za rękę jak narzeczoną i nauczyłem się nie cofać swojej. Na początku ogarniał mnie wstyd, mężczyźni się nie dotykają, mężczyźni nie płaczą,

mężczyźni się nie wzruszają, mężczyźni, mężczyźni... Kiedy ktoś ostatnio dotykał mnie z czystej sympatii, z przyjaźni? Nie powinienem się rozklejać, otwierać, nabierać zaufania, jeśli się nie pilnujesz, zginiesz. Nie myśleć, najważniejsze to nie zacząć się zastanawiać, jeśli ktoś wyobraża sobie śmierć - ona przychodzi, to jak przecucie, ale ja też nie mogę przestać, chodzą mi po głowie najprzeróżniejsze wizje śmierci, słowa śmierci. Chcę myśleć o życiu.

Pod koniec lutego oddział znajdował się na szczycie wzgórza z rozkazem obrony pozycji za wszelką cenę. Późniejsze dochodzenie nie wykazało, co skłoniło oddział do aż tak zażartego oporu. Biurokracja i upływ czasu zrobiły w końcu swoje, sprawę zamknięto i spuszczone na nią zasłonę zapomnienia. Wszyscy tu zginiemy, trzęsąc się powiedział Reevesowi chłopak z Kansas. Nie był to jego chrzest bojowy, przebywał na froncie już parę miesięcy, ale miał trafne przecucie końca i zdał sobie nagle sprawę, że już nie zdąży zakosztować życia, choć przed niecałym tygodniem skończył dopiero dwadzieścia lat. Nie zginiesz, nawet o tym nie mów, ofuknął go Reeves. Żołnierze trwali na pozycjach, okopując się i wznosząc barykadę z worków z piaskiem i kamieni, nie tyle w nadziei, że da im osłonę, ile żeby odpędzić strach i w ogóle coś się zająć. Tak czy inaczej oczekiwanie wydawało się wiecznością, trwali w napięciu i w obawie, z bronią gotową do strzału, wydani na pastwę nocnego chłodu i spiekoty za dnia. Atak nastąpił w nocy. Od pierwszej chwili wiedzieli, że mają do czynienia z przeciwnikiem dziesięć razy liczniejszym, że nie ma odwrotu. Po kilku godzinach obóz stał się rozpaczliwą enklawą, gdzie garstka ludzi wciąż stawiała opór, w otoczeniu ciał ponad setki kolegów, które zalegały

zbocza. W pomarańczowym blasku Gregory Reeves zdążył dostrzec, jak chłopaka z Kansas eksplozja wyrzuca na drugą stronę barykady, i sam nie wiedząc, co robi ani po co, jednym susem przesadził worki z piaskiem i rzucił się do tego, nie zważając na piekielną wymianę ognia, serię wybuchów i dławiący dym. Zdołał podtrzymać go, mówił doń po imieniu, nie przejmuj się, jestem przy tobie, nic się nie stało, i czuł, jak ręce żołnierza zaciskają się na jego mundurze, usłyszał głos rwący się w spazmach agonii, poczuł smród strachu, krwi, poszarpanego ciała. W odbłasku kolejnej eksplozji dojrzał śmierć w oczach i w kolorze skóry chłopaka i spostrzegł także czarną maź zamiast nóg. Nic ci nie będzie, przerzucę cię na drugą stronę, zaraz przylecą helikoptery, napijemy się zimnego piwa, oblejemy zwycięstwo, wytrzymaj. Nie zostawiaj mnie samego, usłyszał, proszę, nie zostawiaj mnie samego, i poczuł, że obu spowija ciemność. Pragnął wyrwać tamtego z tej beznadziei, ale przeleciał mu przez ręce jak piasek, wykruszył się, zmienił w dym, i kiedy poczuł na piersiach ciężar jego głowy, kiedy poczuł, że ręce zwolniły uścisk, a ostatni spazm gorącej krwi zalał mu kark, zrozumiał, że w jego własnym wnętrzu coś pękło na tysiąc kawałków, niczym rozbite lustro. Ostrożnie ułożył chłopaka na ziemi i nagle rzucił broń. Czuł narastający w sobie metaliczny jęk uderzeń olbrzymiego dzwonu, a potężny ryk wyrwał się z jego gardła i wstrząsnął nocą, zagłuszył huk wybuchów, zamroził czas i wstrzymał świat w posadach. Krzyczał, póki starczało mu głosu i powietrza w płucach. Po chwili echo dzwonu zamilkło, lecz zakłócenia w upływie czasu nie minęły i począwszy od tej chwili aż do świtu wszystko zastygło w jednym obrazie, nieruchomym i niezmiennym jak czarno-biało-czerwona fotografia, na której wydarzenia nocy

zostały uwiecznione na zawsze. Reevesa nie ma na tym krwawym fresku. Szuka się wśród ciał zabitych i rannych, worków z piaskiem, w rozpadlinach okopów i nie może się odnaleźć. Zniknął ze swej własnej pamięci. Jeden z uratowanych opowiadał potem, że widział, jak Reeves rzucił broń, jak zaczął wyć, stojąc z wyciągniętymi w górę ramionami, jakby błagał o następną serię kul, a kiedy wyrzucił z płuc ten przeciągły ryk, podbiegł do tego, który leżał najbliżej, wykrwawiony bezboleśnie, wziął go na plecy i szedł tak, nie zważając na otaczający ogień, w prostej linii na szczyt, gdzie cztery ręce wyciągnęły się, żeby odebrać rannego. Gregory Reeves zawrócił po następnego, potem po jeszcze jednego i przez całą tę fatalną noc prznosił ich tak wszystkich pod ostrzałem karabinów maszynowych w przekonaniu, że póki nie skończy, nic nie może mu się stać, że nie tknie go żadna kula, że jest niewrażliwy na ogień. Nigdy przedtem nie odczuwał - i nigdy potem nie miał doświadczyć - tak absolutnej pewności.

O świcie przybyły posiłki. Helikoptery zabrały najpierw rannych, potem dziewięciu ocalonych, a na koniec zrzuciły plastikowe worki na trupy. Ośmiu spośród uratowanych było mokrych ze strachu i całkowicie wyczerpanych przeżyłymi okropnościami. Wstrząsały nimi takie dreszcze, że nie potrafili podnieść do ust butelki whisky. Kiedy po kilku godzinach przewieziono ich na plażę, żeby przez trzy dni ochłonęli i doszli do siebie po tym koszmarze, mogli już zdać relację z wydarzeń. Brudni i podnieceni aż do obłędu, wszyscy razem, ręka w rękę, niczym zgraja gotowych na wszystko bandziorów, rzucili się jak zwierzęta na zimne piwo i gorące hamburgery, których nie widzieli przez długie miesiące, a gdy ktoś próbował przywołać ich do porządku, wywołali burdę, która o mały włos nie skończyła się kolejną masakrą.

Ściągnięto zandarmierie, ta jednak, ujrawszy ich twarze i usłyszawszy, przez co przeszli, odebrała im tylko broń i puściła wolno w przekonaniu, że słona woda i piasek przywrócą ich do świata żywych. Dziewiąty ocalony, Gregory Reeves, wspiał się na pokład helikoptera ostatni, pomógłszy przedtem pozostałym. Siedział na swoim miejscu milczący i sztywny, ze wzrokiem wbitym przed siebie, twarzą pooraną brudami potwornego zmęczenia, bez najmniejszego zadrapania, za to cały umazany cudzą krwią. Nerwy miał w strzępach. Nie było sensu zostawiać go na plaży, dostał zastrzyk, po którym spał dwie doby i ocknął się w polowym szpitalu, przywiązany do łóżka, żeby się nie targnął na siebie w udreće koszmarów. Oznajmiono mu, że uratował życie jedenastu kolegom i w uznaniu niebywalej odwagi nadano jedno z najwyższych odznaczeń. Zgodnie z przesądami kodeksu wojennego dziewięciu cudem ocalonych z masakry wykupiło się tym razem śmierci, ale byli już naznaczeni. Razem nie mieli szans powtórzenia podobnego wyczynu, każdy z osobna mógł jednak nadal próbować wymykać się przeznaczeniu. Rozesłano ich więc po różnych kompaniach, przy milczącej umowie, że przez jakiś czas będą unikać wzajemnych kontaktów. Tak czy inaczej, żaden nie miał na to ochoty, euforię ocalenia przyćmił bowiem strach, że nigdy nie potrafią wyjaśnić, jakim cudem spośród stu walczących los wyróżnił właśnie ich. Dwóch rannych odzyskało siły w ciągu kilku tygodni i Gregory Reeves natknął się na nich parokrotnie. Nie zamienili z nim ani słowa, udawali, że go nie poznają, mieli bowiem świadomość, że zaciągnięty dług jest zbyt wielki, że nie zdołają go spłacić i że paraliżuje ich wstyd.

Minęło wiele miesięcy, odkąd Reeves postawił nogę w Wietnamie, gdy w końcu przełożeni przypomnieli sobie, że

mówi miejscowym językiem i służby wywiadowcze posłały go do górskiej wioski jako łącznika z sojuszniczą partyzantką. Jego oficjalne zadanie polegało na nauczaniu angielskiego w szkole, nikt z miejscowych nie miał jednak wątpliwości co do prawdziwego celu tej misji, więc i on sam nie musiał bawić się w udawanie. Pierwszego dnia przyszedł na lekcje, trzymając w jednej ręce karabin, a w drugiej torbę z książkami. Przeszedł przez salę, nie patrząc na boki, położył torbę na stole i odwrócił się do uczniów. Dwudziestu mężczyzn w różnym wieku pochyliło się w głębokim ukłonie na powitanie. Pokłonili się przed nauczycielem, kierując się odwiecznym szacunkiem własnego narodu dla wiedzy. Poczul falę krwi napływającą mu do twarzy; nigdy jeszcze na tej wojnie nie odczuwał takiej odpowiedzialności jak w owej chwili. Powoli zdjął broń z ramienia i podszedł do ściany, żeby powiesić ją na wieszaku, potem wrócił do wielkiej tablicy i z kolei on pokłonił się swoim uczniom, dziękując w cichości ducha za dwanaście lat szkoły i siedem uczelni. Kurs angielskiego, który początkowo miał być jedynie przykrywką dla gromadzenia informacji, od pierwszego dnia przekształcił się dla niego w palący obowiązek, jedyną możliwość wynagrodzenia mieszkańcom wioski tego, co im zawdzięczał. Zamieszkał w skromnym domu, chłodnym i wygodnym, który należał kiedyś do urzędnika francuskiego rządu, jedynym w obrębie kilku mil, który miał łazienkę w głębi podwórza. Harce kotów i myszy na dachu stały się dla niego czymś tak normalnym, że kiedy cichły w nocy, zrywał się ze snu, przerażony. Miał dużo czasu na przygotowanie zajęć, w rzeczywistości niewiele było do roboty, jego wojskowa misja zakrawała na żart, sprzymierzona partyzantka działała bowiem jak nieodgadniony cień. Przypadkowe kontakty były

wręcz surrealistyczne, a jego raporty zaczęły przypominać testy egzaminacyjne. Codziennie rano porozumiewał się przez radio ze swoją jednostką, ale rzadko mógł podać jakieś informacje. Przebywał w terenie objętym walkami, czasami miał jednak wrażenie, że wojna to opowieść z innego świata. Przechadzał się wśród krytych słomą chat, stąpając po błocie i świńskich odchodach, witając się z każdym po imieniu. Pomagał chłopom przygotowywać ziemię pod ryż, prowadząc ciężkie drewniane pługi ciągnięte przez bawoły; kobietom z gromadką dzieci nosić wielkie dzbany wody, puszczał z dziećmi latawce i robił piłki z gałganków. Noce rozbrzmiewały piosenkami, jakie matki śpiewały, kołysząc dzieci, i głosami mężczyzn prowadzących rozmowy tym językiem tryłów i szeptów. Te dźwięki wyznaczały rytm godzin, były muzyką wioski. Sięgnął też znowu do własnej muzyki; po raz pierwszy od dawna słuchał taśm z koncertami i przez długie godziny oddawał się złudzeniu, że wojna to tylko zły sen. Wydawało mu się, że urodził się wśród tych ludzi, pełnych słodyczy i tolerancji, zdolnych zarazem chwycić za broń i poświęcić duszę i ciało w obronie własnej ziemi. Po krótkim czasie mówił biegle w ich języku, choć z chropowatym akcentem, co wywoływało salwy śmiechu, nigdy jednak podczas lekcji. Ci, co pozwalali sobie na większą poufałość i zapraszali go na obiad, z szacunkiem kłaniali mu się w szkole. Nocami grywał z grupą mężczyzn w karty. Do obyczaju należało obrzucać się najnieprzyzwoitszymi obelgami, prowadzić najprawdziwsze pojedynki na słowa, przepojone sarkastycznym humorem. Greg wiele tracił, bo zanim przetłumaczył sobie sens każdej wypowiedzi, pozostali mówili już o czymś innym. Musiał bardzo uważać na formy grzecznościowe i zachowanie, istniała bowiem pewna subtelna granica między zwykłymi żartami a nienaruszalnym

protokołem określonym przez szacunek i dobre wychowanie. Na pozór wszyscy byli sobie równi, istniał jednak skomplikowany i pełen niuansów system hierarchii, a każdy pilnował własnego honoru z pełną godności determinacją. Byli gościnni i przyjacielscy, i tak jak drzwi ich domostw były dla Reevesa otwarte w dzień i w nocy, oni też mogli wpadać do niego o każdej porze bez zapowiedzi i zostać na długą pogawędkę. Talent narratorski był w wiosce wysoko ceniony. Poważaniem cieszył się starzec, który swymi opowieściami umiał prowadzić słuchaczy po piekle i niebie, najtwardszych mężczyzn wzruszał do łez sentymentalnymi historiami, zawilými opowiadaniem o losach panien w niebezpieczeństwie i kawalerów w nielasce. Kiedy kończył, audytorium przez długą chwilę milczało, aż sam narrator pierwszy wybuchnął śmiechem, kpiąc ze słuchaczy, otumanionych magią jego słów. Reeves czuł się otoczony przez przyjaciół albo jak członek jednej wielkiej rodziny. Szybko przestał widzieć w sobie białego olbrzyma, zapomniał o różnicy wzrostu, kultury, rasy, języka i celów i oddał się przyjemności bycia jak oni. Pewnej nocy, wpatrzony w czarne sklepienie nieba, aż się uśmiechnął, odkrywając ze zdumieniem, że dopiero tu, w tej azjatyckiej zapadłej wiosce po raz pierwszy w ciągu swego trzydziestoletniego życia jest pełnoprawnym członkiem społeczności i czuje się przez nią uznawany.

Napisał do Timothy'ego Duane'a, wysyłając mu listę materiałów potrzebnych do lekcji, ponieważ teksty, jakimi dysponował, były dziecinne i przestarzałe. Nawiązał też kontakt z jedną ze szkół w San Francisco, proponując wymianę korespondencji z wietnamskimi kolegami. Na lekcjach jego uczniowie pisali listy, opowiadając wypracowaną angielszczyznę na kilku stronach o swoim życiu. W kilka tygodni później nadszedł wór odpowiedzi ze Stanów. Wieczorem

świętowano to wydarzenie. Wśród rzeczy przysłanych przez Duane'a Reeves znalazł gumową maskę do zobrazowania zwyczaju Halloween. Wyobrażała łeb goryla z zielonymi włosami, paszczką rekina i sterczącymi uszami, które przy każdym ruchu trzęsły się jak galareta. Reeves założył ją, owinął się prześcieradłem i w podskokach wybiegł z domu, trzymając w obu rękach płonące żagwie, nieświadom paniki, jaką ten żart wywoła. Zapanował chaos, jak podczas nalotu, kobiety i dzieci uciekły do dżungli z przeraźliwym krzykiem, mężczyźni zaś, opanowawszy lęk, postanowili zatłuc bestię kijami. Zmuszony do walki o życie, zaplątany w prześcieradło goryl pozbywał się w pośpiechu elementów przebrania, ale zdołał odsłonić swe prawdziwe oblicze dosłownie w ostatniej chwili, oberwawszy przedtem kilkakrotnie kamieniem. Maską stała się najbardziej pożądanym trofeum. Najodważniejsi ustawiali się w kolejce, żeby przyjrzeć się jej z bliska i dotknąć drżącym palcem. Reeves zamierzał podarować ją w nagrodę najlepszemu uczniowi, jednak wobec tak silnej pokusy wszyscy otrzymali najwyższe noty. Podarował więc skarb całej wiosce. Wizerunek King Konga powędrował do siedziby gminy i stanął obok zakrwawionego sztandaru, apteczki pierwszej pomocy, radiostacji i innych relikwii. W zamian uczniowie podarowali nauczycielowi angielskiego malutkiego drewnianego smoka, symbol szczęścia i bogactwa, który w porównaniu z gumowym potworem wydawał się po prostu anielsko niewinny.

Złudny spokój owych dni w wietnamskiej wiosce skończył się dla Reevesa wcześniej, niż przewidywał. Pierwsze objawy przypominały czerwonkę. Zwalił to na karb zanieczyszczonej wody i nietypowego jedzenia i ograniczył się do prośby przez radio o leki. Otrzymał skrzynkę z buteleczkami,

ulotkami i stosownymi zaleceniami. Zaczął przegotowywać wodę, nie przyjmował tylu zaproszeń na posiłki, starając się nikogo nie urazić odmową i systematycznie stosował lekarstwa. Przez kilka dni czuł się lepiej, potem jednak objawy choroby wróciły ze zdwojoną siłą. Uznał, że to zwykły nawrót i przyjął rzecz obojętnie, gotów walczyć z wirusem z zimną krwią, przecież nie będę płakał jak stara baba, mężczyźni nie płaczą, brachu, ale jego stan szybko pogarszał się, schudł, bolały go kości, z nadludzkim wysiłkiem wstawał z łóżka i skupiał wzrok na literach, żeby przygotować lekcje albo sprawdzić prace domowe. Zastygał z kredą w ręku bez sił, by ruszyć ramieniem, gapiąc się bezmyślnie w czarną taflę tablicy, nie wiedząc, co oznaczają kurze stopki, które sam na niej narysował, ani co to za żar atakuje go od środka. Is this pencil red? No, this pencil is blue, i nie umiał skojarzyć, o jakim ołówku mowa, ani co mogłoby kogokolwiek obchodzić, jakiego jest koloru. W niecały miesiąc schudł osiemnaście kilo, a gdy ktoś zauważył, że staje się coraz mniejszy, a jego skóra nabiera koloru dyni, odpowiedział ze słabym uśmiechem, że dobry szpieg powinien umieć upodobnić się do otoczenia. W tym czasie dla nikogo w wiosce nie były tajemnicą jego szyfrowane informacje, więc i on sam pozwalał sobie na żarty na ten temat. Ludzie uznali jego obecność w wiosce za nieunikniony skutek wojny, nie było w tym nic osobistego, jak nie Reeves, to byłby ktoś inny, nie było wyboru. Przez wioskę przewinęły się tabuny cudzoziemców, przyjaciół i nieprzyjaciół, ale w towarzystwie tego jednego czuli się dobrze i nabrali do niego sympatii. Czasami pojawiał się chłopczyk, żeby szepnąć mu do ucha, że zbliża się burzliwa noc i lepiej zgasić światło, zaryglować drzwi i pod żadnym pozorem nie wychodzić. Ogólnie atmosfera

wydawała się niczym niezakłócona. Reeves wpatrywał się w siną podkowę księżycy przez szparę w oknie, wsłuchiwał się w pokrzykiwania nocnych ptaków i udawał, że nie docierają do niego żadne inne odgłosy. Nie informował o tych wydarzeniach, jego przełożeni nie zrozumieliby, że ludność wioski miała szansę przeżycia, tylko zginając kark przed silniejszym, bez znaczenia czy swoim, czy nieprzyjacielem. Jedno słowo o tych dziwnych nocach, a karna ekspedycja położyłaby kres jego przyjaźniom i przekształciła wioskę w kupę zetlałych gruzów, a ten dramat i tak nie odmieniłby planu partyzantów. Brak wiadomości wydał się w końcu podejrzany jego dowódcom, przyjechali więc po niego, żeby osobiście odpowiedział na parę pytań. Po drodze do bazy zemdleł w dziupie i po przyjeździe na miejsce trzeba go było usadzić na krześle w cieniu. Dostał butelkę wody, którą wypił jednym haustem i na jednym oddechu, po czym natychmiast wymiotował. Analiza krwi wykazała zwyczajne przypadłości i lekarz, obawiając się jakiejś choroby zakaźnej, odesłał go natychmiast pierwszym samolotem do szpitala na Hawajach.

Szpitalne przeżycia okazały się dla Reevesa rozstrzygające, miał bowiem wreszcie sposobność pomyśleć o przyszłości, luksus, którego mu dotąd brakowało. Rzadko miał tyle wolnego czasu bez żadnych obowiązków, znalazł się w mydlanej bańce, pływającej w pustce, a godziny były wiecznością. Po miesiącach walki wyostrzyły mu się zmysły i teraz we względnej ciszy szpitalnego pokoju podskakiwał, gdy ktoś odkładał termometr na metalową tacę albo zamykano drzwi. Przeszkadzał mu zapach jedzenia, woń lekarstw przyprawiała o mdłości, a odór ran wywoływał niekontrolowane

wymioty. Dotyk prześcieradła był torturą dla skóry, jedzenie miało posmak ziemi. Przez wiele dni dostawał surowicę, aż odzyskał wreszcie apetyt dzięki cierpliwości pewnej pielęgniarki, która karmiła go łyżeczką odżywkami dla niemowląt. Przez pierwsze dni skupiał się na własnej osobie, angażując w pracę nad wyzdrowieniem wszystkie pięć zmysłów, wyczulony na przejawy niedyspozycji i reakcje organizmu; kiedy tylko poczuł się lepiej, zdołał rozejrzeć się Wokół. Po kuracji, która miała odtruć jego organizm od wpływu narkotyków, na których działał od początku służby wojskowej, rozwiąły się opary spowijające mózg i bezlitosna jasność umysłu pozwoliła mu przyjrzeć się sobie krytycznie. Leżał na plecach, z oczami wbitymi w wentylator u sufitu, rozmyślając, czemu musiał urodzić się w nędzy, tak że w jego życiu funkcjonowały właściwie tylko dwa pojęcia: bieda i praca. Zdołał wyrwać się z przedmieścia, gdzie dorastał, i zostać adwokatem, osiągnął zatem więcej niż którykolwiek z kolegów z dzieciństwa, nie pozbył się jednak stygmatu ubóstwa. Małżeństwo nie zdołało go z tego wyzwolić; afektowany styl i abulia żony, które niegdyś tak go pociągały, teraz drażniły. Timothy Duane mawiał, że świat, jak ul, dzieli się na pszczoły królowe, które żyją dla przyjemności, i robotnice, których zadaniem jest pracować na te pierwsze. Ludziom takim jak Samantha czy Timothy wszystko było dane jeszcze przed narodzinami, żyli beztrosko, wiedząc, że zawsze znajdzie się ktoś, kto pokryje długi, gdy znajdą się w finansowych tarapatkach. Cholera z nimi, mamrotał, porównując ich życie ze swoim. Przysięgam, że złapię szczęście za ogon, powtarzał, próbując nie myśleć, że to łapanie szczęścia może zawieść na cmentarz. Nie, to nie może się przydarzyć, zostały mi tylko niecałe dwa miesiące, nie mogą wysłać mnie z powrotem na front, pocieszał się. Czuł współczucie dla innych pacjentów,

straceńców takich jak on, ale przeszkadzały mu ich jęki, ich nęcza, ich ubóstwo. Słuchał nic dla nikogo nieznaczących skarg i rozmów, myśląc, że tych ludzi się lekceważy, że to tylko numer na administracyjnych wykazach, nic wielkiego, równie dobrze mogą zniknąć jutro i nie pozostanie nawet ślad po tym, że w ogóle przemknęli przez ten świat.

A co ze mną? Czy ktoś będzie o mnie pamiętał? Nikt, nie mam żony ani córki, żeby po mnie płakały, moja matka także nie. A Carmen? Pewnie jest jeszcze załamana po śmierci brata, uwielbiała Juana José, on jeden utrzymywał z nią kontakt, gdy reszta rodziny się jej wyrzekła. Uważaj, znowu robisz się sentymentalny. Właściwie gównu mnie obchodzi, czy ktoś będzie o mnie pamiętał, tak naprawdę chcę tylko pieniędzy i władzy. Mój ojciec miał swoistą władzę w tym światku, po którym się poruszał. Umiał zahipnotyzować pełną salę i przekonać wszystkich, że jest wysłannikiem Najwyższej Inteligencji, sprawiał, że wszyscy wierzyliśmy, że zna plany i reguły wszechświata, a przecież w końcu umarł przywiązany do łóżka, plując krwią, z ropiejącymi wrzodami na całym ciele i w zupełnym obłędzie. Wiem, co tam mamrociesz, Cyrus, że tylko siła moralna się liczy. Byłeś tego dobrym przykładem, ale spędziłeś lata w windzie bez światła dziennego i dostępu świeżego powietrza, czytając ukradkiem, i sądzę, że twoja dusza nadal wędruje, szperając w kiepskich książkach. Co miałeś z tego, że byłeś po prostu dobrym człowiekiem? Mnie dałeś dużo, nie mogę zaprzeczyć, ale sam nie miałeś nic, żyłeś w samotności i biedzie. Pedro Morales to drugi sprawiedliwy. Kiedy byłem mały, wierzyłem, że jest siłaczem, bałem się jego potężnego głosu patriarchy i jego kamiennego, indiańskiego oblicza ze złotymi zębami, biedny Pedro Morales, niezdolny zabić muchy,

jeszcze jedna ofiara tego kurewskiego społeczeństwa, podobno od wyjazdu Carmen coś się w nim załamało, postarzał się, a teraz na dodatek śmierć Juana José. Postaram się zdobyć forszę, to oznacza władzę i poważanie, to, czego zawsze brakowało w naszej dzielnicy, nikt nie będzie patrzył na mnie z góry i podnosił głosu. Wiem, Cyrus, twoja pokutująca dusza przekręca się pewnie na taki cynizm, ale spróbuj zrozumieć, świat należy do silnych i mam już dosyć zasilania szeregów nędzarzy. Dosyć. Najpierw wyzdrowieć, nie mogę przecież nawet podnieść ręki, żeby się uczesać, mam kłopoty z oddychaniem i czuję, że mózg mi paruje, co nie ma nic wspólnego z tą przekłętą chorobą, to jest wcześniejsze, dopadły mnie najróżniejsze alergię. Nie sięgnę więcej po narkotyki, zniszczą mnie, najwyżej odrobinę marihuany, żeby przetrzymać cały dzień, ale żadnych prochów i żadnych podejrzanych cieczy w żyłę, muszę wrócić do świata zdrowych. Nie będę jeszcze jednym weteranem na wózku inwalidzkim, alkoholikiem, narkomanem i ofiarą, i tak już ich zbyt wielu. Pieprzę to wszystko, chcę po prostu być bogaty.

Myśli tłukły się po jego czaszce; kiedy zamykał oczy, widział spiralę wirujących wciąż obrazów, a gdy je otwierał, na szarej powierzchni sufitu pojawiały się przed nim jego własne wspomnienia. Miał kłopoty z zasypianiem, nie sypiał w nocy, czuł w ciemnościach, walcząc o dostęp powietrza do płuc.

Postawili mu wreszcie diagnozę, przepisali antybiotyki i po trzech tygodniach stanął na nogi. Wrócił do dawnej wagi, ale nigdy już nie miał odzyskać dawnych sił i wreszcie zrozumiał, że umięśnienie nie ma nic wspólnego z męskością. Zmniejszyły się w końcu dokuczliwe objawy alergii, nie miał już takich kłopotów z oddychaniem, ustąpił ból głowy i przekrwienie oczu, dalej jednak czuł się osłabiony i najmniejszy

wysiłek zasnuwał mu wzrok mgłą. Nie dowierzał własnym uszom, słysząc orzeczenie lekarskie stwierdzające, że jest znowu zdolny do służby i rozkaz powrotu na front. Nie wierzył, że ma znowu wziąć do ręki karabin, spodziewał się raczej, że czas pozostały do końca służby spędzi w jakimś oddziale na tyłach albo z powrotem w wiosce. Posłano go do Sajgonu, z dwudniową przepustką i rozkazem, by wykorzystał te 48 godzin na doprowadzenie się do formy. Wykorzystał je na odnalezienie Thui, narzeczonej Juana José Moralesa. Dzięki kilku rozmowom z przyjacielem Leo Galupim, przed którym świat nie miał żadnych tajemnic, zdołał zlokalizować ją telefonicznie i umówili się w skromnej restauracyjce. Czekał na nią zatroskany, nie wiedział, jak osłabić cios, którym będzie dla niej wiadomość, co się stało. Thui zapowiedziała, że przyjdzie ubrana na niebiesko i w białych koralach, żeby ją poznał. Dostrzegł ją, gdy tylko weszła, odczekał jednak parę sekund, zanim do niej podszedł, chciał bowiem przyjrzeć się jej z daleka i uciszyć przyspieszone bicie serca. Kobieta nie była piękna, skórę miała pozbawioną blasku, jakby po przebytej chorobie, płaski nos i krótkie nogi; jedyne co przykuwało uwagę, to jej oczy, skośne, bardzo szeroko rozstawione, dwa doskonale czarne migdały. Wyciągnęła do niego drobną dłoń, która cała skryła się w jego rękę i powitała go cicho, nie patrząc mu w oczy. Usiedli przy stoliku przykrytym ceratą, czekała obojętnie z rękami na kolanach i spuszczoneym wzrokiem, podczas gdy on absurdalnie skupił całą uwagę na wyborze menu, zadając sobie pytanie, po kiego diabła do niej dzwonił, teraz tylko ma kłopoty, i jedyne, czego pragnął, to uciec stamtąd jak najdalej. Kelner przyniósł dwa piwa i talerz z jakąś trudną do określenia mieszaniną, bez wątpienia śmiertelną dla kogoś, kto właśnie przeszedł infekcję przewodu pokarmowego. Milczenie

stawalo się niewygodne. Gregory gładził wiszący na piersi medalik z Matką Boską z Gwadelupy. W końcu Thui podniosła wzrok i spojrzała na niego bez wyrazu.

- Już wiem - powiedziała swoją chropawą angielszczyzną.

- Co takiego? - spytał i zaraz pożałował pytania.

- Wiem o Juanie José. Już wiem.

- Tak mi przykro. Nie wiem, co pani powiedzić, jestem strasznie niezdarly w tych sprawach, wiem, że bardzo się kochaliście. Ja też go kochałem - wybełkotał Gregory, ale poczuł dławienie w gardle i nie mógł mówić dalej. Suche łzy paliły go pod powiekami i machinalnie uderzał ręką w stół.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytała w końcu ona.

- To ja powinienem panią o to zapytać. Dlatego do pani zadzwoniłem. Proszę wybaczyć, pewnie wydaję się pani natrętem... Juan José mówił pani o mnie?

- Mówił o rodzinie, o swoim kraju. Pan jest jego bratem, prawda?

- Powiedzmy, że tak. On też mówił mi o pani, Thui, powiedział, że zakochał się po raz pierwszy w życiu, że jest pani najslodsza istotą i po wojnie ożeni się z panią i zabierze do Ameryki.

- Tak.

- Potrzebuje pani czegoś? Juan José chciałby, żeby...

- Nie, nic, dziękuję.

- Pieniędzy?

- Nie.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia i przez jakiś milczeli, aż oświadczyła, że musi wracać do pracy i wstała. Jej głowa znalazła się prawie na wysokości głowy siedzącego

Grega. Położyła mu na ramieniu swoją dłoń dziecka i uśmiechnęła się słabym, trochę figlarnym uśmiechem, który podkreślał jej wygląd chochlika.

- Niech się pan nie przejmuję, Juan José dał mi wszystko, czego potrzebuję - powiedziała.

Strach. Groza. Duszę się ze strachu, to coś, czego przez dwa miesiące nie czułem, coś zupełnie nowego. Przedtem byłem już widocznie zaprogramowany na to cholerstwo, wiedziałem, co robić, ciało nie odmawiało mi posłuszeństwa, prawdziwy żołnierz zawsze czujny, zawsze gotowy. Teraz jestem biednym, schorowanym facetem, ogarniętym niemocą, szmaciany worek. Tylu ginie w ostatnich dniach służby, albo za bardzo się odprężają, albo wpadają w popłoch. Boję się zginąć w ułamku sekundy, nie mając chwili na pożegnanie się ze światem, ale jeszcze bardziej boję się powolnego konania. Boję się krwi, własnej krwi wyciekającej ze mnie jak ze źródła. Boję się bólu, kalectwa, szaleństwa, boję się syfa albo innego świństwa, które tu łapiemy, boję się niewoli i tortur w klatce z małpami, boję się, że pochłonie mnie dżungla, że zasnę, że będzie mi się coś śniło, że przywyknę do zabijania, do narkotyków, do brudu, do kurew, do głupiego posłuszeństwa, do krzyków i że potem - jeżeli jest jakieś potem - nie będę umiał chodzić po ulicy jak normalny człowiek i zacząć gwałcić staruszki w parku albo grozić bronią dzieciom na szkolnym dziedzińcu. Strach przed tym, co mnie czeka. Odważny jest ten, co zachowuje spokój w obliczu niebezpieczeństwa, podkreśliłeś mi to zdanie w książce, Cyrus, powtarzałeś mi, żebym nie był bojaźliwy, że szlachetny człowiek nie tchórzy, że przezwycięża lęk, ale tu jest inaczej, niebezpieczeństwo nie jest iluzoryczne, to nie cienie ani potwory stworzone przez wyobraźnię, to ogień końca świata, Cyrus.

I wściekłość. Powinienem odczuwać nienawiść, ale mimo treningu, propagandy i tego, co widzę i co mi opowiadają, nie umiem wzbudzić w sobie prawdziwej nienawiści. Może to wina matki, która nabiła mi głowę przepowiedniami ba-haizmu, może przyjaciel z wietnamskiej wioski, którzy nauczyli dostrzegać podobieństwa i zapomnieć o różnicach. Zero nienawiści, tylko ten gniew i zawzięta złość na wszystko, na nieprzyjaciela, na tych skurwysynów, co pełzają pod ziemią jak krety i rozmnażają się równie szybko, jak my ich zabijamy. Wyglądają tak samo jak kobiety i mężczyźni w wiosce, którzy zapraszali mnie do siebie na obiad. Złość na każdego skorumpowanego sukinsyna, który na tej wojnie zbija majątek; na polityków i generałów, ich mapy i komputery, gorącą kawę, ich śmiercionośne błędy i niepohamowaną pychę. Na biurokratów i ich listy poległych, długie kolumny cyfr, plastikowe worki w niekończących się szeregach, na tych, co zostali w domach i palą wojskowe książeczki, na tych, co agitują i klaszczą na nasz widok na ekranach telewizorów, choć też nie wiedzą, po co dajemy się zabijać. Armatnie mięso albo bohaterscy obrońcy wolności, tak nas nazywają te skurwysyny. Żaden nie potrafi nawet wymówić nazw tych miejsc, gdzie ginie, ale wszyscy mają swoje zdanie, wszyscy chcą się wypowiedzieć. Idee!

Tego tu jeszcze brakowało, przeklętych idei. Złość na te strugi wody, te deszcze, te ulewy, przez które wszystko jest wilgotne i gnije, na ten klimat z innej planety, w którym na przemian zamarzamy i pieczemy się na słońcu, na ten kraj zrównany z ziemią i jego nieustępliwą dżunglą. Pewnie, że zwyciężamy, powtarza mi w kółko Leo Galupi, król czarnego rynku, który odsłużywszy swoje dwa lata wrócił tu, żeby zostać na zawsze. Nie zamierza wyjechać stąd nigdy, bo to

cholerstwo go zachwyca, poza tym robi fortunę, sprzedając nam kość słoniową z przemytu, a im nasze skarpetki i dezodoranty. Według Galupiego na każdej transakcji zarabiamy, nie rozumiem więc, skąd to poczucie klęski. Dobro zawsze zwycięża, jak w kinie, a my to przecież ci dobrzy, prawda? Kontrolujemy niebo i morze, możemy obrócić ten kraj w perzynę i pozostawić na mapie jeden wielki krater, jedno gigantyczne krematorium, gdzie nic nie wyrośnie przez milion lat, to tylko kwestia naciśnięcia sławnego guzika, o wiele łatwiej niż przy Hiroszimie, pamiętasz jeszcze, mamo, czy już zapomniałaś? Staruszka nigdy nie wymawiała tej nazwy; o czym teraz rozmawia z duchem mego ojca? Tamte bomby są już przestarzałe, mamy teraz doskonalsze, które zabijają więcej i lepiej, co ty na to? Tylko że wojen nie wygrywa się ani w powietrzu, ani na morzu, ale na ziemi, pięść przeciw pięści, człowiek przeciw człowiekowi. Najbardziej brutalne okrucieństwo. A może by tak atak nuklearny, może po nim wrócimy nareszcie do domu, mawiają *marines* po kilku piwach. Nie chciałbym tam być, kiedy do tego dojdzie. Nie powinienem myśleć o nieobecnych przyjaciółach, o ludziach rozerwanych na strzępy, domach w płomieniach, tłumach uchodźców, obłanych benzyną i podpalonych mnichach, nie mogę też myśleć o Juanie José Moralesie ani o chłopaku z Kansas, ani o własnej córce, ilekroć widzę jedną z tych pokrytych bliznami, oślepionych, poparzonych dziewczynek. Jedyne, o czym powinienem myśleć, to jak wyjść stąd cało, nie ma tu miejsca na sentymenty, wyjść cało, tylko to się liczy. Nie mogę nikomu spojrzeć w oczy, jesteśmy naznaczeni śmiercią, przeraża mnie pusty wzrok tych osiemnastoletnich chłopców, w ich oczach drzemie otchłań. Otaczają nas, znają nasze najskrytsze zamiary, nasłuchują naszych szepków, wyczuwają nas, śledzą, pilnują, czekają. Oni nie mają

wyboru: zwyciężyć albo zginąć, nie zadają sobie pytania, po jaką cholere tu są, od tysiąca lat rodzili się na tej ziemi, a walczą o nią mniej więcej od stu. Chłopaczek sprzedający nam owoce, kobieta bez uszu, która prowadzi nas do burdeli, starzec palący śmieci, wszyscy są nieprzyjaciółmi. A może wcale nie są. Trzy miesiące spędzone w wiosce pozwoliły mi stać się na powrót człowiekiem, nie wojownikiem, tylko człowiekiem, a teraz znowu jestem osaczonym zwierzęciem. A gdyby to był tylko koszmarny sen? Koszmarny sen... Wkrótce zbudzę się na czystej pustyni, muśnięty ręką ojca i będę długo patrzył, jak wstaje dzień. Tutaj niebo jest wspaniałe, to jedyne, czego wojna jeszcze nie spustoszyła. Brzask trwa długo, słońce porusza się powoli, pomarańcz przechodzi w amarant, potem w żółcie, na koniec słońce wygląda jak potężny krąg ze szczerego złota.

Nigdy nie sądziłem, że trafię z powrotem w to piekło, został mi tylko miesiąc do końca służby, mniej niż miesiąc, dokładnie dwadzieścia dni. Nie chcę ginąć, to byłby bezsensowny koniec, nie po to przeżyłem wszystkie pojedynki z zabijakami w naszej dzielnicy, skoki przez tory przed pędzącym pociągiem, masakrę w górach i trzynaście miesięcy pod ciągłym ostrzałem, żeby skończyć bez żalu i chwały w plastikowym worku, załatwiony w ostatniej chwili, jak idiota. Tak być nie może. Olga ma chyba rację, może jestem inny niż wszyscy i dlatego udało mi się wyjść cało z masakry w górach, może jestem niezwykły i nieśmiertelny. Wszyscy w to wierzą, gdyby tak nie było, nie moglibyśmy walczyć dalej, Juan José też czuł się nieśmiertelny. Szczęście, *karma*, los... Ostrożnie z tymi słowami, za często ich używam, żadne z tych pojęć nie istnieje, to wymysły mojego ojca i Olgi, żeby otumanic ignorantów. Każdy jest kowalem własnego losu,

zrobię z moim życiem, co mi się podoba... o ile wyjdę stąd cało i wrócę do domu. Czy to nie szczęście? Powrót nie zależy ode mnie, cokolwiek bym zrobił, czy przestał robić, nie zagwarantuje mi, że nie stracę rąk, nóg lub życia w ciągu tych pozostałych dwudziestu dni.

Inmaculada Morales domyśliła się, że z mężem jest źle, zanim jeszcze nastąpił pierwszy atak. Znała go dobrze i nie usłyszy jej uwagi zmiany, z których on sam nie zdawał sobie sprawy. Pedro cieszył się znakomitym zdrowiem, jedynym lekiem, jakiego używał, był olejek eukaliptusowy, którym nacierał plecy obolałe po zbyt ciężkiej pracy, a znieczulenie przeżył raz jeden, gdy wymieniano mu zdrowe zęby na złote. Nie wiadomo dokładnie, ile ma lat, swoją metrykę powierzył bowiem fałszerzowi w Tijuanie, kiedy trzeba było zalegalizować papiery imigracyjne i wybrał datę na chybił trafił. Żona oceniała, że miał mniej więcej pięćdziesiąt pięć, kiedy Carmen odeszła z domu. Po tym wydarzeniu Pedro nigdy się już nie pozbierał, stał się milczącym człowiekiem o pełnym godności wyglądzie, z którym trudno się dogadać. Dzieci nigdy nie podważały jego autorytetu, nigdy też im się nie zdarzyło nie dowierzać mu lub prosić o wyjaśnienia. Dużo później, gdy starsze pozakładały już własne rodziny i obdarzyły go wnukami, jego charakter nieco złagodniał. Kiedy dzieciaki gaworzyły, raczkując koło jego nóg jak karaluszki, uśmiechał się jak dawniej. Inmaculada nigdy nie mogła porozmawiać z nim o Carmen. Raz spróbowała i o mały włos jej nie uderzył, patrz, kobieto, co bym przez ciebie zrobił, mruknął zdumiony, z ręką wzniesioną w górę. W odróżnieniu od wielu mężczyzn w dzielnicy uważał, że tylko tchórz bije żonę, córki to co innego, mawiał, te trzeba wychować.

Mimo tej jego staroświeckiej surowości Inmaculada domyślała się, że bardzo brakuje mu Carmen i przyszło jej do głowy, jak mu systematycznie przekazywać nowiny. Rozpoczęła nieregularną korespondencję z Gregorym Reevesem, której jedynym tematem była nieobecna córka. Wysyłała mu kartki z kwiatkami i gołąbkami, z wieściami o rodzinie, a jej „jankeski synek” odpisywał, przekazując szczegóły z ostatnich rozmów telefonicznych z Carmen. Tak docierały wiadomości o życiu córki, o jej pobycie w Meksyku, podróży do Europy, o jej miłościach i pracy. Pozostawiała te pocztówki w widocznym miejscu, aby mąż mógł się na nie natknąć przypadkiem i przeczytać, nie narażając własnej urażonej dumy. W owych czasach obyczaje drastycznie się zmieniły i to, co przydarzyło się Carmen, było czymś na porządku dziennym, nie zasługiwała na miano diabelskiego nasienia. Ciężce pozamałżeńskie stały się ulubionym tematem filmów, seriali telewizyjnych i powieści. Aktorki rodziły dzieci, których ojcowie pozostawali nieznani, feministki głosiły prawo do aborcji, a hipisi kopulowali w parkach na oczach ciekawskich. Nawet surowy Ojciec Larraguibel nie mógł pojąć nieprzejednanej postawy Pedra Moralesa.

Feralnej środy przybyli do Moralesów dwaj oficerowie. Dwóch załęcznionych, młodych ludzi usiłowało pokryć niepewność żołnierską sztywnością i formalnością przemówienia tylekroć już wygłaszanego. Przyszli powiadomić o śmierci Juana José. Będzie ksiądz, jeśli rodzina sobie tego życzy, ciało zostanie pochowane w przyszłym tygodniu na cmentarzu wojskowym, powiedzieli, pozostawiając rodzicom odznaczenia zdobyte przez syna w uznaniu bohaterskich czynów, wykraczających poza żołnierską powinność. Wieczorem Pedro Morales przeżył pierwszy atak. Poczul, że jego ciało mięknie nagle, jakby było z wosku, ogarnęła go nagła

słabość i upadł bez życia do stóp żony, która nie miała dość sił, żeby go podnieść i położyć na łóżku, ani dość odwagi, by zostawić samego i biec po pomoc. Kiedy spostrzegła, że nie oddycha, skropiła mu twarz zimną wodą, ale nie dało to żadnego efektu. Wtedy przypomniała sobie telewizyjny program o pierwszej pomocy i zaczęła stosować sztuczne oddychanie metodą usta-usta z jednoczesnym masażem serca, ugniatając mu z całych sił klatkę piersiową. Minutę później mąż odzyskał świadomość, ale był mokry jak kaczka, za to gdy tylko minęły mu zawroty głowy, wypił duszkiem dwie szklanki *tequili* i pochłonął połowę jabłecznika. Odmówił pójścia do szpitala, to na pewno tylko nerwy, złe samopoczucie najlepiej przespać, powiedział i tak uczynił. Następnego ranka obudził się wcześniej, jak zwykle, otworzył warsztat i po wydaniu poleceń mechanikom poszedł kupić czarny garnitur na pogrzeb syna. Jedynym skutkiem omdlenia był silny ból w żebrach po masażu wykonanym z całych sił przez żonę. Widząc, że nie da się go zaprowadzić do lekarza, Inmaculada postanowiła szukać pomocy u Olgi, z którą pogodziła się po tragicznej przygodzie Carmen, zrozumiała bowiem, że znachorka pragnęła jedynie pomóc. Znała jej bogate doświadczenie: nie podjęłaby się tak późnego zabiegu, gdyby nie chodziło o Carmen, którą kochała jak rodzoną córkę. Sprawy przybrały zły obrót, myślała jednak, że to nie jej wina, lecz wola Boska. Olga słyszała już o śmierci Juana José i przygotowywała się, jak cała dzielnica, do mszy, którą odprawiał Ojciec Larraguibel. Obie kobiety objęły się w długim uścisku, a potem usiadły porozmawiać przy kawie o dolegliwościach Pedra Moralesa.

- Nie jest taki sam jak zawsze. Chudnie. Litrami pije lemoniadę, ma już pewnie dziury w brzuchu od takiej ilości

cytryn. Nie ma siły, żeby się ze mną sprzeczać, nie mówiąc już o tym, że czasami nie idzie nawet do warsztatu.

- Coś jeszcze?

- Płacze przez sen.

- Pedro jest prawdziwym mężczyzną, dlatego nie może płakać na jawie. Ma serce przepelnione łzami po śmierci syna, to normalne, że wylewają się z niego przez sen.

- To się zaczęło jeszcze przed śmiercią Juana José, niech Bóg go ma w swojej opiece.

- Jedno z dwojga: cierpi albo na rozkład krwi, albo na strapienia.

- Myślę, że jest bardzo chory. Tak samo było z moją matką, pamięta ją pani?

Olga pamiętała ją dobrze. Powstało lekkie zamieszanie, kiedy pokazano ją w telewizji, gdy skończyła sto lat. Obląkana staruszka, która zwykle tryskała humorem, obudziła się któregoś ranka skąpana we łzach i nie było siły, żeby ją pocieszyć; miała umrzeć i płakała z żalu, że umrze w samotności, potrzebowała towarzystwa rodziny. Wydawało jej się, że nadal przebywa w swojej wsi w Zacatecas i nigdy do niej nie dotarło, że przeżyła trzydzieści lat w USA, jej wnukowie są *chicanos*¹ a poza obrębem dzielnicy mówi się po angielsku.

¹ Określenie pochodzące od *mexicanos*, oznaczające meksykańską mniejszość żyjącą w USA.

Wyprasowała swoją najlepszą sukienkę, pragnęła bowiem być pochowana przyzwoicie, i kazała zaprowadzić się na cmentarz, żeby odnaleźć grób swoich przodków. Młodzi Moralesowie w pośpiechu zamówili płytę nagrobną z wrytymi nazwiskami rodziców staruszki i umieścili ją strategicznie tak, by ją od razu dojrzała. Ilu ludzi poumierzało! - to

był jej jedyny komentarz na widok rozmiarów cmentarza. W następnych tygodniach opłakiwała z wyprzedzeniem swe przyszłe odejście, aż wypaliła się jak świeczka i zgasło w niej światło.

- Dam mu syrop Magdaleny, jest dobry na takie dolegliwości. Jeśli jednak Pedrowi się po nim nie poprawi, trzeba będzie zaprowadzić go do lekarza - doradziła Olga.

- Niech mi pani wybaczy, moja droga, że się wtrącam w te sprawy, ale wiadomo, że trochę miłości dobrze robi na cierpienia ciała i duszy. Mogę pani poradzić, żeby nie skąpiła mu pani czułości.

Inmaculada zaczerwieniła się. Była to ta sfera życia, o której z nikim nie odważyłaby się rozmawiać.

- Na pani miejscu zadzwoniłabym też do Carmen, żeby przyjechała. Minęło już wiele czasu i ojciec jej potrzebuje. Nadeszła pora pojednania.

- Mąż by mi tego nigdy nie wybaczył, pani Olgo.

- Pedro właśnie stracił syna. Nie sądzi pani, że najlepszą pociechą byłoby odzyskać córkę, którą uważa za zmarłą? Carmen była przecież zawsze jego pupilką.

Inmaculada wzięła syrop Magdaleny, żeby nie zgrzeszyć niewdzięcznością. Nie ufała zbyt wiele podejrzanym miksturom wróżki, wierzyła jednak ślepo w jej intuicję i rady. Po przyjeździe do domu wyrzuciła buteleczkę z syropem do śmieci, po czym sięgnęła do blaszanego pudełka, gdzie przechowywała pocztówki od Reevesa. Szukała w nim długo, aż znalazła ostatni adres córki.

Carmen Morales mieszkała w Meksyku cztery lata. Przez dwa pierwsze czuła się tak samotna i opuszczona, że sięgnęła do książek, o co by się nigdy nie posądzała. Na początku Gregory Reeves przysyłał jej powieści po angielsku, później

jednak zapisała się do biblioteki i zaczęła czytać po hiszpańsku. Tam poznała antropologa starszego od niej o dwadzieścia lat, który zachęcił ją do poznawania innych kultur i poszanowania swoich indiańskich korzeni. Był równie zafascynowany jej dekoltem, co ona jego wiedzą. Na początku Carmen przeraziła pełna przemocy i rozlewu krwi przeszłość kontynentu amerykańskiego. Nie widziała też nic godnego szacunku w kapłanach pokrytych zakrzepłą krwią, odprawiających ceremonię wrywania serc z ciała ofiar, jednak antropolog wytłumaczył jej sens tych rytuałów, opowiedział stare legendy, nauczył odczytywać hieroglify, zaprowadził do kilku muzeów i pokazał tyle książek o sztuce, tyle płaszczy z piór, płaskorzeźb, tkanin i rzeźb, że wzbudził w niej w końcu podziw dla tej okrutnej estetyki. Najbardziej zafascynowały ją wzory i kolory tkanin, malowidła, ceramika i ornamenty, spędzała całe godziny, przerysowując je do bloku rysunkowego, żeby wykorzystać potem motywy w swojej biżuterii. Długie wyprawy po muzeach, pełnych mumii i budzących grozę azteckich posągów, zbliżyły antropologa i jego uczennicę na tyle, że stali się kochankami. On poprosił ją, by zamieszkali razem, dzieląc miłość i wydatki, a ona z ulgą porzuciła ponury pokoik, w którym się dotąd gnieździła i przeniosła do mieszkania kochanka w centrum miasta. Zanieczyszczenie tam panujące dawało się mocno odczuć, czasem spadały z nieba martwe ptaki, ale była przynajmniej łazienka z ciepłą wodą i słoneczny pokój, który przekształciła w swój warsztat jubilerski. Uznała, że znalazła szczęście, i wyobraziła sobie, że może zyskać mądrość przez fizyczny kontakt. Była tak spragniona wiedzy, że żyła w ciągłym stanie podziwu i zachwyty dla kochanka; każdy okrucuch wiedzy, jaki

rzucał, padał na podatny grunt. W zamian za wspaniałe wykłady antropologa gotowa była służyć mu, prać jego bieliznę, sprzątać dom, gotować, obcinać włosy i paznokcie, a nawet powierzyć pieniądze zarobione ze sprzedaży srebrnych ozdób turystom. Kochanek nie tylko wiedział wszystko o mitycznych Indianach i cmentarzyskach pełnych pradawnych naczyń, znał się także na filmie, literaturze i restauracjach. Orzekał, jak kochanka ma się ubierać, mówić, kochać, a nawet myśleć. U Carmen ta adoracja trwała dłużej, niż można by się spodziewać po osobie obdarzonej jej temperamentem. Przez prawie dwa lata była mu posłusznie oddana, zносиła nie tylko, że miał również inne kobiety i opowiadał jej wszystko, nie kryjąc niewybrednych szczegółów „ponieważ między nami nie powinno być tajemnic”, ale także i to, że potrafił ją pobić, kiedy czasem zdarzyło mu się wypić za dużo. Po każdej brutalnej scenie przynosił kwiaty i zaczynał ją rozpaczliwie błagać o wybaczenie - opętał mnie jakiś demon - twierdził i przysięgał, że to się już nigdy nie powtórzy. Carmen wybaczała, ale nie zapominała - i wciąż chłonęła wiedzę jak gąbka. Było jej wstyd, że godzi się na te sceny, czuła się upokorzona razami, choć przechodziło jej niekiedy przez myśl, że może na to zasługuje, może to normalne, ojciec przecież też ją czasem bił. W końcu pewnego ranka postanowiła powiedzieć o wszystkim Reevesowi podczas jednej z ich tajemnych, poniedziałkowych rozmów telefonicznych. Przyjaciel jęknął głucho, nawyzywał ją od idiotek, poraził statystyką, którą stworzył na poczekaniu i przekonał, że człowieka nie można zmienić, przeciwnie, będzie się to powtarzać coraz częściej i nie wiadomo, do czego dojdzie. Dziesięć dni później Carmen dostała od Grega przekaz bankowy na bilet oraz list, w którym proponował jej pomoc,

blagając, by wróciła do Stanów. Prezent nadszedł w dzień po awanturze, podczas której antropolog jednym ruchem ręki zwałił na Carmen garnek z gorącą zupą. Oboje przyznali potem, że był to wypadek, ona jednak przez dwa dni przykładła na piersi kompresy z oliwy i mleka. Gdy tylko mogła założyć bluzkę, udała się do biura podróży, żeby kupić bilet do Stanów, kiedy jednak czekała, przeglądając foldery, przypomniała sobie o gniewie ojca i doszła do wniosku, że nie miałyby siły mu się przeciwstawić. W jakimś odruchu fantazji zmieniła zdanie i kupiła bilet do Amsterdamu. Wyjechała beztrzesko, nie pożegnawszy się z kochankiem. Miała zamiar zostawić list, ale w ferworze pakowania walizek zupełnie o tym zapomniała. W torbie wiozła ze sobą narzędzia i materiały niezbędne do pracy oraz dwie puszki skondensowanego mleka, by umilić sobie niedogodności podróży.

Europa ją oczarowała. Objechała ją wzdłuż i wszerz, z plecakiem na grzbiecie, zarabiając na życie bez większych trudności. Uczyla angielskiego, sprzedawała biżuterię, którą po trochu wyrabiała, a gdyby groził jej głód, zawsze mogła zwrócić się o pomoc do Gregory'ego. Nie było katedry, zamku ani muzeum, do którego by nie weszła, aż nasyciła się na tyle, że obiecała sobie nie postawić więcej stopy w tych turystycznych przybytkach i doszła do wniosku, że lepiej spacerować po ulicach, kosztując uroków życia. Któregoś lata przyjechała do Barcelony. Gdy tylko wysiadła z pociągu, otoczyła ją gromadka krzykliwych Cyganek, natarczywie domagających się, by dała sobie powróżyć i kupiła amulety. Patrzyła na nie w zdumieniu i w jednej chwili uznała, że cygańska stylistyka stroju znakomicie pasuje nie tylko do jej jubilerskiej profesji, ale i do niej samej. Trochę później odkryła arabskie pozostałości na południu Hiszpanii i koloryt

północnej Afryki, który przyjęła w całej jego beztroskiej pstrokaciznie. Zamieszkała w pensjonacie w Barrio Gótico; pokój był wprawdzie bez krztyny światła dziennego, za to z nieustającą muzyką rur, przy tym przestronny, z wysokim, kasetonowym sufitem i dużym stołem do pracy. Po kilku dniach sprawiła sobie falbaniaste spódnice, przypominające nieco wystawne szaty Olgi, jakie pamiętała z dzieciństwa i jej własne przebrania z okresu cyrkowych popisów na placu Pershinga. Nigdy już nie odstąpiła od tego stylu. Przez następne lata doskonaliła go i szlifowała, czerpiąc czystą przyjemność z noszenia coraz bardziej wymyślnych szatek. Nie zdawała sobie sprawy, że ten swoisty styl przyniesie jej kiedyś bogactwo i sławę.

Objechawszy Europę od Oslo po Amsterdam, z plecakiem i prawie bez pieniędzy, uznała, że dość już tej włóczęgi i pora gdzieś przytulić głowę. Umocniła się w przekonaniu, że jedyne odpowiednie dla niej zajęcie to wyrób biżuterii, konkurencja jednak na tym polu była bezlitosna. Żeby osiągnąć sukces, nie wystarczyły oryginalne projekty, należało przede wszystkim zgłębić tajniki zawodu. Barcelona nadała się do tego znakomicie. Carmen zapisała się na różnego rodzaju kursy, na których nauczyła się tysiącletnich technik i powoli zaczął kształtować się jej własny styl, łączący dawne, solidne rękodzieło z odważnym piętnem cygańskim, śladami kultur Afryki, Ameryki Łacińskiej i w pewnym stopniu Indii, tak bardzo na czasie w owych latach. Zawsze była najoryginalniejszą uczennicą w klasie, a jej prace sprzedawały się tak szybko, że nie nadążała z zamówieniami. Wszystko układało się lepiej, niż mogła się spodziewać do chwili, gdy zetknęła się z nieco młodszym od siebie Japończykiem, również parającym się jubilerstwem. Carmen udawało się już wtedy wstawiać własne wyroby do prestiżowych galerii, on natomiast

nadal sprzedawał swoje na ulicach z miernym sukcesem i ta różnica go upokarzała. Żeby go pocieszyć, zajęła się ponownie sprzedażą uliczną pod pretekstem, że tam właśnie tętni dusza miasta. Zamieszkali razem w mrocznym pensjonacie Carmen. Różnice kulturowe szybko wzięły górę nad wzajemnym zauroczeniem, ale Carmen tak była spragniona obecności drugiej osoby, że zlekceważyła pierwsze objawy. Japończyk nie wyrzekł się obyczajów przodków: pierwszy przechodził przez drzwi i oczekiwał, że będzie mu usługiwała. Spędzał długie godziny w wannie z gorącą wodą, a gdy wreszcie zwałniał jej łazienkę, woda była już zimna. To samo dotyczyło jedzenia, łóżka, narzędzi pracy i materiałów. Po ulicy kroczył pierwszy, a ona musiała iść za nim kilka kroków z tyłu. W słoneczny dzień Japończyk wychodził z towarem na ulice, Carmen zaś zostawała, pracując w ciemnym pokoju, jeśli natomiast ranek był dżdżysty, na nią wypadła kolej spędzić cały dzień poza domem, bo kochanek akurat cierpiał na silne bóle reumatyczne, wywołane niską temperaturą. Początkowo te kaprysy wydawały jej się śmieszne, ot, wschodnie obyczaje, mawiała z humorem, jej cierpliwość jednak wkrótce się wyczerpała i zaczęły się nieporozumienia. Mężczyzna nigdy nie tracił równowagi, na wyrzuty reagował lodowatą ciszą, za to ona czuła wokół siebie pustkę, niczym zaciskającą się obręcz. Nie skarżyła się, ponieważ Japończyk przynajmniej jej nie bił ani nie oblewał wrzącą zupą. Na koniec to ona ustępowała, zarówno z obawy, że zostanie sama, jak i dlatego, że Japończyk ją fascynował. Pociągały ją jego czarne włosy, drobne ciało składające się wyłącznie z mięśni, dziwny akcent i precyzja ruchów. Podchodziła nieśmiało, szeptała przez chwilę i zazwyczaj udawało się go udobruchać. Pełną zgodę osiągnęli w łóżku, gdzie on był ekspertem. Siła

bezwładu pozwoliłaby im trwać tak razem, gdyby nie prze-
rwał tego telegram od Inmaculady z wiadomością o chorobie
Pedra i prośbą, żeby na litość boską wracała, bo tylko ona
jedna zdolna jest uratować ojca, który gaśnie z rozpacz-
y. Zrozumiała wtedy, jak bardzo kocha tego starego uparci-
ucha, jak bardzo pragnie ukryć twarz na piersi matki i stać się
na powrót, choćby na chwilę, dawną rozpieszczoną córeczką.
Przekonana, że podróż potrwa najwyżej kilka tygodni, wyje-
chała, zabierając ze sobą tylko niezbędne rzeczy, w pośpie-
chu wrzucone do torby. Japończyk odwiózł ją na lotnisko,
życzył wszystkiego dobrego i pożegnał lekkim ukłonem,
nigdy bowiem nie dotykał jej publicznie.

Oglądane tylekroć oblicze śmierci pozwoliło mi poznać
cenę życia. Jedyne, co posiadamy, to życie i każde ma taką
samą cenę. Życie Juana José Moralesa nie jest cenniejsze od
życia ludzi, których sam zabiłem, a ci nie ciążyą mi, bo są
dalej przy mnie, towarzyszą mi na każdym kroku. Albo zabi-
jasz, albo giniesz; po prostu nie jest to dla mnie kwestia
moralna; wątpliwości i zakłopotanie są innego rodzaju. Na-
leżę do tych szczęśliwców, którzy wyszli z wojny bez szwan-
ku.

Kiedy wróciłem do kraju, prosto z lotniska pojechałem
do motelu, do nikogo nie dzwoniąc. W San Francisco było
pochmurno, wiał zimowy wiatr, jak zwykle latem, i posta-
nowiłem zadzwonić do Samantha dopiero, jak wyjdzie słoń-
ce, nie wiem, dlaczego miałem wrażenie, że pogoda uprzy-
jemni jakoś nasze spotkanie. Rozstaliśmy się prawie zdecy-
dowani na rozwód, nie pisaliśmy do siebie, a kiedy raz za-
dzwoniłem do niej z Hawajów, okazało się, że nie mamy
sobie nic do powiedzenia. Czułem się zmęczony, nie miałem

ochoty na kłótnie i wymówki ani tym bardziej na opowiadanie jej - czy komukolwiek - swoich wojennych przeżyć. Oczywiście, pragnąłem ujrzeć Margaret, ale zdawałem sobie sprawę, że mała może mnie nie poznać, dzieci w tym wieku szybko zapominają, a ona przecież nie widziała mnie od wielu miesięcy. Zostawiłem rzeczy w motelu i udałem się na poszukiwanie kawiarni, miałem bowiem ochotę na doskonałą, najlepszą na świecie kawę, z której słynie San Francisco. Szedłem przez to miejskie delirium, skąd rzadko widać morze, gdzie proste linie wznoszą się i opadają, wytyczone zgodnie z projektem podporządkowanym geometrii, a nie topografii jedenastu wzgórz. Szukałem znajomych kątów, ale wszystko spowijała mgła. Wydawało mi się, że to jakieś obce miejsce, nie potrafiłem rozpoznać budynków, kręciłem się w kółko, zdezorientowany w tym mieście przeciwnieństw i aromatów, znieprawionym jak wszystkie porty i swawolnym jak byle lekkomyślna dziewczyna.

Nie potrafię sobie wyjaśnić, skąd ten elegancki wygląd San Francisco. Było nie było, miasto założyła banda awanturników, trawionych gorączką łatwego złota, prostytutek i buntowników. Jakiś Chińczyk otarł się niechcący o moje ramię i aż podskoczyłem, jakby ukąsił mnie skorpion, zaciskając pięści i machinalnie macając broń, której przy sobie nie miałem. Chińczyk uśmiechnął się, życząc panu miłego dnia, rzucił oddalając się, a ja stałem jak sparaliżowany, czując na sobie obce spojrzenia, choć tak naprawdę nikt nie zwracał na mnie uwagi, mijały mnie dzwoniące tramwaje, dzieci biegnące do szkoły, sekretarki, turyści, których nigdy nie brak, latynoscy robotnicy, azjatyccy handlarze, hipisi, czarne prostytutki w złoto-blond perukach, obejmujący się homoseksualiści - wszyscy jak aktorzy w filmie poruszali się

w sztucznym świetle, gdy ja stałem po drugiej stronie ekranu, niczego nie rozumiejąc, całkowicie z boku, oddalony od nich o tysiące lat. Chodziłem po dzielnicy włoskiej, po Chinatown, po portowych zaułkach, gdzie sprzedaje się narkotyki, alkohol i pornografię - ostatnia nowość to nadmuchiwane owce - obok wizerunków świętego Krzysztofa, mających chronić przed niepowodzeniem w żegludze. Wróciłem do motelu, połknąłem garść środków nasennych i straciłem świadomość. Obudziłem się po dwudziestu godzinach, kiedy promienne słońce zaglądało prosto w okno. Podniosłem słuchawkę, gotów zadzwonić do Samantha, ale nie mogłem sobie przypomnieć numeru telefonu własnego domu i postanowiłem jeszcze trochę zaczekać, podarować sobie parę dni samotności, zapanować nad własną duszą i ciałem. Potrzebowałem oczyszczenia zewnętrznego i wewnętrznego z nagromadzonych grzechów i potwornych wspomnień. Czułem się zanieczyszczony, brudny, nieżywy ze zmęczenia. Nie zadzwoniłem również do Moralesów, trzeba by udać się od razu do Los Angeles, a jeszcze brakowało mi odwagi, jeszcze nie potrafiłbym rozmawiać o Juanie José, patrzeć w oczy Inmaculadzie i Pedrowi i zapewniać ich, że syn zginął za ojczyznę jak bohater, wypowiedawszy się, nie cierpiąc, nieświadom, że umiera, podczas gdy naprawdę zmarł wyjąc z bólu i pochowano tylko połowę jego ciała. Nie mogłem im powiedzieć, że ostatnie jego słowa nie były zwrócone do nich, że przyciskał rękę kapelana i błagał go, przytrzymaj mnie, ojcze, lecę gdzieś głęboko w dół. Nic nie dzieje się jak w filmach, nie umieramy w czystości, tylko przerażeni, w kałuży krwi i gówna. W kinie nikt nie umiera naprawdę, na wojnie nikt naprawdę nie żyje. W Wietnamie wyobrażałem sobie czasem, że za moment zapalą się światła na sali, że wyjdę z kina niespiesznie, wpadnę napić się kawy i szybko o

wszystkim zapomnę. Teraz, gdy umiem już żyć ze spustoszeniami w pamięci, nie staram się wmawiać sobie, że życie jest jak powieść; przyjmuję je z całym bólem, który ze sobą niesie.

Moja siostra i ja bardzo się od siebie oddaliliśmy. Przeszliśmy się ze sobą widywać od narodzin Margaret, nie chciałem dzwonić ani do niej, ani do matki, o czym mielibyśmy rozmawiać? Była przeciwna wojnie, uważała, że przyczołkować zdezercerować niż zabijać, przemoc w każdej postaci jest czymś haniebnym i z gruntu nikczemnym, przypomnij sobie Gandhiego, powtarzała, nie możemy opierać naszej kultury na karabinach, żyjemy na świecie, by cieszyć się darem życia, głosić współczucie i sprawiedliwość. Biedna staruszka, odcięta od rzeczywistości, wędrująca wciąż jeszcze myślami po obszarach Niezgłębionego Zamyśłu, za naszym na wpół szalonym ojcem prowadzącym swe wywody z niezwykłą jasnością. Pojechałem do Wietnamu prawie bez pożegnania, nie chciałem jej zranić, dla niej jednak była to kwestia zasad, a nie mojego osobistego bezpieczeństwa. Przypuszczam, że mnie na swój sposób kochała, ale istniała między nami przepaść. Co poradziłby mi ojciec? Nigdy by mi nie powiedział, żebym szedł do więzienia lub na wygnanie, wyciągnąłby mnie na polowanie i w lodowatej ciszy świtu, czatując na kaczki, klepnąłby w ramię i zrozumielibyśmy się bez słów, jak to bywa czasem między mężczyznami.

Przez trzy pierwsze dni w San Francisco siedziałem zamknięty w motelu, przed telewizorem, z kilkoma skrzynkami piwa i butelkami whisky, a potem wzięłem śpiwór i poszedłem na plażę. Spędziłem na niej dwa tygodnie, gapiąc się w morze, paląc trawkę i prowadząc rozmowy z duchem Juana José. Woda była zimna, ale mimo to pływałem, póki

czułem krązenie zamrożonej krwi w żyłach i skostniały mózg, in blanco, bez wspomnień. Tutejsze morze jest letnie, na plaży zaś roi się od żołnierzy, dostają po trzy dni na rozrywkę, rock i piwo, żeby wynagrodzić im miesiące walki. Przez dwa tygodnie nie wymówiłem pełnego zdania, zaledwie mruknięcia, żeby poprosić o pizzę albo hamburgera, sądzę, że w głębi duszy marzyłem o powrocie do Wietnamu, bo na froncie miałem przynajmniej kolegów i coś do roboty, tu zaś byłem sam jak palec, bez przyjaciół, bez swojego miejsca. W cywilu nikt nie posługuje się językiem wojny, nie istnieje słownictwo do opowiadania przeżyć z pola walki, a gdyby nawet istniało, i tak nie znalazłby się nikt, kto zechciałby wysłuchać mojej historii, złe wiadomości nikogo nie interesują. Tylko wśród byłych żołnierzy czułem się dobrze, im mogłem zaufać i opowiadać to, czego nie powierzyłbym żadnemu cywilowi; oni zrozumieliby, dlaczego ktoś zamyka się przed uczuciami i boi się zbliżeń, wiedzą bowiem, że łatwiej o odwagę cywilną niż emocjonalną. Sami też stracili przyjaciół, których kochali jak rodzonych braci i postanowili oszczędzać sobie w przyszłości nieznośnego bólu, lepiej nikogo nie kochać zbyt głęboko. Nieświadomie począłem zbliżać się do przepaści, w której wszyscy giną, dostrzegać cudowną stronę przemocy, wierzyć, że nigdy nie przydarzy mi się coś równie emocjonującego, że może reszta mojego życia będzie jedynie szarą pustynią.

Sądzę, że odkryłem sekret przetrwania wojen. Joan i Susan utrzymują, że to wynalazek starych samców po to, by wyeliminować młodszych: nienawidzą ich, boją się, nie chcą niczym się z nimi dzielić, ani kobietami, ani władzą, ani pieniędzmi; mają świadomość, że młodzi prędzej czy później zajmą ich miejsce, dlatego wysyłają ich wszystkich na śmierć, nie wykluczając własnych synów. Starcy mają zatem

logiczny powód, skąd jednak te dążenia do wojny u młodych? Jak to możliwe, że w tysiącletniej historii nie zbuntowali się przeciw rytualnym masakrom? Znam odpowiedź. Istnieje coś jeszcze oprócz naturalnego instynktu walki i gorącej krwi: rozkosz. Odkryłem to w górach. Nie mam odwagi wymówić tego słowa głośno, przyniosłoby mi pecha, powtarzam je więc po cichu, rozkosz, rozkosz. Najintensywniejsza, jaką można przeżyć, silniejsza niż seks, zaspokojone pragnienie, odwzajemniona pierwsza miłość czy boskie objawienie - mówią to ci, którzy tego doświadczyli. Owej nocy w górach byłem o ułamek sekundy od śmierci. Kula przeszła, ocierając się o mój policzek i trafiła w sam środek czoła żołnierza za mną. Panika sparaliżowała mnie na chwilę, trwałem zawieszony w fascynacji własnym strachem, a potem nastąpiło rozdziarcie świadomości i zacząłem gwałtownie strzelać, krzycząc i przeklinając, nie umiałem przestać ani też pomyśleć logicznie; wokół mnie świsnęły kule, szalał pożar i świat cały wylatywał w powietrze w łoskocie kataklizmu, poczułem, że ogarnia mnie ciepło, dym i potwornie brakuje tlenu, pochłanianego przez każdy nowy wybuch płomieni. Nie pamiętam, ile czasu to wszystko trwało ani co robiłem, ani po co, pamiętam tylko ten cud wyjścia z życiem, nagły spadek poziomu adrenaliny i ból w całym ciele, ból zmysłowy, okrutną rozkosz, różną od wszystkich znanych mi rozkoszy, daleko wspanialszą niż najdłuższy orgazm, rozkosz, która owładnęła mną całkowicie, obróciła krew w słodką masę, a kości w piasek i pogrzyżyła mnie na koniec w czarnej otchłani.

Prawie od dwóch miesięcy mieszkalem w motelu przy plaży, kiedy pewnej nocy przebudziłem się z krzykiem. W koszmarnym śnie znajdowałem się sam w górach o świcie, otoczony leżącymi wokół ciałami kolegów, a przez opary

pełży ku mnie, zbliżały się cienie. Wszystko było spowolnione i wyciszone, niemy film. Wystrzeliłem, poczułem odrzut karabinu, bolały mnie ręce, widziałem snopy iskier, ale nie dochodził mnie żaden dźwięk. Kule trafiały w przeciwnika, nie powstrzymując jego naporu, partyzanci byli przezroczyści, jakby namalowani na szkłe, posuwali się nieubłaganie, osaczali mnie. Otwierałem usta, żeby krzyczeć, ale przeżalenie owładnęło mną od wewnątrz i nie mogłem dobyć z siebie głosu, czułem w gardle jedynie kryształki lodu. Nie mogłem już zasnąć, dławilo mnie bicie własnego serca. Wstałem, założyłem marynarkę i wyszedłem przejść się po plaży. Dobrze już, koniec tego rozpaczania, oświadczyłem mewom o świcie.

Carmen Morales nie odważyła się pojechać bezpośrednio do rodziców, nie miała bowiem pojęcia, jak przyjmie ją ojciec po siedmiu latach nieobecności. Na lotnisku złapała taksówkę i kazała zawieźć się do Reevesów. Przejeżdżając przez swoją dzielnicę, zdziwiła się zmianami, jakie w niej zaszły: mniej widziało się nędzy, było czyściej, panował większy porządek i wszystko wydawało się mniejsze niż w jej wspomnieniach. Poza rzeczywistymi zmianami nałożyły się porównania z potężnymi obrzeżami Meksyku. Uśmiechnęła się na myśl, że te uliczki stanowiły przez wiele lat jej wszechświat i że uciekła stamtąd jak banita, rozpaczając za utraconą ziemią i bliskimi. Teraz czuła się tutaj obco. Szofer obserwował ją z ciekawością we wstecznym lusterku. Nie mógł powstrzymać się od zapytania, skąd pochodzi. Nigdy jeszcze nie widział kogoś takiego jak ta kobieta w barwnej spódnicy i brzęczących bransoletach, nie wyglądała na lunatyczną hipiszkę; choć ubrana była podobnie, miała zdecydowany wygląd kobiety interesu.

- Jestem Cyganką - oznajmiła Carmen z największą powagą.

- A gdzie to jest?

- Cyganie nie mają ojczyzny, pochodzimy ze wszystkich stron.

- Bardzo dobrze pani mówi po angielsku - zauważył kierowca.

Z trudem odnalazła dom Reevesów, przez lata bowiem chwasty zarosły ogród, a wierzba zasłoniła go całkowicie. Ruszyła ścieżką przez dziedziniec. Rozpoznała miejsce, gdzie pochowali Olivera, trzymając się ściśle wskazówek Gregor-y'ego, który pragnął, by szczątki jego przyjaciela z dzieciństwa spoczęły gdzieś blisko, a nie na śmietniku, jak w przypadku każdego innego psa zupełnie pozbawionego życiorysu. Na ganku, na swoim zwykłym miejscu, w rozchybotanym wiklinowym fotelu siedziała Nora Reeves. Była już podeszła w latach, jej kok miał barwę bezy, a fartuch sprawiał wrażenie tak spranego jak reszta jej osoby. Zmaląła, a na twarzy miała wyraz tej niezmaconej słodyczy, jaki widuje się czasem u osób niespełna rozumu, jakby jej dusza znajdowała się zupełnie gdzie indziej. Podniosła się z wahaniem i pozdrowiła Carmen uprzejmie, nie rozpoznając jej.

- To ja, pani Noro, Carmen, córka Pedra i Inmaculady Moralesów.

Kobiecie zajęło prawie minutę umiejscowienie nowo przybyłej na mętnej mapie jej pamięci. Wpatrywała się w nią z otwartymi ustami, nie mogąc skojarzyć wizerunku dziewczynki z ciemnymi warkoczykami, która bawiła się z jej synem, ze zjawiskiem, które uciekło z haremu jakiegoś szejka. W końcu wyciągnęła do niej rękę i objęła ją drżącymi ramionami. Usiadły, by napić się gorącej herbaty podanej w szklankach i wymienily między sobą wszystkie bieżące

informacje. Po krótkiej chwili wpadły z hałasem dzieci Judy, które wróciły właśnie ze szkoły. Czworo dzieciaków w nieokreślonym wieku, dwoje płomiennie rudych, dwoje w typie południowym. Nora wyjaśniła, że dwoje to dzieci Judy, a dwoje pozostałych mieszka u niej, choć pochodzą z poprzedniego małżeństwa jej drugiego męża. Babcia przyniosła im mleko i chleb z marmoladą.

- Wszystkie tu mieszkają? - spytała zdumiona Carmen.

- Nie. Zajmuję się nimi po szkole, dopóki matka nie przyjdzie po nie wieczorem.

Okolo siódmej pojawiła się Judy, która także nie poznała przyjaciółki. Carmen pamiętała ją jako potężnie zbudowaną dziewczynę, nie wyobrażała sobie jednak, że można przybierać na wadze aż do osiągnięcia takich rozmiarów. Kobieta nie mieściła się na żadnym krześle, z trudem wspinała się po stopniach ganku, sprawiając wrażenie, że ruszyć ją może tylko dźwig.

- To nie są tylko moje kilogramy tłuszczu, jestem znowu w ciąży - oświadczyła z dumą.

Cała czwórka, własne dzieci Judy i te przyhołubione, wybiegła na spotkanie matki, która objęła je i przygarnęła do swych okrągłości gestem będącym pochodną długiego doświadczenia i macierzyńskiej czułości, rozdając im jednocześnie ciasteczka, z których znaczną część wkładała też do buzi. Widząc ją z dziećmi, Carmen zrozumiała, że macierzyństwo jest naturalnym stanem przyjaciółki i nie umiała zdławić w sobie ukłucia zazdrości.

- Po kolacji odprowadzę cię do domu, ale najpierw zadzwonimy do pani Inmaculady, żeby jakoś przygotowała ojca na twoją wizytę. Nie masz jakiegoś normalnego ubrania? Pamiętaj, że staruszek nie lubi ekstrawagancji u kobiet. Taka jest teraz moda w Europie? - spytała Judy bez cienia ironii.

Pedro Morales czekał na córkę w czarnym garniturze z pogrzebu syna, ożywionym jednak czerwonym krawatem i goździkiem z ogrodu w butonierce. Inmaculada uprzedziła go o wizycie z największą ostrożnością, przewidując gwałtowny sprzeciw, zdumiała się jednak, widząc rozjaśniającą się twarz męża. Wyglądał jakby w jednej chwili ubyło mu dwadzieścia lat.

- Wyszczotkuj mi garnitur - zdołał tylko powiedzieć, chowając nos w chusteczce, żeby ukryć wzruszenie.

- Mała pewnie bardzo się zmieniła, niech Bóg nad nią czuwa... - ostrzegala go żona.

- Nie przejmuj się, kochana, nawet gdyby przyszła z ufarbowanymi włosami i tak ją rozpoznam.

Mimo wszystko nie spodziewał się ujrzeć takiej kobiety, jaka weszła do domu pół godziny później. Podobnie jak Nora i Judy wpatrywał się w nią chwilę z otwartymi ustami. Wydawało mu się, że Carmen przede wszystkim bardzo urosła, dopiero później zauważył, że podwyższają ją sandały na wysokich obcasach i grzywa skreślonych, nastroszonych włosów w nieładzie. Miała na sobie taką ilość ozdób, że wyglądała jak bożek, oczy podkreślone czarnymi kreskami i ubrana w coś, co przypominało plakaty reklamujące turystyczne atrakcje Maroka, jakie widział na ścianie baru „U Trzech Kumpli”. Jednak mimo to córka wydała mu się piękną. Objęli się długim uściskiem i razem oplakiwali śmierć Juana José i siedem lat rozłąki. Potem Carmen przykucnęła u boku ojca, żeby opowiedzieć mu o swoich przeżyciach, pomijając te szczegóły, które mogłyby go wzburzyć. Tymczasem Inmaculada zakrzętnęła się w kuchni, powtarzając bez końca: dzięki niech będą Bogu, Bogu dzięki, a Judy zawisła przy telefonie, wydzwaniając do braci i przyjaciół, by obwieścić im, że Carmen wróciła, że z wyglądu przypomina

jakaś niesamowitą, rozczochną Cygankę, ale wewnątrz nie się nie zmieniła, i namawiając, by przynieśli piwo i gitary, bo Inmaculada już przygotowuje coś smacznego, żeby uczcić to wydarzenie.

Powrót córki przywrócił Pedrowi dobry humor. Nie mógł oprzeć się namowom Carmen i zgodził się zasięgnąć porady lekarza, który stwierdził zaawansowaną cukrzycę. Nikt w mojej rodzinie nie cierpiał na coś podobnego, to jakiś amerykański wynalazek, ani myślę kłuć się bez przerwy jak jakiś zadżumiony, ten lekarz sam nie wie, co mówi, a w laboratoriach myślą próbki i robią gigantyczne błędy, mruczał pod nosem urażony pacjent. Inmaculada wzięła jednak sobie sprawę do serca, zmusiła go do przestrzegania diety i dokładnie pilnowała, by łykał lekarstwa o oznaczonych porach. Wolę codziennie się z tobą kłócić, niż zostać wdową, osuwając drugiego męża to za duży wysiłek - ucieła. Pedrowi nawet nie przyszło na myśl, że ktoś mógłby go zastąpić w sercu żony, w którym jak dotąd panował niepodzielnie. Niepokój odebrał mu chęć do dalszych sporów. Nigdy nie przyjął do wiadomości, że jest chory, ale zgodził się na leki, „żeby sprawić przyjemność tej wariatce”, jak tłumaczył.

Dzielnica szybko okazała się dla Carmen Morales za ciasna. Po kilku tygodniach nieustannego przebywania w rodzicielskim domu zaczęła się dusić. Przebywając daleko wyidealizowała przeszłość, w chwilach największej samotności tęskniła za matczyną czułością, ojcowską opieką i towarzyszeniem znajomych, zapominając o ograniczoności przestrzeni, w jakiej wyrosła. Przez kilka lat nieobecności Carmen mocno wydorosła, a jej buciki wzbijały kurz znacznie szerszego świata. Krążyła po domu jak tygrys po klatce,

wypełniając sobą całą przestrzeń i zakłócając spokój furkotem spódnic, brzękiem bransolet i niecierpliwością. Na ulicy ludzie przystawali na jej widok, a dzieci podbiegały, by jej dotknąć. Nie dało się po prostu nie zwracać uwagi na słowa niechęci i szeptu za plecami, popatrz, jak się ubiera najmłodsza z Moralesów, w tę czuprynę od wieków nie wchodził grzebień, wygląda jak hipiska albo ulicznica, mówiono. Nie było tu również dla niej pracy, bo nie poszłaby do fabryki, jak Judy Reeves, a dzielnica w żadnym wypadku nie stanowiła rynku zbytu dla wyrabianej przez nią biżuterii. Kobiety nosiły tu pozłacane ozdoby i fałszywe brylanty, żadna nie założyłaby biżuterii o indiańskich motywach. Zastanawiała się, czy nie podjąć próby sprzedaży za pośrednictwem którejś z galerii w centrum, odwiedzanych przez aktorki, damy z towarzystwa i turystów, póki jednak siedziała w rodzicielskim domu, czuła, że wypalają się jej pomysły i chęć do pracy. Kręciła się po pokojach, przytłoczona ilością porcelanowych figurek, jedwabnych kwiatów, rodzinnych fotografii, meblami z purpurowego aksamitu przykrytymi plastikowymi pokrowcami - tymi wszystkimi symbolami nowego stylu Moralesów. Ozdoby te, które w taką dumę wprawiały jej matkę, jej samej wydawały się koszmarem, o niebo wolała tamto skromne mieszkanie z czasów dzieciństwa, w jakim wyrosła wraz z całym rodzeństwem. Nie znosiła programów radiowych ani telewizyjnych, które dniami i nocami nadawały albo romansidła i melodramaty, albo hałaśliwe reklamy zachwalające różne gatunki mydła, samochody po coraz przystępniejszych cenach i loterie ze szczęśliwymi wygranymi. Najgorsza była jednak ta ogólna skłonność do plotkowania: wszyscy wszystko o sobie wiedzieli i nie można było nosa wystawić, żeby od razu nie usłyszeć komentarza.

Czuła się jak Marsjanin na gościnnych występach i pocieszały ją jedynie smakołyki przygotowywane przez matkę, która wprawdzie dostosowała swą kuchnię do sztywnej diety męża, ale potrawy nic na tym nie straciły, dalej zachowały swój charakterystyczny smak. Spędzała w kuchni całe godziny w otoczeniu naczyń kuchennych, wdychając smakowite zapachy sosów i przypraw.

Carmen nudziła się, mając za jedyną rozrywkę grę z ojcem w warcaby, pomoc w pracach domowych i rodzinne wizyty na niedzielnych obiadach. Zastanawiała się, czy nie wracać do Hiszpanii, ale tam także czuła się obco, ponadto z tej odległości dokuczał jej mniejszy pociąg do dawnego kochanka. Napisała do niego i zadzwoniła, ale odpowiedzi były lodowato zimne. Z dala od jego ciała koloru laskowego orzecha i czarnej czupryny wstrząsała się na myśl o zimnych kąpielach i innych poniżeniach, i czuła głęboką niechęć do powrotu. Olga poradziła jej w końcu rozejrzeć się w Berkeley, ponieważ przy odrobinie szczęścia Gregory Reeves powinien wkrótce wrócić z Wietnamu i mógłby jej pomóc, a ponadto samo miejsce jest doskonale dla osoby o tak oryginalnym stylu jak ona, przynajmniej sądząc po tym, co pisze się w prasie, co tydzień zdarza się jakiś nowy skandal w parku uniwersyteckim. Carmen zgadzała się, że nie ma nic do stracenia i warto spróbować. Zadzwoniła do kochanka z prośbą, by przysłał jej oszczędności i narzędzia złotnicze, obiecał to zrobić, jak znajdzie czas, mijały jednak tygodnie i gdy dalszych pięć telefonów nie dało żadnego wyniku, pojęła, że widocznie musi być wiecznie zajęty i przestała nalegać. Postanowiła zaryzykować przy minimum środków, jak tyłek przedtem, ale kiedy Pedro Morales dowiedział się o tych planach, bez słowa sprzeciwu wręczył jej czek i zapłacił

za bilet. Czuł się szczęśliwy, że odzyskał córkę, nie był ślepy na jej potrzeby i nie mógł dłużej patrzeć, jak obija się o ściany domu niczym ptak ze złamanymi skrzydłami.

W Berkeley Carmen Morales rozkwitła, jak gdyby miasto istniało po to, by służyć jej za obramowanie. W ulicznym tłumie jej malownicze stroje i ozdoby nie zwracały niczyjej uwagi, a bluzka opięta na wydatnym biuście nie prowokowała bezczelnych gwizdów, jak w meksykańskiej dzielnicy Los Angeles. Spotkała się tam z takim samym współzawodnictwem jak to, które tak ją fascynowało w Europie, i odkryła nieznaną sobie dotychczas wolność. Również otoczenie miasta - morze i góry - było jakby stworzone dla niej. Obliczyła, że przy oszczędnym trybie życia za pieniądze otrzymane od ojca może przeżyć kilka miesięcy, ale postanowiła też poszukać pracy, planowała bowiem dalej wyrabiać biżuterię i potrzebowała materiałów i narzędzi. Gregory Reeves bez wątpienia zaproponowałby, żeby na jakiś czas zatrzymała się u niego, choćby śpiąc na sofie w salonie, ale raczej trudno liczyć na podobną gościnność ze strony Samantha. Nie знаła żony przyjaciela, domyślała się jednak, że ta przyjęłaby ją bez zapału, zwłaszcza teraz, w trakcie sprawy rozwodowej. Umówiła się z nią przez telefon, chcąc zobaczyć małą Margaret, której fotografie słał jej Gregory, ale kiedy przysłała, Samantha akurat nie było, a drzwi otworzyła dziewczynka tak krucha i delikatna, że nie potrafiła sobie wyobrazić, by była córką Reevesa i wysportowanej matki. W porównaniu z siostrzeńcami Carmen w tym samym wieku mała wydała jej się dziwnym dzieckiem, doskonałą miniaturką pięknej i smutnej kobiety. Margaret zaprosiła ją do środka, oznajmiając

afektowanym głosem, że mama gra w tenisa, ale wkrótce przyjdzie. Na początku wykazała cię zainteresowania branżoletami Carmen, potem jednak usiadła w kompletnym milczeniu ze skrzyżowanymi nogami i rękami na kolanach. Nie sposób było wyciągnąć z niej choćby słowo, tak więc siedziały naprzeciwko, nie patrząc na siebie, każda w swoim fotelu, jak dwie obce osoby w poczekalni. Wreszcie nadeszła Samantha, trzymając w jednym ręku rakietę, a w drugim bagietkę. Tak jak Carmen przewidywała - przyjęła ją chłodno. Obie kobiety zmierzyły się wzrokiem, każda bowiem miała w głowie obraz tej drugiej, stworzony dzięki opisom Gregory'ego, i obie poczuły ulgę, że wyobrażenia nie pokrywają się z rzeczywistością. Carmen spodziewała się ujrzeć piękniejszą kobietę, nie w typie energicznego chłopaka ze skórą spaloną słońcem, ależ będzie wyglądać za kilka lat, Jankeski fatalnie się starzeją, pomyślała. Samantha z kolei zauważyła z satysfakcją, że Carmen nosi szerokie spódnice, które zresztą wydały jej się okropne, na pewno ukrywa zbędne kilogramy, poza tym widać, że w życiu nie uprawiała sportu i wkrótce będzie taką matrona przy kości, Latynoski fatalnie się starzeją, myślała zadowolona. Od pierwszej chwili obie wiedziały, że nie będą przyjaciółkami i wizyta trwała bardzo krótko. Po wyjściu Carmen odetchnęła z ulgą, że przyjaciel rozwodzi się z tą mistrzynią tenisa, Samantha natomiast zadawała sobie pytanie, czy Gregory po powrocie, o ile w ogóle wróci, zostanie kochankiem tej grubaski, pewnie od dawna oboje mają na to ochotę. Niech mu pójdzie na zdrowie, mamrotała, sama nie wiedząc, dlaczego ta perspektywa wywołuje w niej taką wściekłość.

Carmen nie mogła sobie pozwolić na zbyt długi pobyt w motelu, w którym początkowo się zatrzymała. Postanowiła

poszukać pracy i jakiegoś lokum. Usiadła w kawiarni w pobliżu uniwersytetu, żeby przejrzeć tygodnik, i pośród nieprzeliczonych ogłoszeń o holistycznych masażach, aromaterapii, cudownych kryształach, miedzianych trójkątach na poprawę koloru aury i innych nieprawdopodobnych nowościach, jakie bez wątpienia zafascynowałyby Olgę, znalazła oferty pracy. Zadzwońiła pod kilka adresów, aż w końcu w jednej z restauracyjek kazano jej przyjść następnego dnia z książeczką ubezpieczeniową i listem polecającym, którego nie miała. Pierwsze nie było trudne, po prostu sprawdziła, gdzie się zapisać, wypełniła formularz i dostała swój numer, nie miała natomiast pojęcia, jak sobie poradzić z drugą sprawą. Pomyślała, że Gregory napisałby jej taki list bez wahania, szkoda, że jest tak daleko, ale w końcu i ta trudność była do przezwyciężenia. Znalazła sklepik, gdzie wypożyczano maszyny do pisania, i zredagowała list, potwierdzający swoje kompetencje w opiece nad dziećmi, uczciwość i łatwość nawiązywania kontaktów. Tekst wydał się nieco wyszukany, ale co z oczu, to z serca, jak mawiała matka. Gregory nie musiał wcale dowiedzieć się o szczegółach. Znała na pamięć podpis przyjaciela, nie na darmo pisywali do siebie przez tyle lat. Następnego dnia stawiała się w miejscu pracy. Restauracyjka mieściła się w starym domu udekorowanym roślinami i wiszącymi warkoczami czosnku. Przyjęła ją kobieta o włosach przyprószonych siwizną i jowialnym obliczu, ubrana w bufiaste spodnie i franciszkańskie trepy.

- Ciekawe - rzekła, przeczytawszy list polecający - bardzo ciekawe... To pani zna Gregory'ego Reevesa?

- Pracowałam u niego - odrzekła Carmen, rumieniąc się.

- O ile wiem, od roku przebywa w Wietnamie, jak więc pani wyjaśni, że ten list nosi wczorajszą datę?

Była to Joan, jedna z dwóch przyjaciółek Reevesa, a restauracja okazała się tą samą makrobiotyczną restauracyjką, w której tyle razy jadał wegetariańskie hamburgery i szukał pocieszenia. Z drżeniem kolan i rwącym się głosem Carmen przyznała się do oszustwa i w kilku zdaniach opowiedziała o swojej przyjaźni z Reevesem.

- W porządku, widać, że jesteś osobą obrotną - zaśmiała się Joan. - Gregory jest dla nas jak syn, chociaż nie jestem jeszcze taka stara, żeby być jego matką, niech cię nie oszukają moje siwe włosy. To w moim salonie na kanapie spędził ostatnią noc przed wyjazdem na wojnę. Co za horrendalna głupota! Susan i ja starałyśmy się mu to wyperswadować, aż obie ochrypliśmy, ale na próżno. Mam nadzieję, że wróci z tej wojny równie szybko, jak na nią poszedł, szkoda byłoby, gdyby właśnie jemu coś się przytrafiło, zawsze robił wrażenie wspaniałego człowieka. Skoro jesteś jego przyjaciółką, to będziesz i naszą. Możesz zacząć pracę już dzisiaj. Załóż tylko fartuch i chustkę na głowę, żeby włosy nie wpadały klientom do zupy, i idź do kuchni. Susan powie ci, co masz robić.

Wkrótce Carmen Morales nie tylko podawała do stołu, ale także pomagała przy przygotowywaniu potraw, miała bowiem dobrą rękę i wyczucie do łączenia przypraw, i przychodziły jej do głowy co rusz to nowe kombinacje smakowe, co znacznie urozmaicało menu. Zaprzyjaźniła się z Joan i Susan tak dalece, że wynajęły jej poddasze we własnym domu. Przestronny, choć zagracony pokój po opróżnieniu i uporządkowaniu stał się dla Carmen idealnym schronieniem. Przez dwa okna widać było z dalekiej perspektywy wzgórze i zatokę w całej okazałości, a przez okienko w suficie dawało się śledzić ruchy gwiazd. W dzień Carmen korzystała z naturalnego światła, wieczorem zaś zapalała dwie wielkie wiktoriańskie lampy, zdobyte na pchlim targu. W

restauracji pracowała popołudniami i wieczorem, rano miała wiele czasu wolnego. Kupiła narzędzia oraz materiały złotnicze i w wolnych chwilach oddawała się swemu ulubionemu zajęciu, stwierdzając przy tym z zadowoleniem, że nie straciła ani wyobraźni, ani ochoty do pracy. Pierwsze kolczyki podarowała swoim chlebodawczyniom. Musiała najpierw przekłuć im dziurki w uszach, żeby w ogóle mogły je założyć. Trochę bolało, ale potem obie zdejmowały kolczyki tylko do snu, przekonane przez Carmen, że podkreślają one ich osobowość feministek w pełnej krasie kobiecości, tak mówiły ze śmiechem. Uważały Carmen za najlepszego współpracownika, jakiego kiedykolwiek miały, ale radziły jej nie marnować talentu. Zamiast podawać do stołu i mieszać sosy na patelni, powinna poświęcić się całkowicie jubilerstwu.

- To jedyne, co do ciebie pasuje. Każdy rodzi się z jednym talentem i szczęście polega na tym, że się go w porę odkryje - mówiły, popijając herbatę z mango i opowiadając sobie historie z własnego życia.

- Nie przejmujcie się, naprawdę jestem zadowolona - odpowiadała Carmen z pełnym przekonaniem. Miała głębokie poczucie, że niedostatek już jej nie grozi i że ma przed sobą najlepsze lata życia.

Powróciwszy do świata żywych Gregory Reeves zebrał wojenne pamiątki: zdjęcia, listy, taśmy z muzyką, ubrania i medal za odwagę, oblał wszystko benzyną i podpalił. Zachował tylko smoka z malowanego drewna, podarunek od przyjaciół z wietnamskiej wioski, i medalik Juana José. Zamierzał oddać go Inmaculadzie Morales, jak tylko uda mu się zmyć z niego zaschniętą krew. Przysiągł sobie nie zachowywać się tak jak większość weteranów, którzy pograżają się

na zawsze w tęsknocie za minionym czasem własnej chwały, okaleczeni duchowo, niezdolni przystosować się do banalnego życia ani wyzwolić się z uzależnienia od wojny. Unikał doniesień prasowych, ulicznych protestów, przyjaciół, którzy wrócili i spotykali się, żeby raz jeszcze przeżywać wietnamskie przygody i podtrzymywać znajomości. Nie chciał nic wiedzieć o innych, ani tych na wózkach inwalidzkich, ani na wół oszalałych, ani o samobójcach. Przez pierwsze dni błogosławił każdy szczegół codziennej egzystencji, hamburgera z frytkami, gorący prysznic, czyste prześcieradła na łożku, wygodę cywilnego ubrania, rozmowy z przechodniami na ulicy, ciszę i przytulność pokoju, szybko jednak zrozumiał, że to wszystko także stwarza zagrożenie. Nie, nie powinien niczego świętować, nawet tego, że przeżył. Przeszłość jest już za mną, gdybym tylko mógł wymazać ją z pamięci. W dzień prawie się to udawało, w nocy jednak nadal śniły mu się koszmary i budził się zlany zimnym potem, słysząc szczęk broni, eksplozję w głowie, ścigany wizjami w kolorze czerwieni, które nawiedzały go bez przerwy. Śniło mu się dziecko zagubione w parku, a tym dzieckiem okazywał się on sam, ale przede wszystkim śniły mu się góry, gdzie strzelał do przezroczystych cieni. Machinalnie wyciągał rękę po proszki lub trawkę, macał stół, półprzytomny zapalał światło, nie wiedząc, gdzie jest. Whisky trzymał w kuchni, żeby mieć czas pomyśleć, zanim pociągnie z butelki. Wymyślał sobie drobne przeszkody, żeby powstrzymać nałóg: żadnego alkoholu, zanim się nie ubiorę i czegoś nie zjem, nie będę pił w dni nieparzyste albo zanim wszędzie słońce, najpierw dwadzieścia skłonów i wysłucham do końca koncertu. W ten sposób opóźniał decyzję otwarcia szafki, gdzie przechowywał butelkę i zazwyczaj umiał się kontrolować, nie odważył się

jednak zupełnie odstawić alkoholu, trzymał go zawsze pod ręką w razie szczególnej potrzeby. Kiedy wreszcie zadzwonił do Samantha, nie przyznał się, że od ponad dwóch tygodni przebywa w odległości zaledwie dwudziestu mil od domu, wmówił jej, że dopiero co przyleciał i poprosił, by odebrała go z lotniska. Czekał tam na nią świeżo po kąpieli, ogolony i spokojny, w cywilnym ubraniu. Zdziwił się, jak urosła i wyładniała Margaret, wyglądała jak mała księżniczka z rysunków piórkem na starych rycinach w książkach, miała granatowoniebieskie oczy, gęste, jasne włosy i dziwną trójkątną buzię o bardzo subtelnym rysach. Zauważył również, jak niewiele zmian zaszło w żonie, nosiła nawet te same białe spodnie, co przy ostatnim spotkaniu. Margaret podała mu wątlą rękę bez cienia uśmiechu i odmówiła pocałunku. Miała kokieteryjne gesty podpatrzone u aktorek z seriali i poruszała się, kołysząc drobnym tyłeczkiem. Gregory czuł się przy niej niepewnie, nie potrafił traktować jej jak dziecko, którym w istocie była, ale jak nieprzyzwoitą femme fatale, i sam się tego zawstydził. Może Judy miała rację, może mimo wszystko perwersyjny charakter ich ojca krążył we krwi tego dziecka niczym dziedziczne przekleństwo? Samantha przywitała męża chłodno, ucieszyła się, widząc go w dobrej formie, był szczuplejszy, ale męźniejszy, z opalenizną ci do twarzy, mówiła, wojna, jak widać, nie okazała się taka okropna, ona natomiast nie czuje się najlepiej, przykro jej, że to mówi, ale sytuacja finansowa jest kiepska, skończyły się oszczędności i nie sposób przeżyć za żołąd, nie skarży się, skąd, rozumie okoliczności, ale nie może tego tolerować, nie przywykła do niedostatku ani Margaret tym bardziej. Nie, nie może dłużej pracować w przedszkolu, to praca ciężka i nudna, poza tym musi przecież wychowywać własną córkę.

Wsiadając do samochodu, oświadczyła łagodnie, że zarezerwowała mu hotel, ale nie widzi przeszkód, by przejechać jego rzeczy w garażu, dopóki nie przeprowadzi się w jakieś wygodniejsze miejsce. Jeśli Gregory miał jeszcze niejakie złudzenia co do ewentualnego pojednania, tych kilka zdań wystarczyło, by pojął, jak olbrzymia przepaść ich rozdziela. Samantha nie straciła swej zwykłej uprzejmości, w sposób godny podziwu panowała nad emocjami i umiała godzinami prowadzić rozmowy, nie mówiąc nic konkretnego. Nie zapytała go też o nic, nie chciała słuchać o nieprzyjemnych sprawach, dzięki olbrzymim wysiłkom zdołała przetrwać w urojonym świecie, w którym nie ma miejsca na ból i brzydotę.

Wierna własnym poglądom usiłowała ignorować wojnę, rozwód, rozbicie rodziny i wszystko, cokolwiek mogło zakłócić jej zwykłe godziny tenisa. Gregory z ulgą pomyślał, że jego żona stanowi coś w rodzaju pustej strony i nie miał wyrzutów sumienia z powodu rozpoczynania nowego etapu życia bez niej. Przez całą drogę próbował nawiązać rozmowę z Margaret, ale córka nie zamierzała mu bynajmniej tego ułatwiać. Siedząc na tylnym siedzeniu samochodu, obgryzała polakierowane na czerwono paznokcie, kręciła kosmyk włosów i wpatrywała się we własne odbicie we wstecznym lusterku, odpowiadając monosylabami, jeśli pytała ją o coś matka, ale milcząc uparcie, gdy pytanie stawiał ojciec.

Wynajął dom po drugiej stronie zatoki, którego największą atrakcją stanowiło zrujnowane molo. W przyszłości zamierzał kupić łódź, bardziej dla szpanu niż przyjemności, ilekroć bowiem pływał z Timothyem Duane'em, nabierał przekonania, że cały ten wysiłek służy tylko po to, żeby się nie utopić, a nie dla rozrywki. Z tych samych powodów kupił porsche, spodziewając się wzbudzić zazdrość u mężczyzn, a uwagę u kobiet. Samochód to symbol falliczny, nie wiem,

czemu twój jest mały, krótki, płaski i rozdygotany, żartowała Carmen, gdy się o tym dowiedziała. Miał przynajmniej na tyle wyczucia, że nie kupował mebli, zanim nie znalazł stałej pracy i zadowolił się łóżem o rozmiarach bokserkiego ringu, stołem, który mógł spełniać wielorakie funkcje i kilkoma krzesłami. Urządziwszy się jako tako, pojechał do Los Angeles, gdzie nie był od czasu, gdy kilka lat temu odwiedził Moralesów, by im pokazać małą Margaret.

Nora Reeves przyjęła go tak normalnie, jakby rozstała się z nim wczoraj, zaproponowała filiżankę herbaty i opowiedziała nowinki z dzielnicy tudzież z życia ojca, który co tydzień nawiązywał z nią kontakt z zaświatów, żeby przekazać wiadomości o postępach Niezglębionego Zamysłu. Nie wspomniała słowem o wojnie i po raz pierwszy Gregory zauważył podobieństwa między Samantha a matką: ten sam chłód, obojętność i uprzejmość, jednakowa zawziętość, by nie zwracać uwagi na sprawy przyziemne, choć to ostatnie dla matki było trudne, bo musiała codziennie stawić czoła życiowym kłopotom. W przypadku Nory Reeves sama obojętność nie wystarczała, trzeba było bardzo silnej woli, by nie ugiąć się pod natłokiem problemów. Swoją siostrę Judy Gregory znalazł w łóżku z noworodkiem w ramionach, otoczoną gromadką dzieci. Prześcieradło, które ją okrywało maskowało obfite kształty i wyglądała jak dorodna renesansowa madonna. Zajęta sprawami wychowawczymi, nie zapytała nawet brata, jak się miewa, uznawszy, że skoro stoi cały i zdrowy przed jej oczami, to znaczy, że wszystko w porządku. Drugi mąż Judy okazał się owdowiałym właścicielem taksówki, ojcem dwojga starszych dzieci i niemowlęcia. Mały, szczupły, z długim opadającym wąsem mongolskiego wojownika był Latynosem urodzonym w Meksyku, jednym z

tych *chicanos*, którzy źle mówią po hiszpańsku, choć mają ten łatwy do wychwycenia rys indiańskich przodków. W porównaniu ze swoim poprzednikiem u boku Judy, potężnym Jimem Morganem, wydawał się niedożywionym ulicznikiem. Gregory nie wiedział, czy człowiek ten bardziej kocha Judy, czy się jej boi. Wyobraził sobie awanturę między tą parą i nie mógł powstrzymać uśmiechu: jego siostra byłaby zdolna roztluc mężowi głowę uderzeniem pięści, jakby rozbijała jajko na śniadanie. W jaki też sposób oni się kochają, zastanawiał się zafascynowany Gregory.

Moralesowie przyjęli go serdecznie jak nikt dotąd, spłakali się i przez długi czas trzymali w objęciach. Gregory przyłapał się na myśli, że płaczą, bo to on, a nie ich syn, Juan José, wrócił z wojny żywy, jednak wyraz pełnego szczęścia, malujący się na twarzach starych przyjaciół, przepędził mu z serca te małostkowe wątpliwości. Zdjąwszy plastikowy pokrowiec, usadzili Gregory'ego w fotelu i zaczęli szczegółowo wypytywać o wojnę. Wcześniej obiecywał sobie nie poruszać w ogóle tematu, zauważył jednak, zaskoczony, że opowiada im wszystko, co tylko chcą wiedzieć. Poczul, że tą rozmową, teraz dopiero, całą trójką odprowadzając do grobu Juana José. Inmaculada zapomniiała zapalić światło i podać im coś do jedzenia, i żadne z nich nie ruszyło się aż do późnej nocy, kiedy Pedro wstał i poszedł do kuchni po piwo. Sam na sam z Inmaculada Gregory zdjął z szyi medalik i podał kobiecie. Porzucił pomysł oczyszczenia go z obawy, by nie zniszczył się przy tej operacji, nie musiał jednak wcale wyjaśniać pochodzenia ciemnych plam. Inmaculada wzięła go, nawet nie patrząc, i zawiesiła na szyi pod bluzką.

- Byłoby grzechem wyrzucić go do śmieci, bo jest poświęcony przez biskupa, ale skoro nie zdołał ochronić mego syna, to znaczy, że nic nie jest wart - westchnęła.

Wtedy dopiero mogli zacząć mówić o ostatnich chwilach życia Juana José. Przytuleni do siebie na okropnej purpurowej kanapie i trzymając się za ręce, po raz pierwszy wobec kogoś trzeciego, wstrząśnięci rodzice słuchali historii, której Gregory przysięgał sobie nigdy im nie wyjawić, teraz jednak nie mógł przemilczeć. Powiedział, jaką to opinią odważnego i w czepku urodzonego cieszył się Juan José; powiedział o graniczącym z cudem ich spotkaniu na plaży i ile by dał za to, żeby znajdować się przy nim, kiedy został ranny, żeby go móc samemu podtrzymać, ojcze, przytrzymaj mnie, bo lecę gdzieś w ciemność.

- Miał czas, by pojednać się z Bogiem? - chciała wiedzieć matka.

- Był przy nim kapelan.

- Bardzo cierpiał? - pytał Pedro.

- Nie wiem, to stało się tak szybko...

- Bał się? Rozpaczał? Krzyczał?

- Nie, mówiono mi, że był zupełnie spokojny.

- Przynajmniej ty wróciłeś, dzięki niech będą Bogu Najwyższemu - powiedziała Inmaculada i w tej chwili Gregory poczuł przepelniającą go falę wdzięczności: oto został rozgrzeszony z całej winy, uwolniony od trosk, oczyszczony z najgorszych wspomnień. Moralesowie nie pozwolili mu wrócić na noc do hotelu i zatrzymali u siebie. Leżąc w kawalerskim łóżku Juana José, znalazł w szufladzie nocnego stolika szkolny zeszyt z pisanymi ołówkiem wierszami przyjaciela. Były to wiersze miłosne.

Przed odjazdem na lotnisko odwiedził jeszcze Olę. Zmieniła się z upływem lat, nic nie zostało z jej dawnej barwności papugi, wyglądała jak bezwłosa jędra, nie wygasła w niej jednak energia znachorki i jasnowidza. Po tylu latach była już całkowicie przekonana o głupocie rodzaju ludzkiego

i wierzyła raczej w siłę swoich praktyk magicznych niż leczniczych ziół, bardziej bowiem przemawiały one do niezmiernej, ludzkiej łatwowierności. Umysł jest wszystkim, wyobraźnia czyni cuda, utrzymywała. Po jej mieszkaniu także znać było upływ czasu. Wypełnione zakurzonymi atrybutami magicznymi sprawiało wrażenie sklepiku z dewocjonaliami. Mniej było w nim kolorytu, za to większy bałagan niż dawniej. U sufitu nadal wisiały wiązki suszonych ziół, korzenie i kora, przybyło półeczek z puderkami i buteleczkami, ulotnił się natomiast dawny aromat kadzidełek z pakietańskiego sklepiku, przytłoczony przez inne, silniejsze zapachy.

Na wielu słoiczkach zachowały się wymowne nalepki: „niezapominajka”, „pewny interes”, „niezmordowany zdobywca”, „podstępna zdrada”, „gwałtowna przyjemność”, „zabierz mu wszystko”. Wzrokiem nawykłym, by odgadywać, co niewidoczne, Olga spostrzegła wszystkie zmiany, jakie zaszły w Gregorym: krąg wokół niego, którego nie da się przekroczyć, twarde spojrzenie, przesadny śmiech bez cienia wesołości, suchszy głos i ten nowy grymas wokół ust, który delikatnym wargom nadawałby wyraz lekceważenia, u niego natomiast sprawiał wrażenie szyderstwa. Promieniował siłą wściekłego zwierzęcia, ale Olga wyczuwała pod tą powłoką skrawki pękniętej duszy. Domyśliła się, że w tej chwili nie powinna mu proponować, by skorzystał z jej szerokich doświadczeń, bo jest hermetycznie zamknięty w sobie. Woląca opowiedzieć mu o własnym życiu.

- Mam wielu wrogów, Gregory - wyznała. - Starasz się pomagać ludziom, a odplacają ci zazdrością i urazą. Teraz wygadują tutaj, że mam kontakty z diabłem.

- To chyba fatalnie dla interesów...

- Wcale nie! Póki są na świecie ludzie udęczeni bólem czy strachem, ten interes zawsze będzie miał powodzenie - odrzekła Olga, mrugając szelmowsko okiem - a tak à propos: czy mogę coś zrobić dla ciebie?

- Nie wydaje mi się, Olgo. Mojego strachu i bólu nie uleczysz zaklęciami.

Moralesowie dali Reevesowi adres Carmen. Był przekonany, że nadal przebywa w Europie i z trudem przyszło mu uświadomić sobie, że mieszkają o krok od siebie. Ich co poniedziałkowe rozmowy przerwały się ostatnio, a korespondencja z Wietnamu przychodziła z opóźnieniem. Ostatni ich kontakt to pocztówka z Barcelony z wiadomością o japońskim kochanku. Wydało mu się niezwykłym zrządzeniem losu, że Carmen mieszka u Joan i Susan, rzeczywistość okazywała się czasami równie nieprawdopodobna jak niedorzeczne telewizyjne seriale, które tak wiernie śledziła Inmaculada.

Przez całe swoje pełne ryzyka życie - a zwłaszcza, gdy znowu poczuł się osaczony przez samotność po tym, jak związał się z drugą żoną i odkrył, że również nie jest wymarzoną towarzyszką życia - Gregory Reeves zadawał sobie pytanie, dlaczego on i Carmen nie mogli zostać kochankami. Kiedy odważył się zapytać ją o to, usłyszał, że w owym czasie nie umiałby odwzajemnić jedyne go rodzaju miłości, jaki mogli dzielić, zasłaniał się płaszczem cynizmu, który koniec końców i tak nie zdawał się na nic, bo najlżejszy powiew raz po raz czynił go bezbronnym wobec żywiołów, choć wystarczył, by jego dusza znów zamknęła się w sobie.

- W tamtych czasach interesowały cię jedynie pieniądze i seks, to było jak obsesja. Możemy to zwalić na wojnę, jeśli

chcesz, chociaż wydaje mi się, że były też inne przyczyny, ciągnęły się za tobą jakieś zaszłości z dzieciństwa - mówiła mu Carmen wiele lat później, kiedy oboje przemierzali już swoje ścieżki w labiryncie i spotkali się przy wyjściu.

- Najdziwniejsze jest to, że wystarczyło uchylić ten pancerz, w którym się chowałeś, żeby dostrzec, że jesteś jednym wielkim wołaniem o pomoc. Ale ja również nie byłam wtedy kandydatką na dobrą partnerkę, niezupełnie jeszcze wydoślałam i nie mogłam ofiarować ci tej olbrzymiej miłości, jakiej wówczas potrzebowałeś.

Po wizycie u Moralesów Gregory odkładał pod byle pretekstem spotkanie z przyjaciółką. Onieśmiała go sama myśl, że ją ujrzy, obawa, że oboje się zmienili i nie rozpoznają się, albo, co gorsza, nie będą się sobie nawzajem podobać. W końcu nie mógł już wymyślać dalszych powodów i po kilku tygodniach pojechał odwiedzić przyjaciółkę. Chciał ją zaskoczyć, pojawił się więc w makrobiotycznej restauracyjce bez wstępnej zapowiedzi i usłyszał, że Carmen od kilku tygodni już nie pracuje. Joan i Susan przyjęły go z radością, obejrzały od stóp do głowy, by sprawdzić, czy jest zdrow i cały, uraczyły olbrzymią porcją wegetariańskiej lasagni i ciastkami z miodem i pistacjami, aż w końcu poinformowały, gdzie znajdzie Carmen. Dostrzegł zmiany w wyglądzie obu kobiet: nosiły rzucające się w oczy kolczyki, ścięły włosy, a Joan używała nawet różu, sądząc po niewytłumaczalnych rumieńcach na policzkach. Opowiedziały mu, ubawione, że nie mogą dłużej nosić indiańskich warkoczy ani babcinych koczków, kolczyki Tamar wymagają pewnej dozy kokieterii, nie, nic w tym złego, rzeczywiście, trochę późno to odkryły, ale zamierzają odzyskać stracony czas. Można równie dobrze być feministką z tymi talerzami w uszach i dyskretnym

makiżajem, nie przerażaj się, Greg, nie zrezygnowaliśmy z żadnego z naszych postulatów, zapewniały go. Zapytał, kim jest Tamar, a wtedy jedna przez drugą zaczęły opowiadać mu, że Carmen zmieniła imię, ponieważ teraz poświęciła się wyłącznie wyrabianiu i sprzedaży własnej biżuterii artystycznej, zamierza też narzucić pewien swoisty styl i nazwę, a własne imię wydawało jej się mało egzotyczne. Codziennie rano chodzi na ulicę hipisów z przenośną tacą. Miejsca losuje się codziennie, ten system pozwala uniknąć bójeek, jak w poprzednich latach, kiedy każdy uliczny sprzedawca rękami i nogami bronił swego małego terytorium. Żeby zdobyć dobre miejsce, trzeba wstać wcześniej rano, ale Carmen jest bardzo zdyscyplinowana, mówiły Joan i Susan, tak więc na pewno Greg spotka ją na pierwszym rogu, w miejscu najbardziej przez wszystkim pożądanym, bo to blisko uniwersytetu i wolno korzystać z tamtejszych toalet.

Chodniki po obu stronach uliczki hipisów obstawione były przez drobnych handlarzy i skromnych rzemieślników zarabiających na chleb powszedni tym, co udawało im się sprzedać i utrzymujących się przy życiu dzięki metafizycznym złudzeniom, politycznej naiwności i narkotykom. Było między nimi kilku biedaków niespełna rozumu, których przyciągał tutaj nie wiadomo jaki tajemniczy magnes. Rząd obciął fundusze na służbę zdrowia, pozostawiając bez środków i tak już zubożone szpitale psychiatryczne, które zostały w ten sposób zmuszone do pozbycia się pacjentów. Latem przeżywali oni dzięki ludzkiemu miłosierdziu, a zimą zabierano ich, żeby uniknąć wstydlwego widoku zeszytniałych trupów w miejscu publicznym. Policja nie interesowała się tymi biednymi szaleńcami, o ile nie zachowywali się agresywnie, sąsiedzi ich znali i przestali się obawiać. Nie mieli nic przeciwko karmieniu ich, gdy widać było, że przymierają

głodem. Czasami byli nie do odróżnienia od zaćpanych hipisów, kilku jednak wyróżniało się w charakterystyczny sposób, na przykład tancerz w błyszczącym trykocie i płomiennej pelerynie upadłego anioła, który sunął bezszelestnie na pointach, szybko mijając zaskoczonych przechodniów. Wśród tych najsłynniejszych był także nieszczęśliwy wizjoner, który odczytywał los w kartach własnego pomysłu i bez przerwy narzekał na potworności tego świata. Zrozpaczony nagromadzeniem zła oraz zachłanności pewnego dnia nie wytrzymał i wydłubał sobie łyżką oczy na samym środku ulicy. Zabrało go pogotowie, ale po kilku dniach był już z powrotem, cichy i uśmiechnięty, bo nie musiał już oglądać okrutnej rzeczywistości. Ktoś porobił dziurki w jego kartach, żeby mógł je rozróżniać, i wróżył z nich nadal, z tym większym powodzeniem, że za życia przeszedł do legendy. Wśród tego tłumu Gregory wypatrywał Carmen. Wędrował w hałasie i zgiełku ulicy, nie dostrzegając jej nigdzie. Była pora Bożego Narodzenia i hałaśliwy tłum przewalał się przez chodniki w pogoni za ostatnimi zakupami. Kiedy wreszcie ją wypatrzył, potrzebował dobrej chwili, by dopasować tę Carmen, którą miał przed oczami, do obrazu, jaki przechowywał we wspomnieniach. Siedziała na krzeselku za przenośnym stolikiem, na którym w błyszczących rządkach leżały jej dzieła. Włosy spadały jej w nieładzie na ramiona, miała na sobie haftowaną w arabeski kamizelkę odaliski, dziwną, ciemną sukienkę z bawełny, przewiazaną w talii jak tunika łańcuchem ze srebrnych i miedzianych monet, a ramiona zakrywały bransolety. Zajęta była parą turystów, którzy widocznie przyjechali ze swej farmy gdzieś na środkowym zachodzie, żeby obejrzeć na własne oczy to skandaliczne Berkeley, jakim racyła ich telewizja. Nie zdawała sobie

sprawy z obecności Grega, a on czekał w pewnej odległości, obserwując ją, ukryty w tłumie ludzi. Przez ten czas uświadamiał sobie, ile razem przeżyli, przypominał sobie gorące sny okresu dorastania, złudzenia, które ona prowokowała, i wierzył, że kocha ją od tamtych zamierzchłych czasów, kiedy spali razem w jednym łóżku w dniu śmierci jego ojca. Wydawało mu się, że bardzo się zmieniła; w jej zachowaniu kryły się wdzięk i pewność, i ujawniły się jeszcze wyraziściej latynoskie rysy. Oczy miała jeszcze czarniejsze, gesty jeszcze bardziej obrazowe, śmiech swobodniejszy. Podróże wyostrzyły intuicję Carmen i nauczyły ją przebiegłości, stąd zmiana stylu i imienia. W owym czasie ukuto określenie „etniczny” dla tych przedmiotów, które pochodziły z miejsc trudnych do znalezienia na mapie, i Carmen przywłaszczyła sobie ten przymiotnik, trafnie odgadując, że nikt tutaj, w takim właśnie środowisku, nie będzie z dumą obnosił biżuterii kupionej na straganie biednej Meksykanki. Napis na jej stoliku głosił: „Tamar. Biżuteria etniczna”. Stojąc nieopodal, Gregory przysłuchiwał się rozmowie przyjaciółki z klientami. Wmawiała im, że jest Cyganką, a oni zawahali się na moment, uznając widocznie, że ich oszuka przy płaceniu. Mówiła z lekkim akcentem, jakiego dawniej nie miała. Gregory wiedział, że nie udaje na pokaz, raczej dla żartu, tak jak bardziej z zamiłowania do kawałów niż z powołania do oszustwa stworzyła sobie tajemniczą przeszłość. Gdyby ktoś przypomniał jej, że jest odrzuconą córką pary nielegalnych imigrantów z Zacatecas, sama by się zdziwiła. W listach opisywała mu ze szczegółami swą nową ekstrawagancką biografię, tworzoną rozdział po rozdziale, jak odcinki serialu, a on ostrzegał ją wielokrotnie, by uważała, bo powtarzając te kłamstwa, sama w nie w końcu uwierzy. Teraz, widząc ją z odległości kilku kroków, zrozumiał, że stała się bohaterką

własnej powieści i że imię Tamar lepiej pasuje do malowniczej sprzedawczynie świecidełek. W pewnej chwili Carmen podniosła wzrok, dostrzegła go i nie mogła stłumić okrzyku.

Padli sobie w ramiona jak dwójka zagubionych dzieci, ale już po chwili odruchowo zaczęli nawzajem szukać swoich ust. Całowali się długo, drżąc z namiętności, która się w nich nagromadziła przez długie lata, strawione na ukrytych pragnieniach. Carmen szybko zgarnęła towar, złożyła swój stolik i patrząc na siebie zachłannym wzrokiem, oboje ruszyli, pchając przed sobą wózek, na którym piętrzyły się pudełeczka z biżuterią, na poszukiwanie jakiegoś miejsca, gdzie mogliby się swobodnie kochać. Było im tak pilno, że nie pozwolili sobie nawet na chwilę rozmowy, oboje pragnęli dotykać się, odkrywać i sprawdzać, czy w rzeczywistości są tacy, jak sobie wyobrażali. Carmen nie chciała dzielić Gregory'ego z nikim, obawiała się, że jeśli pójdą do niej, spotkanie z Joan i Susan będzie nieuniknione. Znała dyskrecję obu przyjaciółek, wiedziała jednak, że trudno będzie uniknąć ich towarzystwa. Gregory myślał widocznie tak samo, bo nie pytając o nic, zaprowadził przyjaciółkę do skromnego hoteliku, którego jedyną zaletą było to, że znajdował się po drodze. W pokoju w pośpiechu zrzucili z siebie ubrania i padli na łóżko, spragnieni, odurzeni pożądaniem. Starli się w gwałtownym, porywczym uścisku, przypuścili szturm właściwie bez wstępnych deklaracji, w tumultcie prześcieradeł i przyspieszonych oddechów. Zmagali się, nie pozwalając na rozejm, póki oboje nie padli wyczerpani i pograżyli się w kilkuminutowej głębokiej drzemce. Carmen przebudziła się pierwsza i uniosła na łokciach, chcąc przyjrzeć się temu mężczyźnie, u którego boku dorastała, a który teraz wydawał jej się obcy. Śnił się jej nieskończenie wiele razy, a teraz oto miała go obok

siebie, nagiego, w zasięgu ust. Ciosy wojny wyrzeźbiły jego ciało, był teraz szczuplejszy i lepiej umięśniony, pod skórą ścięgnią uwidaczniały się jak struny, a na jednej nodze rysowały się niebieskawe żyłki, skutek wypadku, jaki przeżył, kiedy jeszcze pracował fizycznie. Nawet kiedy spał, nie opuszczało go napięcie. Pocałowała go melancholijnie: wymarzyła sobie inne spotkanie, nie coś w rodzaju gwałtu, wyniszczającej walki. Właściwie nie kochali się, robili coś, co pozostawiło Carmen posmak grzechu. Miała wrażenie, że Gregory nie do końca jest przy niej, że duchem jest nieobecny, że całuje nie ją, lecz jakieś widmo z przeszłości czy wytwór koszmarnych snów. Zabrakło im czułości, partnerstwa, radości; nie szeptał jej imienia, nie patrzył jej w oczy. Ona także nie była w najlepszej formie, nie wiedziała jednak, na czym polega błąd. Gregory wyznaczył tempo i wszystko wydarzyło się tak nagle, że pograżyła się w ciemnej dżungli, z której powoli wraca do siebie, czując się gorąca, wilgotna, trochę obolała i smutna. Miłosne niepowodzenia nie zniszczyły w niej naturalnych zasobów czułości. Gotowa przyjąć z otwartymi ramionami, zderzyła się z nieoczekiwanym oporem przyjaciela, na którego czekała od dziecka. Przypisywała to jego wojennym przejściom i nie traciła nadziei, że znajdzie jeszcze szparę, przez którą przeniknie do jego duszy. Pochyliła się, by go jeszcze raz pocałować i wtedy przebudził się gwałtownie, zasłaniając obronnym gestem, ale ujrawszy ją uśmiechnął się i po raz pierwszy wyglądał na wypoczętego. Ujął ją za ramiona i przytulił.

- Jesteś samotny i waleczny jak kowboj z jakiegoś westernu, Greg.

- W życiu nie siedziałem na koniu, Carmen.

Nie zdawał sobie sprawy, jak właściwą diagnozę postawiła przyjaciółka i jak trafna przepowiednia kryła się w jej

słowach. Samotność i walka istotnie wyznaczyły jego los. Napłynęły do niego falą wspomnienia, które starał się wyrzucić z pamięci i poczuł głęboką gorycz, jakiej nie potrafił z nikim dzielić, nawet z Carmen w tej chwili największej intymności. Rósł jak chwast w ogrodzie przy jej domu, bez wody ani ręki ogrodnika, otoczony metafizycznymi rojeniami ojca, niewzruszonym milczeniem matki, uporczywą urazą siostry i przemocą dzielnicy, znosząc przejawy agresji z powodu koloru skóry i dziwactw rodziny, rozdarty nieustannie między sentymentalnym zewem własnej krwi a tą gorącą walką, dziką energią, jaka doprowadzała go do wrzenia krwi i szaleństwa. Jedną jego naturą kazała mu ulegać współczuciu, drugą popychała do gwałtu. Żył usidlony na zawsze przez te dwie zmagające się, przeciwne sobie natury, które dzieliły go na dwie nie dające się pogodzić połowy, szarpany jakimś wewnętrznym szponem, przez co czuł się odsunięty od innych. Uważał, że jest skazany na samotność. Pogódź się z tym wreszcie i przestań o tym myśleć, Greg, rodzimy się, żyjemy i umieramy samotnie, uspokajał go Cyrus, w życiu zaznasz cierpienia i nieładu, ale przede wszystkim samotności, istnieją całe teorie filozoficzne, ale jeżeli wolisz opowieści o rajskim ogrodzie, zważ, że w ten właśnie sposób ukarano rodzaj ludzki za zjedzenie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Ta idea wywoływała u Reevesa gwałtowny odruch buntu, nie chciał pozbywać się złudzeń dzieciństwa, że troski życia znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W owych latach, kiedy ukrywał się w piwnicy własnego domu, ścigany przez irracjonalny lęk, wyobrażał sobie, że pewnego dnia obudzi się wolny od tego głuchego bólu głęboko wewnątrz ciała; wszystko było kwestią dopasowania się do zasad i reguł przyzwoitości. Nie doszło jednak do tego. Przebrnął przez rytuały inicjacji i

kolejne etapy drogi ku męskości, sam się wszystkiego nauczył, znosząc w milczeniu ciosy i kopniaki, wierny narodowemu ideałowi człowieka wolnego, niezależnego i dumnego. Uważał się za dobrego obywatela, gotowego płacić podatki i stanąć w obronie ojczyzny, ale gdzieś kryła się zdradziecka pułapka i zamiast spodziewanej nagrody wpadał po uszy w błoto. Nie wystarczyło jedynie spełniać życzenia i zaspokajać potrzeby - życie było niczym nienasycona narzeczona, która wymaga coraz większego wysiłku i coraz większej śmiałości. W Wietnamie nauczył się, że trzeba pogwałcić wiele zasad, aby przeżyć, że świat nie należy do nieśmiałych, lecz do odważnych. W prawdziwym życiu lepiej się wiedzie nikczemnikowi niż bohaterowi. Na wojnie nie było rozwiązań moralnych, nie było również zwycięzców, wszyscy uczestniczyli w tej samej całkowitej klęsce i teraz, w zwyczajnym życiu cywila, dochodził do wniosku, że rządzi nim te same prawa, gotowy był jednak uciec od tego przekleństwa. Spróbuję się wspiąć na najwyższą grzędę w tym kurniku, chociażbym miał znaleźć się powyżej własnej matki, mówił często, goląc się przed lustrem w łazience, zobaczymy, czy jak to jeszcze parę razy powtórzę, to uda mi się przezwyciężyć poczucie zniechęcenia, z którym budzę się każdego ranka. Nie potrafił z nikim o tym rozmawiać, nawet teraz z Carmen. Poczul, że jej włosy muskają mu usta, wdychał jej zapach drapieżnej syreny i poddał się znowu głosowi własnych zmysłów. Widział gibkie ciało przyjaciółki w półmroku, słyszał jej śmiech i westchnienia, poczul, że jej sutki drżą pod dotknięciem jego dłoni i przez krótką, zbyt krótką chwilę wierzył, że zdjęto z niego klątwę samotności, wkrótce jednak przyspieszone pulsowanie jego brzucha i chaotyczne uderzenia serca przerwały to złudzenie i pogrążał się coraz głębiej w przepastną

otchłań rozkoszy, ostateczne i najskrajniejsze odosobnienie.

Ubrali się dużo później, kiedy potrzeba odetchnięcia świeżym powietrzem i zjedzenia czegoś innego niż pizza popijana ciepłym piwem - jedyne, co mógł zaoferować hotelik - przywróciła im poczucie rzeczywistości. Znaleźli czas, by móc się pieścić bez pośpiechu i porozmawiać o ostatnich wydarzeniach, skończyć rozpoczynane latami przez telefon rozmowy, powrócić wspomnieniami do Juana José, opowiadać o straconych złudzeniach, nieudanych miłościach, niedokończonych projektach, nagromadzonych przeżyciach i zmartwieniach. Przez te godziny Carmen stwierdziła, że Gregory zmienił się nie tylko zewnętrznie, lecz także wewnętrznie, przypuszczała jednak, że z czasem zatrą się w jego pamięci potworne wspomnienia i stanie się na powrót taki, jak przedtem: wspaniałym, sentymentalnym, a zarazem wesołym przyjacielem, z którym przed laty wygrywała w konkursach rock'n'rolla, powiernikiem, bratem. Nie, bratem już nigdy, pomyślała z żalem. Kiedy wyczerpała się w nich ciekawość wzajemnego poznania, ubrali się i wyszli na ulicę, pozostawiając wózek z biżuterią w pokoju. Siedząc przy parujących dzbankach z kawą i chrupiących grzankach, spoglądali na siebie w czerwonym świetle popołudnia i nie czuli się ze sobą wygodnie. Nie wiedzieli, skąd wziął się ten cień między nimi, żadne nie mogło jednak zlekceważyć jego zgubnych skutków. Zaspokoiли tajone pożądanie, ale nie doszło między nimi do prawdziwego zbliżenia, nie stali się jednym duchem ani nie objawiło im się uczucie zdolne zburzyć ich dotychczasowe życie, jak to sobie wyobrażali. Ubrani i zaspokojeni zrozumieli, jak różne są ich drogi: zgadzają się w niewielu sprawach, ich zainteresowania są różne, nie mają wspólnych planów ani skali wartości.

Kiedy Gregory wyjawiał, że jego ambicją jest zostać adwokatem i robić pieniądze, przyjaciółka myślała, że żartuje, bo taka pazerność zupełnie do niego nie pasowała; gdzie podziały się jego ideały, książki, które go inspirowały i dyskusje z Cyrusem, które tyle razy zanudzały ją w młodości, i z których się śmiała, żeby mu podokuczać, ale na dłuższą metę przyjęła za własne. Przez całe lata była przekonana, że ona sama jest dalece bardziej frywolna niż Gregory i uznała go za swego przewodnika, teraz zaś poczuła się zdradzona. Jemu z kolei nie starczało cierpliwości, żeby wysłuchać opinii Carmen na jakikolwiek istotny temat, od wojny do hipisów, wydawały mu się bzdurnymi uwagami rozpieszczonej dziewczyny, która otarła się o kręgi artystyczne, ale w życiu niczego naprawdę nie potrzebowała. To, że miała poczucie, że się w pełni realizuje, sprzedając świecidełka na ulicy i że zamierza spędzić resztę życia jak włóczęga popychający swój wózek i żyjący powietrzem, ramię w ramię z osobami niespełna rozumu i nieudacznikami, było dostatecznym dowodem na jej niedojrzałość.

- Stałeś się kapitalistą - oświadczyła zdruzgotana Carmen.

- A czemu nie? Przecież ty nie masz najmniejszego pojęcia, kto to jest kapitalista! - odparł Gregory, a ona nie umiała wytłumaczyć, dlaczego zamiera jej serce i zaplątała się w dywagacjach, które brzmiały jak paplanina nastolatek.

Oplacili pokój w hotelu na drugą noc, ale przy trzeciej filiżance kawy, każde z nich pogrążyło się we własnych myślach i po wieczornym spacerze, kiedy przyglądali się przez chwilę ulicznemu spektaklowi, ona oświadczyła, że powinna zabrać swoje rzeczy z hotelu i wrócić do domu, bo ma dużo zaległej pracy. Oszczędziło to Reevesowi konieczności

wymyślania na poczekaniu jakiejś nieudolnej wymówki. Pożegnali się szybkim pocałunkiem w usta i niezobowiązującą obietnicą, że wkrótce się zobaczą. Nie mieli skontaktować się ze sobą przez następne dwa lata, kiedy to Carmen Morales zadzwoniła do Gregory'ego z prośbą o pomoc, bo musi sprowadzić dziecko z drugiego krańca świata.

Timothy Duane zaprosił Reevesa na kolację do rodziców i bez żadnych wstępów zapewnił mu to, czego ten potrzebował, żeby stanąć na nogach. Duane przywitał przyjaciela zwykłym uściskiem dłoni, jakby widzieli się po krótkim urlopie, i tylko błysk w jego spojrzeniu zdradzał radość z ponownego spotkania. Jednakże tak jak inni nie chciał słyszeć o wojnie. Gregory miał wrażenie, że zrobił coś, czego powinien się wstydzić, że jego powrót z Wietnamu jest niczym wyjście z więzienia po odsiedzeniu długiego wyroku; ludzie udawali, że nic się nie stało, traktowali go z przesadną uprzejmością albo całkowicie ignorowali, nie było miejsca dla żołnierzy poza polem bitwy. Kolacja u Duane'ów była formalna i nudna. Drzwi otworzyła piękna, stara Murzynka w błyszczącym uniformie i poprowadziła Reevesa do salonu. Zaskoczony zobaczył, że nie ma tam centymetra ściany ani podłogi bez ozdób; nagromadzenie obrazów, gobelinów, rzeźb, mebli, dywanów i roślin nie pozostawiało pustej przestrzeni, która pozwoliłaby wypocząć oczom. Ujrzał stoliki inkrustowane masą perłową i złotym filigranem, hebanowe krzesła z jedwabnymi poduszkami, srebrne klatki z wypchanymi ptakami, a do tego kolekcję porcelany i szkła, jakiej nie powstydziłoby się żadne muzeum. Timothy wyszedł mu na spotkanie.

- Co za luksus! - wyrwało się Reevesowi zamiast powitania.

- To ona jest jedynym luksusem w tym domu. Przedstawiam ci Bel Benedict - odpowiedział przyjaciel, wskazując na służącą, która rzeczywiście wyglądała jak afrykańska rzeźba.

Gregory poznał w końcu ojca przyjaciela, o którym ten tak źle mówił, sztywnego, suchego patriarchę, który każdym zdaniem musiał podkreślać własną pozycję. Ten wieczór mógł zapisać się w pamięci Reevesa jako coś odrażającego, gdyby nie orchidee, które uratowały spotkanie i otworzyły mu wrota do adwokackiej kariery. Stary Balcescu zaszczerpił w nim kiedyś nieuleczalną, botaniczną pasję, która objawiała się początkowo namiętnością do róż, a z czasem rozszerzyła się też na inne rośliny. W tym pałacu, przeładowanym dziełami sztuki, najbardziej przykuwały uwagę orchidee, hodowane przez matkę Timothy'ego. Było ich tysiące, w różnych kształtach i kolorach, jedne stały w donicach, inne zwieszały się z sufitu, niektóre pięły się po pniach drzew, a część rosła dziko w wewnętrznym ogródku jak w dżungli, gdzie pani domu odtworzyła amazoński klimat. Podczas gdy pozostali goście pili kawę, Gregory wymknął się do ogrodu podziwiać kwiaty i spotkał tam starca o diabolicznych brwiach i sztywnej posturze, który podobnie jak on zachwycał się roślinami. Wymienili uwagi na ich temat, nawzajem zaskoczeni swoją wiedzą. Człowiek ten okazał się jednym z najbardziej znanych adwokatów w kraju, ośmiornicą, której macki obejmowały całą zachodnią część, i kiedy dowiedział się, że Reeves szuka pracy, dał mu swoją wizytówkę i zaprosił na rozmowę. Tydzień później zatrudnił go we własnej firmie.

Gregory Reeves był jednym z sześćdziesięciu jednakowo ambitnych profesjonalistów, nie wszyscy jednak odznaczyli

się taką jak on determinacją. Nad sobą mieli trzech szefów, którzy zbili miliony na ludzkich nieszczęściach. Kancelaria zajmowała trzy piętra wieżowca w centrum miasta, skąd widać było zatokę w obramowaniu konstrukcji ze szkła i stali. Okien nie dawało się otworzyć, oddychano powietrzem przetworzonym przez klimatyzatory, a system oświetlenia sufitowego stwarzał złudzenie wiecznego dnia polarnego. Liczba okien w biurze zależała od ważności osoby, która je zajmowała. Reeves na początku nie miał żadnego, dopiero kiedy opuszczał kancelarię siedem lat później, dysponował dwoma, przez które ledwie było widać budynek z naprzeciwka i nic nieznaczący kawałek nieba, ale stanowiły one widoczny dowód jego awansu w hierarchii firmy i na drabini społecznej. W biurze nie brakowało również donic z kwiatami i wytwornej kanapy z angielskiej skóry, która zdolna była znieść wiele, nic nie tracąc ze swej stoickiej godności. Przez mebel ten przewinęły się tłumy kolegów i niezliczona liczba sekretarek, przyjaciółek i klientek, które dzięki niemu załatwiały swoje nudne sprawy dotyczące spadków, ubezpieczeń i podatków. Po krótkim czasie szef odwiedził go pod pretekstem wymiany informacji o różnych gatunkach paproci, a potem zaprosił parę razy na obiad. Obserwując go z pewnej odległości, zauważył przebojowość i zapał nowego pracownika i szybko zaczął mu podrzucać najciekawsze przypadki, żeby wypróbować jego zawodową skuteczność. Znakomicie, Reeves, tylko tak dalej, a zanim się obejrzyysz, będziesz moim wspólnikiem, gratulował mu od czasu do czasu. Gregory podejrzewał, że to samo mówi także pozostałym pracownikom, ale w ciągu dwudziestu pięciu lat niewiele osiągnęło tak wysokie stanowisko w kancelarii. Nie łudził się próżnymi nadziejami na poważny awans, zdawał sobie

sprawę, że jest wykorzystywany, pracował po dziesięć-piętnaście godzin dziennie, ale traktował to jako trening przed założeniem własnej firmy i nie skarżył się. Prawo stanowiło pajęczynę biurokratycznych czynności i za utalentowanego uchodził ktoś, kto umiał być pajakiem, a nie muchą. System prawny przekształcił się w zespół reguł tak ze sobą splątanych, że nie służyły już zupełnie celom, dla których je stworzono, a już najmniej stosowaniu prawa, gmatwały je bowiem do szaleństwa. Jego celem nie było poszukiwanie prawdy, karanie winnych i dawanie satysfakcji ofiarom, jak uczono Reevesa na studiach, ale wygranie sprawy wszelkimi dostępnymi środkami. Żeby osiągnąć sukces, należało orientować się w nawet najbardziej absurdalnych kruczkach prawnych i posługiwać się nimi we własnym interesie. Ukrywanie dokumentów, wprowadzanie w błąd świadków, fałszowanie dat należało do codziennych praktyk, wyzwanie polegało na tym, żeby umieć zrobić to skutecznie i dyskretnie. Karząca ręka sprawiedliwości nie powinna była nigdy dosięgać klientów zdolnych opłacić sprytnych adwokatów firmy. Życie Reevesa popłynęło w takim kierunku, jakiego obawiali się matka i Cyrus, stracił znaczną część złudzeń dotyczących zawodu i traktował pracę jak kolejne stopnie kariery. Pozbył się także złudzeń co do innych kwestii, zwłaszcza miłości i rodziny. Rozwód z Samantha przebiegł bez niepotrzebnej agresji i zakończył się ugodą, której warunki ustalili oboje we włoskiej restauracji, między jednym a drugim kieliszkiem chianti. Nie mieli majątku do podziału, Gregory zgodził się płacić żonie alimenty i pokrywać koszty utrzymania Margaret. Przy pożegnaniu zapytał, czy może zabrać beczki z krzewami róż. Kwiaty, zapomniane przez długi czas, zmieniły się w suche badyle i pragnął je odychać. Samantha nie miała nic przeciwko temu, zaoferowała

mu także drewnianą balie, pozostałość po nieudanej próbie porodu w wodzie, w której ewentualnie mógłby założyć domowy ogródek. Początkowo Gregory co tydzień odwiedzał córkę, szybko jednak wizyty zostały ograniczone: Margaret czekała na ojca z listą rzeczy, które powinien jej kupić, a gdy tylko zaspokoił te kaprysy, przestawała zwracać na niego uwagę i sprawiała wrażenie, że jej przeszkadza. Przez długi czas nie odzywał się również do Judy ani do matki, nie dzwonił też do Carmen, usprawiedliwiając się przed samym sobą, że jest bardzo zajęty pracą.

Spotkania towarzyskie stanowiły podstawę sukcesu w karierze, przyjaźnie zawiera się po to, żeby otwierały drzwi, powtarzali mu koledzy z kancelarii. Powinien znajdować się we właściwym miejscu, o właściwej porze i z właściwymi ludźmi. Sędziowie dzielili wspólny klub z adwokatami, których potem spotykali na rozprawach, między przyjaciółmi panowało pełne zrozumienie. Sporty nie były najmocniejszą stroną Reevesa, ale zmusił się do gry w golfa, ponieważ dawało mu to możliwość nawiązywania kontaktów. Tak jak kiedyś zamierzył, kupił łódź, żeby móc ubierać się na biało i żeglować w towarzystwie zazdrosnych kolegów i kobiet do pozazdroszczenia, nigdy jednak nie zrozumiał kaprysów wiatru ani sekretów żagli; każda wyprawa po zatoce była prawdziwą tragedią, aż w końcu łódź zbutwiała, opuszczona przy molo, pełna mewich gniazd na masztach i pokryta gąszczem gnijących wodorostów. Dzieciństwo Gregory'ego upłynęło w biedzie, a młodość w niedostatku, pożywką dla niego były filmy, które zaszczerpiły mu upodobanie do życia na szerokiej stopie. W dzielnicowym kinie naoglądał się filmów, w których mężczyźni nosili smokingi, kobiety suknie z lamy, a do stołów z kandelabrami usługiwali lokaje w libe-rii. Fascynował go cały ten świat, mimo że należał do urojonej

przeszłości, wykreowanej w Hollywood, i praktycznie nie dawał się przenieść we współczesną rzeczywistość. Może dlatego właśnie zakochał się w Samancie, łatwo bowiem było wyobrazić ją sobie w roli filmowej heroiny - zimnej i dystyngowanej blondynki. Zaczął szyć garnitury na miarę u chińskiego krawca, najdroższego w mieście, tego samego, który ubierał starego adwokata uwielbiającego orchidee i innych magnatów, kupować jedwabne koszule i nosić złotą biżuterię z wygrawerowanymi inicjałami. Krawiec okazał się również dobrym doradcą: zakazał mu używania kolorowego obuwia, krawatów w grochy, spodni w kratę i tym podobnych szczegółów, wyrabiając stopniowo u swego klienta dobry gust w kwestii ubioru. Reeves miał również szczęście, znaleźć zdolną nauczycielkę przy dekoracji wnętrza domu. Na początku kupował na kredyt wszystko, co tylko przyciągało jego uwagę, kierując się zasadą, że im większe i staranniej wykonane, tym lepsze, starając się odtworzyć w mniejszym wymiarze dom rodziców Duane'a. Uznał, że to styl przyjęty przez arystokrację, nie mógł jednak pozwalać sobie na większe ekstrawagancje, choćby się nawet zadłużył. Zaczął kolekcjonować antyki z drugiej ręki: meble, żyrandole, wazy, zdobył nawet dwa posągi Abisyńczyków z brązu naturalnej wielkości w turbanach i bamboszach. Jego dom zaczynał już przypominać turecki bazar, kiedy dzięki szczęśliwemu trafowi spotkał młodą dekoratorkę wnętrz, która uratowała go od popadnięcia w zupełne bezguście. Poznał ją na jakimś przyjęciu i tej samej nocy rozpoczęli gwałtowny, acz ulotny romans, o tyle istotny w życiu Gregory'ego, że lekcji tej kobiety nie miał nigdy zapomnieć. Nauczyła go, że ostentacja jest wrogiem elegancji, co całkowicie klóciło się z kryteriami, przyjętymi w dzielnicy latynoskiej, i na co sam nigdy by nie

wpadł. Zaczęła usuwać niemal wszystko, co do tej pory zgromadził, łącznie z posągami Abisyńczyków, które sprzedała za niebotyczną sumę hotelowi Saint Francis, gdzie do dziś można je podziwiać u wejścia do baru. Zostawiła jedynie cesarskie łożo, beczki z krzewami róż i balię do porodu w wodzie, przekształconą w pojemnik pełen roślin. Przez pięć tygodni wspólnie przeżywanej namiętności całkowicie odmieniła wnętrze domu, nadając mu prosty i funkcjonalny wygląd. Poleciała pomalować ściany na biało i wyłożyć podłogę dywanem w kolorze piaskowym, po czym towarzyszyła Gregory'emu przy zakupie nowoczesnego umeblowania. Swoje instrukcje powtarzała z emfazą: mało, lecz dobrej jakości, neutralne kolory, minimum ozdób, a jak masz wątpliwości, powstrzymaj się. Dzięki jej radom dom zyskał klasztorną surowość i zachował ten styl do chwili, gdy parę lat później właściciel wstąpił w ponowny związek małżeński. Reeves nigdy nie opowiadał o swoich wietnamskich przejściach. Po części dlatego, że nikt nie miał ochoty słuchać, przede wszystkim jednak w przekonaniu, że milczenie uleczy go wreszcie ze wspomnień. Pojechał do Wietnamu gotów stanąć w obronie interesów ojczyzny, mając głowę naładowaną postaciami bohaterów, a wrócił przegrany, nie pojmując, po co jego koledzy giną za miliony i zabijają bez najmniejszych wyrzutów sumienia na obcej ziemi. W tym czasie wojna, której na początku towarzyszyło euforyczne poparcie opinii publicznej, zmieniła się w narodowy koszmar, a fala pokojowych protestów przeciwko polityce rządu rozszerzała się. Nikt nie potrafił zrozumieć, że wysła się ludzi w kosmos, a nie można raz wreszcie zakończyć tego przewlekłego konfliktu. Żołnierzy nie traktowano po powrocie z szacunkiem i podziwem, jak to im obiecywano przed

wysłaniem na front, ale z wrogością gorszą jeszcze niż ta, której doznawali w Wietnamie. Patrzono na nich jak na zabójców i nikogo nie obchodziło, co naprawdę przeżywają. Wielu z tych, którzy przetrzymali trudy walki, załamało się właśnie po powrocie, kiedy przekonali się, że nie ma dla nich miejsca w społeczeństwie.

- To jest kraj ludzi sukcesu, Greg, jedyna rzecz, jakiej ci nie wybaczą to klęska - powiedział mu Timothy Duane. - Nikt się nie zastanawia, czy ta wojna jest moralna i sprawiedliwa, nie mamy zamiaru słuchać o stratach własnych, a co dopiero nieprzyjacielskich, po prostu wkurwia nas to, że nie udało nam się wygrać i że wycofujemy się stamtąd z podwiniętym ogonem.

- Tu mało kto wie, co to naprawdę jest wojna, Tim. Nigdy nie przeżyliśmy inwazji z zewnątrz ani bombardowań, przez sto lat wszędzie walczyliśmy, ale od wojny secesyjnej nie słyszeliśmy we własnym kraju armatniego wystrzału. Ludzie nie mają pojęcia, jak wygląda płonące miasto. Zmieniliby zdanie, gdyby to ich dzieci ginęły rozerwane granatami, domy obracano w kupę popiołu i nie mieliby co włożyć do ust - odparł Reeves przy jedynej okazji, kiedy poruszyli temat wojny wietnamskiej.

Nie tracił sił na nic niewarte wylewanie żalów i postawił sobie za cel przeskoczyć wszystkie klody rzucane mu pod nogi, zużywając na to taką samą energię, jak ta, która pchnęła go do wydostania się z Wietnamu. Nie wycofał się ani o krok z podjętego w hawajskim szpitalu postanowienia, że osiągnie sukces, i dopiął swego: parę lat po zakończeniu wojny uchodził za wzór człowieka sukcesu i manewrował swoim życiem z wprawą żonglera, równą tej, jaką osiągnęła Carmen, utrzymując w nieustannym ruchu w powietrzu pięć kuchennych noży. Wtedy to zaspokoił wszystkie swoje ambicje,

miał więcej pieniędzy, kobiet i prestiżu, niż kiedykolwiek mógł zamaryć, ale mimo to brakowało mu spokoju. Nikt nie przypuszczał, że jakakolwiek troska przygniata niczym wór kamieni jego barki, bo na wszystkich sprawiał wrażenie pewnego siebie bufona na luzie, poza Carmen, przed którą nigdy nie zdołał nic ukryć, ale tym razem ona także nie umiała mu pomóc.

- To tak jak na korridzie - mówiła - stoisz na arenie, ale nie masz za grosz powołania toreadora.

Czego szukałem w kobietach? Nadal sam nie wiem. Nie starałem się odnaleźć drugiej połówki swojej duszy, żeby poczuć się wreszcie jednością, ani nic z tych rzeczy. W tamtym czasie byłem za mało dojrzały na takie refleksje, potrzebowałem czegoś całkowicie ziemskiego. Od przyjaciółek wymagałem czegoś, czego sam nie umiałem nazwać, a kiedy mi tego nie dawały, ogarniało mnie przygnębienie. Sprytniejszych ode mnie rozwód, wojna i wiek wyleczyłyby z romantycznych uniesień, ale nie mnie. Z jednej strony starałem się zawlec każdą kobietę do łóżka wyłącznie po to, by zaspokoić własny seksualny apetyt, z drugiej wściekałem się, kiedy żadna nie odpowiadała moim skrytym, sentymentalnym pragnieniom. Pomieszanie z poplątaniem. Przez parę miesięcy byłem tak skołowaciały, że każde pójście do łóżka kończyło się wściekłym atakiem melancholii i pragnąłem jedynie umknąć jak najdalej. Przecież tak właśnie było z Carmen, miała słuszne powody, by przez kilka lat nie chcieć mnie oglądać, prawdopodobnie mnie znienawidziła. Kobiety są jak żarłoczne pająki, jeśli się od nich nie uwolnisz, nigdy nie będziesz mógł być sobą i będziesz żył tylko po to, by je zaspokajać, ostrzegął mnie Timothy Duane, który co tydzień

spotykał się z kolegami, żeby pogadać o kłopotach rodzaju męskiego, ginącego w waginie feminizmu. Nie zwracałem na niego większej uwagi, mój przyjaciel nie jest najlepszym ekspertem w tych sprawach. W młodości nie miałem dość tupetu ani wiedzy, by w jakiś metodyczny sposób uganiać się za dziewczynami, zachowywałem się raczej jak napalony szczeniak i rezultaty były oplakane. Samancie byłem wierny aż do owej nocy, kiedy przyszła na mnie kolej zdjęć pikowny szlafroczek w kolorze truskawkowych lodów nauczycielce matematyki, która wcale tego nie chciała. Nie jestem dumny z tej lojalności, jakiej Samantha w żaden sposób nie odwzajemniała, przeciwnie, uważam, że zachowywałem się jak idiota, jakby nie było dość, że rogakcz. Kiedy ponownie stałem się wolny, gotów byłem wykorzystać wszystkie dobre strony rewolucji obyczajowej: zniknęły dawne strategie zdobywania, nikt nie bał się diabła, złych języków ani niechcianej ciąży. Wystawiłem na ciężką próbę łoża we własnym domu, niezliczone łóżka hotelowe, a nawet solidne brytyjskie sprężyny sofy we własnym biurze. Szef ostrzegł mnie sucho, że jeżeli usłyszy jakiegokolwiek skargi od pracownic, natychmiast stracę posadę. Nie przywiązywałem do tego większej wagi, ale przyznaję, że miałem dużo szczęścia, bo albo nikt nie naskarżył, albo plotki nie dotarły do jego uszu. Zarezerwowaliśmy sobie z Duane'em jedną noc w tygodniu, żeby wyjść poszaleć, wymienialiśmy adresy i prowadziliśmy spis kandydatek. Dla niego był to sport, dla mnie obłęd. Mój przyjaciel był dobrym chłopakiem, przystojnym i bogatym, ale ja tańczyłem lepiej, umiałem zagrać ze słuchu na wielu instrumentach i gotować, a te drobiazgi wzbudzają zainteresowanie niektórych kobiet. Każdy z nas uważał, że ma nieodparty urok osobisty, choć opinia ta brała się stąd, że postawiliśmy na ilość, a nie jakość, wiązaliśmy się z każdą,

która przyjmowała nasze zaproszenie, i nie mogę powiedzieć, żebyśmy byli wybredni. Kiedyś zakochaliśmy się obaj w swobodnej i zachłannej Filipince, którą zamęczaliśmy naszymi propozycjami w ostrym wyścigu, kto pierwszy ją zdobędzie, ona jednak zostawiła nas daleko w tyle, oświadczając któregoś razu bez ogródek, że zamierza to zrobić z jednym i drugim. Ta salomonowa ugoda została zerwana przy pierwszym podejściu, nie byliśmy bowiem w stanie sprostać takiej rywalizacji. Ta historia spowodowała, że od tam dzielił się dziewczynami w sposób tak prozaicznie bezwzględny, że gdyby którakolwiek się o tym dowiedziała, nie przyjęłaby naszego zaproszenia. W moim notesie figurowała setka imion i wydzwaniałem regularnie, ale to mi nie wystarczało. Gdy tylko pojawiała się na horyzoncie następna, mniej lub bardziej atrakcyjna, atakowałem ją tak samo szybko, jak potem porzucałem. Sądzę, że przez cały czas kierowało mną złudzenie, że któregoś dnia spotkam idealną towarzyszkę życia i to całkowicie usprawiedliwiało poszukiwania. Tak samo piłem wino, choć wywoływało u mnie alergię, licząc na to, że odkryję jakąś idealną butelkę, i podróżowałem po świecie latem, przejeżdżając pędem z jednego miasta do drugiego w gorączkowej pogoni za jakimś cudownym miejscem, gdzie czułbym się absolutnie szczęśliwy. Szukając, bez końca szukając, ale szukając gdzieś poza sobą.

W tym okresie mojego życia seksualność równoważyła gwałty wojny, był to zdeprawowany sposób nawiązywania kontaktów, który tak czy inaczej pozostawiał mnie w próżni. Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy, że każde spotkanie czegoś mnie uczy, że nie kręcę się w kółko jak ślepiec, ale poruszam się spiralnym ruchem w górę. Moje dojrzewanie przebiegało w kolosalnym wysiłku, zgodnie z przewidywaniami Olgi. Jesteś silną i upartą bestią, nie będziesz miał

łatwego życia, przyjdzie ci wiele przeżyć, mówiła. Była moją pierwszą nauczycielką w tych sprawach, które miały w szczególności wpłynąć na kształtowanie się mojego charakteru. W wieku szesnastu lat nie tylko miałem dzięki niej możliwość przeżywania pierwszych erotycznych doświadczeń, jej najważniejsza lekcja dotyczyła podstaw istnienia prawdziwego związku między kobietą a mężczyzną. Nauczyła mnie, że miłość polega na wzajemnym otwarciu się, uznaniu i poddaniu. Miałem szczęście, niewielu bowiem mężczyznom trafia się okazja nauczyć się tego w młodości, nie umiałem jednak tego docenić i szybko o tych naukach zapomniałem. Miłość to muzyka, a seks to tylko instrument, mówiła Olga, ale musiałem przeżyć połowę życia, żeby odnaleźć swój punkt oparcia i dlatego tyle mnie kosztowało nauczyć się grać. Uporczywie poszukiwałem miłości tam, gdzie nie mogłem jej znaleźć, a w tych nielicznych przypadkach, kiedy mi się objawiała, nie potrafiłem jej dostrzec. Moje związki były gwałtowne i ulotne, nie mogłem poddać się żadnej kobiecie ani jej w pełni uznać. Wyczuła to Carmen przy tej jedynej okazji, kiedy poszliśmy do łóżka, ale ona sama nie przeżyła jeszcze wtedy żadnej prawdziwej miłości i tyle wiedziała co ja, tak więc żadne z nas nie mogło prowadzić partnera po miłosnych ścieżkach. Nie знаła jeszcze wtedy prawdziwej intymności, przyjaciele albo ją poobrazali, albo porzucili, nie ufała nikomu, a kiedy zapragnęła związku ze mną, ja także ją zawiodłem. Jestem przekonany, że w dobrej wierze próbowała zaakceptować mnie duszą, tak jak uznała ciałem. Carmen ma wrodzoną serdeczność, instynkt i współczucie, potrafi okazać czułość każdemu, ale nie byłem na to przygotowany i kiedy potem pragnąłem się do niej zbliżyć, było już za późno. Próżno płakać nad rozlanym mlekiem, jak mawia Inmaculada, życie kryje wiele niespodzianek

i w świetle tego, co mi się do tej pory przydarzyło, może to i lepiej. W owym czasie kobiety, tak jak ubranie czy samochód, były symbolem władzy, jedna zastępowała drugą, nie pozostawiając śladów, jak świętojańskie robaczki w szalonym, niepotrzebnym tańcu. Jeżeli którakolwiek z moich przyjaciółek płakała potajemnie, odkrywszy, że nie ma szans związać się ze mną na dłużej, nie zachowało się to w mojej pamięci, nie prowadzę także szczegółowego spisu przypadkowych partnerek. Nie mam ochoty przywoływać z pamięci twarzy kochanek z epoki mojej seksualnej wolności, a gdybym tego zapragnął, przypuszczam, że znalazłbym jedynie puste stronicę.

Moralesowie otrzymali list, który miał odmienić los Carmen, i odczytali go jej przez telefon: „Pani Carmen, powierzam Pani mojego syna, ponieważ brat Pani, Juan José, pragnął, by wychował się w Stanach Zjednoczonych. Nazywa się Dai Morales, ma rok i dziewięć miesięcy, jest bardzo zdrowy. Będzie dobrym synem dla Pani i dobrym wnukiem dla swoich szanownych dziadków. Proszę, żeby Pani szybko po niego przyjechała. Jestem chora i długo nie pożyję. Pozdrawiam Panią z szacunkiem. Thui Nguyen”.

- Wiedziałaś, że Juan José miał tam w Azji jakąś kobietę? - spytał Pedro Morales córkę i po jego głosie znać było, że usiłuje zachować spokój, gdy tymczasem w kuchni Inmaculada miała w dłoniach chusteczkę, nie wiedząc, czy cieszyć się, że ma jeszcze jednego wnuka, czy przychylić się do opinii męża, że sprawa pachnie jakimś oszustwem.

- Tak, wiedziałam też o dziecku - skłamała Carmen, która w niecałe piętnaście sekund zaadoptowała bratanek całą duszą.

- Nie mamy dowodów, że Juan José rzeczywiście jest ojcem.

- Powiedział mi o tym przez telefon.

- Ta kobieta mogła go oszukać. Nie po raz pierwszy łapie się żołnierza na taką historię. Zawsze wiadomo, kto jest matką, ale co do ojca nigdy nie ma pewności.

- W takim razie sam nie możesz być pewien, że jestem twoją córką, tatusiu.

- Miejże dla mnie trochę szacunku! A dlaczego nie powiedziałaś mi, skoro wiedziałaś?

- Nie chciałam, żebyście się martwili. Myślałam, że nigdy nie ujrzemy tego dziecka. Pojadę po małego Daia.

- To nie będzie proste, Carmen. Nie możemy go przerzucić przez granicę ukrytego w sałacie, jak paru moich meksykańskich znajomych swoje dzieci.

- Przywiozę go, tatusiu, możesz być pewien.

Zadzwoiła natychmiast do Reevesa, z którym wprawdzie od dawna nie rozmawiała, ale prosto z mostu opowiedziała mu całą historię, tak wzruszona i rozentuzjasmowana myślą, że zostanie przybraną matką, że zabrakło jej nawet słów współczucia dla umierającej w Wietnamie kobiety, nie mówiąc już, że zapomniała nawet zapytać przyjaciela, co u niego słyhać. Sześć godzin później Greg przyjechał, żeby wyjaśnić jej całą złożoność sprawy. W tym czasie wszystkiego się dowiedział i okazało się, niestety, że Pedro Morales miał rację: sprowadzenie dziecka do kraju to skomplikowane zadanie. Spotkali się w restauracji Joan i Susan, cieszącej się obecnie taką renomą, że polecały ją nawet turystyczne przewodniki. Jedzenie się nie zmieniło, ale zamiast warkoczy czosnku wisiały teraz na ścianach feministyczne afisze, portrety z autografami czołowych ideolożek ruchu, karykatury dotyczące tematu, a na honorowym miejscu w kącie

słynny gorset nadziany na kij od szczotki, który dla właścielek lokalu stał się symbolem już wiele lat wcześniej. Obie kobiety prosperowały znakomicie i zachowały w stanie nie-naruszonym swoje ciepłe podejście do ludzi. Joan miała romans z najbardziej pożądanym w mieście guru, Rumunem Balcescu, który nie głosił już przepowiedni w parku, lecz we własnej akademii, a Susan odziedziczyła po ojcu kawałek pola, gdzie obie uprawiały ekologiczne jarzyny i hodowały stadko beztrioskich kurczaków, które, nim trafiły na talerze w restauracji, krążyły w całkowitej swobodzie, dziobiąc prawdziwe ziarno, zamiast zajadać chemiczną karmę słozone po cztery w klatce. Na tym samym polu Balcescu wysiewał marihuanę, która sprzedawała się jak świeże bułeczki, zwłaszcza na Boże Narodzenie. Przy najlepszym stoliku, przy otwartym oknie wychodzącym na dziki ogród, Carmen zapewniała przyjaciela, że zaadoptuje małego Daia, nawet gdyby miała spędzić resztę życia na polu ryżowym w Azji Południowo-Wschodniej. Nigdy nie będę miała własnych dzieci, a Dai jest prawie mój, płynie w nas ta sama krew, poza tym mam moralny obowiązek zająć się dzieckiem Juana José i żadna służba imigracyjna świata mi w tym nie przeszkodzi, mówiła. Gregory tłumaczył jej cierpliwie, że problemem nie jest samo uzyskanie wizy, ale że całe postępowanie prowadzić będzie wyspecjalizowane biuro adopcyjne, które dokładnie zbada jej życie, żeby sprawdzić, czy nadaje się na matkę i czy może stworzyć dziecku stały dom.

- Będą ci zadawać furę niedyskretnych pytań, Carmen. Nie spodoba im się, że spędzasz całe dnie na ulicy, wśród hipisów, żebraków, narkomanów i szaleńców, że nie masz stałych dochodów, polisy, ubezpieczenia emerytalnego i normalnych godzin pracy. Gdzie teraz mieszkasz?

- No, na razie sypiam w moim wozie, na podwórku u przyjaciela. Kupiłam żółtego cadillaca rocznik'49 prawdziwa relikwia, musisz koniecznie zobaczyć!

- Doskonale, to po prostu zachwyci biuro adopcyjne.

- To przejściowa sytuacja, Greg. Szukam mieszkania.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Nie. Sprzedaję dużo, zarabiam najlepiej na całej ulicy, a wydaję mało. Mam trochę oszczędności w banku.

- Więc dlaczego żyjesz jak żebraczka? Mówię szczerze, Carmen, wątpię, żeby ci przyznali chłopca.

- Możesz nazywać mnie Tamar? To moje obecne imię.

- Spróbuję, ale będzie mi trudno, dla mnie zawsze będziesz Carmen. Zapytają cię też, czy jesteś mężatką, zawsze wolą pary.

- A czy wiesz, że tam dziecko Amerykanina i Wietnamki traktowane jest gorzej niż pies? Nie odpowiada im nasza krew. Daiowi będzie lepiej ze mną niż w sierocińcu.

- No tak, ale to nie mnie musisz przekonywać. Będziesz musiała wypełnić formularze, odpowiedzieć na pytania i udowodnić, że naprawdę chodzi o twojego bratanka. Ostrzegam cię, że to potrwa miesiące, a może lata.

- Nie możemy tyle czekać, Greg, przecież nie dzwoniłam do ciebie bez powodu. Znasz się na prawie.

- Ale nie na cudach!

- Przecież nie proszę cię o cuda, tylko o parę niegroźnych wybiegów w dobrej sprawie.

Ustalili plan działania. Carmen ma przeznaczyć część oszczędności na zakup i urządzenie mieszkania w przyzwoitej dzielnicy, postara się na razie zaprzestać ulicznej sprzedaży i pouczy przyjaciół i znajomych, co mają odpowiadać na podchwytliwe pytania władz. Zapytała nawet Gregory'ego, czy się z nią ożeni, jeśli posiadanie męża okaże się warunkiem koniecznym, ale odrzekł jej, ubawiony, że prawo

nie jest aż tak okrutne i przy odrobinie szczęścia nie będzie konieczne posunąć się aż do tego. Zaoferował jej natomiast pomoc finansową, całe bowiem przedsięwzięcie zapowiadało się kosztownie.

- Mówiłam ci, że mam trochę oszczędności, ale tak czy inaczej bardzo ci dziękuję.

- Zatrzymaj pieniądze, będą ci potrzebne na utrzymanie chłopca, o ile w ogóle uda ci się go sprowadzić. Zapłacę za bilety i dam ci pieniądze na podróż.

- Jesteś aż taki bogaty?

- Mam wyłącznie długi, ale zawsze mogę wziąć następną pożyczkę, nie przejmuj się.

Trzy miesiące później, po męczących formalnościach w biurach i konsulatach, Greg odwiózł przyjaciółkę na lotnisko. Aby nie wzbudzać uprzedzeń biurokratów, Carmen pozbyła się swoich cygańskich fatalasek, nosiła pozbawiony wdzięku kostium, związane włosy, a jedynym znakiem płonącego w niej nadal ognia był ciężki makijaż oczu, podkreślonych *kohlem*, czego nie mogła sobie odmówić. Wydawała się samej sobie niższa, dojrzała i niemal brzydka. Jej obfity biust, który w cygańskich bluzkach tak przyciągał uwagę, pod ciemnym materiałem kostiumu wyglądał jak balon. Greg musiał przyznać, że egzotyczna osobowość, wypracowana przez Carmen, przewyższała o niebo wersję oryginalną i przyrzekł sobie nie namawiać jej nigdy więcej do zmiany stylu. Nie przerażaj się, gdy tylko mały znajdzie się przy mnie, znów będę wyglądała po swojemu, powiedziała mu Carmen, rumieniąc się. Patrzyła na siebie w lustrze i nie mogła się odnaleźć. W jej walizce znajdował się mały, drewniany smok, którego Greg podarował jej w ostatniej chwili, na szczęście, mówił, którego potrzebujesz. Wiozła też plik dokumentów, owoc własnej wyobraźni i bezczelności,

fotografie oraz listy Juana José, którymi zamierzała się posłużyć, lekceważąc wszelkie zasady uczciwości Reeves skontaktował ją z Leo Galupim w przekonaniu, że przyjaciel zna w Wietnamie wszystkich i że nie istnieją dla niego przeszkody nie do pokonania. Zapewnił Carmen, że może w pełni zaufać temu sympatycznemu Włochowi z Chicago, mimo krążących o nim pogłosek, że to skończony łajdak. Zarzucano mu, że zbil majątek na czarnym rynku, dlatego nie wraca do USA, prawda wyglądała jednak inaczej: Galupi zakończył już jakiś czas temu swoją wojskową służbę i nie pozostał w Wietnamie dla łatwych pieniędzy, ale z zamiłowaniem do bałaganu i niepewności. Stworzony był do nieuporządkowanego trybu życia, a improwizacja stanowiła jego żywioł. Nie miał pieniędzy, był draniem kierującym się głosem własnego szczodrego serca. Przez całe lata prowadzonych na granicy prawa interesów zarobił sporo pieniędzy, ale równie łatwo je wydawał, utrzymując dalekich krewnych, wspomagając przyjaciół w potrzebie i otwierając portfel, ilekroć widział kogoś w tarapatkach. Wojna stworzyła mu możliwość mętnych operacji, a zarazem zmusiła do finansowania najprzeróżniejszych odruchów współczucia. Mieszkał w szopie, w której piętrzyły się skrzynie z amerykańskim towarem, przeznaczonym do sprzedaży Wietnamczykom, i ze wschodnimi specjalami dla rodaków, poczynając od płetw rekina przeciwko impotencji, do długich warkoczy na peruki, chińskiego pudru na szczęśliwe sny i posążków dawnych bogów ze złota i kości słoniowej. W kącie ustawił gazową kuchenkę, na której przygotowywał obfite sycylijskie potrawy, pozwalające mu przezwyciężyć nostalgię, a zarazem nakarmić pół tuzina głodnych dzieciaków, które dzięki temu utrzymywały się przy życiu. Wierny przyrzeczeniu, jakie złożył Reevesowi, czekał na lotnisku na Carmen z bukietem przywidyłych

kwiatów. Nie od razu ją poznał, oczekiwał bowiem furkotu spódnic, naszyjników i bransolet, a zobaczył nieciekawą kobietę, wyczerpaną długą podróżą i umęczoną upałem. Ona także nie mogła go rozpoznać, Greg opisywał go bowiem jako typowego mafiosa, tymczasem Carmen wydało się, że stoi twarzą w twarz z trubadurem, który zstąpił na ziemię z jakiegoś obrazu. Trzymał przed sobą karton z wypisanym imieniem „Tamar” i w ten sposób oboje odnaleźli się w tłumie. Niczym się nie przejmuj, kochana, od dziś ja zajmuję się tobą i twoimi problemami, powiedział na powitanie, całując ją w oba policzki. Dotrzymał słowa. Bez trudu złożył fałszywą przysięgę przed notariuszem, że Thui Nguyen nie ma rodziny, sfabrykował listy Juana José o ciąży narzeczonej, zmontował zdjęcia, na których widnieją oboje w czułych pozach w różnych miejscach, podrobił zaświadczenia i pieczęcie, wiedział ponadto, jak ubłagać urzędników niedających się przekupić, a czym przekupić przekupnych, i wszystkie te zabiegi wykonywał z naturalną biegłością kogoś, kto całe życie pływa w tej wodzie. Był człowiekiem o nienaganym zachowaniu, wytwornym i wesołym, miał typowe śródziemnomorskie rysy twarzy i lśniące czarne włosy, związane z tyłu w kitkę. Carmen poprosiła go, by towarzyszył jej przy pierwszej wizycie u Thui Nguyen, przygotowując się bowiem od dawna do tego spotkania, straciła swą zwykłą pewność siebie i sama myślała, że zobaczy dziecko, przyprawiała ją o drżenie kolan. Thui mieszkała w pokoiku w budynku, który przed wojną musiał zapewne należeć do jakiejś bogatej kupieckiej rodziny, teraz jednak podzielono go na oddzielne pomieszczenia dla blisko dwudziestki lokatorów. W natłoku ludzi zajętych własnymi sprawami, biegających dzieci, włączonych odbiorników radiowych i telewizyjnych z trudem znaleźli pokój Thui. Otworzyła im drzwi filigranowa kobieta,

blady cień, w chusteczce na głowie i sukience nieokreślonego koloru. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że Thui Nguyen nie kłamała: była poważnie chora. Z pewnością zawsze była niskiego wzrostu, ale teraz wydawała się jeszcze mniejsza, jak gdyby jej szkielet się skurczył, a skóra nie zdążyła się dopasować do nowych rozmiarów. Nie sposób było określić jej wieku, wyglądała na kogoś, kto przeżył sto lat w ciele nastolatki. Przywitała się z nimi z dużą powściągliwością, przeprosiła za niewygodę pokoju i zaprosiła, by usiedli na łóżku. Szybko zaproponowała herbatę i nie czekając na odpowiedź, postawiła czajnik z wodą na maszynie, umieszczonej na jedynym w pokoju wolnym krześle. W kącie stał domowy ołtarzyk z fotografią Juana José Moralesa, wiązaną kwiatów, owocami i trociczkami. Przyprowadzę Daia, powiedziała, i oddaliła się wolnym krokiem. Carmen Morales czuła, że serce wali jej młotem i trzęsła się, mimo wilgotnego gorąca sączącego się przez ściany, co pozwalało roślinom wdzierać się do wnętrza domu. Leo Galupi domyślał się, że to dla Carmen najsilniejsze przeżycie i miał odruch przytulić ją mocnym ramieniem, ale nie śmiał jej dotknąć.

Dai Morales wszedł, trzymając się ręki matki. Był ciemnowłosym, chudym chłopczykiem, dość wysokim jak na swoje dwa lata, z włosami zjeżonymi jak szczotka i poważną buzią, w której czarne oczy w kształcie migdałów i z charakterystyczną mongolską fałdką były jedyną wschodnią cechą. „Wyglądał zupełnie jak Juan José w wieku dwóch lat na fotografii, którą przechowywali Inmaculada i Pedro Morales, tyle że się nie uśmiechał.

Carmen spróbowała wstać, ale ugięły się pod nią nogi i z powrotem siadła na łóżku. Nabrała nagle irracjonalnego przekonania, że ma przed sobą to samo dziecko, które

zniknęło w zlewie Kuchni Olgi dziesięć lat temu, dziecko, które było jej przeznaczone od zarania dziejów. Na chwile straciła poczucie rzeczywistości i zastanawiała się przerażona, co robi ze swym synkiem tu, w tej nędznej izbie. Thui powiedziała coś, co zabrzmiało jak trel, i mały podszedł nieśmiało do Galupiego, wyciągając rękę. Thui poprawiła go kolejnym ptasim szczebiotem i mały podszedł do Carmen z zamiarem przywitania się z nią w taki sam sposób, ale oczy ich się spotkały i przez kilka trwających całą wieczność sekund przyglądali się sobie wzajemnie, jak gdyby rozpoznawali się po długim rozstaniu. Po chwili Carmen wyciągnęła ramiona, chwyciła małego i posadziła go sobie okrakiem na kolanach. Był lekki jak kot. Siedział spokojnie, w milczeniu, wpatrzony w Carmen z nabożeństwem.

- Od dzisiaj to jest twoja mama - powiedziała po angielsku Thui Nguyen, a potem powtórzyła to we własnym języku, aby synek mógł ją zrozumieć.

Jedenaście tygodni zajęło Carmen Morales dopełnienie formalności adopcyjnych i oczekiwanie na amerykańską wizę dla bratanka. Wszystko mogło trwać krócej, choć nigdy się o tym nie dowiedziała. Leo Galupi, który na początku rozwinął cały swój talent, żeby pomóc jej przezwyciężyć przeszkody nie do pokonania na pierwszy rzut oka, zaczął nagle mylić dokumenty i opóźniać ostateczną realizację końcowych czynności. Zarzucał ją potokiem mętnych wyjaśnień, w sumie nie potrafił wyjaśnić przedłużającej się zwłoki. Miało okazać się w rzeczywistości dużo droższe i nim minął miesiąc, Carmen zaczęło brakować pieniędzy. Gregory Reeves przysłał jej pewną sumę przekazem

bankowym, lecz rozeszły się w całości na łapówki i opłacenie kosztów hotelu. Kiedy zamierzała już naruszyć swoje oszczędności, z pomocą przyszedł Leo Galupi. Zaczął właśnie rozwijać nowy interes ze słoniowymi kłami i, jak mówił, pieniądze zaczynały mu wylać wszystkimi kieszeniami. Carmen nie ma najmniejszego prawa odrzucać tej pomocy, robi to przez wzgląd na pamięć Juana José, swego najserdeczniejszego przyjaciela, do którego był szczerze przywiązany i z którym nawet nie zdążył się pożegnać. Carmen podejrzewała, że Galupi nawet nie słyszał o jej bracie, zanim Gregory poprosił go o przysługę, by zajął się nią w Wietnamie, ale uznała, że nie warto sprawdzać. Nie pozwoliła mu, by opłacił za nią hotel, choć zgodziła się zamieszkać u niego, by nieco zmniejszyć koszty utrzymania. Przeniosła się z walizką i torbą kamieni, które skupowała na targu w wolnych chwilach, podobnie jak niewielkie skamieliny z neolitycznymi owadami, z których zamierzała robić broszki. Nie mogła sobie wyobrazić, że człowiek, którego widywała w samochodzie godnym milionera i szastającego pieniędzmi na prawo i lewo, mieszka w czymś, co przypomina skład portowy, w labiryncie skrzyń i metalowych półek, na których piętrzy się towar. Szybkim spojrzeniem obrzuciła połowe łóżko, sterty książek, stopy pudeł z płytami i taśmami, doskonały sprzęt muzyczny i przenośny telewizor z suszarką do bielizny zamiast anteny. Galupi pokazał jej kuchnię i wszelkie wygody mieszkania. Przedstawił także dzieciakom, które wpadały coś zjeść, przestrzegając, by nie dawała im pieniędzy i nie zostawiała torebki w zasięgu ich łapczywych rąk. Pośród tego obozowego rozgardiaszu łazienka sprawiła prawdziwą niespodziankę: nieskazitelne pomieszczenie wyłożone boazerią, z białą, wielkimi lustkami i miękkimi czerwonymi ręcznikami. To najcenniejsza rzecz, jaka wpadła

mi w ręce, nawet nie wiesz, jak trudno tu zdobyć dobre ręczniki, uśmiechał się gospodarz, gładząc je z dumą. Na koniec zaprowadził Carmen w głąb szopy, gdzie wydzielił dla niej przestronny kąt za pomocą spiętrzonych skrzyń i olbrzymiego parawanu z wybrzeża Coromandel zamiast drzwi. Wewnątrz Carmen ujrzała szerokie łóże z białą moskitierą, lekkie meble z czarnej laki, malowane ręcznie w motywy czereśniowych kwiatów i czapli, jedwabne dywany, haftowane materie na ścianie i lampioniki z ryżowego papieru, dające mętne światło. Leo Galupi stworzył dla niej komnatę chińskiej cesarzowej. Przez wiele tygodni było to jej schronienie, nie docierał tu uliczny hałas ani wojenna wrzawa. Czasem zastanawiała się, co też kryją wewnątrz stopy otaczających ją skrzyń, najchętniej wyobrażała sobie, że to przedmioty zbytku, z których każdy ma jakąś własną historię, i wręcz czuła, że w powietrzu unosi się duch ich przeszłości. Mieszkała tam wygodnie w sympatycznym towarzystwie Galupiego, udręczona jednak przedłużającym się oczekiwaniem.

- Jeszcze trochę cierpliwości - radził Leo Galupi, kiedy tylko zauważał, że Carmen wpada w złość. - Pomyśl, że gdyby Dai był naprawdę twoim dzieckiem, musiałabyś czekać na niego dziewięć miesięcy. W porównaniu z tym dziewięć tygodni to nic.

W wolnych chwilach, kiedy nie odwiedzała Thui i Daia, Carmen wędrowała po targowiskach, kupując różne drobiazgi do wykorzystania w swojej biżuterii i rysowała nowe projekty, jakimi zainspirowała ją ta przedziwna podróż. Wydawało się jej absurdem, że w kraju ogarniętym wojną, której końca wciąż nie widać, krąży po bazarach jak turystka. Mimo że w ówczesnym czasie większość amerykańskich oddziałów już się wycofała, konflikt wszedł w fazę szczytową. Przed przyjazdem wyobrażała sobie to miasto jako jeden

wielki obóz wojskowy, w którym będzie poszukiwała bratan-ka, przedzierając się przez okopy i walczące oddziały, tymczasem spaceruje po wąskich uliczkach i targuje się w różnobarwnym tłumie, nie mającym na pozór nic wspólnego z wojną. Gdybyś porozmawiała z tymi ludźmi, miałabyś inny obraz rzeczywistości, powiedział na to Galupi, ale ponieważ mogła rozmawiać jedynie po angielsku, czuła się w tłumie zupełnie wyizolowana. Choć wcale nie miała takiego zamiaru, zaczęła w końcu ignorować otaczającą ją rzeczywistość i oddała się wyłącznie dwóm sprawom, które naprawdę były dla niej istotne: Daiowi i pracy. Miała wrażenie, że jej umysł przeniósł się w inny wymiar. Azja zawładnęła nią całkowicie, zagarnęła ją, uwiodła. Zrozumiała, jak mało jeszcze wie i doszła do wniosku, że jeśli chce osiągnąć prawdziwy sukces w swojej pracy i zyskać lepsze zabezpieczenie na przyszłość - co sobie obiecała w chwili, gdy postanowiła zaadoptować Daia - powinna co roku jeździć w odległą i egzotyczną część świata w poszukiwaniu rzadkich materiałów i nowych pomysłów.

- Będę ci przysyłał różne drobiazgi, mam wszędzie kontakty, mogę zdobyć absolutnie wszystko - zaofiarował się Galupi, który nie do końca pojmował charakter pracy Carmen, domyślał się jednak, jakie daje ona możliwości na rynku.

- Muszę wybierać sama. Każdy kamień, każda muszla, każdy kawałek drewna czy metalu podsuwa mi inny pomysł.

- Tutaj nikt nie nosiłby tego, co rysujesz. Nigdy nie widziałem, żeby elegancka kobieta miała w uszach kawałki kości i pióra.

- A tam się o to biją. Kobiety wolą przez parę dni nic nie jeść, żeby móc sobie pozwolić na kolczyki jak te. Im wyższą dają cenę, tym większe mają powodzenie.

- Przynajmniej to, co robisz, jest legalne - roześmiał się Galupi.

Carmen dłużyły się dni, a gorąco i wilgoć męczyły ją. Zakładała swoje przyzwoite kostiumy matrony tylko przy wymagających tego okazjach, przez resztę dnia chodziła w prostych, bawełnianych tunikach i wiejskich sandałach, kupionych na bazarze. Spędzała większość czasu sama, czytając lub rysując, mając za jedyne towarzystwo szum wentylatorów. Wieczorem wracał Galupi z torbami wiktuałów, brał prysznic, zakładał szorty, włączał muzykę i zabierał się do gotowania. Szybko nadciągali różni biesiadnicy, przeważnie dzieci, które rozbiegały się po całym pomieszczeniu, napędzając je śmiechem i błahymi rozmowami, a skończywszy jeść, umykały bez pożegnania. Od czasu do czasu Galupi zapraszał amerykańskich przyjaciół: żołnierzy lub korespondentów prasowych, którzy zostawali do późnej nocy, pijąc i paląc marihuanę. Wszyscy bez wyjątku zaakceptowali obecność Carmen, nie zadając żadnych pytań, jakby od zawsze stanowiła część życia Galupiego. Czasami oboje wychodzili gdzieś na kolację, a kiedy Galupi miał czas, oprowadzał Carmen po mieście, chcąc pokazać jej wszystkie zakątki: od pstrych dzielnic biedoty po rezydencje Europejczyków i Amerykanów, w których używano klimatyzacji i butelkowanej wody. Chodź, pójdziemy kupić ci szaty królowej, idziemy na kolację do ambasady, obwieścił jej pewnego dnia, po czym zaprowadził do najelegantszego w mieście handlowego centrum i zostawił ze zwiłkiem banknotów w dłoni. Carmen poczuła się zagubiona: przez całe lata sama szyła własne stroje i nie podejrzewała nawet, że zwykła sukienka może aż tyle kosztować. Kiedy nowy przyjaciel przyszedł po nią trzy godziny później, znalazł ją siedzącą na stopniach przed sklepem z obuwem w ręku, przeklinając ze złości.

- Co się stało?

- Wszystko jest okropne i potwornie drogie. Dzisiejsze kobiety są chyba zupełnie płaskie. Moje dwa arbuzy nie mieszczą się w żadnej sukience - odburknęła Carmen, wskazując na swój biust.

- Bardzo mnie to cieszy - roześmiał się Galupi i zaprowadził przyjaciółkę do hinduskiej dzielnicy, gdzie znaleźli wspaniałe sari w kolorze arbuza, haftowane złotem, w które Carmen zawinęła się bez najmniejszych problemów, czując się .bardziej we własnej skórze w tej indyjskiej szacie niż w obcisłych francuskich sukienkach, szytych dla kobiet w ogóle pozbawionych ciała.

Kiedy tego wieczoru weszli do salonów ambasady, Carmen dostrzegła w tłumie gości kogoś, o kim często myślała, choć nie podejrzewała, że go kiedykolwiek spotka. Ze szklanką whisky w ręku, w smokingu, szpakowaty, ale o twarzy jak dziesięć lat temu, Tom Clayton prowadził ożywioną rozmowę. Dziennikarz przerwał chwilowo pisanie politycznych komentarzy i przyjechał do Wietnamu znaleźć materiał na książkę. Spędzał więcej czasu w klubie i na przyjęciach niż na froncie, wierny własnej teorii, że wojnę tak naprawdę prowadzi się w salonach. Miał dostęp do miejsc, w których niechętnie widywano dziennikarzy, znał właściwych ludzi w najwyższym dowództwie wojskowym, korpusie dyplomatycznym, rządzie i towarzyskim świątku miasta, stąd też zainteresowała go i pociągnęła swoim czarem kobieta, której nigdzie dotąd nie spotkał. Ze względu na oliwkową karnację, ciężki makijaż oczu i olśniewające sari przypuszczał, że to Hinduska. Zauważył, że ona także baczenie mu się przygląda i szukał sposobności, by się do niej zbliżyć. Carmen podała mu rękę i przedstawiła się imieniem, którego ostatnio używała: Tamar. Wiele razy wyobrażała sobie, co

zrobi, jeśli kiedykolwiek spotka swego pierwszego kochanka, który w tak istotny sposób zaważył na całym jej życiu, ale nigdy nie wpadło jej do głowy, że po prostu nie będzie wiedziała, co mu powiedzieć. Lata zatarły w niej odrazę i zdumiona odkryła, że odczuwa całkowitą obojętność w stosunku do tego aroganckiego człowieka. Nie potrafiła przypomnieć sobie, jak wygląda nago. Zauważyła, że rozmawia z Galupim, spoglądając jednocześnie na nią z ukosa, bez wątpienia zrobiła na nim wrażenie, i sama się zdziwiła, że kiedyś tak bardzo go pragnęła. Nie zadawała już sobie pytania, jak to wielokrotnie czyniła w długich godzinach samotności, jak wyglądałoby ich dziecko, nie mogła już bowiem wyobrazić sobie innego własnego dziecka niż Dai. Westchnęła z mieszaniną ulgi, że nie została rozpoznana, i głębokiej odrazy za czas stracony na oplakiwanie miłosnego zawodu.

- Nigdy przedtem pani nie widziałem. Skąd się pani wzięła w Wietnamie? - zwrócił się do niej Tom Clayton.

- Przybyłam z przeszłości - odparła Carmen i odwróciła się plecami. Wyszła na balkon i patrzyła na miasto iskrzące się u jej stóp, jak gdyby wojna toczyła się zupełnie gdzie indziej.

Po powrocie do domu Carmen i Leo Galupi zasiedli pod wentylatorem, by skomentować przyjęcie, nie zapalając światła, w półmroku rozświetlonym jedynie ulicznymi latarniami. Zaproponował jej coś do picia, na co ona zapytała, czy nie ma przypadkiem puszki skondensowanego mleka. Czubkiem noża zrobiła w wieczku dwie dziurki i usadowiła się wygodnie na poduszkach na podłodze, by rozkoszować się słodkim płynem, stanowiącym pociechę w tylu krytycznych chwilach jej życia. Galupi odważył się w końcu zapytać ją o Clayтона, zauważył bowiem jej dziwne zachowanie podczas tego krótkiego spotkania, wyjaśnił. Wówczas Carmen

opowiedziała mu wszystko, nie pomijając żadnego szczegółu. Pierwszy raz w życiu mówiła komukolwiek o swoich przeżyciach w kuchni u Olgi, o bólu i strachu, szpitalnym delirium i długim czyścucu, gdzie pokutowała za nie tylko własny grzech, do którego Clayton się nie przyznawał. Wszystko ma swoją przyczynę i skutek, zakończyła odsłoniwszy przed Galupim całe swoje dotychczasowe życie. Świtało już, ale Carmen mówiła dalej, przeżywając rodzaj katharsis, nareszcie wyrzucając z siebie tajemnice, ukrywane sekrety i tajony płacz. Odkryła przyjemność, jaką niesie możliwość otwarcia się przed dyskretnym powiernikiem. Wypiwszy ostatni łyk skondensowanego mleka, wyciągnęła się na podłodze, ziewając, padając ze zmęczenia, potem zaś pochyliła się nad swoim nowym przyjacielem i lekko pocałowała w czoło. Leo Galupi ujął ją za nadgarstek i przyciągnął ku sobie, ale Carmen odwróciła głowę i gest zawisł w powietrzu.

- Nie mogę - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo już nie jestem sama, mam teraz syna.

Tej samej nocy Carmen Morales przebudziła się o świcie, wydało jej się, że Leo Galupi stoi przy parawanie z Coromandel i patrzy na nią, ale niezupełnie jeszcze oprzytomniała i możliwe, że ten obraz stanowił jedynie senne przywidzenie. Śnił jej się ten sam koszmar, który prześladował ją latami, ale tym razem Toma Clayтона tam nie było, a dziecko, które trzymała w ramionach, nie miało na głowie papierowej torby i tym razem widziała je wyraźnie: miało rysy twarzy Daia Moralesa.

Carmen i Galupi nawykli do przebywania pod wspólnym dachem w niezmałym dobrobycie, niczym stare małżeństwo. Carmen stopniowo przyzwyczajała się do roli matki, codziennie zabierała Daia na coraz dłuższe spacerunki, nauczyła się kilku słów po wietnamsku, a małego - po angielsku,

opowiadała mu, co jej się podoba, a czego się boi i opisywała rodzinę. Thui zabrała ją kiedyś na dwudniową wyprawę do swoich krewnych na wieś, żeby mogli pożegnać się z dzieckiem. Nalegali, że zaopiekują się Daitem, zdruzgotani pomysłem wysłania jednego ze swoich za ocean, ale Thui wiedziała aż nazbyt dobrze, że w Wietnamie jej syn będzie zawsze tylko bękartem, mieszzańcem, obywatelem drugiej kategorii, że czeka go nędza i brak perspektyw na lepsze życie. Osiedlenie się w Stanach stanowiło wyzwanie rzucone losowi, ale przynajmniej było wiadomo, że tam przed Daitem otworzą się szersze możliwości niż uprawa kawałka pola należącego do całego klanu. Leo Galupi uparł się, że pojedzie z nimi, bo w tych niespokojnych czasach dwie kobiety i dziecko nie powinny podróżować bez opieki. Carmen zauważyła po raz kolejny, że sprawdza się opinia, jaką słyszała od dziecka, a do której Joan i Susan absolutnie się przychyliły, że kobiety i mężczyźni istnieją obok siebie w tym samym miejscu i tym samym czasie, ale w różnych wymiarach. Ona też żyła, ogłędając się za siebie przez ramię, starając się unikać prawdziwych i urojonych niebezpieczeństw, zawsze gotowa odpierać atak, pracując dwa razy ciężiej niż którykolwiek mężczyzna, a osiągając zaledwie połowę. To, co dla nich było banalne i nie zasługiwało na uwagę, dla niej stanowiło wyzwanie, wymagało wyrachowania i strategii. Coś tak prostego z kolei jak wyprawa na wieś w przypadku kobiety uchodziło za prowokowanie ryzyka, za świadome kuszenie losu. Omawiała to z Galupim, którego zaskoczyło, że sam nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Krewni Daia byli ubogimi, nieufnymi wieśniakami, którzy przyjęli cudzoziemców nienawistnym spojrzeniem, mimo długich wyjaśnień Thui Nguyen. Chora gasła teraz w oczach, jak gdyby walczyła z rakiem, nie pozwalając mu na

zdobycze terytorialne we własnym ciele do chwili, gdy nie pozna Carmen; stwierdziwszy, że powierza synka w dobre ręce, poddała się zwyciężona. Odchodziła bez lamentu. Przed śmiercią delikatnie usuwała się w cień, tak żeby Dai powoli o niej zapominał, jak gdyby nigdy nie istniała, uznawszy, że w taki sposób łatwiej będzie im się rozstać. Z wielką delikatnością wyjaśniła to Carmen, a ta nie miała odwagi jej się sprzeciwić. Często Thui prosiła ją, żeby została z Daiem na noc, nie czuję się zupełnie dobrze i wolę być sama, mówiła, ale gdy wychodzili, odwracała głowę do ściany, by ukryć łzy, i dopiero kiedy synek wracał, jej oczy znów nabierały blasku. Z trudem mogła się poruszać, ból jej nie opuszczał, ale nie skarżyła się. Odmówiła przyjmowania lekarstw ze szpitala, które nie przynosiły jej ulgi, a przeciwnie powodowały jeszcze większe znużenie i mdłości. Chodziła do starego mistrza akupunktury. Carmen towarzyszyła jej wiele razy w tych dziwnych seansach w ciemnym pokoiku pachnącym cynamonem, w którym mistrz przyjmował pacjentów. Thui leżała na wąskiej macie z igłami wbitymi w różne miejsca swego wycieńczonego ciała, zamykała oczy i drzemała. Po powrocie do domu Carmen pomagała jej się położyć, nabijała fajkę opium, a kiedy widziała, że Thui zapada się w narkotykowy niebyt, zabierała Daia na lody. W ostatnim stadium choroby Thui nie mogła już wstawać z łóżka i Dai przeniósł się na stałe do szopy Galupiego, gdzie sypiał w chińskim łożu razem ze swoją nową matką. Włoch zatrudnił kobietę do opieki nad umierającą. Woził Thui swoim samochodem na codzienne seanse akupunktury. Z rosnącą niecierpliwością Thui pytała o losy dokumentów, pragnąc uzyskać pewność, że Dai wyjedzie bez przeszkód do kraju ojca. Każda zwłoka budziła w niej coraz większy niepokój. Pewnej niedzieli zaprowadzili małego, żeby pożegnał

się z matką. Wreszcie przewyciężono ostatnie przeszkody: Dai został zarejestrowany jako legalny syn Carmen Morales, miał własny paszport z właściwą wizą i następnego dnia wyruszał w podróż do Ameryki, gdzie miał zapuścić swoje drugie korzenie. Pozostawili Thui sam na sam z synkiem na parę minut. Dai usiadł na łóżku matki, przeczuwając, że to kulminacyjny moment w jego życiu, i tak chyba było, bo w wiele lat później, kiedy już był matematycznym geniuszem i udzielał wywiadów czasopismom naukowym, opowiedział mi, że jedynym prawdziwym wspomnieniem z dzieciństwa w Wietnamie jest blada kobieta z płonącymi oczami, która całuje jego twarz, wręczając mu żółtą paczkę. Pokazał mi ją: był to stary album z fotografiami, zawinięty w jedwabną chustkę. Carmen i Galupi czekali za drzwiami, aż chora ich zawoła. Zastali ją wspartą o poduszki, uśmiechniętą i spokojną. Ucałowała chłopca po raz ostatni i zaczęła dawać znaki Galupiemu, by go wyprowadził. Carmen usiadła obok niej i wzięła za rękę, a po jej policzkach spływały gorące łzy.

- Dziękuję ci, Thui. Dajesz mi to, czego przez całe życie najbardziej pragnęłam. O nic się nie martw, będę dla Daia tak samo dobrą matką jak ty, przysięgam.

- Wszyscy robimy to, co możemy - powiedziała Thui łagodnie.

Niedługo później, kiedy rodzina Moralesów urządzała przyjęcie z okazji przybycia Daia do Ameryki, Leo Galupi towarzyszył szczątkom Thui w skromnej ceremonii pogrzebu. Jedenaście minionych tygodni zmieniło losy wielu osób, nie wyłączając owego kombinatora z Chicago, który przez wiele dni odczuwał głuchy ból w piersi, przytłumiający jego niespokojną naturę pewnego siebie lekkoducha.

Dai okazał się ożywym podmuchem, odnawiającym życie Carmen Morales: zapomniała o miłosnych niepowodzeniach z przeszłości, finansowych kłopotach, samotności i niepewności. Przyszłość malowała się przed nią jasno i wyraźnie jak na ekranie: poświęci się całkowicie synkowi, sama go wychowa, będzie go wszędzie ze sobą zabierać i prowadzić za rękę, żeby się nigdy nie potknął, i postara się go chronić przed wszelkim cierpieniem, nawet przed smutkiem i tęsknotą.

- Przypuszczam, że na początek trzeba będzie ochrzcić tego Chinusia, żeby stał się jednym z naszych braci, a nie Saraceniem - orzekł podeszły już w latach Ojciec Larraguibel na przywitalnym przyjęciu, obejmując chłopca z czułością, jaka zawsze kryła się w jego silnym ciele baskijskiego wieśniaka, a której w młodości nie śmiał okazać. Jednakże Carmen zrobiła wszystko, żeby odłożyć sprawę, z jednej strony nie chcąc mącić umysłu dziecka zbyt wieloma zmianami, z drugiej dlatego, że buddyzm wydawał jej się godną szacunku nauką, może nawet bardziej nośną niż chrześcijaństwo.

Nowa mama wypełniła niezbędne rodzinne rytuały, przedstawiła synka kolejno krewnym i przyjaciółom dzielnicy, starając się cierpliwie nauczyć go trudnych do wymówienia imion nowych dziadków i tłumu krewnych. Dai wyglądał na przerażonego i nie wypowiadał słowa, rozglądał się jedynie wkoło czarnymi oczami i nie puszczał ręki Carmen. Zabrała go też ze sobą do więzienia, gdzie siedziała Olga oskarżona o uprawianie czarnej magii, licząc, że wróżka znajdzie jakąś radę, by mały zaczął jeść. Od wyjazdu z Wietnamu pił jedynie soki owocowe, schudł i w każdej chwili mógł ulecieć jak westchnienie. Carmen i Inmaculada nie umiały sobie z tym poradzić, zasięgały porady lekarza, który po szczegółowym zbadaniu chłopca stwierdził, że jest zdrowy jak ryba i

przepisał mu witaminy. Przybrana babcia dokładała starań, by nadać przygotowywanym meksykańskim potrawom azjatycki smak i nalegała, żeby poić małego tranem, którym przez całe dzieciństwo torturowała swoich sześcioro dzieci, ale i to nie skutkowało.

- Tęskni za matką - powiedziała Olga, przyglądając mu się przez kraty sali widzeń.

- Wczoraj dostałam wiadomość, że matka zmarła.

- Wy tłumacz małemu, że ciągle jest przy nim, chociaż nie może jej zobaczyć.

- Jest jeszcze mały, nie zrozumiałby tego, w tym wieku z trudem przyjmuje się abstrakcyjne pojęcia. Poza tym nie chcę mu nabijać głowy przesadami.

- Oj, dziecko, nie masz o niczym pojęcia - westchnęła znachorka - umarli prowadzą żywych za rękę.

Olga dostosowała się do więziennych warunków z taką samą łatwością, z jaką kiedyś radziła sobie na każdym postoju wędrownej ciężarówki: jakby na zawsze miała osiedlić się w tym właśnie miejscu. Uwięzienie w najmniejszym stopniu nie zepsuło jej dobrego humoru, stanowiło zaledwie drobną niewygodę. Doprowadzało ją do pasji tylko to, że oskarżono ją fałszywie: nigdy nie interesowała jej czarna magia, to żaden interes, zarabiała dużo lepiej, pomagając swoim klientom, zamiast rzucać klątwy na ich wrogów. Nie obawiała się o własną reputację, przeciwnie, z pewnością ta niesprawiedliwość zwiększy tylko jej sławę, martwiła się natomiast o koty pozostawione pod opieką sąsiadki. Reeves zapewniał ją, że żadna ława przysięgłych nie uwierzy w złowróżbne skutki domniemanych czarnoksiężskich rytuałów, powinna jednak postarać się za wszelką cenę, by nie wyszło na jaw, czym się naprawdę zajmuje, bo wtedy prawo będzie dla niej bez litosne.

Zgodziła się rozsądnie odsiedzieć wyrok, ale umiar nie leżał w jej naturze i w ciągu niecałego miesiąca zamieniła więzienną celę w filię swej niezwyklej domowej poradni. Nie brakowało klientów, więźniarki płaciły jej bowiem za doradzanie nadziei, masaż terapeutyczne, uspokajającą hipnozę, talizmany obdarzone cudowną mocą i sztukę odgadywania przyszłości. W szybkim czasie zaczęli zasięgać jej rad także strażnicy. Postarała się, by dostarczono jej z domu wszystkie zioła, fiołki z magnetyczną wodą, karty do tarota oraz Buddę ze złoconego gipsu. W swej przekształconej we wschodni bazar celi praktykowała skuteczne odczynianie uroków, oplatając stopniowo wszystko mackami swej nadprzyrodzonej mocy. Nie tylko stała się najbardziej szanowaną osobą w więzieniu, miała także najwięcej widzeń, cała bowiem meksykańska dzielnica ustawiała się do niej w kolejce.

Obawiając się, że Dai w końcu padnie z wycieńczenia, Carmen postanowiła pójść za radą Olgi i postarała się w jak najprostszy sposób wyjaśnić małemu w mieszaninie angielskiego, wietnamskiego i gestów, że jego matka przeniosła się w inny wymiar, w którym ciało nie jest już jej potrzebne: ma teraz postać maleńkiej niewidzialnej wróżki i zawsze unosi się nad nim, by chronić go od złego. Posłużyła się pomysłem Ojca Larraguibela, który w ten właśnie sposób opisywał anioły. Według niego po lewej stronie każdego człowieka stoi diabeł, a po prawej anioł, przy czym ten ostatni mierzy dokładnie trzydzieści trzy centymetry, tyle, ile lat Chrystus żył na ziemi, jest nagi i bynajmniej nie ma skrzydeł. Unosi się za pomocą napędu odrzutowego, co może ma mniej boską naturę i jest mniej eleganckie, za to bardziej logiczne niż ptasie skrzydła, opisywane w świętych pismach. Z wiekiem starszek robił się coraz bardziej dziwny, ale także

wyostrzyło się jego słynne trzecie oko: istniały niezbite dowody, że potrafi widzieć w ciemności, tak samo jak doskonale orientował się, co się dzieje za plecami, dlatego też nikt nie odważał się szeptać na jego mszy. Nieomylny autorytet pozwalał mu ze szczegółami opisywać diabły i anioły i nikt, nawet bardzo zachowawcza w sprawach religijnych Inmaculada Morales, nie odważył się wątpić w jego słowa. Chcąc przewyciężyć barierę językową, Carmen posłużyła się rysunkiem: na pierwszym planie był Dai, a wokół niego krążyła mała figurka ze śmigłem na głowie i smugą dymu z tyłu, która miała czarne oczy Thui w kształcie migdałów. Chłopczyk patrzył na rysunek przez dłuższą chwilę, potem złożył go starannie i schował do albumu z fotografiami spreparowanymi swego czasu przez Leo Galupiego, gdzie oboje jego rodzice widnieli objęci w miejscach, w których nigdy nie byli. Chwilę później zjadł pierwszego amerykańskiego hamburgera.

Po tygodniu wypełnionym rodzinnymi spotkaniami Carmen wróciła z synkiem do Berkeley, gdzie urządziła swój nowy dom. Przed wyjazdem po Daia wynajęła mieszkanie i przygotowała pokój dziecinny z białymi mebelkami i tłumem zabawek. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi: dziecinnego i sypialni, gdzie Carmen urządziła także swój warsztat. Nie sprzedawała już biżuterii na ulicy, wstawiała ją teraz do butików, jednak pokusa powrotu do ulicznego handlu była nie do przewyciężenia. W weekendy wsiadała z synkiem do samochodu i jechali do sąsiednich miasteczek na targi rzemiosła. Przez całe lata prowadziła taki tryb życia, nie myśląc o niewygodach podróży ani pracy bez wytchnienia przez osiemnaście godzin dziennie, o odżywianiu się wyłącznie czekoladą i fistaszkami, noclegach w samochodzie i braku łazienki. Obecność dziecka zmusiła ją do znalezienia wygodniejszych rozwiązań.

Sprzedła rozklekotanego żółtego cadillaca i kupiła mocną, pakowną półciężarówkę, w której mogła wozić śpiwory na wypadek, gdyby nie było wolnego miejsca w hotelu. Jeździli oboje, jak para współników. Dai pomagał matce nosić niektóre rzeczy i rozstawiać stolik, a potem siadał przy niej, patrząc, jak obsługuje klientów albo bawił się sam. Kiedy się nudził, biegł rozejrzeć się po targu, a gdy był zmęczony, zasypiał na ziemi u stóp matki. Ponieważ na targach w różnych miejscach spotykali się zawsze ci sami rzemieślnicy, po pewnym czasie wszyscy już znali synka Tamar i nigdzie indziej nie mógł się czuć bardziej bezpieczny niż na tych imprezach, na które ściągali narkomani, złodziejaszki i pijacy. Przez resztę tygodnia Carmen pracowała w domu, mając wciąż przy sobie małego. Znajdowała czas, żeby uczyć go angielskiego, pokazywać mu świat w albumach pożyczanych z biblioteki, spacerować z nim po mieście, zabierać do parku i na basen. Kiedy już poczuje się pewniej w swojej nowej ojczyźnie, zamierzała go posłać do przedszkola, żeby miał kontakt z rówieśnikami, ale na razie sama myśli, że mieliby się rozstać nawet na kilka godzin dziennie, napawała ją niepokojem. Przełała na Daia całą czułość, nagromadzoną przez lata skrytej rozpaczyny nad własną bezpłodnością.

Nie miała pojęcia o wychowaniu dziecka ani dość cierpliwości, by przeczytać podręczniki na ten temat, ale tym się nie przejmowała. Między obojgiem wykształciła się niezniszczalna więź oparta na całkowitym wzajemnym uznaniu i dobrym humorze. Chłopczyk przyzwyczał się dzielić z matką przestrzeń w sposób tak doskonały, że mógł budować zamek z jednorazowych kubeczków na tym samym stole, na którym ona tworzyła delikatne złote kolczyki z drobnymi paciorkami z prekolumbijskiej ceramiki. O północy Dai

przenosił się do łóżka matki i zasypiali jedno obok drugiego. Po pierwszym roku pobytu zaczął się nieśmiało uśmiechać, ale w rzadkich momentach, kiedy się rozstawali, na jego twarz znów wracał wyraz nieobecności. Carmen przemawiała do niego nieustannie, nie martwiąc się na razie, że chłopczyk nie mówi ani słowa, jak ma biedak mówić, kiedy jeszcze nie zna angielskiego, a wietnamski już zdążył zapomnieć, jest prawie głuchoniemy, ale jak będzie miał coś do powiedzenia, to powie, tłumaczyła Gregory'emu w ich poniedziałkowych rozmowach telefonicznych. Miała rację. W wieku czterech lat, kiedy wyczerpywała się już nadzieja, że Dai kiedykolwiek zacznie mówić, Carmen ugięła się pod naciskami całej rodziny i zaciskając zęby, zaprowadziła synka do specjalisty. Lekarz zbadał dziecko dokładnie i choć nie udało mu się wydobyć z niego żadnego dźwięku, potwierdził to, co Carmen i tak wiedziała: że mały nie jest głuchoniemy. Carmen wzięła Daia za rękę i poszła z nim do parku. Usiedli na ławce nad stawem z kaczkami i tam zaczęła mu wyjaśniać, że jeśli przyjdzie jej opłacać terapeutę, diabli wezmą wakacje w tym roku, bo po prostu nie starczy jej pieniędzy.

- Dai, wiem, między nami niepotrzebne są słowa, ale jeśli chcesz istnieć w tym świecie, musisz mówić. Rysunki nie wystarczą. Spróbuj mówić choć parę słów, żebyśmy mogli pojechać na wakacje, bo jak nie, to się nam obojgu wszystko spieszy...

- Nie podobał mi się ten lekarz, mamó, czuć go było sosem sojowym - odpowiedział mały w najczystszej angielszczyźnie. Nigdy nie miał być szczególnie rozmowny, ale przynajmniej wiadomo było, że niemota mu nie grozi.

Czas wolny stał się dla Carmen prawdziwym luksusem. Przestała widywać się z przyjaciółmi i odmawiała zaproszeń

wielbicieli, które kiedyś tak ją zachwycaly. Do tej pory miłość kojarzyła jej się raczej z cierpieniem niż z miłymi wspomnieniami, według Gregory'ego wybierała sobie zawsze najgorszego kandydata, jak gdyby umiała się zakochiwać wyłącznie w takich, którzy ją źle traktują, ale teraz nabrała przekonania, że wprawdzie pechowy okres w jej życiu już minął, powinna jednak na siebie bardziej uważać. Przez całe lata Inmaculada zanosila modły do Świętego Antoniego Padewskiego, by patron ludzi samotnych postarał się znaleźć męża dla jej dziwacznej córki, która przekroczyła już trzydziestkę, a wcale nie wyglądało, by zamierzała się ustakować. Znalezienie właściwego towarzysza życia było także cichą obsesją Carmen w przeszłości: kiedy brakowało jej mężczyzny, sny zapelniały się lubieżnymi fantazjami. Potrzebowała mocnych objęć, gorącej bliskości, męskich rąk obejmujących ją w talii, szorstkiego głosu szepczącego czule słowa. Teraz nie chodziło już tylko o znalezienie partnera, ale także o właściwego ojca dla Daia. Myślała o mężczyznach, którzy przewinęli się przez jej życie i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jest na nich zła. Zadawała sobie pytanie, czy dałaby się uderzyć w obecności dziecka albo czy umiałaby dziś odmówić kąpieli w używanej przez kogoś zimnej wodzie. Przerazała ją własna uległość. Zrobiła przegląd obecnych kochanków, ale żaden z nich nie zdał surowego egzaminu, bez wątpienia lepiej, żeby zostali we dwoje, postanowiła. Macierzyństwo uspokoiło jej ducha, a żeby uspokoić ciało, postanowiła pójść za przykładem Gregory'ego i zadowolić się przelotnymi przygodami. Zadawała sobie pytanie, dlaczego dziesięć lat wcześniej zabrakło jej odwagi, by urodzić własne dziecko, dlaczego pozwoliła się pokonać przez strach i ugiąć pod ciężarem przesądów, nie

jest wcale tak trudno być samotną matką, uznała. Nowa odpowiedzialność zdwoiła jej energię, miała coraz więcej ochoty do pracy, a spod jej palców wychodziły coraz oryginalniejsze projekty. Egzotyczne surowce sprowadzane z różnych zakątków świata nabierały życia pod jej jubilerskimi narzędziami. Budziła się wcześniej rano, mając w głowie gotowy projekt, przez chwilę leżała w łóżku spowita w zapach i ciepło śpiącego obok dziecka, potem wstawała, zakładała szlafrok z haftowanego jedwabiu, prezent od Leo Galupiego, gotowała wodę na herbatę z mango, zapalała wiktoriańskie lampy na stole i zasiadała nad narzędziami w jakimś szczęśliwym uporze. Od czasu do czasu rzucała spojrzenie na śpiącego synka i uśmiechała się zadowolona. Moje życie jest spełnione, nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa, myślała.

Część czwarta

Uważaj, o co prosisz, bo jeszcze ci to niebiosa ześlą - to powiedzenie Inmaculady Morales w przypadku Gregory'ego Reevesa spełniało się jak okrutny żart. Choć przez kilka kolejnych lat zdołał stopniowo osiągnąć wszystko, co sobie z takim zapamiętaniem zakładał, spalał się w wewnętrznym ogniu przytłaczającej go niecierpliwości. Nie umiał przystanąć nawet na chwilę, bo póki był zajęty, mógł zapomnieć o dręczących go strapieniach, natomiast gdy tylko trafiała mu się jakaś spokojna wolna chwila, czuł, że płonący w nim żar spala go od środka. Trawiący go płomień był tak potężny, że nie ulegało wątpliwości, iż nie on sam go rozniecił; być może odziedziczył po swoim niepohamowanym ojcu albo po dziadku koniokradzie, czy też po całej plejadzie przodków naznaczonych tym samym piętnem niepokoju. Pławił się w żarze odziedziczonym po pokoleniach. Ten sam impuls kazał mu iść wciąż do przodu i w krótkim czasie Reeves stał się wzorem triumfatora. Stało się to dokładnie wtedy, gdy siełankowa beztroska i wieczna naiwność hipisów zostały zmiażdżone w trybach perfekcyjnej maszyny systemu. Nikt nie mógł mu zarzucać nadmiernej ambicji, w kraju kielkowały już bowiem pierwsze załóżki epoki niepohamowanej zachłanności, jaka zbliżała się wielkimi krokami. Klęska wojenna pozostawiła poczucie hańby i ogólne, wspólne

wszystkim pragnienie nadrobienia jej w innych dziedzinach. Nie mówiło się o tym i musiało upłynąć aż dziesięć lat, żeby historia i sztuka odważyły się egzorcyzmować spuszczone z uwięzi diabły. Carmen obserwowała stopniowy upadek ulicy, na której poprzednio zarabiali na życie jej najlepsi przyjaciele. Pożegnała się z wieloma rzemieślnikami, których wygnał stamtąd nacisk wywierany przez sklepikarzy, oferujących sztampowe wyroby z Tajwanu, i widziała, jak kolejno znikają nieszkodliwi lunatycy: jedni umierali z wycieńczenia, inni przenieśli się gdzie indziej, bo już się tu nie mogli żywić. Pojawili się inni szaleńcy, o wiele bardziej zdesperowani, weterani wojny, którzy nie potrafili wyzwolić się z horroru wspomnień. Dawną niepokorną atmosferę ulicy dopadła epidemia konformizmu, obejmując zasięgiem nawet studentów. Wzrosła przestępczość, więcej widziało się nędzy, żebraków, pijaków, handlarzy narkotyków, prostytutek i złodziei. Świat się rozpada na naszych oczach, rozpaczała Carmen. Gregory Reeves, który nigdy nie podzielał naiwnych złudzeń tych, co głosili Erę Wodnika czasem domniemanego braterstwa i pokoju, dawał jako przykład wahadło, które porusza się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zachodzące zmiany nie miały wpływu na jego życie: pogrążony był po uszy w robieniu kariery na oślep, wyprzedzając wybuch materializmu, który miał naznaczyć nadchodzącą dekadę lat osiemdziesiątych. Chępił się sukcesami, podczas gdy koledzy zadawali sobie pytanie, w jaki sposób dostają mu się najlepsze sprawy i skąd bierze pieniądze, żeby chodzić z przyjęcia na przyjęcie, spędzać wakacje gdzieś nad Morzem Śródziemnym i ubierać w jedwabne koszule. Nie mieli pojęcia o horrendalnych pożyczkach bankowych i śmiałych operacjach z kartami kredytowymi. Reeves wołał nie myśleć, że prędzej czy później będzie musiał spłacić

zaciągnięte kredyty; kiedy kończyły mu się pieniądze, brał kolejny, tłumacząc w banku, że gdyby zbankrutował lub poszedł do więzienia, tym bardziej nie spłaci zaciągniętych pożyczek, a pieniądź przyciąga pieniądź jak magnes. Nie troszczył się o przyszłość, był dostatecznie zajęty umacnianiem własnej pozycji w danej chwili. Mawiał, że nie ma skrupułów i że nigdy dotąd nie czuł się tak silny i tak wolny, dlatego też sam nie pojmował, skąd u niego ten odruch ucieczki, który nie dawał mu spokoju. Mieszkał znowu sam i nie miał innych zobowiązań niż te, jakie brały się wyłącznie z chwilowych porывów serca. Pół godziny jazdy dzieliło go od własnej córki, ale widywał ją zaledwie parę razy w roku. Zabierał Margaret na spacer swoim eleganckim wozem, zamierzając przekazać jej w ciągu czterech godzin to wszystko, co nagromadził przez sześć miesięcy. Po każdej wizycie odwoził ją do domu obdarowaną stosem prezentów, odpowiednich bardziej dla dorosłej kobiety niż nieletniej uczennicy, i chorą z przejedzenia lodami i ciastkami. Próżno było przekonywać Margaret, żeby mówiła do niego „tatusiu”, uznała bowiem, że wygodniej zwracać się per „Gregory” do człowieka, którego prawie nie zna i który pojawiał się w jej życiu dwa razy do roku niczym nadprogramowy święty Mikołaj. Nie używała także słowa „matka”. Nauczycielka Margaret wezwała kiedyś Samanthę do szkoły na rozmowę, żeby zapytać ją, czy to prawda, że dziewczynkę adoptowano po tym, jak jej prawdziwi rodzice zostali brutalnie zamordowani przez bandę zwyrodnialców. Poradziła rozmowę z dziecięcym psychologiem, ale matka zaprowadziła małą jedynie na pierwszą wizytę, bo godziny terapii kłóciły się z jej rozkładem jogi. Nie potrzebuję nikogo, kto by mi mówił, kim jesteście, sama to doskonale wiem, ale to pyszna zabawa oszukiwać nauczycielkę, jest wyjątkowo głupia, wyjaśniła

Margaret z tym absolutnym spokojem, jakim się zawsze odznaczała. Rodzice doszli do wniosku, że dziewczynka jest zadziwiającym przypadkiem połączenia wybujałej wyobraźni z poczuciem humoru. Nie zaalarmowało ich również to, że siusia do łóżka jak niemowlę, nalegając zarazem, by pozwalamo jej ubierać się jak dorosła kobieta i malować paznokcie i wargi. Nie bawiła się z innymi dziećmi, a w jej zachowaniu było coś z małej kurtyzany. Poza jedynym niewątpliwym kłopotem, jakim było zakładanie pieluch na noc, nie przyprowadziła rodziców o ból głowy w wieku, kiedy rozpoczęła edukację seksualną; rozwijała się niczym tajemnicza, bezcielesna istota, której główną zaletą jest to, że prawie nie odczuwa się jej obecności. Tak łatwo można było zapomnieć o jej istnieniu, że własny ojciec często pozwalał sobie na żart, że powinna nosić naszyjniki na niewidzialność, takie jak te, które kiedyś robiła Olga.

Przez siedem lat pracy w kancelarii Gregory Reeves dobrze poznał możliwości i ograniczenia zawodu. Szef wyróżniał go spośród pozostałych adwokatów zatrudnionych w firmie i osobiście wyjaśniał wiele kruczków prawnych. Należał on do tych małostkowych i pełnych obsesji osób, które zawsze muszą mieć wszystko pod kontrolą, nawet najdrobniejszy szczegół. Trudny do zniesienia, był jednak znakomitym adwokatem, który drobiazgowo analizuje wszystkie dane; miał węż myśliwskiego psa w każdej sprawie i nieodpartą elokwencję, co pozwalało mu przekonać każdy sąd. Nauczył Reevesa dokładnie badać każdy przypadek, szukać pozornie nieznaczących słabych punktów i planować strategię niczym generała na polu bitwy.

- To tak jak w szachach: wygrywa ten, kto potrafi przewidywać więcej ruchów. Musi pan mieć w sobie napastliwość

dzikiego zwierza, ale zachowywać zimną krew. Jeżeli straci pan panowanie nad sobą - koniec, proszę się więc nauczyć kontrolować swój charakter, bo inaczej nigdy nie znajdzie się pan w gronie najlepszych, Reeves - mawiał mu często. - Jest pan wystarczająco odporny, ale w walce rozdaje pan ciosy na oślep.

- To samo powtarzał mi Ojciec Larraguibel na dziedzińcu kościoła Matki Boskiej z Lourdes.

- Kto taki?

- Mój profesor boksu.

Reeves był uparty i wytrwały, nie poddawał się łatwo i nigdy nie załamywał, w starciach odznaczał się bezwzględnością, ale jednocześnie targały nim własne namiętności. Szef cenił jego energię, bo w młodości sam miał jej w nadmiarze i nawet do tej pory pozostawały mu pewne zapasy. Pochwalał także jego ambicję, był to bowiem czynnik mobilizujący: wystarczyło umieścić przed nosem Reevesa marchewkę, żeby skakał do niej jak głodny królik. Jeżeli w którymkolwiek momencie mistrz zdał sobie sprawę z manewrów ucznia, by przejąć jak najwięcej z jego wiedzy i posłużyć się nią jak trampoliną po to, by wybić się w firmie, prawdopodobnie mało go to zdziwiło. Na początku swojej kariery zachowywał się podobnie, z tą tylko różnicą, że nie miał nad sobą chytrego szefa, zdolnego powstrzymać go w porę. Uważał się za dobrego znawcę ludzkich charakterów i był pewien, że trzyma Reevesa w garści, mogąc wykorzystywać go dla własnych korzyści przez czas nieokreślony. To tak jak przy ujeżdżaniu konia: trzeba go umiejętnie prowadzić, pozwolić galopować, zmęczyć go, a gdy tylko ochłonie, ściągnąć nagłym szarpnięciem tak, aby zgryzł wędzidło i poczuł przewagę jeźdźcy. Nie pierwszy raz to robił i jak dotąd z dobrym skutkiem. W rzadkich chwilach słabości czuł pokusę, by

oprzeć się na ramieniu tego młodego adwokata, który jest do niego taki podobny, i zacząć traktować go jak syna, którego zawsze pragnął mieć. Stworzył swoje niewielkie imperium i teraz, gdy dobiegał osiemdziesiątki, zadawał sobie pytanie, kto to wszystko po nim odziedziczy. Na niewiele mógł już sobie pozwolić; ciało nie reagowało na podniety wyobraźni, najbardziej wyrafinowane potrawy kazały mu płacić rozstrojeniem żołądka, a co do kobiet - ten temat był zbyt bolesny. Obserwował Reevesa z mieszaniną zazdrości i ojcowskiej wyrozumiałości, nie był jednak typem sentymentalnego staruszka i nie zamierzał oddać ani krztyny władzy. Poczytywał sobie za powód do dumy, że urodził się z twardym sercem, jak zapewniał każdego, kto, prosząc o przysługę, apelował do jego życzliwości. Egoistyczna postawa i nieprzenikniona skorupa małostkowości gasiły w nim najmniejsze odruchy sympatii. W mozolnej nauce chciwości był prawdziwym mistrzem.

Timothy Duane nigdy nie wybaczył własnemu ojcu, że powołał go do życia na tym świecie i nie umarł młodo, przeciwnie: swoim dobrym zdrowiem i złym charakterem przez cały czas zabijał w nim wszelką chęć do życia. Kierowany wyłącznie chęcią drażnienia ojca był gotowy popełnić każde barbarzyństwo, byle wiadomość o tym dotarła do starego. Pięćdziesiąt lat życia upłynęło mu w głębokiej nienawiści, która kosztowała go spokój i dostatnie życie. Czasami duch przekory ratował go z opalów, kiedy na przykład postanowił uchylać się od wojska tylko dlatego, że ojciec wojnę popierał, i to bynajmniej nie z poczucia patriotyzmu, ale ze względu na własne ekonomiczne interesy w zakładach zbrojeniowych. Ogólnie rzecz biorąc, jego buntownicza natura zwracała się

przeciwko niemu samemu i waliła z całą mocą. Postanowił nigdy się nie ożenić i nie mieć dzieci - choć kilka razy naprawdę się zakochał - tylko dlatego, że chęć zniweczenia ojcu jego planów dynastycznych była w nim silniejsza. Wraz z nim miało zniknąć z tego świata rodowe nazwisko, którego tak nienawidził, poza irlandzką gałęzią Duane'ów, o której nikt nie chciał mówić, przypominała ona bowiem o skromnym pochodzeniu. Wykształcony i wytworny, z naturalną elegancją kogoś, kto urodził się wśród haftowanych prześcieradeł, miał namiętną skłonność do sztuki i sympatyczne usposobienie, którym łatwo jedną sobie przyjaciół. W jakimś stopniu starał się skrywać te cechy przed ojcem; wobec niego zachowywał się zawsze jak ostatni gbur, żeby go tylko wyprowadzać z równowagi. Kiedy stary Duane urządzał kolację dla śmietanki towarzyskiej, pojawiał się bez zaproszenia w towarzystwie uwieszanej na ramieniu panienci, gotów pogwałcić wszelkie zasady dobrego tonu. Gdy ojciec syczał przez zaciśnięte zęby, że nie chce go nigdy więcej w życiu widzieć, matka stawiała w jego obronie, narażając się na scysję z mężem. Idź do psychiatry, synu, żeby pomógł ci wyleczyć się z błędów charakteru, radził mu często, na co Timothy odpowiadał, że po usunięciu błędów nie zostanie mu nic z charakteru. Prowadził nędzną egzystencję nie tyle z powodu braku środków, ile z powołania do samoudręczenia. Posiadał apartament w najdroższej dzielnicy miasta, staroświeckie mieszkanie wyposażone w nowoczesne meble i strategicznie rozmieszczone lustra oraz stałą pensję do końca życia, ostatni prezent od dziadka. Ponieważ niczego mu nie brakowało, nie przejmował się w najmniejszym stopniu pieniędzmi i kpił sobie z licznych fundacji wymyślonych przez rodzinę, nie tylko żeby uniknąć podatków, ale też

pozbawić go jakiegokolwiek majątku do odziedziczenia. Jego demony osaczały go bezustannie. Popadał w odpychające nałogi i ulegał im głównie po to, by zranić ojca, choć miał świadomość, że prowadzą go do zguby. Spędzał cały dzień w laboratorium na patologii, czując wstręt do ludzkich ułomności i nieskończonych pokładów bólu i rozkładu, ale także zachwycony możliwościami nauki. Nigdy się do tego nie przyznał, ale w tym jedynym miejscu znajdował pewien spokój. Pograżał się w drobiazgowym badaniu chorej komórki i kiedy wynurzał się zza klisz, probówek i zdjęć rentgenowskich, zazwyczaj późno w nocy, bolały go mięśnie szyi i grzbietu, ale czuł się zadowolony. To uczucie trwało do chwili, gdy znalazł się na ulicy, zapalał silnik wozu i zdawał sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść i że nikt nigdzie na niego nie czeka. Wówczas pograżał się na powrót w nienawiści do samego siebie. Odwiedzał najnędrniejsze bary, gdzie zapominał o wszystkim, nie pamiętał nawet, jak się nazywa, wikłał się w bójki z marynarzami, które kończyły się na pogotowiu, urządzał prowokacje w łazienkach dla homoseksualistów, a potem jakimś cudem uciekał przed przemocą, którą sam na siebie ściągał, zabierając po drodze prostytutki, powodowany pragnieniem płatnej, nikczemnej rozkoszy przyprawionej zagrożeniem śmiertelnej choroby. Krążył po stromym stoku z mieszaniną przerażenia i zadowolenia, przeklinając Boga i wzywając śmierci. Po kilku tygodniach takiego samoupodlenia odzywało się w nim poczucie winy i z drżeniem uświadamiał sobie, że stoi nad ziejącą u jego stóp przepaścią. Przysięgał sobie nie brać więcej do ust kropli alkoholu, zamykał się w domu niczym pustelnik, pograżał w lekturze ulubionych książek i słuchał jazzu do białego rana, robił analizy krwi, szukając ewidentnych śladów śmiertelnej choroby, której w głębi ducha pragnął, być może jako kary

za grzechy. Zaczynał się okres spokoju: chodził na koncerty i do teatru, odwiedzał matkę - i zachowywał się wobec niej jak przykładowy syn - oraz liczne narzeczone, które nie straciły jeszcze nadziei, że zdołają go w jakiś sposób zmienić. Wyruszał na długie, górskie wycieczki, licząc, że w szumie wiatru usłyszy wzywający go głos Boga. Jedyną osobą, z jaką spotykał się w tych dobrych i złych okresach, był Gregory Reeves, który nieraz wyciągał go z oparów i zawsze pomagał znowu stanąć na nogi. Duane nie robił tajemnicy ze swego marnotrawnego życia, przeciwnie, bawiło go wyolbrzymianie własnych podłości, żeby podtrzymać sławę wykolejeńca, istniała jednak także pewna zazdrośnie skrywana strona, o którą niewiele osób go podejrzewało. Jawnie i cynicznie drwił z najszlachetniejszych celów, ale po cichu finansował wiele idealistycznych przedsięwzięć, starannie dbając, by jego nazwisko pozostało nieujawnione. Przeznaczał część dochodów na pomoc dla potrzebujących, zarówno tych, których widział wokół siebie, jak i na wszelkie akcje podejmowane w odległych krajach, czy to na rzecz głodujących dzieci, czy więźniów politycznych. Wbrew oczekiwaniom, kiedy zdecydował się na specjalizację w patologii, jego praca wśród zwłok rozwinęła w nim współczucie dla żywych i zaczęła go interesować cała cierpiąca część ludzkości. Nie starczało mu już współczucia dla wymierających gatunków zwierząt, niszczonej lasów, zanieczyszczanych rzek. Opowiadał o tym niewybredne dowcipy, podobnie jak kpil z ras, religii i kobiet, ponieważ dlatego, że taką postawę dyktowała moda, ale również dlatego, że największą przyjemność sprawiało mu prowokowanie bliźnich. Drażniło go fałszywe zaangażowanie tych, którzy przejmowali się losem delfinów wpadających w sieci na tuńczyka, a jednocześnie przechodzili

obojętnie obok bezdomnych żebraków na ulicy, udając, że ich nie dostrzegają. Świat jest niezłym kawalkiem gówna - brzmiało jego ulubione powiedzenie.

- Wiem, czego ci potrzeba: kobiety, która na zewnątrz byłaby samą słodyczą, za to wewnątrz z żelaza, żeby trzymała cię za gardło i broniła przed tobą samym. Przedstawię ci Carmen Morales - powiedział mu kiedyś Gregory Reeves, gdy już wiedział, że przyjaciółka jest poza jego zasięgiem i może ją kochać jedynie jak brat.

- Za późno, Greg. Mogę się zadawać wyłącznie z kurwami - odpowiedział Timothy Duane, tym razem bez cienia sarkazmu.

Shanon pojawiła się w życiu Reevesa jak świeży powiew wiatru. Od paru lat mozolnie pisał się w górę, ale mimo osiągniętych sukcesów miał wrażenie, że na krok nie ruszył się z miejsca, niczym w koszmarnym śnie. Ze zręcznością czarodzieja tasował w powietrzu długi, lekkomyślnie przedsięwzięte podróże, nieprawdopodobne imprezy, szalony rozkład dnia i swój wianuszek kobiet, mając codziennie wrażenie, że przy najmniejszej nieuwadze wszystko to zwali się na ziemię z hukiem jak przy trzęsieniu ziemi. Trzymał w ręku więcej spraw, niż mógł poprowadzić, więcej długów, niż mógł spłacić, i więcej kochanek, niż potrafił zaspokoić. Miał przy tym dostatecznie dobrą pamięć, by nie poplątać poszczególnych nitek tego gąszczy spraw, dostatecznie dużo szczęścia, by nie pośliznąć się przy nieuważnym ruchu, i dostatecznie dobre zdrowie, by nie umrzeć z wyczerpania jak zwierzę, które należy po prostu zastrzelić, gdy dojdzie do granic wytrzymałości. Shanon zjawiała się któregoś poniedziałku ubrana w ślubną biel, pachnąca kwiatami, z uśmiechem

ośniewającym bardziej niż siedziba firmy ze szkła i stali. Miała dwadzieścia dwa lata, ale dziecinny styl i ujmujące zachowanie sprawiały, że wydawała się młodsza. Była to jej pierwsza praca recepcjonistki. Przedtem zatrudniała się jako sprzedawczyni w kilku różnych sklepach, jako kelnerka i zapalona śpiewaczka, ale, jak powiedziała uroczym głosem rozpieszczonej nastolatki, w tych zawodach nie miała przed sobą żadnej przyszłości. Gregory, oczarowany jej promienną radością i zaintrygowany różnorodnością zawodów, w których pracowała mimo młodego wieku, zapytał ją, co właściwie widzi atrakcyjnego w pracy polegającej na siedzeniu za marmurowym blatem i odbieraniu telefonów. Odpowiedziała zagadkowo, że tu przynajmniej pozna właściwych ludzi. Reeves wpisał ją natychmiast do swego notesu z adresami i nim minął tydzień, zaprosił do dyskoteki. Przyjęła zaproszenie ze spokojnym zaufaniem lwicy w stanie spoczynku, lubię dojrzałych mężczyzn, oświadczyła uśmiechając się, a on nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, przyzwyczajony był bowiem do młodych dziewczyn i różnica wieku nigdy nie wydawała mu się problemem. Szybko miał odczuć cały ogrom pokoleniowej przepaści, jaka ich rozdziela, ale wtedy było już za późno, by się cofnąć. Shanon była typem nowoczesnej dziewczyny. Uciekła z domu, z miasteczka zagubionego gdzieś w Georgii, gdzie się urodziła, przed porywczym ojcem i matką, która pod grubą warstwą makijażu ukrywała siniaki po uderzeniach. Przeszła pieszo kilka mil, nim zabrał ją pierwszy przejeżdżający kierowca ciężarówki, który dostrzegł to fantastyczne zjawisko na niekończącej się wstędze drogi. Po wielu perypetiach dotarła do San Francisco. Naiwność połączona ze swobodą potrafiła zauroczyć wiele osób i pozwalała jej unosić się ponad plugawą rzeczywistością.

Drzwi otwierały się przed nią same, przeszkody znikwały, a wyraz zielonych oczu rozbrajał kobiety i uwodził mężczyzn. Sprawiała wrażenie, że nie jest świadoma swego wpływu, przechodziła przez życie z lekkością niebiańskiego ducha, wiecznie zaskoczona, że coś jej się udaje. Jej brak konsekwencji w postępowaniu sprawiał, że w pogodnym nastroju przenosiła się od jednej rzeczy do drugiej i nie zwracała sobie głowy trudnościami i cierpieniami reszty śmiertelników, nie przejmowała się chwilą obecną, a jeszcze mniej przyszłością. Wytrwałość w ćwiczeniu sztuki zapominania pozwoliła jej przezwyciężyć brudne wspomnienia z dzieciństwa, niedostatek i nędzę okresu dojrzewania, zdrady kochanków, którzy porzucali ją, gdy tylko zaspokoiли chwilowe pożądanie, i świadomość, że nie ma nic. Niezdolna, by zaoszczędzić cokolwiek na dzień następny, utrzymywała się przy życiu dzięki dorywczym zajęciom. Wprawdzie ledwie wiązała koniec z końcem, ale nie uważała się za osobę bez grosza, bo gdy tylko czegoś zapragnęła, wystarczało poprosić: zawsze znalazło się wielu chętnych, którzy, oczarowani, gotowi byli zaspokoić jej kaprysy. Nie posługiwała się mężczyznami przez wrodzoną perwersję ani zły charakter: po prostu nigdy nie wpadło jej do głowy, że mogą się przydać do czegoś innego. Nie знаła problemów, jakie niesie miłość czy jakiegokolwiek głębsze uczucie, wpadała w ulotny zachwyty nad każdym nowym kochankiem, co trwało, póki nie wygasło wstępne zauroczenie, ale szybko się męczyła i odchodziła, nie mając litości dla porzuconego. Skazała licznych kochanków na męki zazdrości i rozpacz, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy, bo sama była odporna na tego typu cierpienia. Porzucona, zmieniała kierunek bez żalu, uznając, że na świecie istnieją niewyczerpane rezerwy gotowych na wszystko mężczyzn. Wybacz, wiesz już, że jestem

jak karczoch: listek dla tego, listek dla tamtego, ale sam środek należy do ciebie, powiedziała z całkowitą powagą po dwóch latach znajomości, bandażując mu napiętki, które sobie poranił, dając w szczękę kolejnemu poderwanemu przez nią facetowi.

Od pierwszej chwili wiadomo było, które z nich dominuje w tym związku. Reeves został pokonany na własnym terytorium, na nic mu się zdało wieloletnie doświadczenie i przechwałki uwodziciela. Uległ natychmiast, zwyciężony nie tylko przez uroki ciała nowej recepcjonistki - równie pięknych jak ona było w jego życiu wiele - ale przede wszystkim przez jej autentyczną otwartość i łatwo przychodzący śmiech. Którejś nocy z niepokojem zadawał sobie pytanie, jak zdoła ocalić tę wspaniałą istotę przed nią samą. Wyobrażał sobie, że jest narażona na rozliczne niebezpieczeństwa i rozczarowania, i postanowił, że weźmie na siebie trudne zadanie chronienia jej.

- Z jakiegoś powodu los stawia mi ją na drodze - wyjaśniał Carmen. - Zgodnie z Niezgłębionym Zamysłem mojego ojca nic nie dzieje się przypadkiem. Ta dziewczyna mnie potrzebuje.

Carmen nie mogła go przestrzec, cała bowiem jej intuicja skupiała się na sprawach dotyczących Daia. Tego dnia była pochłonięta bez reszty szyciem dla niego szaty jednego z Trzech Króli na szkolne przedstawienie z okazji Bożego Narodzenia. Trzymała słuchawkę telefonu między uchem a ramieniem, przyszywając jednocześnie pióra na szmaragdowym turbanie, pod uważnym spojrzeniem syna.

- Oby tylko ta nie okazała się wegetarianką - dodała w zamyśleniu.

Nie była. Shanon rozkoszowała się wspaniałymi pieczywniami autorstwa nowego kochanka, okazując zaraźliwy entuzjazm i nienasycony apetyt. Zakrawało na cud, że może

pochłonąć takie ilości jedzenia i zachować jednocześnie smukłą sylwetkę. Piła przy tym jak szewc. Przy drugim kieliszku zaczynały gorączkowo błyszczeć jej oczy i z anielskiej dziewczynki wychodziła prostytutka. Na tym etapie znajomości Reeves sam jeszcze nie wiedział, która z dwóch osobowości Shanon pociąga go bardziej: niewinna recepcjonistka, jaka w poniedziałki zasiada za marmurowym blatem w wykrochmalonej białej bluzce, czy nienasycona, naga bachantka z niedzielnej nocy. Fascynowała go jako kobieta i nieodparcie czuł pokusę, by odkrywać ją jak podróżnik nieznaną łąd czy poznawać w biblijnym znaczeniu tego słowa. Widywali się codziennie w pracy, gdzie udawali wobec siebie całkowitą obojętność, co wydawało się podejrzane, zważywszy na jego reputację kobieciarza i jej wrodzoną kokieterię. Niejedną noc w tygodniu spędzali razem na niekończących się szaleństwach, co mylili z miłością. Czasami też w biurze chowali się w którymś z zamkniętych pomieszczeń i - ryzykując, że ktoś ich zaskoczy - kochali się na stojąco z gorączkowym pośpiechem nastolatków. Reeves zakochał się jak nigdy dotąd, a Shanon być może także, choć w jej przypadku słowa niewiele znaczyły. Reeves przeżywał powrót do czasów młodości, kiedy to nagła erupcja hormonów spowodowała, że nie pozwalał przejść spokojnie żadnej dziewczynie, z tą różnicą, że teraz cały ładunek jego namiętności skupiał się na jednym obiekcie. Nie potrafił przestać myśleć o Shanon; często podnosił się zza biurka, żeby na nią popatrzeć, targany zazdrością o każdego mężczyznę w ogóle, a o kolegów z pracy w szczególności, włączając w to starego miłośnika orchidei, który również często zatrzymywał się na widok młodziutkiej recepcjonistki, kierowany być może pokusą zdobycia jej jako jeszcze jednego trofeum, ale powstrzymywany

przez poczucie własnej śmieszności i świadomość ograniczeń wynikających z wieku. Nikt, kto przechodził obok stanowiska Shanon, nie mógł powstrzymać gwałtowniejszego bicia serca na widok jej olśniewającego uśmiechu. Kiedy zdarzało się, że wieczorem nie miała ochoty nigdzie wyjść, Gregory Reeves natychmiast wyobrażał ją sobie w ramionach rywala i już samo to podejrzenie przyprawiało go o szaleństwo. Zarzucał ją wymyślnymi prezentami tylko po to, by wzbudzić jej podziw, nie dostrzegając, że nie potrafi docenić ani ręcznie zdobionych chińskich szkatulek, ani drzewek *bonsai*, ani kolczyków z prawdziwych pereł i że raczej wolałaby skórzane spodnie, żeby swobodnie jeździć na motorze w towarzystwie przyjaciół w swoim wieku. Próbował wciągnąć ją w świat własnych zainteresowań, kierowany tym odwiecznym dążeniem zakochanych, by dzielić wszystko. Kiedy po raz pierwszy zabrał ją do opery, oszołomiły ją eleganckie toalety publiczności, ale gdy podniesiono kurtynę, była przekonana, że chodzi o jakąś komedię. Wytrzymała do trzeciego aktu, ale na widok grubej damy odzianej w strój gejszy, która przebija sobie brzuch nożem, i jej syna machającego japońską i amerykańską flagą, wybuchnęła śmiechem, który przerwał grę orkiestry i oboje musieli opuścić salę.

W sierpniu zabrał ją do Włoch. Nie minął jeszcze rok od rozpoczęcia przez Shanon pracy i w zasadzie nie przysługiwałby jej urlop, ale pokonała tę przeszkodę, wymawiając posadę w kancelarii. Zaproponowano jej pracę modelki w firmie reklamowej. Gregory przez całą podróż martwił się na zapas. Odpychał od siebie samą myśl, że Shanon na okładkach czasopism będzie wydana na pastwę miliona spojrzeń, nie odważył się jednak rozmawiać z nią na ten temat, bojąc się, że wyjdzie na durnia. Nie opowiedział również o tym

Carmen z obawy, że przyjaciółka z pewnością będzie sobie z niego stroić żarty. Kiedy wędrowali usianą kwiatami ścieżką wzdłuż brzegu jeziora Como, nie zwracał uwagi ani na przezroczystą tafłę wody, ani na skąpane w pomarańczowym świetle miasteczka, przytulone do okolicznych wzgórz: wzrok jego przyciągały wyłącznie cudowne okrągłości Shanon. Przyszedł mu wówczas do głowy pomysł, jak ją zatrzymać przy sobie i zaproponował, by zamieszkali razem, nie będzie wtedy musiała pracować i może zapisać się na uniwersytet, skończyć jakieś studia, jest przecież osobą inteligentną i o twórczym umyśle, nie znalazłoby się zatem coś, co mogłaby studiować? Chwilowo nie, odparła Shanon, parszając śmiechem swawolniejszym niż zwykle po kilku kieliszkach wina, ale zastanowi się nad tym. Tej samej nocy Reeves podniósł słuchawkę telefonu, gotów podzielić się wiadomościami z Carmen po drugiej stronie oceanu, ale nie zastał przyjaciółki w domu. Wyjechała z Daiem w podróż na Daleki Wschód.

Bel Benedict nie wiedziała, ile ma dokładnie lat, i nie chciała tego sprawdzać. Z wiekiem zardzewiały nieco jej kości, a skóra barwy karmelu ściemniała do tonacji czekolady, nie straciły jednak nic ze swego topazowego blasku jej wydłużone oczy, nie wygasły w niej także do końca porywy ciała. Czasami w nocy śniła o ciepłe jedynego człowieka, którego w życiu kochała, i budziła się wilgotna z rozkoszy. Jestem chyba jedyną staruszką w historii zdolną do miłości, niech mi Bóg przebaczy, myślała bez cienia wstydu, raczej z tajoną dumą. Wstyd jej było przeglądać się w lustrze, widziała bowiem, jak jej ciało smagłej kłaczy wiotczeje, upodabnia się coraz bardziej do postrzępionego worka; gdyby

teraz zobaczył mnie mąż, odwróciłby twarz, przerażony, myślała. Nigdy nie przeszło jej przez myśl, że gdyby żył, lata odcisnęłyby swe piętno także na nim, i dzisiaj nie byłby już tym samym wesołym i uległym mężczyzną, który uwiódł ją, gdy miała piętnaście lat. Bel nie mogła jednak pozwolić sobie na luksus pozostawania w łóżku i rozpamiętywania przeszłości ani na stanie przed lustrem w rozpaczony nad zużyciem własnego ciała. Wstawała o świcie, żeby zdążyć do pracy, z wyjątkiem niedziel, kiedy szła do kościoła i na targ. Przez ostatni rok nie miała chwili dla siebie, bo zaraz po pracy biegła do domu, żeby zająć się synem. Ponownie zaczęła nazywać go Baby, jak w czasach, gdy nosiła przy piersi i śpiewała kołysanki. Nie mów tak do mnie, mammo, koledzy będą się ze mnie wyśmiewać, protestował, ale, prawdę mówiąc, nie został mu już nikt z dawnych przyjaciół, stracił ich wszystkich, tak samo jak pracę, żonę, dzieci i pamięć. Biedny Baby, wzdychała Bel Benedict, ale nie współczuła mu, nawet trochę zazdrościła. Nie zamierzała umierać jeszcze przez wiele lat, a póki ona żyje, syn może spać spokojnie. Krok po kroku, dzień po dniu - to była jej dewiza, nie warto martwić się o niejasne jutro. Jej dziadek, niewolnik znaną Missisipi, mawiał, że przed sobą mamy przeszłość: to jedyna rzecz prawdziwa, z przeszłości możemy wyciągać wnioski i doświadczenie na resztę życia. Teraźniejszość to złudzenie, ponieważ w ułamku sekundy staje się częścią przeszłości, a przyszłość to czarna dziura, której nie widać i nawet nie wiadomo, czy istnieje, bo w każdej chwili może nadejść śmierć. Bel pracowała jako służąca u rodziców Timothy'ego Duane'a od tylu lat, że nikt nie pamiętał, jak wyglądał dom bez niej. Kiedy ją przyjęto do pracy, była jeszcze ową legendarną piękną, jedną z tych Murzynek o wciętej talii, które poruszają się, jakby pływały pod wodą.

- Wyjdz za mnie - prosił ją w kuchni Timothy, kiedy częstowała go ciastem, jedynym osiągnięciem kulinarnym, na jakie mogła się zdobyć - jesteś tak piękna, że powinnaś zostać gwiazdą filmową, zamiast usługiwać mojej matce.

- Murzyni w filmach to biali przemalowani na czarno - śmiała się Bel.

Była bardzo młoda, kiedy pojawił się w jej życiu wędrowiec o donośnym śmiechu, szukający cienia, w którym mógłby odpocząć. Zapalali do siebie miłością natychmiast, ogarnięci tą niepojętą namiętnością, jaka zdolna jest zakłócić porządek pór roku, i w ten sposób poczęli Kinga Benedicta, który miał przeżyć dwa życia, jak przewidywała Olga, kiedy ten jeden jedyny raz ich drogi się zeszły, gdy ciężarówka Niezłębionego Zamysłu zabrała z zapyłonej drogi czarnego żołnierza w czasach drugiej wojny światowej. Kilka dni po wydaniu dziecka na świat Bel nie pamiętała już o dziewięciu miesiącach ciąży ani o trudach porodu i biegła za swym mężczyzną po wszystkich zakątkach gospodarstwa. Kochali się w kałuży krwi menstruacyjnej, w oborze, w obecności krów i ptactwa, i w spichrzach, nie zważając na skorpiony. Kiedy mały King zaczął stawiać pierwsze niepewne kroki, ojciec, wycieńczony miłosnymi wyczynami, dręczony obawą, że zgubi własną duszę i straci męskość między nogami tej nienasyconej hurysy, uciekł, zabierając ze sobą na pamiątkę kosmyk włosów, który uciął, gdy Bel spała. W porywie owych nieślubnych kopulacji nie usłuchał nalegań pastora Kościoła Baptistów, by zawarli związek pobłogosławiony, jak mawiał, w oczach Pana. Dla Bel podpis w księgach parafialnych nie miał żadnego znaczenia, uważała się bowiem za mężatkę. Przez resztę życia miała używać nazwiska kochanka, a wszystkim mężczyznom, którzy skłaniali głowę na jej piersi przez następne pół wieku mówiła, że

mąż jest chwilowo w podróży. Stale to powtarzała, aż sama w końcu uwierzyła, dlatego też ogarniała ją wściekłość, ilekroć przeglądała się w lustrze naga, jak się nie pospieszysz z powrotem, zastaniesz tylko sflaczałą skórę, odwoływała się do wspomnień nieobecnego.

Tamtego styczniowego ranka miasto obudziło się smagane bezlitosnym wiatrem od morza. Bel Benedict założyła swój strój na niedzielę i święta: turkusowy kostium, kapełusz, buty i rękawiczki w tym samym kolorze. Wyczytała gdzieś, że królowa Elżbieta nosi zawsze dodatki w tym samym odcieniu i nie spoczęła, póki nie sprawiła sobie czegoś podobnego. Timothy Duane czekał na nią w samochodzie zaparkowanym przed skromnym domem, gdzie mieszkała.

- Nie jesteś nieśmiertelna, Bel. Co będzie z twoim synem, kiedy ciebie zabraknie? - zapytał ją kiedyś.

- King nie będzie pierwszym czternastolatkiem, który musi radzić sobie sam.

- Nie ma lat czternastu, Bel, tylko pięćdziesiąt trzy.

- Jeśli chodzi o to, co umie - to czternaście.

- Właśnie do tego zmierzam. Zawsze będzie niedojrzały.

- Może nie, może kiedyś dojrzeje...

- Przy pewnej sumie pieniędzy wszystko stanie się dla was łatwiejsze, nie upieraj się tak, kobieto.

- Już ci mówiłam, Tim, nic nie można zrobić. Adwokat z towarzystwa ubezpieczeniowego był z nami szczerzy, nie przysługują nam żadne prawa. Z dobroci serca dadzą nam dziesięć tysięcy dolarów, ale jeszcze nie teraz, są jakieś przepisy, które trzeba spełniać.

- Nie znam się na tym, ale mam kolegę, który może doradzić.

Gregory Reeves przyjął ich w gabinecie, zamienionym dzięki donicom z roślinami w dżunglę. Bel w swoim stroju

królowej wkroczyła z godnością, spoczęła na tylekroć wykorzystywanej skórzanej sofie i przeszła od razu do opisu dziwnego przypadku swego syna, Kinga Benedicta.

Reeves słuchał jej z uwagą, szperając jednocześnie w zakamarkach pamięci w poszukiwaniu brzmienia tego nazwiska, które odzywało się jak dalekie echo przeszłości. Nie sposób zapomnieć tak dźwięcznego imienia, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kiedy i gdzie je przedtem słyszał. King jest dobrym chrześcijaninem, zaczęła Bel, ale Bóg nie zesłał na niego łatwego życia. Zawsze byliśmy biedni i przez pierwsze lata przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, szukając pracy, żegnając się z przyjaciółmi i zmieniając szkoły. King rósł w obawie, że matka go porzuci, odchodząc z kolejnym narzeczoną; że zostawi go samego w wynajętym pokoju w miasteczku bez nazwy. Był chłopcem melancholijnym i nieśmiałym. Lata wojny na południowym Pacyfiku nie zabiły w nim niepewności. Po powrocie z wojny ożenił się i miał dwie dzieci, na życie zarabiał jako robotnik budowlany. Po kilku latach małżeństwa zaczęły się nieporozumienia, żona groziła Kingowi, że go rzuci, a dzieci wyzywały od żebraków. Bel widziała go wciąż spiętego i przygnębionego i zaczęła się obawiać, że znowu zacznie pić, jak przy poprzednich kryzysach. Sprawy zaczynały iść źle, a wszystko rozpadło się ostatecznie w dniu wypadku. King Benedict znajdował się na wysokości drugiego piętra, kiedy nagle obsunęło się rusztowanie. Spadł, uderzając głową o ziemię. Uderzenie ogłuszyło go na kilka sekund, zdołał jednak podnieść się o własnych siłach, jakby odniósł tylko lekkie obrażenia. Zabrano go mimo wszystko do szpitala, po czym szybko wypuszczono po zrobieniu rutynowych badań. Gdy tylko ustąpiły zawroty głowy i zaczął mówić, okazało się, że nie pamięta, gdzie jest

i nie poznaje bliskich. Wydawało mu się, że znowu jest nastolatkiem. Matka szybko odkryła, że pamięcią sięga wieku czternastu lat, od tej granicy otwierała się bezdenna przepaść. King przeszedł wszelkie badania wewnętrzne i zewnętrzne, pozakładano mu sondy, podłączono elektrody do mózgu, stosowano hipnozę i fotografowano nawet duszę, i choć trwało to tygodniami, nie znaleziono żadnej logicznej przyczyny tak tragicznej amnezji. Lekarze nie odkryli żadnego organicznego uszkodzenia. King zaczął się zachowywać jak dojrzewający chłopak, wymyślał kłamstwa, by wyprowadzić w pole własnych synów, których uważał za towarzyszy zabaw, i uspić czujność żony, którą mylił z matką. Nie potrafił rozpoznać Bel Benedict, pamiętał ją bowiem jako przepiękną, młodą kobietę. Jednak w kolejnych miesiącach chwycił się tej nieznannej sobie staruszki jak ostatniej deski ratunku, ona jedna była czymś pewnym w tym świecie pełnym pomyłek. Krewni i przyjaciele nie wierzyli w amnezję, uważali raczej, że to jakiś żart spowodowany atakiem hysterii i szybko znudziło im się przeszukiwanie szczątków jego pamięci w nadziei znalezienia jakiegoś znaku, że ich rozpoznaje. Nie uwierzyło również w amnezję towarzystwo ubezpieczeniowe. King został oskarżony o symulację w celu wyłudzenia pieniędzy oraz dożywotniej renty inwalidzkiej, zwykły oszust, który po prostu uderzył się w głowę, nic więcej. Gdy żona wychodziła z domu, King czuł się osamotniony, kiedy jednak zaczęła sprowadzać do domu kochanków, Bel uznała, że nadeszła pora, by interweniować, i zabrała syna do siebie. Przez te wszystkie miesiące obserwowała go uważnie i nie zauważyła, żeby pamiętał cokolwiek z okresu późniejszego niż owa granica czternastu lat. King uspokajał się stopniowo, nie sprawiał kłopotów, Bel była nawet zadowolona, że jest u niej.

Jedynym dziwnym przejawem w jego zachowaniu było to, że ponoć słyszał głosy i miał jakieś wizje, oboje jednak przyzwyczaili się do obecności tych nienamacalnych duchów wyobraźni, do których lekarze nie przywiązywali najmniejszej wagi. Timothy Duane był w posiadaniu orzeczeń lekarskich i listów adwokatów z towarzystwa ubezpieczeniowego. Reeves przebiegł dokumenty szybkim spojrzeniem, czując w całym ciele żądzę walki, którą tak dobrze znał, owo frenetyczne przecucie wojownika: najwspanialszą rzecz w jego zawodzie. Uwielbiał zawile przypadki, trudne wyzwania, potyczki.

- Jeżeli godzi się pani oddać sprawę do sądu, musimy się pospieszyć, bo jest to możliwe tylko w ciągu roku od dnia wypadku.

- Ale wtedy nie dostanę tych dziesięciu tysięcy dolarów.

- Ten przypadek może być wart o wiele więcej, pani Benedict. Prawdopodobnie chcą dać pani tę sumę, by zyskać na czasie, wiedząc, że w ten sposób traci pani prawo, żeby ich pozwać do sądu.

Bel zgodziła się z rezygnacją. Dziesięć tysięcy dolarów stanowiło więcej, niż mogłaby zaoszczędzić przez całe swoje pracowite życie, ale młody adwokat, z którym rozmawiała, budził zaufanie. Z kolei Timothy Duane miał rację: powinna bronić syna przed niepewną przyszłością. Jeszcze tego popołudnia Reeves przedstawił sprawę szefowi. Był tak podniecony, że plątał mu się język, gdy mówił o pięknej starej Murzynce i o jej synu w zaawansowanym wieku, który nagle znalazł się na powrót w okresie dojrzewania. Niech pan sobie wyobrazi, jeżeli wygramy, zmienimy życie tych biednych ludzi, argumentował, napotkał jednak ironiczne spojrzenie spod diabolicznych brwi uniesionych aż po nasadę włosów.

Niech pan nie traci czasu na głupstwa, Gregory, usłyszał, nie warto pchać się w coś takiego. Perspektywy wygrania sprawy są niewielkie, trzeba czasu na zbadanie wszystkich okoliczności, dziesiątków ekspertów, wielu godzin pracy, a rezultat może być żaden. Jeżeli nie doszło do uszkodzenia mózgu, które spowodowało utratę pamięci, żaden sąd nie uwierzy w nagłą amnezję. Reeves poczuł, że zalewa go fala frustracji, miał dość posłusznego wykonywania poleceń innych, z każdym dniem czuł się bardziej niespokojny i zniechęcony pracą, nie widział przed sobą perspektyw, by się wreszcie usamodzielić. Odmowa zajęcia się sprawą dała mu pretekst, by wygłosić staremu miłośnikowi orchidei przemówienie pożegnalne, tyle razy przećwiczone w samotności. Po powrocie do domu wieczorem zastał Shanon leżącą na podłodze przed telewizorem. Pocałował ją z mieszaną dumy i troski.

- Porzuciłem firmę. Od dzisiaj sam sobą steruję.

- Trzeba to uczcić - wykrzyknęła - a jeżeli już pijemy, Greg, to wzniesmy toast za dziecko.

- Za jakie dziecko?

- Za to, którego oczekujemy - parsknęła śmiechem, nalewając mu z butelki, która stała na podłodze tuż przy niej.

Po rozwodzie z drugim mężem Judy Reeves została z dziećmi, nawet z tymi, które należały do jego pierwszej żony. Z czasem jej małżeństwo zmieniło się w jedno pasmo urazów i kłótni, z których mąż zawsze wychodził pokonany. Kiedy nadeszła chwila ostatecznego rozstania, nikomu nie wpadło nawet do głowy, by ojciec mógł zabrać ze sobą swoje dzieci, uczucie między Judy a dwoma smagłymi pasierbami było bowiem tak trwale i gorące, że nikt nie pamiętał nawet,

że to nie jej własne dzieci. Judy wytrzymała w stanie wolnym zaledwie kilka miesięcy. Pewnej upalnej soboty zabrała całą rodzinę na plażę i tam poznała krzepkiego weterynarza z północnej Kalifornii, który uprawiał turystykę, jeżdżąc z przyczepą w towarzystwie trzech synów i suki. Zwierzę zostało niedawno potrącone i miało sparaliżowane tylne nogi. Praktyka zawodowa nakazywałaby weterynarzowi pomóc suce przenieść się w lepszy świat, ale zamiast tego wymyślił specjalny rodzaj uprzęży, która pozwalała dzieciom prowadzić zwierzę w taki sposób, że poruszało się na przednich łapach, podtrzymywane od tyłu. Sensacja, jaką wywołała inwalidka skacząca przez fale oraz piski radości przyciągnęły uwagę dzieci Judy. Tak doszło do spotkania. Judy wylewała się ze szwów swego kostiumu kąpielowego w paski i pochłaniała kolejne porcje lodów. Weterynarz przystanął na ten widok, w równym stopniu przerażony, co zafascynowany, nie mogąc odwrócić wzroku od takiej obfitości nagiego ciała. Już po chwili rozmowy zostali przyjaciółmi. On przestał zwracać uwagę na jej wygląd i po zachodzie słońca zaprosił na kolację. Obie rodziny zakończyły dzień, objadając się pizzą i hamburgerami.

Weterynarz wrócił z dziećmi do doliny Napa, gdzie mieszkali, a Judy wzywała go każdą myślą. Od czasów Jima Morgana, swego pierwszego męża, nie znajdowała człowieka, który umiałby zмагаć się z nią w łóżku w równej walce. Jim Morgan wyszedł z więzienia, zwolniony wcześniej za dobre sprawowanie, i choć Judy była już żoną wąsatego taksówkarza, zadzwonił do niej, głównie po to, by powiedzieć, że przez ani jeden dzień odsiadki nie przestał o niej myśleć z największą czułością. Jednak Judy wędrowała już innymi drogami. Poza wszystkim Morgan przystał do sekty chrześcijańskich fundamentalistów, której fanatyzm był dla

niej całkowicie niezrozumiały. Odziedziczyła po matce tolerancję bahaizmu i nawet nie miała ochoty zobaczyć się z byłym mężem, kiedy znów została sama. Wezwania Judy, posyłane myślami, zdołały przekroczyć góry i rozległe winnice i wkrótce po pierwszym spotkaniu weterynarz przyjechał z wizytą. Spędzili miodowy tydzień w towarzystwie wszystkich dzieci i babci Nory, w owym czasie już całkiem uzależnionej od Judy. Chałupa, którą Charles Reeves kupił trzydzieści lat wcześniej, powróciła do nędznego stanu pierwotnego. Termyty, kurz i upływ czasu dokonały powoli swego dzieła w drewnianych ścianach, a Nora nie uczyniła nic, by uratować dom od klęski. Pewnego popołudnia Judy i jej drugi mąż wpadli z wizytą i zastali staruszkę w wiklinowym fotelu pod wierzbą, ponieważ sufit ganku zawalił się: kolumny były całkowicie zmurszałe.

- W takim razie zamieszka pani z nami - postanowił zięć.

- Dziękuję ci, synu, ale to niemożliwe. Proszę sobie wyobrazić, co pomyśli Doktor Boskich Nauk, gdy mnie tu w czwartek nie zastanie.

- O czym mówi twoja matka?

- Uważa, że duch mego ojca nawiedza ją w czwartki, dlatego właśnie nigdy nie chciała opuścić tego domu - wyjaśniła Judy.

- Nie ma problemu, proszę pani. Zostawimy mężowi kartkę z pani nowym adresem - rozstrzygnął zięć.

Nikt przedtem nie wpadł na to najprostsze rozwiązanie. Nora wstała, napisała adres swoim doskonale czytelnym pismem nauczycielki, zabrała naszyjnik z pereł - ratunek przed tyłoma nieszczęściami - pudło ze starymi fotografiami i kilka obrazów malowanych ręką męża i powoli ruszyła do samochodu córki. Judy zabrała także wiklinowy fotel, którego

matka mogła potrzebować, zamknęła dom na kłódkę, po czym odjechali, nie oglądając się za siebie. Charles Reeves znalazł widocznie wiadomość - tak jak miał potem znajdować wszystkie inne, pozostawiane mu, ilekroć żona zmieniała miejsce pobytu - bo regularnie co czwartek przybywał na pośmiertne spotkania, a Nora nie spuszczała wzroku z nitki, na której wisiała pomarańcza, ogniwo łączące ją z innym światem. W tym samym roku, w którym Gregory ożenił się z Shanon, jego siostra mieszkała z weterynarzem, matką i tłumem dzieci w różnym wieku, o różnych kolorach skóry i nazwiskach, oczekiwała ósmego potomka i twierdziła, że jest zakochana. Nie było jej teraz łatwo: połowa domu przeznaczona została na klinikę dla zwierząt, kolejka chorych zwierzątek nie malała, w powietrzu unosił się odór kreoliny, dzieci klóciły się między sobą jak dzikusy, a Nora Reeves pogrążyła się w miłosiernym świetle własnej imaginacji i w wieku, kiedy inne staruszki robią na drutach skarpetki dla prawnuków, ona powracała do czasów młodości. Mimo wszystko jednak Judy twierdziła, że po raz pierwszy w życiu jest szczęśliwa. Miała nareszcie wspaniałego partnera i nie musiała pracować poza domem. Mąż przygotowywał gigantyczne ilości jedła, by nakarmić całą gromadkę, a herbatniki kupował w hurcie. Mimo ciąży, dobrego jedzenia i niepostrzymanego apetytu Judy zaczęła jednak powoli chudnąć i w kilka miesięcy po wydaniu dziecka na świat powróciła do swej dziewczęcej wagi. Przybyła na ślub brata, mając za ozdobę swe jasne włosy i kapelusz z delikatnej słomki, z trzecim mężem u boku, siedmiorgiem dzieci w niedzielnych ubraniach, najmłodszym potomkiem w ramionach, z matką ubraną w szkolny mundurek i z prowadzoną w uprzęży sparaliżowaną suką z tak roześmianym pyskiem, jaki mają tylko zadowolone psy.

- Przywitaj się z cicią Judy i z babcią Nora - Gregory rozkazał Margaret, która miała wówczas jedenaście lat, nadal była niewysoka, ale zachowywała się jak dorosła kobieta. Nigdy nie słyszała ani o tej okropnej otylej babie, ani o tej zwariowanej staruszce z wstążką we włosach i myślała, że cały ten cyrk to chyba jakiś kawał. Nie uznawała poczucia humoru ojca.

Pan młody pragnął nadać swemu ślubowi latynoski klimat, zamówił więc meksykańską orkiestrę z dzielnicy Misión, a jedzenie było dziełem Rosemary, jednej z dawnych kochanek, pięknej kobiety, której ożenek Reevesa bynajmniej nie uraził, bo nigdy nie zamierzała go poślubić. Napisała wiele książek kucharskich i zarabiała na życie, przygotowując bankiety wraz z całą ekipą kelnerów. Z tą samą wprawą przygotowywała meksykańską fiestę, obiad dla japońskiej delegacji i francuską kolację. Shanon, królowa przyjęcia, wystrojona w niewinną sukienkę z białej organdy, ćwiczyła się w pasodoble, bolerach i korridach, póki wino nie uderzyło jej do głowy tak, że musiała się wycofać. Przez resztę nocy Gregory Reeves i Timothy Duane tańczyli z Carmen jak za dawnych czasów *jitter-buga* i rocka, a Dai w milczeniu i z pewnym niepokojem obserwował to nieznane sobie dotąd zachowanie matki.

- Ten mały jest zupełnie taki sam jak Juan José - zauważył Greg.

- Nie, jest taki sam jak ja - odparła Carmen.

Wróciła właśnie z podróży do Tajlandii, Indii i na Bali, przywożąc zapasy surowców i z głową pełną nowatorskich pomysłów. Nie nadążała z zamówieniami rynku, wynajęła więc lokal na warsztat i zaangażowała kilku wietnamskich uchodźców, których pouczyła, w czym mają jej pomagać. Kiedy Dai był w szkole, miała czas dla siebie, spokój i ciszę konieczną dla opracowania projektów biżuterii, które potem

asystenci odtwarzali. Podzieliła się z Gregorym wiadomością, że zamierza otworzyć własny sklep, kiedy tylko, zaoszczędzi tyle, by móc jakoś wystartować.

- To nie jest tak, Carmen. Ciągłe masz chłopską mentalność! Powinnas wziąć pożyczkę, interesy robi się na kredyt, Carmen.

- Ile razy mam cię prosić, żebyś mówił: Tamar!

- Przedstawię cię mojemu bankierowi.

- Nie mam ochoty skończyć jak ty, Gregory. Nawet gdybyś żył sto lat, nie uda ci się spłacić wszystkich długów.

Była to prawda. Przyjaciel bankier po raz kolejny musiał udzielić Reevesowi następnej pożyczki, by ten mógł otworzyć własną kancelarię, ale nie skarżył się, tego roku bowiem interesy szły jak nigdy dotąd. Klientów jak Reeves należało wykorzystywać, nie było bowiem wiadomo, kiedy i ilu z nich spłaci zaciągnięte długi. Hossa nie mogła trwać wiecznie, a eksperci przepowiadali, że w przypadku załamania gospodarczego prezydent nie zostanie powtórnie wybrany. Poczciwy człowiek, gadają o nim, że jest słaby i zbyt liberalny, dwa niewybaczalne grzechy w tym miejscu i w tych czasach.

Otworzył kancelarię nad chińską restauracją i polecił wyryć na szybach swoje nazwisko i tytuł wielkimi złotymi literami, jak widywał w kryminalach: Gregory Reeves, adwokat. Napis był symbolem jego triumfu. Widać po tobie, chłopie, że jesteś nisko urodzony, w życiu nie widziałem czegoś bardziej wulgarnego, wyraził opinię Timothy Duane, natomiast Carmen spodobał się pomysł i postanowiła wykorzystać go w swoim sklepie, jednak z użyciem liter przypominających arabeski. Kancelaria mieściła się w przestronnym pomieszczeniu w samym centrum San Francisco, miała bezpośrednią

windę i wyjście awaryjne, które przydało się później przy paru okazjach. Tego samego dnia, gdy Reeves wszedł do budynku, właściciel restauracji, Chińczyk z Hongkongu, przyszedł się przywitać. Towarzyszył mu syn, krótkowzroczny młodzieniec o drobnej posturze i doskonałych manierach, geolog z zawodu, pozbawiony jednak jakiegokolwiek orientacji w minerałach i kamieniach, bo tak naprawdę interesowały go jedynie cyfry. Nazywał się Mike Tong, a do Stanów przyjechał jako małe dziecko, gdy ojciec postanowił sprowadzić tu całą rodzinę. Chińczyk zapytał, czy pan adwokat nie potrzebuje może księgowego do prowadzenia ksiąg rachunkowych, na co Gregory odparł, że chwilowo ma tylko jednego klienta, zatem nie mógłby nawet płacić regularnej pensji, najwyżej zatrudniać na kilka godzin w tygodniu. Nie podejrzewał jeszcze wtedy, że Mike Tong stanie się z czasem jego najwierniejszym sprzymierzeńcem i kiedyś wyciągnie go z beznadziejnego położenia i groźby bankructwa. W owych czasach odsetek latynoskich pracowników znacznie wzrósł. Za trzydzieści lat biali będą w tym kraju mniejszością, przepowiadał Timothy Duane. Reeves miał zamiar wykorzystać doświadczenia zebrane w dzielnicy, w której się wychował, i swoją znajomość hiszpańskiego, żeby znaleźć klientów w kręgach latynoskiej mniejszości. Gdzie indziej konkurencja była ogromna: trzy czwarte wszystkich adwokatów świata działało w USA, praktycznie przypadła jeden na trzysta siedemdziesiąt osób. Najważniejsze jednak w tym wszystkim było to, że pieścił w duszy ideę, by pomagać najuboższemu, rozumiał bowiem jak nikt inny problemy latynoskiej imigracji, sam przecież swego czasu pracował nielegalnie. Potrzebował sekretarki, która znałaby w równym stopniu angielski i hiszpański. Carmen skontaktowała go z niejaką

Tiną Faibich, która spełniała te warunki. Pojawiła się ona w biurze, zanim jeszcze przywieziono meble i stała w nim jedynie sofa z angielskiej skóry, współniczka tyłu podbojów oraz dziesiątki doniczek z roślinami; dokumenty i akta walały się po podłodze. Kobieta musiała torować sobie drogę w tym bałaganie i usiąść na skrzyni z książkami. Gregory miał przed sobą miłą, spokojną kobietę, wysławiającą się w nie-nagannej hiszpańszczyźnie, która obserwowała go z nieprzeniknionym wyrazem miłych oczu jałowicy. Poczul się dobrze w jej towarzystwie, emanował z niej bowiem ten spokój, którego jemu tak bardzo brakowało. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, nie przejrzał przyniesionych rekomendacji ani nie zadał zbyt wielu pytań: ufał swemu instynktowi. Przy pożegnaniu zdjęła okulary i zapytała z uśmiechem: nie poznaje mnie pan? Gregory podniósł wzrok i przyjrzał się jej uważniej: była to Ernestina Pereda, zwinna wiewiórka z erotycznych zabaw w szkolnej łazience, gorąca wilczyca okresu dojrzewania, która wybawiała go z męczarni pożądania, kiedy topił się w żarze własnych hormonów, Ernestina od pośpiesznej miłości i skruszonego szloch, święta Ernestina, zmieniona z wiekiem w spokojną matronę. Po niezliczonych jednodniowych kochankach wyszła za mąż w wieku już dojrzałym za pracownika urzędu telekomunikacji, nie miała dzieci i nie były jej do szczęścia potrzebne, mąż wystarczy, powiedziała, pokazując Gregory'emu fotografię pana Faibicha, człowieka tak zwyczajnego i nie rzucającego się w oczy, że nie sposób było zapamiętać jego twarz. Gregory Reeves stał z fotografią w ręku ze wzrokiem wbitym w podłogę, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Jestem dobrą sekretarką - powiedziała cicho, czerwieniąc się.

- Ten układ może stać się niewygodny dla nas obojga, Ernestino.

- Nie będzie się pan na mnie skarżył, panie Reeves.

- Mów do mnie Gregory.

- Nie. Lepiej, żebyśmy zaczęli od nowa. Przeszłość się nie liczy - powiedziała, po czym zaczęła mu opowiadać, jak zmieniło się jej życie, odkąd poznała swego męża, człowieka z pozoru dobrodusznego, który jednak w rzeczywistości krył w sobie energię wulkanu, do tego był nienasyconym i przy tym wiernym kochankiem, który wreszcie zdołał zaspokoić głód miłości trawiący jej ciało. Po burzliwej przeszłości zostało jej w głowie mętne wspomnienie, po części dlatego, że mało ją obchodziły dawne wydarzenia, wystarczało w zupełności szczęście, które obecnie było jej udziałem.

- Ale o panu nigdy nie zapomniałam, bo pan jeden nie składał mi nigdy obietnic, których nie mógłby spełnić - powiedziała.

- Czekam na panią jutro o ósmej, Tina - uśmiechnął się Gregory, podając jej rękę.

Ale mnie wrobiłaś, oświadczył potem Carmen przez telefon, na co ona, wiedząc o tajonych i bynajmniej nie niewinnych spotkaniach przyjaciela z Ernestina Pereda, zapewniła go, że nie zamierzała wcale robić mu kawału, naprawdę była przekonana, że znalazła idealną sekretarkę. Nie myliła się: Tina Faibich i Mike Tong stanowić mieli jedyne absolutnie pewne filary kruchej kancelarii Gregory'ego Reevesa. Także Carmen wpadła na pomysł przyciągnięcia latynoskiej klienteli za pomocą reklamy w hiszpańskojęzycznym kanale telewizji, nadawanej w trakcie telenoweli, pamiętała bowiem, że jej własna matka jak zahipnotyzowana siedziała przez telewizorem, śledząc z większym niepokojem losy fikcyjnych postaci niż członków własnej rodziny. Żadne z nich nie

przewidziało skutków takiej akcji. W każdej z przerw na reklamy pojawiał się na ekranie Gregory Reeves ze swymi niebieskimi oczami i w dobrze skrojonym garniturze, typ szanowanego anglosaskiego profesjonalisty, który jednak, gdy tylko otwierał usta, by oferować swe usługi, przemawiał w dźwięcznej hiszpańszczyźnie latynoskiej dzielnicy, z akcentem i z całą serią zwrotów przejętych od tych ludzi, którzy teraz oglądali go w telewizji. Można mu zaufać, stwierdzali potencjalni klienci, to jeden z nas, tylko że biały. Szybko zaczęli go rozpoznawać kelnerzy z restauracji, kierowcy taksówek, robotnicy budowlani i wszyscy śniadoskórzy pracownicy fizyczni, jacy go mijali. Kiedy rozpoczynał pracę, jedynym jego klientem był King Benedict; po miesiącu miał ich tylu, że zastanawiał się nad znalezieniem wspólnika.

- Podwładni tak, wspólników nigdy - doradzał Mike Tong, który spędzał w biurze całe dni, mimo że zatrudniony był tylko na godziny.

Dwa lata później w biurze było już zatrudnionych sześciu adwokatów, recepcjonistka i trzy sekretarki. Reeves zajmował się sprawami w całej Kalifornii, częściej przebywał na pokładzie samolotu niż na ziemi, zarabiając krocie i wydając więcej, niż otrzymywał. Mike Tong spędzał większą część życia w swej dziupli, wciśnięty między dokumenty, papiery, księgi rachunkowe, dokumenty bankowe i fotokopiarkę, nie mówiąc o ekspresie do kawy, szczotkach, zapasach papieru toaletowego i kubków jednorazowych, które odnotowywał ze skrupulatnością sroki. Pozostali podśmiewali się ze skąpstwa Chińczyka, zapewniali nawet, że nocami po kryjomu wraca, wyjmując z koszy na śmieci kartonowe kubki, myje je i wkłada na powrót do pudła, żeby używać ich następnego

dnia, ale Mike Tong nie zwracał na te żarty najmniejszej uwagi, całkowicie pochłonięty operacjami rachunkowymi na swoich liczydłach.

Codzienne obowiązki i zobowiązania wynikające z monogama od początku przytłaczały Shanon. Miała wrażenie, że wlecze się przez pustynię pełną bezkresnych wydm, pozostawiając na każdym kroku strzępy własnej młodości. Dźwięczny śmiech, jej największa atrakcja, brzmiał teraz o ton niżej i coraz bardziej dawał o sobie znać leniwy charakter. Nudziła się jak mops, przykuta do męża złudnym poczuciem bezpieczeństwa, uległa słowom matki, która podsunęła jej również myśl, że najlepszy sposób na usidlenie Gregory'ego Reevesa to ciąża w stosownym momencie. Chciała oczywiście, wyjść za mąż, ale nie wyłącznie ze względu na pozycję Reevesa; naprawdę była do niego przywiązana. U jego boku czuła się po raz pierwszy bezpiecznie. Cieszę się, córeczko, bo Reeves prędko będzie bogaty, o ile już nie jest, jak wszyscy mówią, odpowiadała matka. Shanon nie prowadziła takich kalkulacji, nie przywiązywała szczególnej wagi do pieniędzy, mimo rad rodziny, by złapała jakąś grubą rybę, co jej pomoże w osiągnięciu pozycji królowej, należytnej chociażby ze względu na urodę. Z drugiej strony myśl, że miałyby zarabiać na życie, przestrzegać godzin pracy i zaciśkać pasa, wydawała jej się nieznośna. Próbowwała, ale widać było, że sobie nie radzi. Bogaty mąż rozwiązałby te problemy, choć nie zastanawiała się, ile będzie ją to kosztowało. Teraz czuła się więźniem we własnym domu, uwiązana jeszcze przez dziecko, które dojrzewało w jej brzuchu. Przez pierwsze tygodnie zabijała czas, opalając się na molo przy ich widmowym jachcie, ale szybko przekonała Gregory'ego, że

powinien zmienić dom i na poszukiwaniu odpowiedniej siedziby upływały jej długie miesiące. Nie znalazła, czego szukała, nie umiała też nadać bardziej wyrazistego charakteru obecnemu domowi. Pospiesznie kupiła meble i drobiazgi z katalogu, a kiedy je przywieziono, ustawiła wszystko byle jak. Snuła się po ogromnych pokojach i zabijała czas, rozmawiając godzinami przez telefon z przyjaciółmi. Dla żartu wydzwaniała do dawnych kochanków w najmniej odpowiednich porach i szeptała w słuchawkę przeróżne bezceństwa, podniecając ich i siebie aż do zupełnego zapamiętania. Musiała czasami dać upust wrodzonej kokieterii, kiedy wszystko ją drażniło albo kiedy brakowało alkoholu. Ze zwykłej nudy piła coraz więcej, staczając się na koniec do poziomu własnego ojca. Przez pierwsze miesiące ciąży, póki jeszcze nie miała widocznego brzucha, przychodziła do kancelarii męża, zakładała nogi na biurko któregoś z młodych adwokatów i paliła papierosa, dla samej przyjemności obserwowania, jak stopniowo stają się coraz bardziej nerwowi. Prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z obecności Mike'a Tonga, on zaś, nieczuły na jej wdzięki, traktował ją z uprzejmą rezerwą należną obcej damie w pewnym wieku, co wywoływało głuchy gniew Shanon, tym bardziej że chiński księgowy ograniczał jej możliwość korzystania z kart kredytowych i starał się hamować szefa, gdy ten ponosił zbyt duże wydatki wyłącznie po to, by sprawić żonie przyjemność. Timothy Duane także jej się nie podobał; przy nadarzającej się okazji zaprosiła go na obiad pod pretekstem omówienia spraw związanych z urodzinowym przyjęciem męża, ale przyszedł w towarzystwie austriackiej turystki, z jaką wówczas chodził, i w żaden sposób nie dał odczuć, że w ogóle

zauważa, jak jest piękna i do czego gotowa. Pilnuj swojej żony, ostrzegł następnego dnia Duane Gregory'ego. Po powrocie do domu Reeves chciał zażądać od żony wyjaśnień, ale nie zdołał, znalazł ją bowiem na podłodze w kuchni, a kiedy chciał podnieść, zwymiotowała. To ciąża, twierdziła, choć czuć było od niej alkohol. Pomógł jej się położyć, a potem, kiedy widział ją śpiącą wśród różowych prześciera- deł, uznał, że jest młoda, trochę naiwna i może Duane, znany z cynizmu, źle zrozumiał niewinne zaproszenie. Nie mógł jednak oszukiwać się zbyt długo, w następnych bowiem miesiącach zauważył, że sytuacja się pogarsza, podobnie jak to było w przypadku Samantha, uznał jednak, że ma o wiele więcej wspólnego z Shanon niż ze swoją pierwszą żoną i uczepił się tej myśli, żeby się nie załamać. Przynajmniej podzielali zamiłowanie do dobrego jedzenia i do wyszuki- nych gier w łóżku. Shanon odznaczała się, jak on, niespo- kojnym i awanturczym usposobieniem, uwielbiała podró- że, zakupy i przyjęcia. Źle skończycie, ostrzegła Carmen, u twojej żony ujawniają się słabości charakteru. Gregory jed- nak widział to inaczej. Uważał, że łączące ich podobieństwa pozwalają utkać osnowę prawdziwego związku małżeńskie- go, lecz ogień namiętności pierwszych spotkań szybko się wypalił, a w rozgrzebanych popiołach nie znaleźli miłości. Gregory'ego nadal zachwycała jej młodość, wesołość i uroda, ale był bez reszty pochłonięty pracą i nie poświęcał czasu rodzinie. Ona tymczasem spalała się z niecierpliwością ni- czym rozpieszczona nastolatka. Żadne z nich nie zaintere- sowało się dostatecznie, jak utrzymać kurs łodzi, na której oboje żeglowali, dlatego też wydawało się niepojęte, że kiedy w końcu łódź zatoneła - oboje tak bardzo tego żalowali.

Zachwyty, jaki Shanon wywoływała w Gregorym, szybko zniknęła, ale nie dawał tego po sobie poznać, bo w czasie trwania jej ciąży doświadczał uczuć niemal ojcowskich, swoistej mieszanki współczucia i uniesienia. Był przy niej w trakcie porodu, podtrzymywał ją, wycierał pot, rozmawiał z nią uspokajająco, kiedy lekarze uwijali się w sali porodowej w nieubłaganym świetle lamp. Zapach krwi ożywił wojenne wspomnienia i ponownie stanął mu przed oczami, jak tyle razy w koszmarnych snach, chłopak z Kansas błagający, by nie zostawiał go samego. Shanon kurczowo czepiała się jego ręki w chwilach, gdy kazano przeć, i wtedy Gregory wierzył, że ją kocha. Lubił dzieci i z zachwytem myślał, że znowu będzie ojcem, tym razem będzie inaczej, obiecywał sobie, dziecko nie będzie dla niego kimś obcym jak Margaret. Pragnął być pierwszą osobą, jaka wprowadzi dziecko w nowy świat i wyciągnął ręce, by je chwycić, gdy tylko ukazała się główka. Podniósł noworodka, żeby pokazać matce, i nie mógł wypowiedzieć słowa, wzruszenie odebrało mu głos. Potem miał wspominać to jako jedyną chwilę pełnego szczęścia z Shanon, ale owa roziskrzona radość znikła w parę dni. Shanon nie nadawała się do roli matki, żony ani pani domu i gdy tylko mogła wciągnąć na siebie opięte dżinsy z panieńskich czasów, próbowała uwolnić się z pułapki małżeństwa. Jej pierwszym kochankiem został lekarz, który odbierał poród, a z czasem było ich coraz więcej. Gregory, zaprzątnięty pracą, w ogóle nie dostrzegał faktów oczywistych. Shanon zmieniała się z każdą nową miłością, w zależności od wymagań nowego kochanka; jednego dnia zjawiała się z trwałą i w nowej bieliznie z czarnej koronki, a dwa tygodnie później francuskie podwiązki leżały zapomniane na dnie szuflady, ponieważ Shanon zainteresowała się pisarzem z sąsiedztwa.

Gregory zastawał ją wtedy w jednej ze swych kamizelek, bez makijażu, za to w nowych okularach w oprawce z szylkretu, czytając Junga. Mały David, jeszcze niemowlę, był tak niepokojny, płaczliwy i marudny, że matka nie miała ochoty przy nim siedzieć. Pewnego dnia zaczerwieniona Tina opowiedziała szefowi, że widziała jednego z adwokatów zatrudnionych w kancelarii całującego się z Shanon na parkingu, przepraszam, panie Reeves, że się w to wtrącam, ale uważam za swój obowiązek powiedzieć panu o tym, zakończyła drżącym głosem. Gregory'ego krew zalała, złapał delikwenta za kłapy i zaczął walić na oślep; adwokatowi udało się uciec do windy, ale Gregory zbiegł po kuchennych schodach i dopadł go na ulicy. Wybuchł skandal, wezwano policję i wszyscy razem skończyli, składając zeznania w komisariacie, włącznie z Mikiem Tongiem, który wracał z poczty i stał się mimowolnym świadkiem dalszego ciągu całej awantury, kiedy to młody adwokat leżał już na chodniku z rozbitym nosem. Wieczorem Shanon zwała całą winę na kilka kieliszków wina za dużo i starała się przekonać męża, że wszystkie te przygody nie mają żadnego znaczenia, kocha jedynie jego. Gregory chciał dowiedzieć się, co u diabła robiła na parkingu, na co przysięgła, że chodziło o przypadkowe spotkanie i przyjacielski pocałunek.

- Starzejesz się, Gregory, masz strasznie przestarzałe poglądy - zakończyła.

- Zdaje się, że jestem stworzony na rogakca! - ryknął Reeves i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Przeniósł się do motelu, aż Shanon odnalazła go tam i ubłagała, by wrócił, przysięgając miłość i zapewniając, że przy nim ma poczucie stałości i bezpieczeństwa, sama czuje się zupełnie zagubiona, zakończyła szlochając. Spędził bezsenną noc, dręczony zazdrością, wymyślając niepotrzebny odwet i nieprawdopodobne rozwiązania. Tylko z chęci

upokorzenia jej udawał wściekłość, jakiej w rzeczywistości nie czuł, ale wrócił do Shanon, tak jak miał wracać za każdym razem, gdy odchodził przez następne miesiące.

Margaret zniknęła z domu, kiedy miała trzynaście lat. Samantha czekała dwa dni, zanim do mnie zadzwoniła, przekonana, że mała nie ma dokąd pójść i że szybko wróci, z pewnością chodzi o jakąś ucieczkę bez większego znaczenia, wszystkie dzieci w jej wieku robią podobne głupstwa, nie jest to nic zaskakującego, wiesz przecież, że Margaret nie sprawia problemów, jest bardzo grzeczna-, mówiła. Samantha ma taką samą umiejętność pomijania oczywistych faktów jak moja matka, zawsze mnie tym zdumiewa. Natychmiast zawiadomiłem policję, która zorganizowała poszukiwania na szeroką skalę, powiesiliśmy ogłoszenia w każdej miejscowości nad zatoką, wzywaliśmy ją przez radio i telewizję. Kiedy udałem się do szkoły, dowiedziałem się, że nie było jej tam od miesiący, choć nikt nie widział już sensu w wysyłaniu kolejnych zawiadomień do matki i zostawianiu wiadomości na automatycznej sekretarce. Moja córka była fatalną uczennicą, nie miała przyjaciół, nie uprawiała sportów i często opuszczała lekcje, aż w końcu w ogóle rzuciła szkołę. Wypytywałem kolegów, ale niewiele wiedzieli albo nic nie chcieli mi powiedzieć, wydawało mi się, że jej nie lubili, jedna z dziewcząt stwierdziła, że Margaret była napaśliwa i wulgarna: dwa przymiotniki, zupełnie niepasujące do córki, która zawsze zachowywała się jak dama z ubiegłej epoki w herbaciarni. Potem rozmawiałem z sąsiadami i od nich dowiedziałem się, że widzieli, jak co noc wychodzi, czasami przyjeżdżał po nią jakiś chłopak na motorze, ale zwykle

wracała samochodem, za każdym razem innym. Według Samantha były to złośliwe plotki, nie zauważyła nic dziwnego w zachowaniu córki. Zastanawiam się jednak, jak miała odkryć nieobecność Margaret, skoro nie zauważała również jej obecności. Na fotografii, jaką pokazano w telewizji, Margaret była śliczna i niewinna, ale przypomniałem sobie jej prowokacyjne gesty i przyszły mi do głowy najpotworniejsze hipotezy. Na świecie pełno jest zbrodni, powiedział mi dawno temu oficer policji, kiedy jeden z moich podopiecznych zgubił się któregoś razu w parku. Tamte dni były jednym pasmem wizyt w komisariatach, szpitalach, redakcjach gazet.

- To przypadek dla świętego Tadeusza Judy, patrona spraw beznadziejnych - ocenił Duane najzupełniej poważnie, kiedy wpadłem kiedyś do niego do laboratorium w poszukiwaniu pomocnej dłoni - powinieneś pójść do kościoła Dominikanów, wrzucić dwadzieścia dolarów do skarbonki świętego i zapalić przed nim świeczkę.

- Oszalałeś, Tim.

- Zgadza się, ale to teraz bez znaczenia. Jedyne, co mi zostało po dziesięciu latach katolickiego internatu, to poczucie winy i niezmacona wiara w św. Tadeusza Judę. Nie zaszkodzi spróbować.

- Doktor Duane ma rację, nie zaszkodzi spróbować - delikatnie poparła pomysł moja sekretarka, kiedy się o wszystkim dowiedziała. W ten sposób znalazłem się w kościele na klęczkach, zapalając świece, jak wówczas, gdy byłem ministrem u Ojca Larraguibela, z nieocenioną Ernestina Pereda u boku.

Tej samej nocy ktoś zadzwonił z wiadomością, że w pewnym barze widziano osobę podobną do Margaret, ale dużo starszą. Pojechaliśmy tam z dwoma policjantami i znaleźliśmy Margaret ubraną jak dorosła kobieta, w opiętych

spodniach, butach na wysokich obcasach, ze sztucznymi paznokciami i grubą warstwą makijażu, który zniekształcał jej buzię dziecka. Widząc mnie, rzuciła się do ucieczki, ale kiedy ją złapaliśmy, padła mi w ramiona z płaczem i po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, zwróciła się do mnie per „tatusiu”. Oględziny lekarskie wykazały, że miała chorobę weneryczną i ślady po ukłuciach na ramionach. Kiedy próbowałem porozmawiać z nią w izolatce kliniki, gdzie ją umieściliśmy, obrzuciła mnie stekiem wyzwisk, które wypłynęła z siebie męskim głosem; wielu z nich nie słyszałem nigdy w życiu: ani w dzielnicy, gdzie się wychowałem, ani nawet w wojsku. Wyrwała sobie z ramienia igłę od kroplówki, szminką powypisywała na ścianach izolatki najwulgarniejsze słowa, rozpruła poduszkę i pozrzuciła na podłogę wszystko, co tylko miała pod ręką. Potrzeba było aż trzech osób, by ją związać i przytrzymać, gdy aplikowano jej środki uspokajające. Następnego dnia poszliśmy do szpitala z Samanthą i zastaliśmy Margaret w łóżku, spokojną i uśmiechniętą, z umytą buzią i włosami związanymi wstążką, w otoczeniu kwiatów, pudeł z czekoladkami i pluszowych zwierzątek, które dostała od moich współpracowników. W niczym nie przypominała opętanej istoty z poprzedniego dnia. Na pytanie, jak to możliwe, że zrobiła coś tak okropnego, uderzyła w płacz z widoczną skruchą; nie wiedziała, co się z nią stało, mówiła, nigdy przedtem tego nie robiła, to wszystko przez niewłaściwe towarzystwo, ale nie powinniśmy się przejmować, zdaje sobie sprawę, co jej grozi i już więcej nie będzie się z tym chamstwem zadawać, ślady po ukłuciach to był tylko taki eksperyment, tylko raz, to już się nie powtórzy, przysięgała.

- Czuję się już dobrze. Potrzebny mi tylko magnetofon, żebym mogła sobie posłuchać muzyki - powiedziała.

- Jaki rodzaj muzyki ci odpowiada? - spytała matką poprawiając poduszki.

- Kolega podrzucił mi moje ulubione piosenki - odparła znużona - a teraz pozwólcie mi się przespać, jestem trochę zmęczona.

Na pożegnanie poprosiła, żebyśmy przynieśli jej papierosy, tylko bez filtra, proszę. Zdziwiłem się, że pali, ale potem uprzytomniłem sobie, że kiedy byłem w jej wieku, sam spreprowałem sobie fajkę i mimo wszystko, w porównaniu z innymi problemami, jakie miała moja córka, uznałem, że odrobina nikotyny to nic wielkiego; doszedłem do wniosku, że nie ma sensu prawić kazań o wpływie dymu na płuca, skoro może umrzeć z przedawkowania heroiny. Kiedy wróciłem do niej po południu - już jej nie było. Domyśliła się, jak wyprowadzić w pole dyżurną pielęgniarkę, przebrała się w te same ciuchy prostytutki, w jakich ją przywieziono, i uciekła. Przy sprzątaniu izolatki znaleziono pod materacem strzykawkę, taśmę z rockową muzyką i resztki szminki. Straciłem Margaret: odtąd miałem ją widywać albo w więzieniach, albo w szpitalnych łózkach, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Potrzebowałem dziewięciu lat, żeby się z nią pożegnać; dziewięciu lat straconych nadziei, niepotrzebnych poszukiwań, fałszywej skruchy, niezliczonych wybiegów, zdrad, podejrzeń, wulgarnych zachowań i upokorzeń, aż wreszcie w głębi serca pogodziłem się z myślą, że już nie można jej pomóc.

Pierwszy sklep *Tamar* pojawił się w centrum Berkeley, wciśnięty między księgarnię a salon piękności. Było to dwadzieścia pięć metrów kwadratowych powierzchni z małym oknem wystawowym i wąskimi drzwiami wejściowymi.

Nikt by go nie zauważył w otoczeniu sąsiednich sklepów, gdyby Carmen nie wymyśliła, że posłuży się tym samym pomysłem na dekorację, jaki zauważyła w domu Olgi, tylko odwrotnie. W mieszkaniu znachorki był taki natłok ozdób i jaskrawych barw, że wyglądało jak pagoda z operetkowej dekoracji, przez to też wyróżniało się wśród szarych zabudowań i ubóstwa latynoskiej dzielnicy. Lokal Carmen otaczały eleganckie sklepy, zdobne w gniewne smoki restauracje chińskie oraz meksykańskie, przyozdobione gipsowymi kaktusami, indyjskie sklepiki, stoiska dla turystów i cieszące się dużym wzięciem porno-shopy z neonowymi szyldami, przedstawiającymi nagie pary w najnieprawdopodobniejszych pozycjach. Przy takiej konkurencji trudno byłoby liczyć na klientelę, ale Carmen pomalowała wszystko na białą, powiesiła nad drzwiami markizę w tym samym kolorze, a wewnątrz rozstawiła lampy rzucające ostre światło, co miało podkreślić niemal laboratoryjny charakter lokalu. Rozłożyła biżuterię w prostych gablotach z tłem z piasku albo z przezroczystych kawałków kwarcu, na którym szczegóły modelu i piękno zastosowanych materiałów uwidaczniały się w całej okazałości. W kącie powiesiła kilka cygańskich spódnic, takich jak te, które ona sama od lat nosiła; były to jedyne ciepłe plamy na śnieżnobiałym tle. W powietrzu unosił się słaby zapach kadzidełek i monotonne dźwięki wschodniej muzyki.

- Wkrótce będę miała także paski, torby i chusty - wyjaśniała Carmen Gregory'emu, pokazując mu z dumą swój nowy lokal podczas uroczystej inauguracji - nie będzie dużego wyboru, ale wszystko da się razem zestawzić, tak że po jednej wizycie u mnie klientka wyjdzie ubrana od stóp do głowy.

- Nie będą miały dużego wzięcia te przebrania - zaśmiał się Gregory, przekonany, że trzeba upaść na głowę, żeby

nosić wytwory jego przyjaciółki, ale już w sekundę później musiał wycofać się z tej opinii, ponieważ Shanon poprosiła go, by kupił jej kilka par etnicznych kolczyków, które jemu samemu wydawały się nieprzyzwoicie drogie, a chwilę później ujrzał Joan, pod ramię z Balcescu, ubraną w jedną z tych dziwaczkich, cygańskich spódnic z kolorowych łątek. Kobiety są doprawdy nieodgadnione, mruknął sam do siebie.

Carmen Morales prowadziła sklep z rozwagą przytomnego gospodarza. Co tydzień robiła zestawienie rachunków, wydzielając sumy na utrzymanie warsztatu, na podatki, na własne, dalekie od luksusu, utrzymanie i na powiększenie oszczędności na koncie. Liczyła na swoich wiernych Wietnamczyków, odtwarzających projektowane przez nią wzory, i na meksykańskie koleżanki, które według jej szczegółowych instrukcji szyły po domach spódnice i gotowe przysyłały jej pocztą. Ona sama starannie dobierała wszystkie elementy i raz do roku latem udawała się w podróż do Azji lub północnej Afryki w poszukiwaniu odpowiednich surowców. Te improwizowane podróże prędzej czy później zniechęciłyby każdą kobietę mniej zahartowaną, Carmen jednak o tyle nie groziło żadne ryzyko, że po prostu nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że cokolwiek jej zagraża. Mogła pozwolić sobie na wyjazd jedynie w czasie wakacji szkolnych Daia, który także przyzwyczyił się do owych safari w pociągu, w dżipie, na osle albo pieszo, po wioskach zagubionych w dżunglach Tajlandii, po obozach nomadów w górach Atlas lub po dzielnicach biedoty w rojnych miastach Indii. Szczupły i smagły, przyjmował bez najmniejszych kłopotów każdy rodzaj jedzenia, zanieczyszczoną wodę, ukąszenia komarów, zmęczenie i piekielny upał; miał godną fakira odporność na

wszelkie niewygody. Dai był spokojnym dzieckiem, które nauczyło się podstawowych czterech działań matematycznych bawiąc się koralikami na naszyjniku. Zanim skończył dziesięć lat, odkrył niektóre reguły matematyczne, które na próżno starał się wyjaśnić własnej matce i nauczycielce. Trochę później, kiedy przeegzaminowali go profesorowie uniwersyteccy, potwierdził się jego niezwykle talent do liczb, okazało się, że zna podstawy trygonometrii. Miał małą metalową szachownicę z figurkami na magnes i w trzęsących się pociągach, niemal zmiażdżony przez tłum pasażerów, klatki ze zwierzętami, walające się bezładnie kartonowe pudła i kosze z żywnością, Dai najspokojniej w świecie grał w szachy sam ze sobą, bez oszukiwania. Nie zawsze sypiali z matką w hotelach czy w szałasach życzliwych ludzi. Czasami wędrowali w niewielkich karawanach albo brali przewodnika i wtedy zdarzało się, że musieli rozbijać obóz dosłownie w środku niczego.

Leżąc na macie na ziemi albo w hamaku pod zaimprovizowaną moskitierą, słysząc wokół siebie groźne pohukiwania nocnych ptaków i szelest cichych kroków, pogrążony w drażniącym zapachu gnijących roślin i magnolii, Dai czuł się całkowicie bezpieczny obok ciepłego ciała matki, uważał, że jest ona nietykalna. Przeszedł z nią najdziwniejsze przygody i w tych nielicznych sytuacjach, kiedy widział, że się boi, sam także czuł ukłucie strachu. Wtedy jednak przypominał sobie swoją prawdziwą matkę, tę o oczach w kształcie czarnych migdałów, która krążyła po jego głowie unoszona napędem odrzutowym, chroniąc go od wszelkiego zła. Kiedyś na bazarze w Maroku Dai, drepcząc wśród różnobarwnego tłumu, puścił rękę Carmen, chcąc dokładniej obejrzeć zakrzywione noże w pochwach z wytłaczanej skóry. Właściciel sklepiku, odrażający typ w łachmanach, chwycił go za kark, uniósł do

góry i uderzył, ale zanim zdążył wymierzyć drugie uderzenie, jakaś dzika bestia spadła mu na kark i rozorała twarz pazurami, warcząc i gryząc niczym wściekła suka. Dai ujrzał swoją matkę tarzającą się z Arabem po podłodze w wirze porwanych spódnic, przewróconych koszy, rozrzuconego towaru i przy wtórze żartów pozostałych sprzedawców. Carmen otrzymała cios w twarz i przez chwilę siedziała ogłupiała, ale wściekłość przeważała. Ocknęła się i nim ktokolwiek zdołał przewidzieć, co się stanie, chwyciła jeden z obnażonych, zakrzywionych noży. W tej chwili przybyła policja. Carmen odebrano nóż, ratując w ten sposób sprzedawcę od niechybnego ciosu. Świadkowie zajścia komentowali bójkę i złorzeczając, oskarżali cudzoziemkę, nie szczędzili jej wyzwisk. Carmen i Dai spędzili noc stłoczeni za kratkami aresztu wraz z innymi przestępcami, którzy jednak nie odważyli się ich zaczepić, bo widzieli śmierć drzemającą w oczach tej kobiety. Amerykański konsul udzielił niezbędnej pomocy, a przy pożegnaniu poradził nie przekraczać więcej granicy tego państwa. Zobaczymy się za rok, odparła niezrażona Carmen, która nie mogła nawet się uśmiechnąć, z powodu opuchniętej twarzy i rozciętych warg. Z tych wypraw Carmen i Dai wracali objuczeni pudłami pełnymi najrozmaitszych skarbów: były tam różnorodne paciorki, kawałki koralu, rzeźbionej kości, starego szkła i metali, kamienie półszlachetne, muszle doskonałe w swym kształcie, zęby i pazury nieznanych drapieżników, skamienieliny z odcisniętymi w nich liśćmi i żukami z zamierzchłych epok. Przywozili także haftowane materie i wytłaczaną skórę, które przydawały się jako dodatki do pasków i torebek, spłowiałe z upływem czasu wstążki do spódnic, guziki i sprzączki, powynajdywane w zapadłych kątach. W tym czasie Carmen nie pracowała już we własnym domu.

W warsztacie trzymała swoje skarby w plastikowych, przezroczystych pojemnikach, poukładane starannie według kolorów i jakości surowca; tam zamykała się na długie godziny, żeby obmyślać każdy projekt, dokładając i odkładając koraliki, poddając obróbce metal, wycinając i polerując poszczególne elementy przy cierpliwym ćwiczeniu wyobraźni. Zapoczątkowała modę na motywy astrologiczne: księżycy i gwiazdki, na noszenie kryształków przynoszących szczęście, na biżuterię inspirowaną Afryką, kolczyk inny w każdym uchu czy wręcz pojedynczy kolczyk zwisający z ucha kaskadą kamieni i srebra, co potem miało być naśladowane aż do przesytu. Lata dały jej poczucie pewności siebie i wyostrzyły nieco rysy, ale ani nie uciszyły wesołego usposobienia, ani nie zmniejszyły upodobania do ryzyka. Prowadziła interesy jak specjalistka, ale sprawiało jej to tyle przyjemności, że nie uznawała tej działalności za pracę. Nie potrafiła brać siebie nazbyt serio. Nie istniała dla niej żadna różnica między dobrze prosperującym sklepem a produkcją rękodzielniczą w rodzinnym domu na sprzedaż w latynoskiej dzielnicy, czy między obecną prosperity a epoką, kiedy na swe cyrkowe występy na placu Pershinga ubierała się w spódnice z kolorowych chustek. Wszystko stanowiło dla niej kolejne ogniwa tego niekończącego się czasu wolnego, a to, że dalsze zera powiększają stan jej konta, w niczym nie zmieniało faktu, że całą swą działalność traktowała nadal wyłącznie jako rozrywkę. Ją pierwszą zdumiewał własny sukces; nie mogła uwierzyć, że znajdują się ludzie, gotowi zapłacić każdą sumę za ozdoby wymyślone w porywie natchnienia i dla czystej przyjemności. Trudy życia i pułapki sukcesu nie zmieniły także w niczym jej natury; nadal była otwarta, ufna i szczodra. Po drodze odkryły przed nią niewyobrażalną nędzę i cierpienie

ludzkości; w porównaniu z tym, co widziała, czuła się uprzywilejowana przez los. Nie istniał dla niej również rozdzźwięk między dobrym wyczuciem w interesach a współczuciem. Od początku działalności myślała, by zatrudnić u siebie, zapewniając pracę w możliwie najlepszych warunkach, ludzi najniżej stojących w skali społecznej. W miarę rozrastania się warsztatu przybywało w nim ubogich Latynosów, azjatyckich i środkowoamerykańskich uchodźców oraz inwalidów. Pracowało u niej nawet kilkoro opóźnionych umysłowo, którzy zajmowali się roślinami i ogrodem, co skłoniło Gregory'ego do nazwania przedsiębiorstwa „hospicjum Tamar”. Carmen traciła czas i pieniądze na wyczerpujące ćwiczenia i kursy angielskiego dla pracowników, którzy najczęściej dopiero co przyjechali do Stanów, uciekając przed grożącą im nędzą. Jej podyktowane odruchem serca miłosierdzie okazało się przyszłościowym pomysłem na prowadzenie firmy, podobnie jak bezpłatna stołówka, obowiązkowy czas na odpoczynek, muzyka z dźwiękami natury, wygodne krzesła, lekcje gimnastyki i relaks dla mięśni zeszywniałych od siedzenia przy precyzyjnej robocie jubilerskiej. Nie brakowało jej nowatorskich pomysłów, a personel odpowiadał na te udogodnienia coraz większym przywiązaniem i wydajnością.

W swoich licznych podróżach Carmen nauczyła się, że świat nie należy i nigdy nie będzie należał do białych, dlatego też z dumą obnosiła swą oliwkową skórę i twarz o latynoskich rysach. Jej wyzywający wdzięk mamił, wydawała się młodszą i wyższą, a spowita w cygańskie spódnice i z nieodłącznym brzękiem bransoletek emanowała taką pewnością siebie, że nikt nie zwracał uwagi na jej niski wzrost, ciężkie piersi, ciało w kształcie gitary, pierwsze zmarszczki i siwe włosy. Dai zwyciężył w konkursie wśród kolegów na najpiękniejszą matkę.

- Nigdy nie wyjdiesz za mąż, mamó? - zapytał ją kiedyś.
- Jak podrośniesz, wyjdę za mąż za ciebie.
- Jak ja podrosnę, to ty będziesz już bardzo stara - wyjaśnił jej Dai, dla którego liczba stanowiła prawdę niepodważalną.
- W takim razie będę musiała poszukać sobie męża równie zgrzybiałego jak ja - zaśmiała się Carmen. W okrucuchu pamięci mignęła jej twarz Leo Galupiego, taka, jaką ujrzała po raz pierwszy na lotnisku w Sajgonie, na pół skryta za bukietem wędnących kwiatów i jaką miała pamiętać przez wszystkie następne lata. Zadawała sobie pytanie, czy on także wspomina ją od czasu do czasu, musi to sprawdzić, bo Dai szybko rośnie i może niedługo nie będzie jej już potrzebował. Czowała się zmęczona ulotnymi romansami, przy tym, wiedzona pragnieniem poczucia harmonii i piękna, wybierała zawsze partnerów młodszych od siebie i uczuciowa pustka zaczynała jej ciążyć.

Podczas gdy Gregory żył na szerokiej stopie, z rosącymi długami i bólami głowy, Carmen pracowała jak zwykły robotnik, zbierając pieniądze i pochwały. Nazwa *Tamar* szybko miała się stać symbolem oryginalnego stylu i nieposzlakowanej jakości. Niewiele myśląc, zaczęła urządzać pokazy mody i wygłaszać odczyty jak specjalistka, traktując nadal rzecz całą jako żart. Któregoś dnia ktoś się zorientuje, że nie mam o niczym pojęcia, wszystko zmyślam, żeby tylko olśnić świat z czystej chępliwości, usprawiedliwiła się przed Gregorym, kiedy zaczęto o niej pisywać w pismach kobiecych i artystycznych, jak też w czasopismach ekonomicznych, podając jako przykład jej znakomicie prosperujące przedsiębiorstwo. Kilka lat później, kiedy filie *Tamar* istniały już w

wielu miastach, zatrudniając ponad dwieście osób, nie licząc akwizytorów krążących po całym świecie i oferujących biżuterię najbardziej luksusowym butikom, i kiedy dział księgowości zajmował już całe piętro firmy, sama Carmen wciąż jeszcze przemierzała dżungle na grzbiecie mula czy pustynie na wielbłądzie, skupując po wioskach swoje skarby i prowadząc z Da'em raczej skromną egzystencję, bynajmniej nie ze skąpstwa, ale dlatego, że po prostu nie wiedziała, że życie może być o wiele wygodniejsze.

King Benedict najbardziej na świecie pragnął mieć elektryczną kolejkę, żeby rozłożyć ją na podłodze salonu u matki. Zbudował już dworzec i całe miasteczko z drewnianymi domkami, porobił kartonowe drzewka, miniaturowe wzgórze i tunele, które, ustawione od ściany do ściany, nie pozwalały swobodnie przejść po pokoju. Czekał tylko na pociąg, ponieważ Bel obiecała mu, że to będzie pierwszy prezent, jaki dostanie, kiedy otrzymają już pieniądze z sądu. Czuł się nikomu niepotrzebny i kurczowo uczepił się tej kobiety o długiej szyi i złotych oczach, która zapewniała go, że jest jego matką, i stanowiła jedyny pewny punkt pośród wszystkich tych niepewności. Od chwili wypadku jego pamięć spowily mgły; czterdzieści lat życia ulotniło się w jednej sekundzie, kiedy głowa wyrznęła o bruk. Pamiętał matkę jako piękną i młodą kobietę, jakże więc mogła się zmienić w tę staruszkę zmęczoną pracą i upływem lat? Kim jest Bel naprawdę? Żeby mi tylko kupiła kolejkę... Zdawał sobie sprawę, że nie powinien już bawić się jak dziecko, ale tak naprawdę mało go obchodziły sprawy, które tak zaprzętały dorosłych mężczyzn. Spędzał całe dnie przed telewizorem,

owym cudownym urządzeniem, jakiego w czasach swego prawdziwego dzieciństwa nie znał, i na widok namiętnie całującej się pary na ekranie odczuwał ślełą trwogę, silniejsze pulsowanie czegoś gdzieś w środku, co, na szczęście, nie trwało długo. Katalog elektrycznych kolejek interesował go o wiele bardziej niż czasopisma z nagimi panienkami, jakie podsuwał mu sprzedawca w kiosku na rogu. Czasami patrzył na siebie z dystansu, jakby widział się w kinie, oglądając własną twarz w nielitościwym scenariuszu. Nie rozpoznawał własnego ciała. Matka wyjaśniła mu, że miał wypadek i cierpi na amnezję, nie jest głupi, wie, że nie ma cztertnastu lat. Długo oglądał się w lustrze, nie rozpoznając tego starego człowieka, który przypatrywał mu się z drugiej strony tafli, sporządzał inwentarz zmian i zadawał sobie pytanie, kiedy one nastąpiły, jak doszło do takiego zestarzenia się. Nie wiedział, kiedy wypadły mu włosy, przybrał na wadze i pojawiły się zmarszczki, gdzie się podziało kilka jego zębów, dlaczego bolą go kości, gdy gra w piłkę, brakuje mu tchu, gdy próbuje wbiec po schodach i nie może czytać bez okularów. Nie pamięta, kiedy kupił okulary. A teraz siedzi przy olbrzymim stole w biurze pełnym roślin i książek między dwoma ludźmi, którzy zarzucają go pytaniami, na niektóre nie umie odpowiedzieć, a sekretarka spisuje wszystko na maszynie. Kto był prezydentem w tym roku, kiedy się pan ożenił? Matka kazała mu codziennie chodzić do biblioteki i czytać stare gazety, żeby wiedział, co się działo na świecie przez owe czterdzieści lat, jakie umknęły mu z pamięci. Łatwiej jest pojąć abstrakcyjne daty niż odgadnąć przeznaczenie przedmiotów codziennego użytku, jak kuchenka mikrofalowa, czy inne, jeszcze bardziej fascynujące i tajemnicze urządzenia. King znał nazwiska prezydentów, najważniejsze wyniki

meczów baseballowych, wiedział o pierwszym człowieku na Księżycu, o toczących się wojnach, o zabójstwie Johna Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co się z nim samym działo, kiedy dokonały się te wszystkie wydarzenia i mógłby przysiąc, że nigdy się nie ożenił. Matka opowiadała mu całymi popołudniami kolejne etapy jego własnego życia, licząc, że przy ciągłym powtarzaniu rozpędzi nieco mgłę zapomnienia spowijającą pamięć Kinga, ale te niezbędne ćwiczenia pamięci stanowiły niekończącą się i nudną męczarnię. Z trudem mógł uwierzyć, że w jego życiu nie stało się nic naprawdę ważnego, że niczego wielkiego nie dokonał, że nie zdołał zrealizować żadnego ze swych młodzieńczych planów. Żałował, że roztrwonił czas, nanizując kolejne czynności bez znaczenia, dlatego też dziękował za ową drugą możliwość, jaką mu życie podarowało. Przyszłość nie przedstawiała mu się jako czarna dziura, ziejąca za plecami, jak to mówiła matka, ale jako czysty zeszyt, który zdąży jeszcze zapisać. Mógłby go zapełnić taką treścią, jaką zawsze podsuwała mu ambicja, przeżyć raz jeszcze minione lata. Mógłby przeżyć najdziwniejsze przygody, znaleźć skarby, dokonać bohaterских czynów, pojechać do Afryki w poszukiwaniu swych korzeni; nigdy by się nie ożenił ani nie zestarzał. Gdyby chociaż przypominał sobie swoje błędy i sukcesy... Zawsze marzył o elektrycznej kolejce, to nie jest tylko chwilowy kaprys, ale najdawniejsze pragnienie, marzenie jego dzieciństwa. Kiedy to powiedział Reevesowi, adwokat spojrział na niego swymi jasnymi oczami i wyznał, że było to także jego najgorętsze pragnienie, które jednak nigdy się nie spełniło. Nieprawda, jeżeli może płacić za biuro ze złotymi literami na szybach, to może przecież kupić sobie kolejkę, nawet dwie, jeśli tylko ma ochotę, wywnioskował King Benedict, ale nie śmiał

powiedzieć tego głośno, nie chcąc wyjść na prostaka. Dlaczego matka znalazła mu białego adwokata? Przecież powtarzała mu tyle razy, że przede wszystkim nigdy nie powinien ufać białym. A teraz ten drugi biały rozkłada przed nim stosy fotografii, każąc rozpoznać znajome twarze, ale on nie zna nikogo na tych zdjęciach poza piękną kobietą, siedzącą przy oknie z połową twarzy w cieniu, połową oświetloną, to bez wątpienia jego matka, choć tak inna od tej kobiety obok. Potem pokazano Kingowi ilustrowane pisma, każąc mu rozpoznać miasta i pejzaże, prawie wszystkie nieznanne. A to? Co to za plantacja bawełny? Co to za ciężarówka? Nie potrafił nic sobie przypomnieć, ale nabierał pewności, że gdzieś kiedyś przebywał w podobnym miejscu. Gdzie to jest, mamo, chciał zapytać, ale nie zdążył, poczuł bowiem, że w skronie wbijają mu się jakieś gwoździe i po chwili ból zwałił go z nóg. Podniósł ręce, aby ochronić głowę i chciał zerwać się do ucieczki, ale upadł na podłogę.

- Źle się pan czuje, panie Benedict? Panie Benedict!... - głos dobiegał jak przez mgłę, potem poczuł na czole rękę matki i odwrócił się, żeby przytulić się do jej talii i ukryć głowę na jej piersi, przytłoczony tępymi uderzeniami w mózgu i falą mdłości, jaka wypełniła mu usta śliną. Dostał drgawek.

Musiał minąć aż rok, żeby Gregory Reeves przyznał, że nie ma sensu dalej walczyć o utrzymanie małżeństwa, do którego zawarcia nigdy nie powinno było dojść; drugie tyle - żeby podjął decyzję o separacji, bo nie chciał rozstawać się z Davidem i wiele go kosztowało pogodzenie się z drugą kłeską.

- To nie Shanon stanowi problem, tylko ty sam - oceniła Carmen. - Żadna kobieta nie rozwiąże twoich problemów,

Greg. Dalej nie wiesz, czego właściwie szukasz. Jeżeli nie umiesz pokochać samego siebie, jak możesz pokochać kogośkolwiek?

- Przemawia przez ciebie własne doświadczenie? - zażartował.

- Ja przynajmniej nie wyszłam dwa razy za męża!

- To będzie kosztowało majątek - załamane ręce Mike Tong, kiedy dowiedział się, że szef zamierza rozwodzić się po raz drugi.

Reeves przeniósł się na jakiś czas do Timothy'ego Duane'a. Po skandalicznej awanturze, kiedy podniesionym głosem nawzajem obrzucali się najobrażliwymi epitetami, a na koniec Shanon uderzyła go w głowę butelką, spakował swoje rzeczy do dwóch walizek i wyszedł, przysięgając, że tym razem już nie wróci. Zjawił się u Duane'a w podczas wytwornej kolacji, urządzonej dla kolegów lekarzy i ich żon. Wszedł do jadalni i dramatycznym gestem postawił obie walizki na podłodze.

- Oto wszystko, co zostało z Gregory'ego Reevesa - powiedział cicho.

- Mamy zupełną grzybową - brzmiała spokojna odpowiedź Duane'a. Później, kiedy już zostali sami, zaoferował mu pokój gościnny i oświadczył, że w samą porę rzucił wreszcie tę parszywą dziwkę.

- Potrzebny mi akurat kumpel do wspólnych wypadów - dodał.

- Nic z tego, mam wyjątkowego pecha do bab.

- Nie opowiadaj głupstw, Greg. Mamy rajskie życie. Nie tylko dlatego, że wokół same piękne kobietki, ale przede wszystkim nie mamy konkurencji. Ty i ja jesteśmy chyba ostatnimi facetami o skłonnościach heteroseksualnych w całym San Francisco.

- Niewiele miałem dotąd pocięchy z tego faktu...

Shanon pozostała z Davidem i wkrótce potem przeniosła się do domu na wzgórzu z widokiem na zatokę. Gregory wracał do siebie, do pustych ścian bez mebli, ale z pozostawionymi mu beczkami z krzewami róż. Przygnębiony, zastąpił się w urazie zdradzonego męża i nie zależało mu, by zastąpić czymś nowym to, co stracił, a puste pokoje wydawały się właściwszą oprawą dla jego stanu ducha. Kiedy pretensje do żony przekształciły się w chęć odwetu, zaczął pocieszać się z kochankami, jak za pierwszym razem, odkrył jednak, że nie tylko nie przynosi mu to ukojenia, lecz jeszcze burzy plan dnia i powiększa rozdrażnienie. Rzucił się w wir pracy, a po powrocie do domu ograniczał się jedynie do podlewania róż, nie mając czasu ani ochoty na zwykłą domową krzątaninę.

Shanon ze swej strony nie zachowywała się lepiej. Od kiedy samochód firmy transportowej zostawił skrzynie w salonie jej nowego domu, stały tam porzucone, bo Shanon starczyło sił zaledwie na to, by ustawić łóżka i rozstawić sprzęt kuchenny; bałagan i rozgardiasz wokół powiększał się z każdym dniem. Nie umiała poradzić sobie z Davidem. Okazało się, że dziecko ma nadludzkie siły i potrzeba mu raczej pogromcy dzikich zwierząt niż niańki; urodziło się nadpobudliwe i zachowywało się jak dzikus. David nie zagrażał miejsca w żadnym przedszkolu, gdzie próbowano zostawiać go na kilka godzin, i wyczyniał takie szaleństwa, że matka żyła wciąż w stanie podwyższonej czujności, bo najmniejsza nieuwaga mogła spowodować katastrofę. Wcześniej odkrył, że zatrzymaniem oddechu natychmiast zwraca na siebie uwagę i z czasem udoskonalił ten sposób: doszedł do takiej wprawy, że ślina na zawołanie ciekła mu z ust, wywracał oczy i wił się w konwulsjach za każdym razem, gdy mu czegoś zabraniano. Za nic nie chciał używać szczoteczki do

zębów, grzebienia i łyżeczki, jedzenie zlizywał z podłogi nie można było zostawić go z innymi dziećmi, bo kopał i gryzł, ani z dorosłymi, bo darł się tak przeraźliwie, że nie wytrzymał nerwowo nawet najwytrzymalsi. Shanon uznała się za pokonaną, gdy tylko dziecko zaczęło raczkować, a że zbiegło się to w czasie z najgorszymi awanturami między nią a mężem, szukała ukojenia w ginie. Podczas gdy ojciec szukał spokoju w pracy i w podróżach, co pozwalało mu przynajmniej przebywać z dala od domu, a matka w alkoholu oraz wciąż nowych podbojach - przy czym oboje nie ustawiali w walce na śmierć i życie - mały David gromadził w sobie głuchą złość porzuconego dziecka. Rozwód Gregory'ego z Shanon pozwolił przynajmniej uniknąć starć typowych dla otwartego konfliktu, wycieńczających całą rodzinę, włącznie z meksykańską służącą, która przychodziła codziennie sprzątać i doglądać dziecka, ale koniec końców uznała, że woli niepewny los na ulicy niż ten dom wariatów. Jej odejście było dla Shanon tragiczniejsze niż pozbycie się męża. Począwszy od tej chwili poczuła się opuszczona przez wszystkich i nawet nie próbowała zapanować nad czymkolwiek: pozwoliła, aby dom i życie zarastały kurzem i brudem, by wokół niej piętrzyły się sterty niemytych talerzy i niepranej bielizny, niepopłaconych rachunków, popsutych sprzętów oraz obowiązków, o których wolała nie wiedzieć. W takim rozgardiaszu rozpoczął się jej żywot kobiety rozwiedzionej; nie próbowała nawet podjąć się roli matki ani pani domu, porzuciła wszelkie ambicje co do przyzwoitego życia rodzinnego, pokonana, zanim wyruszyła na wojnę, choć miała jeszcze w sobie dość sił, by ratować się ucieczką z tego tonącego statku, najpierw na krótkie, kradzione chwile, potem na długie godziny, aż w końcu na zawsze.

Reeves pozostał w pustym domu z gnijącą przy moło łodzią i krzewami róż rozrastającymi się w beczkach. Nie było to najlepsze rozwiązanie dla samotnego mężczyzny, jak zgodnie uważali wszyscy, ale w zwykłym mieszkaniu czułby się jak więzień, potrzebował bowiem dużej przestrzeni, żeby móc swobodnie rozprostować kości i pozwolić bujać duszy. Pracował po szesnaście godzin dziennie, sypiał niecałe pięć i do każdego posiłku wypijał butelkę wina. Przynajmniej nie palisz, więc nie umrzesz na raka płuc, pocieszał go Timothy Duane. Biuro Reevesa sprawiało wrażenie fabryki do produkcji pieniędzy, ale w rzeczywistości utrzymywało się na granicy równowagi dzięki chińskiemu księgowemu, który dokonywał cudów, by zapłacić pilne rachunki. Na próżno Mike Tong starał się objaśnić szefowi podstawowe zasady księgowości, by sam przejrzał krwawe kolumny cyfr i zorientował się, jakie piruety wyczyniają po omacku na mocno niepewnej linii. Nie przejmuj się, chłopie, jakoś to załatwimy, to nie tak jak w Chinach, tutaj zawsze wychodzi się na swoje, to jest земля dla odważnych, nie dla ostrożnych, uspokajał go Reeves. Rozglądał się wokół siebie i dochodził do wniosku, że nie on jeden jest tego zdania, praktycznie cały naród pogrążył się w oszalamiającej rozrzutności, popychany w kierunku horrendalnych wydatków i poddany hałaśliwej propagandzie patriotycznej, jaka miała przywrócić dumę straconą po klęsce w Wietnamie. Reeves szedł z duchem czasu, choć raz po raz musiał uciszać w sobie głos Cyrusa o czuprynie mędrca, obłożonego podziemnymi wydatkami, swego ojca z łagodnym *boa u stóp*, żołnierzy unurzanych we krwi i strachu i tylu innych zjaw, podważających jego postępowanie. Takiego egoizmu, korupcji i arogancji nie widziano od czasów Imperium Rzymskiego, twierdził Duane. Kiedy Carmen przestrzegła Gregory'ego

przed pułapkami, jakimi zagraża zbytne umiłowanie pieniądza, przypomniał, że to ona udzieliła mu pierwszych lekcji chytrkości jeszcze w dzieciństwie, wyciągając go z getta i kazać zarabiać pieniądze w dzielnicach zamieszkałych przez bogatych. To dzięki tobie przeszedłem na drugą stronę ulicy i odkryłem, o ile łatwiej tam żyć; o wiele lepiej być bogatym, ale skoro nie mogę, to będę przynajmniej żył tak, jakbym był, oświadczył. Carmen nie potrafiła pogodzić tej fanfaronady przyjaciela z resztą jego pomysłów, na przykład z coraz widoczniejszą tendencją do obrony praw najbardziej upośledzonych, nie przedsiębiorstw czy towarzystw ubezpieczeniowych, co przyniosłyby o wiele większe zyski. Nie omieszkała zwracać mu uwagi na tę niekonsekwencję w długich co ponieiedziałkowych rozmowach.

- Nie przekonujesz mnie do końca, Greg. Chcesz robić pieniądze, ale przez twoje biuro defilują wyłącznie rzesze biedaków.

- Latynosi zawsze będą biedni, wiesz to równie dobrze jak ja.

- W tym rzecz. Nikt się nie wzbogaci na biednych klientach. Ale mogę ci tylko powinszować, że jesteś tak samo sentymentalny jak zawsze, za co cię zresztą kocham. Wciąż bierzesz sobie na kark cudze sprawy, nie wiem, skąd jeszcze masz na to siły.

Ta cecha charakteru Reevesa nie ujawniała się wyraziście, kiedy był on zaledwie śrubką w złożonym mechanizmie dużej kancelarii, uwidoczniła się jednak z całą mocą, gdy Gregory stanął na czele własnego biura. Nie miał sumienia zamknąć drzwi przed kimś, kto potrzebował pomocy, i to zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Przychodzili do niego ludzie przygnieceni przeciwnościami losu i ledwie mógł przyjąć ich wszystkich. Ernestina Pereda dokonywała

cudów, by w rozkładzie dnia zmieścić wszystkie spotkania. Często klienci stawali się przyjaciółmi i niejedną raz ktoś chwilowo bezdomny nocował w domu Gregory'ego. Wdzięczne spojrzenie było dla niego dostateczną nagrodą, ale zdarzało się też, że spotykały go ciężkie niepowodzenia. Nie miał dobrego wyczucia do ludzi i nie dostrzegał w porę szubrawców, od których potem nie umiał się uwolnić, a którzy potrafili z czasem pokazać pazury i oskarżać go o złą wolę. Ostrożnie, bo jeszcze zaciągną nas do sądu za niewłaściwe postępowanie zawodowe, ostrzegał Mike Tong, widząc, że szef za bardzo wierzy klientom. Zdarzali się wśród nich drobni przestępcy, utrzymujący się przy życiu z nadużywania prawa, mający za sobą niejedną wyrok sądowy, pracujący przez kilka miesięcy, a potem prowokujący własne zwolnienie, żeby tylko wnieść sprawę do sądu o niesłuszne wypowiedzenie; niektórzy gotowi byli nawet do samookaleczeń, żeby tylko otrzymać odszkodowanie. Reeves mylił się także co do własnych współpracowników: większość z nich miała skłonność do alkoholu, jeden był zapalonym graczem i potrafił przegrać wszystko, włącznie z tym, co zdołał wynieść z biura, inny cierpiał na chroniczną depresję i kilkakrotnie znajdowano go w łazience z podciętymi żyłami. Wiele lat zajęło Reevesowi odkrycie, że jego osobowość przyciąga neurotyków. Sekretarki nie dawały sobie rady w takiej atmosferze, niewiele z nich wytrzymało dłużej niż parę miesięcy. Mike Tong i Tina Faibich byli jedynymi osobami całkowicie normalnymi w tym cyrku oszołomów różnej maści. W oczach Carmen fakt, że przyjaciel jeszcze nie zatonął, stanowił niepodważalny dowód jego siły, natomiast Timothy Duane tłumaczył ten cud nadzwyczajnym, niesłychanym szczęściem.

Wszedł do biura kuchennym wejściem, jak to miał w zwyczaju, chcąc uniknąć kontaktu z klientami w poczekalni. Na jego biurku piętrzył się stos papierów, na podłodze - książki i podręczniki prawa, na sofie leżała kamizelka oraz pudła z dzwoneczkami i szklanymi zwierzątkami. Bałagan wokół niego narastał, grożąc, że go w końcu pochłonie. Zdejmując prochowiec, rzucił spojrzenie na rośliny, zaniepokojony niezdrowym wyglądem paproci. Nim zdążył zadzwonić, weszła Tina z przygotowanym już rozkładem dnia.

- Musimy coś zrobić z tym ogrzewaniem, ususzy mi rośliny.

- Dzisiaj o jedenastej ma pan przesłuchanie i proszę pamiętać, że po południu powinien pan pójść do sądu. Mogę tu trochę posprzątać? Przepraszam pana, panie Reeves, że to mówię, ale wygląda tu jak w śmietniku.

- Dobrze, ale proszę nie ruszać akt Benedicta, ciągle jeszcze je przeglądam. I niech pani napisze do tych z klubu Bożego Narodzenia, żeby przestali mi przysyłać te rupiecie. Może mi pani przynieść aspirynę?

- Obawiam się, że będą panu potrzebne nawet dwie. Pana siostra, Judy, dzwoniła już kilka razy, to chyba coś pilnego - rzekła Tina i wyszła.

Reeves podniósł słuchawkę i zadzwonił do siostry; w kilku słowach wyjaśniła mu, że Shanon wpadła wcześniej rano i zostawiła u niej Davida, po czym wyjechała w podróż w nieznanym kierunku.

- Przyjedź po swojego syna najszybciej, jak możesz, bo nie zamierzam trzymać u siebie tego potwora, mam dość kłopotów z własnymi bachorami i matką. Wiesz, że teraz używa pieluch?

- David?

- Moja matka. Widzę, że o własnym synu też niewiele wiesz.

- Trzeba ją umieścić w domu starców, Judy.

- Jasne, najprostsze rozwiązanie! Wyrzucić jak stary kapec, ty byś to zrobił na pewno, ale ja nie. Opiekowała się mną, jak byłam mała, pomagała mi przy dzieciach i mogłam na nią liczyć w każdej trudnej chwili. Jak możesz w ogóle myśleć, że oddam ją do domu starców! Dla ciebie to może tylko kłopotliwa staruszka, ale ja ją kocham i mam nadzieję, że umrze w moich ramionach, a nie kopnięta jak pies. Daję ci godzinę na odebranie syna.

- Nie mogę, Judy, czeka na mnie trzech klientów.

- To go oddam na policję. Jest u mnie od niedawna, a już zdążył wrzucić kota do suszarki na bieliznę i obciął babci włosy - oznajmiła Judy, starając się opanować histeryczne brzmienie głosu.

- Shanon nie powiedziała, kiedy wróci?

- Nie. Powiedziała, że ma prawo do własnego życia, czy coś w tym stylu. Czuć było od niej alkohol i była zdenerwowana, bliska załamania, nie obwiniam jej, w sumie biedna kobieta, zupełnie nie panuje nad własnym życiem, więc co tu mówić o opiekowaniu się synem.

- I co teraz zrobimy?

- Nie wiem, co ty zrobisz. Powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej, nie wiem, po co siejesz po świecie dzieci, skoro nie masz ochoty się nimi zająć. Masz już córkę narkomankę, nie wystarczy? A może chcesz, żeby David poszedł w jej ślady? Jeżeli nie przyjedziesz w ciągu godziny, szukaj dzieciaka na policji - zakończyła Judy, odkładając słuchawkę.

Reeves zawołał Tinę i polecił jej odwołać wszystkie przewidziane na ten dzień spotkania. Złapała go w drzwiach, w pośpiechu wkładając zakiet, z parasolem w rękę, przekonana, że w podobnej sytuacji szef może jej potrzebować.

- Co pani sądzi o kobiecie, która porzuca czteroletnie dziecko, Tino? - spytał nagle Reeves, przystając w połowie drogi.

- Dokładnie to samo, co sądzę o ojcu, który porzuca trzyletnie - odparła tonem, jakiego nigdy u niej nie słyszał i na tym skończyła się rozmowa. Przez resztę drogi oboje milczeli, słuchali koncertu z radia i starali się utrzymać na wodzy rozbuchaną wyobraźnię. Po Davidzie należało spodziewać się wszystkiego.

Judy czekała na nich w drzwiach ze spakowanymi rzeczami bratanka, ten zaś, przebrany za żołnierza, ganiał po ogrodzie i obrzucał kamieniami sparaliżowaną sukę. Na ten widok Tina rozpostarła swój gigantyczny parasol i zaczęła nim obracać niczym kołem karuzeli, licząc, że to przyciągnie uwagę Davida. Reeves rzucił się, chcąc złapać dzieciaka, ale ten cisnął tylko kamieniem i pobiegł w kierunku furtki. Nie zdążył wybiec na ulicę. Zręcznym ruchem iluzjonisty Tina zamknęła parasol, podcięła małemu nogę, a leżącego chwyciła za kark, uniosła do góry i siłą wepchnęła do samochodu, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Postarała się utrzymać małego w spokoju podczas jazdy powrotnej. Tego popołudnia Gregory Reeves zjawiał się w sądzie, mając większą niż zwykle ochotę do polemiki z adwersarzem, natomiast jego niezwykła sekretarka oczekiwała na zewnątrz, utrzymując Davida w spokoju frytkami, bajkami tudzież klapsami.

Takie były początki wspólnego bytowania Gregory'ego z synem. Zupełnie nie czuł się na to przygotowany, a jego rozkład zajęć nie przewidywał czasu dla dziecka, zwłaszcza tak kłopotliwego. W żadnej chwili nie dawało się przewidzieć, co zaraz zrobi, i na mgnienie nie można było zostawić go samego; w nocy włożył do łóżka ojca i zasypiał, trzymając

się kurczowo jego ręki. Przez pierwsze dni Gregory musiał wszędzie zabierać Davida ze sobą, nie mógł go jeszcze zostawiać samego w domu, a nie znalazł się nikt, kto by zechciał się zająć malcem, nawet Judy, mimo jej macierzyńskiego instynktu i przyzwoitej sumy, jaką jej oferował. Jeżeli przez tak krótki czas zdążył obciąć mojej matce włosy, to przez godzinę urwie jej głowę, brzmiała odpowiedź Judy na prośby brata. Dom i samochód Reevesa zapelnily się zabawkami, gotowym jedzeniem, gumą do żucia, stertami brudnej bielizny. Z braku innego rozwiązania zabierał Davida do biura, ale pracownicy po kilku próbach unikali zabaw z dzieckiem, szczerze je znienawidziwszy, do czego się otwarcie przyznawali. David skakał po biurkach, połykał spinacze, by je wypluwać na dokumenty, odłączał komputery, zalewał łazienkę wodą, wyrywał kable telefoniczne i jeździł windą w górę i w dół, aż się zacięła. Za radą sekretarki Reeves zatrudnił nielegalną imigrantkę z Salwadoru do opieki nad Davidem, ale ta wytrzymała zaledwie cztery dni. Była pierwszą na długiej liście opiekunek, które miały przewinąć się przez dom i umknąć bez śladu. Do cholery ze stresem, ja bym mu sprawiła porządne lanie, radziła przez telefon Carmen, która sama nie miała nigdy okazji wypróbować tej metody na Daiu. Reeves postanowił zasięgnąć rady dziecięcego psychologa, który doradził szkołę dla dzieci sprawiających szczególne kłopoty wychowawcze, zapisał tabletki uspokajające oraz terapię od zaraz, ponieważ, jak wyjaśnił, rany emocjonalne z pierwszego okresu życia zostawiają nieusuwalne blizny.

- Oprócz tego doradzam terapię również panu, potrzebuje jej pan nawet bardziej niż David. Dopóki nie poradzi pan sobie z własnymi problemami, nie zdoła pan pomóc synowi

- dodał, ale Reeves bez zastanowienia odrzucił tę sugestię. Wychował się w środowisku, gdzie nie przewidywano takich możliwości i na tym etapie życia był jeszcze przekonany, że mężczyźni powinni radzić sobie sami.

Dla Reevesa zaczął się trudny rok. Najgorszy w twoim życiu, więc już nie musisz się przejmować, bo wszystkie następne będą łatwiejsze, zapewniała go później Olga, starając się jednocześnie przekonać go do mocy, jaką mają kryształki odsuwające zły los. Spadła na Reevesa cała seria niepowodzeń i krucha równowaga, w jakiej żył, załamała się. Któregoś ranka Mike Tong wszedł załamany do jego gabinetu i oznajmił, że bank dopomina się sumy, jakiej nie mogą zwrócić; sama spłata odsetek całkowicie pogrąża firmę finansowo, nie mówiąc już o kosztach rozwodu szefa. Kobiety, z którymi Reeves chodził, opuszczały go jedna po drugiej, w miarę jak poznawały Davida, żadna nie miała na tyle silnego charakteru, by dzielić kochanka z tą nieokiełznaną istotą. Nie po raz pierwszy Reevesa osaczały okoliczności, ale teraz dochodziła do tego opieka nad dzieckiem. Wstawał wcześnie, żeby zdążyć posprzątać dom, przygotować śniadanie, wysłuchać wiadomości, wymyślić obiad i ubrać Davida; odwoził go do szkoły, brał środki uspokajające, czekał na efekt ich działania, a potem ruszał do biura. Te czterdzieści minut podróży stanowiło jedyną spokojną chwilę w całym dniu; mijając wyniosłe wieże przy moście Golden Gate, wysokie chińskie dzwonnice z czerwonej laki i pozostawiając z boku zatokę, czarną taflę wody, pociętą sylwetkami żaglówek i łodzi rybackich, mając przed sobą elegancką sylwetkę San Francisco, przypominał sobie zawsze ojca, który mówił, że to

najpiękniejsze miejsce na świecie. Słuchając muzyki, starał się zebrać myśli, ale rzadko było to możliwe, bo lista bieżących spraw nie miała końca. Tina umawiała go na spotkania rano, o czwartej mógł zatem odbierać Davida; zabierał dokumenty do domu z zamiarem przejrzenia ich wieczorem, ale zawsze brakowało mu na to czasu; nigdy nie wyobrażał sobie, że dziecko potrzebuje tyle przestrzeni, robi tyle hałasu i wymaga tyle uwagi. Po raz pierwszy zrobiło mu się żal Shanon i nawet zaczął rozumieć, dlaczego odeszła. Na domiar złego David trzymał w domu zwierzaki i do obowiązków Gregory'ego należało mycie akwarium, karmienie szczurów, czyszczenie klatki z papugami i spacer z psem, żółtym owczarkiem, którego nazwali Oliver, na pamiątkę pierwszego przyjaciela Reevesa.

- To przez twoją własną głupotę. Po pierwsze nie powinieneś był kupować całego tego zoo - mówiła Carmen.

- Mogłaś mnie wcześniej uprzedzić, teraz już nic się nie da zrobić.

- Jak to nie! Podaruj komuś psa, wypuść papugi i szczury, a ryby wpuść do zatoki. Wszyscy na tym tylko skorzystają.

Góra papierów piętrzyła się na skrzyniach, które służyły Reevesowi za nocny stolik. Musiał zrezygnować z podróży i przekazać sprawy dziejące się poza San Francisco współpracownikom, którzy nie zawsze byli trzeźwi czy zdrowi i popełniali kosztowne błędy. Skończyły się służbowe lunche, partie golfa, opera, wypad do dyskotek z kolejnymi dziewczynami z listy, nocne szaleństwa z Timothyem Duane'em, nie chodził nawet do kina, bo nie mógł zostawiać Davida samego w domu. Wideo także nie było rozwiązaniem, jako

że Dawidowi podobały się wyłącznie filmy o potworach i pełne brutalnych scen: im więcej krwi i agresji, tym ciekawsze. Zbrzydzone nadmierną ilością zwłok, tortur, żywych trupów, wilkołaków i siejących zagładę kosmitów, Gregory próbował przekonać małego do komedii muzycznych i filmów rysunkowych, ale obaj jednakowo się przy nich nudzili. Nie było szans, żeby zaprosić do domu przyjaciół: David nie znosił towarzystwa, w każdym, kto zbliżał się do ojca, widział zagrożenie dla siebie i miewał potworne ataki zazdrości, więc goście tym pospieszniej kończyli wizyty. Czasami, kiedy wychodził na przyjęcie albo na spotkanie z naprawdę obiecującą dziewczyną, udawało mu się znaleźć kogoś do opieki nad chłopcem na kilka godzin, ale zawsze po powrocie zastawał dom przewrócony do góry nogami, jakby przeszedł huragan, a opiekunkę zapłakaną lub na skraju ataku nerwowego. Jedyną osobą, wykazującą dostateczną cierpliwość i odporność, okazał się King Benedict, obdarzony wyjątkowym opiekuńczym talentem i jak David uwielbiający gry wideo i horrory, mieszkał on jednak stosunkowo daleko i, poza wszystkim, był bezradny jak dzieciak. Kiedy ci dwaj zostawali sami, Gregory wychodził zdenerwowany i wracał szybko, wyobrażając sobie, co też może dzieć się w domu podczas jego nieobecności. W weekendy poświęcał większość czasu Davidowi, robił porządki w domu, chodził na targ po zakupy, naprawiał szkody, zmieniał słomę szczirom i czyścił akwarium, w którym rybki co rano pływały zdezorientowane, bo David miał zwyczaj wrzucać tam wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Do późnej nocy prześladowały go niespłacone długi, opóźnione podatki i obawa, że może znaleźć się w sytuacji bez wyjścia, gdyż nie dowierzał własnym adwokatom, co gorsza sam nie do końca przeanalizował

niektóre przypadki. Jakby tego wszystkiego było mało, musiał zrezygnować z zawodowego ubezpieczenia, ponieważ nie starczało mu na to funduszy, ku przerażeniu Mike'a Tonga, który przewidywał całą serię klęsk finansowych i utrzymywał, że praca w tej dziedzinie bez ochrony, jaką daje ubezpieczenie, to samobójstwo. Reevesowi nie starczało pieniędzy, sił ani czasu, był potwornie zmęczony, tęsknił już trochę za samotnością i ciszą, potrzebował przynajmniej tygodnia urlopu gdzieś na plaży, ale z Davidem nie sposób było wyjechać. Podaruj go jakiemuś laboratorium, zawsze potrzebują tam dzieci do doświadczeń, sugerował mu Timothy Duane, który również przestał bywać u przyjaciela, przerażony perspektywą znalezienia się sam na sam z nieznośnym bachorem. Gregory'emu pękała głowa, jak w najgorszych latach wojny, czuł, że ponosi klęskę za klęską, znowu zaczął za wiele pić i odezwały się alergiczne przypadłości; dusił się, jakby miał płuca pełne waty. Alkohol wpędzał go w stan krótkotrwałej euforii, a potem przychodziła potworna chandra; rano budził się z zaczerwienioną skórą, dzwonieniem w uszach i z zapuchniętymi oczami. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ciało odmawia mu posłuszeństwa. Dotąd kpił z kalifornijskiej obsesji, by za wszelką cenę utrzymywać dobrą formę, przekonany, że zdrowie to jak kolor skóry, nie zmienia się od urodzenia do śmierci i w ogóle nie warto o tym rozmawiać. Nigdy nie przejmował się cholesterolem, cukrem i nasyconymi tłuszczami, nie go nie obchodziły zdrowa żywność i błonnik, nie uznawał preparatów przyspieszających opalanie i joggingu dla samej przyjemności biegania, a nie po to, by gdzieś zdążyć. Żył w przekonaniu, że nie ma czasu na chorowanie, bo umrze nie ze starości, ale w jakimś wypadku.

Po raz pierwszy w życiu zauważył również, że zmniejszyło się jego zainteresowanie kobietami. Zmartwiło go to, ale jednocześnie odetchnął z ulgą: z jednej strony obawiał się utraty męskości, z drugiej uważał, że bez tej obsesji jego życie byłoby o wiele łatwiejsze. Rzadziej widywał się teraz z kobietami, ograniczając się do pospiesznych spotkań w środku dnia, bo popołudnia musiał poświęcać Davidowi. Jak głód czy sen, swoje potrzeby seksualne musiał zaspokajać natychmiast, nie należał do mężczyzn bawiących się w długą grę wstępną, a pożądanie wprowadzało go w stan zupełnie desperacki.

- Zaczynam się robić wymagający, to chyba kwestia wieku - zwierzał się Carmen.

- Nareszcie. Nie rozumiem, jak człowiek, który ma takie wymagania co do bielizny, książek i muzyki, bywa w dobrych lokalach, kupuje drogie wino, podróżuje pierwszą klasą i mieszka w luksusowych hotelach, może się pokazywać z takimi wywłokami!

- Nie przesadzaj, niektóre są całkiem niezłe - odparł, ale w głębi ducha przyznawał przyjaciółce rację, w tej dziedzinie musiał się jeszcze wiele nauczyć. Jedyłą przyjemnością, jaką mógł się delectować bez pośpiechu, marząc, by trwała jak najdłużej, pozostała muzyka. Nocami, kiedy nie mógł zasnąć, a brak cierpliwości nie pozwalał mu spokojnie czytać, leżał w łóżku i wpatrywał się w ciemność, słuchając koncertów.

Pod koniec maja zmarła Nora Reeves na skutek zapalenia płuc. Możliwe zresztą, że umierała powoli codziennie od ponad czterdziestu lat, ale nikt tego nie zauważał. Przez ostatnie lata jej umysł wędrował po krętych ścieżkach duchowości i żeby nie pomylić kierunku, poruszała się zawsze z niewidzialną pomarańczą Niezłębionego Zamysłu w rękę. Judy błagała ją, by pozostawiła tę pomarańczę, ilekroć wychodzą, żeby

ludzie nie myśleli, że matka chodzi z ręką wyciągniętą po jałmużnę. Nora uważała, że ma szesnaście lat i mieszka w białym pałacu, gdzie odwiedza ją narzeczony, Charles Reeves, który pojawia się zawsze w porze herbaty w kapeluszu i w dżinsach, z łagodnym wężem oraz torbą z narzędziami do naprawy świata, tak jak odwiedzał ją w celach religijnych każdego czwartku, począwszy od dnia, kiedy ambulans zabral go w podróż na tamten świat. Śmiertelna choroba Nory zaczęła się wysoką gorączką, która nie spadała, i kiedy starszka zaczęła majaczyć, Judy wraz z mężem zawieźli ją do szpitala. Leżała tam kilka tygodni taka słaba, że zdawało się, iż z wolna jej ciało przechodzi w stan lotny, i tylko Gregory był pewien, że matka nie umiera. Podarował jej sprzęt, aby mogła słuchać ulubionych oper, zauważył, że porusza stopami pod prześcieradłem w rytm muzyki i że na usta wypływa słaby, dziecienny uśmiech, co było dla niego niepodważalnym dowodem, że nie zamierza jeszcze odejść z tego świata.

- Jeżeli jeszcze cieszy ją muzyka, to znaczy, że nie umiera.

- Nie łudź się, Greg. Nie je, nie mówi, prawie nie oddycha - odpowiadała Judy.

- Robi to, by nas wkurzyć. Zobaczysz, że jutro wszystko będzie w porządku - przekonywał Gregory, trzymając się kurczowo wspomnienia matki jako młodej kobiety.

Jednak pewnego ranka ktoś zadzwonił do niego ze szpitala i zaczął dzień wraz z siostrą przy łóżku, na którym spoczywało lekkie ciało kobiety pozbawionej wieku. Matka bliska była osiemdziesiątki, ale dawno już pożegnała się z życiem doczesnym, pograżając się ze szczętem w błogosławnym szaleństwie, co pozwoliło jej uniknąć całkowicie bólu istnienia, nie tracąc jednak swoich dobrych manier ani

wrażliwości. W miarę jak starzał się jej organizm, Nora Reeves przenosiła się w inne czasy i inne miejsca, aż kompletnie straciła poczucie rzeczywistości. Pod koniec swoich dni wierzyła, że jest uralską księżniczką i krążyła śpiewając arie po jaśniejących komnatach zaczarowanego miejsca. Od dłuższego czasu rozpoznawała jedynie Judy, którą jednak myliła z własną babką i mówiła do niej po rosyjsku. Powróciła do wymagowanej młodości, gdzie nie było miejsca na obowiązki i cierpienia, a jedynie na godne rozrywki jak książki i muzyka. Czytała dla samej przyjemności dowiedzenia, że liczba wariantów dwudziestu czterech znaków na papierze jest nieskończona, ale nie pamiętała ani przeczytanych zdań, ani nie wiedziała, co czyta, przeglądała z takim samym zainteresowaniem stronicę klasycznej powieści, co instrukcje obsługi sprzętu gospodarstwa domowego. Z biegiem czasu skurczyła się do rozmiarów przezroczystej lalki, ale dzięki cudownemu kosmetykowi, jakim była jej własna fantazja, a może przez samą niewinność śmierci, odzyskała świeżość utraconą w trudach życia i kiedy zmarła, wyglądała jak we wspomnieniach Gregory'ego, gdy był dzieckiem, a ona objaśniała mu konstelacje gwiazd na firmamencie. Tygodnie gorączki, przedłużający się brak łaknienia i powycinane przez wnuka włosy, które już nie chciały odrosnąć, nie zdołały zepsuć tej iluzji piękna. Dusza odeszła z ciała Nory nieśmiało i po cichu, w obecności Judy, trzymającej matkę za rękę. Pochowano Norę Reeves pewnego deszczowego dnia, w milczeniu i bez łez. Judy spakowała do torby kilka drobiazgów, jakie zostały po matce: dwie bardzo znoszone sukienki, metalową szkatułkę z dokumentami, które miały zaświadczyć, że w ogóle przebywała na tym świecie, dwa obrazy pędzla Charlesa Reevesa i naszyjnik z pereł, poźółkłych

od ciągłego noszenia. Gregory zabrał jedynie kilka fotografii.

Tej samej nocy, po wykąpaniu Davida i zmuszeniu go do pójścia do łóżka, Gregory nakarmił cały domowy zwierzyniec, włożył brudną bieliznę do pralki, pozbierał zabawki porozrzucane po domu i wrzucił je do szafy, zniósł śmieci do garażu, zmył kuchnię, odłożył na właściwe miejsce na półce książki, z których dzieciak budował fortecę, i dopiero potem znalazł chwilę dla siebie w sypialni, pochylając się nad neseserem wypełnionym dokumentami, jakie powinien był jeszcze przejrzeć na następny dzień. Włączył symfonię Mahlera, nalał sobie kieliszek białego wina i usiadł na łóżku, jedynym meblu w pokoju. Dochodziła północ i potrzebował jeszcze kilku godzin, żeby rozwikłać przypadek, który wpadł mu właśnie w ręce, ale nie miał na to siły. Wypił wino duszkiem, nalał sobie następny kieliszek, potem jeszcze jeden, aż opróżnił butelkę do dna. Puścił wodę do wanny, rozebrał się i przejrzał w lustrze: gruby kark, szerokie plecy, mocne nogi. Tak bardzo przyzwyczaił się, że jego ciało działa jak dobrze funkcjonujący mechanizm, iż nie mógł sobie wyobrazić, że w ogóle może zachorować. Tylko dwa razy w życiu musiał położyć się do łóżka: raz, kiedy miał zapalenie żył w nodze, drugi - kiedy znalazł się w szpitalu na Hawajach, ale oba te przypadki ledwie pamiętał. Świadomie lekceważył alarmowe sygnały przyzywające go do porządku: alergie, bóle głowy, przemęczenie, bezsenność. Zmierzył włosy i stwierdził, że nie tylko siwieje, ale na domiar łysieje. Przypomniał sobie, że King Benedict smaruje sobie czaszczę czarną pastą do butów, żeby ukryć łysinę, która zupełnie nie pasuje mu do tych czternastu lat, jakie wydaje mu się, że ciągle ma. Wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze, szukając podobieństwa

do matki; odkrył je w kształcie rąk o długich palcach i w delikatnych stopach, wszystko inne odziedziczył po ojcu. Margaret miała jeszcze rysy swej babki: kocią buzię o wysokich kościach policzkowych, anielskie spojrzenie, delikatność ruchów. Co się z nią stanie? Kiedy ostatni raz ją widział, siedziała w więzieniu. Z ulicy do więzienia, z więzienia znów na ulicę, jeden błąd pociąga za sobą następne: tak biegło jej życie, odkąd uciekła z domu po raz pierwszy. Była bardzo młoda, ale już zdążyła przejść przez wszystkie kręgi piekła i zachowywała się jak rozjuszona kobra gotowa do ataku. Chciał sobie wyobrazić, na przekór rzeczywistości, że pod tą skorupą nałogów kryją się jeszcze resztki czystości. Pomyślał, że może tak jak Nora Reeves przeobraziła się w godzinie śmierci, Margaret zdoła uniknąć zepsucia i jakimś cudem odrodzi się z popiołów. Jej matka przez dziesięciolecia wegetowała nietknięta przez niegodziwość tego świata i był pewien, że w trumnie zmieni się w mglisty obłok, zostając poza zasięgiem rozkładu i robactwa. W taki sam sposób mogłaby ocaleć jego córka; może długa droga krzyżowa, jaka zawiodła ją tak daleko, sprowadzając na manowce, nie zniszczyła jeszcze doszczętnie wrodzonego piękna i wystarczyłoby jakieś gruntowne oczyszczenie, z rodzaju tych, jakie stosowała Olga, oraz ciepła kąpiel, mydło i szczotka, żeby ją doszorować, zmywając z niej wszelkie ślady brudu, ukłuć, zadrapań, siniaków i ran, aby skóra odzyskała dawną jasność, zęby - dawny blask, włosy - zdrowy wygląd i połysk, a serce zostało oczyszczone z winy na zawsze.

Poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie, a oczy zachodzą mgłą. Wszedł do wanny i rozkoszował się ciepłą kąpielą, starając się jednocześnie dać wypocząć członkom, stężałym od nieustannego napięcia i przez chwilę nie myśleć o niczym,

jednakże wydarzenia minionego dnia napłynęły mu falą do głowy: formalności w szpitalu związane ze zgonem matki, krótkie nabożeństwo, samotny pogrzeb, przy którym jedynym kolorowym akcentem był bukiet goździków, jakie przyniósł, chcąc uciszyć wyrzuty sumienia, że nie opiekował się staruszką przez te lata. Przypomnił sobie strugi deszczu, uparte milczenie Judy, która nie uroniła ani jednej łzy, świadomość, że coś jest nie w porządku, jak gdyby śmierć była czymś niewłaściwym, jedynym przypadkiem braku uprzejmości i dobrych manier ze strony Nory Reeves. Przez całą drogę na cmentarz myślał o pracy czekającej go w biurze, o tym, że musi zająć się przypadkiem Kinga Benedicta albo zdecydować się na skierowanie sprawy do sądu, ryzykując, że przegra. Niczym pies gończy obwąchiwał każdy ślad bez względu na to, ile znaczył, ale nie znalazł nic konkretnego, co mogłoby dać mu jakiś punkt oparcia. Przywiązał się do swojego klienta, który był jak dziecko wtłoczone w anachroniczny uniform pięćdziesięciolatka, ale przede wszystkim podziwiał Bel Benedict, wspaniałą kobietę, zasługującą na to, by oszczędzić jej poniżenia. Ze względu na nią powinien wyprzedzić manewry adwokatów drugiej strony i pobić ich na własnym terenie, nie ten wygrywa, kto ma rację, ale kto lepiej walczy: pierwsza lekcja, jakiej udzielił mu stary miłośnik orchidei. Poczł nienawiść do samego siebie za takie rozważania w chwili, gdy zwłoki matki jeszcze nie ostygły. Zaczł myśleć o ostatnich latach życia Nory Reeves w roli upośledzonej dziewczynki, której Judy doglądała z niecierpliwością i szorstkością, jak gdyby było to jeszcze jedno dziecko w klanie jej ośmiorga potomków. No cóż, siostra przynajmniej była przy matce, on natomiast przez cały czas szukał pretekstu, by uniknąć spotkań, ograniczając się do płacenia rachunków, kiedy było to konieczne, i składania

krótkich wizyt kilka razy do roku. Było mu przykro, że go nie rozpoznaje, jej umysł nie utrwalił istnienia syna imieniem Gregory, czuł się ukarany starczą amnezją matki, jakby owo zapomnienie było jeszcze jednym pretekstem, żeby całkowicie wymazać go z serca. Zawsze podejrzewał, że go nie kocha i że starała się uwolnić od niego, umieszczając już to w sierocińcu, już to na farmie, powodowana bynajmniej nie biedą, ale obojętnością. Woda w wannie była za gorąca, Gregory'emu płonęła skóra i łomotało w skroniach, uznał, że dobrze mu zrobi jeszcze jeden łyk, wyszedł z wanny owinięty ręcznikiem, poszedł do kuchni po kolejną butelkę i po drodze wyłączył ogrzewanie, bo prawie się dusił. Zajrzał do Davida, stwierdził, że mały śpi spokojnie na progu indiańskiego namiotu, nalał sobie wina i zasiadł na łóżku. Płyta skończyła się i mógł teraz wsłuchać się w ciszę, rzadki luksus, od kiedy mieszkał z synem. Przyszła mu znowu na myśl matka, niczym nieusuwalne wspomnienie, słyszał, że szepce mu coś do ucha, że stara się coś powiedzieć, i zdał sobie sprawę, że przecież w ogóle jej nie znał, że była dla niego kimś obcym. W dzieciństwie uwielbiał ją, ale potem ich drogi się rozeszły i w wielu sytuacjach był pewien, że jej nienawidzi, zwłaszcza w najtrudniejszych dla niego latach, kiedy siedziała na swym wiklinowym fotelu, poddając się z rezygnacją biedzie i bezsilności, a on zarabiał na życie na ulicy. Oglądał stare fotografie, poźółkłe skrawki obcej mu przeszłości, która w pewnym stopniu była także jego udziałem, i starał się poskładać w jedną całość fragmenty tej subtelnej, posłusznej staruszki. Nie zdołał uświadomić sobie w ten sposób, jak wyglądała, natomiast oczyma wyobraźni ujrzał ją młodą, w sukience z koronkowym kołnierzykiem i włosami upiętymi w kok, stojącą na skraju zakurzonego miasteczka,

i ujrzał również siebie samego, chudego chłopaka o ostrych rysach twarzy, niebieskich oczach i dużych ustach; za jego plecami dwaj ludzie gwałcą Murzyneczkę, on krzyczy, a oni śmieją się, aż wreszcie mała wrywa się z tego potwornego uścisku i pojawia się tuż obok Nory Reeves, która podaje jej broszurę o Niezglębionym Zamyśle. Później ujrzał matkę idącą długimi krokami po pustej drodze, ona przodem, on za nią, próbuje ją dogonić, ale im dłużej biegnie, tym bardziej dystans się wydłuża i figurka matki staje się coraz mniejsza, coraz słabiej widoczna na horyzoncie, asfalt topi się, klei i parzy stopy, zmęczenie coraz bardziej daje się we znaki, nie ma sił, nie może już iść, kolana uginają się pod nim i wreszcie osuwa się na ziemię, upał nie daje mu oddychać. Poczul, że ogarnia go olbrzymie współczucie dla tego dziecka - dla samego siebie. Mamo, zawołał po raz pierwszy w myślach, a później krzyknął rozpaczliwie i wówczas zamazane obrazy wyostrzyły się, mgliste linie zmieniły w pewne pociągnięcia pędzlem i Nora Reeves pojawiła się obecna duchem i ciałem i uśmiechając się, wyciągnęła do niego ręce. Zapragnął wstać, uścisnąć ją, choć nigdy tego nie robił, ale nie zdołał się ruszyć i siedząc powtarzał: mamó!, podczas gdy sypialnia napełniała się roziskrzonym światłem i powoli przesuwali się po niej kolejni goście: Cyrus, Juan José Morales trzymający za rękę Thui Nguyen, chłopak z Kansas, który skonał na jego rękach, żołnierze o posiniałych twarzach, Martinez bez cienia dawnej bezczelności, mimo tych samych co zawsze ciuchów alfonsa, i inne milczące postacie. Gregory Reeves rozkoszował się ciepłym uśmiechem Nory, którego tak szalenie pragnął jako dziecko i na próżno oczekiwał w dorosłym życiu: siedział znieruchomiały w spokojnej ciszy czasu zatrzymanego na zegarach, aż z wolna zaczął znikać ten orszak zmarłych.

Jako ostatnia odeszła jego matka: wycofała się ulatując i rozplynęła w ścianie, pozostawiając mu całą miłość, jakiej nie umiała wyrazić za życia, a jaką wciąż go otaczała.

Kiedy odeszli wszyscy i pozostał sam, coś pękło mu w duszy: potworny ból wbił się w piersi i rozprzestrzenił się po całym ciele, spalał je, rozrywał na kawałki, łamał kości i zdierał skórę; nie potrafił zapanować nad własnym ciałem, nie był już sobą, a wyłącznie owym nieznośnym bólem, udreńczoną meduzą, rozlewającą się po sypialni i wypełniająca całą przestrzeń jedną krwawiącą raną. Próbował raz jeszcze podnieść się, ale nie mógł nawet poruszyć ręką, skulił się i upadł na kolana, tracąc oddech, rażony tą potworną lancą, przebijającą mu bok na wylot. Przez kilka minut leżał skulony na ziemi, usiłując złapać oddech, z łomotem bębna w skroniach. Świadoma część mózgu zdołała jeszcze zarejestrować, co się dzieje, i wiedział, że musi zadzwonić po pomoc, inaczej umrze tu i teraz, nie miał jednak siły dotrzeć do telefonu ani dobyć z siebie głosu, by krzyknąć; zwinął się w kłębek jak embrion, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o atakach serca. Zadawał sobie pytanie, ile zdoła wytrzymać i sama myśl go poraziła, potem jednak wyobraził sobie, jak dobrze będzie nie istnieć, nie walczyć o nic z cieniami, nie człogać się po drodze za tą oddalającą się kobietą; poddał się pokusie nieistnienia, jak w dzieciństwie, kiedy chował się z psem w lisiej jamie. Ból z wolna przemijał, porywając ze sobą część tego potwornego wyczerpania. Reeves miał świadomość, że kiedyś przeżywał już podobny moment. Mógł oddychać, dotknął piersi, by sprawdzić, czy jeszcze coś w środku bije, nie, serce jeszcze nie pękło. Po raz pierwszy od czasu wojny wybuchnął płaczem i był to organiczny szloch, pochodzący z zamierzchłej przeszłości, może nawet sprzed jego narodzin, struga łez hamowanych przez ostatnie

lata, niepowstrzymany strumień. Płakał z powodu samotności dzieciństwa, walki i klęsk, które na próżno usiłował brać za zwycięstwa, niespłaconych długów i zrad znoszonych przez całe życie, nieobecności matki i zbyt późnego zrozumienia jej miłości. Ujrzał Margaret staczającą się w przepaść i chciał ją jeszcze złapać, ale wymknęła mu się z rąk. Tak nietykalny i tak okrutnie zraniony, wyszeptał imię Davida, zadając sobie pytanie, czemu jego dzieci naznaczone są piętnem udręki, dlaczego ich życie jest aż tak ciężkie, czy może przekazał im w genach jakieś przekleństwo i czy będą one musiały płacić za jego winy. Płakał z powodu własnych błędów i owej doskonałej miłości, o jakiej marzył, ale jaka wydawała mu się nie do urzeczywistnienia, płakał z powodu śmierci ojca, tyle wieków temu, i swojej siostry Judy, niewolnicy najokrutniejszych wspomnień; płakał z powodu Olgi uprawiającej profesję oszustki, odgadującej przyszłość ze znaczonych kart, i swoich klientów - nie tych pewnych siebie czy nadużywających zaufania, ale głównie ofiar, jak King Benedict i tylu innych nieszczęśliwych: wszystkich ukrywających się, Latynosów, czarnych, ludzi z marginesu, biedaków i poniżanych, którzy przybywali prosić o pomoc na ten Dwór Cudów, jakim stało się jego biuro; szlochał z powodu wojennych wspomnień, towarzyszy broni w plastikowych workach, Juana José Moralesa, dwunastoletnich dziewczynek sprzedających się żołnierzom i setki poległych w górach. Kiedy wreszcie zrozumiał, że tak naprawdę płacze nad sobą samym, otworzył oczy i znalazł się oko w oko ze zmorą, musiał spojrzeć jej prosto w twarz i w tym czyhającym na niego zwierzu, w tym powiewie, który od lat czuł na karku, rozpoznał wreszcie swój własny, dojmujący strach przed samotnością, prześladowający go od dziecka, gdy z drzeniem zamykał się w piwnicy. Żal ścisnął go w złowieszczym uścisku, wpełzł

mu do ust, uszu, oczu, wszędzie i zawładnął nim całym, gdy powtarzał uparcie: chcę żyć, chcę żyć...

W tej właśnie chwili zadzwieczał dzwonek i wyrwał go z tego krytycznego stanu. Minęła wieczność, nim rozpoznał ten dźwięk, zdał sobie sprawę, gdzie jest i co się dzieje, pojął, że leży na podłodze sypialni, nagi, unurzany w moczu, wymiotach i łzach, pijany, zdjęty trwogą. Telefon dzwonił natarczywie, przeciągając go z powrotem w inny wymiar, póki nie dotarł do słuchawki.

- Greg? Mówi Tamar. Nie dzwoniłeś do mnie, a jest poniedziałek...

- Przyjedź, Carmen, proszę cię, przyjedź - wybełkotał.

Pół godziny później była już przy nim, przyjechawszy z Berkeley z niedozwoloną prędkością. Otworzył jej drzwi zawinięty w ręcznik, zdruzgotany, i przytulił się do niej, próbując wytłumaczyć urywanymi zdaniami, gdzie go boli, tu w piersiach, w plecach, głowa, wszędzie. Carmen założyła mu szlafrok, wzięła na ręce na pół śpiącego Davida, wsadziła obu do samochodu i pędem ruszyła do najbliższego szpitala. Po paru minutach Greg leżał na łóżku podłączony do kroplówki i z maską tlenową.

- Czy mój tatuś umrze? - zapytał David.

- Tak, jeżeli zaraz nie zaśniesz - srogo odparła Carmen.

Pozostała w poczekalni ze śpiącym Davidem aż do następnego ranka, kiedy kardiolog oznajmił jej, że niebezpieczeństwo minęło, to nie atak serca, ale atak trwogi, pacjent może iść do domu, lecz powinien skonsultować się ze swoim lekarzem, zrobić niezbędne badania, może nawet byłby wskazany psychiatra, bo mówi trochę od rzeczy. Po powrocie do domu Carmen pomogła Gregory'emu wziąć prysznic i położyć się, przygotowała kawę, ubrała Davida, dała mu śniadanie i zawiozła do szkoły.

Potem zadzwoniła do Tiny Faibich i wyjaśniła, że szef nie może dziś przyjść do pracy; dopiero potem zajrzała do przyjaciela i usiadła przy nim na łóżku. Gregory był osłabiony i otepiały od środków uspokajających, ale mógł już oddychać bez problemu, odczuwał nawet głód.

- Co się właściwie stało? - spytała Carmen.

- Moja matka zmarła.

- Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

- To się stało tak szybko, nie chciałem nikomu przeszkadzać, zresztą i tak nic nie mogłabyś zrobić - i opowiedział jej wszystko, bezładnie i nie po kolei, urywanym potokiem zdań, trzymając za rękę tę kobietę, która była dla niego więcej niż siostrą, była jego najdawniejszą i najprawdziwszą miłością, przyjaciółką, partnerką, sekretną częścią jego samego, tak mu bliską, choć tak od niego różną. Carmen smągliła i niezastąpiona, Carmen mądra i odważna, z pięćsetletnią tradycją indiańską i kastylijską we krwi oraz solidnym, anglosaskim rozsądkiem, dzięki czemu pewnie poruszała się po tym świecie.

- Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi i ja przeskakiwałem przez tory tuż przed pociągiem? Dopiero jak ktoś przez to zginął, wyleczyłem się z takich pomysłów i przez wiele lat w ogóle o tym nie pamiętałem, ale teraz znów chodzą mi po głowie podobne myśli i najzwyczajniej w świecie się boję. Czuję się jak w pułapce, mam długi bankowe, których nie zdołam spłacić, córkę - nieuleczalną narkomankę i perspektywę ustawicznej walki z Davidem przez najbliższe piętnaście lat. Moje życie to jedna wielka porażka, czuję się skończony.

- Klęska i sukces nie istnieją, Greg, to tylko jankeskie wymysły. Trzeba po prostu żyć najlepiej, jak się umie, każdego dnia po troszeczkę, to taka podróż bez określonego celu: tylko droga się liczy. Przyszedł czas, żeby na chwilę

przystanąć, więc dlaczego tak cię to niepokoi? Moja babcia mówiła zawsze, że nie wolno zostać niewolnikiem pośpiechu.

- Twoja babcia była stuknięta, Carmen.

- Nie do końca, bywało, że miała najjaśniejszy umysł z nas wszystkich.

- Jestem skończony i samotny jak pies.

- Musisz dotknąć stopą dna, Greg, wtedy dopiero masz się od czego odbić i ponownie wypływasz na powierzchnię.

- Pozostało ze mnie to, co widzisz, Carmen, nic poza tym. Wszystko mi wyszło nie tak, poczynając od dzieci. Jestem jak krzywa wieża w Pizie, Carmen, jestem odchyłony od pionu i dlatego wszystko, co robię, też wychodzi takie pokrzywione.

- A kto ci mówił, że życie jest łatwe? Zawsze pełno w nim bólu i wysiłku. Będziesz musiał jakoś się wyprostować, jeżeli w ogóle ci na tym zależy. Popatrz na siebie, Greg, wyglądasz jak łachman. Przestań się wreszcie nad sobą użalać i wstawaj. Zrobiłeś wszystko, żeby żyć w ciągłej ucieczce, nie można bez przerwy tak biec, w którymś momencie trzeba przystanąć i spojrzeć w twarz samemu sobie. Jakkolwiek daleko byś biegł, nie umkniesz z własnej skóry.

Reevesowi przebiegł przez myśl obraz jego ojca - wiecznego tułacza, wędrowca przekraczającego granice, próbującego dojść do linii horyzontu, do krańca tęczy w nadziei, że gdzieś tam otrzyma wreszcie to, czego tutaj mu odmawiano. Ten kraj daje duże, otwarte przestrzenie, żeby mieć dokąd uciec, pochować przeszłość, porzucić wszystko i zaczynać od nowa, ilekroć jest to konieczne, nie obciążając się winą ani tęsknotą; zawsze można odciąć korzenie i zaczynać od początku, dzień jutrzejszy to jak niezapisana stronica. Taka przecież była jego własna historia: wciąż niespokojny, wieczny

wędrowiec, ale ostatecznym efektem takiego życia okazywała się samotność.

- Mówiłem ci już wcześniej, Carmen, starzeję się.

- Wszyscy się starzejemy. Ja godzę się na moje zmarszczki.

Przyjrzał się jej z bliska, po raz pierwszy uważnie, dostrzegł, że nie jest już dziewczynką i ucieszył się, że nie maskuje rysów twarzy, śladów po przeżyciach ani siwych włosów, jakie rozświetlają jej czarną czuprynę. Pod ciężarem piersi pochylili się jej plecy, wierna swemu stylowi nosiła szeroką spódnicę, sandaalki, bluzkę na ramiączkach i bransolety, wszystko, co składało się na obraz Carmen, Tamar. Przyszło mu do głowy, że naga wyglądałaby jak mokry kot i bez względu na wszystko wydała mu się piękna, o wiele piękniejsza niż w dzieciństwie, kiedy była grubiućką, figlarną smarkatą z aparatem na zębach, niż w młodości, kiedy stała się najatrakcyjniejszą dziewczyną w szkole, czy później, gdy osiągnęła ostateczną postać dorosłej kobiety i chodziła z jakimś Japończykiem po barcelońskim Barrio Gótico. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła mu uśmiech; współnicy od najmłodszych lat patrzyli na siebie pełni wzajemnego przywiązania. Gregory objął Carmen i lekko pocałował w usta.

- Kocham cię - wymamrotał, świadomy, że brzmi to potwornie banalnie, ale to najgłębsza prawda. - Nie sądzisz, że byłaby z nas dobrana para?

- Nie.

- Nie masz ochoty kochać się ze mną?

- Obawiam się, że nie. Mam widocznie jakiś problem z własną osobowością - roześmiała się. - Odpocznij i spróbuj zasnąć. Mike Tong odbierze Davida ze szkoły i zajmie się tobą przez kilka dni. Ja wrócę w nocy, mam dla ciebie niespodziankę.

Niespodzianką była Daisy, śliczna i wesoła Murzynka, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, lśniąca jak czekoladka. Pochodziła aż z Dominikany, przebyła na piechotę połowę Meksyku, a potem nielegalnie przekroczyła granicę, ukryta wraz z dwiętnastoma innymi uchodźcami pod podwójnym dnem ciężarówki pełnej melonów, i teraz gotowa była podjąć jakąkolwiek pracę na północy. Daisy miała odmienić życie Gregory'ego i Davida. Zajęła się dzieckiem bez słowa skargi czy grymasu, z tym samym stoickim spokojem, z jakim znosiła nędzne warunki życia w przeszłości. Nie mówiła po angielsku i jej chlebodawca musiał sam służyć za tłumacza. Metoda, jaką stosowała Daisy przy wychowywaniu dzieci, sprawdziła się także w przypadku Davida, choć trzeba przyznać, że sukces był tylko w połowie jej, malec bowiem znajdował się pod opieką kosztownego grona profesorów, lekarzy i psychologów. Daisy nie miała zaufania do tych nowoczesnych pomysłów, ledwie nauczyła się wymawiać po angielsku słowo „nadpobudliwy”. Nie kryła wątpliwości, że przyczyna takiego rozwydrzenia u dziecka jest dużo prostsza: małego opętał demon, co, jak zapewniała, dość często się zdarza, sama napotkała wielu ludzi, którym coś takiego się przytrafiło, ale to łatwiej wyleczyć niż zwykle przeziębienie, każdy dobry chrześcijanin to potrafi. Od pierwszego dnia zaczęła wypędzać demona z ciała Davida za pomocą voodoo, modlitwy do tych świętych, których otaczała szczególnym kultem, przysmaków z karaibskiej kuchni, pieszczot i klapsów, których nie szczędziła małemu, gdy ojciec nie widział, ale opętany malec i tak się na nią nie skarżył, bo perspektywa życia bez Daisy wydawała mu się okropna. Z podziwu godną cierpliwością kobieta zabrała się do oswojania dziecka: jeśli widziała, że siedzi zjeżony jak jeżozwierz, gotów gryźć ściany ze złości, kołysała go w swych potężnych

ramionach, tuliła do matczynej piersi i głaskała po głowie, śpiewając mu w swoim rozgrzanym słońcem języku, aż się uspokoił. Kojąca obecność Daisy, pachnącej ananasem i cukrem, zawsze skorej do śmiechu, z jej pozbawionym spółgłosek hiszpańskim i niekończącymi się opowieściami o świętych i czarownikach, z których David wprawdzie nic nie rozumiał, ale których rytm go usypiał, przyniosła wreszcie dziecku poczucie bezpieczeństwa. Mając taką pomoc w podstawowych sprawach związanych z codziennym życiem, Gregory Reeves mógł rozpocząć powolną i bolesną podróż do wnętrza samego siebie.

Przez cały rok noc w noc Gregory Reeves bał się, że lada chwila umrze. Kiedy jego syn zasypiał, dom ogarniał nareszcie spokój i Reeves zostawał sam, czując, że oto zbliża się koniec. Zamykał drzwi sypialni na klucz, żeby David go nie przyłapał, jak się przebudzi, nie chciał straszyć malca i poddawał się cierpieniu bez oporów. To nie była już dawna nieokreślona udręka, do jakiej zdążył już przywyknąć. Za dnia funkcjonował normalnie, czuł się silny i pełen energii, zarządzał biurem i domem, podejmował decyzje, zajmował się synem i czasami miał wrażenie, że wszystko idzie dobrze, jednak gdy tylko zostawał sam w nocy, ogarniał go irracjonalny strach. Czuł się jak więzień w wyciszonej ze wszystkich stron celi, jak szalenciec w izolatce, w której nie ma sensu krzyczeć ani walić w ściany, bo nie ma tam echa ani pogłosu, nigdy nie usłyszy żadnej odpowiedzi, bo nie ma nic poza przytłaczającą pustką. Nie wiedział, jak określić ten koszmar, na który składa się niepewność, niepokój, poczucie winy, opuszczenia i głębokiego osamotnienia, nazwał go więc

po prostu zmorą. Starał się kpić z niej przez czterdzieści lat, aż w końcu zrozumiał, że nigdy się od niej nie uwolni, chyba że pokona ją w otwartym starciu. Zaciśnąc zęby i nie dać się, jak tamtej nocy w górach - wydawało mu się, że to jedyna strategia możliwa wobec nieprzejednanego wroga, przez którego czuł ucisk w piersiach, walenie młotem w skroniach, silne pieczenie w żołądku, chęć ucieczki aż za linię horyzontu i pragnienie zgubienia się gdzieś na zawsze, gdzie nikt i nic go nie dopadnie, a zwłaszcza własne wspomnienia. Czasami świt zastawał go skulonego niczym osaczone zwierzę, czasami zasypiał pokonany po wielu godzinach głuchej walki i budził się zły potem pod wpływem koszmarów, których nie mógł sobie przypomnieć. Wielokrotnie miał uczucie, że w piersi wybucha mu granat, że traci oddech, ale te objawy już znał, czekał więc po prostu, aż miną same, starając się nie poddawać bezsilności i rozpacz, bo wtedy naprawdę by umarł. Spędził całe życie, oszukując się magicznymi sztuczkami, ale przyszła pora, kiedy musiał znosić cierpienie bez środków przeciwbólowych, mając nadzieję przekroczyć próg i pewnego dnia rano zmartwychwstać. Z tego przekonania czerpał siły na dalszą drogę; widział wyjście w tunelu i wszystko było tylko kwestią wytrzymania forsownego tempa podróży na drugą stronę.

Odrzucił od siebie pokusę poszukania ulgi w alkoholu, czując, że jeśli spróbuje się pocieszać, opóźni tylko końską kurację, jaką sobie zaaplikował. Gdy brakowało mu sił, przywoływał w myślach obraz matki takiej, jaka objawiła mu się po śmierci: wyciągająca ku niemu ramiona, witająca go uśmiechem, przywołująca do siebie, choć w głębi ducha wiedział, że kurczowo czepia się złudzenia, że ta czuła matka to jedynie wytwór jego umysłu. Nie szukał również kobiet,

choć nie żył w zupełnym celibacie i czasami, gdy zjawiała się jakaś dziewczyna wykazująca odrobinę inicjatywy, mógł się przy niej przynajmniej przez kilka godzin odprężyć, nie wpadał już jednak w pułapkę romantycznych fantazji, rozumiał bowiem, że nikt nie zdoła go z niej wyswobodzić, że musi ratować się sam. Dawna kochanka, Rosemary, autorka książek kucharskich, miała zwyczaj zapraszać go na kulinarne nowości i kilkakrotnie zdarzyło się, że zaczęli od drobnych pieaszot, powodowani bardziej wzajemną sympatią niż pożądaniem, a kończyli kochając się, bez namiętności i niespiesznie, dążąc jedynie do sprawienia sobie przyjemności. Mike'owi Tongowi, korzystającemu nadal z niesamowitych liczydeł, mimo imponującego zestawu komputerów biurowych, nie udało się wyjaśnić szefowi, co oznaczają wszystkie te podkreślenia czerwonym tuszem w jego księgach, ale przynajmniej zasiał w Reevesie pierwsze ziarna finansowego rozsądku. Musi pan doprowadzić do porządku stan swoich finansów, inaczej wszyscy *utoniemy w gównie*, błagał Reevesa chiński księgowy z niewzruszonym uśmiechem na twarzy i pełen szacunku, nerwowo wyłamując palce. Ze względu na przywiązanie do szefa i kiepską znajomość angielskiego przejął styl wysławiania się Reevesa. Tong miał rację: powinien uporządkować całe swoje życie, nie tylko stan finansów, bo najwyraźniej wszystko się wali. Łódź, którą steruje, przecieka już w tylu miejscach, że nie starcza palców, by zatkać wszystkie dziury. Wiedział, że zawsze może liczyć na przyjaźń Timothy'ego Duane'a i Carmen Morales, ci dwoje bowiem znosili godzinami jego nieznośne milczenie i nie było tygodnia, żeby do niego nie zadzwonili i nie próbowali się z nim zobaczyć, mimo że jego towarzystwo nie należało ostatnio do najprzyjemniejszych. Niemożliwy jesteś, nie dajesz się nigdzie wyciągnąć, co się z tobą dzieje,

nudny się zrobileś, skarżył się Timothy Duane, ale jego także zaczynał już męczyć bałaganiarski styl życia. Solidnie nadwreżył swą silną irlandzką kondycję fizyczną, jego organizm przestawał tolerować popijawy, jakie przedtem wypełniały weekendy na przemian grzechami i wyrzutami sumienia. Kiedy zorientował się, że Reeves nie chce rozmawiać o swoich problemach, między innymi dlatego, że sam nie wie, co, u diabła, się z nim dzieje, Duane wpadł na zbawienny pomysł, żeby niemal siłą zaprowadzić przyjaciela do doktor Ming O'Brien, wymógłszy przedtem na nim przysięgę, że nie będzie próbował jej uwodzić. Duane poznał ją na jakimś wykładzie o mumiach egipskich, na który poszedł, chcąc się dowiedzieć, czy istnieje związek między balsamowaniem zwłok w starożytnym Egipcie a nowoczesną patologią, a ona przysła zorientować się, jakiego rodzaju szaleńcy mogą interesować się podobną tematyką. Spotkali się w kolejce po kawę w czasie przerwy. Ona spojrzała przelotnie na zmaltretowany posąg z Partenonu, który zapalał fajkę trzy kroki od tabliczki zakazującej palenia, a on zwrócił uwagę na drobną figurkę o czarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu, domyślając się, że musi mieć w żyłach krew chińską. Istotnie, rodzice pochodzili z Tajwanu. Gdy miała czternaście lat, wysłali ją do Ameryki, do rodaków, których ledwie znali, zaopatrzoną w turystyczną wizę i dokładne instrukcje, że ma się uczyć, robić karierę i nigdy nie skarżyć, ponieważ wszystko jest lepsze niż los kobiety w jej rodzinnym kraju. Już po roku dziewczynka dopasowała się tak doskonale do amerykańskiego temperamentu, że wpadła na pomysł napisania listu do jednego z kongresmanów, w którym wyliczała zalety Ameryki, a między wierszami wyrażała prośbę o wizę pobytową. Dzięki jednemu z tych absurdalnych zbiegów okoliczności, polityk ów kolekcjonował porcelanę z dynastii

Ming, więc imię dziewczynki natychmiast zwróciło jego uwagę i w odruchu sympatii polecił załatwić pozytywnie jej sprawę. Nazwisko O'Brien pochodziło od męża, którego Ming poślubiła za młodu i z którym przeżyła dziesięć miesięcy, zanim porzuciła go ostatecznie, przysięgając sobie, że więcej nigdy w życiu nie wyjdzie za mąż. Przy drugim spojrzeniu Duane zachwyił się dyskretną urodą pani doktor i kiedy skończyli rozmawiać o mumiach i przeszli na inne tematy, odkrył, że po raz pierwszy od wielu lat jakaś kobieta go zafascynowała. Nie zostali na wykładzie do końca, poszli na kolację do restauracji przy nabrzeżu, gdzie po pierwszej butelce wina Timothy Duane przyłapał się na tym, że recytuje jeden z monologów Brechta. Pani doktor mało mówiła, za to bacznie obserwowała. Kiedy chciał zaprosić ją do siebie, Ming odmówiła uprzejmie i odmawiała tak przez kolejne miesiące, przez co żywe zainteresowanie utrzymywało się u jej udręczonego wielbiciela przez dłuższy czas. Zamieszkali razem dopiero, gdy Timothy Duane był już całkiem poskromiony.

- Nigdy nie spotkałem kobiety o takim wdzięku, wygląda jak figurka z kości słoniowej, a przy tym jest interesująca, mogę jej godzinami słuchać... Chyba się jej podobam i zupełnie nie wiem, dlaczego wciąż mi odmawia.

- Myślałem, że możesz wyłącznie z kurwami.

- Z nią byłoby inaczej, jestem pewien.

- Chcesz wiedzieć, jak z nim wytrzymuję, Greg? Chińska cierpliwość... Poza tym lubię takie neurotyczne typy, a Tim jest najgorszym przypadkiem w mojej karierze - wyjaśniała wiele lat później Ming O'Brien Reevesowi, mrugając okiem i pogryzając ser w kuchni mieszkania, które dzielili z Duane'em. Ale to już było dużo później.

Po długich wahaniach zdołałem wreszcie zwalczyć w sobie przekonanie, że mężczyźni nie mówią o swoich słabościach ani problemach, wpojone mi przed laty w latynoskiej dzielnicy, gdzie jest to jedna z naczelnych zasad męskości. Znalazłem się w gabinecie, gdzie wszystko sprawiało wrażenie doskonałej harmonii: obrazy, kolory i róża w kryształowym wazonie - samotna i doskonała. Wszystkie te szczegóły miały zapewne zachęcać do relaksu i zwierzeń, ale czułem się niezręcznie, już po chwili miałem mokrą koszulę, zadając sobie wciąż pytanie, po jaką cholereę zgodziłem się pójść za radą Timothy'ego. Zawsze uważałem, że to idiotyzm płacić zawodowcowi za to, że cię przez godzinę wysłucha, zwłaszcza jeżeli rezultaty i tak są niewymierne. Okoliczności zmusiły mnie, żebym zafundował terapię Davidowi, który nie może działać normalnie bez tego rodzaju pomocy, nie przypuszczałem jednak, że przyjdzie kolej także na mnie. Z drugiej strony moje pierwsze wrażenie co do Ming O'Brien było takie, że pochodzi ona z innej konstelacji i nie mamy ze sobą nic wspólnego; dałem się zwieść jej twarzy lalki i wyciągnąłem wnioski, za które do tej pory mi wstyd. Ocenilem, że po prostu nie jest zdolna wyobrazić sobie moich burzliwych kolei losu, cóż może ona wiedzieć o sposobach przeżycia w dzielnicy nędzy, o mojej nieszczęsnej córce Margaret i niezliczonych problemach Davida, działającego wciąż na wysokich obrotach, o moich długach, byłych żonach i wianuszkach przelotnych kochanek, o utarczkach z klientami i adwokatami w firmie, o ludziach, którzy nadużywają zaufania, o bólach w piersiach, bezsensowności i lęku co noc, że za chwilę umrę. Jeszcze mniej mogła wiedzieć o wojnie. Przez lata unikałem grupowych terapii dla byłych wojskowych, drażniło mnie, że miałbym publicznie ujawniać przekłete wspomnienia i własny lęk przed przyszłością, według mnie

niewłaściwe było paplać o tych aspektach przeszłości i nigdy nie robiłem tego w męskim gronie, tym bardziej więc głupio mi było rozmawiać na ten temat z tą niewzruszoną kobietą.

- Proszę mi opowiedzieć któryś z tych powracających snów - poprosiła Ming O'Brien.

Kurwa, tego mi jeszcze brakowało, Freud w spódnicy, pomyślałem, ale po dłuższej chwili skalkulowałem, ile mnie kosztuje każda minuta milczenia i z braku ciekawszego pomysłu, zacząłem jej opowiadać, co wydarzyło się w górach. Przyznaję, że zacząłem ironicznym tonem, siedziałem z nogami na biurku, patrząc na nią wzrokiem nawykłym do oceniania kobiet, tyle ich przecież znałem i wtedy jeszcze każdej stawiałem stopień w skali od 1 do 10; pani doktor Ming nie jest najgorsza, postawiłem jej mniej więcej siedem. Jednak w miarę jak opowiadałem swój koszmar, opanowywała mnie ta sama bezbrzeżna trwoga, którą czułem także przez sen, ujrzałem nieprzyjaciół ubranych na czarno, zbliżali się ku mnie, były ich setki, czujni, groźni, przezroczyści; moi polegli towarzysze jak szkarłatne pociągnięcia pędzlem na szarym tle pejzażu, migające robaczki świętojańskie kul, które nie powstrzymują natarcia wroga, i chyba zaczął mi spływać pot po twarzy, drżały mi ręce od kurczowego zaciskania palców na broni, ciekły łzy z wysiłku, by trafić w cel w tej gęstej mgle i oddychałem ciężko z braku powietrza, które zamieniało się w piasek. Ręce Ming O'Brien, chwytające mnie za ramiona, przywróciły poczucie rzeczywistości i oto znów znajdowałem się w cichym gabinecie, a przede mną siedziała kobieta o wschodnich rysach twarzy, która przewiercała mi duszę na wylot mądrym i baczny spojrzeniem.

- Niech pan się przyjrzy swemu wrogowi, Gregory, niech pan na niego spojrzy i powie mi, kto to jest.

Próbowałem wykonać polecenie, ale w tej mgle niczego nie rozróżniałem, tylko cienie. Ming nalegała i nagle, z wolna, ludzkie kształty zarysowały się wyraźniej, i gdy mogłem rozpoznać tego, który znajdował się najbliżej mnie, zrozumiałem, osłupiały, że patrzę na własne odbicie.

- Boże... jeden z nich podobny jest do mnie!

- A pozostali? Niech pan się przyjrzy pozostałym! Kim oni są?

- Też podobni są do mnie... wszyscy są tacy sami... wszyscy mają moją twarz!

Minęła długa chwila, nim udało mi się odzyskać oddech i trochę dojść do siebie. Pani doktor wbiła we mnie spojrzenie swych czarnych oczu, dwu czarnych czeluści, w które zapadały się moje przerażone źrenice.

- Zobaczył pan twarz swego wroga, może go pan już teraz rozpoznać, wie pan, kto to jest i gdzie się znajduje. Odtąd nie będzie już pana męczył ten koszmar, teraz pana walka będzie świadoma - oświadczyła z taką powagą, że nie miałam najmniejszych wątpliwości, że naprawdę tak będzie.

Kilka minut później wyszedłem z gabinetu, czując się trochę śmiesznie, nie mogłem opanować drżenia kolan i pożegnać się, głos bowiem odmówił mi posłuszeństwa. Wróciłem tam po miesiąc, kiedy potwierdziło się, że ten sen już się nie powtarza, i pogodziłem się z myślą, że istotnie potrzebuję pomocy. Ming czekała na mnie.

- Nie mam żadnych magicznych środków. Zrobię wszystko, żeby pomóc panu usunąć najcięższe przeszkody, ale całą pracę musi pan wykonać sam. To długa droga, może to trwać nawet lata, wielu zaczyna, ale tylko niektórzy docierają do samego końca, bo to bardzo bolesny proces. Nie ma

rozwiązań szybkich ani trwałych, można tylko wprowadzać stopniowe zmiany dzięki wysiłkowi i cierpliwości.

Przez kolejne pięć lat Ming O'Brien spełniała obietnicę, czekała na mnie w każdy wtorek, mądra i niewzruszona wśród swych delikatnych grafik i świeżych kwiatów, gotowa mnie wysłuchać. Ilekroć próbowałem wymknąć się jakąś boczną drogą, zmuszała mnie, bym przystanął i jeszcze raz dokładnie spojrział na mapę. Gdy natykałem się na przeszkodę nie do pokonania, uczyła, jak ją usunąć, kawałek po kawałku, aż w końcu ją przewycięzałem. Tą samą metodą nauczyła mnie zwalczyć kolejno moje dawne demony. Towarzyszyła mi krok za krokiem w podróży do przeszłości, nawet tej najodleglejszej, kiedy przypominałem sobie strach narodzin i pogodzenie się z samotnością, która była mi przeznaczona od chwili, gdy nożyczki Olgi odcięły mnie od matki. Pomogła przewyciężyć osamotnienie dręczące mnie pod różnymi postaciami, począwszy od przedwczesnej śmierci ojca, jedynej podpory w moich pierwszych latach życia, przez eskapizm mojej biednej matki, wcześniej przytłoczonej trudnościami losu i błędzącej po nieprawdopodobnych szlakach, na których nie mogłem jej towarzyszyć, aż po świeże zdrady Samantha, Shanon i innych osób. Wykazała mi moje błędy, ten sam przez całe życie powtarzany scenariusz, i ostrzegła, że powinienem uważać, bo kryzysy lubią nawracać. Przy niej mogłem wreszcie nazwać ból, zrozumieć go i przewyciężyć, wiedząc, że zawsze mnie dopadnie w tej czy w innej postaci, ponieważ stanowi część istnienia i kiedy tylko zakiełkowała we mnie ta świadomość, moja trwoga zmniejszyła się w cudowny sposób. Zniknął conocny lęk przed śmiercią, mogłem zostać sam, nie drżąc ze strachu. We właściwym czasie odkryłem, jak bardzo lubię wracać do

domu, bawić się z synem, gotować dla nas obydwu, a w nocy, kiedy wszystko zasypia, czytać i słuchać muzyki. Po raz pierwszy mogłem siedzieć w ciszy i cieszyć się przywilejami samotności. Ming O'Brien podtrzymywała mnie, pomagając wstawać z klęczek, sporządzić inwentarz własnych słabości i ograniczeń, korzystać z sił i uczyć się, jak się pozbyć ciężaru, który dźwigam na plecach. Nie wszystko stało się z pana winy, powiedziała mi kiedyś, a ja roześmiałem się, bo kiedyś Carmen powiedziała dokładnie to samo, wygląda na to, że mam wyjątkową tendencję do brania na siebie winy za wszystko... To nie ja podsuwałem narkotyki Margaret, ona sama szprycowała się na własne życzenie i nie miało sensu wymyślać jej ani błagać, płacić za nią kaucji, gdy ją aresztowano, oddawać do kliniki psychiatrycznej lub ustanawiać nad nią policyjny nadzór, wszystkiego próbowałem, ale moja córka wybrała swój czyściec i znalazła się poza moimi staraniami i miłością. Powinienem zająć się wychowaniem Davida, powiedziała Ming O'Brien, ale nie wolno mi poświęcać mu całego życia ani znosić spokojnie wszystkich jego kaprysów, żeby wynagrodzić miłość, jakiej nie mogłem dać Margaret, bo wtedy zamienię go w potwora. Przejrzeliśmy razem, linijka po linijce mój idiotyczny kalendarzyk z numerami telefonów i ze wstydem dostrzegłem, że prawie wszystkie kochanki na moim długim szlaku są tego samego rodzaju: interesowne i niezdolne do odwzajemnienia uczuć. Stało się również dla mnie jasne, że nie jestem zdolny związać się w normalny sposób z kobietami w rodzaju Carmen czy Rosemary, bo nie potrafię poddać się ani też przyjąć całkowitego oddania prawdziwej partnerki, nie miałem dotąd pojęcia o istnieniu więzi duchowej w miłości. Olga nauczyła mnie, że seks to instrument, a miłość to muzyka, ale nie opanowałem tej lekcji na czas, umiem ją dopiero teraz, kiedy dobiegam

pięćdziesiątki, myślę jednak, że lepiej późno niż wcale. Odkryłem, że nie czuję żalu do matki, jak się obawiałem, i że mogę wspominać ją z tą czułością, jakiej żadne z nas nie umiało okazać, kiedy jeszcze żyła. Już nie zależy mi na tym, by stworzyć sobie Norę Reeves na miarę swoich potrzeb, tak czy inaczej każdy dopasowuje do siebie różne fakty z przeszłości, a w pamięci pokutuje wiele fantazji. Przyszło mi na myśl, że duchem jest nieustannie przy mnie, tak jak nad Daiem czuwa Thui w postaci anioła z odrzutowym napędem, i ta myśl przyniosła mi pewne poczucie bezpieczeństwa. Przestałem winić Samanthę i Shanon za klęskę małżeństwa, w końcu sam je sobie wybrałem na partnerki, problem zasadniczo tkwi we mnie, gdzieś w najgłębszych pokładach mojej osobowości, tam, gdzie kiełkuje owo ziarno najdawniejszego osamotnienia. Przeanalizowałem moje kolejne związki, włączając w to także stosunki z dziećmi i współpracownikami, i któregoś wtorku doznałem nagłego olśnienia, że przez całe życie otaczałem się osobami słabymi, wiedziony cichą nadzieją, że w zamian za opiekę, jaką je otoczę, otrzymam trochę miłości lub przynajmniej wdzięczności, tylko że wynik okazał się opłakany: im więcej dawałem, tym więcej miałem przykrości. Doceniały mnie tylko silne osobowości jak Carmen, Timothy, Mike, Tina. - Nikt nie dziękuje za to, że zostaje ubezwłasnowolniony - wyjaśniła mi Ming O'Brien. - Nie może pan ciągle opiekować się innymi ludźmi, przychodzi chwila, kiedy to się wyczerpuje, i gdy ich pan zostawia samych, czują się zawiedzeni i zaczynają pana po prostu nienawidzić. Tak rzecz się miała w przypadku obu pańskich żon, paru przyjaciół, większości klientów, niemal wszystkich współpracowników i może się to także przytrafić

w przypadku Davida. Najtrudniej było wprowadzić pierwsze zmiany, bo gdy tylko zaczynały się chwiać fundamenty krzywej konstrukcji, jaką było moje życie, następowało ogólne zachwianie równowagi i wszystko obracało się w gruzy.

Tina Faibich odebrała telefon w piątek po południu, kiedy szef miał zebranie z kilkoma adwokatami reprezentującymi towarzystwo ubezpieczeniowe związane ze sprawą Kinga, i nie należało mu przeszkadzać, ale po tym, co usłyszała od zdeterminowanego nieznajomego, wiedziała, że nie może czekać. Podjęła wtedy decyzję, którą uratowała życie Margaret, przynajmniej na jakiś czas. Proszę przyjechać, dodał jeszcze nieznajomy, podając adres motelu w Richmond, po czym odwiesił słuchawkę, nawet się nie przedstawiwszy. King Benedict przeglądał ilustrowane czasopismo w poczekalni, gdy nagle ujrzał wychodzącego Reevesa, poszedł więc z nim i kiedy czekali na windę, odważył się zapytać go, dokąd tak się spieszy.

- Nie powinien pan jechać tam sam, zwłaszcza takim samochodem jak pański - zauważył i nie czekając na decyzję Reevesa, ruszył za nim. Po czterdziestu pięciu minutach znaleźli się przed szeregiem zaniedbanych domków na zaśmieconej ulicy. W miarę jak zapuszczali się w głąb najnędniejszej dzielnicy miasta, wychodziło na jaw, że Benedict się nie mylił: w tej okolicy nie było białych. Na progach domów, przed barami i na rogach zbierały się grupki nic mającej do roboty młodzieży, które obrzucały ich wyzwiskami i robiły w ich kierunku nieprzyzwoite gesty. Niektóre uliczki pozbawione były jakiegokolwiek nazwy i zdezorientowany Reeves począł kręcić się w kółko, nie mając odwagi opuścić szyby i zapytać o podany mu adres; bał się, że go

oplują albo obrzuca kamieniami. Na szczęście King nie miał tego problemu: kazał mu przystanąć, spokojnie wysiadł, zapytał kilka osób, po czym wrócił, machając ręką grupce małolatów, która otoczyła już samochód, strojąc miny i kopiąc błotniki. Tak znaleźli Margaret. Walili w drzwi pokoju numer 9 w brudnym motelu, aż otworzył im krzepki Murzyn z ogoloną głową i uchem przekłutym 5 agrafkami, ostatnia osoba, jaką Reeves życzyłby sobie ujrzeć u boku córki, nie miał jednak czasu przyjrzeć mu się dokładniej, ponieważ ten ścisnął mu ramię jak w kleszczach i powiodł w kierunku łóżka, w którym leżała dziewczyna.

- Chyba umiera - powiedział.

Był to przypadkowy klient, pierwszy tego dnia, któremu za parę dolarów pozwolono na szybki numer z tą rozczochraną dziewczyną, dobrze znaną w sąsiedztwie i nie niepokojoną pomimo jej białej skóry, bo przeżyła już wszystkie możliwe ataki agresji i znalazła się po drugiej stronie bólu. Kiedy pospieszonym szarpnięciem zdarł z niej sukienkę i podniósł dziewczynę do góry, żeby rzucić na materac, zorientował się nagle, że ma do czynienia z nagą marionetką, biednym szkieletem płonącym od gorączki. Potrząsnął nią, licząc, że wyrwie ją w ten sposób z narkotycznej śpiączki, ale głowa opadła bezwładnie do tyłu, oczy były półprzymknięte z białkami lecącymi w głąb czaszki, a z ust sączyła się nitka śliny. Gównno, zaklął czarny i w pierwszym odruchu chciał zostawić dziewczynę tam, gdzie ją znalazł, i uciec, zanim go ktokolwiek zobaczy i oskarży o morderstwo, kiedy jednak ułożył ją na łóżku, wydała mu się tak wzruszająca, że nie mógł zdusić w-sobie współczucia i w jakimś odruchu dobroci, który przedarł się przez pokłady agresji, jaką nasiątkło jego życie, pochylił się nad nią, mówił do niej, próbował napić, przewracał na wszystkie strony, szukając jakiejś

rany, ale stwierdził tylko, że musi mieć bardzo wysoką gorączkę. Dziewczyna chwilowo zajmowała tę norę; po podłodze wałały się puste butelki, niedopałki, strzykawki, kawałki starej pizzy i inne trudne do wyobrażenia resztki. Na stole, wśród pootwieranych kosmetyków, leżała plastikowa torebka; opróżnił ją, nie wiedząc, czego właściwie szuka, znalazł klucz, papierosy, działkę heroiny, portfel z trzema dolarami i wizytówkę z nazwiskiem jakiegoś adwokata. Nie wpadł na pomysł, by zawiadomić policję, za to przeszło mu przez myśl, że widocznie są powody, że dziewczyna nosi tę wizytówkę przy sobie, pobiegł więc do telefonu na rogu i zadzwonił do Reevesa, nie podejrzewając nawet, że rozmawia z ojcem tej biednej prostytutki konającej na gołym materacu. Po tej rozmowie poszedł do baru na piwo, zdecydowany wymazać z pamięci całe wydarzenie, gdyby tylko zjawiała się policja, kiedy nagle, w jakimś utajonym zakątku duszy poczuł, że dziewczyna go woła; pomyślał, że nikt nie chciałby umierać w samotności, że nic nie traci, zostając przy niej jeszcze przez kilka chwil, a przy okazji weźmie sobie te trzy dolary i działkę, bo jej to przecież i tak już niepotrzebne. Wrócił więc do pokoju numer 9, niosąc drugie piwo i tekturowy kubek z lodem, ale zajęty pojeniem dziewczyny, przykładaniem jej lodu na czoło i moczeniem koszuli, żeby zimna woda choć trochę schłodziła rozgorączkowane ciało, nie zdążył opróżnić portfela przed przybyciem Reevesa do motelu.

- Dobra, to ja idę - powiedział niepewnie, na widok białego faceta w szarym garniturze i jedwabnym krawacie, który chyba dla kawału zjawiał się w tym miejscu, przystanął jednak na progu zaintrygowany.

- Co się tu stało? Gdzie telefon? Kim pan jest? - pytał tymczasem Reeves, zdejmując marynarkę, by okryć nagie ciało córki.

- Nie mam z tym nic wspólnego, nawet jej nie znam. A pan kto?

- Jestem jej ojcem. Dziękuję, że pan zadzwonił - Reevesowi łamał się głos.

- Gówno... Pierdolone gówno... pomogę panu.

Murzyn podniósł Margaret jak noworodka i zaniósł ją do samochodu, gdzie czekał King Benedict, pilnując wozu przed złodziejami. Reeves ruszył z piskiem opon w kierunku najbliższego szpitala, ledwie widząc, co się dzieje na drodze, przez łzy napływające mu do oczu, na tylnym siedzeniu zaś Margaret, skulona na kolanach Benedicta, prawie nie oddychała. King nucił jej jedną z tych stareńkich pieśni czarnych niewolników, którymi usypiała go matka, gdy był dzieckiem. Wpadli na ostry dyżur z Margaret w ramionach. Dwie godziny później pozwolono Reevesowi spojrzeć na nią przez krótką chwilę; leżała rozkrzyżowana na łóżku na oddziale intensywnej opieki, podłączona do całej sieci kroplówek i respiratora. Dyżurny lekarz postawił wstępną diagnozę: zakażenie ogólne organizmu, które zaatakowało serce. Prognozy są niedobre, mówił, może uratowałyby ją duże dawki antybiotyków i radykalna zmiana stylu życia. Dalsze badania wykazały, że Margaret ma organizm jak staruszka: jej organy wewnętrzne zniszczyły narkotyki, żyły były w ruinie od ciągłego wkłuwania się, zęby ledwie trzymały się dziąseł, skóra łuszczyła się płatami, a włosy wypadały całymi pasmami. Miała krwotoki wewnętrzne z powodu infekcji po niezliczonych skrobaniach i chorobach wenerycznych. Mimo tych wszystkich plag leżąca z zamkniętymi oczami w mroku szpitalnej sali dziewczyna wyglądała jak śpiący anioł, bez widocznych śladów hańbiącego życia, pełna niezmaconej niewinności. Złudzenie nie trwało długo, jej własny ojciec szybko miał zorientować się, jak potężna była przepaść, w którą wpadła.

Próbowano ją odtruwać, ale życie uchodziło z niej w spazmach udręki. Podawano jej metadon i nikotynę w gumie do żucia, ale i tak trzeba było ją przywiązywać, żeby nie wypijała spirytusu do dezynfekcji i nie kradła barbituranów. Gregory Reeves nie zdołał nawiązać kontaktu z Samanthą, która wędrowała po Indiach za jakimś guru i zrozpaczony udał się po radę do Ming O'Brien, choć naprawdę stracił już całą nadzieję, że kiedykolwiek zdoła wyrwać Margaret ze szponów przekłętego losu. Gdy tylko minął śmiertelny kryzys pierwszych dni, doktor Ming O'Brien zaczęła składać pacjentce stałe wizyty i zamykała się z nią sam na sam na pokoju na długie godziny. Wieczorem przyjeżdżał do szpitala Reeves i zastawał córkę szlochającą z żalu nad samą sobą; wyglądała jak obłąkana i nie mogła opanować drżenia rąk. Siadał przy niej, chcąc ją przytulić, ale nie ważył się tknąć i milczał, słuchając długiej listy wyrzutów i odrażających wyznań. Dowiedział się w ten sposób o ponurych męczarniach, przez które musiała przebrnąć córka. Próbował dociec, jakim cudem znalazła się na tej Golgocie, jakież to niezgłębiony gniew i jak mroczna samotność zasnuły jej życie do tego stopnia, ale ona sama nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć. Czasami mówiła mu, szlochając, Kocham cię, tatusiu, a w chwilę później wyładowywała na nim całą wściekłość, wyrzucając z siebie organiczną nienawiść i obwiniając go o wszystkie swoje nieszczęścia.

- Spójrz na mnie, cholerny skurwysynu, spójrz tylko na mnie - i jednym szarpnięciem ściągała z siebie prześcieradła i rozwierała nogi, odsłaniając przed nim całą nagość, płacząc i śmiejąc się w szalonym wybuchu wściekłości.

- Chcesz wiedzieć, jak zarabiam na życie, gdy ty włóczysz się po Europie i kupujesz kochankom biżuterię, a matka medytuje w lotosie? Chcesz wiedzieć, co ze mną wyprawiają

pijaki, żebraki, pedały i zasyfieni? Nie, po co mam ci gadać, przecież masz doświadczenie z kurwami, to za twoją forszę robimy ci to, czego żadna kobieta nie robi za darmo...

Ming O'Brien próbowała uświadomić Margaret, co się z nią stanie, by dotarł do niej oczywisty fakt, że nie zdoła uratować się własnymi siłami, potrzebuje długotrwałej kuracji, ale wszystko to przypominało gabinet krzywych zwierciadeł. Dziewczyna udawała, że jej słucha i zwierzała się, pełna wstrętu dla swego hańbiącego życia, ale gdy tylko mogła zrobić pierwsze kroki, prześlizgiwała się do telefonu w korytarzu poprosić znajomych, by jej podrzucili heroinę. Czasami, przerażona sama sobą, przeżywała okres całkowitego załamania i zaczynała opowiadać ze szczegółami etapy swojego długiego upadku, żeby pogрузić się na koniec w fali wyrzutów sumienia. Ojciec zaproponował, że pokryje koszty pełnego programu rehabilitacji w prywatnej klinice, co w końcu Margaret przyjęła, wyraźnie dając za wygraną. Ming spędziła cały ranek na załatwianiu formalności, a Gregory Reeves poszedł po bilety, żeby następnego dnia przewieźć córkę do Kalifornii. Tej samej nocy Margaret ukradła rzeczy innej pacjentki i zniknęła bez śladu.

- Zakażenie nie zostało wyleczone, cofnęły się tylko najbardziej zagrażające życiu objawy. Jeżeli przerwie się kurację antybiotykową, córka niechybnie umrze - zawyrokował obojętnym tonem lekarz prowadzący. Przyzwyczaił się do najprzeróżniejszych ostrych przypadków, a narkomani nie budzili w nim przyjaznych uczuć.

- Niech pan jej nie szuka, Gregory. Musi pan wreszcie zrozumieć, że nic pan już dla córki nie robi. Musi pan pozwolić jej odejść, sama jest kowalem własnego losu - radziła Ming O'Brien zrezygnowanemu ojcu.

Tymczasem zbliżał się termin rozprawy w sprawie Kinga Benedicta. Towarzystwo ubezpieczeniowe twierdziło uparcie, że nie wypłaci odszkodowania za wypadek, utrzymując, że domniemana amnezja jest udawana. Kinga poddano ponizającym badaniom lekarskim, w tym również psychiatrycznym, starając się za wszelką cenę dowieść, że wypadek nie spowodował żadnego uszczerbku na zdrowiu. Całymi tygodniami przepytywano go ze wszystkich nic nieznaczących wydarzeń, które działy się między latami jego prawdziwego dzieciństwa a rokiem obecnym; musiał rozpoznawać dawne drużyny baseballowe, pytano go, co się tańczyło w 1941 roku i w jakim dniu wybuchła wojna w Europie. Zatrudniono nawet detektywów, którzy mieli go .nieustannie szpiegować, liczone bowiem, że a nuż da się go przyłapać na oszustwie. Pełen najlepszych chęci Benedict starał się udzielać odpowiedzi na niekończące się kwestionariusze, bo nie chciał uchodzić za idiotę, ale poza. kilkoma wydarzeniami, jakie utkwily mu w pamięci po codziennych lekturach w bibliotece, wszystko inne okryte było mgłą. Nic nie wiemy o przyszłości, może w ogóle nie istnieje, przed oczami stale mamy przeszłość, powtarzała tyle razy jego matka, lecz w jego przypadku to się nie sprawdzało, wszystko spowijała gęsta mgła, w której gubiło się 40 lat jego obecności na tym świecie. Gregory'ego Reevesa, dręczonego z kolei zbyt dobrą pamięcią, tragedia jego klienta fascynowała. Sam także przepytywał go wielokrotnie, nie po to, żeby przyłapać na kłamstwie, ale żeby dowiedzieć się, co czuje człowiek, kiedy zyskuje nagle możliwość wymazania całego swojego dotychczasowego życia i rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Znał Kinga już cztery lata i przez ten czas wysłuchiwał jego chłopięcych fantazji, marzeń i ambitnych planów, a zarazem dostrzegał, że posuwa się on krok po kroku po tej samej

ścieżce, którą raz już przebył. Niczym lunatyk, niewolnik powracającego wciąż snu, King nie dokonał wielkich zmian, jak gdyby szedł po własnych krokach; chodził do wieczorówki, żeby skończyć szkołę średnią, otrzymywał tak samo złe stopnie jak w chłopięcych czasach, a w końcu porzucił ją w połowie roku. Parę lat później, kiedy wedle własnych kalkulacji powinien skończyć siedemnaście lat, odwiedził kilka biur dla poborowych, zgłaszając się na ochotnika do wojska, wszędzie jednak mu odmawiano. Obejrzał wiele filmów wojennych i - zafascynowany wojskowym szykiem - kupił sobie w końcu żołnierski mundur, który zakładał na pocieszenie.

- Za kilka lat ożeni się z dziewczyną podobną do pierwszej żony i będzie miał dwóch synów niczym moje nieudane wnuki - westchnęła gorzko Bel Benedict.

- Trudno mi uwierzyć, że ktoś wpada dwa razy do tej samej rzeki - odparł na to Gregory, który sam rozpoczął cichą podróż we własną przeszłość i często zadawał sobie pytanie, co by było, gdyby zrobił to, a nie tamto.

- Nie można żyć dwa razy ani mieć dwóch różnych losów. Życie nie podsuwa brudnopisu - zauważyła Bel.

- Ależ możemy, pani Benedict, sam tego próbuję. Można zmienić swoje przeznaczenie i poprawić brudnopis.

- Tylko że nie da się naprawić tego, co już się przeżyło. Można ulepszyć to, co jeszcze mamy przed sobą, ale przeszłość jest czymś nieodwracalnym.

- To znaczy, że nie da się naprawić popełnionych błędów? Nie ma zatem nadziei na przykład dla mojej córki, Margaret, która nie skończyła jeszcze dwudziestu lat?

- Nadzieja istnieje, ale pana córka nigdy już nie odzyska tych straconych dwudziestu lat.

- To po prostu potworne... To znaczy, że każdy krok stanowi część naszych dziejów, że jesteśmy nimi obciążeni na

zawsze, ze wszystkimi naszymi pragnieniami, myślami i czynami. Innymi słowy, stanowimy część własnej przeszłości. Mój ojciec wygłaszał kazania o skutkach każdego czynu i odpowiedzialności, jaka nam przypada w duchowym początku wszechświata, mówił, że wszystko, co robimy, prędzej czy później powróci do nas, płacimy za zło i jesteśmy nagradzani za dobro.

- Ten człowiek wiele wiedział.

- Był szalony i umarł obłąkany. Jego teorie stanowiły gąszcz zmyśleń, ja nigdy tego nie rozumiałem.

- Ale miał też oczywiste zalety, jak widać.

- Nie służył za najlepszy przykład dla swych kazań. Moja siostra twierdzi wręcz, że był nałogowym alkoholikiem o perwersyjnych skłonnościach, że miał obsesję na punkcie całkowitej kontroli nad każdym szczegółem, że nam zrujnował życie, a już jej szczególnie. Ale to był człowiek o niepopolitej osobowości, czułem się przy nim dobrze i mam o nim jak najlepsze wspomnienia.

- Wygląda na to, że nauczył pana kroczyć prostą drogą.

- Starał się, ale umarł zbyt wcześnie. Moja droga jest bardzo pokrętna.

Kiedy opowiadał to wszystko doktor Ming O'Brien, napomknął jej również o swoim kliencie, ona zaś, która zwykle uważnie słuchała i rzadko otwierała usta, by wyrazić swoją opinię, tym razem przerwała, pytając o szczegóły. Czy King Benedict znalazł się kiedyś pod jakąś bardzo silną presją? Jak przebiegało jego dzieciństwo? Czy jest osobą spokojną i zrównoważoną, czy raczej chwiejną? W końcu wyjaśniła mu, że tego rodzaju amnezja należy do rzadkości, w literaturze przedmiotu opisano zaledwie kilka przypadków. Zdjęła z półki książkę i podała mu.

- Niech pan to przejrzy. Niewykluczone, że pana klient przeżył w młodości jakiś silny wstrząs emocjonalny albo

uderzył się równie mocno jak teraz, kiedy spadł z rusztowania. Gdy powtórzyło się identyczne doświadczenie, przeżyty w przeszłości szok nasunął się z całą mocą i nastąpiła blokada pamięci.

- Najwyraźniej jednak nic takiego tu nie ma.

- Musi być jakieś bolesne przeżycie albo poczucie silnego zagrożenia, o którym nie chce pamiętać. Niech pan zapyta o to jego matkę.

Gregory Reeves spędził bezsenłą noc na lekturze, a przy śniadaniu miał już jasność co do sugestii Ming O'Brien. Przypomniał sobie, jak King Benedict zemdlął u niego w biurze, kiedy poproszono go o opisanie fotografii z gazety i dziwne zachowanie Bel. Czekala na zewnątrz, kiedy King odpowiadał na pytania, a słysząc hałas, pobiegła do gabinetu, zobaczyła, że leży na podłodze i pochyliła się, by go podnieść, ale w tej sekundzie jej wzrok padł na otwarte czasopismo na stole i w pierwszym odruchu zakryła synowi usta ręką. Nie pozwoliła na dalszy ciąg sesji, wsadziła syna do taksówki i od tamtego dnia upierała się, by asystować przy każdej rozmowie. Reeves przypisywał to nadmiernemu przejęciu się zdrowiem syna, jednak teraz naszyły go wątpliwości. Podniecony tym, że odkrył szparę, przez którą widać światło, pojechał bezpośrednio do rodziców Timothy'ego Duane'a, żeby porozmawiać z Bel. Czyściła właśnie w kuchni srebrne sztuce, gdy majordomus oznajmił, że ma gościa, ale nim zdążyła wyjść i przywitać się, adwokat wpadł do kuchni. Musimy porozmawiać, powiedział, chwytając ją za ramiona i nie dając czasu ani na zdjęcie fartucha, ani na umycie rąk. Kiedy znaleźli się w biurze, wyjaśnił, że wkrótce cała przyszłość jej syna postawiona zostanie na jedną kartę, wygra ta strona, która przytoczy lepsze argumenty, żeby przekonać sąd, że King nie symuluje. Do wczoraj obawiał się przegranej,

ale jeżeli dzisiaj Bel mu pomoże, uda się być może zmienić bieg sprawy. Przeczytał jej teorię Ming O'Brien i poprosił Bel, by opowiedziała, co zdarzyło się Kingowi Benedictowi w młodości.

- Jak mam sobie przypomnieć coś, co wydarzyło się tyle lat temu?

- Jestem całkowicie przekonany, że nie musi pani zbyt wiele wysilać pamięci, żeby przypomnieć sobie, co się stało, pani Benedict, bo ani na chwilę pani o tym nie zapomniała - odparł Reeves, otwierając tom akt Benedicta i kładąc przed nią czasopismo, które wywołało taki wstrząs u syna. - Co oznacza to ranczo?

- Nic.

- King i pani byliście kiedyś w podobnym miejscu?

- Byliśmy w wielu miejscach, ciągle wędrowaliśmy w poszukiwaniu pracy. Wiele razy pracowaliśmy przy zbiorach bawełny w takich miejscach jak to.

- King miał wtedy czternaście lat?

- Może, nie pamiętam.

- Proszę, niechże pani nie utrudnia mi sprawy, nie mamy wiele czasu. Chcę pani pomóc, gramy w tej samej drużynie, nie jestem pani przeciwnikiem.

Bel Benedict siedziała w milczeniu i patrzyła na fotografie z wyrazem urażonej godności, Gregory Reeves natomiast nie spuszczał z niej wzroku, myśląc, że za młodu musiała być piękną i gdyby przyszło jej urodzić się w innej epoce lub innych okolicznościach, być może wyszłaby za mąż za jakiegoś władcę, który paradowałby pod ramię z tą czarną pantofką, jakiej nikt nie ważyłby się sprzeciwić.

- Dobrze, panie Reeves, jesteśmy w ślepych zaułku - powiedziała w końcu kobieta z westchnieniem. - Jeżeli będą nadal milczała, jak przez czterdzieści lat, to Baby stanie się

nieszczęśliwym, nikomu niepotrzebnym staruszkciem. Jeśli panu powiem, pójdę do więzienia i mój syn zostanie sam na świecie.

- Jest jeszcze inne wyjście. Jeżeli powie mi to pani jako swemu adwokatowi, to wszystko pozostanie zupełną tajemnicą i nie wyjdzie poza te cztery ściany, zapewniam panią.

- To znaczy, że nie doniesie pan na mnie?

- Nie.

- W takim razie będzie pan moim adwokatem, bo tak czy inaczej jakiś będzie mi potrzebny - postanowiła Bel po dłuższej przerwie. - To było, jak się mówi, w obronie własnej, ale czy ktoś by mi uwierzył? Jako biedna Murzynka znalazłam się przypadkiem w najbardziej rasistowskim rejonie w całym Teksasie, wędrowałam z synem od rancza do rancza, zarabiając na życie, jak się dało, miałam tylko jedną walizkę z rzeczami i dwie ręce do pracy. Ciągle bolała mnie wtedy głowa. Wpadałam w tarapaty nie z własnej winy, ściągałam na siebie nieszczęścia, jak lep muchy. Nigdzie nie zagrzałam dłużej miejsca, zawsze coś się wydarzyło i musieliśmy się wynosić. Zdziwiłam się, że właściciel rancza dał mi pracę, pozostali robotnicy najemni to byli sami mężczyźni, prawie wyłącznie Latynosi, przypadkowa zbieranina, po prostu nastala pora zbioru bawełny i liczyła się każda para rąk. Właściciel nie mógł nas ulokować we wspólnych sypialniach, umieścił więc mnie z Babym w brudnej chałupie na granicy posiadłości, dość daleko, codziennie rano zabierał mnie stamtąd ciężarówką, a po pracy odwoził. To była dobra robota, ale musiałam znieść wszystko, niech mi pan wierzy. Nie jestem osobą wymagającą, wiem, czego chcę, i zawsze najważniejszą rzeczą było dla mnie nakarmić syna, cóż więc dla mnie znaczyło przespąć się z tym czy tamtym? Dziesięć,

dwadzieścia minut i po wszystkim, a zapomina się jeszcze szybciej. Ale on był z tych, co to nie mogą jak wszyscy, musiał się najpierw wyładować, bo jak nie widział, że cieknie ze mnie krew, to nie mógł. Kto by przypuszczał? Wydawał się cichym, dobrym człowiekiem, robotnicy go szanowali, płacił jak należy, w niedzielę chodził do kościoła, po prostu - wzór gospodarza. Kilka razy wytrzymałam to, że mnie chłoszcze i nazywa czarną świnia, i wiele innych rzeczy, nie on pierwszy, przywykłam już do tego, której kobiety nigdy nie pobiło? Tamtej niedzieli Baby poszedł grać w baseball, a ten człowiek przyjechał do mnie swoją ciężarówką, byłam sama i od razu poznałam, o co mu chodzi, cuchnął alkoholem. Nie pamiętam dobrze, jak to się wszystko potoczyło, panie Reeves, zdjął pas i pobił mnie bardzo mocno, ja chyba krzyczałam i na to wszedł Baby, wpadł między nas, a ten typ odepchnął go z całej siły. Baby uderzył głową o kant stołu. Zobaczyłam, że mój syn leży nieprzytomny na podłodze i niewiele myśląc chwyciłam kij baseballowy, uderzyłam tego typu w głowę z całej siły. To było tylko jedno uderzenie, za to włożyłam w nie chyba całe serce, bo go zabiłam. Kiedy Baby otworzył oczy, przemyślałam mu ranę, miał bardzo głęboko rozciętą głowę, ale nie mogłam zawieźć go do szpitala, bo tam zasy-paliby nas pytaniami, powstrzymałam tylko krwotok zimną wodą i gałgankami. Wrzuciłam ciało gospodarza do ciężarów-ki, przykryłam workami, a potem ukryłam z dala od domu. Poczektałam do nocy i odprowadziłam ciężarówkę dwadzieścia mil dalej, poza posiadłość i tam zepchnęłam ją do wąwozu. Nikt się nie dowiedział. Ponad pięć godzin zajął mi powrót do chałupy. Pamiętam, że resztę nocy przespałam z czystym sumieniem, a następnego dnia stałam jak zwykle z drzwiami, jak gdyby nigdy nic, czekając, żeby ktoś mnie

zabrał do roboty. Z synem nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Policja znalazła ciało i uznała, że gospodarz widocznie za dużo wypił i sam spowodował wypadek. Przesłuchali robotników, ale jeśli nawet któryś się czegoś domyślał, nie zdradził mnie i sprawa nie miała dalszego ciągu. Wkrótce potem wyjechaliśmy z Babym i nigdy potem nasza stopa nie postąpiła w Teksasie. Niech pan sobie teraz wyobrazi, panie Reeves, co się może w życiu przydarzyć. Po czterdziestu latach cały ten koszmar znowu chce mi zmarnować życie.

- Czy to obarcza pani sumienie? - zapytał Reeves, myśląc o tych, których śmierć ciążyła jemu samemu.

- Dzięki Bogu, nigdy. Ten człowiek sam szukał takiego końca.

- Moja przyjaciółka Carmen, która jest niewyczerpanym źródłem zdrowego rozsądku, powiedziała kiedyś, że nie ma potrzeby wyznawania czegoś, o co nikt nie pyta...

- Ale ta sprawa wyjdzie w sądzie, panie Reeves.

- Czy King ma jeszcze na głowie bliznę po ranie?

- Tak, wygląda bardzo brzydko, bo nie założono szwów.

- Jeśli udowodnimy, że w wieku czternastu lat rozbił sobie głowę, to przy odrobinie szczęścia nie będziemy musieli opowiadać całej historii. Jeżeli znajdę eksperta, który powiąże pierwsze uderzenie z wypadkiem na budowie, być może załatwimy całą sprawę bez chodzenia do sądu, pani Benedict.

Na rozprawie pojednawczej Ming O'Brien dowiodła, że King Benedict stanowi przypadek psychogenicznej amnezji i wobec braku postępów w leczeniu prawdopodobnie nigdy nie odzyska zdrowia. Wyjaśniła, że wszystkie przeżycia Kinga w przeszłości dokładnie pasują do najczęstszych przyczyn, typowych w takich przypadkach: dzieciństwo i młodość Kinga przebiegały burzliwie, w okresie dojrzewania doznał ciężkiego urazu głowy, przed samym wypadkiem żył pod silną presją i ma skłonności depresyjne.

Spadając z rusztowania, doznał urazu podobnego temu z młodości, a umysł jego cofnął się, pogrążył w zapomnieniu, jakby w obronie przed osaczającymi go koszmarami. Adwokaci obrony zrobili wszystko, by podważyć diagnozę, ale rozbili się o pewność siebie pani doktor, która przygotowała blisko pół metra tomów odnoszących się do podobnych przypadków. Z drugiej strony detektywi zatrudnieni do obserwacji Kinga posiadali jedynie fotografie, na których czyta on książki przygodowe, bawi się kolejką albo w wojnę, przebrany w żołnierski mundur. Sędzina, matrona równie silnego charakteru, co Ming O'Brien, poprosiła pozwanych do osobnej sali i uświadomiła im, jakie powinni zapłacić odszkodowanie, jeśli nie chcą większego rozgłosu; jeżeli sprawa trafi do sądu, stracą o wiele więcej. Wedle mego długiego doświadczenia, powiedziała, członkowie jakiegokolwiek ławy przysięgłych staną po stronie tego biednego człowieka i jego oddanej matki, ja bym zrobiła tak samo, gdybym była jednym z nich. Po dwóch dniach sporów adwokaci strony przeciwnej przyjęli warunki. Gregory Reeves uczcił wygraną, zapraszając Bel, Kinga i Davida do Disneylandu, gdzie pozwolili, by pochłonął ich fantastyczny świat mówiących zwierzaków, świateł zmieniających noc w dzień i maszyn łamiących prawa fizyki i tajemnice czasu. Po jakimś czasie pomógł Bel w zakupieniu skromnego domku na wsi, a resztę otrzymanych pieniędzy ulokował na koncie, tak by i ona, i King mieli zapewnioną rentę do końca życia.

Kiedy Dai zaniedbał swój komputer, zaczął używać płynu do golenia i przeglądać się w lustrze z wyrazem niezadowolenia, Carmen Morales postanowiła zabrać go na obiad na mieście, żeby starym zwyczajem spokojnie porozmawiać,

jak to robiła z narzeczonymi, kiedy chciała omówić istotne sprawy. Życie zaczynało się im obojgu gmatwać, a z biegiem lat częściowo gdzieś się zapodziała ta czuła intymność, jaka ich na początku łączyła, choć nadal pozostawali najlepszymi przyjaciółmi. Dai był nastolatkiem o latynoskim wyglądem, podobnym do ojca, ale wyższym i poważniejszym. Nie odziedziczył nic z zamięłowania do przygód Juana José ani wybuchowego temperamentu Carmen, miał usposobienie introwertyka i zachowywał się trochę zbyt dostojnie i za poważnie na swój wiek. Mając cztery czy pięć lat, wykazał niezwykle uzdolnienia matematyczne i od tej chwili wszyscy traktowali go jak cudowne dziecko, z wyjątkiem przybranej matki. Nauczycielki pokazywały go w różnych konkursach i programach telewizyjnych, w których rozwiązywał w pamięci zawile równania, zdobywając liczne nagrody, któregoś razu nawet motor, choć był jeszcze za mały, żeby na nim jeździć. Jego wyniosłość budziła obawę, że w każdej chwili może być poczytana za arogancję, ale Carmen udało się do tego nie dopuścić, bo w czasie wakacji zatrudniła chłopaka w warsztacie, chcąc, żeby od małego poznał trudy zarabiania na własne utrzymanie i miał kontakt z wietnamskimi rzemieślnikami. Podsycała także w nim ciekawość świata i otwierała jego umysł na inne kultury. Piętnastoletni Dai odbył już podróże na Daleki Wschód, do Afryki i wielu krajów Ameryki Południowej, mówił nieco po hiszpańsku i po wietnamsku, miał w małym palcu księgowość przedsiębiorstwa matki, swoje własne konto w banku i propozycje stypendiów na kilku uniwersytetach w niedalekiej przyszłości. Podczas gdy w całym kraju toczyła się dyskusja o kryzysie wartości wśród młodzieży i o katastrofie systemu edukacyjnego, który wykształcił pokolenie słabeuszy i ignorantów,

Dai uczył się sumiennie, pracował, w wolnych chwilach szperał w bibliotece i siedział nad gramami komputerowymi. W swym pokoju stworzył sobie ołtarzyk, gdzie umieścił fotografię zmontowaną swego czasu przez Leo Galupiego, na której byli oboje jego rodzice, drewniany krzyżyk, małego fajansowego Buddę i wycinek z gazety ze zdjęciem Ziemi z pokładu statku kosmicznego. Nie należał do dzieci towarzyskich, wolał bawić się sam i jak dotąd Carmen była dla niego jedyną i najlepszą towarzyszką. Ten miły, zadowolony z życia chłopiec, dobrze czujący się w skórze samotnego wilka, pod koniec wiosny nagle się zmienił. Zaczął o siebie dbać, ubierał się starannie, mówił i poruszał jak liderzy grup rockowych, wychodził o niestosownych porach i robił wszystko, by zostać przyjętym do grona kolegów, których towarzystwa niedawno wcale jeszcze nie szukał. Porzucił swoje zamiłowanie do matematyki, bo zapragnął nagle stać się jednym z wielu, a ono najbardziej różniło go od kolegów. Kiedy matka zobaczyła, że Dai usilnie stara się przygładzić niesforną czuprynę lakierem do włosów, zamaskować pryszcze pastą do zębów i że krąży w pobliżu telefonu, zrozumiała, że czas jej sielankowej egzystencji z synem dobiega końca i poczuła ukłucie zazdrości, o czym nie odważyła się wspomnieć nawet Gregory'emu Reevesowi w poniedziałkowej rozmowie. W owym czasie sieć sklepów *Tamar* istniała już na całym świecie, firma zatrudniała sztab pracowników, a sama Carmen poświęcała się wyłącznie projektowaniu nowych wzorów i promocji przedsiębiorstwa. Nabyła drewniany dom, położony w gęstwinie wysokich drzew na wzgórzach otaczających Berkeley i przeniosła się tam wraz z synem i matką. Pedro Morales zmarł parę lat wcześniej. Kiedy czuł już, że zbliża się koniec, odmówił pójścia do szpitala i przedłużania mu życia w sztuczny sposób. Obawiał się przede wszystkim, że rachunek

za szpital zrujnuje rodzinę i żona pozostanie bez środków do życia. Ciężko pracował, żeby jego dzieci wyszły na ludzi, i nie chciał ich skrzywdzić w ostatniej godzinie. Dumny był z nich, szczególnie z Carmen i ze swego wnuka Daia, w którym widział reinkarnację Juana José. Odszedł na tamten świat, załatwiwszy wszystkie sprawy z poczuciem, że godnie i statecznie wypełnił swoje przeznaczenie. Inmaculada przygotowała męża do ostatniej podróży, a potem pocieszała przygnębionych synów, synowe i wnuki. Rodzina nie rozpadła się po śmierci patriarchy, ponieważ więzy między dziećmi i gotowość do wzajemnej pomocy były dostatecznie silne. Po pogrzebie Inmaculada postanowiła przenieść się na jakiś czas do Carmen i w przeciągu paru tygodni porozdziałała swoje rzeczy i sprzedała dom. Przez wiele lat wkładała całą duszę w wyposażenie domu w meble i ozdoby, świadectwo dobrobytu rodziny, ale po stracie męża rzeczy materialne przestały mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Przez pierwszą część życia gromadzimy rzeczy, a przez drugą staramy się ich pozbyć, mówiła. Zachowała sobie tylko łóżko, które przez pół wieku dzieliła z Pedrem Moralem, ponieważ zamierzała w nim umrzeć. Kobieta niewiele się zmieniła, zdawało się, że zastygła w nieokreślonym wieku, a moc jej indiańskiej krwi chroniła ją przed starzeniem się ciała i pamięci: nigdy przedtem nie odznaczała się taką intuicją. Z czasem stała się pracowitą, niezmordowaną matroną, odporną na zmęczenie, słabości i choroby. Zajęła się prowadzeniem domu Carmen z wojowniczą energią; wychowała sześcioro dzieci w trudnych warunkach dzielnicy nędzy, więc ten dom pełen wygód nie stanowił dla niej żadnego wyzwania. Carmen kosztowało wiele trudu zakazać matce schylać się przy praniu czy przy ubijaniu jajek, Inmaculada była

zwolenniczką wiecznie zajętych rąk, z lenistwa biorą się wszystkie choroby, mawiała, usprawiedliwiając się tym argumentem, gdy ktoś przyłapał ją na drabinie przy myciu okien czy na czworakach - przy zakładaniu pułapek na szopy, których całe stado zagnieździło się w piwnicy. Nadal gotowała meksykańskie potrawy, które jadali tylko ona i Dai, jako że Carmen przestrzegła diety, budziła się rano, żeby podlać ogród z warzywami i aromatycznymi ziołami, sprzątała, gotowała i zmywała, szła spać ostatnia, kiedy już obdzwońniła wszystkie dzieci przebywające w różnych miastach kraju, należała bowiem do tych matek, które nie rezygnują ze śledzenia poczynań swych bliskich. Za mocno był w niej zakorzeniony zwyczaj służenia wszystkim, żeby się go na starość oduczyla, ale pierwsza śmiała się ze swego upartego przywiązania do pracy. Wiele lat temu po cichu chwaliła Carmen, gdy ta wróciła ze swych podróży jako „wyzwolona Jankeska”, jak syczał Pedro Morales. To, że córka odniosła większy sukces niż synowie, napawało ją skrytą radością, stanowiło bowiem rekompensatę za jej własne życie, w którym musiała wiecznie chylić głowę przed mężczyznami. Carmen wymogła na matce, żeby zaczęła używać nowoczesnego sprzętu kuchennego, przynosiła gotowe tortille w plastikowych torbach, a pieniądze wpłacała do banku na książeczkę oszczędnościową, którą Inmaculada traktowała z takim samym szacunkiem jak książeczkę do nabożeństwa. Inmaculada pierwsza odgadła, że Dai przeżywa okres nieodwzajemnionej miłości i powiadomiła o tym córkę.

- Opowiedz mi wszystko - rozkazała Carmen chłopcu w restauracji.

Dai próbował się wymigać, ale zdradził go smutek na twarzy i ciemny rumieniec na policzkach, który nadawał jego smagłej skórze tonację bakłażana. Matka nie dała mu

szansy ucieczki i przy deserze nie miał już innego wyjścia, niż wyznać, zamawiając czekoladowy tort i kręcąc się na krześle, że nie może spać, uczyć się ani w ogóle żyć, że godzinami siedzi przy telefonie, czekając na ten jeden, którego nigdy nie ma, i co mam robić, mam, na pewno w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, bo nie jestem biały, nie gram w piłkę nożną, po co się urodziłem, mam, po co jechałaś po mnie do Wietnamu i wychowałaś mnie na innego niż wszyscy, nie znam grup rockowych i jestem tym jedynym kretynem, który nie mówi „żółtki”, tylko „Azjaci” i nie „czarnuchy” tylko afro-amerykanie, ja jeden przejmuję się dziurą ozonową, żebrakami na ulicy, wojną w Nikaragui, jeden jedyny politycznie *correct* w całej przeklętej budzie, wszystkich innych gównu to obchodzi, mam, życie to jedno wielkie gówno, a jak Karen dzisiaj nie zadzwoni, to przysięgam ci, wsiądę na motor i rzucę się do wąwozu, bo nie mogę bez niej żyć. Carmen Morales przerwała ten monolog, uderzając chłopca w twarz, co zabrzmiało niczym trzaśnięcie drzwiami w ezoterycznej ciszy wegetariańskiej restauracji. Nigdy dotąd go nie uderzyła. Dai podniósł rękę do policzka tak zaskoczony, że dalsza litania żalów zamarła mu na ustach.

- Nie waż mi się więcej mówić, że się zabijesz!

- Ale tak się mówi, mam!

- Nie chcę tego słyszeć nawet w żartach. Masz przeżyć całe życie, nawet gdyby cię to bolało. A teraz powiedz mi, kim jest ta nieszczęśnica, która pozwala sobie na luksus nie zwracania uwagi na mojego syna.

Chodziło o szkolną koleżankę, która z kolei była zakochana, jak wszystkie pozostałe pannie, w kapitanie drużyny futbolowej, z którym Dai nie mógł się mierzyć nawet w najśmielszych marzeniach. Następnego dnia Carmen poszła po syna do szkoły, żeby sobie obejrzeć wybrankę przy wyjściu;

kiedy ujrzała wyblakłą blondynkę o infantylnej buzi do połowy ukrytej za balonem z gumy do żucia, odetchnęła z ulgą, pewna, że Dai szybko wyleczy się z miłosnych cierpień i niebawem znajdzie kogoś bardziej interesującego, a gdyby nawet nie - to i tak nic nie da się w tej chwili zrobić, nie sposób przecież oszczędzić mu wszystkich ciężkich przeżyć i bólu, jak starała się czynić, kiedy jeszcze był mały. Potem zrozumiała, że jej poczucie ulgi miało głębsze podłoże niż nic nieznacząca osobowość Karen i wiara, że Dai nie będzie przez nią cierpieł wiecznie. Zaczynała dostrzegać dobre strony tego, że syn zaczyna poruszać się samodzielnie. Po raz pierwszy od trzynastu lat, które przeżyli wspólnie, może zacząć myśleć o sobie jak o istocie niezależnej, dotychczas Dai stanowił przedłużenie jej, a ona jego, syjamskie bliźnięta zrosnięte sercem, jak mawiała Inmaculada. Tego wieczoru matka zastała Carmen siedzącą w kuchni nad filiżanką herbaty z mango, wpatrzoną w czarne cienie drzew w gasnącym świetle dnia.

- Wydaje ci się, że wyglądam staro, mamó?

- Starzej niż w ubiegłym roku, ale młodziej niż za rok, jeśli Bóg da - odparła Inmaculada.

- Wiesz, że mogłabym już być babcią? Życie płynie coraz szybciej.

- Tobie mija szybko, córeczko, każda kobieta uważa, że będzie żyła wiecznie. W moim wieku dni upływają na niczym, nawet nie wiem, jak mi minęła kolejna godzina.

- Myślisz, że ktoś jeszcze może się we mnie zakochać?

- Zapytaj lepiej, czy ty sama umiesz się jeszcze zakochać. Szczęście, które przeżywasz, bierze się z miłości, jaką dajesz.

- Nie wątpię, że mogłabym się jeszcze zakochać.

- Ciesz się tym, bo ja pewnie niedługo umrę, a Dai zacznie żyć swoim życiem, to zwykła kolej rzeczy. Nie powinnaś

zostawać sama. Tyle razy ci mówiłam, żebyś wyszła za męża.

- Za kogo, mamuś?

- Za Gregory'ego, ten chłopiec jest lepszy niż wszyscy twoi narzeczeni razem wzięci, a to i tak za mało powiedziane, sama chyba wiesz najlepiej. Masz wyjątkowo kiepskie wyczucie do mężczyzn.

- Gregory to mój brat, gdybyśmy się pobrali, to byłoby kazirodztwo!

- Szkoda, w takim razie poszukaj sobie kogoś w twoim wieku, nie rozumiem, dlaczego zadajesz się wiecznie z młodszymi od ciebie!

- Wcale niegłupi pomysł, mamusiu... - odparła Carmen z chytrym uśmieszkiem, który nieco zaniepokoił Inmaculadę.

Trzy tygodnie później zapowiedziała w domu, że udaje się do Rzymu na poszukiwanie męża. Za pośrednictwem prywatnej agencji detektywistycznej zlokalizowała Leo Galupiego w rozległej przestrzeni wszechświata, co nie okazało się trudnym zadaniem, ponieważ jego nazwisko figurowało, wypisane ozdobną czcionką, w książce telefonicznej Chicago. Po zakończeniu wojny wrócił do punktu wyjścia, równie bez grosza jak przedtem, straciwszy wszystkie pieniądze zarobione na podejrzanych transakcjach, za to bogatszy na doświadczenia. Znał się na sztuce, miał dobre kontakty, a lata handlu wyrobiły mu gust, więc mógł założyć firmę swoich marzeń. Otworzył galerię ze wschodnimi dziełami sztuki i odniósł tak wielki sukces, że po dziesięciu latach miał już filie w Nowym Jorku i w Rzymie, gdzie przez dłuższą część roku mieszkał. Detektyw poinformował Carmen, że Galupi nadal jest kawalerem i pokazał jej serię fotografii wykonanych teleobiektywem. Widniał na nich ubrany na białą męż-

czynna, idący ulicą, wsiadający do samochodu, liżący lody na stopniach Piazza di Spagna w tym samym dokładnie miejscu, gdzie ona sama równie często siadywała, kiedy jeździła do Rzymu wizytować siostrę *Tamar*. Na widok Galupiego serce Carmen zabiło mocniej. Minione lata zatarły w jej pamięci jego rysy twarzy, prawdę mówiąc, nie myślała o nim za często, ale te trochę nieostre zdjęcia obudziły w niej uczucie tęsknoty i odkryła, że wspomnienie o nim przetrwało nienaruszone w jakimś tajemnym zakamarku pamięci. Chyba lepiej przejść do działania, mam sporo do zrobienia, postanowiła. Nastaly nerwowe dni przygotowań do podróży, zupełnie odmiennej od wszystkich dotychczasowych. W pewnym sensie to misja na śmierć i życie, oświadczyła matce, gdy ta zastała ją niespodziewanie nad wywaloną z szafy na podłogę stertą ubrań, mierzącą wszystkie spódnice w ataku gorączkowej kokieterii. Gdy tylko Carmen uporała się ze sprawami firmy i domu, zrobiła sobie badania, ufarbowała włosy i kupiła jedwabną bieliznę. Z bezlitosną uwagą przyglądała się własnemu odbiciu w wielkim lustrze w łazience, liczyła zmarszczki i wyrzucała sobie brak codziennej gimnastyki, opijanie się skondensowanym mlekiem i kpiny z diety. Wydepilowała ręce i nogi, stwierdzając przy tym, że skóra nie jest jędrna jak kiedyś, próbowała wciągnąć brzuch, ale znajdująca się tam fałdka skutecznie jej to uniemożliwiała, oceniała stan swoich rąk, zniszczonych przez obróbkę metalu, i piersi, które zawsze jej przeszkadzały jak jakiś obcy ciężar. Jej ciało wyglądało teraz inaczej niż wtedy, kiedy Leo Galupi ujrzał ją po raz pierwszy, ale mimo to uznała, że lista jej wdzięków jest i tak wystarczająca, przynajmniej nie mam śladu żyłaków ani rozstępów po ciążach, pocieszała się, jakby nie pamiętając, że nie jest rodzoną matką Daia i że nigdy

nie rodziła. Mając w głowie szczegółowy plan działania, poszła na obiad z Gregorym Reevesem, z którym nie chciała rozmawiać przed podjęciem ostatecznych decyzji, bojąc się, że uzna ją za szaloną. Z początku nieśmiało, pod koniec entuzjastycznie opowiedziała mu, czego się dowiedziała o Galupim, i pokazała mu fotografie. Czekala ją niespodzianka: przyjaciel przyjął najzupełniej normalnie to, że Carmen, wiedzona nagłym impulsem, pielgrzymuje do Europy zaproponować małżeństwo człowiekowi, którego nie widziała od ponad dziesięciu lat i z którym nigdy nie rozmawiała o miłości. Uznał, że to tak pasuje do charakteru Carmen, że aż zapytał, czemu nie wpadła na to wcześniej.

- Pochłonęło mnie w całości wychowywanie Daia, ale mój syn jest już duży i daleko mniej mnie potrzebuje.

- A jeśli ci się nie powiedzie?

- Zastanowię się dobrze, zanim cokolwiek podpiszę. Nie tym się przejmuję, ale... a jak mu się nie będę podobała, Greg? Jestem teraz dużo starsza.

- Popatrz na te zdjęcia, kobieto. Przecież czas nie zatrzymał się dla niego! - odparł na to Reeves, kładąc przed nią zdjęcia i wówczas po raz pierwszy zwróciła uwagę, że Leo Galupi miał na głowie mniej włosów i więcej ważył. Roześmiała się, zadowolona, i postanowiła, że zamiast do niego pisać czy dzwonić, uprzedzając swój przyjazd, jak początkowo zamierzała, po prostu pojedzie go zobaczyć, rozproszy złudzenia utkane przez własną wyobraźnię i dowie się od razu, czy jej ekstrawagancki plan ma jakikolwiek sens.

Trzy dni później Carmen Morales weszła do galerii sztuki w Rzymie, do której podjechała taksówką wprost z lotniska, zostawiając rzeczy w bagażniku. Weszła, modląc się w duchu, żeby tylko Leo Galupi tam był i ten jeden jedyny raz jej modlitwa została wysłuchana: ubrany w białe spodnie i

koszulę z pogniecionego lnu, bez skarpetek, omawiał szczególnie kolejnego katalogu z młodym człowiekiem odzianym w ubranie równie wymięte jak jego własne. Stojąc pośród indyjskich kobierców, chińskich rzeźb z kości słoniowej, rzeźbionego drewna z Nepalu, japońskich brązów i porcelany oraz mnóstwa innych egzotycznych przedmiotów, Carmen w malowniczej cygańskiej spódnicy, pobłyskująca bransoletkami ze starego srebra, wyglądała jak część ekspozycji. Na jej widok Leo Galupi upuścił katalog, który trzymał w ręku, i przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby ujrzał zjawę, o której tyle razy śnił. Carmen zaczęła się obawiać, że - tak jak myślała - ten nie do końca prawdopodobny narzeczony po prostu jej nie rozpoznaje.

- Jestem Tamar... pamiętasz mnie? - z wahaniem postąpiła krok do przodu.

- Jakbym śmiał nie pamiętać! - ujął jej dłoń i przytrzymał, aż po kilku sekundach zdał sobie sprawę z całej niedorzeczności takiego powitania i uściskał ją.

- Przyjechałam zapytać cię, czy zechcesz się ze mną ożenić - wyjąkała Carmen, ledwie mogąc oddychać, bo nie wszystko przebiegało tak, jak to sobie wymarzyła i wypowiadając to ostatnie zdanie przeklinała samą siebie za to, że tą pierwszą wypowiedzią już wszystko zepsuła.

- Nie wiem - brzmiała jedyna odpowiedź, jaka wpadła Galupiemu do głowy, kiedy nareszcie odzyskał głos; przez chwilę zauroczeni mierzyli się wzrokiem, tymczasem młody człowiek z katalogiem zniknął gdzieś bezszelestnie.

- Jesteś w kimś zakochany? - wybąkała Carmen, czując się coraz bardziej idiotycznie, ale niezdolna przypomnieć sobie strategię zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach.

- Wydaje mi się, że w tej chwili nie.

- Jesteś homoseksualistą?

- Nie.

- Masz ochotę na kawę? Jestem trochę zmęczona, podróż trwała długo...

Leo Galupi wyprowadził ją na ulicę, gdzie promienne słońce lata, gwar tłumu i hałas samochodów przywróciły obojgu poczucie teraźniejszości. Wewnątrz galerii cofnęli się w czasy Sajgonu i znaleźli na powrót w komnacie chińskiej cesarzowej, którą Leo przygotował dla Carmen i w której przez tyle nocy przyglądał się jej, śpiącej, przez szpary w parawanie. Kiedy się wówczas pożegnali, Galupi po raz pierwszy w całym swym bujnym życiu obieżyświata poczuł, co znaczy ukąszenie samotności, ale nie chciał się z tym faktem pogodzić i stłumił w sobie to uczucie upartą obojętnością, rzucając się w wir gorączkowych interesów i podróży. Z czasem zniknęła także pokusa, by do niej napisać i w końcu przyzwyczał się do tego słodkiego i smutnego uczucia, jakie w nim wzbudziła. Wspomnienie o niej służyło mu za pancierz ochronny przeciw podnieciom innych miłości, pewien rodzaj ubezpieczenia od romantycznych uniesień. Jeszcze jako młody chłopak postanowił nie przywiązywać się do nikogo i do niczego, nie był człowiekiem rodzinnym, nie odpowiadały mu długie narzeczeństwa, uważał się za samotnika niezdolnego znieść nudę rutyny lub wymagania, jakie niesie życie we dwoje. Kilkakrotnie wycofywał się ze zbyt intensywnych związków, za każdym razem tłumacząc rozczarowanej narzeczonej, że nie może ofiarować jej miłości, ponieważ przeznaczone mu kochać jedną jedyną kobietę imieniem Tamar. Ten wybieg, wielokroć powtarzany, zmienił się z czasem w coś w rodzaju tragicznej pewności. Nie analizował dogłębnie swych uczuć, bo cenił sobie wolność, a

Tamar była tylko zjawą, która pomagała mu, ilekroć potrzebował, wyrwać się z niewygodnego związku. I wtedy właśnie, kiedy uznał, że serce już mu raczej gwałtownie nie zabije, pojawiła się zjawę we własnej osobie, żeby rozliczyć go z owych kłamstw, jakimi przez lata karmił inne kobiety. Nie chciało mu się wierzyć, że zaledwie pół godziny temu tak po prostu weszła do jego galerii i oświadczyła bez ogródek, żeby się pobrali. Teraz miał ją obok siebie, ale nie śmiał na nią spojrzeć, za to czuł, że ona nie spuszcza z niego wzroku i nie stara się nawet tego ukryć.

- Wybacz mi Leo, nie mam zamiaru cię osaczać, to wszystko nie tak, jak sobie wymyśliłam...

- A jak to sobie wymyśliłaś?

- Myślałam, że cię uwiode, kupiłam sobie nawet bieliznę z czarnej koronki.

- Nie będziesz musiała aż tak bardzo się starać! - roześmiał się Galupi. - Zabiorę cię teraz do domu, żebyś mogła wziąć prysznic i chwilę odpoczęła, pewnie padasz z nóg. Potem porozmawiamy.

- Doskonale, to ci da czas do namysłu - westchnęła Carmen bez cienia ironii.

Galupi mieszkał w starej willi podzielonej teraz na kilka mieszkań. Tylko jedno okno jego apartamentu wychodziło na ulicę, cała reszta zaś na mały, wiekowy ogródek, gdzie szemrała woda w fontannie, a bluszcz oplatał kalekie, pokryte patyną wieków posągi. Nieco później, kiedy siedzieli na tarasie i popijali białe wino, podziwiając zarazem ogród zalany księżycowym blaskiem i wdychając woń dzikiego jaśminu, otworzyli przed sobą dusze. Oboje mieli za sobą niezliczone romanse i niepowodzenia, niejedno przeżyli i nieraz zaplątywali się w te wszystkie kłamstwa, jakie gubią zakochanych. Ożywiła ich rozmowa o własnych losach i uczuciach, nie podszyta ukrytymi zamiarami ani świadomą

taktyką, prowadzona z brutalną szczerością. W dużym skrócie opowiedzieli sobie nawzajem, co przeżyli, czego pragną na przyszłość, i potwierdzili, że opary owej alchemii, jaka przyciągała ich ku sobie już wcześniej, nadal unoszą się w powietrzu, i wystarczy tylko odrobinę chcieć, żeby je podsyć.

- Jeszcze kilka tygodni temu wcale nie myślałam o zaślubieniu, Leo.

- A dlaczego pomyślałaś właśnie o mnie?

- Bo nie mogłam o tobie zapomnieć, podobasz mi się i sądzę, że jakieś sto lat temu ja także troszkę ci się podobałam. W gronie tych wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek znałam, tylko dwóch chciałam mieć koło siebie, kiedy mi smutno.

- Kim jest ten drugi?

- Gregory Reeves, ale ten nie potrafiłby kochać, a ja nie mam czasu, by czekać na niego.

- O jakim rodzaju miłości mówisz?

- O miłości prawdziwej, żadnych namiastek. Szukam partnera, który by mnie bardzo kochał, byłby mi wierny, nie kłamał, szanował moją pracę i potrafił mnie rozbawić. Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale sama mam mniej więcej tyle do zaoferowania, poza tym jestem gotowa mieszkać tam, gdzie ty sobie zażyczysz, pod warunkiem, że zgodzisz się także na obecność mojej matki i Daia i że będę mogła dużo podróżować. Zdrowie mi dopisuje, sama zarabiam na własne utrzymanie i nigdy się nie załamuję.

- To brzmi niemal jak kontrakt.

- Bo to jest kontrakt. Masz dzieci?

- O ile wiem, nie, ale moja matka jest Włoszką. To będzie pewien problem. Nie zaakceptowała żadnej z kobiet, jakie jej przedstawiałem.

- Nie umiem gotować i nie mam wielkich wymagań w łóżku, ale moi domownicy zapewniają, że wygodnie się ze mną mieszka, przede wszystkim dlatego, że mało mnie widują, spędzam wiele godzin w warsztacie. Nie przeszkadza mi zbyt wiele...

- Za to ja wcale nie jestem łatwy w pojęciu.

- Zdobędziesz się chociaż na to, by spróbować?

Pocałowali się po raz pierwszy, początkowo - żeby spróbować, potem przez ciekawość, a w końcu z namiętnością, jaka narosła w nich przez lata oszukiwania potrzeby prawdziwej miłości banalnymi związkami. Leo Galupi powiódł tę nieuchwytną narzeczoną do sypialni z wysoko sklepionym sufitem malowanym w nimfy, z szerokim łóżem i poduszkami z zabytkowej materii. Carmen kręciło się w głowie, czuła się trochę otepiała, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to na skutek długiej podróży, czy po kilku kieliszkach wina; było jej to zresztą obojętne i poddała się tej słabości, nie czując się na siłach, by uwodzić Leo Galupiego bielizną z czarnej koronki ani miłosnymi sztuczkami, jakich nauczyli ją kolejni kochankowie. Pociągał ją jego zapach zadbanego mężczyzny, czysty, nieskażony żadną chemiczną esencją, trochę cierpki, jak woń chleba czy drewna, wsunęła więc nos w zagłębienie między jego szyją a ramieniem, wdychając głęboko jak pies gończy szukający śladów. Zapachy przetrwały w jej pamięci bardziej niż jakiegokolwiek inne wspomnienia i w tej właśnie chwili powrócił do niej obraz owej nocy w Sajgonie, kiedy oboje znajdowali się tak blisko siebie, że zarejestrowała w mózgu, jak pachnie jego skóra, nie zdając sobie sprawy, że zachowa się to w jej pamięci przez wszystkie następne lata. Powoli zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, ale z trudem przechodziły przez wąskie dziurki i zniecierpliwiona poprosiła go w końcu, by ją zdjął.

Z daleka dochodziły dźwięki wschodniej muzyki, napelniając rzymską alkowę, spowitą w księżycową poświatę i woń jaśminu z ogrodu, całą zmysłowością Indii. Przez lata Carmen kochała się z młodymi, silnymi chłopcami, a teraz jej ręka wędrowała po lekko zgarbionych plecach, palce przesuwają się po szerokim czole i miękkich włosach. Poczuli, że ogarnia ją fala bezbrzeżnej czułości dla tego dojrzałego mężczyzny i przez mgnienie próbowała wyobrazić sobie, ile pokonał w życiu dróg i kobiet, szybko jednak poddała się samej przyjemności zatopienia się w jego ramionach i niezastanawiania nad niczym. Poczuli, że jego ręce zsuwają z niej bluzkę, szeroką spódnicę, sandały i z wahaniem zatrzymują na bransoletach. Nigdy ich nie zdejmowała, stanowiły jej ostatni pancerz, teraz jednak uznała, że nadszedł moment całkowitego odkrycia i usiadła na łóżku, by je zdjąć powoli, jedną po drugiej. Upadły bezszelestnie na dywan. Doświadczony palce i wargi Galupiego wędrowały po jej ciele, poczuła, że jego język obiega jej wciąż jędrne piersi, penetruje muszlę ucha i wnętrze ud, gdzie skóra pulsuje w odpowiedzi, czuła, że powietrze wokół niej gęstnieje i z trudem chwytają oddech. Palący żar pulsował coraz silniej w jej brzuchu i wprawiał biodra w drżenie, wrywał z gardła zduszony jęk, aż w końcu, zniecierpliwiona, nie chciała przedłużyć pieszczot, przesunęła się i znalazła nad nim, w pozycji natchnionej amazonki, unieruchamiając go między udami wśród rozrzuconych poduszek, pragnąc zespolić się z nim już w tej chwili. Zmęczenie i pośpiech przytępiły ją, poruszała się rytmicznie, czekając na jego odpowiedź, ale nie umiała go przyjąć, wilgotna z upału i rozkoszy, w końcu roześmiała się i opadła, przygniatając kochanka darem obfitych piersi i gęstwiny zmierzwionych włosów, po czym zaczęła mu się tłumaczyć po hiszpańsku, czego nie mógł przecież zrozumieć.

Leżeli przez chwilę w objęciach, śmiejąc się, całując i mrużąc czule głupstwa w jakiejś nieprawdopodobnej mieszance językowej, aż pożądanie wróciło ze zdwojoną siłą, i kiedy tak baraszkowali, Leo Galupi odszukał bramę i pewnie ruszył przed siebie, przystając przy każdej stacji na tej drodze, żeby na nią zaczekać i powiesić aż do ostatnich ogrodów, gdzie pozwolił jej poznawać samej każdy zakątek, aż poczuła, że schodzi w otchłań cieni i eksplozja szczęścia wstrząsnęła jej ciałem. Potem przyszła kolej na niego, w gęstwinie pieszczot, z radości za ten orgazm absolutny i osiągnięty bez wysiłku, aż w końcu oboje zasnęli, zwinęci w jeden kłębek rąk i nóg. Przez kolejne wspólne dni mieli odkrywać, że im ze sobą dobrze, że oboje śpią na tym samym boku, żadne nie pali, lubią te same książki, filmy i potrawy, głosują na tę samą partię, nudzą ich sporty i regularnie jeżdżą w egzotyczne zakątki świata.

- Nie wiem, czy się nadaję do roli męża, Tamar - usprawiedliwiał się pewnego wieczoru Leo Galupi w trattorii na Via Veneto. - Potrzebuję poczucia nieograniczonej wolności, jestem urodzonym włóczęgą.

- To właśnie w tobie lubię, zresztą ja jestem podobna. Ale osiągnęliśmy już wiek, kiedy dobrze by nam zrobiła odrobina odpoczynku.

- Sam pomysł mnie przeraża.

- Miłość potrzebuje czasu... nie musisz dawać mi odpowiedzi natychmiast, możemy z tym zaczekać do jutra - roześmiała się Carmen.

- Tu nie chodzi o ciebie, bo jeżeli kiedykolwiek zdecyduję się na ożenek, to tylko z tobą, przysięgam.

- To już coś.

- Dlaczego nie zostaniemy raczej kochankami?

- To nie to samo, Leo. Za stara już jestem na eksperymenty. Pragnę długotrwałego związku, chciałabym zasypiać

w ramionach stałego przyjaciela. Czy sądzisz, że przejechałam pół świata po to, by ci zaproponować, żebyśmy zostali kochankami? Miło będzie starzeć się razem, zobaczysz - brzmiała stanowcza odpowiedź. - Potworność! - jęknął Galupi, teraz naprawdę pobladły.

Możliwość zasiadania raz w tygodniu w spokoju gabinetu Ming O'Brien, opowiadania jej o sobie i zastanawiania się nad własnym zachowaniem stanowiła dla mnie przeżycie, jakiego wcześniej nie doświadczyłem. Z początku wiele mnie kosztowało umieć się odprężyć, ale Ming zdobyła moje zaufanie i stopniowo zaczęliśmy razem otwierać kolejne zapieczetowane drzwi do mojej przeszłości. Jej jednej powiedziałem o owym dniu w schowku na miotły, kiedy Martinez mnie zgwałcił i po tym wyznaniu mogłem już odsłaniać najgłębsze sekrety własnego życia. Drugi rok był najgorszy, z każdego seansu wychodziłem, dusząc się od powstrzymywanego płaczu. Ming nie kłamała, twierdząc, że to bolesny proces, wielokrotnie byłem o krok od rezygnacji. Na szczęście wytrzymałem. Dokonując przez pięć lat tego przeglądu własnego życia, pojąłem sens scenariusza i poczyniłem niezbędne kroki, żeby jeszcze coś w nim zmienić, w samą porę nauczyłem się kontrolować własne odruchy i umieć się powstrzymać, gdy znajduję się o krok od popełnienia któregoś z dawnych błędów. Moje życie rodzinne nadal wyglądało koszmarnie, ale tu niewiele mogłem zdziałać. Margaret była już poza moim zasięgiem, skupiłem więc wszystkie siły na tym, by wychowywać Davida. Dotąd stosowałem wobec niego system, który Ming określiła mianem automatu na pieniądze, mój syn zawsze wygrywał, była to kwestia pozwalania mu bez przerwy na operowanie drażnikiem maszyny, w

którymś momencie wreszcie wygra. O coś prosił, ja początkowo odmawiałem, na co on zaczynał nudzić, aż puszczały mi nerwy, zwyciężało we mnie zmęczenie i ustępowałem. Nie było mi łatwo wytyczyć przed Davidem jakiegokolwiek granice, ponieważ sam, jako dziecko ich nie znałem, wychowałem się na ulicy w całkowitej swobodzie i żyłem w przekonaniu, że ludzie kształtują się sami, że doświadczenie czegoś uczy. Ale w moim przypadku istniała jeszcze dyscyplina i wartości wpojone przez ojca, a podobno pierwsze pięć, sześć lat ma największy wpływ na osobowość dziecka, poza tym musiałem sam o siebie dbać i zawsze musiałem pracować. Natomiast moje dzieci rosły jak dzikusy, pozbawione opieki i prawdziwej miłości, aczkolwiek nigdy nie zabrakło im niczego w sensie materialnym. Pieniędźmi starałem się wynagrodzić poświęcenie, jakiego nie mogłem im ofiarować. Fatalny pomysł.

Jedna z najważniejszych decyzji, jakie podjąłem, to zmniejszenie tego bagażu, jaki dźwigałem na grzbiecie, i reorganizacja biura. Nie miałem możliwości zmodyfikowania charakteru współpracowników, ale mogłem ich zastąpić lepszymi, nie do mnie należało wyleczenie ich z nałogów, płacenie za błędy i rozwiązywanie ich problemów. Dlaczego nieustannie musieli mnie otaczać sami alkoholicy? Dlaczego przyciągałem osobowości neurotyczne i słabe? Musiałem zrewidować ten aspekt własnej osobowości i przejść do obrony. Utrzymanie biura przekraczało wysokość zysków, jakie przynosiło, ja sam zagarniałem znaczną część wpływów, a jednak wciąż chodziłem z pustym portfelem i zablokowano mi prawie wszystkie karty kredytowe. Mój przyjaciel Mike Tong przez lata gryzł się, próbując wszystko to jakoś dopasować, a Tina ostrzegała aż do przesady, że niektórzy adwokaci nie tylko nie dbają o klientów, ale także

czasami biorą jakąś sprawę na boku, po czym nie ma śladu w księgowości, że obciążają mnie prywatnymi rachunkami za telefony, restauracje, podróże, a nawet prezenty dla kochanek. Nie zwracałem na to wcześniej uwagi, za bardzo przejęty własnym chaosem. Żyłem w przekonaniu, że nic nie może mnie zniszczyć, że zawsze znajdę sposób na rozwiązanie problemów, pokonałem najróżniejsze przeszkody i nie zrujnowały mnie nieopłacone rachunki i złośliwe kradzieże, ale koniec końców, cały ten ciężar stał się nieznośny. Przez dobry kawał czasu walczyłem z wątpliwościami i poczuciem winy, aż wreszcie Mike Tong za pomocą swych dokładnych liczydeł oraz Ming O'Brien dzięki swej nieustępliwości pomogli mi zwolnić jednego po drugim wszystkich nieudaczników i pozamykać filie w innych miastach. Zostałem tylko Tinę, Mike'a i młodą panią adwokat - lojalną i inteligentną, wynająłem część lokalu parze zawodowców, żeby choć trochę podreperować budżet i w ten sposób ograniczyłem wydatki do minimum. Stwierdziłem wówczas, że praca na mniejszą skalę daleko bardziej mi się opłaca i jest dużo ciekawsza, trzymam bowiem w rękę wszystkie nici i mogę poświęcić czas na wyzwania, jakie stawia przede mną mój zawód, zamiast tracić energię na męczącym załatwianiu serii mało znaczących problemów. Ponadto zyskałem w ten sposób lepszy kontakt z klientami, a zatem to, co najbardziej lubię w pracy. W owej epoce zmieniłem się także ja sam, nie tylko moje biuro, pozbyłem się mniej znaczących spraw i drobnostek, które tylko przeszkadzały, rzuciłem prostackie hiszpańskie papierosy, właściwie prawie zupełnie przestałem palić, w ogóle nie sięgałem po alkohol, dzięki czemu raz na zawsze wyleczyłem się z alergii. Kalendarzyk z listą kochanek zapodział się w czeluściach jakiejś szuflady i przestałem

go szukać. Przy braku środków finansowych nie miałem innego wyjścia, niż zwolnić bieg życia i szaleństwa przeszły do historii, tym bardziej że byłem pochłonięty pracą i wychowaniem Davida, a Timothy Duane już mnie nie namawiał do grzechu. Nie oznacza to, że zacząłem żyć jak pustelnik, nie podobnego, przypuszczam, że na zawsze pozostanę wierny swemu pięknoduchowskiemu usposobieniu.

- Świetnie, jeżeli pan się znowu nie ożeni, za trzy lata spłacimy wszystkie długi - oświadczył mi pewnego dnia uszczęśliwiony Mike Tong, kiedy po raz pierwszy wysokość wpływów przekroczyła kwotę wydatków.

Tego samego roku sprzedałem dom przy plaży i uregulowałem sprawy z Shanon, która, otrzymawszy ostatni czek, wyjechała bez konkretnych planów najdalej jak się da, gotowa rozpocząć nowe życie. Wyobraziłem sobie, jak odjeżdża autostradą, aż całkiem niknie w oddali, tej samej, z jakiej przybyła, tylko że teraz nie idzie pieszo, ale jedzie luksusowym wozem. Parę miesięcy później mignęła mi twarz Shanon w reklamie nowego kosmetyku w jakimś piśmie. Musiałem spojrzeć dwukrotnie, żeby ją rozpoznać: ta Shanon promienna jak świeży owoc wyglądała dużo lepiej niż ta, którą zapamiętałem. Wyciąłem zdjęcie z gazety i zanieśliem Davidowi, który przykleił je sobie na ścianie w pokoiku. Pozostało mu po matce nieco rozmyte wspomnienie, pamiętał ją jako śliczną, radosną istotę, która wpadała czasami, zasypywała pocałunkami i zabierała do kina, pamiętał jej melodyjny głos w słuchawce telefonu, do tego doszło teraz to uwodzicielskie oblicze w ogłoszeniach reklamowych. Przy mojej pomocy zbił drewnianą szkatułkę na prezent urodzinowy i poświęcał jej szkolne rysunki, które wysyłał pocztą. Shanon była eteryczną wróżką z bajek, księżniczką w dżinsach,

która czasem wpadała, jak świeża bryza, po czym znikwała. W codziennych sprawach nie miało to żadnego znaczenia, matką dla Davida była bowiem Daisy, która zwilżała mu włosy święconą wodą, żeby wypędzić z niego demony i znajdowała się przy nim, kiedy otwierał oczy rano i zamykał wieczorem.

- Chcę zobaczyć moją mamę - oświadczył mi pewnego dnia.

- Wyjechała daleko i na razie nie wróci. Tęskni za tobą bardzo, ale pracuje i mieszka w innym mieście. Teraz jest sławną modelką.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem, ale na pewno szybko do ciebie napisze.

- Nie kocha mnie, dlatego odeszła.

- Bardzo cię kocha, ale życie jest potwornie skomplikowane, David. Przez jakiś czas nie możesz się z nią zobaczyć, to wszystko.

- Myślę, że moja mama umarła, a ty mnie okłamujesz.

- Daję ci słowo honoru, że mówię prawdę. Nie widziałeś jej zdjęcia w gazecie?

- Przysięgnij mi.

- Przysięgam.

- Przysięgnij mi też, że nigdy się nie ożenisz.

- Tego nie mogę przysiąc, synku. Mówiłem ci już, że życie jest potwornie skomplikowane.

Przez kilka kolejnych dni był milczący i zamknięty w sobie, całymi godzinami patrzył na morze, a to u niego niezwykle, zawsze bowiem roznosiła go chęć działania i krzyk, wkrótce jednak pochłonęły go przygotowania do wakacji. Obiecałem, że pojedziemy obozować w górach, weźmiemy ze sobą Olivera i kupię strzelbę do polowania na kaczki. Shannon pozostała dla swego syna tym, czym zawsze była: słodkim urojeniem.

Oskarżenie o niewłaściwe postępowanie zawodowe spadło na mnie pod koniec roku i wydało mi się czymś tak nieprawdopodobnym i pozbawionym sensu, że nie przejąłem się samym faktem. Rzecz wyszła od jednego z dawnych klientów, którego moje biuro reprezentowało kilka lat temu, nałogowego alkoholika. Wszystko zaczęło się, kiedy jechał dalekobieżnym autobusem do Oregonu, wypił trochę za dużo i już w połowie drogi dopadło go delirium i zaczął widzieć wokół siebie potwory. W zamroczeniu wyciągnął nóż i zaatakował pasażerów, dwóch zranił, a trzeciego omal nie zabił, ostrze drasnęło szyję o milimetry od tętnicy. Z pomocą kilku śmiałków kierowca rozbroił napastnika, zmusił go, żeby wysiadł z autobusu, po czym podjechał do najbliższego szpitala, gdzie zostawił poranione ofiary napaści. Policja nie mogła znaleźć oskarżonego, gdzieś się ukrył, dopiero cztery dni później jakaś ciężarówka zabrała go z szosy. Była zima, odmroził sobie stopy i trzeba było je amputować. Po wyjściu z więzienia, gdzie odsiedział wyrok, szukał adwokata, który by go reprezentował w procesie przeciw przedsiębiorstwu autobusowemu za to, że pozostawiono go w bezлюдnym terenie. Sprawę wzięło moje biuro, braliśmy wtedy wszystko, co wpadło w ręce. Trzej poranieni nożem pasażerowie to wystarczający powód, by wysadzić faceta z autobusu, pech, że odmroził nogi, kiedy ukrywał się przed policją, ale zasłużył sobie na to, co go spotkało, zeznał kierowca autobusu. Mimo to zdołaliśmy załatwić sprawę polubownie, wyznaczając wysoką kwotę, bo przedsiębiorstwu bardziej opłacało się zapłacić odszkodowanie, niż kierować sprawę do sądu. Kiedy tylko nasz klient dostał forszę, znalazł innego adwokata, który wyczuł w powietrzu możliwość nabicia sobie kabzy

przez oskarżenie mnie o niewłaściwe postępowanie zawodowe. Nie miałem ubezpieczenia, gdybym więc przegrał, byłbym skończony, ale nawet nie dopuszczałem do siebie myśli, że mogłoby do tego dojść, żaden sąd na świecie nie przyznałby przecież racji kryminaliście. Mike Tong nie podzielał mojej opinii, twierdząc, że w sprawie przeciw kierowcy autobusu ława przysięgłych, owszem, byłaby nieubłagana i każdy, kto wczułby się w rolę pasażera i ofiary, głosowałby przeciw oskarżonemu, ale tu chodzi o mnie.

- Po jednej stronie zobaczą biednego kalekę o kulach, a po drugiej - adwokata w jedwabnym krawacie. Ława przysięgłych będzie przeciwko nam, panie Reeves, ludzie nienawidzą adwokatów. Poza tym musimy zatrudnić obrońcę, a skąd mam wziąć na to pieniądze? - westchnął księgowy i wreszcie porzucił całą protokolarną oprawę, jaką zawsze wobec mnie stosował, wziął za ramię, wepchnął do swojej nory i skonfrontował z nieubłaganą rzeczywistością, bijącą z jego pokreślonych na czerwono ksiąg.

Mike nie mylił się. Trzy miesiące później ława przysięgłych uznała, że kierowca nie powinien być wyrzucać pasażera z autobusu i że moje biuro niewłaściwie potraktowało klienta, pertraktując z przedsiębiorstwem autobusowym, zamiast od razu skierować sprawę do sądu. Ten werdykt, który wywołał pewne zamieszanie w światku prawniczym, oznaczał dla mnie ostateczny wyrok. Przez lata starałem się utrzymać równowagę na skraju urwiska, teraz jednak spadałem w przepaść. Jeżeli nie odkopię skarbu Francisa Drake'a we własnym ogrodzie, to nie mam najmniejszych szans zapłacić zasądzonej kwoty, pokpiwałem, ale niebawem powaga sprawy odebrała mi chęć do żartów, miałem godzinę na podjęcie najdrastyczniejszych decyzji. Zawołałem Tinę i

Mike'a, podziękowałem im za długotrwałą, wierną pracę i wyjaśniłem, że muszę ogłosić upadłość firmy i zamknąć biuro, ale obiecuję im obojgu, że jeżeli uda mi się jeszcze kiedykolwiek stanąć na nogi, zawsze znajdzie się u mnie praca dla nich. Tina zaczęła płakać i nie udawało się jej uspokoić, natomiast Mike nie pozwolił sobie, by najmniejsza emocja przeniknęła na jego azjatycką twarz. Może pan zawsze na nas liczyć - to wszystko co powiedział, po czym zamknął się w swojej dziupli, żeby uporządkować księgi rachunkowe.

Przez zakrawające na wieczność tygodnie procesu siedziałem obok mego obrońcy, wyklócając się gwałtownie o każdy szczegół. Był to czas ogromnego napięcia, ale kiedy wszystko dobiegło końca, przyjąłem werdykt z zimną krwią, o co sam siebie nie posądzałem. Miałem wrażenie, że kiedyś przeżywałem już podobne sytuacje, znowu znajdowałem się w ślepych zaułku jak wówczas, w latynoskiej dzielnicy. Przypominałem sobie rozpaczliwe ucieczki przed gangiem Martineza i pewność, że jak mnie dopadną, to zabiją, ale wciąż przecież żyję. Wyszedłem także cało z wietnamskiego piekła, gdzie wielu pozostało na zawsze, i przeżyłem tamtą noc w górach, kiedy wszystko wymierzone było przeciw mnie. Kopniaki i zniewagi w szkole oraz twarda lekcja wojny nauczyły mnie, jak się bawić i jak przetrwać, wiedziałem teraz, że nie powinienem dopuszczać, by ogarnęło mnie zaślepienie, ani tracić wyczucia proporcji; to, co się teraz stało, w porównaniu z walką, jaką musiałem stoczyć w przeszłości, to zaledwie potyczka, moje życie płynie dalej. Przeszło mi przez myśl, że trzeba zmienić kierunek, w zawodzie adwokata jest zbyt wiele ciemnych stron i naszły mnie wątpliwości, co do sensu ustawicznego dzierżenia szabli w dłoni i spalania się w niedorzecznej agresji. Jeszcze teraz zadają sobie czasem to

pytanie, ale brak mi na nie odpowiedzi, chyba po prostu trudno mi wyobrazić sobie, jak w ogóle można żyć bez walki.

W niedzielę byłem już gotowy zamknąć biuro. Między innymi rozważałem możliwość wyjazdu gdzieś do Ameryki Południowej, coś mnie silnie wiąże z tą częścią świata i lubię posługiwać się hiszpańskim, myślałem, żeby zamieszkać w jakimś małym miasteczku, gdzie życie byłoby łatwiejsze, gdzie mógłbym coś zrobić dla ludzi i stać się członkiem jakiejś społeczności, jak przed laty w wietnamskiej wiosce, ale później wydało mi się, że zakrawa to na ucieczkę. Carmen i Ming mają rację: choćbyś biegł nie wiem ile, nie umkniesz z własnej skóry. Chodziło mi też po głowie, żeby osiedlić się gdzieś na wsi. Tydzień wakacji, który spędziliśmy z Davidem, obozując, polując na kaczki i łowiąc ryby, mając tylko psa za towarzystwo, był dla mnie bardzo ważny i pozwolił odkryć nieznaną wcześniej, nowy aspekt własnej osobowości. W samotności pejzażu odzyskałem ciszę dzieciństwa, ten spokój duszy w harmonii z naturą, który straciłem, kiedy zachorował ojciec i musieliśmy przeprowadzić się do miasta. Reszta mojego życia naznaczona była zbyt dużą wrzawą i tak przyzwyczailem się do ustawicznego dzwonienia w mózgu, że nieomal zapomniałem, jak może ukoić prawdziwa cisza. Przeżycie, jakim jest spanie na ziemi, wyłącznie pod światłem gwiazd, pozwoliło mi cofnąć się do jedynej naprawdę szczęśliwej epoki: podróżowania wraz z rodziną w ciężarówce. Powróciła do mnie ta pierwsza wizja szczęścia, ja sam, czteroletnie dziecko, siusiające na wzgórzu pod sklepieniem nieba wyniosłego w swych spomarańczowiałych barwach wieczoru. Żeby zmierzyć nieskończoną rozległość zdobytej przestrzeni, wykrzychałem swoje imię nad jeziorem, a echo z

gór przyniosło mi je na powrót - oczyszczone. Te dni na wolnym powietrzu doskonale zrobiły także Davidowi, jego nadpobudliwy organizm zdawał się pracować na wolniejszych obrotach ani razu się nie posprzecaliśmy, wrócił do szkoły dobrze nastawiony, a potem przez dwa miesiące nie sprawiał żadnych problemów. Czuliśmy się o wiele lepiej, gdybyśmy porzucili to środowisko, gdzie presja jest nie do wytrzymania, ale tak naprawdę nie widzę się w roli rolnika czy leśnika, po co mam się oszukiwać, może kiedyś, później - albo nigdy. Lubię ludzi, muszę czuć się komuś potrzebny, nie sądzę, żebym długo wytrzymał w odosobnieniu jak pustelnik. Wiesz, że to tam, w tym dzikim zakątku świata dowiedziałem się o tobie? Carmen podarowała mi twoją drugą powieść i przeczytałem ją w czasie tych wakacji, nie przypuszczając nawet, że kiedykolwiek cię poznam i że powierzę twoim uszom tę długą spowiedź. Jak mógłbym wówczas podejrzewać, że pojedziemy razem do latynoskiej dzielnicy mojego dzieciństwa. Przez ponad czterdzieści lat nie przyszło mi do głowy, żeby tam kiedykolwiek wrócić, gdybyś nie należała, nigdy bym nie zobaczył, raz jeszcze, zrujnowanej, ale ciągle stojącej chałupy ani wierzby, wciąż żywej, mimo opuszczenia i otaczającego ją śmietnika. Gdybyś mnie tam nie zawiozła, nie znalazłbym odrapanej tablicy z napisem NIEZGŁĘBIONY ZAMYŚŁ, która czekała na mnie ze złuszczoną farbą i przegniłym drewnem, ale wyraźną treścią. Zobacz, ile musiałem przejść, żeby z powrotem tu dotrzeć i stwierdzić z całą mocą, że nie ma żadnego niezgłębitego zamysłu, a tylko szamotanina życia, tak ci powiedziałem. Może każdy z nas nosi swój zamysł wewnątrz, ale to jest taka zatarta mapa i trudno ją odczytać, dlatego tak kręcimy się w kółko, a czasami błądzimy, brzmiała twoja odpowiedź.

Byłem pewien, że ciężarówka i domu już nie ma; to jedyne dostępne mi dobra doczesne, cała reszta to długi, z którymi już umiałem sobie poradzić. W ostateczności to problem sędziów i adwokatów, którzy w poniedziałek rzucą się jak piranie na moje szczątki. Sama myśl doprowadzała mnie do wściekłości, ale nie przerażała. Zacząłem zarabiać na chleb już jako siedmiolatek w najróżniejszych zawodach i jestem przekonany, że nigdy nie zabraknie mi pomysłu, jak na siebie zarobić. Przejmowałem się jedynie losem współpracowników, stanowili oni bowiem moją prawdziwą rodzinę, ale przypuszczałem, że Mike i Tina bez trudu znajdą inną pracę, a Carmen na pewno zabierze do siebie Daisy, bo pani Inmaculada przy swoich latach nie powinna już zostawać sama w domu. Wieczorem wpadłem z wizytą do Timothy'ego i Ming, opowiedzieć im, co się stało. Właśnie sześć miesięcy temu zakończyłem terapię i teraz Ming i ja byliśmy oddanymi przyjaciółmi, nie tylko dzięki długim rozmowom w jej gabinecie, ale i dlatego, że była razem z Timem, który stał się innym człowiekiem, od kiedy los ich zetknął, chyba po to, by Ming wprowadziła w jego życie spokój swym rozsądkiem. Ming okazała się cudownym balsamem dla mojego wiecznie udręczonego przyjaciela. Przez te pięć lat przykrej eksploracji obszedłem wkoło krąg przeżyć i kiedy dotarłem do końca, znalazłem się na powrót w punkcie wyjścia, Ming uznała, że na tym jej pomoc się kończy. Powiedziała, że od tam zaczyna się najważniejszy etap mojej kuracji i że muszę przeprowadzić ją sam, że byłem jak kaleka, którego nauczono już chodzić i teraz tylko uporczywe ćwiczenie każdego kroku może mi przywrócić równowagę i pewność. Przy jej cierpliwości i moim wysiłku zdołaliśmy uporządkować tę potwornie zapuszczoną część mojego życia. Prowadzony przez nią, dotarłem do sali, gdzie stały zepsute maszyny i

niedokończone urządzenia, o której tyle mówił mój ojciec, i stopniowo zrobiłem tam porządek: wyrzuciłem śmieci, pozbijałem części, usunąłem awarie i dokończyłem to wszystko, czego nie ukończono. Zostało jeszcze wiele do zrobienia, ale nie umiałem poradzić sobie ze wszystkim sam. Wiedziałem, że moja podróż przez ten świat będzie zawsze surrealistycznym kilimem z luźno zwisającymi nitkami, ale teraz mogłem przynajmniej dostrzec zarys rysunku.

- Tym razem upieprzyli mnie zupełnie. Skończył mi się kredyt w banku i nie mogę spłacić zaciągniętych długów. Nie pozostaje mi nic innego, jak ogłosić upadłość.

- Najistotniejsze aspekty wyszły cało z tego kryzysu, Greg, są tylko straty materialne, reszta pozostaje nietknięta - odparła Ming i nie myliła się, jak zwykle zresztą.

- Przypuszczam, że powinienem zacząć od nowa - wymamrotałem, czując, że ogarnia mnie niezrozumiała euforia.

Życie to zlepek ironii. Kiedy patrzyłem na rozpad rodziny i wyrzekałem się większości znajomych, przestała mi przeszkadzać samotność. Potem, kiedy rozpadł się domek z kart, jakim było moje biuro i zostałem zrujnowany, po raz pierwszy doświadczyłem poczucia prawdziwego bezpieczeństwa. I dokładnie teraz, kiedy już przestałem szukać prawdziwej przyjaciółki, zjawiasz się ty i zmuszasz mnie, żebym przesadził krzewy róż do ogrodu. Zdałem sobie sprawę, że w głębi ducha nigdy nie wyznawałem kultu pieniądza, jak sobie wmawiałem, że założenia poczynione w hawajskim szpitalu były błędne i gdzieś w głębi zawsze się tego domyślałem. Pozorne triumfy nie zwiodły mnie, prawdą jest, że zawsze przesładowało mnie niejasne poczucie klęski. Jednak musiała minąć cała wieczność, bym zrozumiał, że im więcej posiadam,

tym łatwiej mnie zranić, bo w końcu obracam się w środowisku, gdzie się uznaje zasadę przeciwną. Trzeba mieć niebywałą intuicję, jak Carmen, żeby nie wpaść w tę pułapkę. Ja nie miałem, musiałem pójść na dno i dotknąć go stopą, żeby się wydobyć. W chwili katastrofy, kiedy nie zostało mi już nic, odkryłem, że nie czuję się załamany, tylko wolny. Zrozumiałem, że najważniejsze okazało się nie tyle umieć przeżyć czy osiągnąć sukces, jak zawsze sobie wyobrażałem, ale odnaleźć własną duszę, porzuconą gdzieś w piaskach dzieciństwa. Kiedy ją znalazłem, pojąłem, że ta moc, dla której roztrwonilem tyle beznadziejnego wysiłku, zawsze była we mnie. Dopiero gdy dałem wyraz dobrej woli i pogodziłem się z samym sobą, poczułem przeblysłk spokoju. Myślę, że właśnie w owej chwili odzyskałem władzę nad własnym przeznaczeniem.

W poniedziałek przyszedłem do biura, żeby załatwić ostatnie sprawy; znalazłem na biurku bukiet róż, a Tina Faibich i Mike Tong, którzy od rana na mnie czekali, uśmiechali się do siebie porozumiewawczo.

- Nie odkopałem skarbu Francisa Drake'a, ale udało mi się załatwić kredyt - obwieścił mój księgowy, poprawiając węzeł krawata, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany.

- Co ty mówisz, człowieku!

- Pozwoliłem sobie zadzwonić do pańskiej przyjaciółki, Carmen Morales, do Rzymu. Przekaze nam sporą sumę. Mam też wujka w banku, który gotów jest udzielić nam pożyczki. Teraz możemy negocjować. Jeżeli ogłosimy upadłość, tamta strona nic nie dostanie, powinna więc ułatwić nam sprawę.

- Nie mogę dać żadnych gwarancji.

- Między Chińczykami wystarczy słowo honoru. Carmen powiedziała, że pan finansował jej przedsięwzięcia od czasu,

kiedy mieliście po sześć lat, więc po prostu tym razem ona wyciąga do pana dłoń.

- A co z resztą długów, Mike?

- Już się do nich przyzwyczailiśmy, tygrysowi jeszcze jeden pasek nie robi różnicy.

- To znaczy, że pojedynek trwa - roześmiałem się, pewien, że tym razem ja stawiam warunki.

Co było dalej, już wiesz, bo przeżyliśmy to razem. Tej nocy, kiedy się poznaliśmy, poprosiłaś mnie, żebym ci opowiedział swoje życie. To potrwa, ostrzegałem cię. Nie szkodzi, powiedziałaś, mam dużo czasu, ale wtedy jeszcze sama nie zdawałaś sobie sprawy, w co się wplątujesz tym dalekonosnym, niezgłębionym zamysłem.

Spis treści

Część pierwsza	7
Część druga	128
Część trzecia	218
Część czwarta	339